R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

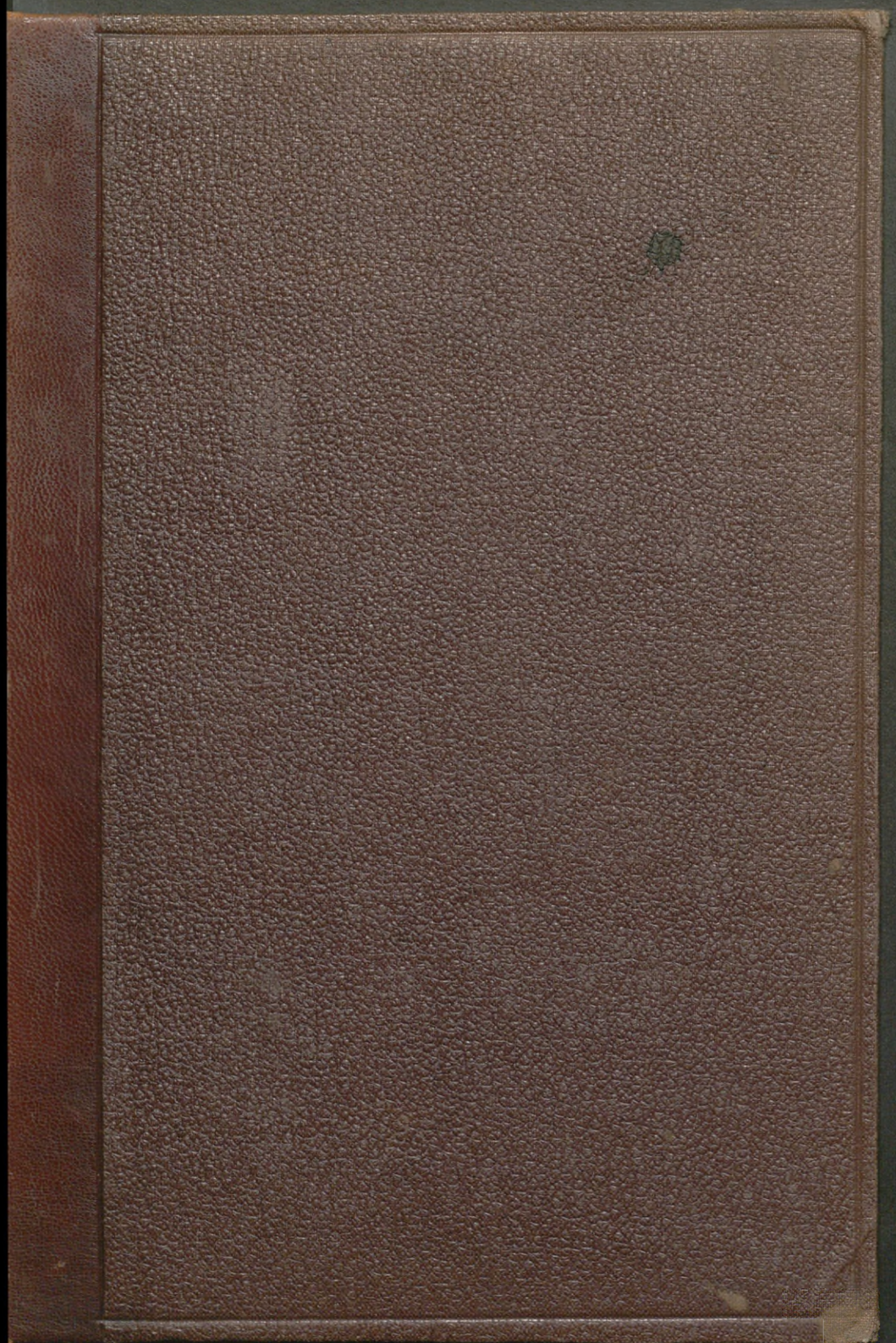

Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

Księgozbiór historyczny

Stanisława Zajewicza.

Warszawa 1952.

HISTORYA
KONSULATU I CESARSTWA.

HISTORYA

KONSULATU I CESARSTWA

NAPISAŁ PO FRANCUZKU

A. THIERS

BYŁY PREZES RADY MINISTRÓW, CZŁONEK IZBY DEPUTOWANYCH
I AKADEMII FRANCUZKIEJ.

Dzieło ozdobione rycinami.

PRZEKŁAD Z FRANCUZKIEGO.

TOM X.

WARSZAWA,
Nakładem i drukiem S. ORGELBRANDA Księgarza i Typografa.
Krakowskie Przedmieście Nr. 72.

1861.

9(44)

26604/2

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

w Warszawie dnia 20 Maja (1 Czerwca) 1861 r.

Starszy Cenzor, F. M. Sobieszczański.

KSIĘGA PIĘĆDZIESIĄTA CZWARTA.

RESTAURACJA BURBONÓW.

Ostatnie działania Francuzów, pozostałych w różnych stronach Europy. — Kampanja jenerała Maison we Flandrji i obrona Antwerpji przez jenerała Carnot. — Poddanie Antwerpji i warunki tego poddania. — Upowszechnienie się zbiegostwa w wojskach francuzkich. — Dzielność jenerała Maison w obec zagrażającego nieszczęścia, że Francja pozostanie bez wojska. — Długi i godny pamięci opór jenerała Davouta w Hamburgu. — Warunki pod któremi się poddał po dokonaném ocaleniu wielkiej liczby broni i bogatych zapasów. — Szlachetne postępowanie księcia Eugenjusza we Włoszech. — Wojska francuzkie przyprowadzone z Włoch przez jenerała Grenier. — Wypadki w Pirenejach. — Wiadomości z Paryża za późno nadeszły, aby mogły powstrzymać kroki nieprzyjacielskie, Anglicy i Francuzi zwarli się po raz ostatni. — Krwawa walka pod Tuluzą. — Zawieszenie broni na wszystkich granicach. — Położenie hrabiego d'Artois po jego wejściu do Paryża. — Zachodzi pytanie, pod jakim tytułem ma on zarządzać królestwem. — Tylko pod warunkiem uroczystego przystąpienia do konstytucji, zgadza się senat na uznanie go jeneralnym namiestnikiem królestwa. — Oburzenie hrabiego d'Artois i jego przyjaciół. — Książe d'Otrante wynajduje tranzakcję, która została przyjętą. — Senat udaje się do Tuileries i uznaje hrabiego d'Artois za jeneralnego namiestnika królestwa, a to skutkiem złożonego oświadczenia przez księcia w imieniu Ludwika XVIII, że główne zasady ułożonej przez senat ustawy zostaną przyjęte. — Pierwsze kroki na drodze zarządu krajem hrabiego d'Artois. — Rząd tymczasowy zamieniony w radę księcia. — Skład ministerjum. — Rozesłanie tymczasowych kommissarzy na wszystkie strony Francji. — Niedola prowincji najechanych i środki, któremi starano się dźwignąć je z biedy. — Rozpisanie nowego poboru do wojsk francuzkich. — Uwolnienie od służby popisowych z roku 1815. — Środki skarbowe pana Louis. — Stałe jego postanowienie do zapłacenia wszystkich długów państwa, do utrzymania wszystkich podatków, a nadewszystko ceł połączonych. — Zaufanie spiesznie zaczyna się ustalać pod podwójnym wpływem działalności tego ministra i pokoju. — Zmiany przechodnie zaprowadzone w taryfach handlowych. — Niedola prowincji najechanych powiększa się. — Zawiązują się układy w celu wyjednania opuszczenia przez wojska sprzymierzone prowincji najechanych. — Nie można było mówić o wycofaniu wojsk

sprzymierzonych z prowincji francuzkich, bez poprzedniego porozumienia się względem cofnięcia Francuzow z krajów zagranicznych. — W niemożności odrzucenia w tym względzie wzajemnych ustępstw, zgodzono się układem z dnia 23 Kwietnia na wycofanie załogi francuzkiej z Hamburga, Flessyngi, Berg-op-Zoom, Mons, Luksemburga, Moguncji, a w ogóle ze wszystkich ważniejszych twierdz europejskich. — Nie spostrzeżono się z początku na nieoględności w zawarciu tej umowy, która stała się wkrótce przedmiotem gorzkich zarzutów. — Gwałtowne poruszenie umysłów od czasu przybycia hrabiego d'Artois. — Ogół ludności zjednany początkowo dla powrotu Burbonów, zniechęcił się bardzo prędko działaniami rojalistów drażniącemi tak rewolucjonistów, jak i bonapartystów, skutkiem czego powstało bardzo żywe oskarżanie się pomiędzy stronnictwami. — Hrabia d'Artois popełnia wiele niedorzeczności, co sprawia żądzę w oświeconych rojalistach spiesznego przybycia króla. — Różne posłannictwa do Ludwika XVIII, malujące mu stan Francji. — Skutkiem doniesienia mu między innemi, że przystąpienie do ustawy ułożonej przez senat nie było tak nieodzownem, odwłóczy oświadczenie się w tym względzie i kieruje powoli ku Francji. — Pobyt jego w Londynie. — Zapał wywołany między Anglikami jego obecnością. — Nierozsądne oświadczenie dowodzące, że po Bogu najwięcej winien Anglikom. — Przybycie Ludwika XVIII do Calais. — Jego podróż przez departamenta północne i przybycie do Compiègne. — Niecierpliwość z jaką wyglądają go szczególniej marszałkowie, których najpochlebniej przyjmuje. — Niecierpliwość co do poznania króla. — Charakter Ludwika XVIII i hrabiego d'Artois i widoczna różnica pomiędzy dwoma braćmi. — Rozmowa pana de Talleyrand z królem. — Usilność króla do wywinięcia się od wszelkich zobowiązań. — Odwiedziny w Campiègne Cesarza Aleksandra i bezużyteczność jego usiłowań przy udzielaniu rad niektórych. — Ludwik XVIII nie jest przeciwnikiem konstytucji, choćby nawet liberalnej, lecz chce ją sam nadać, aby tym sposobem utrzymał zasadę swej władzy — Zgodził się na to, że przed przybyciem do Paryża zatrzyma się w Saint-Ouen, gdzie ogłosi oświadczenie zgodne ze złożonem przez hrabiego d'Artois, uświęcające podstawy konstytucji ułożonej przez senat. — Pobyt w Saint-Ouen i uczynione tu oświadczenie pod dniem 2 Maja 1814 roku. — Wjazd Ludwika XVIII do Paryża w dniu 3 Maja. — Ludność Paryża najserdeczniej go przyjmuje. — Ludwik XVIII obejmuje władzę i urządza radę królewską. — Pierwsze posiedzenie tej rady, na którém dotknięto wszystkich kwestji. — Ogólny pogląd na skarb, wojsko i marynarkę. — Pan Louis upiera się przy dwóch punktach, to jest przy zatwierdzeniu długów państwa i przy utrzymaniu koniecznych podatków. — Postanowienie królewskie odnoszące się do ceł połączonych. — Odroczenie poboru wojskowego. — Ludwik XVIII ma zamiar wskrzesić dawną straż przyboczną królewską ze znakomitém jej rozszerzeniem. — Żaden z członków rady nie ośmiela się wystąpić przeciw temu niedorzecznemu postanowieniu. — Nowe usiłowania w celu zakończenia niedoli prowincji najechanych. — Spostrzeżono się dopiero, że zawarta umowa w dniu 23 Kwietnia, która pozbawiła Francuzów drogich w układach zastawów, ani o jeden dzień nie przyspieszyła ustąpienia wojsk sprzymierzonych. — Monarchowie sprzymierzeni przyrzekają wydać nowe rozkazy swym wojskom, a Ludwik XVIII ogłasza proklamację, zalecającą władzom miejscowym nie uwzględnianie rekwizycji jenerałów cudzoziemskich. — Niecierpliwa żądza zawarcia pokoju. — Pan de Talleyrand otrzymuje upoważnienie do traktawania. — Nowy błąd pochodzący skutkiem podobnego pośpiechu z jakim postąpiono przy podpisaniu umowy w dniu 23 Kwietnia. — Daleko byłoby lepiej, aby los Francji rozstrzygał się dopiero w Wiedniu, wspólnie z postanowieniami nad losem innych mocarstw, ponieważ wówczas podzielone one były w zdaniach, a z podobnej okoliczności można było skorzystać. — Pan Metternich jednak zrozumiał bardzo dobrze interes w natychmiastowém traktowaniu z Francją i w odłożeniu wszelkich spraw europejskich do kongresu powszechnego, który miał się zebrać w Wiedniu. — Rząd królewski nie pojmował tej głębokiej rachuby i skutkiem niecierpliwej chęci zyskania zasługi za zawarcie pokoju, starał się podpisać go natychmiast. — Zepchnięcie Francji w granice z roku 1790 postawiono za nieodwołalną zasadę. — Granice te przyjęte z niejakiemi dodatkami. — Ile de France wyłączoną została z wracających do Francji kolonji. — Opór króla względem zapłacenia kontrybucji wojennej. — Otrzymuje to skutkiem stałości tak jego jak i rządu, rozwiniętej w tej okoliczności.—Traktat paryzki z 30 Maja 1814 roku. — Podczas układów o pokój zajmowano się również konstytucją. — Król nie chciał

powierzyć tej pracy radzie królewskiej i zajmował się nią sam z panami de Montesquiou, Dambray, Ferrand i Beugnot. — Skutkiem pobytu w Anglji miał król swe poglądy liberalne, lecz zacieśnione tym jednym warunkiem, aby wszystko wyłącznie pochodziło od władzy królewskiej.— Rozmaite kwestje jakie się podniosły. — Powolność króla ku wszystkiemu, zasady jego utrzymały się. — Projekt konstytucji oddany został dwom kommissjom, to jest z senatu i ciała prawodawczego. — Nową ustawę nazwano Kartą konstytucyjną.— Monarchowie sprzymierzeni nie chcą opuścić Paryża przed całkowitém wypełnieniem obietnic danych w Saint-Oen; przeznaczono 4 Czerwca na posiedzenie królewskie, na którém miała być zatwierdzona Karta. — Posiedzenie królewskie 4 Czerwca; szczęśliwe jego skutki. — Ogłoszenie Karty, wyjazd monarchów cudzoziemskich, ustalona konstytucja i Burboni.

Wyjazd Napoleona na wyspę Elbę oswobodził Burbonów od strasznego nieprzyjaciela, który pomimo że został pobity, przerażał jednak zwycięzkie mocarstwa. Ścięto wprawdzie głowę potworowi (tém imieniem nazywano wówczas rząd cesarski), ale pozostało ciało, którego rozproszone części poruszały Europę konwulsyjnemi swemi drganiami. Liczne oddziały wojska, które dotąd nie otrzymały żadnej wiadomości z Paryża, albo też żadną miarą nie chciały uwierzyć nadchodzącym, rozsypane były we Flandrji, Hollandji, Włochach, Delfinacie, Langwedocji, Hiszpanji. Pierwszém działaniem rządu tymczasowego było wyprawienie do nich ajentów, z uwiadomieniem o wejściu sprzymierzonych do Paryża, o złożeniu korony przez Napoleona i o powróceniu Burbonów na tron francuzki. Z niecierpliwością oczekiwano na skutek posłannictwa, gdyż rząd tymczasowy nie chciałby rozkazywać, a sprzymierzeni nie życzyli sobie rozpoczynać oblężenia twierdz takich, jak Strasburg, Moguncja, Lille, Antwerpia, Flessynga, Hamburg, Magdeburg, Wirtzburg, Palma-Nowa, Mantua, Aleksandrja, Genua, Lerida, Tortosa i wiele innych. Z niepokojem przeto oczekiwano na odezwanie się tych starych na odległych stanowiskach żołnierzy, na czele których Napoleon postawił wodzów dzielnych, poświęconych tak dla jego, jak Francji sławy. Ostatnie ich przeto czyny zasługują na uwagę historji i wybornie malują położenie opuszczone przez Napoleona, a podjęte przez Burbonów. Skreślamy je więc pobieżnie.

Znakomity Carnot bronił Antwerpji, podczas gdy waleczny i zdolny jenerał Maison napełniał swą działalnością i śmiałością kraj rozciągający się pomiędzy Antwerpją, Lille i Valenciennes. Przypomniemy sobie bezwątpienia, że Carnot, który z własnej woli pozostał obcym sprawom ce-

sarza i cesarstwa, skoro tylko ujrzał najechane granice Francji, bardziej sercem niż głową ocenił zagrażające niebezpieczeństwo sprawie rewolucyjnej i ojczyźnie, i napisał do Napoleona z ofiarowaniem mu *swego sześćdziesiątletniego ramienia*, nie dla pomocy, lecz dla przykładu jak się wyraził. Napoleon godnie przyjął tę patrjotyczną ofiarę i powierzył Carnotowi stanowisko, na którém był on niezrównanym, to jest obronę Antwerpji, tej najwspanialszej budowy cesarstwa, będącej zakładem bogactw morskich Francji i szańcem jej granic nad Skaldą. Carnot zaprowadził porządek w twierdzy, natchnął załogę uczuciem poświęcenia się bez granic i pozbawił nieprzyjaciela wszelkiej nadziei dostania tego, tak gorąco przez Anglików pożądanego, punktu inaczej, jak tylko za pomocą regularnego i długiego oblężenia. Pozostawiając nieprzyjacielowi barbarzyńskie środki bombardowania, Carnot wspólnie z admirałem Misiessy gotował się do obrony. Eskadrę pokryto ziemią i gnojem, osłonięto magazyny i miejsca najbardziej zagrożone, a następnie z bohaterską obojętnością przez długie dnie wytrzymywano grad bomb i granatów, przy bezustannem gaszeniu tu i owdzie ukazujących się płomieni. Oblegający po wyczerpaniu zapasów amunicji, zmuszeni zostali do ograniczenia się na prostej blokadzie; a Carnot, zaopatrzony w dostateczną żywność, jasno pokazał nieprzyjacielowi, że mu zarówno na cierpliwości jak i na odwadze nie zbywa.

Wojska czynne zamknięte w Antwerpji skutkiem nagłych poruszeń wkraczającego nieprzyjaciela, postawiły jenerała Maison w tém położeniu, że mu pozostało tylko do 6,000 ludzi do działań w całej Flandrji. W liczbie wojsk zamkniętych w Antwerpji znajdowała się wyborna dywizja młodej gwardji, silna na 4 tysiące ludzi i kilkaset koni, która mogłaby być wielką pomocą przy obronie granic. To też tak Carnot jak i Maison bezprzestannie przemyśliwali, jeden, aby się pozbyć tej dywizji, a drugi, by ją ściągnąć do siebie przez chmury nieprzyjaciół.

Jenerał Maison po szybkiém rzuceniu kilku bataljonów z zakładów i nieco żywności do twierdz: Berg-op-Zoomm, Ostendy, Dunkierki, Valenciennes, Maubeuge, Condé i Lille, na czele 5 do 6 tysięcy przebiegał od jednej do drugiej, oswobadzał już tę lub ową, niszczył od czasu do czasu oddziały nieprzyjacielskie i zatrudniał podjazdową wojną księcia Sasko-Wejmarskiego, który na czele 40 do 50 tysięcy żołnierza, nie był w stanie wyrugować Francuzów z tego labiryntu obronnych stanowisk (1).

(1) Napoleon znając tylko początek tej kampanji, gdyż wiedział jedynie o odwrocie z Brukselli ku Lille, często się skarżył na jenerała Maison. Zupełnie mówiłby co innego, gdyby miał czas ocenić najważniejszą część tej wojny, która wówczas rozbudziła podziwienie wszystkich wojskowych.

A podczas gdy jenerał Maison w ten sposób pokazywał prawdziwe cuda odwagi i działalności, inni dowódzcy zarówno okrywali się sławą, opierając się garstką ludzi znakomitym siłom. Jenerał Bizanet broniący twierdzy Berg-op-Zoom, siłami 2,700 żołnierza wynoszącemi, twierdzy, która wymagała do swej obrony przynajmniej 12-tysiącznej załogi, nie zdołał oprzeć się wojskom Grahama wspieranym przez poruszenia ludowe, a ztąd nieprzyjaciel wdarł się do miasta. Nie zmięszał się jednak tą klęską, uszykował szeregi, uderzył na kolumny angielskie i trupem z nich położył 1,500, wziąwszy do niewoli. 2,500 ludzi Książe Sasko-Wejmarski wysilał się zarówno przeciw miastu Maubege, bronionemu przez pułkownika artyllerji Schouller, stojącego na czele tysiąca gwardzistów narodowych i celników; ale też wysiłki nieprzyjaciela i na tym punkcie również poniżającego doznały przyjęcia, gdyż artyllerja jego została zdemontowaną, a żołnierze odparci w nieładzie od szańców.

Jenerał Maison, przemyśliwając bezustannie nad ściągnięciem do siebie dywizji Roguet, znajdującej się w Antwerpji, uchwycił ku temu stosowną porę, w chwili gdy nieprzyjaciel uderzał na Maubege. W tym celu skupił dywizje Barrois i Solignac silne razem na 6 tysięcy piechoty, jak niemniej dywizję jazdy Cestex liczącą 1,100 koni i na ich czele wyszedłszy z Lille pod pozorem spieszenia z odsieczą zagrożonemu Maubege, rozbił oddziały nieprzyjacielskie zajmujące Courtray; następnie udając, że je ściga w kierunku Oudenarde i Brukselli, rzucił się gwałtownie ku Gandawie, zdobył to miasto i zatrzymał się przed nim, oczekując tu na jenerała Roguet, którego o swém zbliżeniu się uprzedził. Uwiadomiony Carnot na czasie o czynach jenerała Maison, wyprawił z Antwerpji dywizję jenerała Roguet, który szczęśliwie doszedł do Gandawy, przyprowadzając około 5 tysięcy żołnierza wszelkiej broni. Wówczas liczne kolumny nieprzyjacielskie oblegające twierdze, zwróciły się na raz przeciw jenerałowi Maison, stojącemu skutkiem tych obrotów na czele 12 tysięcy ludzi, i skupiwszy pod księciem Sasko-Wejmarskim 30 tysięcy żołnierza, zamierzały odciąć odwrót wojskom francuzkim. Jenerał Maison nie stracił jednak ani chwili czasu, zwrócił się ku Courtray, na przebój uderzył przez korpus Thielmanna, i wybiwszy lub wziąwszy do niewoli z jego szeregów około 1,200 ludzi, wrócił po sześciodniowej tej kampanji z trjumfem do Lille, utworzywszy sobie nadto podczas jej trwania małą armję, gotową do rozpoczynania na nowo tak świetnych obrotów. W tej chwili i na tém to stanowisku, jenerał Maison otrzymał wiadomości z Paryża, urzędownie nadesłane przez rząd tymczasowy. Jenerał ten, dawny adjutant Bernadottego, stary żołnierz armji reńskiej, mało miał przywiązania do Napoleona; lecz pomimo ruchliwego swego charakteru obcym on był wszelkim

knowaniom i nie zdolnym do jakichbądź działań tajemnych, a ztąd kręcących się poprzednio do koła siebie ajentów Bernadottego odpędził, stanowczo grożąc rozstrzelaniem, jeżeliby który z nich ośmielił się powrócić. Obecnie jednak poznawszy, że przeznaczenie Napoleona było nieubłaganém, uwiadomił swe wojska o wypadkach zaszłych we Francji i radził połączenie się z nowym porządkiem rzeczy. Podwładni mu jenerałowie jednozgodnie potwierdzali tę radę, lecz za to w szeregach powstał okrzyk przeciw zdrajcom, jak mówiono, którzy poddali stolicę. Nie można było wytłumaczyć żołnierzom, że Paryż upadł skutkiem prostego następstwa rzeczy, skutkiem jedynie powodzeń wojny, gdyż rozchodzące się ciągle wieści o odstępstwach, coraz bardziej krzewiły nieufność ku wodzom, utrzymując w szeregach przekonanie, że Francja i Napoleon stali się ofiarami najczarniejszej zdrady. Starzy żołnierze z żalu, a młodzi skutkiem rozprzężonej karności zbuntowali się po prostu, dowodząc, że należy opuścić chorągwie zniesławione zdradą. Nieroztropne słowa: *nie ma poboru wojskowego, nie ma cel połączonych*, wyrzeczone przez hrabiego d'Artois, znalazły echo we wszystkich prowincjach. — Idźmy precz, wracajmy do domów, jednozgodnie powtarzali prawie wszyscy żołnierze. Kilkuset ludzi opuściło chorągwie w kilku godzinach. Jenerał Maison rozumiał, że każdy rząd potrzebuje mieć wojsko. Zgromadził więc żołnierzy i przemówił do nich; początkowo zdawało się, że słuchają energicznych jego przedstawień, lecz wkrótce okazało się, iż głos rozsądku nie znalazł do nich przystępu, gdyż tłumnie opuszczali szeregi. Wówczas zwołał oficerów i odezwał się do ich patrjotyzmu. Ci pojąwszy dobrze jego słowa, zwrócili się od siebie z przedstawieniami do podoficerów i starych wiarusów, i zdołali wielu przekonać. Tym sposobem utworzono zawiązek wojska z ludzi wiernych, przy których pomocy jenerał Maison zatoczywszy działa do główniejszych bram miasta Lille, oświadczył, że wykartaczuje każdą gromadę zamierzającą uciekać. Tak energiczne znalezienie się jenerała oddziałało na zbuntowanych żołnierzy i wprowadziło ich napowrót do szeregów. Armja flandryjska utraciła jednak skutkiem tych zaburzeń około dwóch z 12 tysięcy ludzi, lecz pozostała w postawie niezachwianej i można już było na nią liczyć.

Przykład jaki dał jenerał Maison był nieodzownym, gdyż zbiegostwo stawało się wówczas powszechną zarazą. Korzystając bowiem z rozdrażnienia starych żołnierzy przeciw tym, których nazywali zdrajcami, i usiłując nadto zwiększyć to usposobienie, rekruci tłumnie opuszczali szeregi dowodząc, że w takim stanie rzeczy nie pozostaje im nic więcej do czynienia i tym sposobem wpłynęli na starych swych towarzyszy, którzy uczuli w sobie chętkę do powrotu pod rodzinne strzechy. Zarówno

w wielkiej armji, którą Napoleon pozostawił w Fontainebleau, zaraza zbiegostwa rozwijała się w sposób zatrważający i Francja była już zagrożoną pozostaniem pod opieką żołnierzy cudzoziemskich, coby ją postawiło w opłakaném położeniu przy układach o pokój. Wielu z popleczników hrabiego d'Artois uważało za szczęście to rozpraszanie się wojsk cesarskich, lecz marszałkowie umieli ich przekonać o niebezpieczeństwie płynącém z braku siły zbrojnej. Marmont, główny sprawca rozprzężenia w wojsku, usiłując usprawiedliwić swój postępek gorliwością w sprawach wojskowych, pokazał się najżarliwszym w przedstawieniu w tym celu swych uwag rządowi i skłonił hrabrego d'Artois do bardzo znaczącego wystąpienia. Książe bowiem napisał list natychmiast ogłoszony do jenerała Maison, w którym dziękując mu za szlachetny postępek, oznajmiał, że donosi o nim Ludwikowi XVIII, jako o czynie zasługującym na szacunek i zaufanie monarchy.

Pomimo całej odrazy do Burbonów, Carnot umiał postąpić jak prawy obywatel, kiedy przystąpienie armji flandryjskiej do nowego rządu zostało już dokonaném. Zrozumiał on, że trzeba poddać się konieczności i zgodzić na powrót Burbonów, ponieważ ich tylko rządy były podówczas możebnemi. Ale też po przyjęciu i uznaniu Burbonów pozostawały jeszcze obowiązki względem Francji, a ztąd jeżeli można było otworzyć bramy Antwerpji wysłanników dawnej dynastji, to zupełnie przeciwnie rzecz się ta miała pod względem wydania jej nieprzyjacielowi. Na uwiadomienie Bernadottego o wypadkach zaszłych w Paryżu, i skutkiem tego na wezwanie do poddania Antwerpji sprzymierzonym, Carnot odpowiedział, że czyny nie są jeszcze tak wyjaśnione, aby wierny swym obowiązkom komendant twierdzy oblężonej mógł je uważać za zupełnie pewne, że zresztą choćby przyjął je nawet za prawdziwe, to i w takim razie powierzone sobie klucze twierdzy odda tylko posłannikom króla Francuzkiego. Po upływie dni kilku, gdy zaszłe wypadki żadnej już nie ulegały wątpliwości, Carnot uwiadomił o nich załogę, nakazał jej przypiąć kokardę białą i zalecił trzymać się stale aż do otrzymania rozkazów od Ludwika XVIII.

Gdy jenerałowie francuzcy rozłożeni nad Skaldą i Renem skarbili sobie wdzięczność kraju, postępowaniem zarówno rozsądném jak patrjotyczném, znakomity wojownik odznaczał się również w Westfalji cudami swej dzielności i stałości, aby utrzymać niezachwianie powierzone sobie stanowisko. Przypomnijmy sobie, jakim sposobem marszałek Davout znalazł się oblężonym w Hamburgu, z korpusem którym dowodził. Obowiązany do ustalenia porządku w powstałych prowincjach północnych Niemiec i do zapewnienia obrony Elby, nie dotykał osób karami przepisanemi przez Napoleona, ograniczył się na ściągnięciu nakazanej kontrybucji wojennej,

wysłał wielkiej armji do Drezna zapasy żywności i zasoby pieniężne na jej utrzymanie, i po poniesionej klęsce pod Lipskiem widząc, że z nim się nie łączy ani załoga Drezna, ani też żadna inna, stale osiedlił się w Hamburgu, z postanowieniem bronienia się w nim przeciw wojskom całej Europy i z zamiarem utrzymania tego ważnego stanowiska, które stawało się cennym zakładem przy układach o pokój, węzłem z Danją i składem ogromnych zapasów nagromadzonych przez Francję.

Zamknięty w Hamburgu w miesiącu Wrześniu 1813 roku, a od Listopada pozbawiony wszelkiej kommunikacji z Francją, marszałek Davout pozostał niezachwianym, postanowiwszy trzymać się, dopóki stanie mu żołnierzy, amunicji i żywności. Ku końcowi Listopada otrzymał dość niewyraźny rozkaz, pisany w połowie cyframi, a w połowie zwyczajnemi literami, a zalecający mu spiesznie na pomoc Hollandji, jeżeliby mógł tego dokonać, lub też w razie przeciwnym pozostanie w Hamburgu, strzeżenie tego miasta i zatrudnianie największej jak może liczby nieprzyjaciela. Wszystkie drogi do Francji i Hollandji zostały już przecięte, postanowił przeto drugą część rozkazu wykonać.

Pod rozkazami marszałka znajdowało się 40 tysięcy ludzi, którzy w jego ręku stali się wybornymi żołnierzami, lecz z których 7 do 8 tysięcy niedostawało w szeregu skutkiem chorób. Zaopatrzył się w dostateczną amunicję wszelkiego rodzaju i zgodnie z rozkazami Napoleona zamknął wałami i palisadami Hamburg, Harburg i wyspy na Elbie w urządzonych na obszerną skalę fortyfikacjach, do obrony których potrzeba było 100 tysięcy żołnierza i zdolnych inżynierów do naprawy uszkodzeń. Nie cofając się przed żadną koniecznością, ale też nie uprzedzając jej nigdy, odroczył aż do obsaczenia twierdzy zburzenie budowli utrudniających obronę; uprzedził mieszkańców o strasznej walce, jaką wytrzymać zamierzał; wezwał ich, aby postarali się o żywność i zarazem oświadczył, że każda rodzina pozbawiona środków utrzymania, zostanie wydaloną z Hamburga. Nakoniec, po ukazaniu się nieprzyjaciela rozkazał oszacować domy przeznaczone na zburzenie, poświęcił je natychmiast dla bezpieczeństwa twierzzy i z 80 tysięcy mieszkańców wydalił dwadzieścia, z powodu, że nie zaopatrzyli się w żywność. Ci nieszczęśliwi potrzebowali tylko przejść bramę, aby się znaleźć w neutralném i duńskiem mieście Altonie, zamieszkałém po większej części przez Hamburczyków, którzy dla wielkiej liczby wygnańców dostarczyli środków utrzymania. Wówczas marszałek zajął się obroną i w rozmaitych bitwach trupem położywszy 7 do 8 tysięcy Rossjan z korpusu jenerała Benningsena, zapewnił sobie spoczynek. W ten sposób przepędził zimę $18\frac{13}{14}$ roku, nie otrzymując żadnych wiadomości od rządu francuzkiego, lecz odbierając

liczne przez nieprzyjaciela, z których jedne były fałszywe, a drugie prawdziwe i bolesne. Nie zważając jednak ani na jedne, ani na drugie, postanowił trzymać się aż dotąd, dopóki cała Europa nie zwróci się na niego wszystkiemi swemi siłami.

Zawsze surowy lecz też akuratny i sprawiedliwy, postanowił płacić mieszkańcom za dostawianą dla wojska żywność, za wykonywane przy fortyfikacjach roboty, za konieczne do obrony zniszczenie domów, a płacić z kontrybucji, na którą miasto Hamburg zostało skazane skutkiem powstania w 1813 roku. Mając siłę w ręku był potężnym bezwątpienia i podobnie jak inni komendanci twierdz oblężonych mógł zaniechać zapłacenia szkód poczynionych przez siebie, bądź to w zniszczonych domach, bądź w zabranej żywności, bądź też w użyciu rąk do pracy, a w takim razie tylko niektóre osoby musiałyby ponieść cały ciężar wojny. Lecz prawość marszałka oburzała się na myśl, aby zwalić na kilka tylko osób ciężar, jaki dźwigać powinni byli wszyscy, zwłaszcza gdy kontrybucja wojenna w równym stosunku została rozłożoną w roku zeszłym. Uważał przeto za rzecz sprawiedliwą wynagradzać obecnie tych, których ramion lub też majątku potrzebował. Od czasu gdy szala niepowodzeń wojennych na stronę wojsk francuzkich przechylać się poczęła, Hamburczycy wzbraniali się płacić nałożonej na nich kontrybucji, dla tego zgromadził stan handlowy i oświadczył mu, że potrzebując pieniędzy na zapłacenie wszelkich służebności wymaganych od mieszkańców, zabierze na ten cel gotówkę banku, na której ubezpieczoną została kontrybucja, kiedy dobrowolnie nie chcą uiścić się ze swych powinności. Na oświadczenie swoje żadnej nie otrzymał odpowiedzi, więc dotrzymał słowa, zabrał zasoby banku na mocy sporządzonego formalnego protokółu, poświęcił znalezione 13 miljonów na potrzeby publiczne, nie uroniwszy jednego z nich zgrosza na obce jakie cele, i trzymał się dalej silnie w pośród kul nieprzyjacielskich i potwarzy Hamburczyków, którzy się oburzali na te tak zwane zbrodnie Francuzów, nie przypominając sobie bynajmniej postępku Anglików w Portugalji, gdzie palili domy, drzewa, zboże na pniu i pod karą śmierci zmuszali Portugalczyków, aby to dzieło zniszczenia własnemi wykonali rękami.

Zaskoczony marszałek Davout przez wojska rossyjskie i niemieckie, trzymał się w tej groźnej postawie ośm miesięcy, nie otrzymując żadnego rozkazu, ani też najmniejszej wiadomości ze swego kraju. W pierwszych dniach Kwietnia, jenerał Benningsen uwiadomił go za pośrednictwem Duńczyków o wypadkach zaszłych w Paryżu i wezwał o otworzenie bram miasta. Marszałek odpowiedział artykułem kodeksu wojennego dla oblężonych, artykułem, który zabrania podawać ucha wieściom rozszerzanym

przez nieprzyjaciela i dodał, że choćby nawet przypuszczał, iż monarcha jego mógł doznać niepowodzeń, to przecież jako człowiek honoru nie widziałby się uwolnionym od wykonywania swych powinności. Wówczas jenerał Benningsen nakazał nowy do miasta atak, wykonany pod chorągwiami Burbonów i rossyjskiemi. Marszałek strzelał zarówno do chorągwi białej jak i rossyjskiej i rozbił nacierających, o ciężkie przyprawiwszy ich straty. Pobity Benningsen powtórnie wszedł w układy za pośrednictwem Duńczyków, dawnych sprzymierzeńców Francji. Tą razą marszałek więcej okazał się skłonnym do porozumienia, oświadczył się z chęcią wysłania do Francji jenerała Delcambre, w celu powzięcia pewnych wiadomości o istotnym stanie rzeczy i przyrzekł, że uważać je będzie za prawdziwe, gdy pochodzić one będą ze źródła francuzkiego. Zgadzał się na to jenerał Benningsen pod warunkiem wydania jednej z ważnych fortyfikacji Hamburga, na co marszałek odmówną udzielił odpowiedź. Przybył nakoniec wysłaniec z Francji, krewniak marszałka, przywożący urzędowe zawiadomienia od rządu tymczasowego, skutkiem czego Davout zebrał w dniu 28 Kwietnia swe wojska, wynoszące jeszcze 30 tysięcy dobrze uzbrojonych i odzianych żołnierzy, którym oznajmiwszy o powrocie na tron Burbonów, rozkazał przypiąć białą kokardę z tém oświadczeniem, że tylko na wyraźny rozkaz Ludwika XVIII wyda zajmowane przez się stanowiska. Skutkiem więc tej godnej pamięci obrony, marszałek Davout zachował dla Francji nieoszacowany zastaw do wzajemnych ustępstw przy traktowaniu o pokoj, ocalił 30 tysięcy żołnierza, ogromne zapasy i honor chorągwi. Potwarze zaś, które interesowni w tej sprawie rozsiewali po całej Europie, a mianowicie we Francji, niezdolne są zaćmić podobnej zasługi. Do historji należy uświęcić ją swym bezstronnym sądem.

We Włoszech książe Eugenjusz walecznie stawił czoło marszałkowi Bellegarde i stanowczo odrzucał wszystkie przedstawienia sprzymierzonych, czynione za pośrednictwem jego teścia, króla Bawarskiego. Napolaon, jaktośmy widzieli, po wydanym mu rozkazie aby przyprowadził swe wojska do Francji, coby zupełnie mogło zmienić postać wojny, cofnął takowy na nieszczęście skutkiem bitew pod Montmirail, Champaubert i Montereau i zalecił pozostać we Włoszech, gdzie książe z powodzeniem się utrzymywał aż do chwili, w której Murat zaszedł mu na tyły. Stanowcze to wystąpienie szwagra cesarskiego, zmusiło księcia do oddzielenia dywizji Maucune celem powstrzymania nad rzeką Po Neapolitańczyków, których dzielny Maucune rozbijał wszędzie gdzie się tylko pokazali i niedozwalał na połączenie się z Austrjakami, aż do nadejścia do Medjolanu wiadomości o wypadkach zaszłych w Paryżu. Wówczas dopiero

książe Eugenjusz zgodził się na układy z marszałkiem Bellegarde i 16 Kwietnia podpisał zawieszenie broni na następnych podstawach: Rozsypane po Włoszech wojska francuzkie powrócą do Francji ze wszystkiemi honorami wojskowemi, zabierając z sobą wszelkie zapasy. Wojsko Włoskie pozostanie nad Po pod rozkazami księcia Eugenjusza i zajmować będzie wszystkie fortece, aż do póki mocarstwa sprzymierzone nie wydadzą o losie Włoch stanowczego postanowienia.

Po podpisaniu tego rozejmu, szlachetny człowiek, który został księciem skutkiem nadzwyczajnych wypadków, książe cudzoziemski, który nie przestał ani na chwilę być żołnierzem francuzkim, czułe napisał pożegnanie do rozłączającego się z nim na zawsze wojska i w zamian otrzymał o deń objawy najserdeczniejszego przywiązania i żalu. Następnie Francuzi pod rozkazami jenerała Grenier skierowali się ku Alpom, zabierając po drodze wszystkie załogi znajdujące się we Włoszech i doświadczając patrjotycznej boleści przy opuszczaniu tych krajów, w których tyle krwi rozleli, tyle sławy nabyli i tak słabo rzeczy utrwalili.

W Genui kilka tysięcy rekrutów pod wodzą jenerała Frezia, rozprawiało się o to miasto z Anglikami i z ludem genueńskim nawet, który pochlebiał sobie, że powstaniem przeciw Francuzom powróci do swej niepodległości. Zmuszeni do ustąpienia opuścili zarówno Włochy i skierowali się ku ojczyźnie podnóżami Alp Morskich.

W Delfinacie marszałek Augereau, który nie umiał bronić ani Franche-Comté, ani Lyonu, ani nawet własnej godności, odstąpił nad Iserę. Zaś jenerał Marchand, po daleko lepszej obronie Genewy i Chambery, cofnął się do Grenobli. Spiesznie nadeszła wiadomość w te strony o poddaniu Paryża, wstrzymała kroki nieprzyjacielskie skutkiem zawartego zawieszenia broni, rozciągającego się jedynie do wojsk i miejsc obecnych.

Zupełnie przeciwnie działo się u stóp Pirenejow, gdzie już to z powodu odległości, już i dla sił tam nagromadzonych, krwawa jeszcze toczyła się walka, piętnując te strony całą okropnością wojny, wówczas gdy wszędzie zamilkły już działa.

Marszałek Suchet, jaktośmy widzieli, został pozbawiony najlepszej części sił swoich na korzyść marszałka Augereau, który nic z niemi nie umiał zrobić. Mając więc tylko pod rozkazami kilka tysięcy ludzi, trzymał się z nimi pod Figuières, w zamiarze ściągnięcia francuzkich załóg z Katalonji, w zamian za uwolnienie Ferdynanda VII, jak to on sam przyrzekł. Nie mogąc jednak wymódz na Hiszpanach, aby chcieli się zgodzić na podobne przedstawienie, na wyraźny rozkaz Napoleona wypuścił Ferdynanda VII, zmuszony niemal będąc powierzyć wierne wykonanie trak-

tatu zawartego w Valençay, niepewnemu słowu nowego króla Hiszpańskiego i szlachetności Hiszpanów nadzwyczaj zachwianej skutkiem ich nienawiści do Francuzów. Wówczas to marszałek powrócił do Francji, z postanowieniem złączenia się z marszałkiem Soult, jeżeliby wypadki dostarczyły mu ku temu potrzebnego czasu i koniecznych środków.

Ten ostatni po stoczonej bitwie nad Orthez, do wygrania której potrzeba było tylko trochę więcej wytrwałości, cofnął się ku Tuluzie myśląc, że pociągnie za sobą lorda Wellingtona i że tym prostym obrotem zdoła zasłonić Bordeaux. Lord Wellington zupełnie nie troszczył się o swego przeciwnika, który był pewny że się z nim jeszcze raz spotka, lecz wziął Bordeaux, wydał je Burbonom i dopiero po dokonaniu tego ruszył za marszałkiem Soult, postępując po lewym brzegu Garonny.

Jenerał angielski liczył w szeregach 60 tysięcy ludzi, pomiędzy którymi znajdowało się wielu Hiszpanów i Portugalczyków ożywionych zwycięztwem i zostających pod wpływem przykładu i powodzeń, a ztąd prawie wyrównywającym wojskom angielskim, chociaż pod żadnym innym względem do nich nie byli podobni. Marszałek zaś Soult liczył tylko 36 tysięcy żołnierza, lecz wyborowego i napełnionego w tej chwili prawdziwém szaleństwém patryjotyczném. Na nieszczęście jednak, że marszałek zostając pod wpływem wypadków, nie miał już zaufania ani sam do siebie ani też do swej gwiazdy. Cofnął się więc do Tuluzy i umiejętnie się tu usadowił.

Znakomite to miasto, dzielące z Bordeaux i Marsylją wpływ moralny na południu Francji, koniecznem było do utrzymania tak pod względem wojskowym jak i politycznym. Położone będąc, z wyjątkiem przedmieścia Saint-Cyprien, na prawym brzegu Garonny, stawiło w konieczności jenerała angielskiego, działającego na lewym brzegu tej rzeki, jeśliby chciał na nie uderzyć, przedsięwzięcia gwałtownej i silnej wobec Francuzów przez rzekę przeprawy. Oględny w swych poruszeniach, dowodząc żołnierzami nie nazbyt do marszów zdolnymi i obciążony ogromnym pociągiem żywności, lord Wellington nie był w stanie śpiesznemi obrotami pokonać czujności przeciwnika, który postanowił wzbronić mu przejścia przez Garonnę. Tymczasem marszałek Soult pokładający całe swe zaufanie w stanowiskach, które zajął dokoła Tuluzy, nie zamyślał w cale walczyć o przeprawę na rozdzielającej ich rzece i pozostawił mu zupełną wolność rzucenia mostu w miejscu, w którembym zamierzał, bądź to poniżej, bądź powyżej Tuluzy. Przednie straże lord Wellingtona dotarły aż do ujścia rzeki Ariége do Garonny, weszły nawet do Cinte-Gabelle, już to w nadziei znalezienia na tej wyniosłości przeprawy daleko łatwiejszej, już z zamiarem zagrożenia linjom kommunikacyjnym marszałka Soult z mar-

szałkiem Suchet, by tym sposobem skłonić Francuzów do opuszczenia zajmowanych przez nich stanowisk. W takim stanie rzeczy lord Wellington sądząc, że nie jest wystawionym na niebezpieczeństwo, zamierzył przeprawić się przez Garonnę poniżej Tuluzy, to jest w Grenade.

W dniu 4 Kwietnia, to jest w dniu pierwszego zrzeczenia się tronu przez Napoleona, udało się jenerałowi angielskiemu, pomimo bystrego biegu wody, rzucić most łyżwowy wpobliżu Grenade, po którym przeprawił na prawy brzeg rzeki korpus marszałka Béresford. Zaledwie ten korpus znalazł się po drugiej stronie Garonny, gdy gwałtowne wezbranie rzeki, tak zwykłe w tej porze roku, uniosło most dopiero wzniesiony. Piętnaście tysięcy Anglików, składających najlepszą część wojska nieprzyjacielskiego, zostało tym sposobem wystawionych na ciosy francuzkie, i gdyby korpus ten został tu zniszczony, cała armja angielska wystawionąby była na prawdziwą klęskę. Jazda jenerała Soult (brata marszałka) była świadkiem tego szczęśliwego zdarzenia, jenerał d'Erlon dowiedział się o tém; jak jeden tak drugi donieśli natychmiast naczelnemu dowódzcy o tym niespodziewanym uśmiechu losu, tak nieprzyjaznym od dwóch lat dla Francuzów. Zniechęcony marszałek swemi niepowodzeniami, znajdując tylko bezpieczeństwo na silnych stanowiskach Tuluzy, nie ośmielał się na ich opuszczenie dla wyjścia przeciw Anglikom, których w przeciągu dwudziestu czterech godzin mógł dosięgnąć i wrzucić do Garonny. W tém przykrém położeniu cztery dni znajdowali się Anglicy; nareszcie wody opadły, lord Wellington odbudował most i wszystkie swe siły na prawy brzeg rzeki przerzucił. Dnia 9 Kwietnia zbliżył się do Tuluzy z zamiarem uderzenia nazajutrz na Francuzów i dla ostróżności rozkazał most swoj puścić z biegiem Garonny, chcąc sobie zapewnić odwrót na przypadek klęski.

Stanowiska zajęte przez marszałka Soult wiele przedstawiały korzyści. Garonna, która biegnie początkowo prostopadle ku Pirenejom, pod Tuluzą zwraca się nagle i utworzywszy tu zakręt, prawie równolegle od gór płynie dalej aż do morza. Pomimo że nieprzyjaciel przeprawiwszy się przez Garonnę, zagrażał więcej prawemu aniżeli lewemu brzegowi tej rzeki, marszałek jednak bardzo naturalnie postanowił bronić Tuluzy z obu jej brzegów. Na brzegu lewym, to jest w zakręcie wewnętrznym utworzonym przez Garonnę, gdzie się znajduje przedmieście Saint-Cyprien, wzniósł szańce z ziemi i wzmocnił je rzędem palisad, dotykającym obudwóch boków rzeki. Po za tą pierwszą linją obronną mur otaczający przedmieście, a zapatrzony w wieże i najeżony działami, tworzył drugą przeszkodę niepodobną do zwyciężenia. Nakoniec wprzypuszczeniu, że przedmieście Saint-Cyprien może być zdobytém, podminował most ka-

mienny łączący przedmieście z samém miastem, aby po cofnięciu się obrońców, gdyby tego konieczna zaszła potrzeba, powstrzymać nieprzyjaciela przyprawionego o wielkie straty w walce bezużytecznej. Jedna tylko dywizja była wystarczającą dla obrony tej strony i dla obrócenia wniwecz wszelkich wysileń wojsk angielskich.

Nie było więc prawdopodobną rzeczą, aby główny atak nieprzyjaciela skierowany został w tę stronę, w której tylko zdobycie jednego przedmieścia stanowiłoby korzyść zwycięztwa; nie ulegało zaś prawie wątpliwości, że Anglicy zechcą nacierać z prawego brzegu, gdzie łupem wygranej mogło się stać samo miasto. Z tej strony jednak przystęp nie był tak łatwym. Kanał południowy otaczający Tuluzę i łączący się z Garonną poniżej miasta, tworzył pierwszą linję obronną, o którą krwawo można się było rozprawić, mając zwłaszcza mur obwodzący miasto dla przedłużenia obrony. Brzegi kanału starannie zostały ufortyfikowane, mosty zasłonięte szańcami i podminowane. Kanał ten zasłaniał część północną Tuluzy. W kierunku wschodnio-południowym stanowisko było jeszcze silniejszém, gdyż przed kanałem znajdowała się linja wzgórzy, rozciągająca się od Pujade do Calvinet i najeżona wszędzie redutami i działami. Tutaj to marszałek Soult zostawił największą liczbę sił swoich i nie było prawdopodobném, aby nieprzyjaciel zamierzał o atakowaniu na prawdę którejkolwiek części obwodu, zanimby nie zdołał wyprzeć wojsk francuzkich ze wzgórzy. Musiałby bowiem zwrócić się w stronę południową, wystawiając podczas tego obrotu lewe skrzydło na ciosy wojsk francuzkich, poczém dopiero mogłby przejść kanał na prawém skrzydle i uderzyć na miasto przez przedmieście Saint-Michel. Ale i ztej strony marszałek przedsięwziął wszelkie środki ostróżności, zasłoniwszy przedmieście szańcami i artyllerją.

Marszałek Soult ustawił dywizję Maransin z korpusu jenerała Reille na lewym brzegu rzeki, na przedmieściu Saint-Cyprien. Było to dosyć, jaktośmy widzieli, na obronę tej części miasta. Uszykował główne swe siły na prawym brzegu. Dywizja Darricau z korpusu Drouet d'Erlona, rozłożona wzdłuż kanału przy moście, broniła miasta ze strony północnej. Dywizja Darmagnac z tegoż korpusu, zajmowała przestrzeń pomiędzy kanałem a wzgórzami. Dywizje Harispe i Villatte z korpusu Clausela stały na samych wzgórzach. Nakoniec po za wzgórzami i w rezerwach znajdowała się dywizja Taupin, tworząca pozostałą część korpusu jenerała Reille.

Lord Wellington postanowił wydać bitwę w dniu 10 Kwietnia zrana. Rozkazał jenerałowi Hill by na czele dywizji: Marray, Stewart i Morillo zaatakował Francuzów na lewym brzegu Garonny, wprost przedmieścia

Saint-Cyprien. Siły te były aż nadto wystarczające do tego podrzędnego działania w bitwie, do której resztę swych wojsk zgromadził na prawym brzegu rzeki. Tutaj to jenerał Picton na czele dywizji szkockiej miał za zadanie zdobywać przejście przez kanał na północy miasta, podczas gdy dywizja Alton w połączeniu z dywizją hiszpańską miała uderzać na wzgórze Pujade. Nakoniec marszałek Berésford dowodzący dywizjami Clinton i Cole był obowiązany postępować u podnóża wzgórzy, kierując się z północy na południe, starać się o zdobycie stanowiska w Calvinet i następnie zjawić się od strony południowej przed przedmieściem Saint-Michel. Przy marszałku tym zajdowała się nadto najwieksza część jazdy brytyjskiej.

Rano 10 Kwietnia jenerał Hill znajdujący na lewym brzegu, rozpoczął boj przed przedmieściem Saint-Cyprien z dywizją Maransin. Spotkawszy silny opór poznał, że stanowcze uderzenie mogło być tylko nadzwyczaj krwawe a bezużyteczne, gdyż główne działanie nie w tę skierowane było stronę, ztąd rozpoczętą walkę z wielką prowadził oględnością. Na prawym zaś brzegu, jenerał Picton śmiało uderzył na kanał. Dzielny Darricau, były dowódzca 32 pułku, który tak się odznaczył pod Diernstein, Hall i ostatecznie w Hiszpanji, bronił ze swą dywizją brzegów kanału. Kierując zręcznie szeregami po za tą linją obronną, odpierał wszystkie natarcia Anglików przez godzin kilka i pokrył całą długość kanału poległymi i rannymi Szkotami. W tymże czasie jenerał Freyre na czele Hiszpanów usiłował zdobyć wzgórze Pujade, które przytykało w części do kanału bronionego przez jenerała Darricau. Pomimo że przyjęci rzęsistym ręcznym i działowym ogniem, Hiszpanie śmiało postępowali naprzód aż do podnóża oszańcowania. Lecz stanąwszy tutaj, zaskoczeni zostali na prawém swém skrzydle przez jenerała Darmagnac, a ztąd nie mogąc się utrzymać w obec tych podwójnych uderzeń, odstąpili, pozostawiając po za sobą wielką liczbę poległych i rannych i byliby nawet zupełnie zniszczeni, gdyby lekka dywizja Alton nie nadbiegła im była z pomocą. Około południa Anglicy już do trzech tysięcy ludzi utracili i na wszystkich stanowiskach zostali odparci.

O godzinie 7 marszałek Béresford nastręczał wodzowi francuzkiemu szczęśliwą sposobność, do zakończenia bitwy stanowczą dla nieprzyjaciela klęską. Marszałek ten, przechodzący od północy ku południowi, wzdłuż podnóża wzgórzy zasłaniających część wschodnią stanowisk francuzkich, wykonywał w obec nich obrót skrzydłowy, niebezpieczny ale nieodzowny, gdyż dla zbliżenia się do Tuluzy musiał koniecznie maszerować ku południowi. Niebezpieczeństwo tego obrotu było tak wielkie, że gdyby uderzono na Anglików w właściwej chwili, to zostaliby wrzuceni w łożysko

błotnistej rzeczki Ers, która płynie równolegle od linji wzgórzy. Od ośmiu dni już to po raz drugi ale też i ostatni uśmiechnął się los Francuzom. Zgromadzeni do koła naczelnego dowódzcy jenerałowie: Clausel, Harispe i Taupin nalegali nań, aby uchwycił właściwą chwilę i wyrzucił główne swe siły na skrzydło śmiałego Béresforda, który poznawszy już niebezpieczne swe położenie, spieszył z ukończeniem obrotu. Marszałek Soult przepełniony wspomnieniami popełnionych błędów w obec Anglików, przez opuszczenie w niewłaściwym czasie obronnych stanowisk w zamiarze uderzenia na nich, obawiał się popełnić podobnego w obecném położeniu, wahał się więcej niż dwie godziny i postanowił dopiero powstrzymać marsz Béresforda wówczas, kiedy ten już ukończył obrót skrzydłowy i rozwiniętym frontem prosto postępował przeciw ostatecznemu prawemu skrzydłu stanowisk francuzkich, prosto ku Calvinet. Dywizja Taupin wyrzucona zapóźno, nie mogła z korzyścią dla siebie zająć wsi jednej, w której usadowiona długo mogłaby była się trzymać, ztąd zmuszona do gwałtownego uderzenia na nieprzyjaciela, przyjętą została z właściwą dzielnością Anglikom i na nieszczęście straciła dowodzącego nią jenerała w najważniejszej chwili. Pozostała tym sposobem na chwilę bez wodza i komendy, z czego skorzystali Anglicy i zdobyli reduty na wzgórzu Calvinet. Napróżno usiłowano wyprzeć ich ztamtąd. Jenerał Harispe wyrzucony został ze szranków walki, a marszałek Béresford zająwszy wzgórza na ostatecznem prawem skrzydle francuzkiém, ukazał się przed miastem w południowej jego stronie. Nieład powstał w odwrocie; Tuluza na chwilę była zagrożoną. Szczęściem kapitan grenadjerów 118 pułku, nazywający się Larouzière, zebrawszy swą kompanję za nasypem ziemi po nad kanałem, pochwycił Anglików ogniem dobrze kierowanym, zatrzymał ich na chwilę i tém samém dał czas dywizji Darmagnac do uszykowania się. Nieprzyjaciel został zmuszony do ograniczenia swych działań. A pomimo że na całej zresztą linji Anglicy zostali odparci zarówno dzielnie, to przecież otoczone przez nich stanowisko w stronie południowej nie mogło już być utrzymaném.

W takim stanie rzeczy stawało się koniecznością cofnąć całą armję ku murom Tuluzy, ze stałém postanowieniem walczenia do upadłego. Trzydzieści dwa tysiące żołnierzy pozostałych pod dowództwem marszałka Soult, tylko z wysileniem można było pokonać na podobném stanowisku. Ale też w razie klęski odwrót był już niemożebnym, przy wystawieniu nadto miasta Tuluzy na straszne koleje walki. Przeciwnie zaś, cofając się ku Carcassonne marszałek Soult mógł być pewnym połączenia się z marszałkiam Suchet, a obadwa wspólnie mogli wystawić siłę, przeciw której roztropny Wellington zaniechałby działań. Postanowił więc mar-

szałek bardzo rozsądnie przejść przez Tuluzę w celu pomaszerowania ku Villefranche. Bitwa ta przyprawiła Anglików o stratę do 5 tysięcy ludzi i zmniejszyła szeregi francuzkie o 3,500 żołnierza. Jak zawsze tak i dzisiaj wojska hiszpańskie walczyły nieszczęśliwie choć z bohaterstwem.

Wiadomość o wypadkach zaszłych w Paryżu przybyła nakoniec i tutaj. Przy większej nieco działalności rząd tymczasowy mógłby ocalić życie ośmiu tysiącom dzielnych żołnierzy, poświęconych bezużytecznie w sprawie już rozstrzygniętej gdzieindziej. Dopiero to w dniu 8 Kwietnia rząd tymczasowy domyślił się wysłać emisarjuszów do dwóch armji walczących u podnóża Pirenejów, gdy tymczasem o nich najwięcej powinien był pamiętać, jako o wystawionych na najkrwawsze starcia. Do spełnienia tego posłannictwa pan de Talleyrand wybrał pana de Saint-Simon, dodawszy mu za towarzysza oficera angielskiego, dla tém pawniejszego przebycia stanowisk nieprzyjacielskich. Oficer ten przeznaczony do usłużenia wysłańcowi w obec wojsk angielskich, czynił go podejrzanym wojskom francuzkim, które z uporem wszędzie upatrywały zdrajców. Zatrzymany w Orleanie, a następnie w Montauban przez Francuzów, nakoniec w Tuluzie przez Anglików, pan de Saint-Simon dopiero 14 Kwietnia przybył do obozu marszałka Soult. Marszałek ten zajął w Villefranche niezdobyte stanowiska, na których oczekując na armję katalońską pochlebiał sobie, że powetuje wkrótce swą klęskę na Anglikach. W takiém położeniu przybycie pana de Saint-Simon sprawiło mu niesmak, gdyż pomimo bolesnej, jaką przywoził nowiny, zatrzymywał go zarazem w chwili, w której prawie pewnego oczekiwał zwycięztwa. Obecność nadto pana de Saint-Simon wielkie wywołała wrzenie w szeregach, gdyż wojska hiszpańskie daleko więcej od innych korpusów przyjęte były rozpaczą starych żołnierzy. Pod natchnieniem tych wszystkich powodów, marszałek Soult opędzał się wszelkim wezwaniom przywiezionym z Paryża. Wyobrażając sobie nawet, że one mogły być łapką zastawioną przez nieprzyjaciela, chciał przytrzymać wysłańca rządu tymczasowego. Ten jednak umiał się wymknąć i udał się do obozu marszałka Suchet, który uznawszy wkrótce prawdziwość słów p. de Saint-Simon, i okazał się skłonnym do usłuchania rozkazów rządu tymczasowego, pod warunkiem jednak stanowczego potwierdzenia się przywiezionych wiadomości. Nastąpiło to niebawem, skutkiem czego zawarto zupełnie miejscowe, podobnie jak gdzieindziej zawieszenie broni, które wstrzymało kroki nieprzyjacielskie pomiędzy marszałkami francuzkimi a siłami nieprzyjacielskiemi najeżdżającemi Francję przez Pireneje.

Gdy tak w najodleglejszych stronach wojska francuzkie walczyły za sprawę cesarstwa, o upadku którego dotąd nie wiedziały, na granicach

Francji, a nawet przy bramach Paryża dzielni ludzie walczyli za ojczyznę aż do ostatniej chwili. Hrabia Marmier, pomimo że nigdy nie służył, uformował i wystawił swym kosztem legję gwardji narodowej ruchomej, usadowił się w Huningue i walecznie bronił tego miejsca przez całe pięć miesięcy. Ze swej strony dzielny Daumesnil, tak sławny pod nazwiskiem *Nogi drewnianej* (jambe de bois), zamknął się w Vincennes z postanowieniem pozbawienia nieprzyjaciela nagromadzonych tu w ogromnej ilości zapasów. Zagrożony prawami wojskowemi, jeżeli nie otworzy zamku, odpowiedział z swej strony groźbą wysadzenia go w powietrze i dopiął, że nie ośmielano się uderzać na niego. Jak wszyscy inni, tak i on poddał się dopiero utrwalonemu rządowi, który wyszedł z dokonanej rewolucji w Paryżu. Takim to sposobem zakończył się od Antwerpji aż do Hamburga, od Hamburga aż do Medjolanu, od Medjolanu aż do Tuluzy, od Tuluzy aż do Vincennes, wytrwały opor, jaki żołnierze francuzcy rozproszeni na mil setkach, stawiali zkoalizowanej Europie. I od tej dopiero chwili rząd nowy oswobodziwszy się od obecności Napoleona, pozbył się także oporu jego podkomendnych, którzy w końcu zgodzili się na uznanie Burbonów władzcami Francji.

Chociaż ustał już opór wojska, to przecież zaczęły rozbudzać się namiętności, a do ich pokonania najlepszą bronią była roztropność. Lecz czyż można było oczekiwać jej od Burbonów i ich przyjaciół, wracających do kraju po dwudziestu pięciu latach wygnania i cierpień? Straszne to pytanie zrodziło się w samym upadku cesarstwa.

Hrabia d'Artois wprowadzony do Paryża od dwóch lub trzech dni (wszedł 12 Kwietnia), był jakby odurzony zgiełkiem, który mógłby zawrócić daleko silniejszą niż jego głowę. Usadowiwszy się w Tuileries, nie umiał pohamować swej radości widząc się w podobném miejscu pobytu i chciał we wszystkich przelać swe zadowolenie jakiego doświadczał, starając się przekonać stronników cesarstwa, że nic nie zostanie zmienioném i przeciwnie emigrantów, którzy razem z nim wrócili po dwudziestu pięciu latach cierpień, że winniby być pełni radości, z powodu, iż umieli czekać. Lecz w pierwszych zaraz dniach powinien był spostrzedz, że łaskawe słówka nie są w stanie pokonać trudności położenia. Potrzebował adjutantów i należało wiedzieć z pomiędzy kogo ich wybrać. Przyjaciele księcia, którzy z nim z zagranicy powrócili, lub z kraju wyszli na jego spotkanie, żądali, aby wyższe polityczne urzęda pozostawić dla dostojników cesarstwa, a zostawić dla nich samych przynajmniej miejsca przy osobach królewskich. Lecz jakże można było szukać adjutantów gdzieindziej jak pomiędzy wojskowymi, jakżeż można było szukać wojskowych gdzieindziej jak w armji cesarskiej? Było to bardzo trudném

zadaniem, i pan de Vitrolles oceniający lepiej prawdziwy stan rzeczy, radził hrabiemu d'Artois, aby powołał na swych adjutantów kilku ze znakomitych oficerów cesarstwa. Książe usłuchał rady i mianował panów de Nansouty i de Lauriston, którzy odpowiadali najlepiej potrzebie, gdyż poważani byli w wojsku i zostawali w pokrewieństwie ze starą szlachtą. Wybór ten żywe sprawił szemranie pomiędzy przyjaciołmi księcia, sprowadził na p. de Vitrolles potok wyrzutów i rozbudził natychmiast nieprzyjazne usposobienia pomiędzy stronnikami dawnego i nowego porządku rzeczy, którzy skupiali się koło Burbonów. Hrabia d'Artois zajęty zupełnie powinszowaniami, odwiedzinami i rozmowami z monarchami, niewiele zważał na to zdarzenie i bezprzestannie okazywał swe zadowolenie, darząc wszystkich uściskiem ręki i obietnicami. Należało przecież zająć się sprawą nader ważną, a której nie można było załatwić giętkością charakteru, to jest tytułem jaki książe przybrał obejmując rządy. Tytuł jeneralnego namiestnika królestwa oznaczał sprawowanie władzy pod nieobecność króla. Ale jakżeż można było ośmielić się na przybranie tego tytułu w obec senatu, jedynej w tej chwili uznanej władzy, trzymającej się na uboczu od czasu złożenia Napoleona, nie chcącej przyjąć udziału w żadnej z ostatnich uroczystości i okazującej tak swą postawą, jak i odzywaniem się pojedyńczych członków, że nie uznaje władzy ani hrabiego d'Artois, ani samego króla nawet bez wyraźnego zgodzenia się na uchwaloną konstytucję? Zaledwie zdołano przekonać o tej trudności tak hrabiego d'Artois, jak i jego przyjaciół, gdyż zdawało się zawsze tym panom, że sama obecność, bądź to prawego monarchy, bądź też jego wyobraziciela, natychmiast zdoła usunąć wszelką inną powagę. Nie mogło nawet pomieścić się im w głowach, że po za obrębem władzy królewskiej może się znajdować inna, płynąca z woli narodu. Pan de Vitrolles służący zawsze za pośrednika pomiędzy rojalistami a rządem narodowym, pojął trudność położenia i wiedząc aż nadto, że rzeczy tej lekko zbywać nie można, starał się ją wyłożyć księciu, który zalecił mu załatwienie sprawy w porozumieniu z tymi, na których leżał ciężar kierownictwa rządami państwa.

Pomimo że publiczność nie zaprzestawała nieprzyjaznych względem senatu wyrażeń za jego niedorzeczne postępowanie, to przecież uważała go zawsze za jedyną rzeczywistą władzę; a podejrzywając, że Burboni nie chcieli się zgodzić na otrzymanie inwestytury od senatu, by stanąć w obec Francji w charakterze książąt samowładnych, po stronie tej władzy stanowczo stanęła. Wojska naśladowały ten przykład. Monarchowie zaś sprzymierzeni chcąc dotrzymać danego raz słowa, z powodu wewnętrznego przekonania, że innym sposobem pokój ustalony być nie może, głośno

oświadczali się za zdaniem narodu i senatu, aby Burboni powrócili do rządów na zasadzie liberalnej ustawy. Bez popełnienia przeto niedorzeczności nie można było zaprzeczać władzy senatowi, który nawet ze swej strony nie nazbyt wiele przysparzał kłopotów Przekonana z drugiej strony opinja publiczna o koniecznej potrzebie powołania Burbonów, oddawała się pod rządy tych książąt z niejakim pociągiem, który prawdziwym będąc u ogółu, coraz bardziej podsycał ambicję pojedyńczych osób, starających się niegodnym gardłowaniem wytargować dla siebie stanowisko w nowym porządku rzeczy. Powodzenia osobiste hrabiego d'Artois przy pierwszém jego wystąpieniu na scenę, wywierały także na ogół wpływ nie mały, a ztąd można się było spodziewać, że za dni kilka senat zostanie odosobnionym. Po jednej i drugiéj stronie były tak powodzenia jak i obawy klęski, a ztąd konieczne należało przystąpić do układów, gdyż one tylko mogły zapewnić korzyść tak jednym jak drugim. Lecz jak to się zwykle dzieje na świecie, przed zawarciem układów potrzeba było wylać potok słów gwałtownych, do ostateczności jednej lub drugiej broniących sprawy, a pan de Talleyrand unikając ciągle wszelkich trudności, tak skutkiem wrodzonego mu lenistwa jak i znudzenia obecnym sporem, nie był zdolnym sprowadzić pojednania pomiędzy stronami spornemi. Pozwalał więc na wszelkie rozprawy, spokojnie oczekując na zobopólne znużenie ścierających się i na jakiekolwiek rozwiązanie.

Najzdolniejszą do tego osobą, o której przybyciu do Paryża jużeśmy gdzieindziej wspomnieli, był książe d'Otrante, który w miejscu unikania szukał zawsze trudności, który nadewszystko lubiał ruch, knowania, działania w ważnych sprawach i który gorzko bolał nad tém, że skutkiem nieobecności utracił pierwszą rolę. Od czasu swego powrotu dał on już dobrze poznać swą obecność głośném narzekaniem na traktat z 11 Kwietnia i prawdziwej obecnie doznawał radości, widząc w tém poważnieniu pole, na którém mógł rozwinąć swą krótliwą i śmiałą czynność. Podzielał on zupełnie chęci senatu do ograniczenia Burbonów, gdyż jako królobójca więcej niż ktokolwiek inny potrzebował tego, ale też widząc kłopoty tego zgromadzenia i chcąc go z nich wyciągnąć, zamierzał zarazem oddać Burbonom takie usługi, któreby postawiły go silnie przy nowej dynastji. Zdolniejszym był on nadto od pana de Talleyrand do pokonania obecnych trudności, ponieważ był od niego obfitszym w pomysłach, ponieważ mniej się obawiał wystąpienia jawnego i ponieważ lepiej umiał kierować matactwami w łonie senatu. Wciskając się wszędzie, prawie się już usadowił pomiędzy członkami rządu tymczasowego, czemu pan de Talleyrand nawet się nie sprzeciwiał, gdyż potrzebował go oszczędzać i chciał się nim posługiwać.

Rząd tymczasowy w ustępstwie dla hrabiego d'Artois przeniósł się z ulicy Saint-Florentin do Tuileries, lecz i tu drzwi jego nie lepiej były zamknięte, stojąc otworem tak dla wchodzących z urzędu, jak i dla przynoszących rady, starających się o urzęda, a nawet dla próżniaków. Obecnie zajęty on był rozprawami z pewną liczbą senatorów nad najważniejszą kwestją chwili, to jest nad tytułem hrabiego d'Artois. Na obradach, gdzie pan de Vitrolles w imieniu księcia dowodził praw królewskości prawowitej, podniósł się gwałtownie pan Fouché i językiem pospolitym lecz pełnym zdrowego sądu i pewnym, jasno wypowiedział mówcy, że nie rozumiał wcale o co właściwie chodzi i oświadczył, że potrzeba koniecznie, by hrabia d'Artois otrzymał godność jeneralnego namiestnika, ale też aby otrzymał ją od senatu, który mu ją przyzna, skoro tylko książe zrobi pewne zobowiązania na rzecz ustawy ułożonej przez toż zgromadzenie. Pan de Vitrolles zarzucił brak pełnomocnictwa do zatwierdzenia konstytucji, którego hrabia d'Artois nie miał czasu otrzymać, a ztąd go obecnie nie posiada. Zarzut ten pan Fouché zbijał bardzo lekko. Powiedział bowiem, że trudność, którą pan de Vitrolles tak bardzo zdaje się być zakłopotanym, nie jest bynajmniej tak wielką, gdyż hrabia d'Artois znając bezwątpienia swego brata Ludwika XVIII i jego sposób myślenia, może z pewnością działać za niego i oświadczyć, że wiedząc o zamiarach króla, jest pewnym zatwierdzenia przez niego ustawy, jeżeli nie we wszystkich wyrażeniach, to przynajmniej w głównych jej zasadach. Nie ograniczył się na tém pan Fouché i natychmiast napisał wzór do zobowiązania, które przy wolności mniejszej lub większej zmiany w wyrażeniach, zawierało zupełne przystąpienie do konstytucji, bez podnoszenia kwestji potrzebnego ku temu pełnomocnictwa królewskiego. Według jego planu, senat miał udać się do Tuileries, gdzie hrabia d'Artois odczyta mu ułożoną deklarację, poczém zostanie przez senat uznanym w godności jeneralnego namiestnika. — Ale, powiedział pan de Vitrolles, kto może zaręczyć, że senat zgodzi się na podobne załatwienie sprawy? — Ja, odrzekł p. Fouché ze zwykłą swą pewnością. — Pan de Vitrolles, który nie widział nigdy pana Fouché, zdawał się pytać oczami obecnych, coby to była za znakomitość tak pewna samej siebie i ręcząca nawet za innych. Dowiedziawszy się z kim rozprawiał, uwierzył w jego zapewnienie, nie powątpiewał o skutku i nie okazywał przestrachu, że książe będzie obowiązanym królobójcy. Zgodzono się więc na przedstawiony projekt, poczém każdy ze swej strony zajął się przygotowaniem do tego kroku stron interesowanych. Pan de Talleyrand pozwalał działać panu Fouché, czyli jak zwykle się dzieje, czynność brała górę nad lenistwem.

Powróciwszy do hrabiego d'Artois, pan de Vitrolles zdał sprawę

księciu i jego przyjaciołom z całego posiedzenia, na którém rozstrzygnięto kwestję za działaniem p. Fouché. Zdarzenie to nie bardzo oburzało księcia. Upojony powodzeniami, oklaskami jakie zbierał wszędzie osobiście, uważał podnoszone trudności za drobnostki bez wagi, liczył, że czas wszystko urządzi i był gotów do zgodzenia się na wszystko, byle tylko w zamian otrzymał godność jeneralnego namiestnika. Lecz jego przyjaciele mniej roztargnieni zadowoleniem osobistém, oburzali się na to nieuznanie władzy prawej i uwielbianej w pewnym rodzaju, kiedy ta musiała się umawiać z inną, uważającą się za wyższą pod pozorem wyobrażania narodu. Zachcianki senatu nadzwyczaj ich oburzały i za żadną cenę ścierpieć ich nie chcieli. Pochlebiali sobie, że podobnie jak nad *chorągwią trójkolorową*, odniosą zarówno zwycięztwo nad tém, co nazywano *zasadami rewolucyjnemi*. Pan de Vitrolles zaś, ulżywszy sercu swojemu pomiędzy nimi, nie chciał dopuścić, aby popełnili jaką szaloną niedorzeczność, gdyż rozumiał dobrze potrzebę zakończenia tej sprawy. Cóż jednak robić w podobnym przypadku? Pozostać w Paryżu bez posiadania władzy legalnej, niemożebną było rzeczą; brać ją zaś w obec senatu a pomimo jego woli, stawało się również niepodobném, gdyż trzebaby było zniweczyć to zgromadzenie ogłoszeniem jego rozwiązania i zamknięciem sali posiedzeń: ale jakże wykonać podobne postanowienie? Zaciekłych rojalistów było ośmiu lub dziesięciu najwięcej w Paryżu, nie znali tu oni nikogo, nawet ani jednego urzędnika, któremu mogliby rozkazywać. Nie mieli oni żadnej siły na swe rozkazy, gdyż żołnierze Marmonta, jedyni którzy dotąd opuścili Napoleona, należeli do rządu tymczasowego. Gwardja narodowa przypięła białą kokardę z widoczną odrazą, a wojska sprzymierzone zostawały w ręku nazbyt liberalnego Cesarza Aleksandra. W podobném przeto położeniu chcieć rozwiązać senat i znieść rząd tymczasowy, stawało się szaleństwem, które doprowadziłoby tylko do olbrzymiej śmieszności, którego prawdopodobnie wyparłby się Ludwik XVIII, a które być może sprowadziłoby nawet wszystkie umysły ku chęci zaprowadzenia rządów pod rejencją Marji Ludwiki, gdyby kontrrewolucja na prawdę jaki zamach wykonać zamierzała.

Sam nawet hrabia d'Artois, lepiej oceniający rzeczy, oświadczył swym przyjaciołom, że nie może bez rozkazu swego brata, bez formalnego z jego strony zatwierdzenia wystawiać na grę tak niebezpieczną władzy królewskiej, tak cudownie zyskanej; że ztąd należy przyjąć inwestyturę z rąk senatu, pod warunkami jednak jak tylko można najlepszemi; ująć władzę królewską jak się da najprędzej i następnie sprawować ją jak najlepiej, aż do przybycia Ludwika XVIII, który usadowiwszy się na

tronie osądzi co czynić wypadnie. Zaimprowizowani doradcy hrabiego d'Artois widząc go skłonnym do poddania się okolicznościom, nie ośmielali się więcej stawiać oporu i zgodzili się na ustępstwo, zmieniając jednak wzór deklaracji napisanej przez pana Fouché, zmniejszając nadewszystko siłę zobowiązania wymaganego od księcia i wspominając tylko o najogólniejszych zasadach przyszłej ustawy. Po dokonaniu tej pracy pan de Vitrolles udał się do pana Fouché, którego mało obchodziła ta zmiana formy, kiedy grunt rzeczy pozostał i który skutkiem tego zajął się przygotowaniem senatu do przyjęcia ułożonej umowy.

Gdy tak zajmowano się temi sprawami, uwiadomiony Cesarz Aleksander o trudnościach, jakie tworzyła rada hrabiego d'Artois działaniom senatu, polecił panu Nesselrode rozmówić się z panem de Vitrolles i dać mu poznać zamiary monarchów sprzymierzonych. Dnia 14 Kwietnia z rana, podczas gdy senat zebrał się na posiedzenie, rozmówił się p. Nesselrode z panem de Vitrolles jasno i stanowczo. Minister rossyjski, którego słowa były proste, umiarkowane, lecz stanowcze, oświadczył panu de Vitrolles w imieniu swego pana i monarchów sprzymierzonych, że senatowi należy zawdzięczać wszystko, gdyż złożenie Napoleona i powołanie Burbonów; że bez tego zgromadzenia nie znalezionoby ani jednej władzy, z którąby można było traktować; że pomimo wszelkiego nań nastawania, senat mieścił w swém gronie ludzi prawdziwie światłych, najdoświadczeńszych, którzy mają znaczenie w kraju; że z kilkoma emigrantami nieznającymi Francji, Europy i ducha czasu, nie można panować nad narodem tak strasznym jakim jest francuzki; że ztąd trzeba się poddać warunkom senatu, które pomimo wszystkiego żadnej niedorzeczności w sobie nie zawierały; że pomimo wszystkiego tylko dwie obecnie istnieją siły: wojska Napoleona i 200 tysięcy bagnetów mocarstw sprzymierzonych; że wojska Napoleona tylko króla Rzymskiego pożądają, a 200 tysięcy bagnetów sprzymierzonych nie dadzą się użyć na powtórzenie 18 Brumaira przeciw senatowi, lecz przeciwnie na zabronienie czegoś podobnego; że to jest stałém postanowieniem, nad którém nie ma co rozprawiać lecz je podpisać.

Pan de Vitrolles wyszedł bardzo oburzony na ten wpływ cudzoziemski, którego jednakże sam szukał w Troyes i poniósł księciu sprawozdanie z rozmowy, do której był upoważniony. Podniesiono wielkie przeciw tej niesprawiedliwości krzyki, ale z poddaniem się losom oczekiwano na postanowienie senatu.

Zgromadzenie to w tymże samym dniu zebrane, wysłuchało przedstawień pana Fouché, popartych całym wpływem pana de Talleyrand. Nie działano tu jednak środkami prawemi, w celu otrzymania zamierzonych

naprzód skutków z tego posiedzenia, lecz starano się dopiąć zamiaru za pomocą podszeptów czynnych i zręcznych przywódzców, z pomiędzy których najruchliwszym był pan Fouché. Powiedział on senatorom, że potrzeba wyjść z tego stanu przechodniego i udzielić inwestyturę hrabiemu d'Artois na namiestnika jeneralnego, przy utrzymaniu jednak warunków poprzednio ułożonych, to jest ustawy napisanej przez senat i przysięgi króla na też ustawę.

Skłoniony namowami panów Fouché i de Talleyrand, senat uchwalił następne postanowienie, które dzięki jego stałości nie zostało tą razą wyśmiane.

„Na przedstawienie rządu tymczasowego i raport kommissji specjal-
„nej z siedmiu członków:

„Senat poruca J. K. W. hrabiemu d'Artois rząd tymczasowy Francji,
„z tytułem jeneralnego namiestnika królestwa, w tej nadziei, że Ludwik
„Stanisław Ksawery, powołany na tron Francuzów, zatwierdził kartę
„konstytucyjną.

„Uchwala senat, aby postanowienie dnia dzisiejszego, zostało przed-
„stawione przez pełne zgromadzenie senatu J. K. W. hrabiemu d'Artois.

„Postanowiono dnia 14 Kwietnia."

Po powrocie do Tuileries, pan de Talleyrand spotkawszy się z panem de Vitrolles powiedział mu, rzucając na stół niedbale tekst postanowienia senatu, że trzeba poprzestać na tém, gdyż dziś wieczorem senat przybędzie w celu wysłuchania deklaracji księcia i przeczytania mu swej uchwały. Pan de Vitrolles udał się do księcia i daleko mniej aniżeli wczoraj znalazł go powolnym. Dumna jasność wyrażeń, któremi poruczono mu władzę tymczasowo i warunkowo, napełniła go gniewem. Z gwałtownością odrzucił przedstawiony sobie papier, zawołał, że może tylko mianować panów senatorów, że ich nie zna wcale, że ich nie przyjmie i że będzie namiestnikiem królestwa na mocy swych praw a nie ich postanowienia. Tak książe daleko rozsądniejszy wczoraj od swych przyjaciół, mniej był dzisiaj od nich i każdy szalał z kolei. Konieczność jednak, która pokonała przyjaciół hrabiego d'Artois, zwyciężyła jego samego. Nie było więcej siły 14go niż 13 Kwietnia, nie miano wojsk, gdyż te słuchały Napoleona, gwardji narodowej posłusznej senatowi, żołnierzy cudzoziemskich wypełniających rozkazy cesarza Aleksandra. Zamyślano przeto o posłużeniu się ciałem prawodawczém, większą od senatu cieszącém się popularnością, ale też nie posiadającém tyle władzy. Badano kilku jego członków największy wpływ mających, lecz otrzymano tylko odpowiedzi bojaźliwe i niewiele rokujące. Zgromadzenie to zresztą tak mało liczyło swych członków w Paryżu, że nie możnaby było go zebrać. Spó-

źniono się nawet, gdyż senat miał przybyć i nie było już czasu na zrobienie hałasu. Odczytano więc deklaracyę wymaganą od księcia, zmniejszono o ile się dało zobowiązania, pozostawiając jednak grunt rzeczy, a nim była królewskość powołana pod warunkiem dania zapewnień temu, co otrzymało obecnie nazwę *karty konstytucyjnej*, to jest uznania rewolucji francuzkiej w tém wszystkiem, co w niej było prawném i godném szacunku.

O ósmej godzinie wieczór stawił się senat w Tuileries, mając na czele swego prezesa pana de Talleyrand.

Prezes senatu tak zdolny do działań, w których śmiałość należało miarkować wyszukaną grzecznością, zbliżył się do księcia i wedle zwyczaju wsparty na lasce, z pochyloną głową ku ramieniowi, przeczytał mowę wyniosłą i zręczną zarazem, w której tłumaczył postępowanie senatu nie usprawiedliwiając go jednak, gdyż ten nie potrzebował na teraz usprawiedliwienia.

„Senat, mówił, sprowadził powrót dostojnego Twego domu książe „na tron francuzki. Nauczony aż nadto przeszłemi i obecnemi wypadkami, pragnie wraz z narodem ustalić na zawsze powagę królewską, na spra„wiedliwym rozdziale władzy i na wolności powszechnej, jako jedynych „rękojmiach szczęścia i interesów ogółu.

„Przekonany senat, że zasady nowej konstytucji tkwią w sercu W. „K. Wysokości, nadaje Ci ustawą, którą mam zaszczyt przedstawiać, go„dność jeneralnego namiestnika królestwa, aż do przybycia króla, dostoj„nego Twego brata. W pełném uszanowania zaufaniu nie możemy lepiej „uczcić praw starożytnych, które odziedziczyłeś książe po przodkach.

„Mości książe, w tych czasach radości powszechnej, senat pomimo „obowiązku okazania spokoju w pełnieniu swych powinności, przejęty „jest niemniej uczuciami ogólnemi. Wasza Królewska Wysokość może „wyczytać to w naszych sercach, pomimo nawet umiarkowania z jakiém się odzywamy“... Do tych słów śmiałych i pełnych uszanowania, pan de Talleyrand dorzucił jeszcze zapewnienie wierności i dodał kilka oklepanych i poniżających wyrażeń niewolniczych, jakie się wówczas spotykały we wszystkich prawie ustach.

Książe odpowiedział mową naprzód już ułożoną: „Panowie, mówił, „dowiedziałem się o akcie konstytucyjnym, który powołuje na tron fran„cuzki króla, dostojnego brata mego. Nie otrzymałem od niego władzy „do zatwierdzenia konstytucji, ale znam jego uczucia i jego zasady i nie „obawiam się *zapewnić w jego imieniu, że podstawy jéj zatwierdzi* ..“ Po tém jasném zobowiązaniu się, mowa księcia wyliczała zasady przyszłej ustawy, to jest rozdział władz, podział rządów pomiędzy króla i izby,

odpowiedzialność ministrów, uchwalanie podatków przez naród, wolność druku, wolność osobistą, wolność wyznań, nieodwołalność sędziów, utrzymanie długu publicznego, sprzedaży tak zwanej narodowej, Legji honorowej, stopni i uposażenia wojska, zapomnienie przeszłości i t. d. Spodziewam się, dodał książe, że wyliczenie tych warunków was zaspokoi, ponieważ obejmują one wszelkie rękojmie dla zapewnienia wolności i spokoju Francji. Przemówienie to najpomyślniejszym uwieńczyło się skutkiem, czém zachęcony książe rozmawiał następnie poufale z niektórymi senatorami. Jeden z nich nie mógł nawet powstrzymać się od wykrzyknięcia: Tak, krew Henryka IV płynie w żyłach W. K. Wysokości. — Jego krew płynie rzeczywiście w mych żyłach, odparł książe; chciałbym też posiadać jego talenta, lecz w braku tych talentów posiadam jego serce i jego miłość dla Francji. — Słowa te gorące wywołały oklaski i zdawało się, że senat i książe stanowią dwie władze zupełnie pojednane. Po senacie przybyło także ciało prawodawcze, pożądające przystąpić do aktu, który się spełnił w jego oczach. Książe zwrócił doń kilka słów, okazujących iż przekłada je nad senat, gdyż dziękował za opór przeciw tyranji; podziękowanie, którego nie mógł zwrócić do senatu. Małe to pochlebstwo żywo uczute przez ciało prawodawcze, lecz zaledwie spostrzeżone przez senat, zniknęło w pośród zadowolenia powszechnego.

Zyskał więc książe powodzenie zupełne i rad był z tego nadzwyczaj. Sama myśl wystąpienia przed wielkiém zgromadzeniem, złożoném z najznakomitszych ludzi Francji, nabawiała go ciągle pewną obawą. Zachwycony przeto, że dobrze się znalazł, przy swej zwyczajnej żywości zdawał się zapominać o poprzednim gniewie. — Dalibóg, powiedział do swych szczerych przyjaciół, zobowiązanie nastąpiło, trzeba go będzie dotrzymać, a potem, jeżeli po upływie lat kilku dostrzeże się, że rzeczy nie będą mogły pójść tą drogą, zobaczemy jak sobie postąpić, aby je urządzić inaczej (1).

Od tej chwili mógł się uważać książe za prawnie sprawującego władzę królewską, przebrnąwszy dość zręcznie jednę z najważniejszych trudności obecnego położenia. W tém przypomniał sobie, że od dni piętnastu uniesiony prądem wypadków, działał zawsze za własném lub swych przyjaciół natchnieniem, a nie pomyślał zupełnie o Ludwiku XVIII. Nie można go tu było posądzać, ani o niedbalstwo, ani też o chęć przywłaszczenia sobie władzy, gdyż nie miał wolnej godziny na poświęcenie jej pamięci o posłuszeństwie dla króla i w każdém zdarzeniu ustępował tylko

(1) Są to powtórzone słowa przez p. de Vitrolles, stałego przyjaciela księcia

konieczności. Obawiał się jednak dowcipnego, zazdrośnego i uszczypliwego brata, a spostrzegłszy, że we wszystkiém co tylko zrobił od Nancy ani pomyślał nawet o poradzeniu się tegoż brata, który dla niego był królem nieograniczonym, prawie się przeraził. — A mój brat! zawołał, nie pomyślelismy o nim, o niczemeśmy mu nie donieśli. Cóż on na to powie? — Zdziwiony nieco pan de Vitrolles temi zgryzotami tak prostodusznemi i tak mało gruntownemi, odpowiedział, że książe uchwycił w pośród tego chaosu koronę, co było pierwszą wyrządzoną usługą, za którą Ludwik XVIII aż nadto będzie obowiązany; że następnie zupełnie brakowało czasu na odnoszenie się do Londynu; że szczerość w postępowaniu sama się okazywała; że co najwięcej, to dopiero teraz nadeszła chwila uwiadomienia króla o wszystkiem i że Ludwik XVIII przekona się, iż to rzeczywiście pierwsza chwila, którą można było dowolnie rozrządzać. Pozbywszy się przestrachu, hrabia d'Artois wybrał hrabiego de Bruges na wysłańca do Anglji, celem wyłożenia Ludwikowi XVIII co uczyniono, przedstawienia dla czego tak a nie inaczej działano, żądania rozkazów na dalsze postępowanie i urządzenia podróży króla do Francji.

Po objęciu przez hrabiego d'Artois władzy królewskiej, należało położyć koniec istnieniu rządu tymczasowego, bez oddalania jednakże tak ludzi którzy go składali, jak niemniej koniecznego ich wpływu. Odłożywszy bowiem na bok niewdzięczność, to nazbyt wielkim byłoby nierozsądkiem rozłączać się z nimi tak prędko i gwałtownie. Najprostszym sposobem do zadośćuczynienia wszelkiej przyzwoitości, było przemianowanie rządu tymczasowego w radę hrabiego d'Artois, gdyż książe ten pomimo nawet iż zupełnie był nieobznajomiony ze sprawami państwa, nie mógł się obejść bez rady. Rząd więc tymczasowy został przemieniony wradę rządu, wspólnie z księciem roztrząsającą wszelkie sprawy państwa. Ministrowie, którzy powiększej części doskonale zostali wybrani i niektórzy z nich zdolni do rządzenia Francją w każdym innym czasie, stali się ministrami króla, oczekując dopóki Ludwik XVIII nie powróci do Francji i nie zatwierdzi ich na stanowiskach.

Rada księcia bez wyjątkowo złożona z rządu tymczasowego, pod wieloma względami była jeszcze niezupełną. Brakowało w niej przedstawicieli wojska, gdyż nie można było brać za takiego starego Bernonvilla, dobrego oficera niegdyś, lecz tak już zapomnianego, że pełne chwały hufce od lat dwudziestu przebiegające Europę, nie mogły się w nim poznać. Myślano najprzód o dwóch osobach: o marszałku Suchet z powodu jego talentów wojskowych i administracyjnych i o marszałku Marmont z powodu oddanych przez niego usług sprawie królewskiej. Pan de Talleyrand nie życzył sobie mieć obok tak znakomitego człowieka jak mar-

szałek Suchet, a nikt nie miał ani odwagi ani też usposobienia łączyć się z marszałkiem Marmont. Ten nieszczęśliwiec, który myślał że najpierwsze czekają go godności za przejście na stronę rządu tymczasowego, stał się odrażającym dla starych towarzyszy i natrętnym dla swych nowych przyjaciół. Wojskowym, którzy przypisując odstępstwu 6go korpusu daleko więcej wpływu aniżeli ono miało rzeczywiście, podobało się myśleć a nadewszystko mówić, że tylko jedna zdrada mogła ich zwyciężyć; ztąd w chwili opuszczania Napoleona dla Burbonów starannie odznaczali oni linję, oddzielającą *zdradę* od *łączenie się*. To też im więcej mnożyło się łączących, tém więcej byli oni surowsi dla Marmonta, który tym sposobem stał się zdrajcą wcałem znaczeniu tego wyrazu. Nieszczęśliwy, spostrzegając przepaść w którą wpadł nie myśląc o tém, oburzał się na niesprawiedliwość losu. O ile więcej cierpiał o tyle był czynniejszym: już to na wszystkie strony się kręcił dla wyrobienia sobie ważnego stanowiska, już też dla oddania wojskom usług z własnej swej woli, co go szczególniej natchnęło zapałem do bronienia kokardy trójkolorowej i do przedsięwzięcia środków przeciw zbiegostwu żołnierzy. Nie oczyściwszy się jednak z postępku w oczach starych swych towarzyszy, coraz bardziej stawał się niedogodnym dla tych, którym oddał usługi, a to skutkiem bezprzestannej swej czynności, źle ukrywanych pretensji i prawie widocznego oskarżania o niewdzięczność, gdy nie działano wedle jego woli. Jego chełpliwość, lekkomyślność, jego odwaga nawet zwiększała jeszcze trudne jego położenie i stał się wielkim ciężarem dla stronnictwa, ktkremu zwycięztwo zapewnił. Straszny przykład dla tych wszystkich, którzy wczasach rewolucji usiłując wyjść po za obręb jasnych swych obowiązków, fałszywe tworzą dla się stanowisko. Wybor Marmonta na członka rady najwyższej rzeczywiście był niemożebnym i wspomniano o nim dla tego jedynie, aby powiedzieć, że nie podobna o nim myśleć. Powołano dzielnych ludzi, sprawiedliwego w wojsku używających szacunku, lecz nie zdolnych do wywierania wpływu politycznego, marszałków Moncey i Oudinot, którzy jedni zpierwszych połączyli się. Ci nowi towarzysze przypadali do smaku panu de Talleyrand, gdyż nie mogli go zaćmić. Zrobiono jeszcze jeden wybór zupełnie innej wartości, przez powołanie jenerała Dessoles, który nie okazywał natrętnych zachcianek. Od dawna uważano byłego szefa sztabu jenerała Moreau za odznaczającego się człowieka, i w tém mniemaniu tém bardziej się utwierdzono po kilkodniowych z nim stosunkach. Obdarzony on był pojęciem bystrém, rozległą nauką, niezależnym cherakterem i szlachetném a szczerém przekonaniem tego czasu, że odtąd należało szukać pod rządami Burbonów pokoju i rozsądnej wolności. Co więcej, jenerał Dessoles

umiał w dniach kilku nabyć zaufania u gwardji narodowej, która złożona z prawdziwego mieszczaństwa Paryża, wyznając zasady zdrowe i umiarkowane, stawała się dla nowego rządu prawdziwie pomocną siłą, stając pomiędzy wojskami cesarskiemi już pożeranemi żalem, a wojskami sprzymierzonych zależącemi od woli cudzoziemskiej. Jenerał Dessoles więc tak ze względu na gwardję narodową jak i dla własnych zalet, został powołany na członka rady królewskiej.

Pan de Vitrolles, który po oddaniu wielkich usług jako pośrednik pomiędzy chwilowemi potęgami i który nawet na prawdziwe narażał się niebezpieczeństwo dla sprawy królewskiej, nie życzył sobie być odrzuconym na bok jako zużyte i niepotrzebne już narzędzie. Stawszy się szczególnym ajentem i prawie przyjacielem hrabiego d'Artois, marzył o odegraniu pod Burbonami tej samej roli, w której występował p. de Bassano pod cesarstwem. Było to dziwném łudzeniem samego siebie, gdyż rola p. de Bassano, zasadzając się na obznajmianiu ministrów z wolą samowładnego pana, zniknęła razem z Napoleonem. Przecież p. de Vitrolles zainstalował się dobrowolnie na sekretarza rady królewskiej, w celu notowania obrad tej rady, co mocno niepodobało się panu de Talleyrand, który słusznie sądził, że w radzie rządu wypada tylko notować przelotne uwagi, często nawet sprzeczne z sobą, za pomocą których najstalsi nawet ludzie dochodzą do ostatecznych postanowień. Pan de Vitrolles jednak zabrał pióro w radzie królewskiéj, pomimo iż niejednokrotnie usłyszał, nie aby się oddalił, lecz aby nie pisał.

Niezaspokojono też wszystkich osobistych zachcianek poruszających się w około nowego rządu. Pozostał naprzykład ksiądz de Pradt, który wyobrażał sobie, że o tyle może być użytecznym o ile był swawolnym, o którym nikt nawet nie pomyślał aby mógł być ministrem i nikt nie chciał go mieć swym towarzyszem i którego skutkiem tych powodów w świetném pozostawiono odosobnieniu przez mianowanie wielkim kanclerzem Legji honorowej. Znajdowała się też inna osobistość, przez długi czas zażyła z Napoleonem, datując z nim swe stosunki od szkolnych jeszcze ławek, to jest p. de Bourrienne, który straciwszy od wielu lat zaufanie cesarza, odpłacał mu namiętną nienawiścią za doznaną niełaskę. W pierwszych zaraz chwilach rząd tymczasowy mianował go dyrektorem poczt i obecnie pozostawiano go na tém stanowisku, gdyż już na niem się znajdował i ponieważ wielki był kłopot wynaleść dla niego jaki inny urząd.

Posród tych wszystkich mianowań nie widziano jeszcze wielu członków tej emigracji, która powróciwszy w dwóch epokach, dawniejszej i obecnej, uważała rządy Burbonów nie tylko za tryumf, ale nadto za swe

dziedzictwo. Już kilku z nich przybyło z Anglji lub z prowincji i cisnęli się do koła hrabiego d'Artois, który nie mogąc dać im urzędów w rządzie państwa, ograniczał się na utworzeniu z nich swego rządu prywatnego, a w pewnym razie swej klijenteli osobistej. Mówiliśmy o panach de Montciel i de la Maisonfort, ludziach zasługi i wiedzy, z których jeden przybył z Franche-Comté, a drugi z Anglji i których nie należy mięszać z gromadą cisnących się w zamiarze skorzystania z każdej, jaka się nadarzy rewolucji. Hrabia d'Artois umieścił ich w Tuilleries, tworząc przy sobie rodzaj rady tajnej, całe jego zaufanie posiadającej. Jeżeliby hrabia d'Artois tylko podobne przy sobie umieszczał osoby, to pomimo niebezpieczeństwa płynącego z dwóch prądów w rządzie, złe przynajmniej w części dałoby się naprawiać przez zalety wybranych. Lecz gdy jego brat Ludwik XVIII skutkiem roztropności, lenistwa, pogardy, trzymał zawsze w oddaleniu ajentów rojalizmu, przybiegających bezustannie z Wandei lub Paryża do Anglji, przywożących kłamliwe wieści i nieuzasadnione nadzieje, to hrabia d'Artois skutkiem potrzeby mięszania się do wszystkiego otaczał się zawsze nimi, i obecnie tak już był przez nich obsaczony o ile czas na to pozwalał. Tuilleries zaczęło napełniać się ludźmi, którzy mu przypominali że to lub owo zrobili, że byli upoważnieni do wypełnienia tego lub owego zadania, nadzwyczaj niebezpiecznego wedle ich dowodzeń i którzy ofiarowywali na nowo swe usługi do spełnienia jakiegokolwiekbądź zlecenia. Jedni projektowali udanie się do departamentów w celu złożenia z urzędu prefektów lub podprefektów, obstających za rządem cesarskim, lub też puszczenia się w pogoń za członkami rodziny Bonapartych, aby im wydrzeć olbrzymie bogactwa, które jak mówiono uwozili. Inni zaś ofiarowywali swe usługi, jeżeliby przyjęte zostały, do oswobodzenia Francji od tyrana, który pomimo złożenia z tronu nie pozostawi ich nigdy w spokoju dopóki żyć będzie. Hrabia d'Artois niesłuchając, nie zastanawiając się nad tém co mu przedstawiano, przyjmował tych przybyszów, ściskał ręce wszystkim, nie zaprzeczał żadnemu domniemanych jego usług, nie powiedział nikomu że nie przypomina sobie aby go widział, przyjmował ofiary tak jednych jak drugich, nieszczędził im w zamian obietnic świadczących zarówno o jego dobroci jak o lekkomyślności, troszcząc się tylko o to aby odeszli od niego zadowoleni, zgoła zarówno przyjmował tak szlachetnych rojalistów, z przekonania wyznających swe zasady i niezdolnych do żadnego występku, jak i ludzi obciążonych zbrodniami w domowej wojnie. Wszystkim bez wyjątku zalecał cierpliwość, zapewniał że każdy zostanie wynagrodzony za swe czyny, że w pierwszej chwili zmuszony został do otoczenia się *ludźmi Bonapartego*, którzy wprawdzie oddali usługi, a ztąd należało dać

na to baczenie, lecz że nadejdzie kolej na czystych rojalistów, gdyż nie napróżno oni cierpieli i wyczekiwali przez lat dwadzieścia pięć.

Nie zdolny do czynienia z wiedzą złych czynów, lecz aż nazbyt zdolny do pozwalania na nie, hrabia d'Artois od pierwszych zaraz dni swego powrotu stał się środkiem ciężkości dwóch rządów, z których jeden porządny, złożony z dawnych urzędników cesarstwa, którzy sami złożyli mu władzę w ręce, a drugi bezładny, potajemny, pomimo iż wszyscy o nim wiedzieli, złożony z rojalistów ucisniętych za rewolucji a do nicości sprowadzonych za cesarstwa, z których jedni z szlachetnością prowadzili wojnę domową, gdy drudzy popełniali występki na jej rachunek. Działał więc pomiędzy jednym a drugim rządem, łaskawe pokazując oblicze obudwom, marząc o ich pogodzeniu, by ztąd wyciągnąć korzyść dla swej sprawy; odgrywał w ogóle podwojną rolę, pod ciężarem której musiałby upaść najśmielszy i najmądrzejszy człowiek.

Stan Francji przecież był opłakany i należało koniecznie pośpieszać z lekarstwem. W Franche-Comté, Alzacji, Lotaryngji, Szampanji, Burgundji, Flandrji panowało spustoszenie i przestrach. Wojska nieprzyjacielskie a szczególniej pruskie popełniały okrucieństwa, jakich wojska francuzkie, pomimo częstego popełniania opłakanych nadużyć w krajach podbitych, nie dopuszczały się nigdy, a przynajmniej nie w takim stopniu. Monarchowie sprzymierzeni zalecali z Paryża karność i ludzkość, lecz oficerowie sądząc, że można nie usłuchać podobnych rozkazów, i że w każdym razie takie nieposłuszeństwo pozostanie nie wiadomém lub też nie ukaraném, nie odmawiali sobie niczego i na wszystko pozwalali żołnierzom. Zabierali wszystko co im się podobało i coraz większych dopuszczali się spustoszeń. W Szampanji szczególniej, gdzie najbardziej wrzała wojna, wsie były w popiołach, ludność w ucieczce, kommunikacje poprzecinane, mosty pozrywane, drogi porozkopywane i zapełnione trupami. Pełni wściekłości wieśniacy, bez litości mordowali najezdniczych żołnierzy, skoro im tylko który popadł pod rękę. Władze cesarskie zastąpione zostały przez osoby, które się same na urzęda przedstawiły, lub pierwsze lepsze znalezione w tém miejscu, a które służyły tylko do wybrania tego co nieprzyjaciel zażądał, czyli do rodzaju zdzierstwa, lepszego jednak od rabunku. Z tym opłakanym widokiem łączył się jeszcze inny, który prawdziwe budził obawy. Wojska francuzkie, szczególniej oddziały największy mające udział w wojnie, stały w obec i bardzo blisko wojsk nieprzyjacielskich. Pierwszém ich uczuciem był pewien rodzaj zadawalniającej chęci skończenia wojny porządną rzezią; drugie zaś objawiało się w postaci żalu, lecz ten wkrótce ustąpił miejsca szalonemu gniewowi przeciw *zdrajcom*, którym

przypisywały nieszczęścia armji francuzkiej. Przy podobnym szale, bardzo łatwo mogły się rzucić na nowo na nieprzyjaciela, czego uniknięto tylko skutkiem tłumnego opuszczania chorągwi przez żołnierzy które przeszło jaktośmy mówili w zarazę powszechną. To też drogi przepełnione były oddziałami maszerującemi w szyku wojennym z bronią, pociągami i końmi, co zagrażało nowemu rządowi albo zupełném pozostaniem bez wojska, albo też możnością ujrzenia go nazbyt o kraj gorliwém, gotowém do rozpoczęcia dobrowolnie wojny.

W prowincjach, które ocalały od najazdu, władze niepewne, niespokojne, obawiały się już to opuszczenia Napoleona zawcześnie, już też oświadczenia się za Burbonami zapóźno, ztąd postępowanie ich było podwójne, niezdolne do utrzymania wzburzonej ludności. W środkowej Francji, kraju zwykle spokojnym trudności nie były tak wielkie. Ale za to w Wandei, w prowincjach południowych, wszędzie gdzie rojaliści i republikanie znajdowali się w obec siebie, słabość rządu stawała się prawdziwém niebezpieczeństwem. Nakoniec podatki zarówno jak i pobór wojskowy były potępiane. Na wzór hrabiego d'Artois, książe d'Angoulême w Gaskonji, a książe de Berry ukazał się w Normandji z okrzykiem: *Nie ma poboru wojskowego, nie ma cel połączonych!* Żądano aby ta druga obietnica spełniła się natychmiast i od Marsylji do Bordeaux wzbraniano się wnosić podatków pośrednich. Do uzupełnienia tego obrazu dodać wypada, że Anglicy wierni zwyczajowi prowadzenia tuż za wojskiem towarów, pokryli wybrzeża kanału la Manche, oceanu i morza Śródziemnego cukrem, kawą, wyrobami bawełnianemi, żelaznemi, które sprzedawane po cenach przystępnych groziły ruiną francuzkim kupcom i fabrykantom, gdyż pierwsi posiadali tylko w swych składach płody kolonialne obciążone opłatą celną 50%, a drudzy nieporównanie drożej od angielskich musieli sprzedawać swe wyroby. Przesilenie więc handlowe mogło się połączyć ze wszystkiemi klęskami zażartej wojny. Skarb nakoniec nie posiadał nawet ani jednego miljona w swych skrzyniach. W prowincjach najechanych kassy zostały wypróżnione przez nieprzyjaciela, a w prowincjach dokąd najazd nie dotarł przestały wpływać podatki.

Patrząc na kłopoty każdego nowego rządu powstałego z rewolucji, doznaje się pewnego przestrachu, gdyż zdaje się, że tylko genjusz zdolny jest do wydźwignięcia kraju z odchłani. Ale niekoniecznym jest i genjusz gdy dobra wola narodu wspiera rząd nowy przy pierwszém jego wystąpieniu, tak jak się to rozwija później, gdy już przeminą wszelkie trudności przechodniego położenia.

Rozesłano najprzód po prowincjach nadzwyczajnych kommissarzy, celem powiezienia jak nazywano wówczas *protokółów senatu* (les actes

du senat), obznajomienia z niemi, przyjęcia ich i wykonania, wypuszczenia z więzień księży lub rojalistów, położenia końca uciemiężeniom z przyczyny poboru wojskowego, uważnego zbadania władz miejscowych, jak prefektów, podprefektów, merów i przywiązania ich do sprawy Burbonów lub też złożenia z urzędu. Wybrano kommissarzy w duchu pojednawczym i w bardzo rozsądne zaopatrzono instrukcje. Wybor ich był mięszaniną *ludzi Bonapartego* (tak nazywano tych, którzy nauczyli się sztuki rządzenia w szkole Napoleona i którzy upatrzyli stosowną do opuszczenia, go porę) i wielkich niegdyś panów, dziś umiarkowanych i łaskawych jak to się zwykle dzieje przy pierwszej radości z tryumfu. Widziano tu zmięszanych: marszałka Kellermann wysłanego do 3 dywizji wojskowej (Metz); hrabiego Dejean do 11ej (Bordeaux); księcia Placencji, synowca arcykanclerza Lebrun do 14ej (Caen); pana Otto, dawnego dyplomatę do 21ej (Bourges); jenerała Marescot, towarzysza nieszczęśliwego jenerała Dupon do 20ej (Périgueux); hrabiego Juljana de Polignac do 10ej (Tuluza); hrabiego Rogera de Damas do 4ej (Nancy); hrabiego Augusta de Juigné, synowca byłego arcybiskupa Paryża do 7ej (Grenoble); hrabiego Brunona de Boisgelin do 8ej (Tulon); kawalera de la Salle, syna niegdyś gubernatora Alzacji do 3ej (Strasburg); hrabiego Aleksego de Noilles do 19 j (Lyon), i t. d. Tak różnorodne te osoby natychmiast puściły się w drogę spiesząc do departamentów, gdzie wiozły dobrą nowinę o powrocie Burbonów, przywróceniu pokoju, wolności konstytucyjnej, mając zarazem za zadanie pociągnąć umysły ku dokonanej rewolucji.

Spieszono z rozdzieleniem jak można najlepszém wojsk, które Napoleon zostawił w Fontainebleau i ze zmianą dowódzców budzących obawę. Rozproszono gwardję cesarską tworzącą skutkiem swego związku straszne ognisko i rozesłano po departamentach, gdzie ożywiający ją duch nie mógł być niebezpiecznym. Pozostawiono starą gwardję w Fontainebleau i wysłano młodą do Orleanu. Jazda gwardji została rozkwaterowaną w Bourges, Saumur, Angers; artyllerja w Vendôme. Korpus 6ty który skutkiem wpływu Marmonta i jenerałów dywizji odłączył się od sprawy cesarskiej, rozłożono w Rouen i okolicach. Korpus 7my Oudinota, złożony po większej części z wojsk hiszpańskich, skierowano do Evreux razem z jazdą hrabiego de Valmy. Korpus 11ty Macdonalda razem z jazdą jenerała Milhaud został wysłany do Chartres. Korpus 2gi jenerała Gérard wyprawiono do Nevers z jazdą jenerała Saint-Germain. Szczątki wojska polskiego zgromadzono w Saint-Denis celem oddania ich pod rozkazy cesarza Rossyjskiego. W tym samym celu ściągnięto Kroatów do Dijon dla oddania ich księciu Schwarzenberg, a Belgów do Saint-Germain zkąd mieli przejść pod rozkazy księcia Oranji. W podobném

rozłożenia wojska nie można się było obawiać starcia pomiędzy francuzkiemi a cudzoziemskiemi pułkami. Jenerał Maison, który tak się odznaczył w ostatniej kampanji, jak niemniej w sprawie utrzymania karności, postawiony został na czele wojsk we Flandrji. Marszałek Davout uchodził za upartego stronnika cesarstwa. Opór jego w Hamburgu oburzył monarchów sprzymierzonych; na wspomnienie jego imienia trzęśli się w Niemczech wszyscy nieprzyjaciele Francji; nie wahał się strzelać do chorągwi białej, ponieważ pokazano mu ją obok chorągwi rossyjskiej, a było to czynem, którego nigdy nie mógł przebaczyć rząd nowy. Jenerał Gérard wysłany został do Hamburga na zastąpienie marszałka. Dozwolono prowadzić dalej wojska powracające z Włoch jenerałowi Grenier bez wspomnienia jakie później otrzyma przeznaczenie. Marszałka Augereau pozostawiono w czasie pokoju przy dowództwie wojsk znajdujących się w Delfinacie, gdzie tak źle dowodził w czasie wojny, gdyż nie miał on usposobienia do poddania się Napoleonowi. Nakoniec co do marszałków Suchet i Soult postanowiono zgodnie z otrzymanemi o ich postępowaniu raportami. Według tych marszałek Suchet zachowywał się spokojnie i z umiarkowaniem, gdy marszałek Soult był upartym, nieprzyjacielskim, nad wszelką miarę przywiązanym do cesarstwa. Rozkazano przeto temu ostatniemu zdać dowództwo swego korpusu marszałkowi Suchet, który tym sposobem złączył w swym ręku dawne armje aragońską i kastylijską.

Nagła zachodziła potrzeba, stanowcze i spieszne pod względem wojskowym wydać jeszcze postanowienie. Chodziło o wyrzeczenie czegoś co do poboru wojskowego, prawa koniecznego a powszechnie w obecnych czasach potępianego. Pomimo nierozważnych obietnic książąt, rozsądnie wzięto się do ominięcia tej trudności i oświadczono, że wydawane postanowienia tylko na czas nieobecności króla mają moc obowiązującą, gdyż z należnego uszanowania władzy monarszej, wszelkie ważne urządzenia kraju pozostawiają się do przybycia Ludwika XVIII. Z powodu jedynie wielkiej dezercji z szeregów postanowiono, że spisowi z 1815 powołani do służby 1814 roku skutkiem zwyczaju pod rządem cesarskim uprzedzania poboru o rok jeden, mogą pozostać w domu, jeżeli dotąd nie weszli do pułków, lub też powrócić, jeżeli opuścili już swe gminy. Było to tylko niejakiém uprawnieniem czynu dokonanego. Liczono z wszelką słusznością, że wielka liczba żołnierzy powracających z Włoch, Hiszpanji, Niemiec, Rossji i Anglji, bądź to z rozproszonych załóg, bądź też z niewoli, wystarczy na utworzenie wybornej armji i daleko nawet większej aniżeli znajdowały się fundusze do jej opłacania.

Płacenie stawało się jedną z główniejszych trudności nowego rządu,

Napoleon w ostatnich dniach swego panowania ożywił skarb publiczny przez pożyczenie mu oszczędności ze swej listy cywilnej, gdy wszelkie fundusze były już wyczerpane. Ze 150 blisko miljonów, które zaoszczędził na rozmaitych swych listach cywilnych, pozostało mu, jaktośmy widzieli, 18 miljonów w Styczniu 1814, i z tych 10 miljonów znaleziono jeszcze w Orleanie razem z własnemi jego naczyniami, które wydarto z rąk Marji Ludwiki. Sprawcy tej wyprawy zamierzali zaprowadzić do Tuileries wozy naładowane temi 10 miljonami, któremi chcieli oddać hołd hrabiemu d'Artois. Zdobycz ta nienaruszona w samej rzeczy przyprowadzoną została aż pod same drzwi księcia.

Skoro tylko baron Louis dowiedział się o przeznaczeniu, jakie tym pieniądzom dać zamierzano, w najwyższym stopniu się oburzył. Obdarzony był on umysłem wyższym, napojonym najzdrowszemi zasadami skarbowemi, rozumiał bardzo dobrze wszystkie korzyści, jakie prowadzi za sobą kredyt i w okolicznościach, w których się znajdowano, on jeden był zdolnym do użycia z powodzeniem tej potężnej dźwigni. Z wysokością i głębokością pomysłów łączył on zamiłowanie ścisłego przestrzegania przepisów aż do namiętności. Z zapałem chwycił się on strony Burbonów, a to nie przez podzielanie zasad emigracji, lecz skutkiem szczerej żądzy rozsądnej wolności, której tylko od Burbonów wyczekiwał. Przecież, pomimo swego przywiązania do nowego rządu, skoro się tylko dowiedział o przywiezionych do Tuilleries 10ciu miljonach, których nieodzownie ten rząd potrzebował, nadzwyczaj się rozdrażnił niedostatkiem skarbu i nieprawném z pieniędzmi postępowaniem. Zgromadził więc znakomite osoby składające gabinet i radę księcia, doniósł im o popełnionym czynie i oświadczył, że jeżeli te 10 miljonów natychmiast do skarbu nie wpłyną, zażąda uwolnienia z wyszczególnieniem powodów. Usiłowano go uspokoić, poradzono aby się udał do księcia i starał się wyłożyć z umiarkowaniem i przyzwoitością prawa skarbowe obowiązujące od 1789 roku, i przyrzeczono że otrzyma zupełne zadosyćuczynienie.

Uspokojony nieco minister udał się do hrabiego d'Artois, zadziwił go śmiałością swych wyrażeń i znalazł skłonnym do zwrócenia pieniędzy, których książe nie myślał nawet przywłaszczać sobie, lecz które zamierzał użyć na korzyść swych nieszczęśliwych przyjaciół, dopóki mu nie wytłumaczono, że to był majątek państwa, konieczny zresztą na opędzenie pierwszych potrzeb rządu. Oprócz 500 tysięcy franków zabranych na utrzymanie domu księcia, zrabowane miljony odesłane zostały do skarbu publicznego.

Pieniężna ta pomoc zwłaszcza w monecie brzęczącej, przydała się bardzo nowemu rządowi. Nikt może lepiej od barona Louis nie zrozumiał

tajemnicy kredytu, polegającej na punktualném uiszczaniu się z przyjętych zobowiązań. Skłonności stronniczej, wspólnej prawie wszystkim czasom, do nie zwracania uwagi na zobowiązania swych poprzedników, nie brakowało na teraz u rojalistów, którzy mieli nawet chętkę nie uznać długów casarstwa i rewolucji. Lecz pan Louis jasno wypowiedział, że chociaż ma stały zamiar bronić ostatniego szeląga należnego skarbowi, to przecież nie będzie go bronił aż do zrobienia zawodu wierzycielom państwa, a ztąd postanowił zabezpieczyć wszystkie dawne długi bez względu na to, jaki był ich początek; dodał także, że musi koniecznie utrzymać wszystkie obecne podatki, nie oglądając się wcale na krzyki stronnictw i pospólstwa. Kilka słów bez zastanowienia w pierwszej chwili przez księcia wyrzeczonych, nie mogą stać się powodem do usuwania prawdziwych zasad skarbowych. Cła połączone i pobór wojskowy są koniecznemi, gdyż każdy rząd potrzebuje pieniędzy i wojska, skutkiem czego należy zdobyć się na odwagę do utrzymania tak koniecznych dla państwa dźwigni. Obecność hrabiego d'Artois, który najszczodrzej ze wszystkich książąt darzył obietnicami, bynajmniej nie wpłynęła na odważnego ministra, to też oświadczył, że jeżeli natychmiast nie zapadnie postanowienie utrzymania wszystkich zwyczajnych i nadzwyczajnych podatków, uchwalonych na rok 1814, nie można będzie sprawować rządów i ciężaru tego on na siebie nie przyjmuje. Ustąpiono tutaj żądaniu ministra, z tém jednak zastrzeżeniem, że skoro tylko król przybędzie, przedstawi mu się gruntowny i stanowczy raport pod względem podatków. Mógł więc p. Louis utrzymać tymczasowo cła połączone, z wyjątkiem niejakich ustępstw co do formy, poczynionych dla zaspokojenia namiętności obecnych. Tak naprzykład opłata zwana *cząstkową* (de detail) nałożona na handle trunków, zawsze sprawiała oburzenie w pospólstwie, ponieważ pobieraną była z szynków. Utrzymując ją p. Louis postanowił, że dla miast posiadających akcyzę, opłata *cząstkowa* może być zamienioną na opłatę *wejścia* (d'entrée). Zatwierdził również niejakie uproszczenia w opłacie nazwanej *ruchomą* (de mouvement), która się pobierała przy przewożeniu trunków. Oprócz tych błachych ustępstw, p. Louis był niezachwianym pod względem podatków i całą radę rządu dla swego zdania zyskał. Pan de Talleyrand i jego towarzysze uśmiechali się patrząc na tę gorliwość ministra skarbu, lecz pomimo tego uśmiechu dali przykład hrabiemu d'Artois do poszanowania tej tak rzadkiej namiętności dobra powszechnego. Hrabia d'Artois nieświadomy i pobłażliwy naraz, zapominający nadto swych obietnic, pozwalał działać tak radzie jak i ministrom, będąc bardziej usposobionym do słuchania ludzi, którzy przychodzili dowiedzieć się o tém, o czém ani on ani jego towarzysze niedoli zupełnie nie wiedzieli.

Ludzie zajmujący się interesami posiadają dar prędkiego ocenienia rzeczy i natychmiast obdarzają zaufaniem każdego, kto na nie zasługuje. Dowiedziano się wkrótce, że obecny minister skarbu zamierzył zapłacić wszystkie bez wyjątku długi prawnie zaciągnięte i dla podołania temu zadaniu postanowił utrzymać istniejące podatki, nie troszcząc się wcale o niepopularność, dla ustalenia kredytu państwa. Ustalił się więc kredyt jakby skutkiem czarów, dzięki przywróconemu już pokojowi, dzięki ministrowi, którego zasady były tak stałe i tak jasno wypowiedziane. Kapitaliści, ten pierwszy organ zaufania publicznego, poczęli wspierać barona Louis, który mógł uciec się do środków dotąd za niemożebne uważanych, to jest wystawienia biletów kredytowych z krótkim terminem wypłaty, czyli obligów królewskich.

Zwyczaj uświęcił dwa rodzaje długów w państwach teraźniejszych, to jest długów opartych na przeznaczonym funduszu, których papiery nie mają terminu wypłaty, i długów ruchomych, z bliskim terminem wypłaty, których kurs stosuje się do położenia kredytu. To też w Anglji i Francji istnieje renta wieczna i papiery *szachownicy* (de l'échiquier, w Anglji) albo *skarbowe*. Stracenie wziętości skutkiem bankructwa tak było wielkie za dyrektorjatu, że za czasów cesarstwa Napoleon nigdy nie mógł wypuścić papierów skarbowych. Początkowo posługiwano się obligami poborców jeneralnych, następnie pan Mollien bardzo trafnie utworzył kassę służbową (Caisse de service), której papiery zastąpiły miejsce obligów poborców jeneralnych. Były to rzeczywiście papiery skarbowe i tylko nie ośmielano się dać im tego nazwiska. W 1814 roku kassa służbowa do tego stopnia była zadłużoną, że ani jednego obligu nie można już było dodać do tych, które były w obiegu. Pan Louis jednak nie wahał się utworzyć nowego długu ruchomego, wypuszczając na 10 miljonów obligów królewskich z krótkim terminem wypłaty. Dzięki zaufaniu jakie obudzał minister, te 10 miljonów zostały przyjęte bez wstrętu. Otrzymano z rabunku w Orleanie 10 miljonów w monecie brzęczącej, podatki utrzymane, pomimo że nie wpływały obecnie w niektórych prowincjach, zasilały skarb ciągle, a ztąd można było w pierwszym miesiącu dostarczyć gabinetowi 50 miljonów, co pozwalało wprawić w ruch całą służbę państwa. Poruszyły się też wszystkie sprężyny rządu, a tém samém ożywił się kredyt, na którym jedynie rząd się odtąd opierał. A podczas gdy p. Louis pracował nad ustaleniem kredytu, przedsięwzięto zarazem stosowne środki do utrzymania porządku publicznego, który był główną zasługą finansów cesarskich, i nakazano wedle dawnego zwyczaju przedstawiać radzie wykaz potrzeb na miesiąc następny, celem rozpoznania go i zatwierdzenia koniecznych funduszów.

Skarbowość, która najtrudniejszém była zadaniem nowego rządu, przełamała pierwsze lody dzięki zręcznemu i dzielnemu ministrowi, dźwigającemu na sobie cały jej ciężar. Należało jeszcze w tej części służby podołać ważnej trudności, która zrodziła się z nadzwyczajnego położenia handlu i którąśmy już gdzie indziej szczegółowo określili. Jeżeli skutkiem blokady lądowej Napoleona, nie powiodło się dla braku cierpliwości pokonać Anglików, to przynajmniej założone zostały fundamenta dla przemysłu francuzkiego. Przędzalnie i warsztaty tkackie tak bawełniane jak i lniane, fryszerki i kuźnie żelaza zadziwiające uczyniły postępy. Wyrób cukru z płodów właściwych Europie i farbowanie materji środkami chemicznemi niemniej zadziwiająco się rozwinęły. Wyroby francuzkie mogły już znajdować się na wszystkich targach, a choć ustępowały wcenie, to zato wytrzymały porównanie, a nawet przewyższały niekiedy towary angielskie. Napoleon chcąc zadać cios tak handlowi jak i przemysłowi Wielkiej Brytanji, nie ograniczył się na zakazie wprowadzania wyrobów z rękodzielni angielskich, lecz poddał zarówno pod to prawo płody przywożone pod pawilonem brytyjskim, jak bawełnę surową, indigo, drzewo farbierskie, cukier, kawę, i t. p. Następnie w roku 1810 dodał do zakazu głośną taryfę, na mocy której wszystkie te produkta opłacały 50%. Rękodzielnie francuzkie mogły przecież ponosić tę opłatę, ubezpieczone przeciw konkurencji angielskiej zupełnym zakazem. Po przytoczaniu tych szczegółów zrozumiemy bezwątpienia, jakie zamieszanie musiało zrobić w świecie handlowym niespodziane naprowadzenie na brzegi francuzkie angielskich towarów. Cukier, kawa, bawełniane wyroby i t. p. przedmioty, tak gorąco pożądane przez ludy stałego lądu, rozlały się w całej obfitości po Niemczech w 1813, a w 1814 roku wkroczyły do Francji za wojskami mocarstw sprzymierzonych. Przeszły Ren, Skaldę i Meusę, krok za krokiem postępując za koalicją, lub też bardzo prosto zjawiły się na wybrzeżach, gdyż porty francuzkie nie oglądając się na żadne rozkazy z Paryża, śpieszyły z przyjęciem pawilonu brytyjskiego. Wynikło ztąd, że płótna francuzkie musiały walczyć z angielskiemi, które tę przynajmniej korzyść miały, że nie potrzebowały opłacać 50% na sprowadzanych do ich wyrobu produktach. Kawa angielska kosztująca w Londynie 28 sous i w portach francuzkich oddawana po 38, znalazła się w obec kawy francuzkiej, która do tej ceny musiała dodawać jeszcze 44 sous cła opłacanego skarbowi, a ztąd nie możebną była do sprzedania, gdyż sprzedający musiał żądać od kupującego więcej jak 4 franki. To samo działo się z cukrem i ze wszystkiemi płodami kolonjalnemi. Jeżeliby nastąpił pokój bez pomocy najazdu cudzoziemskiego, wówczas możnaby stopniowo urządzić sprawy handlowe, dając czas

kupcom do pozbycia się towarów, od których wysokie cło opłacili. Lecz podwójny najazd żołnierzy i towarów zagranicznych nastąpił jednocześnie i trzeba było znosić skutki tego podwójnego nieszczęścia i nie pogorszać złego utrzymywaniem nadal taryfy nieodpowiedniej. Potrzeba było naprzykład uwolnić zupełnie od cła bawełnę surową, aby tym sposobem warsztaty francuzkie łatwiej wytrzymały walkę z wyrobami angielskiemi. Od kawy, cukru i płodów kolonjalnych w ogóle, stosownie należało obniżyć cło w ten sposób, aby handel francuzki mógł tu współzawodniczyć z brytyjskim. Tym sposobem od kawy płaconej w Londynie 28 sous za funt, można było oznaczyć cła 6 sous, coby ją podniosło do ceny 34 sous i pozwoliło walczyć z angielską, sprzedawaną w Paryżu po 38 od czasu wejścia tu nieprzyjaciela. Bez środków podobnych targi francuzkie zaopatrywaneby były tylko przez defraudantów, którzy za ceny najniższe sprzedawaliby towary weszłe do Francji za nieprzyjacielem.

Powody te jasno wymotywowane, posłużyły do wydania postanowienia obniżającego tymczasowo taryfę. Postanowieniem tym gabinet zawiesił cło od bawełny i innych płodów pierwotnych, a o siedm ósmych zmniejszył je na kawie i cukrze, przyrzekł ustanowić linję celną, skoro tylko wojska sprzymierzone opuszczą Francję i oznajmił zarazem o ogłoszeniu we właściwym czasie nowej taryfy celnej, która będzie wstanie zabezpieczyć wyroby francuzkie od konkurencji z zagranicznemi, skutkiem nizkiej opłaty od płodów surowych, bez obciążania zarazem innych towarów kolonjalnych większą opłatą nad konieczne potrzeby skarbu.

Środki te jakkolwiek bardzo rozsądne, nie zabezpieczały zupełnie francuzkich miast przemysłowych, które obawiały się pod rządami książąt przybyłych z Anglji nadzwyczajnych łask dla handlu brytyjskiego. Zmniejszały one jednak niedolę obecną, a ztąd niepokój o przyszłość i budziły nadzieję, że rząd z rozsądném obliczeniem w sprawie tej postąpi, skoro tylko okoliczności pozwolą na stanowcze urządzenie prawodawstwa handlowego.

Do środków tych interesu ogólnego, dodano także środki szczegółowe na dźwignięcie z niedoli prowincji zniszczonych przez wojnę. Wysłano urzędników w celu odbudowania mostów zerwanych, naprawy dróg popsutych, pogrzebania poległych, przywrócenia biegu poczt, ustalenia porządku, czyli jedném słowem dla poprawienia bytu materjalnego prowincji. Zasmucona ludność nieszczęściami kraju, lecz pocieszona przywróceniem pokoju, zaczynała nabierać zaufania do Burbonów i ze wszystkich się stron zbiegała, ofiarując swe ramiona do wykonania rozkazów nadeszłych z Paryża. Jeżeli jednak pokonano główne trudności, przynajmniej w prowincjach, z których ustąpił już nieprzyjaciel, to zupełnie

działo się przeciwnie w tych, które dotąd zajmował. W tych bowiem spotykano zawsze zaporę w wojskach cudzoziemskich, sprawujących władzę samowładną i popełniających nadużycia wszelkiego rodzaju. Nie ograniczały się one na rabunku zamków, niszczeniu chat wieśniaczych, znieważaniu kobiet, lecz opanowywały i własność państwa, starając się sprzedawać na swą korzyść lasy, magazyny solne, metale znajdujące się w arsenałach. Łupieztwo powszechne, prywatne i publiczne, było na porządku dziennym, a pomimo że niszczyło ono kraj, to nadto do rozpaczy przyprowadzało ludność i źle ją usposabiało dla nowego rządu, uważanego niesłusznie za sprzymierzeńca i wspólnika cudzoziemców.

Z całych sił wołano przeto o wycofanie wojsk cudzoziemskich. Przybyły one, jak mówili ich jenerałowie przy przechodzeniu Renu, nie dla poniżenia, lecz oswobodzenia Francji. Napoleon został zwyciężony, rozbrojony i już wyjechał, Burboni powszechnie zostali uznani, więc z jakiegoż powodu pozostają one jeszcze we Francji?

Sprawiedliwe to dowodzenie, tém bardziej uderzające na widok doświadczanych klęsk przez ludność, przeniknęło wszystkie umysły i jednozgodny okrzyk doszedł do ministrów, a od ministrów do księcia sprawującego rządy królewskie we Francji, żądając natychmiastowego wycofania cudzoziemców z ziemi francuzkiej. Żądanie to tak proste, tak powszechne, tak zasługujące na względy, było jednak nierozważném. Czyż można było bowiem mówić monarchom o ustąpieniu z Francji, bez natychmiastowego wywołania z ich strony żądań, aby Francuzi podobież opuścili zajmowane stanowiska na obczyznie. Otoż stanowiska te, były to fortece jak Hamburg, Magdeburg, Texel, Flesinga, Berg-op-Zoom, Antwerpja, Mons, Luxemburg, Moguncja, Lerida, Tarragona, Figuières, Girone, napełnione znacznemi zapasami, a niektóre z nich wspaniałą flotą. Czyż było możebnem mówić do Austrjaków, Rossjan, Prusaków, Anglików, aby opuścili Szampanję, Lotaryngię, Alzację, Langwedocję, bez natychmiastowego z ich strony żądania, aby Francuzi opuścili pierwszorzędne wierdze, które nie są dla nich przeznaczone? Byłoby bardzo niedogodną rzeczą pozbawiać się tych kosztownych zastawów przy układach o przyszły pokój. Warunki tego pokoju nie mogłyby wprawdzie być bardzo tzmienione, gdyż zasada granic z 1790 roku do tego stopnia została już przyjętą, że tylko zwycięzka szpada Napoleona mogłaby ją jedynie rozszerzyć. Ale też zgadzając się na opuszczenie prowincji Nadreńskich i Belgji, to jest Renu i Skaldy, pozostawała jeszcze pomiędzy temi rzekami a granicą z 1790 roku piękna linja graniczna dla Francji, jak to zobaczymy wkrótce, granica, którą można było wytargować traktując ze stałością a cierpliwie, w imieniu Burbonów, w imieniu przychylności jaką budzili,

w imieniu żądzy jaką pałano, aby uczynić ich popularnymi. Środkiem do powodzeń w układach było bezwątpienia zatrzymanie wzmiankowanych zastawów, gdyż łatwo można było wyobrazić sobie kłopot, jakiegoby doświadczyli monarchowie sprzymierzeni, gdyby im siłą przyszło zdobywać Hamburg, Magdeburg, Antwerpję, Moguncję i t. p. twierdze. Więc czyż było możebném, powtarzamy raz jeszcze, żądać opuszczenia Francji, bez wywołania w tejże samej chwili podobnej kwestji ze względu na zajmowane przez Francuzów stanowiska po za ich dawnemi granicami? Widocznie że nie, gdyż nieznalazłby się negocjator, któryby za usłyszeniem pierwszego żądania nie wystąpił natychmiast z drugiém.

Można było wprawdzie zezwolić na opuszczenie twierdz odległych, jak Hamburga, Magdeburga, Texel, Flesingi na północy; Léridy, Taragony, Figuières, na południu; starając się jednak o zatrzymanie Antwerpji, Moguncji, Luxemburga, Mons, jako nazbyt zbliżonych. Lecz mocarstwa sprzymierzone widziałyby w tém zamiar odsunięcia zasady granic z roku 1790, a ztąd ani słuchałyby o częściowém opuszczeniu fortec, żądając bezwątpienia ustąpienia ze wszystkich.

Najstosowniej więc było uzbroić się w cierpliwość i czekać jeszcze jeden lub dwa miesiące, żądając tymczasem od Cesarza Aleksandra i jego sprzymierzeńców dokładnych rozkazów, aby nie tak okrutnie obchodzono się po prowincjach. Jeżeliby nawet w pośród tych dolegliwych cierpień umiano zaatanowić się, to z wszelką łatwością możnaby było wyrachować, że po natychmiastowém nawet podpisaniu traktatu wyprowadzenia wojsk cudzoziemskich z Francji, nie ruszą się one przed dwoma miesiącami, i że przed dwoma miesiącami, jak można było sądzić z wypadków, pokój może być już podpisany. Król wprawdzie był nieobecny, ale kiedy ta jego nieobecność nieprzeszkadzała wydaniu pierwszorzędnych fortec europejskich, nieprzeszkodziłaby zarówno rozprawom nad podstawami pokoju. Boleść nie rozumuje przecież nigdy; jednomyślnie i stanowczo żądano od rządu, aby zawiązał układy o opuszczenie Francji przez sprzymierzonych, co prostém następstwem rzeczy koniecznej wymagało wzajemności. Dodajmy tu jeszcze, że stanowiska o których opuszczenie chodziło: Hamburg, Magdeburg, Texel, Lerida, Taragona i inne, stanowiły wybitne świadectwo tej polityki szalonie ambitnej, która powszechnie została w tym czasie potępioną i z której ani cząstki niepozwolonoby zatrzymać.

Upoważniony pan de Talleyrand do prowadzenia układów, pilnie był słuchany przez pełnomocników mocarstw, a nawet z udaną dla Francji życzliwością, że spieszyła, jak mówiono, uprzątnąć załogę cudzoziemską. Sprzymierzeni w samej rzeczy niecierpliwie oczekiwali powrócenia

sobie twierdz zajętych przez Francuzów. Bezwątpienia że Prusy były już pewne, iż posiądą wcześniej lub później Magdeburg i Hamburg, Anglja Antwerpję, a Austrja Moguncję; ale przy gorącej żądzy czegoś rodzi się zawsze niecierpliwość, chcąca natychmiast posiąść upragniony przedmiot. Przyrzeczono więc bezwłocznie opuścić Francję, pod warunkiem natychmiastowego opuszczenia przez wojska francuzkie twierdz wyliczonych. Nie było nawet możności zatrzymania Antwerpji, Moguncji, Luksemburga, za wydanie Hamburga Magdeburga i innych. Monarchowie sprzymierzeni jednak obiecali lepiej się obejść z Francją pod Burbonami jak pod rządem Bonapartych. Ich ministrowie nie zaprzeczali tego i stojąc silnie przy zasadzie granic z 1790 roku, wzmiankowali o pewném rozszerzeniu tych granic, które mogło obejmować jaki miljon ludności. W niemożności wytargowania czegoś lepszego, p. de Talleyrand zmuszony został poprzestać na tej obietnicy. Pozostawało ważne do rozstrzygnięcia pytanie o zapasach nagromadzonych po twierdzach, które miały być wydane. W twierzach tych oprócz artyllerji polowej znajdowały się wielkie zasoby wszelkiego rodzaju, których jeżeli nie możnaby było ocalić, to przynajmniej rozpierać się o nie. Niezajmowano się jednak wcale tą sprawą, gdyż tak jedna jak druga strona spieszyła z zakończeniem układów. Zadowolniono się tylko zapewnieniem, że wojska francuzkie wyjdą z bronią i bagażami zabierając po trzy działa polowe na tysiąc ludzi. Wprawdzie była to tylko strata pieniężna, trzydziestu, czterdziestu miljonów być może, bardzo mała w porównaniu ze stratą terrytorjalną, lecz zawsze była to strata. Zwrócono tylko uwagę na wspaniałą flotę zbudowaną przez Francuzów w kilku twierdzach morskich, o którą miano się dopiero rozprawić przy stanowczém zawieraniu pokoju.

Skutkiem tego układu wojska cudzoziemskie miały opuścić ziemię francuzką, uważaną w granicach 1790 roku, wmiarę jak dopełni się opuszczenie przez Francuzów twierdz zajmowanych, które miało nastąpić nad Renem w dziesięciu, w Piemoncie w piętnastu i w Hiszpanji w dniach dwudziestu. Najbardziej oddalone miały być wydane 1 Czerwca. Postanowiono nadto, że jeńcy wszelkich narodowości, w jakimkolwiek znajdowaliby się miejscu, zostaną natychmiast wzajemnie uwolnieni.

Podpisany ten układ przez p. de Talleyrand 23 Kwietnia, tegoż dnia przedstawiony został hrabiemu d'Artois i jego radzie. Rzecz dziwna, dowodząca jednak zbytecznego zajęcia się potrzebami chwili, że nikt najmniejszej nie zrobił tu uwagi, gdyż traktat zaspakajał żądania powszechne, ustąpienia z kraju cudzoziemców (1). Nieszczęśliwy książe, na

(1) Naoczny świadek posiedzenia, bo trzymający pióro p. de Vitrolles, mówi, że najmniejszej nie zrobiono nad traktatem uwagi w radzie królewskiej.

którym zawisła później cała niepopularność z tego postępku, niezdolny do przewidzenia następstw, w dobrej wierze sądził, że oswabadza Francję od żołnierzy najezdniczych i podpisał układ z radością. Natychmiast rozkazano go ogłosić i pierwszego dnia nie więcej pomiędzy publicznością jak w radzie królewskiej wywołał on uwag. Krytyka jednak podniosła się w krótce dzięki nowemu zwrotowi opinji publicznej, która stawała się zarówno cierpką jak powszechną.

Widoczna bowiem nastąpiła zmiana w poglądzie na rzeczy od czasu upadku Napoleona, to jest od miesiąca. Z nieograniczonego posłuszeństwa, z prawie zupełnej ciszy, która panowała za czasów cesarstwa, ludność przeszła nagle do szczególnej żywości w uczuciach i mowie. Podczas gdy myśl z początku nowa i zadziwiająca o powrocie Burbonów zaczęła pomiędzy ludem nabierać wzięcia, jako rzecz rozsądna i konieczna, podczas gdy Burboni skutkiem swych nieszczęść przychodzili do popularności, żywa i przykra kłótnia podniosła się nagle pomiędzy rozbudzonemi stronnictwami. Prassa nabyła pewnej wolności w czynie, ale nie w prawie, gdyż postanowienia cesarskie o księgarstwie zostały w swej mocy utrzymane. Ograniczono się tylko na powróceniu dzienników ich właścicielom, samowolnie pozbawionym prawa wydawnictwa przez Napoleona i wymagano od nich naznaczenia głównego redaktora, któryby był odpowiedzialnym za pismo. Pod tą więc dwujznaczną formą zaczęła się budzić wolność druku, zależna zupełnie od dyrektora księgarstwa. Jak to się zwykle dzieje wpodobnych czasach, była ona wyrażeniem namiętności dziennych, które stanowiły nienawiść do cesarstwa, do jego wojen nieustannych, do jego samowładnego rządu. Straszne panowało więc rozkiełznanie przeciw Napoleonowi, przeciw jego rodzinie, przeciw jego ministrom i przeciw wszystkiemu, co należało do niego. W krótce przy rozbieraniu przeszłości sięgnięto aż rewolucji, która podobnież jak sam Napoleon stała się przedmiotem złorzeczeń. A chociaż hrabia d'Artois przy wejściu do Paryża mówił o zapomnieniu, chociaż senat z tego zapomnienia zrobił warunek do powrotu Burbonów, to przecież to zapomnienie tak łatwe w przyrzeczeniu nie było dotrzymane przez nikogo. Przypominano krwawą śmierć księcia d'Enghien, a gwałtowniej jeszcze niesprawiedliwe stracenie nieszczęśliwego Ludwika XVI. Pod wpływem tego faktu rozkiełznanie stało się tak wielkiém, że zapomniano na chwilę Napoleona dla wyłącznego zajęcia się królobojcami, którzy zalani zostali potokiem zniewag. Na prawdę trzebaby było, aby ówczesne pokolenie utraciło pamięć, wszelkie uczucie sprawiedliwości i ludzkości, żeby nie przejęte zostało głęboką litością, na wspomnienie o wykonanej karze śmierci na jednym z najlepszych królów; a jednak dla

spokoju Francji, dla rozwinięcia jej przeznaczeń, te krzyki sumienia powszechnego były tylko niedorzecznością. Bardziej jeszcze nierozważne od rojalistów, jeżeli to być mogło, duchowieństwo, miało także swój główny przedmiot nienawiści, którym był kardynał Maury. Księża, którzy nie ośmielali się bronić sprawy kościoła podczas rewolucji, którzy nie odrzucili ani jednej łaski cesarza, nie przebaczali kardynałowi Maury, najwymowniejszemu i najodważniejszemu obrońcy swego stanu, że przyjął djecezję paryzką. Zaczęli z początku od pojenia go zniewagami, następnie ogłosili djecezję za wakującą, mianowali wikarjuszów kapituły, zgoła robili wszystko co tylko było potrzebném, aby zmusić kardynała arcybiskupa do opuszczenia swego stanowiska. Scigany z taką namiętnością opuścił Paryż i ustąpił swego miejsca zażartym nieprzyjaciołom.

Takie postępowanie koniecznie musiało rozbudzić stronnictwa. Wystarczało bowiem dni kilka na ożywienie i połączenie ludzi, na których w ten sposób napadali rojaliści. Wpierwszej chwili ludzie ci rozdzieleni i pomięszani umilkli. Rewolucjoniści pomszczeni nad cesarstwem jego upadkiem, doświadczali nawet czas jakiś radości. Urzędnicy cywilni i wojskowi zmuszeni do zapewnienia sobie bytu, myśleli najprzód o połączeniu się z Burbonami, czego dokonali złorzecząc senatowi, który złożył z tronu Napoleona i przyklaskując żartom rojalistów z tego zgromadzenia. Ale po dniach kilku tak urzędnicy cywilni jak wojskowi i rewolucjoniści uczuli, że ich los jest wspólnym i że jeżeli senat uderzył w nich uderzając Napoleona, bronił ich zarazem domaganiem się rękojmi dla konstytucji. Zaczęli więc szykować się po za senatem. Czytając w dziennikach rojalistów, jedynych które używały wówczas wolności druku, szalone dowodzenia przeciw wszystkiemu, co tylko zaszło od 1789 roku, widząc zjawiających się do koła książąt, do koła kommissarzy nadzwyczajnych, ludzi wstecznych pojęć, poznali, że pod nowym porządkiem rzeczy wystawieni są na niebezpieczeństwo, a przynajmniej na niełaskę rządu. Wojskowi szczególniej (rozumiemy tu tylko oficerów), porzucając chorągwie za przykładem żołnierzy, gromadnie przybywali do Paryża. Ich tylko spotykano po ulicach i miejscach publicznych, gdzie przyjmowali udział w poruszeniu ogólném, starając się dowiedzieć co się z nimi stanie. Minister wojny jenerał Dupon wydał postanowienie rozkazujące powrócić im do korpusów, jedynego miejsca, jak się to postanowienie wyrażało, w którém dowiedzieć się będą mogli o swém przeznaczeniu. Pośród tego powszechnego zamięszania żaden z oficerów nie chciał usłuchać rozkazu. Gromadzili się coraz bardziej do stolicy, gdzie widok najazdu ogromnie ich oburzał i wywoływał z ich strony słowa nadzwyczaj niebezpieczne. Namiętnie powstawali oni w swych mowach na *zdrajców*, którzy wydali, jak mówili, Napoleona i Francję.

Umowa z dnia 23 Kwietnia, której warunki jużeśmy wyłożyli, przyjęta z początku jako naturalna, a nawet jako bardzo pożądana, ponieważ prowadziła do oczyszczenia Francji z nieprzyjaciół, wkrótce przeciwnie została sądzoną. Chociaż Hamburg, Magdeburg, Lérida nieobchodziły zupełnie prawdziwej wielkości Francji, to samo tych miejsc wspomnienie nieśmiertelną przypominało sławę; z drugiej zaś strony, widząc na tej liście twierdz odległych zamieszczoną Moguncję, Luxemburg, Wesel, Flesingę, Antwerpję, miasta, które przyzwyczajono się uważać za francuzkie, widząc w ogóle wszystkie te twierdze odstąpione jedném pociągnięciem pióra, bez żadnej rękojmi wynagrodzenia za nie, serdecznym przejmowali się bólem wojskowi. Publiczność nawet, publiczność rozsądna, bezinteresowna, pomimo radości z pokoju, pomimo bardzo słusznego uprzedzenia przeciw odległym podbojom, zarówno głębokim przejęła się żalem z opuszczenia tak ważnych stanowisk. Nie krzyczała ona jak wojskowi na zdradę, ale czuła że zostaje pod żelazną ręką cudzoziemców, którzy pochlebiając Francji dla tém łatwiejszego jej zażycia, pozostawiali jej to tylko z dawnej wielkości, czego żadną miarą wydrzeć nie byli wstanie.

Żywe jednak i powszechne zadowolenie z pokoju, było zawsze uczuciem panującém; a jeżeli słychać było przeciw niemu gorzkie zarzuty, to te pochodziły tylko z ust ludzi, których byt skutkiem zmiany rządu został zachwiany i którzy zaniepokojeni zostali w swych domach rozkieźnaniem stronnictwa rojalistów. Hrabia d'Artois robił zresztą co tylko mógł dla zadowolenia wszystkich, a szczególniej dla pociągnięcia ku sobie wojska. Zapraszał na obiady marszałków, jenerałów, pułkowników obecnych w Paryżu, rozwijał dla przypodobania się im cały zapas swego dowcipu, lecz jasno mógł w ich oczach wyczytać, że byli to tylko zaproszeni a nie współbiesiadnicy. Prawdziwi goście tego pałacu, w którym przesunęło się tyle pokoleń, tak różnych pochodzeniem, wykształceniem i uczuciami i wktórym tyle innych jeszcze przesuwać się będzie, prawdziwi goście byli rojaliści, zaczynający w wielkiej liczbie napływać z prowincji i z emigracji. Mniej głaskani, mniej bezwątpienia słysząc pochlebstw aniżeli dowódzcy wojska, ale widocznie milsi sercu, jedynie oni używali prawdziwie szczerego przyjęcia. Wchodzili tu oni o każdej godzinie, a gdy hrabia d'Artois nie mógł ich przyjąć osobiście, to upoważniał do tego najbliższych swych przyjaciół. Odbierał od nich, jaktośmy mówili, oznaki przywiązania i gotowość do usług; otrzymywał od nich rapporta, pozwolił im na urządzenie się w rodzaj policji, która bez wielkich oznak urzędowych dzisiaj, przybrała wkrótce zupełnie inną rolę. Mówiliśmy już o tych ludziach znajdujących się pod ręką, których hrabia d'Artois

przypuszczał ze słabości do siebie i którym skutkiem nierozsądku polecał, lub też pozwalał załatwiać niektóre sprawy. Kilku z nich upoważniło się do ścigania księżny Katarzyny, żony księcia Hieronima Napoleona. Księżna ta, córka króla Wirtembergskiego, zasłużonego skutkiem swych zalet używająca szacunku, zatrzymaną została w pobliżu Fossard, przy wyjeździe swym do Niemiec. Zrabowano ją zupełnie. Aresztujący ją ludzie dowodzili, że działają tu z urzędu, i pod pozorem zwrócenia skarbowi własności państwa, przyprowadzili zabrane kufry z rzeczami księżny, a które jak się zdawały z pozoru były nienaruszone. Zaledwie Cesarz Aleksander dowiedział się o tym niegodnym czynie, wysłał natychmiast swego ministra z użaleniem na ten postępek i zażądał zadosyćuczynienia za zniewagę wyrządzoną godnej szacunku księżnie, zabezpieczonej od wszelkiej napaści trakratem z 11 Kwietnia, a co więcej jego blizkiej krewnej. Pośpieszono zwrócić kufry, jako pierwsze wymagane zadośćuczynienie, lecz te zostały już wypróżnione. Djamenty księżny ocenione na 1,500,000 franków zaginęły. Ludzie, którzy dopuścili się rabunku, bronili się zaprzeczaniem kradzieży i grozili, że jeżeli będą ich prześladować, to skompromitują rząd tymczasowy, przez wypowiedzenie do jakiej posługi mieli być użyci. Posługa ta nie była tajemnicą, chodziło o zamordowanie Napoleona.

Zamiar podobnej zbrodni był rzeczą bardzo wątpliwą; lecz też w powszechnym tym zamęcie widocznem się stawało, że wiele złego popełniono nieoględną mową i że gdyby tak dalej postępowano, to namnożyłoby się smutnych wypadków. Hrabia d'Artois od 20 już dni znajdował się w Paryżu, więc pożądano przybycia Ludwika XVIII, aby w swe ręce objął ster rządu. Było to żądaniem światłych przyjaciół księcia, było to żądaniem samego nawet księcia, który pomimo że do wszystkiego lubiał się mięszać, przerażał się jednak odpowiedzialnością, jaka z każdym dniem zwiększała się nad jego głową. Odpowiedzialność ta pochodziła już to z powodu podatków, już z handlu, już nawet z granic kraju, o czem trzeba było coś postanowić pod nieobecność brata, którego hrabia d'Artois obawiał się i który nazbyt był zazdrośnym o władzę. Przybyli także jego dwaj synowie. Książe d'Angoulême skromny, odważny, niedowcipny lecz rozsądny i myślący, który przed dwoma miesiącami ukazał się w Bordeaux. Książe de Berry obdarzony wrodzoną zdolnością, szlachetnemi uczuciami, lecz gwałtowny, który wjechał do Francji przez Bretanję i Normandję. U bram Paryża z wielką okazałością i radością przyjmowano tych dwóch książąt, którzy ciągnęli za sobą nowy zastęp zajadłych rojalistów, co nie było rękojmią większej jedności i roztropności w rządzie.

Przybycia więc króla bardzo słusznie pożądano, gdyż liczono na jego rozsądek i ponieważ życzono jak najśpieszniej rozwiązania bardzo wielu kwestji, aż do jego powrotu w zawieszeniu pozostawionych. Jak ten monarcha przyjmie narzucane sobie przez senat warunki? Jaką wartość przyzna zobowiązaniu, które w jego imieniu uczynił hrabia d'Artois? Były to wątpliwości, które w oczekiwaniu na Ludwika XVIII każdy starał się wytłumaczyć na korzyść swych zasad i interesów. Hrabia d'Artois doniósł swemu bratu, że tylko ogólnikowe uczynił zobowiązanie, a ztąd że król pozostanie zupełnie wolnym pod względem tekstu ustawy napisanej przez senat, a daleko jeszcze wolniejszym pod względem wymaganej przysięgi; nadto, że naprawdę nie było żadnego zobowiązania się, wyjąwszy tylko co do ogólnych zasad konstytucji, więc ma szerokie do działania pole. Widocznie hrabia d'Artois chcąc usprawiedliwić się, że za nadto wiele wziął na swą odpowiedzialność, starał się zmniejszyć znaczenie zobowiązania uczynionego senatowi. Pan de Talleyrand, który najprzód wysłał do Ludwika XVIII pana de Liancourt (jak zobaczymy wkrótce nie był on ani przyjęty ani słuchany), a następnie kilka innych osób mniej godnych tego posłannictwa, pan de Talleyrand w miejsce przemawiania językiem rozsądku, odezwał się wyrażeniami dworskiemi, chcąc niemi przekonać nowego króla, że dla ustalenia władzy dość będzie mu zwrócić kilka pochlebnych słówek do marszałków i przy wjeździe do Francji ogłosić ogólne oświadczenie się za panującemi zasadami, a zadowolni tém wszystkie wymagania chwilowe. Pan de Montesquiou nieodstępując na jotę od osobistego swego poglądu, był więcej prawdomównym i śmielszym. Pisząc do Ludwika XVIII pokazał oburzenie przeciw senatowi i przeciw zachciankom jego do nałożenia warunków monarsze, ale też nie ukrywał ani ważności przyjętych zobowiązań, ani siły jaką posiadał senat. Powiedział on, że Francja nie jest tak rojalistowską jak to się podobało przypuszczać; że wielu ludzi żałowało cesarstwa; że inni, nazbyt przywiązani jeszcze do zasad rewolucji, nie mieli zamiaru ich się pozbywać; że nadewszystko wojsko powszechnie nieprzyjacielsko jest usposobione dla prawej dynastji; że niezadowoleni wszelkiego rodzaju mając siłę materjalną po swojej stronie, gotowi są do stanięcia po za senatem, straszną nadając siłę temu zgromadzeniu; że potrzeba więc było pomimo wszelkiej nieprzyjemności z nim się porozumieć; że można będzie skorzystać coś z zazdrości ciała prawodawczego, lecz że ono jest słabém, niekompletném; że senat pozostał tylko główną władzą, ztąd należy wziąść z jego konstytucji co się w niej znajdzie najkorzystniejszego przy układaniu ustawy, którąby jedynie od władzy królewskiej pochodziła; że z drugiej strony stan skarbu jest opłakany, wymagający prawdopodo-

bnie zaciągnięcia znakomitej pożyczki i że bez współudziału wielkich władz państwa nie będzie można znaleść pożyczających. Pomimo że uwagi te nie zewszystkiém były prawdziwe, malowały one jednak stan rzeczy daleko dokładniej od sprawozdań hrabiego d'Artois i pana de Talleyrand. Zresztą tak jedne jak drugie sprawiły w Hartwell nie małe zdziwienie.

Ludwik XVIII, który po śmierci Ludwika XVII, nieszczęśliwego syna nieszczęśliwego Ludwika XVI, stał się królem prawowitym wedle zasad dziedziczności monarchicznej, od kilku lat przemieszkiwał w Hartwell, w Anglji, gdzie jego zamiłowanie do studjow i wrodzona nieruchliwość stale go zatrzymywały. Uspił się, można powiedzieć, w spokojnéj jednostajności wygnania, gdy w tém straszne wypadki 1812 roku obudziły prawie obumarłą już nadzieję w jego sercu. Dla tego wydał kilka oświadczeń nieco mniej błachych jak poprzednie, a zawierających obietnicę poprawy dawnych nadużyć, zapomnienie przeszłości, poszanowanie sprzedaży dóbr narodowych, co stanowiło wówczas program najliberalniejszej emigracji. Oświadczenia te rozsypane po Europie nie doszły wcale do Francji. Skoro tylko Ludwik XVIII dowiedział się o działaniach senatu, zarówno żywą jak i hrabia d'Artois uczuł radość, chociaż jej nie okazywał; a w pierwszej chwili uniesienia, podobnie jak i jego brat w Nancy nie myślał zupełnie o warunkach, pod któremi zasiądzie na tronie. Skutkiem tego p. de Blacas, który zupełne posiadał zaufanie i był wykonawcą jego woli, otrzymał rozkaz wygotowania aktu przystąpienia do ustawy napisanej przez senat. Nie zdawało mu się bowiem, aby za drogo opłacił powrót do Francji, jeżeli ceną tego ma być tylko zgodzenie się na formę rządu, na którą od czasu pobytu swego w Hartwell patrzał i przekonał się, że bardzo jest korzystną dla Anglji, nie przynosząc żadnej innej krzywdy, nad sprawienie czasami nieprzyjemności ministrom.

W takim to usposobieniu znaleźli go wysłańcy hrabiego d'Artois, pp. de Talleyrand i de Montesquiou. Zadowolniony nadzwyczaj z obrotu rzeczy, nie był nim jednak z kierujących niemi osób, gdyż przesądni starcy daleko łatwiej ustąpują pierwszym aniżeli drugim. Rzeczy nie mają oblicza, osoby przeciwnie mają widoczne, budzące często smutne wrażenia lub też nieubłagane urazy. Szanowny pan de Liancourt, znienawidzony przez starą szlachtę za pokazanie zdrowego zmysłu w pierwszych dniach rewolucji i wysłany nadto przez pana de Talleyrand, przyjęty tu został z taką obojętnością, iż natychmiast wyjechał, nie chcąc poniżać przed emigrantami choćby najwyższego znaczenia, wysokiego swego urodzenia, światła i uczciwego życia. Zupełnie różne spotkało przyjęcie innych wysłańców pana de Talleyrand, a szczególniej hrabiego d'Artois i pana de

Montesquiou. Skoro tylko dowiedział się od nich Ludwik XVIII o ocaleniu głównej zasady rządów królewskich, czego głównie pożądali rygorzyści rojalistowscy, skoro się dowiedział że będzie mógł zachować nietylko chorągiew dawnej monarchji, ale nawet nie ścierpieć warunków, nie wykonywać przysięgi, i że wystarczy ogólnikowego oświadczenia na zadość uczynienie wymaganiom położenia, pośpieszył z usunięciem przygotowanego już aktu przystąpienia do konstytucji i przybrał nagle postawę królewską. Radzono mu, aby opuszczając Anglję podróżował powoli wcelu zbierania po drodze hołdów ludności, i aby zatrzymał się w jednym ze starożytnych królewskich zamków, naprzykład w Compiégne, wspaniale przez Napoleona odnowionym. Przyjąwszy tę radę postanowił, że po odwiedzeniu w Londynie gospodarza, u którego tak gościnnego doznał przyjęcia, to jest księcia rejenta Anglji, uda się przez Calais do Compiègne, dla otrzymania tu pierwszego hołdu swych poddanych.

Dnia 20 Kwietnia Ludwik XVIII wjechał do Londynu. Można odgadnąć, bez potrzeby dowodzenia, jakich doświadczali uczuć Anglicy skutkiem przywrócenia Burbonów na tron francuzki. Wczasie bowiem gdy wszystkie europejskie mocarstwa, jedno po drugiém uznawały tego, którego nazywano przywłaszczycielem, a nawet wyprosiły Burbonów od siebie, jedna Anglja nigdy nie uznała Napoleona w godności cesarza, przyjęła książąt tułaczy i podejmowała ich z niewzruszoną swą gościnnością. W gruncie nawet rzeczy, pomimo zaprzeczania ministrów w parlamencie, usiłowała ona zawsze przywrócić Burbonów, uważając to za najzupełniejszą zemstę nad Napoleonem i rewolucją francuzką. A chociaż nie raz pożądała pokoju, chociaż gotową była nie raz do jego zawarcia i chociaż powstrzymana została na tej drodze tylko uporem Napoleona ze względu na Hiszpanję, to przecież zapomniała o tych chwilach słabości, myślała tylko o ostatnim trjumfie koalicji i przypisywała sobie całą jej zasługę. Nie jenerałom to pruskim, austrjackim lub rossyjskim, którzy krwawo walczyli z Napoleonem w 1813 i 1814 roku przyznawała skutek powodzeń, ale lordowi Wellington, który umiał miarkować się w walkach nie z samym Napoleonem, lecz z marszałkiem Soult. Nikt niebyłby wstanie pozbawić tego uprzedzenia Anglików, oddanych na pastwę prawdziwego szału radości i pychy. Nie ulega wątpliwości, że Anglicy ważny na powodzenia wpływ wywarli i że byli powołani do zebrania największej części owoców zwycięztwa. Wyobrażali sobie nadewszystko, że przejęci wdzięcznością Burboni, napełnieni ich obyczajami, napojeni ich duchem, będą najstalszą podporą polityki brytyjskiej. To też postanowili wspaniale przyjąć Ludwika XVIII. Przez całe trzy dni pobytu tego księcia w Londynie, wrzyscy nosili białe przy kapeluszach kokardy i witali go takiemi

okrzykami, jakie tylko mógłby usłyszeć we własnej swej stolicy. Wchodząc do pałacu księcia rejenta miał po prawej stronie tegoż księcia, na ramieniu którego się wspierał, a po lewej księcia York. Tutaj zasiadł na królewskim fotelu jako król i gość. Otoczony dwoma rodzinami królewskiemi i niezliczoną liczbą panów angielskich, z dumną postawą słuchał mowy księcia rejenta, winszującej mu powrotu na tron francuzki, co mówca uważał za zdarzenie szczęśliwe nie tylko dla Francji, lecz dla Anglji, dla Europy, dla świata całego, a wszczególności za zdarzenie napełniające radością całą rodzinę królewską. Ludwik XVIII w odpowiedzi na tę mowę podziękował księciu za jego oznaki przyjaźni, za szlachetną gościnność i dorzucił te słowa tak smutnie pamiętne, że to *jego mądrości, jego szlachetnym usiłowaniom, niezmordowanej wytrwałości jego narodu przypisywał zawsze, po Opatrzności, przywrócenie swej rodziny na tron francuzki.*

Słowa te, odpowiadające w samą porę zachciankom, a nawet nadziejom Anglików, przyjęte przez nich zostały z uniesieniem. Rozniesione w tejże chwili pomiędzy publiczność brytyjską, sprawiły skutek niesłychany. Czy wymawiając je Ludwik XVIII myślał tylko o swych gospodarzach, którym chciał okazać wdzięczność słowami najwięcej poruszającemi? albo też czy myślał o senacie, który pod warunkami na tron go powoływał, o monarchach stałego lądu popierających senat, czy może o tém, że jak jeden tak drudzy opierając się na usługach oddanych domowi Burbonów, dawali mu rady i żądali aby ich słuchał? Czyż chciał powiedzieć tak jednym jak drugim, że tylko Bogu i Anglji jest obowiązany? Niewiadomo, lecz prawdopodobną jest rzeczą, że opanowany był tylko uczuciem grzeczności dla narodu, dla którego więcej jak dla kogobądź innego czuł się obowiązanym. Cokolwiekbądź, to zawsze skutek tych słów był daleko większym od przyczyny, jak to się często zdarza.

Ugoszczany w Londynie przez dni trzy, z szaleństwém oklaskiwany przez ludność gdzie tylko się pokazał, Ludwik XVIII przed swym wyjazdem udarował księcia rejenta wstęgą białą, najznakomitszą ozdobą królów francuzkich, czem dał poznać że przywraca order Śgo Ducha; następnie opuścił Londyn 23 Kwietnia i w towarzystwie księcia rejenta, innych książąt i pierwszych osób arystokracji angielskiej tegoż dnia przybył do Douvres. Nazajutrz, 24 Kwietnia odpłynął ku Calais, eskortowany przez flotę liczącą 8 okrętów linjowych, wiele fregat i mnóstwo statków lekkich. Ludność miasta Douvres i okolic mając księcia rejenta na czele, z białemi kokardami u kapeluszy, powiewając chustkami białemi, żegnała króla francuzkiego okrzykami, życzeniami i opuściła brzeg morza dopiero, gdy statek go unoszący zniknął z oczu. Książe de Clarence towarzyszył

Ludwikowi XVIII aż do brzegów Francji, gdzie go pożegnał przy huku dział obudwóch narodów, od czasu obozu pod Bulogne nie odzywających się tutaj! Jakaż przeciwność! Jakież zmiany! W burzliwym naszym wieku wystarczy często jednego lub dwóch lat, aby ujrzeć rzeczy najprzeciwniejsze i najdziwniejsze!

Przybywszy do Calais spotkał tu król znakomite tłumy, które go oczekiwały prawie klęczący. Opinja publiczna przejąwszy się myślą przywrócenia Burbonów, gorąco ich pożądała, a ztąd radość z ujrzenia króla była nadzwyczajna. Z drugiej zaś strony leży to w usposobieniu miast prowincjonalnych, że gdy ujrzą w swych murach panującego, zachwycają się wyświadczonym im honorem, a poruszone tak rzadkim dla siebie widokiem, doznają uniesień miłości szczerej, ale też nie trwałéj, pomimo wszelkiej spodziewanej z podobnego zapału nadziei. Nie zwykłą to radością lecz łzami witano Ludwika XVIII, gdyż potęga wspomnień wielki wpływ w tém zdarzeniu wywarła; a przypomniawszy sobie długą i krwawą trajedję rozpoczętą w 1789 a skończoną w 1814 roku, mogli Francuzi wcale niezmyślone łzy wylewać. Dodajmy tu także pochlebstwo, które nie mało przyczyniło się do wzruszenia, a pojmiemy cały zapał z jakim Ludwik XVIII został przyjęty. Poświęciwszy dzień cały dla ludności Calais i okolic, 26 Kwietnia stanął na noc w Boulogne, 27 w Abbeville, 28 w Amiens, roszkoszując się powoli dymem zapalonego kadzidła na cześć prawowitej władzy, i 29 Kwietnia przybył nakoniec do Compiègne, gdzie oczekiwało nań wszystko, co tylko Francja i Europa posiadała wowczas najświetniejszego.

Niecierpliwość widzenia i poznania króla była nadzwyczajną, gdyż z podnietą ciekawości łączył się nadto interes. Jakiemu to panu mają podlegać ci nowi poddani, z których jedni pochodzili z rewolucji i cesarstwa, a drudzy z emigracji? Z jakim to sprzymierzeńcem będą mieli sprawę monarchowie stałego lądu, którzy przywrócili dom Burbonów i którzy już posłyszeli o zaprzeczaniu sobie zasługi? Takie to pytania wszystkich podówczas zajmowały. Sądząc z postawy i pierwszych słów Ludwika XVIII, możnaby go uważać za najwynioślejszego, najpyszniejszego i najmniej rozsądnego z emigrantów. Wyrzeczone przez niego słowa do księcia rejenta, zaniepokoiły już nazbyt wszystkich tych, którzy przyłożyli ręki do ostatniej rewolucji; nieprzyjemnie wpłynęły na wojsko, które ze wszystkich państw nieprzyjaznych najbardziej nienawidziło Anglji; nakoniec uraziły monarchów sprzymierzonych, którzy nie przypuszczali, aby Anglja wszystko zrobiła i stała się prawie równą Opatrzności w ostatnich wypadkach. Niesprawiedliwością przecieżby było sądzić Ludwika XVIII z pierwszych przez niego słów wyrzeczonych.

Pomiędzy nowym królem francuzkim, a rodzonym jego bratem hrabią d'Artois, najmniejszego nie było podobieństwa. O ile bowiem hrabia d'Artois posiadał powabu i układności w swej smagłej i niewymuszonej kibici, o tyle hrabia Prowancyi a obecnie Ludwik XVIII okazywał zakłopotania i ociężałości. Przyciśnięty niewygodną i niezgrabną otyłością w sześćdziesiątym roku (kończył lat tyle 1814 r.), z trudem mógł chodzić wsparty na lasce. Nosił wówczas niebieską suknię z jeneralskiemi starożytnemi szlifami, mały kapelusz angielskiej formy i czerwone aksamitne kamasze, obwijające całe jego schorzałe nogi. Ale nad tém grubém i ociężałém ciałem, unosiła się prosto i dumnie piękna i myśląca, choć nieco za szeroka głowa, różna tém od oblicza Burbonów, że za mało orlim oznaczona nosem, a nadewszystko zdobna żywém i pańskiém okiem, któreby mogło cechować człowieka genjuszu i wielkiego charakteru. O ile było ruchliwości i uprzejmości w postawie hrabiego d'Artois, o tyle znajdowało się spokoju i wyniosłości w ruchach Ludwika XVIII. Zarówno jak postacią tak i umysłem różnili się od siebie obadwaj książęta. Podczas gdy hrabia d'Artois korzystając z swej pięknej postawy, uganiał się niegdyś za uciechami świata, i pędził życie swobodne na dworze Marji Antoniny, choć później w chwilach nieszczęścia żałując tego, stał sie nabożnisiem i ze swoich dawnych zwyczajów tylko dobroć zachował; wtenczas Ludwik XVIII przeciwnie, pozbawiony budowy fizycznej swego brata, szukał zabawy w naukach, oddawał się im, usiłował umysł swoj do potęgi doprowadzić, lecz go tylko ozdobił, uczęszczał do literatów swego czasu ale tylko do drugorzędnych, gdyż pierwszorzędni jak Montesquieu, Voltaire, Rousseau, nie przypadali do towarzystwa księciu krwi. Następnie gdy nadzieje zawiodły, nie miał czego żałować jak hrabia d'Artois, filozofiją utrzymał swe zasady mało religijne, w polityce trzymał się zasad rozsądnych, a gdy jego brat rzucał się w szaleństwa i knowania emigracji, unikał pierwszych wrodzoném umiarkowaniem, drugich przez wstręt do ruchu, jednych i drugich dla wyróżnienia się od młodszego brata, którego działań nie zatwierdzał i którego mniej jeszcze kochał. Nie mając bynajmniej złośliwości w sercu, choć ją posiadał w dowcipie, chętny szyderca, trochę samolub, szukając wszędzie potrzebnego dla schorzałego ciała spoczynku, pilnujący daleko mniej wykonania aniżeli zasady swej władzy, z której się wynosił jak żaden panujący na świecie, nienawidzący zajmowania się interesami, uciekający od nich dla towarzystwa z ulubionymi łacińskimi autorami, których często bardzo trafnie przytaczał, był to jedném słowem piękny umysł ukoronowany, najwłaściwszy do tej mało czynnej roli króla konstytucyjnego, którą władzcy angielscy wzięli na siebie dla własnego i kraju szczęścia, a w której

Ludwik XVIII tak skutkiem swych wad jak i zalet był rękojmią przeciw nadużyciom, do jakich brat jego był bardzo skłonnym. Takim to był książe, i takim jak nam się zdaje powinna historja przedstawić go przyszłym pokoleniom.

Nie możnaby było jednak poznać zupełnie Ludwika XVIII, bez wspomnienia o osobie największy wówczas wpływ na niego wywierającej, to jest o panu de Blacas. Ludzie dotknięci cierpieniami fizycznemi, czy to książęta lub zwykli śmiertelnicy, bardziej potrzebują szczerych przyjaciół niż zupełnie zdrowi. Potrzeba ta stawała się tém większą dla Ludwika XVIII, że jako bezdzietny wdowiec pozbawiony był rodziny, a obejmując tron posiadał środki do stworzenia tych przyjaciół szczerych, skrzętnych, uniżonych, podległych, których nazywają często ulubieńcami, a którym prawdziwie lub niesłusznie przypisują wszystkie błędy rządu. Przy Ludwiku XVIII przez długi czas zostawał pan d'Avaray, po którego śmierci nastąpił p. de Blacas. Pochodzący ze znakomitej prowansalskiej rodziny, wcześnie wyemigrowawszy, podzielający wszystkie uczucia emigracji francuzkiej, w miejsce zapalczywości zimnym obdarzony uporem, uczciwy człowiek, wyniosły, wysokiego wzrostu, sztywnego ciała i charakteru, ożywiony wszystkiemi uczuciami stronnictwa, zrasztą chcący zarówno panować nad królem jak w kraju, lubiący jak jego pan rozrywać się użytecznie mając w sztukach upodobanie, p. de Blacas mógł być bardzo zręcznym pierwszym ministrem, któryby nagiął zawsze dwór cały do widoków rządu, a nadto posiadał środki na doprowadzenie prawdy, którą miłował, aż do podnóżka tronu. Dla tego też po dopełnioném powitaniu i zasypaniu pochlebstwami Ludwika XVIII, ze wszystkich sfer zbiegli się dworacy, zapalając na cześć pana de Blacas nudne swe kadzidła.

Skoro tylko Ludwik XVIII w towarzystwie swej synowicy księżny d'Angoulême, którą nazywał córką, i dwóch Kondeuszow, to jest ojca i dziada księcia d'Enghien, okazując w ten sposób że otacza się wielkiemi ofiarami rewolucji, zbliżył się do Compiègne, gromada dworzan (to jest tych, którzy nie zdolni byli do czego innego i tych, którzy mogliby być czém inném, jak np. marszałkowie) rzuciła się z niesłychaną gorliwością na jego spotkanie, a jeżeliby ośmielili się, jeżeliby król na to pozwolił, to bezwątpieniaby poklękali. Marszałkowie zobowiązali Berthiera, tak z przyczyny jego wieku, jak położenia i rozumu, aby przemówił w ich imieniu, to też on złamany wypadkami, zajęty przyszłością dzieci, przyjął na siebie tę rolę, choć w duszy uczuwał jej niewłaściwość. Niewyrzekłszy ani jednego słowa znieważającego wielkiego człowieka, którego sławę podzielał, ograniczył się tylko na kilku oklepanych frazesach, we wszystkich podówczas znajdujących się ustach.—Marszałkowie, przedstawi-

ciele wojska, przybiegli, mówił, na spotkanie ojca, którego na nieszczęście tak długo nie poznawała Francja, lecz którego, nauczona doświadczeniem i klęskami, przyjmuje z uniesieniem radości, będąc aż nadto pewną, że pod jego rządami znajdzie spoczynek, pomyślność, nawet sławę, których używała pod berłem Henryka IV i Ludwika XVI. Naczelnicy wojska śpieszą z ofiarowaniem temu ojcu swych serc i szpady, która zawsze należąc tylko do Francji, nadewszystko należeć powinna do prawego władzcy tej odnowionej i odrodzonej Francji.—Jeżeli nie jest to rzetelny tekst mowy mianej przez marszałka Berthier, to przynajmniej jest zupełném jej powtórzeniem, która zresztą podobną była do wszystkich mów owego czasu.

Uprzedzony król, że ze wszystkich ludzi wyszłych z rewolucji marszałkowie są najużyteczniejsi i najskłonniejsi do uwiedzenia się pochlebstwem, najwyszukańszą grzecznością osłodził ich wyniosłość, pochodzącą z zyskanego na polu bitwy stopnia i stanowiska. Uścisnął im ręce, oświadczył iż na wygnaniu zawsze przyklaskiwał świetnym ich czynom, że te czyny stawały się słodką pociechą dla jego ojcowskiego serca, bolejącego nad nieszczęściami Francji, że za szczęśliwego się uważa spotykając ich pierwszych przy wejściu do dziedzictwa swych ojców, że chce wesprzeć się na nich, że im przynosi pokoj, ten dar szacowny należny jego rodzinie, ale że jeżeli ten pokoj zostałby zakłócony, to pomimo swego wieku, pomimo schorzałości, pójdzie na ich czele pod chorągwią starożytnego honoru francuzkiego. Następnie dodając do słów i czyny, Ludwik XVIII wsparł się na ramionach dwóch marszałków, przechadzając się po obszernych appartamentach Compiègne; darzył czułemi pozdrowieniami cisnących się wkoło niego, pierwszeństwo zawsze dawał marszałkom, przemówił coś do każdego odnośnie do jego życia, mówił o podagrze starego republikanina Lefebvre, który był cierpiącym, rozmawiał z nieszczęśliwym Marmontem o ranie, którą otrzymał pod Salamanką, przedstawiał ich z kolei swej synowicy, swym krewnym, zatrzymał ich na obiad, podczas uczty pił zdrowie wojska angielskim likierem i pożegnał dopiero po oczarowaniu swą łaską i godnością, która nie miała nic wspólnego z uprzejmością hrabiego d'Artois, ani nawet z surową lecz pełną pociągu porywczością Napoleona.

Umysły dostrzegawcze zauważyły cudzoziemskie obyczaje królewskiej rodziny, czego ona sama zdaje się że nie uważała: zauważano naprzykład zupełnie angielski ubiór księżniczki d'Angoulême, jak również zimny ton z jakim witała przedstawianych sobie dygnitarzy, co przez szacunek dla smutnych wspomnień bardzo łatwo wytłomaczono. Obecni byli zachwyceni i trzeba wyznać, że we wszystkiém co widziano żywo działała wy-

obrażnia, gdyż spostrzegano tu dwa wielkie czary rzadko się z sobą łączące: najszanowniejszą starożytność podającą rękę nowym zasadom. Wobec tej starożytnej rodziny, ludzie dawni znajdowali się na swojém miejscu, a ludzie nowi zdawali się być potwierdzeni w swoich nabytkach. Jeżeli po przybyciu hrabiego d'Artois robiono niekorzystne dla cesarstwa porównania, to tém gorzej było jeszcze w Compiègne! Opowiadali goście zgromadzeni w tym zamku, że dopiero dowiedzieli się co to jest *majestat*, o którym dotąd ani wyobrażenia nie miano. A przecież większa część tych ludzi miała szczęście zbliżyć się do genjuszu i dotknąć w nim tego wszystkiego, co było największém i najbardziej porywającem! Wyznajmy jednak, że jeżeli chcieli powiedzieć, iż pomiędzy władzą księcia z urodzenia przeznaczonego do tronu, odznaczającego się rodem, dowcipem, wiedzą, szlachetnością oblicza, pomiędzy tą władzą spokojną, poważną, niewątpiącą nigdy o sobie, a rządem rozkazującym, niejednakowym, uprzedzonym, często szorstkim i gwałtownym, genjuszu, jest bardzo wielka różnica, to w takim razie mieli słuszność. Lecz bardzo mało z pomiędzy nich mogło poznać tę różnicę i dziwném się bardzo zdawało słyszeć Marmonta, Neya Kellermanna, Oudinota, Monceya, Berthiera, rozprawiających tylko *o majestacie* Ludwika XVIII i powtarzających wszystkim, że nic podobnego nie widzieli. Jest to tylko wieczna komedja ludzka, której ludzie nigdy nieprzestaną odgrywać, choćby ją postokroć już razy przedstawiali, a która zasługuje na pobieżne tylko na nią spojrzenie, gdyż podsuwaniem im nawet przed oczy tego zwierciadła, nigdy się ich niepoprawi z bałwochwalstwa dla wznoszącej się potęgi! Odbywała się w Compiègne rzecz daleko większej wagi od przyjęcia urzędowego, to jest rozmowa Ludwika XVIII ze znakomitościami, posiadającemi w swym ręku środki wpływające na obrót rzeczy.

Podczas powolnej swej podróży z Calais do Compiègne, wysłał król przodem do Paryża p. de Blacas, dla powzięcia pewnych wiadomości od hr. d'Artois i zaufanych rojalistów o wszystkiém, co potrzebował wiedzieć. Hrabia d'Artois pobiegł natychmiast rzucić się w objęcia brata, od którego serdeczniejszego jak zwykle doznał przyjęcia, gdyż doznawana radość zmiękczyła jego serce. Z drugiej nawet strony przywiezione wiadomości zdwajały jego zadowolenie. Z każdą godziną coraz silniejsi stawali się Burboni, a coraz słabszym senat, i od dnia, w którym to zgromadzenie za radą księcia d'Otrante, poprzestało na błahej i ogólnikowej obietnicy, prawowita monarchja coraz większej nabywała wziętości. Niepodobieństwem jednak było rozpierać się o grunt rzeczy, i chociaż czystej krwi rojaliści czuli wstręt do wszystkiego, co tylko nosiło miano konstytucji, to przecież nie można się było uwolnić od jej nadania. Przy licznych

zmianach rządu, Francja nabyła takiej wprawy do ograniczenia nowego porządku rzeczy, że i tą razą koniecznością się stawało wziąść pióro i zapewnić rodzaj rządu na wzór angielskiego, z dwoma izbami rozprawiającemi o sprawach publicznych, wolnością druku, niezależnością sądów, utrzymaniem sprzedaży narodowej, legji honorowej i nowej szlachty. Tak hrabia d'Artois, jak p. de Montesqoiou i wszyscy ci, którzy od miesiąca przykładali ręki do rządów, przyznać tę prawdę zostali zmuszeni. Zyskano przecież ustępstwo, do którego Ludwik XVIII największą przywiązywał wagę. Nie był bowiem zmuszonym do zatwierdzenia tekstu ustawy napisanej przez senat, uwolnił się od składania przysięgi i od wszystkiego w ogóle, co tylko nosiło na sobie cechę konstytucji narzuconej. Konstytucję mógł nadać sam od siebie, uczynić to dobrowolnie ze swej królewskiej władzy, co oznaczało zasady monarchji prawowitej, jak to rozumieli czyści rojaliści. Mógł nadto powołać tylko pewną część senatorów, pozbawiając się tych, którzy najmniej mu się podobali, uzupełnić senat starą szlachtą, utrzymać ciało prawodawcze, więcej od senatu zadowolone i tym sposobem utworzyć rząd więcej odpowiadający jego zamiarom. Nakoniec, dla tém wybitniejszego okazania różnicy pomiędzy prawdziwie królewskim sposobem postępowania, a warunkami narzucanemi przez senat, postanowił król wjechać do Paryża bez uprzedniego nadania konstytucji, ograniczając się tylko na oświadczeniu ogólnikowém, prawie podobném do udzielonego już przez hrabiego d'Artois, co mu dostarczało czasu na dokładne rozważenie wyrażeń nowej ustawy.

Zasady te odpowiadały zupełnie widokom Ludwika XVIII. Nie miał on bowiem najmniejszej odrazy do rządu złożonego z dwóch izb dręczących ministrów, a zostawiających króla w spokoju, gdyż widział już ten porządek rzeczy, z korzyścią zaprowadzony w Anglji. Władza zaś jego, która razem ze krwią płynęła mu w żyłach, którą otrzymał w spuściznie po Ludwiku XVI, Henryku VI, świętym Ludwiku, Hugo Kapecie, została uznaną, a to właśnie dla niego najgłówniejszą było zasadą. Zezwolić na to, co nazywano rękojmią na piśmie, pisać w sposób jaki się podoba, odbierać przysięgę i nie przysięgać nikomu, nadzwyczaj przystawało do jego królewskiej dumy i zupełnie mu wystarczało. Pozwalano mu za to rządzić tym lub owym sposobem, z warunkiem jednakże nieprzekraczania pewnych granic, i nie wzbraniano otaczać się osobiście ludźmi, jakiemi tylko podobać mu się będzie. Jego brat, wszystko to ocalił, ztąd został dobrze przyjęty i na pierwszy raz nie popełnił, według niego, żadnego błędu. Utwierdzony w tych zasadach przez złożone sobie rapporta hrabiego d'Artois, p. de Blacas i p. de Montesqoiou, wiedział jaką postawę względem każdego przyjąć, ztąd też widziano go rozmawiającego

z tymi, słuchającego z drugimi, grzecznego ze wszystkimi, nic nie obiecującego, lecz pozostawiającego wolne pole nadziei, i ze stałém postanowieniem nie pozwalania na nic, coby nosiło na sobie cechę jakichkolwiek warunków.

Główną osobą, z którą król miał mieć pierwszą wielkiej wagi rozmowę, był pan de Talleyrand, widoczny sprawca dokonanej rewolucji. Tak Ludwik XVIII jak i pan de Talleyrand wyuczyli się dokładnie swej roli, gdyż obadwa zarówno lubili podobne wystąpienia i byli w nich nieporównani. Rola p. de Talleyrand była jedną z najtrudniejszych, a to nie z powodu, aby mniejszą od króla obdarzony był zdelnością, lecz z przyczyny, iż zostawała w związku z obecném położeniem. Ludziom zasad może się nie powieść działanie, ale dla ludzi zręcznych, skutek działań koniecznym jest warunkiem. Aż dotąd się działo, że pomiędzy osobami, które odrzuciły wszelki związek z rewolucją, a tymi, którzy z nią niejako traktowali, ta zachodziła różnica, iż ci ostatni umieli wyciągnąć dla siebie korzyści, gdyż poznawszy gdzie leży siła czasu, łączyli się z nią w celu kierowania, gdy tymczasem pierwsi, zaślepieni i uparci, umieli tylko wepchnąć na rusztowanie króla i swych przyjaciół. Nagle zmieniła się postać świata, i ci zagorzalcy, którzy nie chcieli przystać na żadne ustępstwo, zajęli stanowisko, które zdawało się przemawiać, iż mieli słuszność po sobie i byli bardzo zręczni. W rozmowie więc pomiędzy Ludwikiem XVIII wracającym z wygnania, a p. de Talleyrand, służącym na przemiany to rewolucji to cesarstwu, aby w końcu powrócić do stóp króla prawowitego, korzyści położenia pozostawały przy pierwszym. Mógł wprawdzie p. de Talleyrann chełpić się, że dokonał obecnego przewrotu rzeczy, lecz usługi podobnego rodzaju, prędko bywają zapominane. Z drugiej nawet strony, usługi te w oczach prawdziwych rojalistów były uważane za spóźnione uznanie prawdziwych zasad i w tej chwili Ludwik XVIII był zwycięzcą, a p. de Talleyrad zwyciężony, pomimo że do zwycięztwa sam nawet pomagał. Nie ustępował on jednak, na wyniosłości tej rozmowy, osobie, do której przemawiał. Obdarzony był bowiem wybornym taktem, doskonałą znajomością rzeczy, sztuką określenia jej jedném słowem, sztuką nadewszystko pochlebiania bez poniżenia się i nieprzyjmowania nigdy drugorzędnej roli, nawet w obec książąt i królów. Obadwa więc mogli się spotkać bez szkody, będąc nadto wybornie przygotowani do rozmowy, której całą wartość zarówno pojmowali.

Z nadzwyczajną grzecznością przyjął Ludwik XVIII pana de Talleyrand, po książęcemu podziękował mu za oddane sobie usługi, oświadczając jednak, że wszystko winien niezłomnym swym prawom: następnie dał mu do zrozumienia, że wracający z emigracji nie byli ani mniej światli,

ani mniej zręczni, i nagle przeszedł do obecnego położenia. W gruncie rzeczy, tak król jak i jego przyszły minister, zgadzali się z sobą, ponieważ na dwa główne zadania jednakowo się zapatrywali, to jest na konstytucję i na dobrowolne jej nadanie. To też rozmowa w tym przedmiocie była tylko wzajemném potwierdzaniem słów mówiącego. Zatwierdź W. K. Mość dwie izby, gdyż ich nie można odmówić i pogłaszcz wojskowych, co im wystarczy, gdyż nie myślą i niezdolni są oni do rządów, było główną treścią przedstawiań p. de Talleyrand, przeciw którym nie miał nic król do zarzucenia. Ze swej zaś strony Ludwik XVIII dał do zrozumienia panu de Talleyrand, że tak znakomity jak on człowiek, panujący w sztuce traktowowania z mocarstwami i przyodziany jeszcze świetnością wielkiego cesarstwa, będzie zawsze przedstawicielem jego w obec Europy. Nic więcej nad to pan de Talleyrand nie pragnął. Po tej rozmowie, która skutkiem grzeczności królewskiej dość się przeciągnęła, rozłączył się Ludwik XVIII ze swym ministrem; król był rzeczywiście zadowolonym, a p. de Talleyrand starał się okazywać swe ukontentowanie. Można było jednak przypuszczać, że nie był zupełnie uradowanym, gdyż tej rozmowy nie powtarzał, zachowując tu niezwyczajną sobie oględność, co oznaczało przynajmniej błahość tego z królem spotkania się. Poprzestawał tylko na odpowiadaniu pytającym, że król był człowiekiem dowcipnym, że nadewszystko posiadał ten dowcip, którego nawet tradycja z końcem XVIII wieku zaginęła.

Wtém oznajmiono odwiedziny daleko większej wagi, gdyż Cesarza Rossyjskiego. Odgrywając w Paryżu ze szczerością i powodzeniem szlachetną rolę, Cesarz Aleksander zajmował się przyszłym losem Francji z zapałem i dobrą wolą, co powinnoby mu było zapewnić wdzięczność Francuzów, jeżeliby nie byli tak rozgniewani na widok, że szczęście ich wypływa z rąk obcych. Król Pruski i cesarz Austrjacki nie zadawali sobie tyle kłopotów. Król Pruski, aby tylko wrócił do Berlina z pewnym pokojem i porządną kontrybucją, a cesarz Austrjacki, byle wrócił do Wiednia z Włochami i Tyrolem, to im wystarczało, nie troszcząc się wiele co się stanie z Francją. Uważali bowiem, że lepsze lub gorsze stanowisko Burbonów we Francji, do nich samych i Francuzów należy. Aby tylko Francuzi nie zamyślali o przejściu Renu i Alp, to zresztą według nich, mogli robić wszystko co im się podoba. Co zaś do Napoleona, to woleliby go widzieć na wyspach Azorskich lub Śtej Helenie, niż na Elbie, lecz ponieważ już się tu znajdował, więc przynajmniej na chwilę nie zajmowano się nim więcej. Aleksander myślał inaczej. Liberalny w poglądzie na Europę, szczery przynajmniej, uważał za rzecz godną sławy, pozostawić Francuzów wolnymi i znajdował większą pewność w ich zadowo-

leniu. Obcując z ludźmi, którzy życzyli dla kraju praw rozsądnych, a szczególniej z panem de Lafayette, który za pierwszą powziętą nadzieją ujrzenia rządu liberalnego opuścił Lagrange, rozprawiał z nimi o przyszłej konstytucji, zgadzał się z ich szlachetnym poglądem, zobowiązał się słowem, i w pewnym względzie wziął na się zadanie bronić zasad i spraw senatu, o którym lubił mówić, że mu jest obowiązany, gdyż temu to zgromadzeniu winni byli monarchowie upadek Napoleona. Niezadowolniony z emigracji nabiegłej do Paryża z Anglji i prowincji, Cesarz Aleksander wyprawił do Compiègne hrabiego Pozzo di Borgo, w celu przemówienia do Ludwika XVIII słowami rozsądku. Ale pomimo całej zręczności hrabiego Pozzo, nie udało mu się przekonać tego króla tak ociężałego na ciele, a tak bystrego umysłu, który wydobywając się z więzów poważnej rozmowy, umiał ją zręcznie zwracać na ton lekki i dowcipny. Wówczas Cesarz Alekrander postanowił udać się osobiście do Compiègne, co było krokiem bardzo śmiałym, gdyż ani cesarz Austrjacki, ani król Pruski, o tej podróży nie myśleli, a krokiem, który mógł być wytłumaczonym młodością i wyniosłością młodego cesarza, i który nadto nadzwyczaj pochlebiał Ludwikowi XVIII. Tutaj zamierzał Cesarz Aleksander dać królowi do zrozumienia, że należy mu nietylko nadać konstytucję, ale nadto otoczyć się ludźmi cesarstwa i rewolucji, odstąpić od zamiaru datowania swych rządów od śmierci Ludwika XVII, ustąpić wiele duchowi czasu i na szczególnej mieć baczności wojska. Uprzedzony Ludwik XVIII o mających nastąpić odwiedzinach Cesarza Aleksandra, postanowił przyjąć go podobnie jak tych wszystkich, którzy niepokoili go swemi radami, to jest z wdzięcznością, godnością i nadzwyczaj ogólnikowém wyznaniem wiary.

Przybycie do Compiègne Cesarza Aleksandra postawiwszy naczelnika koalicji europejskiej w obec wyobraziciela starej dynastji francuzkiej, nadzwyczaj pochlebiało Ludwikowi XVIII, który chcąc okazać się przejętym wdzięcznością, uściskał młodego cesarza, ale też zarazem przyjął go po ojcowsku, widocznie okazawszy, że ceniąc swój wiek i stopień, uważał się za wyższego od współczesnych monarchów. Dziękując bowiem za udzielone wsparcie swemu domowi, dawał do zrozumienia, że wszelkie otrzymane powodzenia przypisuje przyczynom opatrznościowym i wyższym, a szczególniej niezłomnej potędze wielkiej zasady, której był wyobrazicielem. Udawał także, iż nie pojmuje przedstawień cesarza o obecném położeniu Francji, słuchał z grzeczności, lecz jako człowiek, któremu młody książe nic nowego nie mógł powiedzieć, nie zaprzeczał niczemu, nic nie potwierdzał, zręcznie oświadczał, że już o wszystkiém postanowił, zgodnie z swą władzą nie pochodzącą od nikogo i z mądrością nie potrzebującą rady; a pozwalając tylko domyślać się tych postano-

wień, gdyż nie rozwodził się nad niemi, był tak niepokonanym z samym cesarzem, jak poprzednio z jego ambasadorem. Przybycie nadto do Compiègne deputacji ciała prawodawczego, w celu złożenia hołdu królowi wówczas, gdy senat trzymając się na uboczu, zdawał się być już nie istniejącym, rozczarowało do reszty Cesarza Aleksandra. Ten pośpiech w uderzeniu czołem przed prawowitą władzą, zgromadzenia, które chciało zawsze przedstawiać naród, i które nabyło niejakiéj popularności, skutkiem ostatniego oporu stawianego Napoleonowi, osłabił nazbyt milczące trzymanie się senatu i postawił Cesarza Aleksandra w roli natrętnego doradcy. Odstąpił przeto cesarz od zbyt żywego nalegania i wyjechał z Compiègne, pomimo zasypania go grzecznościami, aż nazbyt zawiedziony, gdyż nie miał tu nawet sposobności zupełnego rozwinięcia swych przedstawień, a i tak słowa jego żadnego nie odniosły skutku. Pożegnał więc króla nie więcej jak p. de Talleyrand z rozmowy z tym monarchą zadowolniony, z czego tajemnicy nawet nie robił.

Po trzech lub czterodniowym wypoczynku w Compiègne i po powzięciu tu pierwszych wiadomości o ludziach i rzeczach, postanowił Ludwik XVIII udać się do Saint-Ouen, gdzie zamierzył na krótko tylko przystanąć przed wjazdem swym do Paryża. Porozumiał się ze swym bratem i z członkami rządu tymczasowego, co do ogłoszenia ogólnikowej deklaracji, wzmiankującej o głównych zasadach konstytucji, by tym sposobem ukończyć rzecz z senatem, zmuszając go do złożenia hołdu władzy królewskiej. Przed trzema jeszcze tygodniami, ludzie którzy chcieli zapewnić Francji stałą wolność pod rządami dawnej dynastji, mogliby byli przy oparciu się na Cesarzu Aleksandrze, zamknąć drogę Ludwikowi XVIII, aż do zatwierdzenia przez niego wszystkich wymaganych ustępstw. Lecz w kilku dniach ostatnich bieg sprawy taki już przybrał obrót, że niepodobieństwém było go powstrzymać, a wszelkie usiłowania w tym względzie wydawałyby się tylko współką z nieprzyjacielem do pokonaia ruchu narodowego. Francja bowiem przypomniawszy sobie Burbonów, uznała konieczność powołania ich do rządu, a skutkiem tego uznania jednych a nikczemności drugich, nastąpił taki w opinji publicznej ku nim zapał, że od czasu wzięcia Bastylji i powrotu Bonapartego z Egiptu nic równego mu nie widziano. Senat, który zwolna tylko ustępował, z każdym dniem tracił na znaczeniu, a chociaż ze wszystkiém został już pobity na polu własnych swych interesów, to przecież trzymał się jeszcze gdy chodziło o popierane przez niego zasady. Żądał dla kraju konstytucji i był pewnym jej otrzymania na ułożonych przez siebie podstawach. Nie mógł on jednak doprowadzić do tego, aby nowa konstytucja zarówno od narodu jak i króla pochodziła, coby ją napiętnowało siłą i nietykalnością i zapewniło

trwałość. Pokonali tu Burboni i zdawało im się, że sprawa ich stanowcze odniosła zwycięztwo tam, gdzie rzeczywiście została straconą, gdyż utrzymawszy się przy najulubieńszej zasadzie, aby ustawa była nadaną przez króla, zapewnili sobie możność zrobienia kiedyś zamachu stanu, a tém samem przygotowywali dla dynastji pewny upadek.

Zgodziwszy się na ogłoszenie tylko ogólnikowego pod względem konstytucji oświadczenia, powierzono wykonanie tego zadania doradcom hrabiego d'Artois, jako to: panu de Vitrolles, który stał się już głównym jego kierownikiem, i panom de Maisonfort i Terrier de Montciel, tworzącym drugą radę w antresolach Tuileries. Król nie nawidził podobnego rodzaju literatury i dla tego pozwalał im działać, postawiwszy jednak na straży tej roboty pana de Blacas. Redaktorowie ci zajęli się zaraz pytaniem, jak postąpić sobie z senatem, do jakiego stopnia okazać mu wdzięczność i ustąpić jego żądaniom, postępując w tym względzie zupełnie dowolnie. Odłożono bliższe porozumienie się w tym przedmiocie do przybycia do Saint-Ouen. Król zresztą oddany był niepohamowanej radości z powrotu swego do stolicy Francji i z rozkoszą napawał się dymem królewskiego kadzidła, które od lat już tylu nie kurzyło się przednim i które odurzało go dzisiaj bez miary.

Do Saint-Ouen przybył król w dniu 1 Maja. Na tej ostatniej stacji nawał śpieszących na spotkanie monarchy ukazał się na nowo i napełnił mieszkanie królewskie. Senat nie stawił się jeszcze przed Ludwikiem XVIII. Należało przecież położyć koniec temu rozdziałowi pomiędzy królem a zgromadzeniem konstytucyjném, które powołało na tron Burbonów, zktórego rąk hrabia d'Artois otrzymał godność namiestnika jeneralnego i którego, pomimo nienawiści a nawet wzgardy, nikt nie ośmielał się rozwiązywać lub też znosić, gdyż po za tym zgromadzeniem stali urzędnicy, wojsko i monarchowie sprzymierzeni. Lecz gdy już raz nastąpiło niejakie porozumienie, to jest gdy zgodzono się na konieczność konstytucji, która miała pochodzić od władzy królewskiej, gdy większa część senatorów miała zasiąść na ławach izby wyższej, nie mógł naprawdę trwać dłużej senat w oporze. Przystał więc na złożenie hołdu królowi, przedstawiony będąc przez pana de Talleyrand, który podobnie przewodniczył mu w Saint-Ouen, jak niegdyś przy przedstawianiu hrabiemu d'Artois w Tuileries. Starannie zredagowana mowa pana de Talleyrand, tchnęła zasadami powszechne mającemi uznanie.—To nie senat, mówił on, lecz cały naród oświecony doświadczeniem wychodzi na spotkanie króla i przywołuje go na tron ojców. Senat podzielając uczucia narodu spieszy z powitaniem monarchy, który kierowany mądrością, nadaje ze swej strony prawa odpowiadające oświacie i potrzebom obecnym. Karta

konstytucyjna połączy wszystkie sprawy z interesami tronu i zabezpieczy władzę królewską od wszelkich przeciw niej wystąpień. Król lepiej od kogo bądź innego zna pożytek podobnej ustawy, która długo i szczęśliwie będąc wyprobowaną u ludu sąsiedniego, jest rękojmią usunięcia wszelkich zawad w rządzie i zapewnia poparcie monarchom miłującym prawo, prawdziwym ojcom swych ludów.

Uprzejmie król odpowiedział na tę przemowę, potwierdzając zasady wyłożone przez prezesa senatu. Rzecz szczególna, że ciało prawodawcze, którego postępowanie w obecnych okolicznościach, skutkiem dziecięcej zazdrości nieodznaczało się godnością i było nawet szkodliwe, po raz drugi przedstawiło się królowi, pomimo że złożyło mu już swe hołdy w Compiègne. Powtórzyło ono oklepane tej chwili frazesa, gdyż zdawało mu się że nadszedł czas, w którym głównem zadaniem pierwszych władz państwa jest defilada i mowy na cześć króla. Cały dzień 2 Maja poświęcony został na przyjęcia, tak że nie było chwili czasu na zajęcie się ważnemi sprawami. Oświadczenie, które miało poprzedzić wjazd króla do Paryża i które w samej rzeczy było warunkiem tego wjazdu, nie było jeszcze napisane do wieczora 2 Maja, chociaż na prawdę zawiele już napisano, gdyż było gotowych pięć lub sześć projektów, jak pana de Vitrolles, pana de Maisonfort i kilku innych. Król jednak strudzony i nie przywiązując wielkiej wagi do wyrażeń, któremi miał się odezwać o rzeczy od kilku już dni ułożonej, polecił panu de Blacas zająć się redakcją pisma, mającego być ogłoszoném nazajutrz. Zgromadził więc pan de Blacas wszystkich redaktorów, przepędził z nimi część nocy z 2 na 3 Maja, zabrał wszystkie jakie tylko dawano w tym przedmiocie rady i projekta, kierował prawie wszystkiemi i nakoniec, po dostateczném obejrzeniu wszelkich wyrażeń, odnoszących się do senatu, zatwierdził projekt królewskiego oświadczenia. Główny redaktor tegoż pan de Vitrolles żądał, aby przedstawić go królowi, lecz pan de Blacas odpowiedział, że nie należy przerywać tak potrzebnego monarsze spoczynku, przed dniem tak utrudzającym jak jutrzejszy. Inni dworacy potwierdzili to zdanie i sławne oświadczenie datowane z Saint-Ouen w dniu 2 Maja, odesłane do drukarni i rozsypane w wielkiej liczbie egzemplarzy 3 Maja zrana.

Wstęp tego oświadczenia był następny:

„Miłością naszych ludów powołani na tron ojców, oświeceni nie-
„szczęściami narodu, do rządów nad którym jesteśmy przeznaczeni, z wła-
„snego natchnienia odwołujemy się do kraju, by wzbudzić wzajemną
„ufność, tak konieczną dla naszego spokoju i szczęścia ludów.

„Po rozważném odczytaniu projektu ustawy uchwalonej przez senat
„na posiedzeniu 6 Kwietnia, przekonaliśmy się, że podstawy jej są dobre,

„lecz że wielka część artykułów nosi na sobie cechę pośpiechu, z jakim „one były redagowane, a ztąd że w obecnej swej formie nie mogą one „stać się prawem zasadniczém państwa.

„Postanowiwszy zatwierdzić ustawę liberalną, chcąc aby taż staran- „nie została obmyślaną i niemogąc zgodzić się na taką, która koniecznie „potrzebuje poprawy, zwołujemy na dzień 10 Czerwca roku bieżącego „senat i ciało prawodawcze, celem przedstawienia pod ich rozpoznanie „pracy, którą przedsięweźmiemy wspólnie z kommissją wybraną z łona „obudwóch tych zgromadzeń, dając za podstawę konstytucji rękojmie „następne....“

Po wstępie tym następowało wyliczenie rękojmi, pod względem których nie rożniono się wcale, jako to: dwie izby radzące o wszelkich sprawach państwa, ministrowie odpowiedzialni obowiązani do stawiennictwa przed izbami, wolność osobista, wolność druku, wolność wyznań, uchwała przez izby podatków, przypuszczalność wszystkich Francuzów do urzędów cywilnych i wojskowych, nieodwołalność sędziów, utrzymanie sprzedaży narodowej, legji honorowej i t. d. — Z wyjątkiem tylko głównej kwestji o pochodzeniu ustawy, która w miejsce umowy pomiędzy królem a narodem stawała się ustępstwem monarchy, zobowiązania się były takie jakich żądano, i udzielone zostały bez ogródek, a co więcej w obec senatu, co uświęcało władzę tego zgromadzenia i zapewniało najpożądańsze rozwiązanie, gdyby dynastja była bardziej przewidującą i starannie a stanowczo usunęła od siebie możność wszelkich przeciw konstytucji zamachów, które tak zgubne dla niej się okazały, a które przecież były nieuniknione, leżąc w tej jedynej wadzie, że ustawa została dobrowolnie przez króla nadaną.

Pod dobroczynnym wpływem tego oświadczenia, przygotowywał się Ludwik XVIII do odbycia swego wjazdu do Paryża w dniu 3 Maja. Wyruszył z Saint-Ouen o 11 zrana wpośród niezliczonych tłumów nadbiedłych na jego spotkanie. Jechał w ośmiokonnym powozie, mając obok siebie księżnę d'Angoulême, a przed sobą dwóch książąt Condé; przy drzwiczkach powozu z prawej strony hrabia d'Artois, a z lewej książe de Berry konno towarzyszyli; nakoniec za powozem marszałkowie, a po za nimi jazda gwardji narodowej, dowodzona przez hrabiego Karola de Damas. W obec tego wspaniałego widoku zwróciły się oczy wszystkich na gwardję cesarską pieszą, której kilka kompanji strzegło króla w Compiègne, następnie towarzyszyło mu do Saint-Ouen i obecnie konwojowało do Paryża. Z nadzwyczajną cichowością przyglądała się publiczność tym męzkim obliczom, ogorzałym w ciągu dwudziestu pięciu lat wojen, biorącym udział w obchodzie tak przeciwnym wszystkim ich uczuciom, ani wesołym ani też nadskakującym jak marszałkowie, lecz wyniosłym i jednocześnie

uległym żądaniu Francji, która innych w tej chwili chciała dla siebie przeznaczeń. Wpośród gorących okrzyków: *Niech żyje król!* dawały się także często słyszeć: *Niech żyje gwardja!* okrzyki pełne znaczenia, które dowodziły współczucia obecnych dla tych szlachetnych szczątków bohaterskich wojen. Sami nawet rojaliści rozsądni pojmowali zresztą tę wyniosłą i pełną poświęcenia postawę gwardji (1).

Z gorącym zapałem przyjmowano Ludwika XVIII. Głębokie wzruszenie sprawione przypomnieniem sobie Burbonów, być może że było większém przy pierwszém ukazaniu się hrabiego d'Artois, gdyż wówczas poraz to dopiero pierwszy go doświadczano. Lecz zastanowienie się nad stanem rzeczy przeniknęło wszystkie umysły tém przekonaniem, że nie można było nic lepszego zrobić nad powołanie Burbonów, gdyż tylko z nimi można było cieszyć się pokojem i rządem umiarkowanym, a ztąd zapał przy ukazaniu się króla był nie opisany. Przekonanie to wypłynęło głównie z klassy średniej, tego bezstronnego i sprawiedliwego sędziego w sprawach rządu. Król dobrej używał opinji z czasów swej emigracji i nikt nie mógł mu zaprzeczyć rozumu, co tem bardziej skłaniało na jego stronę umysły mieszczaństwa, które też przy wywieraniu wielkiego wpływu na lud, usiłujący zawsze je naśladować, gorące dla Ludwika XVIII sprowadziło oklaski. Szlachetne oblicze tego księcia, umilone jeszcze jego zadowolnieniem i jedynie widzialne w tym powozie, w którym znikało zupełnie jego ciało, podobało się wszystkim mogącym je dojrzeć. Nadto, zajęci wszyscy pokojem, co było obecnie chorobą czasu, nie żałowali wcale tego, że powołany na tron książe nie umie dosiąść rumaka, gdyż wyobraźnia publiczna lubowała się w powszechnym wówczas obrazie, wracającego ojca wpośród swe dzieci. Księżna d'Angoulême, której twarz kilkakrotnie zalewała się w tym dniu łzami, i książęta Condé, których nieszczęście we wszystkich przytomne było umysłach, jeszcze bardziej wzbudzali zapał powszechny. Pełne poszanowania okrzyki towarzyszyły aż do Notre-Dame temu powozowi, który mieścił w sobie prawie całą rodzinę Burbonów. Po odprawieniu religijnego obrzędu powóz skierował się przez most Nowy, na którym wzniesiono gipsowy posąg Henryka IV, do Tuileries, gdzie wszyscy obecni rzucili się na ratunek księżnie d'Angoulême, gdyż ta na widok pałacu, z którego jej rodzice wyszli do Temple, a z Temple na rusztowanie, omdlała. Przejmujący ten

(1) Niektórzy pisarze, a mianowicie p. de Chateaubriand, który w ogóle mało się troszczy o prawdę, jaskrawemi kolorami opisywali znalezienie się przy tej uroczystości gwardji. Wedle jednak świadectwa osób zupełnie zasługujących na wiarę, postawa jej była wzupełności taka, jakąśmy tu opisali, to jest zimna i uległa.

widok jeszcze bardziej obudził współczucie ogólne. Wprowadzona więc do pałacu swych przodków ta panująca rodzina, mogła się już uważać za zupełnie usadowioną. Aby się tak stało jednej tylko potrzeba było rzeczy, to jest, ażeby Burbonowie wprowadzili tu z sobą znajomość czasu i kraju, nad którym mieli panować. Należało nawet życzyć tego tak dla nich jak i dla Francji. Lecz w tejże samej chwili nieszczęśni emigranci pokazali nowy dowód, jak trudno będzie się im pogodzić z Francją, którą tak mało znali i nad którą od lat dwudziestu pięciu prawie się nie zastanawiali. Grenadjerzy gwardji cesarskiej, którzy bądź to w Compiègne bądź w Saint-Ouen strzegli króla i którzy myśleli tylko o pełnieniu przy nim swej powinności, zajmowali straże przy Tuileries. Dworacy, tak mężczyzni jak i kobiety, dowiedziawszy się od jakich to żołnierzy zależy ich a nadewszystko rodziny królewskiej bezpieczeństwo, w podejrzliwości swej nabawili się wielkiego przestrachu. Udali się do ministra wojny Dupont dowodząc mu, że chyba rozum stracił, kiedy ośmielił się na powierzenie w podobne sęce szacownego skarbu rodziny królewskiej. Przyzwyczajony jenerał do wierności żołnierzy francuzkich pod bronią, zaledwie rozumiał co do niego mówiono. Roześmiał się najprzód z tych obaw, lecz pomimo to przeprowadzono ważne wedle tych panów postanowienie, i tegoż samego wieczora bez najmniejszego względu dla dzielnych żołnierzy, którzy przepełnione mając serce uczuciami dla Napoleona strzegli jednak wiernie Ludwika XVIII, zmuszono ministra wojny do odebrania im zajmowanych stanowisk i do odesłania ze zniewagą do koszar. A przecież podobne serca koniecznie należało zbliżyć do siebie i rozpalić w nich miłość dla nowej dynastji (1).

Nazajutrz władze państwa poczęły ukazywać się przed rodziną królewską, powtarzając zawsze te same mowy. Następnie wojska sprzymierzone defilowały przed Ludwikiem XVIII, siedzącym na balkonie pałacu w towarzystwie monarchów europejskich, którzy ustępowali mu z nadskakiwaniem pierwszego miejsca, chcąc dowieść tém Francji poważania dla jej króla i dla niej samej.

Po tych dniach uroczystości i powinszowań, potrzeba było nakoniec przyłożyć ręki do pracowitego dzieła pogodzenia przeszłości z obecnym stanem rzeczy: należało bowiem zatwierdzić jakie wynagrodzenie dla rodzin ulegających długo proskrypcji, bez oburzenia jednak narodu, który nie chciał ponosić ofiar dla jakiejkolwiek bądź prywatnej sprawy, należało

(1) Opowiadanie to, jakkolwiek nieco innemi wyrażone słowy, jest własne ministra wojny Dupont i zawarte w pozostawionych przez tego pamiętnikach dotąd drukiem nie ogłoszonych.

przedewszystkiem wydobyć z pośród dwudziestopięcioletnich krwawych kłótni prawo i sprawiedliwość i utworzyć z nich zasadę nowego rządu. Trudne i bardzo trudne było to dzieło, ale liczyć zawsze należało, że czy to król, czy który książe jego rodziny, lub też jeden przynajmniej z ministrów pojmie ważność położenia, i tak w rządzie jak i na dworze zechce stanowczej przewagi dla polityki rozsądnej.

Krótkotrwałe rządy hrabiego d'Artois miały na sobie cechę tymczasowości i dla tego ministrowie nazywali się tylko kommissarzami różnych departamentów ministerjalnych. Potrzeba więc było utworzyć stanowcze ministerjum. Utrzymując rzeczy na tém samém, na jakiém je zastał stanowisku, Ludwik XVIII zachował istniejący za rządów hrabiego d'Artois rozdział pomiędzy radą królewską wspierającą księcia swemi objaśnieniami, a gabinetem wykonywającym jej polecenia, chociaż niektórzy z ministrów byli stałymi członkami tej rady, a inni powoływani do niej bywali tylko w celu złożenia potrzebnych wyjaśnień dotyczących ich wydziałów. Była to przeto nazbyt śmieszna kombinacja i bynajmniej nie odpowiadała formie rządu, jaki zamierzano nadać Francji.

Aby w państwie wolném, opartém na obradach zgromadzeń konstytucyjnych, była możebną jedność w rządzie, bez której niepodobieństwem jest zapewnić siłę i pośpiech w wykonaniu prawa, jak niemniej aby te prawa były odpowiednie potrzebom kraju, co tylko przy współudziale wszelkiej intelligencji da się osiągnąć, to potrzeba, żeby ministrowie powołani do sprawowania rządów pod okiem izb i króla, byli jedynymi doradzcami korony, żeby tworzyli postanowienia rządu, żeby skłaniali do ich przyjęcia tak króla jak izby i żeby następnie je wykonywali pod odpowiedzialnością zbiorową i osobistą. Pod temi to warunkami można pociągnąć wszystkie zdolności kraju do wspólnego dzieła, co jest przywilejem państw wolnych, i zarazem utrzymać jedność władzy, co stanowi przywilej rządów samowładnych, a co rzeczywiście jest tylko pozorem, gdyż podobne rządy w zasadzie bardzo często same się rozsypują. Dla tego też pomiędzy władzą królewską a zgromadzeniami narodowemi nie potrzeba innych nad ministrów pośredników, którzy są na raz twórcami, tłómaczami i wykonawcami pod swą odpowiedzialnością postanowień rządowych. Każde więcej dodane tu kółko jest nietylko bezużyteczne, ale nadto szkodliwe. Lecz w 1814 roku rzecz ta nie była jeszcze dobrze zbadaną, a nawet w Anglji samej działano bardziej skutkiem instyktu aniżeli wyrozumowania. Rząd bowiem liberalny był wówczas sztuką, która wykonywała się praktycznie w Anglji, nie mając jeszcze nigdzie napisanej dla siebie teorji.

Król przyjął po prostu jak zapis testamentowy wszystko, co mu się dostało skutkiem okoliczności, to jest radę królewską, która była tylko byłym rządem tymczasowym przeistoczonym w radę namiestnika jeneralnego, a poniżej tej rady ministrów, którzy byli lub nie byli jej członkami. Ograniczył się na stanowczém mianowaniu każdego urzędnika, utrzymując obecnych posiadaczy tak ministerjalnych, lub też zmieniając ich stosownie do okoliczności. Mianowania te były następne.

Ponieważ nikt nie mógł i nie chciał zastąpić pana Louis, który w dniach kilku zyskał zaufanie powszechne, przeto został on mianowany ministrem skarbu. Jenerał Dupont znający wybornie wojska, robiący co tylko można dla ich zaspokojenia, obdarzony większą na nieszczęście głową niż charakterem, utrzymujący się z trudnością wpośród starć różnorodnych, został przeznaczony na ministra wojny głównie z powodu, że dotąd pozostawał jeszcze pod urokiem długiej swej niełaski. Pan de Malouet, uczciwy i prawowity człowiek, pozostał ministrem marynarki. Powołano także na ministrów panów de Talleyrand i de Montesquiou przy pozostawieniu ich członkami rady królewskiej. Za rządu tymczasowego p. de Laforest był wprawdzie kommissarzem do spraw zewnętrznych, lecz p. de Talleyrand właśnie tym wydziałem kierował, gdyż sam jeden układał się o zawieszenie broni i on tylko mógł prowadzić umowy o pokój, a ztąd z konieczności został mianowany ministrem spraw zewnętrznych, pozostając nadal najważniejszym członkiem rady królewskiej, którą poczęto nazywać *wysoką radą*.

Pomimo duchownego swego charakteru, ksiądz de Montesquiou nie chciał być ani kardynałem, ani też ambasadorem przy Stolicy Apostolskiej, lecz koniecznie żądał zostać ministrem we Francji i do tego głównym ministrem. Dobrowolnie odstąpił od polityki zewnętrznej, którą skutkiem pokoju za nic nie znaczącą uważał, i która zresztą z prawa należała do pana de Talleyrand. Warował on dla siebie politykę wewnętrzną, która musiała stać się nazbyt czynną, bardzo trudną i nadzwyczaj gwałtowną. W objęciu przez siebie tego wydziału, nie jedną dla rojalistów upatrywał korzyść, gdyż wywierał pewien wpływ na swe stronnictwo, tak z tém jak i z innemi umiał obchodzić się dumnie, przyzwyczajony już był nieco do życia parlamentarnego i z łatwością mówił. Ale był on przytem drażliwy, nie posiadał tęgości umysłu i charakteru i był zasłabym do podołania branemu na swe barki ciężarowi, zadaniu, które wkrótce dla wszystkich było za ciężkiém. Stronnictwo rojalistów nie miało zresztą w tej chwili nikogo innego do zajęcia tych obowiązków, więc powołanie go na ministra spraw wewnętrznych odpowiadało zupełnie okolicznościom. Pana de Beugnot, który zarządzał czasowo sprawam

wewnętrznemi, wynagrodzono oddaniem pod jego zarząd policji z tytułem *dyrekcji jeneralnej*, co prawie wyrównywało tece ministerjalnej.

Szanowny pod każdym względem pan Henrion de Pansey, utracił zarząd sprawiedliwości. Na czele tej władzy zamierzono postawić urzędnika, któryby należał do dawnych parlamentów i wybrano człowieka posiadającego dość wiedzy, nieco wymowy ukształconej na wzorach d'Aguesseau, obdarzonego charakterem łagodnym, szlachetnym i wyznającego zasady starego rojalizmu. Urzędnikiem tym był p. Dambray. Nakoniec, nie chciano pozostawić po za obrębem członków rządu osoby takiego na dworze wpływu jak p. de Blacas, i ministrowie żądając mieć go w swym składzie, ofiarowali mu ministerstwo domu królewskiego. Poprzednio otrzymał on już urząd wielkiego szatnego, jedyny jaki wakował z wielkich godności dworu, gdyż wszystkie inne powrócono dawnym ich posiadaczom. Łaska ta w taką wbiła dumę p. de Blacas, że uważał za poniżenie przyjęcie tytułu ministra. Wielkich usiłowań potrzeba było do pokonania tej źle zrozumianej dumy, czego jednak dokonano i zmuszono prawie do przyjęcia teki, która nie obciążając go bynajmniej sprawami państwa, uczyniła jednak odpowiedzialnym za zbiorowe działanie gabinetu.

Hrabia d'Artois przyjął był do rady pana de Vitrolles z tytułem sekretarza stanu. Stanowisko w rządzie sekretarza stanu, umieszczonego pomiędzy panującym a ministrami, w celu przesyłania im postanowień monarchy, który tylko z nim jednym się znosił, upadło razem z Napoleonem. W nowym porządku rzeczy jedynie p. de Blacas mógłby sprawować podobne obowiązki, które nawet dla niego stawały się niemożebnemi. Ministrowie bowiem postanowili wspólnie z królem obradować i już poprzednio nawet nie chcieli uznać pana de Vitrolles za pośrednika pomiędzy sobą a hrabią d'Artois, co było zupełnie prostą i prawą rzeczą, skoro tylko zostali odpowiedzialnymi za swe czyny. Dla nowego sekretarza stanu pozostawało w takim razie jedno tylko zatrudnienie, to jest prowadzenie protokółów posiedzeń rady królewskiej. Ale też na te protokóła za żadną cenę nic chcieli się zgodzić członkowie rady. Panowie de Montesquiou i de Talleyrand słusznie dowodzili, że protokół tamuje swobodę obrad, gdyż obawa ujrzenia wszystkich swych słów, rzetelnie lub niedokładnie zapisanych, wstrzymuje odmówienia z zupełną otwartością nawet najszczerszych i najśmielszych członków rządu. Z tych przeto względów sekretarz stanu nie będąc ani pośrednikiem pomiędzy królem a gabinetem, ani też prowadząc protokółów, żadnych nie miał obowiązków. Towarzysze jego robili co mogli dla pozbycia się z rady królewskiej, zamierzając wynagrodzić godnością dworską. Ale się uparł, a poparty

przez książąt utrzymał się w radzie, mając za jedyny do załatwienia obowiązek notowanie zapadłych uchwał, jak niemniej znoszenie się z *Monitorem* i telegrafem. Nie najprzyjemniejsze jednak na tym urzędzie pędził chwile, gdyż był nielubiany przez swych towarzyszy, których jeszcze bardziej nie lubiał, a ztąd zostawał z nimi w ciągłej kłótni, szczególniej z panem de Montesquiou, który nigdy nie pozbywał się pychy w obec osób niżej od siebie uważanych, zwłaszcza gdy nie przyznawał im rozumu i zaprzeczał zasług (1).

Do tego składu znakomitości dodano jeszcze ministra stanu zarządzającego pocztami pana Ferrand, człowieka w wieku, światłego, niezręcznego pisarza, przesiąkłego całém zagorzalstwem i wszystkiemi namiętnościami ówczesnych krańcowych rojalistów. W zarządzie pocztowym znaczył on tyle, co pan Beugnot w zarządzie policji, to jest miał tytuł dyrektora jeneralnego i stopień prawie wyrównywający ministerjalnemu.

Taki to był stanowczy skład gabinetu Ludwika XVIII, jeżeli można nadać nazwę gabinetu zbiorowi ministrów, gdzie p. de Talleyrand, najznakomitszy ze wszystkich swém położeniem, mógł tylko znosić się z mocarstwami obcemi, gdzie p. de Montesquiou najznakomitszy po panu de Talleyrand, mógł tylko znosić się z izbami, gdzie p. de Blacas, trzeci pod względem ważności mógł tylko mięszać się do spraw dworu królewskiego, gdzie każdy z nich nakoniec działał prawie w odosobnieniu, nie będąc związany z innymi członkami ani za pośrednictwem pierwszego ministra, gdyż ten nie istniał, ani też przez radę królewską, gdyż ta nie miała naczelnika, albowiem król światły, leniwy, zajęty jedynie czytaniem klassyków nie mógł być jej naczelnikiem. Bardzo więc słusznie należało się obawiać, aby ten chaos ministerjalny nie prowadzony przez nikogo, nie został uniesiony namiętnościami chwilowemi, nazbyt nierozsądnemi, bardzo wiele wymagającemi i nadzwyczaj rozbudzonemi.

Trzeciego dnia po swém przybyciu do Paryża zwołał król radę, do której na ten raz powołani zostali wszyscy ministrowie, a także książęta, gdyż zwykle na jej obradach uczestniczyli. Król w mowie otwierającéj posiedzenia rady przemówił językiem pięknym, gładkim, ujmującym. Mówił głosem czystym, z wyniosłością i wielkiem powodzeniem, dotykając wszystkich przedmiotów w sposób dość powierzchowny, chcąc aby pierwszego dnia przynajmniej jedném słowem dotknięto każdej rzeczy.

(1) Pan de Vitrolles pisał jednak coś nakształt protokółów posiedzeń rady, nadzwyczaj krótko, zaledwie naszkicowanych, a które znajdują się dotąd w archiwum państwa i być może że są najciekawszemi papierami ze wszystkich pozostałych dotąd po rządzie pierwszej restauracyi.

Wyszczególnił wszystkie przedmioty potrzebujące zaradzenia, a mianowicie wojska, które należało zreorganizować i przywiązać do nowej dynastji; marynarkę, którą potrzeba było urządzić stosownie do obecnych środków skarbowych; istniejącą niegdyś straż przyboczną (maison militaire du roi), której wskrzeszenie zapowiedziano; skarb, który miał być miarą siły wojska i marynarki; podatki, których utrzymanie było koniecznem pomimo nieroztropnych przyrzeczeń; niedole najechanych prowincji, którym należało położyć koniec; zawiązane z państwami układy, z których miał wyjść stanowczy bez zbytniego jednak poniżenia pokój; nareszcie ustawę, którą przyrzeczono nadać najpóźniej w dniu 10 Czerwca.

Najtrudniejsze było zadanie pod względem wojska. Należało najprzód stanowczo rozwiązać zasadę poboru, mając na uwadze przyrzeczenia książąt, że takowy zostanie zniesiony. Pomimo dezercji nie zbywało zresztą na ludziach, a nawet cała trudność leżała w tém, iż było za wielu żołnierzy nieprzyjaznemi ożywionych uczuciami. Powracało z Anglji, Niemiec, Rossji, Włoch i Hiszpanji około sto pięćdziesięciu tysięcy ludzi zajmujących tam stanowiska, a prawie drugie tyle starych żołnierzy z niewoli. Znajdowało się przeto około 400 tysięcy szeregowych i przeszło 40 tysięcy oficerów, o losie których należało coś postanowić. Minister skarbu oświadczył, że po przyjęciu długu państwa będzie mógł najwięcéj 200 miljonów franków poświęcić dla wojska, co wystarczało zaledwie na opłatę połowy znajdującej się siły. Co do marynarki, należało wyrzec się zamiarów Napoleona posiadania stu okrętów, gdyż jeżeli ta liczba była już za wielką w czasie rozciągania się cesarstwa do Lubeki i Trjestu, to szaleństwemby było chcieć ją utrzymać we Francji sprowadzonej w granice z 1790 roku.

Rozpoczęto działania w ważnej tej sprawie. Rapport ministra wojny o reorganizacji, odpowiadał o ile można wszelkim wymaganiom, gdyż ściśle był połączony z obecnym niedostatkiem skarbowym. Upoważniono ministra marynarki do wszelkich ograniczeń floty, gdyż liczono na długi z Anglją pokój i nie chciano przytem obrażać tego mocarstwa rozwijaniem kosztownych i bezużytecznych sił morskich. Mając na względzie sprawy zewnętrzne, wyraził król żądzę zmienienia nazwy wielu statkom, obudzającym wspomnienia rewolucyjne, pozostawiając jednak takie, które przypominały tylko zwycięztwo, jak naprzykład *Austerlitz*, *Friedland*. Nakoniec zwrócono się do ministra skarbu, którego zamiary poprzednio już wyłożone były nieugięte. Najprzód położył on za zasadę wypłacenie wszystkich długów państwa, nie zwracając uwagi na ich pochodzenie, a nawet tak zwanych *długów Bonapartego*, które na nieszczęście były

zaciągnięte na podtrzymywanie szalonych wojen. Pomimo dobrego lub złego użycia pieniędzy, pożyczka zawsze zawieraną była w imieniu Francji, przeto zaprzeczenie jej stałoby się rzeczą zarówno gorszącą jak niepolityczną. Bez tej rzetelności w utrzymaniu zobowiązań skarbu, nie byłoby kredytu, a bez kredytu żadną miarą nie udałoby się zaspokoić wszystkich potrzeb państwa, gdyż przy każdym systemacie, jakiby obecnie do Francji został wprowadzony, podatki przynajmniej lat kilkanaście były niewystarczającemi na utrzymanie służby publicznej. Przy kredycie zaś wszystkiemu można było podołać, ale też należało koniecznie zyskać zaufanie. Kredyt nawet nie mógł zaradzić wszystkim potrzebom i dla tego potrzeba było utrzymać w zupełności wszelkie podatki. Miasto Bordeaux, przezwawszy się obecnie *miastem 12 Marca*, nie chciało wnosić do kassy ceł połączonych, czem ośmielone inne miasta południa, podobnie postępować zamierzały. Jeżeliby więc król stojący obecnie na czele rządu, nie przemówił ostro i stanowczo do ludności południowej, w takim razie zniknęłyby wszelkie środki dochodów, a z niemi i kredyt. Tak to dowodził minister skarbu.

Hrabia d'Artois powoływał się jednak na swe przyrzeczenie, że cła połączone zostaną zniesione. Uczyniłeś także książe inną jeszcze obietnicę, odpowiedział mu p. Louis, to jest utrzymanie długu publicznego, a jedna warta drugiej. Król, który nigdy się nie gniewał gdy wytykano błędy jego synowcom, a szczególniej bratu, zupełnie się zgodził na wyrzeczone przez pana Louis słowa. Pomimo iż nie chciał pozbawiać nadziei polepszenia losu, obłąkanej ludności nieroztropnemi obietnicami książąt, oświadczył się jednak z gotowością wydania odezwy, wzywającéj naród do powrócenia na drogę powinności i przypominającej mu, że podatki jak prawa wszystkich zarówno obowiązują i że wyznawanie najlepszych nawet politycznych zasad, nie może być nigdy powodem do wyrzeczenia się przyjętych ciężarów przez państwo. Postanowiono przeto, że podobna odezwa natychmiast napisaną i po zaopatrzeniu jej w podpis królewski bezzwłocznie ogłoszoną zostanie.

Z pobieżnego tego poglądu na działania ministrów: skarbu, wojny i marynarki, łatwo przekonać się można, że oszczędność stawała się nieodwołalném prawem nowego rządu, gdyż bez tej nie możnaby było zapewnić biegu służby publicznej, a nadewszystko zapewnić losu wojskom, które za jakąbądź cenę należało przywiązać do nowej dynastji. Nie można więc było marzyć ani o wydatkach, ani o przepychu, ani też o stronnictwach, gdyż załatwienie tych spraw obecnie nie było gwałtowną koniecznością. A przecież Ludwik XVIII w najprostszy sposób przemówił o istniejącej niegdyś straży przybocznej, jako o instytucji stanowczo już

przywróconej. Już mówił, dawni dowódzcy kompanji korpusu gwardji odzyskali swe tytuły. Byli to panowie: d'Havre, de Grammont, de Poix, de Luxemburg. Lecz to jeszcze niedosyć; chciał bowiem powiększyć liczbę kompanji i mianować nowych dowódzców, wybranych z wojsk cesarskich. Chciał co więcej przywrócić kompanje czerwone. Postanowienie jego w tym względzie było nieodwołalne, gdyż, jak mówił, tylko z braku straży przybocznej silnie urządzonej, tyle wycierpiała w roku 1789 rodzina królewska, a z nią i Francja cała.

Dla dokładnego pojęcia jak nierozsądnym był zamiar przywrócenia straży przybocznej, trzeba wiedzieć, że tu chodziło o zgromadzenie, pod nazwaniem *kompanji czerwonych*, dwóch lub trzech tysięcy szlachty, z których jedni za starzy a drudzy zaledwie młodzieniaszki, zupełnie byli niezdolni do pełnienia rzeczywistej służby żołnierskiej; że tu chodziło o przystrojenie ich we wspaniałe mundury i obdarzenie stopniem oficerskim, nie niższym jednak od kapitana. Z drugiej zaś strony chodziło o zgromadzenie, pod nazwą korpusu gwardji, trzy tysiące młodych ludzi, którzyby mieli stopień podporucznika jazdy. Dodawszy tu jeszcze jakie cztery tysiące ludzi, których postanowiono uorganizować jako piechotę i artyllerję, to wznowiona straż przyboczna liczyłaby razem około dziesięciu tysięcy, kosztujących tyle co 40 lub 50 tysięcy dobrych żołnierzy i to w chwili, w której koniecznością się stawało wypchnąć z szeregów wojska 200 tysięcy wiarusów i 30 tysięcy dzielnych, w boju doświadczonych oficerów, pokrytych ranami i skazanych na nędzę. Urządzona w ten sposób straż przyboczna, kosztowałaby najmniej 20 miljonów franków, pomimo iż lista cywilna ponosiłaby na nią część wydatków. Było to więc wielkim nierozsądkiem rozsypywać podobną summę ze szczupłego budżetu ministerstwa wojny i tym sposobem nadarzać sposobność tak źle dla dynastji usposobionym wojskom, do porównywania swego niedostatku ze zbytkownem utrzymaniem straży przybocznej. Ludwik XVIII chciał rzeczywiście uszanować położenie gwardji cesarskiej, ale jakżeż można pogodzić wszystkie te rzeczy, jakżeż nadewszystko można było wystarczyć na wydatki jednej i drugiej.

Burbonowie przybyli do Francji z ułożonym już planem postępowania w najważniejszych rzeczach. Przywróceniem straży przybocznej chcieli oni zapewnić utrzymanie biednej szlachcie (jedyna wymówka tak wielkiego błędu) i wierzyli nawet, że sześć tysięcy dobrze uzbrojonej szlachty zdoła powstrzymać wszelką rewolucję. Doświadczyli jednak wkrótce swej słabości w obec rewolucji, nawet przy wsparciu najdzielniejszej szlachty. Żaden z członków rady nie ośmielił się robić zarzutu tak stanowczo wynurzonemu życzeniu króla. Nawet minister skarbu nie

odezwał się w tym przedmiocie. Dostarczył o ile tylko mógł pieniędzy, postanowił więcej wprost od siebie na ten cel nie udzielać, odsyłając tę sprawę do ministra wojny, jako do bezpośredniego naczelnika straży przybocznej króla. Ten zaś nie życzył sobie zadzierać ze szlachtą francuzką, gdyż zamierzał otworzyć dla się świetne stanowisko w zawodzie wojskowym. Panowie de Talleyrand i de Montesquiou dość byli potężni, aby się nie obawiać szlachty, lecz gdy pierwszy lubiał ją zawsze oszczędzać, a drugi nie miał nic do nadmienienia w tej okoliczności, przeto nie znalazł się żaden opór przeciw postanowieniu, które okazało się z czasem tak zgubném dla dynastji. Król przecież starał się okazywać swą pamięć o wojsku i dla tego oświadczył, że utworzy wyższą radę wojenną, czuwającą nad jego interesami, złożoną z książąt, wielu marszałków i kilku jenerałów dywizji wszelkiej broni. Przewodnictwo tej rady sam na siebie przyjął.

Następnie zajęto się niedolą prowincji najechanych. Można się już było przekonać, że na umowie z 23 Kwietnia Francja została oszukaną. Wojska cudzoziemskie, które w miarę opuszczania przez Francuzów twierdz zagranicznych powinny były ustępować z Francji, ani się dotąd ruszyły. Dowódzcy chcieli koniecznie spieniężyć znalezione zapasy w magazynach i arsenałach francuzkich. Domagania się swoje posuwali oni aż do tego stopnia, że zamierzali wypróżnić magazyny solne i wyciąć lasy na własny rachunek, zwłócząc swe wyjście rozpieraniem się o prawo do podobnych czynów. Poniesione przeto ofiary, przez opuszczenie największej wagi odległych stanowisk, zostały bez wynagrodzdnia, a nadzieja przyniesienia ulgi krajowi przez traktat z 23 Kwietnia, pokazała się tylko marzeniem.

Król bardzo energicznie wyrażał się w tym przedmiocie, a zapalczywy zawsze książe de Berry powiedział, że nie można ścierpieć, aby pustoszono Francję bez żadnej zasady, gdyż Napoleon wyruszył już na Elbę, a wszyscy dowódzcy wojska francuzkiego poddali się nowemu porządkowi rzeczy. Polecono przeto panu de Talleyrand, aby pomówił w tym przedmiocie z monarchami sprzymierzonymi ich ministrami, jak niemniej, aby zażądał od nich stanowczych wyjaśnień. Polecono mu także przystąpić do koniecznych umów pod względem zawarcia pokoju. Nakoniec co do konstytucji, król nic albo prawie nic dotąd nie powiedział. Należało przecież koniecznie dotrzymać danych zobowiązań i zwołać na 10 Czerwca senat i ciało prawodawcze. Ze swej strony monarchowie sprzymierzeni życzyli sobie także opuścić Francję, już to powoływani do swych krajów ważnemi sprawami, już też niecierpliwie oczekując chwili podziału łupów zdobytych na wielkiém państwie, a przed wyjazdem chcieli

ujrzeć skutki pokoju i przymawiali się o nie często, a najbardziej Cesarz Aleksander. Oświadczyli oni, że dotąd nie będą uważać swych zobowiązań zaciągniętych względem Francji, a szczególniej względem tych, którzy oswobodzili ich od Napoleona, za zupełnie wykonane, dopóki kwestja konstytucji stanowczo rozstrzygniętą nie zostanie. Skutkiem tych różnych powodów Ludwik, XVIII postanowił uprzedzić termin zebrania się senatu i ciała prawodawczego i powołał te zgromadzenia na dzień 31 Maja w miejsce 10 Czerwca, a ztąd koniecznie należało się spieszyć z redakcją nowej ustawy.

W przedwstępnych rozbiorach wielkich spraw państwa, Ludwik XVIII pokazał się swym radcom godnym, dobrze mówiącym, a być może nawet trochę powierzchownym, lecz tylko dla tych, którzy jak panowie de Talleyrand, Louis i jenerał Dessoles byli zdolni do gruntownego ocenienia rzeczy. Członkowie rady byli jednak zadowoleni i wedle zwyczaju zadowolenie swoje w większych daleko rozmiarach, aniżeli ono było rzeczywiście, światu okazywali.

Pan de Talleyrand, któremu minister spraw wewnętrznych wyłożył straszne nadużycia popełniane w prowincjach francuzkich, rozmówił się w tym przedmiocie z monarchami sprzymierzonymi i ich ministrami. Dość było powołać się na tekst traktatu z 23 Kwietnia, aby dowieść im niesprawiedliwego postępowania, gdyż wyraźnie w umowie powiedziano, że od daty jej zawarcia ustaną rekwizycje, że wojska sprzymierzone rozpoczną swój odwrót i że tylko podczas przechodu okolice położone na drodze powinny dostawiać żywności. Pomimo nawet, że same warunki umowy mogły dostarczyć wymówek do nadużyć, to przecież te jakich się dopuszczano były tak ogromne, tak szkaradne, że żadną miarą wytłómaczyć ich nie było można. Cesarz Aleksander pokazał się szczerze oburzonym, zapewnił że wydał stosowne rozkazy i że takowe ponowi. Chciwy i pożądający dobrego zarobku dla swego wojska król Pruski, widocznie się zakłopotał i zarówno przyrzekł wydanie nowych rozkazów. Książe Schwarzenberg dobrze, ale z podejrzaną szczerością mówił. Pan de Talleyrand oświadczył więc ministrom państw sprzymierzonych, że ponieważ wszyscy się zgadzają na niesprawiedliwość popełnianych czynów, przeto nie wezmą za złe, jeżeli król w odezwie do swych poddanych, poleci odmawiać wszelkim nieprawym żądaniom dowódzców wojsk obcych, tak co do rekwizycji, jak i sprzedaży przedmiotów należących do państwa. Nie ośmielili się wzbraniać wydania takiego polecenia, gdyż byliby się przyznali do wspólnictwa w popełnianych nadużyciach. Natychmiast więc napisano zgodną ze stanem rzeczy odezwę i przedstawiono

ją radzie królewskiej. Jednocześnie wydano także inną co do ceł połączonych, tak trudnych do ściągania w prowincjach południowych.

Odezwa przeznaczona do prowincji najechanych, powoływała się na traktat z 23 Kwietnia, którego było celem, by Francja jak najspieszniej mogła używać pokoju. Nakazywała ona wierne wypełnienie warunków traktatu, skutkiem czego dobre obchodzenie się z wojskami sprzymierzonemi i dostarczanie im podczas odwrotu potrzebnej żywności. Ale też przypominała zarazem uczynione zobowiązania się względem Francji, to jest niewyciskanie kontrybucji wojennej i poszanowanie własności publicznej i prywatnej. Polecała ztąd opieranie się wszelkim nieprawym wymaganiom i zabraniała kupowania przedmiotów sprzedawanych przez wojska cudzoziemskie, jak drzewa, soli i t. p. rzeczy ruchomych, oświadczając z góry, że podobne kupno nigdy za prawe uznaném nie zostanie. Ostrożność tu była dobrą, gdyż co do drzewa naprzykład, to ścięcie i wywiezienie go z lasu kilku wymagało miesięcy, ztąd każdy obawiał się kupować, pewnym będąc, że po ustąpieniu najazdu nie będzie mógł uzyskać zakupionego przedmiotu. Smutno pomyśleć, że potrzeba było użyć aż podobnych środków na powstrzymanie Francuzów od łupieży własnego kraju, lecz ponieważ ta smutna konieczność istniała, przeto przedsięwzięta ostrożność była na swojém miejscu. Była ona zresztą napisana z godnością, śmiało i nie obrażała monarchów sprzymierzonych, choć była surową dla ich jenerałów.

Odezwa ta jednogłośnie została w radzie zatwierdzona i natychmiast ogłoszona. Druga zaś, odnosząca się do ceł połączonych, nie była tak jednomyślnie popieraną i spotkała wiele oporu ze strony książąt. Powoływano się ciągle w tym przedmiocie na poczynione obietnice przez hrabiego d'Artois i jego synów. Ten książe bowiem na nowo się uparł, przypomniał poczynione ludowi obietnice i powołał się na wybornego obecnie dla Burbonów ducha, w najuporczywszych nawet poprzednio prowincjach. Ale pan Louis nie dał się zachwiać podobnemi uwagami i oświadczył, że w sprawach skarbowych najlepiej myślą ci, którzy akuratnie opłacają podatki i że konieczną jest rzeczą, aby każdy poddał się prawu, bez czego niepodobieństwem byłoby rządzić, a ztąd dodał, że daleko lepiej ustąpić miejsca tym, którzyby podjęli się sprawować władzę wpośród podobnej anarchji. Znudzony król ciągłém słuchaniem o poczynionych obietnicach przez swego brata i synowców, zmordowany rojalizmem wzbraniającym się płacić podatków, powiedział, że Wandejczycy zarówno jak Bordolanie byli rojalistami, a jednak ponosili wszystkie ciężary publiczne. Jeżeliby król dobrze o wszystkiem był objaśniany, toby wiedział także, że pod względem podatku od soli Wandejczycy nie po-

stępowali lepiej od Bordolanów przy wnoszeniu podatków od wina. Porównanie to jednak jeżeli nie do Wandejczyków to do innych rojalistów trafnie zastosowaném było, a ztąd minister skarbu poparty przez króla i swych towarzyszy, wymógł odezwę o którą mu chodziło. Ogłoszona ona została jednocześnie z wydaną do prowincji najechanych.

Odzywając się w tej odezwie do prowincji uprawiających wino, oświadczył król, że chciałby podobnie jak Henryk IV i Ludwik XII zasłużyć na miano ojca ludu i być w możności zniesienia wszystkich uciążliwych podatków. Te podatki jednak złagodzone już wiele pod względem formy, były koniecznemi, aż dopóki nie wynajdzie się innych środków do ich zastąpienia lub też do zupełnego się bez nich obejścia. Kraj bowiem święte mając zobowiązania względem wierzycieli państwa i względem wojska, nie będzie w stanie im zadość uczynić, jeżeli skarb pozostanie w rozstrojeniu. Potrzeba nadto dać przykład poszanowania prawa, jeżeli chcemy uchronić naród od strasznej anarchji, a ztąd spodziewa się król, że jego poddani z prowincji południowych, którzy każdodziennie świadczą o swém przywiązaniu do tronu, zechcą dać prawdziwy jego dowód i poddadzą się konieczności. W końcu dodał, że woli ich ostrzedz, aniżeli od razu karać, lecz jeżeli po ostrzeżeniu głos jego nie będzie wysłuchany, zmuszony zostanie do przedsięwzięcia surowych środków, aby zapobiedz nieładowi w skarbie, obalaniu praw i upadkowi państwa.

Obiedwie te odezwy choć bardzo użyteczne, ale były tylko słowami, które bardzo przyjemnie było słyszeć z ust naczelnika domu Burbonów. Postawieni jenerałowie nieprzyjacielscy w obec nieuznania ich czynów przez monarchów i odezwy Burbonów, których byli sprzymierzeńcami, wystawieni nadto na opór ze strony ludności, utracili nieco na odwadze przy popełnianiu nadużyć i zmuszeni zostali do większej oględności. Co zaś do prowincji niechcących płacić podatków, to słowa króla nie były zdolne do ich uśmierzenia, ale za to bardzo wyraźne pod względem przymusu w płaceciu, dodały władzom materjalnej siły, jakiej im aż dotąd brakowało i przyspieszały chwilę, w której wpływy mogły być przywrócone.

Po załatwieniu się z temi nagłemi sprawami, należało zająć się bezzwłocznie tak pokojem jak i ustawą, aby położenie Francji stanowczo urządzić, bądź to pod względem jej stosunków z Europą, bądź też ze względu na sprawy wewnętrzne.

Prostém następstwem rzeczy, pan de Talleyrand powinien był być głównym pełnomocnikiem rządu przy ważnych o pokój układach, a zadanie to nawet dla niego nie było łatwém. W każdodziennych nad tym przedmiotem rozprawach, bardzo wiele słów zamieniano przed sta-

nowczém przystąpieniem do rzeczy. Dwie ważne kwestje potrzeba było rozwiązać w sprawie pokoju, to jest odnoszącą się w szczególności do Francji i dotyczącą całej Europy. To też pomimo że mocarstwa sprzymierzone miały stale oznaczone swe żądania i domyślnie już dozwalały jedne drugim na pożądane zabory; pomimo że Anglja chciała koniecznie przyłączyć Belgję do Hollandji, by tym sposobem silne utworzyć państwo, w celu oddalenia Francji od ujścia rzek wielkich; pomimo że Austrja oprócz Włoch, pożądała nadto części brzegów Renu dla zamiany ich z Bawarją na Tyrol; pomimo że Rossja i Prusy chciały Polski i Saksonji na podział pomiędzy sobą, co razem skłaniało wszystkie cztery mocarstwa do odebrania Francji Renu, by z łatwością przeprowadzić wszystkie te zmiany; to przecież nawet przy wzajemném zezwalaniu sobie na te zabory, pozostawało jeszcze tyle drugorzędnych kwestji do rozwiązania, tak pod względem położenia jakiejś zasady przy tych podziałach, jak i co do utrzymania pewnego rodzaju równowagi europejskiej, aby małe państwa nie zostały poświęcone na ofiarę wielkim mocarstwom, że zgoda nie była łatwą i że długich a mozolnych potrzeba było usiłowań do jej otrzymania. Z pobieżnego więc tylko poglądu można było poznać, że potrzeba przynajmniej kilku miesięcy na pogodzenie spraw wszystkich, a tych kilka miesięcy monarchowie sprzymierzeni nie chcieli przepędzić w Paryżu. Z drugiej także przyczyny, aby Francja nie znalazła sposobności mięszania się do rozpraw nad tak licznemi kwestjami, nie chciano obradować w Paryżu. Nie życzono sobie nadewszystko postawić Francji w korzystném położeniu, skutkiem kłótni przy układach, zwłaszcza kiedy prawie pewną było rzeczą, iż tych niepodobna będzie uniknąć. Pomimo bowiem moralnego tryumfu, podobna sposobność zapewniłaby Francji silne stanowisko, przez przerzucanie się to na jedną lub drugą stronę i tworzenie sobie tym sposobem przymierza. A chociaż mocarstwa sprzymierzone głosiły, iż mają zamiar lepiej się z nią obejść aniżeli w Châtillon, to jednak w gruncie rzeczy nie troszczyły się o to zupełnie, mając stałe postanowienie, czy to pod Burbonami, czy pod Napoleonem, zepchnąć ją w dawne granice i wyłączyć o ile tylko można od rozpraw nad nowém urządzeniem Europy. Pan Metternich, dzięki głębokiej i strasznej swej przenikliwości, natychmiast po przybyciu przeważnego nabrawszy wpływu na tworzące się układy, pojął, że należy najprzód ukończyć sprawę z Francją, aby mniej mieć kłopotu przy wzajemnych pomiędzy sobą układach państw sprzymierzonych.

Zasadę tę podzieliły wkrótce wszystkie dwory i skutkiem tego postanowiły ukończyć w Paryżu układy z Francją, odkładając do kongresu powszechnego, mającego się zebrać w jednej z wielkich stolic stałego

lądu, zawarcie traktatu, któryby urządził nową równowagę europejską. Z powodu zaś, że Austrja przeważyła zwycięztwo przystąpieniem do koalicji pomimo związków krwi, przeto nadzwyczaj uwzględnioną została, gdyż zapadło postanowienie, że przyszły kongres odbędzie się w Wiedniu.

Zawiadomieni o tém wszystkiem pełnomocnicy francuzcy, najmniejszego nie stawili oporu. Postanowienie mocarstw sprzymierzonych niepokazywało się złém na pierwszy rzut oka, gdyż zależało na spiesznem zakończeniu wojny, a ztąd potrzeba było najprzód ułożyć się z Francją, przeciw której one broń podniosły. Nic nie sprzeciwiało się także pozostawieniu na później układów mających ustalić nowy porządek rzeczy w Europie, gdyż potrzeba nawet było, aby monarchowie mieli czas zajrzeć do swych krajów, zapewnić bieg najważniejszym sprawom państwa i dopiero poświęcić się zupełnie i stanowczo sprawom, które dotyczyły całego świata. Trudno więc było zarzucić coś podobnemu planowi, tak upozorowanemu, a tak gruntownemu jak się zdawało. Nic mu też w samej rzeczy nie zarzucano, gdyż ówczesna Francja spieszyła z zawarciem pokoju, któryby wywołał szczęśliwe porównanie pomiędzy rządami Burbonów a Napoleona.

Po takiém przedwstępném załatwieniu sprawy, postanowiono zająć się natychmiast urządzeniem stosunków z Francją. Rzecz o granice była tu najpierwszą i bezporównania najważniejszą. Niejednokrotnie już powtórzono, że mocarstwa sprzymierzone zupełnie inaczej będą traktować Francję pod Burbonami, aniżeli pod Bonapartami. Poparto nawet ustne zapewnienia na piśmie, gdyż w bardzo wielu ogłoszeniach publicznych występowano z podobnemi obietnicami. Przy rozprawach nad umową z 23 Kwietnia nadarzyła się sposobność do dotrzymania słowa, więc wspominano o powiększeniu granic Francji z roku 1790 jakim miljonem poddanych, ale wspominano w sposób niedokładny i nieokreślony. Nieodbiegano przecież nigdy, ani pośrednio, ani bezpośrednio od zasady granic z 1790 roku, i z wyjątkiem chyba Napoleona zwycięzkiego, niktby nie zdołał wymódz jakich ustępstw w tym względzie. Żądała bowiem Anglja utworzenia królestwa Niderlandzkiego, Austrja Tyrolu i Włoch, Rossja Polski, Prusy marzyły o Saksonji, a bez odebrania Francji lewego brzegu Renu, niepodobieństwem się stawało zaspokoić podobne żądania. Wszelkie przeto usiłowania o zmianę zasady granic do niczegoby nie doprowadziły. Byłoby to prostém wystawianiem na czystą stratę potrzebnej gdzieindziej stałości charakteru przy układach. Skutkiem czego rząd francuzki postanowił trzymać się tej zasady i zwrócić swe usiłowania na zyskanie czegoś przy kreśleniu granicy 1790 roku, zwłaszcza gdy miał przyrzeczenie zyskania tu ustępstw.

Na pełném zebraniu rady królewskiej, pan de Talleyrand otrzymał w tym przedmiocie niejakie instrukcje. Bardzo wyraźnie mu zalecono, aby usiłował otrzymać ten przyrzeczony miljon ludności na północy Francji i nie zgadzał się na podobną ofiarę w stronie południowo-wschodniej to jest w Sabaudji. Dom Sabaudzki, jednocześnie z Burbonami na tron przywracany, był dla Ludwika XVIII domem pokrewnym i przyjacielskim, a ztąd miał król odrazę do zabierania po nim puścizny; nadewszystko zaś nie można było nie zwrócić uwagi, że granice Francji potrzebowały rozszerzać się raczej na północ, aniżeli w stronę południową. Zalecono nadto panu Talleyrand, aby domagał się koniecznie całkowitego zwrotu francuzkich kolonji i nie przystawał na żadną kontrybucję wojenną.

Zasada rozszerzenia granic w stronie północnej a nie południowej, chociaż natchnięta w części uczuciem familijném, była bardzo rozsądną. Można tu było oznaczoném powiększeniem miljona dusz umocnić granicę państwa, która niewiele powiększając znaczenie terrytorjalne i nie będąc tak silną jak nad Renem, czyniłaby ją przecież bardzo obronną. Posuwając ją bowiem nieco naprzód i przeprowadzając przez Nieuport, Ypres, Courtray, Tournay, Ath, Mons, Namur, Dinant, Givet, Neufchâteau, Arlon, Luxembourg, Sarrelouis, Kaisers-Lautern, Spire, zyskałoby się nie tak rozległe nabytki jak i silne na północy stanowisko, gdyż do łańcucha fortec francuzkich przybyłby jeszcze szereg twierdz belgijskich. Znakomite fortyfikacje Luxemburga wzmocniłyby się jeszcze ważnemi stanowiskami: Kaisers-Lautern w Wogezach i Landau nad Renem. Byłoby to więc pewném wynagrodzeniem za utraconą linję Renu i ogromną poprawą linji granicznej z 1790 roku. Sama podobna granica zasługiwała na to, aby nie jedną stoczyć dla niej bitwę.

Towarzyszący przy układach panu de Talleyrand dwaj pełnomocnicy, panowie de Laforest i d'Osmond z wielką bystrością nakreślili na mapie tę nową linję graniczną. Zaraz na pierwszém zebraniu pełnomocników, na którém pan de Talleyrand nie był obecny, gdyż zamierzał znosić się osobiście z monarchami i ministrami państw sprzymierzonych, przedstawili oni swe żądania w bardzo gruntownie napisanym memorjale. Powołując się na kilkakrotnie powtarzane przyrzeczenia mocarstw, że Francja pozostanie wielką i silną i że w tym celu nawet uroczyście zapewniono o dodaniu jakiego miljona ludności do dawnych jej granic, dowodzili, iż dla utrzymania równowagi europejskiej w obec powiększenia się państw wszystkich od czasu rozbioru Polski, Francja jedna nie może być skazaną na pozostanie tém, czém była w końcu zeszłego wieku.

Zaledwie pełnomocnicy państw sprzymierzonych wysłuchali czytanego memorjału i rzucili okiem na przedstawioną mappę, natychmiast

wielkie okazali zadziwienie z usłyszenia rzeczy tak niespodziewanej i nieprzewidzianej, i żywo przeciw żądaniom francuzkim wystąpili. Tylko o granicach z 1790 roku wedle ich dowodzenia była dotąd mowa. Nic nie słyszeli, aby kiedykolwiek wspominano naprawdę o jakiémkolwiek ich rozszerzeniu, po pierwszy raz dopiero o tém się dowiadują i w instrukcjach swych ani wzmianki o podobnych ustępstwach nie mają. Jedynie pełnomocnik angielski rozbierając rzecz tę gruntowniej, dodał, że tym sposobem rozbiłoby się Belgję, coby się stało przeciwném przyjętym zobowiązaniom względem Belgów, że kraj ich nie będzie dzielony i oddawany pod różne rządy. Odpowiedzieli na to pełnomocnicy francuzcy, że jeżeli Belgowie nie mieli chęci należeć do Francji pod rządami Napoleona, a to z powodu poboru wojskowego i ceł połączonych, to zupełnie inaczej poglądają na pozostawienie ich pod władzą Burbonów. Rozwodzili się dalej nad zupełną zmianą obecnie zasad tego narodu, gdyż ci, którzyby pozostali nadal pod rządem francuzkim, aniby pomyśleli o jakimkolwiek w tym względzie oporze, gdy tymczasem część oddana pod władzę Hollandji, oburzałaby się na swe położenie, co stawało się już widocznem od czasu jak zalana Belgja wojskami niemieckiemi i angielskiemi zaczęła przemyśliwać, jaki może być jej los pod rządem państwa protestanckiego. Przeciwnicy nic tu nie odpowiedzieli, a nawet nie przytoczyli tego ważnego powodu, że jeżeliby Francja przy łańcuchu swych twierdz zajęła jeszcze i belgijskie, w takim razie przyszłe królestwo Niderlandzkie zostałoby bez granic obronnych. Bronili się jedynie okazywaném zadziwieniem i dowodzili, że żądania Francji są tak nowe, tak nieprzewidziane, iż niepodobieństwem staje się rozbierać je bez stosownego przygotowania. Prostém następstwem rzeczy należało zawiesić to pierwsze posiedzenie, by każdy z pełnomocników mógł się odnieść do wyższej władzy.

Pełnomocnicy francuzcy donieśli panu de Talleyrand o wywartém wrażeniu ich pierwszém wystąpieniem, by on z swej strony rozmówił się w tym przedmiocie z osobami główny wpływ wywierającemi na losy Europy, to jest z monarchami sprzymierzonymi lub ich ministrami. Przy zawieraniu umowy w dniu 23 Kwietnia, gdy chodziło o ustąpienie z twierdz najważniejszych, zrobiono mu niejakie przyrzeczenia, ale były to obietnice tak nieokreślone, że gdyby obecnie ich zaprzeczano, to nie byłby nawet w możności oskarżać sprzymierzonych o brak wiary, gdyż to za zniewagę mogłoby być poczytaném. Czerpiąc nadto całą swą siłę przeciw emigracji z poparcia monarchów obcych, pan de Talleyrand nie mógł w tym razie użyć do swych przedstawień tej energji, którąby mogła zapewnić słowem jego potrzebne znaczenie.

Kilkakrotnie jednak mówił w tym przedmiocie z lordem Castlereagh,

panami Nesselrode i Metternich, największego znaczenia przy układach osobami. Lord Castlereagh wyobrażał mocarstwo, któremu Ludwik XVIII okazywał najwięcej wdzięczności i od którego można się było spodziewać najwięcej ustępstwa. Nie było tak przecież. Pan de Talleyrand znalazł go szczerym, przyjacielskim, lecz zupełnie podobnym do wszystkich Anglików gdy o ich chodzi sprawę. Anglja bowiem chciała utworzyć silne królestwo Niderlandzkie i w tym celu zamierzała koniecznie wcielić doń całą Belgję, a ztąd nie mogła się zgodzić na osłabianie tej budowy przez pozbawienie stanowisk obronnych. Miała ona ciągle w pamięci blokadę lądową, a ztąd zamierzała zamknąć dla Francji ważniejsze wybrzeża. Dodać tu jeszcze wypada, że chciała zarazem wynagrodzić Hollandję za kolonje, do zabrania których gotowała się, a mianowicie za Przylądek Dobrej Nadziei. Ztąd lord Castlereagh w sposób najgrzeczniejszy przemawiał tak stanowczo, że najmniejszej nie pozostawiał nadziei. Odwołanie się następnie do panów Nesselrode i Metternicha nie lepszym uwieńczyło się skutkiem, pomimo że obadwa nie mieli żadnego w tej sprawie interesu, gdyż ani Rossja ani też Austrja, nie przywiązywały wagi do granic Francji ze strony Niderlandów. Pan Nesselrode okazał się tu dość oziębłym, czém wyobrażał dokładnie obecne usposobienie swego pana. Wyniosłość Ludwika XVIII, jego brak skwapliwości w zaspakajaniu rozmaitych żądań Rossji, zwłaszcza duch, który ożywiał Burbonów, szczególniej nie podobały się Aleksandrowi. Ludwik XVIII pospieszył z ofiarowaniem niebieskiej wstęgi księciu rejentowi Angielskiemu, a ani pomyślał o wręczenu jej Cesarzowi Rossyjskiemu, który przecież był głównym sprawcą upadku Napoleona i restauracyi Burbonów. Cesarz Aleksander nadzwyczaj poważał pana de Caulaincourt i dla tego bez starań nawet tego znakomitego człowieka chciał mu zapewnić łaskę królewską, lecz Ludwik XVIII zaledwie słuchał wstawiania się za nim. Był także zamiar połączenia księcia de Berry z wielką księżniczką Anną, tą samą, która przyrzeczona była w małżeństwo Napoleonowi, lecz przywrócona na tron rodzina najmniejszej w tej sprawie nie okazywała gorliwości, chociaż wspominano o tém od czasu do czasu. To też Cesarz Aleksander stał się na raz obojętnym i chętnie powtarzał swym sprzymierzeńcom, iż powątpiewa aby najlepiej dla Francji i Europy postąpiono, przez powołanie na tron Burbonów.

Oziębłości więc tylko można się było spodziewać ze strony Rossji i tę też spotkano. Od Austrjaków zaś należało wyczekiwać czegoś lepszego, gdyż jeżeli na nowym dworze francuzkim lubiano mówić, że Cesarz Aleksander pomimo całego swego dowcipu zanadto jest skory do udzielania rad, to za to przeciwnie dowodzono o mądrości

cesarza austrjackiego, który nie był ani liberalnym, ani radził ludziom, którzy go o to nie prosili i bardzo zgadzał się na to, aby jak najmniej dano Francuzom swobody. To też od niejakiego czasu daleko lepiej porozumiał się Ludwik XVIII z teściem Napoleona, aniżeli z którymbądź innym monarchą. Pan Metternich był zawsze słodkim, przyjacielskim, najkorzystniej usposobionym dla Burbonów, którym jak mówił, należało strzedz się niepopularności. Pomimo to wszystko zdawał się być jednak nadzwyczaj zakłopotanym. Od czasu jak Rossja nabrała przewagi, Austrja została na nowo szczerze zjednoczona ze swą stałą przyjaciółką Anglją. Zgadzała się z nią na wszystko i pewną była stanowczego jej poparcia w sprawach włoskich. To też gdy Anglja oświadczyła zamiary względem zepchnięcia Francji w granice z 1790 roku, Austrja nie mogła być przeciwnego zdania. Pan Metternich dał do zrozumienia, że jego pan nie ma powodu do sprzeciwiania się rozszerzeniu granic Francji ku Belgji lub prowincjom Nadreńskim, ale też pozwolił domyślać się, iż za wolą Anglji musi postępować Austrja. Nie zaprzeczał udzielonego przyrzeczenia Francji, że rozszerzy swe granice o jaki miljon ludności, ale też dodał, że to było tylko ogólnikowe orzeczenie i że ten miljon mógł się ograniczyć na 500 tysiącach dusz; że nadto mieściło się w tém przyrzeczeniu hrabstwo Avignon i księstwo Mentbeliard, które miały być dodane do granic z 1790 roku; że bezwątpienia można będzie zyskać coś na północy, lecz nadewszystko Francja może być rozszerzoną tylko w stronę Sabaudji i że jeżeli tym sposobem zbierze się tu i owdzie do 500 tysięcy ludności, to nic nie będzie stać na przeszkodzie do wyrażenia, że powiększyła swe granice o jaki miljon ludności. Dodał nadto, że mocarstwa sprzymierzone chcące uczynić popularnymi Burbonów spodziewają się, iż rząd francuzki nie zada im kłamstwa i sam publicznie ogłosi, że nabył miljon poddanych po za granicami z 1790 roku.

Widoczną przeto stawało się rzeczą, że Francja zostawała bez poparcia, gdyż Prusy nie mięszały się zupełnie do tej sprawy, lub też w razie przeciwnym łączyły ze swymi sprzymierzeńcami. Przygotowywały się one tylko do podniesienia sprawy pieniężnej, która najbardziej przypadała im do smaku, a ztąd nie chciały zobojętnić dla siebie sprzymierzonych jakiémkolwiek przeciw nim wystąpieniem. W tej więc chwili nic a nic nie można było spodziewać się od zwycięzców.

Trzeba się było odnieść do rady królewskiej, przedstawić jej całe położenie i zażądać nowych rozkazów. Od kilku już miesięcy oburzenie powszechne, a można nawet powiedzieć nieprawiedliwe, podniosło się przeciw umowie z 23 Kwietnia, skutkiem której Francuzi opuścili prawie wszystkie twierdze europejskie. Zostali oni naprawdę oszukani i chcąc

jak najprędzej zakończyć klęski sprowadzane przez wojnę, ani o jeden dzień nie przyspieszyli cofnięcia się nieprzyjaciół z prowincji najechanych. Zamiary rządu przecież były prawe i podzielane przez wszystkich, i tylko niezadowoleni podnosili krzyki przeciw zawartej umowie, gdyż bezstronni pojmowali aż nadto obecne położenie. Dziwną przecież stawało się rzeczą, że członkowie rady królewskiej podzielali zasady niezadowolonych, gdyż skoro tylko p. de Talleyrand oskarżył sprzymierzonych o brak wiary, prawie wszyscy obecni na radzie powstali na umowę z 23 Kwietnia, pozbawiającą Francję wszystkich zastawów, pomimo że pomienioną umowę powszechnie przy jej zawieraniu przyjęto. Książe de Berry bez zamiaru oskarżania własnego ojca, lecz skutkiem wrodzonej gwałtowności namiętnie przemówił, że to są owoce popełnionego błędu przez tak spieszne podpisanie nieszczęsnego tego rozejmu. Król złośliwie spoglądał na brata i synowca, zdając się potwierdzać słowa ostatniego Do żywego dotknięty hrabia d'Artois powiedział, że dzisiaj łatwo sądzić skutki umowy, lecz w pierwszych chwilach rząd robił co mógł i że ci, którzy tak na działania jego powstają, sami nie lepiej byliby postąpili. Mógłby nawet książe dodać, że potrzeba spiesznego pozbycia się nieprzyjaciela z prowincji najechanych, tak powszechnie była wówczas panującą, iż ani jeden głos nie podniół się przeciw podpisaniu tej umowy, tak w radzie królewskiej jak i gdzieindziej. Poprzestał jednak na okazaniu wielkiego smutku, a to smutku człowieka uczciwego, któremu złém za dobre płacą i utwierdził niejako przekonanie, że to on wszystko bez powetowania stracił za spieszném podpisaniem umowy z 23 Kwietnia. Pan de Talleyrand zaś, który był główną sprężyną przy zawieraniu rozejmu, ani słowem nie wmięszał się do rozpraw, zachowując ciągle zimne i pogardliwe milczenie.

A przecież ci sami, którzy tak powstawali na umowę z 23 Kwietnia, prawie podobny błąd popełniali niepotrzebnym pośpiechem. Po przekonaniu się bowiem, że wszystkie obietnice pozostały czczém słowem, należało kwestję pokoju odłożyć do samego kongresu, który za kilka miesięcy miał rozstrzygać w Wiedniu wielkie sprawy europejskie. Zawieszenie broni wystarczało na teraz, gdyż oznaczyło ono za tymczasową granicę, dawną z 1790 roku; wymagało dalej aby każdy się cofnął spokojnie po za nakreśloną linję i powracało nakoniec Francji 300 tysięcy żołnierza, którego można było trzymać w pogotowiu. Jeżeli zaś mocarstwa sprzymierzone chciały koniecznie rozstrzygnąć od razu sprawę dotyczącą Erancji, to przecież bez popełnienia niesłuszności nie mogły się wymówić od postawionego żądania, aby ta sprawa rozstrzygała się razem ze wszystkiemi innemi w związku z nią będącemi. Francja bowiem miała zupełne prawo dopominać się o głos przy naradach nad losem

o krajach przez nią opuszczanych, zwłaszcza gdy tu chodziło o utrzymanie równowagi europejskiej, co ją zarówno mocno obchodziło. Nic przeciw podobnemu żądaniu nie można było zarzucić, a tym sposobem Francja ogromne odniosłaby korzyści zasiadając na kongresie w Wiedniu przed rozstrzygnięciem jej losu, gdyż przy koniecznych sporach mogłaby łączyć się z tą lub ową stroną i zapewnić sobie poparcie do zyskania czegoś więcej niż to, co jakby z łaski jej dawano. Prawda, że te same powody skłaniały mocarstwa sprzymierzone do spiesznego rozstrzygnięcia spraw Francji, ale też trudno im było przyznać się do czegoś podobnego, a ztąd przy wytrwałości można było odroczyć zawarcie pokoju aż do kongresu wiedeńskiego. W najgorszym nawet razie, wystarczało rządowi francuzkiemu odmówić podpisu na narzuconym traktacie pokoju, jeżeli innym sposobem nie byłby w możności uniknięcia obecnych jego warunków.

Jeden tylko członek rady królewskiej, jenerał Dessoles, pojmował bardzo dobrze co wypadało działać w podobnych okolicznościach. Dla czegoż, mówił, koniecznie mamy dzisiaj zawierać pokój? Nie będziemy przecież słabszymi w Wiedniu, gdyż przybędziemy tam przed stanowczém jeszcze załatwieniem spraw wszelkich, gdy żądania jednych będą zaprzeczane przez drugich; będą potrzebować i naszego poparcia, a ztąd wynajdziemy sprzymierzeńców. Jest więc niejakie prawdopodobieństwo, że lepiej się z nami obejdą, a w żadnym razie nie możemy przypuszczać, abyśmy gorzej na tém wyszli. Pełna zdrowego zmysłu ta uwaga przez nikogo nie była popieraną, gdyż jeżeli jaka zasada zapanuje nad umysłami, wówczas niepodobieństwem jest skierować ich od razu na inną drogę. Obecnie bowiem chwilową namiętnością było zawarcie, ogłoszenie i sprowadzenie na kraj pokoju, z zyskaniem zań jeszcze zasługi, jak przed niedawnym czasem działo się z ustąpieniem nieprzyjaciela z kraju. A przecież, jeżeli pozostawał jaki środek do naprawy błędu przez nagłe podpisanie umowy z 23 Kwietnia, to tylko leżał on w rozsądnej powolności przy zawarciu stanowczych układów i w odwadze odroczenia do sześciu miesięcy dzieła, które chciano mieć natychmiast. Polecono więc panu de Talleyrand ugiąć się przed koniecznością i odstąpić od nakreślonego planu granic przez pełnomocników. Po odstąpieniu zaś od zamiaru otrzymania twierdz belgijskich, cała kwestja o granice utraciła całą swą ważność. Chodziło tylko o niejakie wyprostowanie linji granicznej, co przysporzyłoby Francji kilkaset tysięcy poddanych więcej, z jedą lub dwoma twierdzami trzeciego rzędu, ale z żadną, którąby warta była Mons, Namur, Luxemburga.

Po kilkodziennych rozprawach zatwierdzono Francji to wyprosto-

wanie granicy nie wielkiej wagi, lecz które jednak nie było do pogardzenia. Pomiędzy Maubege a Givet granica francuzka w 1790 roku tworzyła wklęsłość. Poprowadzono więc pomiędzy temi punktami linję nieco wypukłą i tym sposobem dostały się Francji miasta: Philippeville i Marienbourg. Pozostawiając po za granicą Luxemburg, poprowadzono linję graniczną dalej przez Sarrę w ten sposób, że Sarrelouis pozostawało przy Francji. Nakoniec bez dotknięcia ważnego punktu Kaisers-Lautern nakreślono granicę pośrednią pomiędzy tą, której obecnie rząd francuzki żądał, a dawną z 1790 roku, co było sprostowaniem pewnej wartości, gdyż twierdza Landau, nie była odosobniona jak dawniej w pośród krajów niemieckich, lecz zupełnie została przyłączoną do posiadłości francuzkich.

Z temi dodatkami, z okręgami Montbéliard i Avignon, których niechciano oddać ani cesarstwu niemieckiemu ani też Rzymowi, Francja niemiała jeszcze połowy nawet przyrzeczonego powiększenia granic o miljon ludności. Zamierzono przeto dopełnić tego na wschodzie i południu, to jest w Szwajcarji i Sabudji. Przyłączono do Francji część prowincji Gex około Genewy, następnie kreśląc granicę, która na dwie części rozdzielała Sabaudję, wcielono Chambery i Annecy. Granica ta nie wyrównywała żądanej przez pełnomocników francuzkich i nie mogła być wynagrodzeniem za poniesione straty, lecz jeszcze i ona była lepszą od granic z 1790 roku, do których później Francja zepchniętą została skutkiem wydarzeń 1815 roku. Po usunięciu tych trudności dzięki umiarkowaniu Francji, zachodziły jeszcze inne pod względem ogólnego urządzenia spraw europejskich, od rozpraw nad któremi chciano wyłączyć Francję warunkami pokoju przedstawionemi w Châtillon, ale które nie powinny były pozostać dla niej obcemi po powrocie na tron Burbonów. Sprzymierzeni pożądali wprawdzie odosobnienia Francji, nie ośmielając się jednak z tém odezwać. Ułożono więc kilka wyrażeń ogólnikowych, stanowiących bardzo niedokładną rękojmię przyszłej rownowagi europejskiej. Wyrażenia te były następne:

„Stany Niemieckie będą niezależne i połączone związkiem federa-
„cyjnym.

„Hollandja oddana pod panowanie domu Orańskiego, zostanie powię-
„kszoną. Nie będzie mogła ona nigdy przejść pod władzę księcia cudzo-
„ziemskiego.

„Niezależna Szwajcarja będzie i nadal rządzić się sama.

„Włochy, z wyjątkiem krajów które dostaną się Austrji, będą się „składać z państw niezależnych".

Nie można było jednak uwiadamiać natychmiast o wszystkiém pu-

bliczność, co się tyczyło nowego urządzenia Europy, a mianowicie pod względem podziału krajów zdobytych na Francji. Rząd francuzki przecież dostąpił smutnego zaszczytu, że udzielono mu poufnie tajemne w tym względzie artykuły, zobowiązujące go raczej, aniżeli potrzebujące uświęcenia jego wpływem. Były one następne:

„Hollandja otrzyma ustąpione przez Francję kraje pomiędzy morzem, „granicą francuzką z 1790 roku i Meusą,

„Ustąpione przez Francję kraje na lewym brzegu Renu posłużą do „wynagrodzenia państw niemieckich.

„Posiadłości austrjackie we Włoszech ograniczone będą Padem, „Tessinem i jeziorem Maggiore.

„Król Sardyński za ustąpioną Francji część Sabaudji wynagrodzony „zostanie dawną rzecząpospolitą Genueńską".

Wedle więc tych podstaw, cała Belgja miała być włączoną do Hollandji; Bawarja miała otrzymać część dawnych elektorstw kościelnych, w zamian za Tyrol powracany Austrji; oprócz dawnych swych posiadłości Austrja miała nabyć całą rzeczpospolitę Wenecką; nakoniec królestwo Sardyńskie pochłaniało Genuę, a tym sposobem lista państw niezależnych znacznie zmniejszoną została. Nie wspomniano ani słowa tak o Polsce jak i Saksonji, gdyż był to przedmiot, którego nikt jeszcze nie ośmielał się dotknąć, z powodu że przewidywano łakomstwo z jednej a opór z drugiej strony.

Należało jeszcze porozumieć się pod względem kolonji. Zdawało się, że Francja otrzyma tu wynagrodzenie za poniesione ofiary na stałym lądzie i że jeżeli posiadłości jej nie zostaną rozszerzone, to przynajmniej żadnemu nie ulegną obcięciu. Ale Francja nie znajdowała się jeszcze u kresu swych ofiar, i jak mówił jeden z jej pełnomocników, pan de Laforest, *napawaną była po kropli goryczą.*

Wspomniano najprzód o Martynice i Gwadelupie, która miała być odebraną od Szwecji dla powrócenia jej Francji; mówiono zarówno o wyspie Burbon na morzu Indyjskiém, i to wsposób, że zwrócenie jej niemogło być wątpliwém, ale ani słówka jednak nie wyrzeczono o Ile de France, o tej Malcie oceanu Indyjskiego. Jakież więc zamierzano dać jej przeznaczenie? Nic o tém nie wspomniano Francuzom. Nakoniec udzielono objaśnień. Mocarstwo, które zabrało Przylądek Dobrej Nadziei od sprzymierzonej sobie Hollandji, które skutkiem braku dobrej wiary zabrało Europie Maltę, oświadczyło, że oprócz Przylądka i Malty koniecznie potrzebuje wyspy Ile de France, zpowodu że ona leży na drodze do Indji. Chętnie pozostawiało ono przy Francji wyspę Burbon, która była zupełnie bezbronną, ale Ile de France, tę wielką morską twierdzę w tych stronach,

stanowczo zatrzymać dla siebie postanowiło. Cóż więc mogła począć Francja w takiej okoliczności, zwłaszcza kiedy ani jednego nie miała sprzymierzeńca, gdyż jedyny, któregoby mogła utrzymać po swej stronie, Cesarz Rossyjski, został obrażony a ztąd zupełnie obojętnie patrzał na wszystkie wielkie i małe jej sprawy? Nic nad zaniechanie natychmiastowego traktowania, by zgromadzonej w Wiedniu Europie przedstawić odmawiania jej wszelkiej sprawiedliwości, gdyż Europa zbadawszy dokładnie wszelkie sprawy, a nadewszystko skutkiem wylewu wszystkich zachcianek, jedynie mogłaby wydać sprawiedliwy wyrok. Na nieszczęście ani pomyślano nawet o tém.

Gdy o tych nowych wymaganiach doniesiono radzie królewskiej, opanował ją przestrach powszechny. Zrozumiano wówczas, co to jest być na łasce cudzoziemców i zależeć od ich wspaniałomyślności. Anglicy objawili nadto zamiary zabrania Francji niektórych Antyllów, jak ś Łucji i Tabago, co małą było rzeczą w porownaniu z Ile de France. Ludwik XVIII oceniając jedynie wartość wyspy Burbon ze stanowiska handlowego, wyrzekł dość słusznie: Ale cóż chcą abyśmy zrobili z wyspą Burbon bez Ile de France? Wygląda to podobnie jakby nam dawano miasto bez panującej nad niém cytadelli. Niech wezmą już sobie i wyspę Burbon jeżeli tak im się podoba, ale niechże zostawią nam wszystko co do nas należy w Antyllach. Uwaga ta była w pewnym stopniu słuszną, ale do kogo miano ją zwrócić i ktoby chciał jej słuchać? Nie było rady i trzeba się było poddać, lub też pojść za natchnieniem rozpaczy.

Można tu jeszcze było sprobować prywatnego porozumienia z osobą wszechwładnie stanowiącą o wszystkich sprawach morskich, a rzec nawet można, że i olosach stałego lądu, to jest z lordem Castlereagh. Pan de Talleyrand znalazł go spokojnym, uprzejmym, ale stanowczym i niewzruszonym jak skała. Nic też niewskórał. Mniej umiarkowany pan de Vitrolles gwałtowną miał rozmowę z tym ministrem, lecz zdołał tylko wywołać prawie cyniczne wyznanie dumy brytyjskiej. Wszystkie stanowiska na drodze do Indji do nas powinny należeć, powiedział lord Castlereagh, i będą też do nas należały.—Pan de Vitrolles przypominał piękne oświadczenia sprzymierzonych przy przechodzeniu Renu, i najświeższe przy wejściu do Paryża, oświadczenia, które przyrzekały poszanować Francję i jej wielkość, pozbawiając jej jedynie krajów zdobytych, jak niemniej i tych, które w jej ręku groziły bezpieczeństwu powszechnemu. Na co lord Castlereagh zrobił ułożenie każące się domyślać, że mocarstwa sprzymierzone dopełnią swych obietnic i nie obejdą się tak z Francją jak niegdyś z Polską.

Trzeba się więc było poddać, gdy nie było środka na stawienie

oporu tym rozkiełznanym i związanym przeciw Francji zamiarom. Można było tylko zrobić jedną w obec podobnego postępowania sprzymierzonych uwagę, a to uwagę na którą ciemiężcy zupełnie nie zwracali uwagi, to jest, że działając podobnie czyni się coraz mniej winnym Napoleona w oczach świata i coraz mniej popularnymi Burbonów we Francji.

Pozostawała jedna już tylko kwestja do roztrzygnięcia, kwestja ważna i poniżająca jeżeliby wypadła na niekorzyść Francji, to jest kontrybucji wojennej. Jedne tylko Prusy z mocarstw sprzymierzonych kartowały w tym względzie swe plany, a ta okoliczność pozostawiała niejaką nadzieję uniknięcia tej klęski. Wszystkie mocarstwa europejskie doznały skutków z widzenia u siebie zwycięzkich wojsk francuzkich i znosiły wszelkie klęski nieodłączne od obecności nieprzyjaciela w kraju; ale trzeba też wyznać, że Prusy daleko więcej od innych wycierpiały. Żądały one ztąd wynagrodzenia nie tylko za wyciskane przez Napoleona kontrybucje, ale nadto za skutki obecności Francuzów w ich kraju podczas kampanji 1812 roku. Oprócz zwrotu praw do dóbr, na których ubezpieczoną była kontrybucja wojenna, wynosząca 140 miljonów franków, żądały Prusy jeszcze jako wynagrodzenia 132 miljonów, nie zaliczając tu zysków na ich część przypadających, ze sprzedaży arsenałów i magazynów francuzkich. Bezwątpienia że Prusy bardzo wiele wycierpiały od tych długich wojen, ale jeżeli sobie przypomnimy, że w roku 1792 one to rozpoczęły napad jedynie z chęci wmięszania się wsprawy wewnętrzne Francji, że w 1806 roku szaloną przeciw niej uniosły się namiętnością, i że obecnie podczas najazdu postępowanie ich wojska było szkaradne, to się zgodzimy, że winy tak jednej jak drugiej strony zupełnie się równoważyły. Czyż więc Francja mogła bardziej ustępować zachciankom Prusaków, aniżeli żądaniom każdego innego mocarstwa? Ich król uczciwy ale łakomy o tyle upierał się przy zyskaniu pieniędzy, o ile Austrja przy nabyciu prowincji nadmorskich. Przedstawiono więc pełnomocnikom francuzkim jego rachunek z wezwaniem o przejrzenie, a jeżeli nie z żądaniem natychmiastowej wypłaty, to jednak bardzo zbliżającemi się do tego wyrażeniami.

P. de Talleyrand stanowczo odrzucił te żądania i oświadczył, że ani chciał ani mógł się na nie zgodzić. Odniósł się natychmiast do rady królewskiéj. Nikt nie przewidział podobnego ciosu i wszystkich ogarnęła nakoniec rozpacz, jakiej niejednokrotnie już o mało się nie oddali. Król okazał oburzenie przez wszystkich podzielane i powiedział, że woli poświęcić 300 miljonów na wojnę z Prusami, aniżeli wydać sto dla ich zadowolenia. Dodał, iż rozumie jaką cenę przywiązuje Francja do pokoju, że skutkiem żądzy pokoju tak dobrego przyjęcia doznała jego rodzina,

ale też jest przekonany, że kraj niezechce być doprowadzonym aż do ostatecznego poniżenia, jakiem go dotknąć znmierzano; że ztąd kraj nie weźmie mu za złe, jeżeli postawi opór cudzoziemcom, którzy tak nadużywają łatwego z Francją traktowania, gdyż według niego nie mniema, aby był niewdzięcznym względem gabinetów europejskich, a raczej obwinia je o niewdzięczność względem siebie, albowiem zarówno one potrzebują powrotu Burbonów na tron francuzki, jak i Burbonowie potrzebowali ich pomocy do objęcia rządów. Dla tego też oświadczył, że stanowczo odrzuca wszelkie ciężary, któremi chciano obarczyć jego poddanych.

Rada królewska z oklaskami przyjęła to postanowienie, raz jeszcze objawiając swój żal z powodu nieszczęśliwej umowy z 23 Kwietnia. Książe de Berry zawołał, że z załogami i niewolnikami wracającemi do kraju, Francja liczy 300 tysięcy żołnierzy, a więc trzeba stanąć na ich czele, rzucić się na sprzymierzonych mających tylko 200 tysięcy w szeregach i tym czynem patrjotycznym zawładnąć sercami Francuzów. Pan de Talleyrand nie zaprzeczył temu dowodzeniu i ograniczył się tylko na dodaniu, że te 300 tysięcy żołnierzy, któremi miano zamiar uderzyć na sprzymierzonych, znajdują się w kraju dzięki umowie z 23 Kwietnia, tak surowo potępianej.

Chociaż pan de Talleyrand najzupełniej był przeciwnym wymaganiom Prusaków, to przecież pojmował całą ważność zamiaru uderzenia 300 tysiącami Francuzów na 200 tysięcy sprzymierzonych, zwłaszcza że wódz, który mógłby kierować działaniami wojennemi, znajdował się na wyspie Elbie. Postanowił więc odezwać się słowami rozsądku. W tym celu udał się do Cesarza Rossyjskiego, lorda Castlereagh i Metternicha i oświadczył im, że tak król jak i książęta gotowi byli skutkiem podniesionej kwestji pieniężnej, zerwać zawiązane rokowania o pokój, nie oglądając się wcale na wyniknąć ztąd mogące następstwa; że tym sposobem dla nędznej sprawy o pieniądze naraziłoby się nietylko wielkie dzieło przywrócenia pokoju, ale nadto przywrócenia porządku w Europie, gdyż nie było ani jednego monarchy, któryby nie widział potrzeby zapewnienia tronu dla Ludwika XVIII; że podobne poniżenie i pozbawienie wzięcia w narodzie Burbonów, przechodziło cel do którego sprzymierzeni dążyli, i że poświęcanie największej wagi sprawy dla łakomstwa Prus było rzeczą nierozsądną, niegodną i nieuczciwą. Rozsądny zawsze lord Castlereagh gdy nie chodziło o Niderlandy, Przylądek Dobrej Nadziei, lub Ile de France, i skłonny zawsze p. Metternich do sądzenia postępowania Prus, przyznali słuszność słowom pana de Talleyrand. Cesarz Aleksander wstydząc się chciwości swego przyjaciela Fryderyka Wilhelma, zupełnie podzielał to zdanie, a tak wszyscy trzej zniewolili do ustępstwa króla

Pruskiego. Zasady oszczędności tego króla przerodziły się były w wadę, a ztąd zdolnym był do nieroztropnego kroku dla zaspokojenia jedynie skłonności, która z dobrego nawet źródła w nim pochodziła.

Domaganie się szczególnego wynagrodzenia dla Prus zostało więc zaniechanem. Pozostawała jednak do roztrzygnięcia sprawa kontrybucji powszechnej, oparta na prawach podboju, a zastosowana do arsenałów, magazynów i innych przedmiotów należnych do państwa. Wedle umowy z 23 Kwietnia, wojska sprzymierzone powinny były w dniu podpisania rozejmu odstąpić od zarządu prowincji najechanych i niezatrzymywać żadnej własności publicznej. Ale dowodziły one, że za effekta wojskowe, za magazyny zajęte, za niesciągniętą dotąd a poprzednio nałożoną kontrybucję, za cięcie drzewa nakazane w lasach rządowych, należy im się pewna summa, którą bez zarumienienia się na 182 miljonów obliczały. Największa część żądanej summy miała przypaść na korzyść Prus, a nic zupełnie dla Anglji, gdyż mocarstwo to o ile było twarde przy układach pod względem krajów, o tyle nie zwracało uwagi na pieniądze. Wojska naprzykład księcia Wellingtona rozłożone na południu Francji, prowadzone były z największą karnością i najzupełniejsze miały poszanowanie dla wszelkiej prywatnej i publicznej własności. Pojmowano dobrze, że sprawa z Anglją jest sprawą z wielkim i dumnym ale szlachetnym narodem.

Pod względem tej innego rodzaju kontrybucji wojennej, rada królewska zarówno okazała się twardą. Poparci nadto przez lorda Castlereagh i pana Nesselrode dwaj pełnomocnicy francuzcy, jenerał Dulauloy i baron Marchand, przeznaczeni do sprawdzenia przedstawionych rachunków, dzielnie bronili interesów francuzkich i dokazali, że wymagana summa zmniejszoną została do 25 miljonów franków, które wedle zasad praw wojny koniecznie wypłacić należało.

Podział materjałów marynarki nagromadzonych w portach, które Francja odstępowała, odroczono do stanowczego zawarcia pokoju. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że 26 okrętów linjowych pod żaglami i 20 na warsztatach, znaczna liczba statków mniejszego rozmiaru i olbrzymie zapasy nagromadzone w portach: Hamburga, Bremy, Amszterdamu, Rotterdamu, Antwerpji, Flessyngi, Ostendy, Genui, Liworna, Korfu, Wenecji, wystawione zostały za pieniądze Francji, gdyż wszędzie za dostawiane materjały i użyte ręce do roboty najrzetelniej zawsze płacono, co było nawet dla tych miejsc bardzo korzystném, albowiem dano zatrudnienie ludności i dostarczono sposobność do spieniężenia wszelkich płodów kraju. Wyjątek tu stanowiła tylko flota hollenderska, zbudowana przed przyłączeniem jeszcze do cesarstwa, która ztąd powinna była przejść na

własność królestwa Niderlandzkiego. Postanowiono przeto, że pomieniona flota w całości i zupełnie zwróconą zostanie, lecz że inne 46 okrętów z wielką liczbą małych statków, które znajdowały się w wymienionych powyżej portach, rozdzielone zostaną w tén sposób, iż dwie trzecie zabierze Francja, a jednę trzecią przyzna się krajom otrzymującym też porty. Pomimo że postanowienie to nie było zupełnie sprawiedliwe, nie wyrządzało jednakże tak wielkiej dla Francji szkody, gdyż w swych własnych nawet portach posiadała ona tak znaczne siły morskie, że i te przechodziły obecne jej potrzeby.

Ostatnia już tylko do roztrzygnięcia pozostawała kwestja, o muzeach francuzkich. Nie wspominano nic o niej i to z zamiarem. Każdodziennie odwiedzali je ze zwyczaju obecni w Paryżu monarchowie, podziwiając tak piękne i bogate zbiory, które Napoleon zgromadził z całej ucywilizowanej Europy. Po większej części pochodziły one z Włoch południowych i Hiszpanji, czyli z krajów nie nazbyt obchodzących monarchów sprzymierzonych, którzy niechcieli zadrasnąć dumy francuzkiej. Pozostawiono więc Francji te arcydzieła zdobyte przez wojska, ale pozostawiono domyślnie, nic o nich niewspominając. W prywatnych jednak rozmowach nie zaniedbywano powtarzać o wielkiem uczynioném Francji ustępstwie, i rzeczywiście znakomitej ono było wartości pod względem moralnym.

Ukończono nareszcie tę pracę nad ułożeniem warunków pokoju, nazwaną traktatem paryskim, w dniu 30 Maja. Zawierał on jednobrzmiące lecz oddzielnie z każdym państwem podpisane układy, a mianowicie z Anglją, Rossją, Austrją, i Prusami, które działały w imieniu całej Europy. Przypuszczono także do podpisu Szwecję z powodu posiadania przez nią czas jakiś Gwadelupy, i Portugalję z przyczyny, iż zwracała część Guyany. Pokój z Hiszpanją powinien był być zawarty oddzielnie, gdyż mocarstwo to nie miało obecnie w Paryżu pełnomocnika, co łatwo można było wytłumaczyć położeniem Ferdynanda VII, który dotąd nie wjechał jeszcze do Madrytu. Zresztą układy z Hiszpanją, dzięki Pinerejom, najłatwiejsze były do przeprowadzenia.

Chociaż należało żałować wybornych granic, jakie Francja mogła zyskać od strony Niderlandów w zamian za ustępstwo od Renu, co można było uzyskać bądź to wstrzymując się z podpisaniem rozejmu w dniu 23 Kwietnia, bądź też odkładając do kongresu w Wiedniu stanowcze zawarcie pokoju, to przecież i tak nazwany traktat paryzki nie był jeszcze tak złym, jak to myślano z początku. Francja bowiem nie płaciła kontrybucji wojennej, zatrzymywała ogromne bogactwa w dziełach sztuki, zdobyte przez jej żołnierzy, zyskiwała twierdze Philippville Marienbourg

ze strony Niderlandów, obejmowała swemi granicami Landau nad Renem i nakoniec połowę Sabaudji. Najważniejszą stratą była tylko Ile de France, której odebranie nadzwyczaj mogło oddziaływać ze względu na sprawy morskie państwa. Traktat paryzki zresztą boleśnym był jedynie przez porównanie go z układami w Campo-Formio i Luneville, które nie zagrażając bynajmniej bezpieczeństwu Europy, zdawały się stanowczo zdobywać dla Francji jej granice jeograficzne, które Francuzi uważając już za stanowczo nabyte i obecną ich utratę przypisując błędom rządu cesarskiego, w głębokim i powszechnym pogrążyli się smutku. Zobaczymy zaraz jakie wrażenie wywarł na umysły zawarty traktat w dniu 30 Maja.

Zamierzano ogłosić warunki pokoju jednocześnie z ustawą państwa, nad którą bezprzestannie pracowano podczas toczących się układów. Monarchowie sprzymierzeni chcąc jak najśpieszniej powrócić do swych krajów, żądali, aby wszystkie sprawy Francji od razu zostały ukończone, a ztąd nacierali, aby Ludwik XVIII dopełnił danych przyrzeczeń w Saint-Ouen, gdyż uważali się tu za odpowiedzialnych do pewnego stopnia, a szczególniej pod względem ludzi, którzy w opiece cudzoziemców chcieli mieć rękojmię przeciw rozkiełznaniu emigrantów. Pracowano więc bardzo czynnie nad konstytucją, układając ją nawet w duchu liberalnym, co upamiętnia Ludwika XVIII, zwłaszcza wziąwszy na uwagę wszelkie marzenia w tym czasie rojalistów.

Stronnictwu temu nie brakło na zdolnościach, ale pozbawione ono było zupełnie zdrowego sądu w ocenianiu wypadków i rzeczy. Trzebaby było chyba zejść aż do najniższych warstw stronnictwa rewolucyjnego, aby znaleść tak zakorzenione przesądy i niezwalczony upór. Stara szlachta wojennego rzemiosła, ze ślepą nienawiścią odpychała wszystko, co zaszło od trzydziestu lat we Francji i napełnioną była przekonaniem, że siłą należy przywrócić dawny porządek rzeczy. Szlachta zaś chętna do życia parlamentarnego, choć więcej posiadająca nauki ale nie więcej od pierwszej światła, rozumiała konstytucję tylko pod postacią dawnych parlamentów, sprzeciwiających się czasami królom, lecz nigdy nie hamujących ich woli. Nakoniec ludzie prawdziwie znakomici pomiędzy rojalistami, nieszczęściem i bezczynnością zmuszeni do głębszych badań, wyrobili w sobie miłość przeszłości przy nieopisanym wstręcie do obecnego porządku rzeczy, zostając pod wpływem pana de Bonald, wybornego lecz z krzywém zapatrywaniem się na rzeczy pisarza, który tę jedynie posiadał zasługę, że najfałszywsze zasady świetnym wypowiadał stylem. Teorje te, nieuniknione i zasłużone oddziaływanie przeciw nadużyciom rewolucji francuzkiej, zasadzały się głównie na głębokiej odrazie do wszelkich ustaw pisanych, które uważano za największe głupstwo czasu obecnego.

Niepodobna przecież zaprzeczyć, że patrząc na los wszystkich tak licznych konstytucji, które napisano w przeciągu lat sześćdziesięciu, nie można się było powstrzymać od objawianego przez rojalistów uczucia. A jednak i uczucie to, skoro tylko przejdzie pewną granicę, stanie się również potężną niedorzecznością. Tak uczniowie pana de Bonald żądali, aby ustawa państwa nie była skreśloną, lecz aby pochodząc od czasów a nie od ludzi, tworzyła się jak wielkie dzieło przyrody i wydając czasami prawa pisane składała się tylko ze zwyczajów, podań, obyczajów, co wszystko razem złożyłoby sposób postępowania narodu i stało się prawdziwą konstytucją, jedyną, którąby jak sen nie zniknęła. Wychodząc z tego stanowiska utrzymywali oni, że dawna Francja posiadała konstytucję, która wieki przetrwała, gdy tymczasem wszystkie ustawy napisane od 1789 roku, następowały po sobie jak bałwany na rozhukaném morzu. Nadzwyczajnego jednak doznawali kłopotu, gdy ich proszono o bliższe wyjaśnienie tej konstytucji, która zasadzając się na władzy królewskiej bez granic, zaprzeczanej czasami przez parlamenta, zmuszane do posłuszeństwa już to sądem królewskim (lit de justice) już też Bastylją, na mocy której mogły raz na lat sto być zwołane stany jeneralne albo też rozwiązane natychmiast po swem zgromadzeniu się i którą tak mało można się było posługiwać, gdy chodziło o roztrzygnięcie ważnych trudności politycznych lub skarbowych, jak to ostatecznie miało miejsce w 1789 roku, co sprowadziło przewrót dotychczas przez nich opłakiwany. Nie można bowiem było zaprzeczyć, że to ta ustawa tak przez rojalistów sławiona, wprawiona w ruch 1787 roku przez zwołanie ludzi znakomitych a 1789 stanów generalnych, sprowadziła nie więcej jak tylko rewolucję francuzką.

Szczególną było to zachcianką żądać powrotu tej konstytucji, która podobne sprowadziła następstwa. To też wielkie było pomięszanie jej wielbicieli, gdy im całą rzecz w nagości przedstawiano. Gdzież bowiem było szukać szlachty, duchowieństwa, parlamentów, trzeciego stanu, narodu z 1789 roku? W miejsce szlachty bogatej, używającej licznych przywilejów i mającej wojska w swym ręku, znajdowano szlachtę rozproszoną, prawie zubożoną, tylko skutkami rewolucji francuzkiej mogącą przyjść jeszcze do mienia, obcą wojskom, nie cierpiącą ich, nawzajem od nich nie lubioną (mówimy o 1814 roku), jedném słowém najmniejszego nieposiadającego wpływu. W miejsce duchowieństwa posiadającego własność ziemską, szlacheckiego rodu, wymownego, zręcznego i tak się odznaczającego, że z grona swego dostarczało krajowi najznakomitszych ministrów, znajdowano duchowieństwo wydziedziczone, urzędnicze, pochodzące ze wszystkich warstw społeczeństwa i w zupełności zależne od rządu. W miejsce urzędników zamożnych, dziedzicznych, sądzących jak

szlachta walczyła, to jest na mocy przywilejów, ale sądzących dobrze, znajdowano władzę złożoną prawie w zupełności z mieszczan, miernego majątku, mianowanych podobnie jak wszyscy urzędnicy przez władzę wykonawczą, nieposzlakowanych co prawda, ale też nie zdolnych do stawiania innego oporu nad przestrzeganie, aby prawa cywilne były wykonywane. Nakoniec poniżej tego wszystkiego znajdowano cały naród zupełnie zmieniony, który doszedł do stanowczej jedności, ożywiony będąc jednym duchem, jednemi obyczajami i jednemi żądzami. Taką to była Francja w 1814 roku, a ztąd zagorzali rojaliści nadzwyczajnego doznawali kłopotu, gdy chwytanych za słowo proszono, aby wyjaśnili na czem opierają prawdopodobieństwo przywrócenia dawnej ustawy pań, stwa. Kłopot ten ich przyrównaćby można do strapienia budowniczego który po dowolnem nakreśleniu planu nieznalazłby nigdzie potrzebnych dla wzniesienia gmachu materjałów.

Wszystkie więc teorje rojalistów, w gruncie rzeczy były tylko satyrą na rewolucję francuzką, satyrą częstokroć sprawiedliwą, a nawet wymowną, gdy słowa jej zwrócone były do nadużyć rewolucyjnych, ale zarazem satyrą bezużyteczną, jak skarga lub żal po niepowetowanej stracie, gdy zmierzały do powrócenia czasów minionych, których żadna potęga świata niemogłaby wydobyć z nicości.

Ci z pomiędzy przeciwników ustawy pisanej, którzy więcej od innych obdarzeni byli zmysłem praktycznym, gdy proszeni byli aby zastanowili się nad położeniem i przyłożyli ręki do dzieła, przychodzili do powszechnego u wszystkich przekonania, że Francja potrzebuje monarchji światłej, ograniczonej, zostającej pod wpływem izb, co nazywano wówczas monarchją angielską, z powodu, iż podobna forma rządu najprzód w Anglji wprowadzoną została. Żądali jedynie, aby z olbrzymich gruzów dawnej budowy wybrać pewną ilość mniej lub więcej znaczących materjałów i użyć ich przy wznoszeniu nowego gmachu. To też chcieli ze starej szlachty i duchowieństwa złożyć izbę parów, a z różnych innych stanów tworzących niegdyś stan średni, przy podzieleniu go na zatrudnienia, utworzyć izbę niższą. W ten to sposób zamierzali urządzić kraj ci wszyscy, których zmuszano, aby zaprzestali wiecznych swych lamentów nad upadkiem przeszłości. Ale czyż można było odszukać i odbudować zniszczone już żywioły, tak śmieszną sprzeczność z obecném społeczeństwem tworzące, czyż można było rozdzierać tę wielką jedność narodową, która tworzyła siłę obecnej Francji i czyż można było burzyć umysły niszczeniem rzeczywistej równości bez żadnego pożytecznego celu, gdyż w ten sposób utworzone izby nie różniłyby się od innych i niemniej życzyłyby sobie wywierać wpływ na losy państwa, walczyłyby

bezwątpienia z rządem, i walka ta, przy niepoprawném jego postępowaniu, zarówno smutnie jak poprzednio zakończyćby się mogła. Mogliby oni ograniczyć się co najwięcej na wzniesieniu nowożytnej budowli z dodaniem jej kilku zewnętrznych średniowiecznych ozdób, któreby żadnego rzeczywistego wpływu nie wywierały na urządzenie i przeznaczenie powstałego gmachu.

Pomysły więc rojalistów nie miały w sobie nic praktycznego i były tylko zastarzałemi przesądami, powoływanemi do życia przez kilka głów zdolnych i strapionych. Należy przecież oddać sprawiedliwość tak królowi jak i jego synowcom, że daleko zdrowiej rzeczy od wszystkich swych stronników sądzili i nie podzielali lub udawali że nie podzielają fałszywych tych zasad, co przypisać głównie należy szczęśliwemu zdarzeniu, iż powracali obecnie z Anglji, a nie z żadnego państwa stałego lądu. Pomimo nawet że nie uznawali i nie nawidzili potęgi opinji publicznej, nie chcieli jej jednak zwracać przeciw sobie w najważniejszych zasadach. Dwie zaś było zasady, których największa potęga na świecie nie zdołałaby przytłumić: pierwsza równość polityczna, zasadzająca się na posiadaniu tych samych praw i powinności, na płaceniu jednakich podatków, zarówno pełnieniu przez wszystkich służby wojskowej, sądzeniu wszystkich jednemi prawami przez tychże samych sędziów i zajmowaniu urzędów bez względu na urodzenie, majątek i wyznanie osoby; druga, monarchja konstytucyjna, to jest ograniczona, zostająca pod większym lub mniejszym dwóch izb wpływem. Ośmnasty wiek wyrobił w pojęciach pierwszą, a samowładne panowanie Napoleona drugą; obiedwie zaś były niepokonane.

Zdanie królewskie przemogło i chodziło już tylko o formę i redakcję ustawy. Pod względem formy, Burboni przy swém powrocie do Francji pokazali prawie nie ugięte przesądy. Utrzymując że zostali powołani do rządu nie skutkiem uchwały senatu, lecz na mocy swych praw, zamierzali *nadać* ustawę, nieznosząc żadnej narzuconej sobie konstytucji. Publiczność zarówno jak i dynastja nie przewidując niebezpieczeństwa z podobnej zasady, która mieściła w sobie możność samowolnego zmieniania *nadanej* konstytucji, gotową była do ustępstwa temu żądaniu, uważając je za teoretyczną drobnostkowość, lub też za sprawę miłości własnej. Nietroszczono się bynajmniej czy ustawa ma pochodzić od króla lub senatu, z góry albo dołu, byle tylko główne jej podstawy przeszły do życia. Kiedy więc tak rzeczy były pojmowane, nie mogły już one żadnej tworzyć trudności.

Król powierzył panom de Montesquiou i Ferrand redakcję ustawy, a choć zasada przewagi monarchicznej bardzo mu leżała na sercu, to jednak nie była ona narażoną na niebezpieczeństwo, dostawszy się w ręce

starych rojalistów. Co zaś do reszty, to ufał im daleko lepiej jak sam sobie i nie troszczył się wcale. Dodał im także do pomocy pana Beugnot, który zręcznie i łatwo pisał i bardzo był zdolny do wynalezienia stosownych wyrażeń na zaspokojenie rozmaitych żądań. Rozkazał mu jednak największą względem pana de Talleyrand utrzymać tajemnicę. Pomimo że Ludwik XVIII zamierzał daleko więcej, aniżeli to zwykle robią królowie powierzać rządy ministrom, to przecież nie życzył sobie, aby pomiędzy nimi znajdował się taki, któryby do wszystkiego ręki przykładał. Chciał on, aby pan de Talleyrand zajął się wyłącznie sprawami zewnętrznemi, pan de Montesqoiou wewnętrznemi, a pan de Blacas dworem, mniemając, że tym podziałem o wiele zmniejszy ich znaczenie. Nie życzył sobie nadto, aby pan de Talleyrand wrazie trudności przywoływał pomocy Cesarza Aleksandra i dla tego postanowił go trzymać zupełnie na uboczu przy układaniu ustawy.

Nakreślony plan konstytucji przez panów de Montesqoiou i Ferrand został przedstawiony Ludwikowi XVIII, który nic, albo prawie nic niezmieniwszy, odesłał go pod rozpoznanie dwóch kommissji, jednej z senatu, a drugiej z ciała prawodawczego, zgodnie z oświadczeniem wydanem w Saint-Ouen. Kommissja senatu złożoną była z panów: Barthélemy, Serurier (marszałek), Barbé-Marbois, de Fontanes, Germain Garnier, de Pastoret, de Semonville, Boissy d'Anglas, Vimar. Kommissja ciała prawodawczego z panów: Lainé, Félixa Folcon, Chabaud-Latour, Bois-Savary, Duhame, Duchesne de Gillevoisin, Faget de Baure, Clausel de Coussergues, Blanquaret de Bailleul. Nic nie można było zarzucić przeciw wyborowi tych osób, odpowiadających zasadom umiarkowanym i liberalnym tego czasu. Król zalecił im, aby jak najzgodniej pracowali nad powierzoném dziełem, zastrzegając sobie roztrzyganie punktów spornych, bardziej z uwagi na utrzymanie swych przywilejów, aniżeli przez wzgląd na ważność rzeczy samej.

Zebranym członkom obudwóch kommissji wyłożył kanclerz powód ich zebrania, następnie odczytał przygotowany projekt ustawy i otworzył rozprawy nad szczegółowemi artykułami.

Przy redakcji projektu pilnie baczono na wyrażenia, któremi starano się dowieść, że nowa ustawa wypływa z uznania przez monarchję potrzeb czasu i nadaną jest własnowolnie, jak niegdyś wyzwolenie gmin, utworzenie parlamentów i zmiany prawodawstwa cywilnego. To też starannie unikano wspomnienia o powrocie Burbonów na tron francuzki, o przyczynach tego powrotu, o naturze zasady monarchicznej, o prawach następstwa na tron w linji męzkiej z uznaniem pierworodztwa, co wszystko zamieszczoném zostało w konstytucji uchwalonej przez senat. Zwróciwszy na to

uwagę p. Boissy d'Anglas, żalił się na pominięcie tak potrzebnych warunków, które za bardzo ważne dla dynastji uważał. Odpowiedziano mu więc natychmiast i bez wahania, że pominięcie to było rozmyślne, gdyż swych praw do tronu nie potrzebują dowodzić Burboni, albowiem posiadają je oni od wieków i nawet podczas nieobecności, kiedy tron materjalnie został zajęty przez przywłaszczyciela, nie przestali oni panować. Oświadczono dalej, że zasada i prawa następstwa tronu nie potrzebują być tłumaczonemi, gdyż objęte są one dawną ustawą królestwa Francuzkiego; że obecnie chodzi tylko o zmianę częściową tej ustawy i przyzwanie Francuzom praw, których dotąd nie używali; że skutkiem tego dość będzie dodać nowe postanowienia, bez zajmowania się temi, które pomimo tylu zmian zaszłych nie przestały jednakże obowiązywać. Pan de Fontanes, starając się zatrzeć dawniejsze swe zabiegi około Napoleona, nowemi usługami dla Burbonów, z gorliwością popierał te zasady, oświadczając, że we mgle przeszłości należy ukrywać pochodzenie władzy, aby zachować jej poważną starożytność, zwłaszcza, że po zbyt blizkiém jej rozpatrywaniu pozbawia się uroku! Nic na to i bardzo słusznie nie odpowiedziano, gdyż każdy poczuł, że nie można dowolnie i jakby tylko skutkiem wzajemnej umowy przywracać znikłego już uroku. Naprawdę należało tylko, jeżeli możebną jeszcze było to rzeczą, usilnie się starać o przywrócenie tych pominięć, a to w interesie samej dynastji, by tym sposobem pozbawić ją środków zerwania zawartej z narodem umowy. Ale czyż można było przewidzieć przyszłość, która tak niespodziewane w swém łonie mieściła następstwa?

Następnie zajęto się rozbiorem pojedyńczych artykułów ustawy. Pierwsze z nich określały to wszystko, co nazywano prawami publicznemi Francuzów, to jest równość w obliczu prawa, równy rozdział ciężarów publicznych, wolność osobistą, wolność wyznań, wolność druku, poszanowanie własności bez względu na jej pochodzenie, równość w ponoszeniu służby wojskowej i nieodpowiedzialność za czyny i zasady od 1789 roku. Na artykuły te zgodzono się po większej części. Rozprawiano przecież nad niektóremi i przychodziło nawet do poprawy redakcji. Po zapewnieniu, że każde wyznanie równej będzie używać opieki prawa, projekt ustawy mówił, że religja katolicka jest religją państwa. Panowie Boissy d'Anglas i Chabaud-Latour żądali bliższego tych słów objaśnienia, zapytując, czyby one naprzykład nie zapewniały przewagi dla religji katolickiej, i czy skutkiem tego inne wyznania nie popadną w pewien rodzaj zależności. Odpowiedziano im, że Francja jest krajem katolickiem i że należy się zdobyć na odwagę do oświadczenia tego. Było to więc prostém i zupełném przechyleniem się na stronę religji katolickiej i uspra-

wiedliwieniem z przyznanéj wolności innym wyznaniom. Nie roztrząsano głębiej tej sprawy, gdyż przeciwnicy tego artykułu poznali, że nicby na poruszeniu jej nie wskórali. Co do wolności osobistej i wolności druku prawie nie było rozpraw. Pod względem wolności druku wszyscy byli zdania, że powinna ona być wprowadzona w prawo, z zawarowaniem się jednak od wszelkich nadużyć, do popełniania których nadzwyczaj jest skłonną. Skutkiem braku doświadczenia, nikt w owym czasie ani pomyślał o rozróżnieniu książek od pism perjodycznych, na co dopiero w późniejszych czasach zwrócono uwagę, i nikt nie żądał aby tak jedne jak i drugie oddawane zostały przed wydrukowaniem pod rozpoznawanie oddzielnej na to władzy, czyli cenzury.

Zapewnione poszanowanie własności bez żadnego na jej pochodzenie względu, najważniejszą tego czasu podniosło kwestję. Chodziło tu, jak łatwo odgadnąć, o dobra tak zwane *narodowe*, które skonfiskowane emigrantom lub odebrane kościołowi, sprzedane zostały w różnych epokach rewolucji, za wyższą lub niższą cenę stosownie do czasu, i obecnie znajdowały się w posiadaniu kilku miljonów Francuzów. Niepokój posiadaczy tych dóbr był prostém następstwem rzeczy z ujrzenia emigrantów, pyszniących się zwycięztwem, zaufanych w swą siłę i oburzonych nadzwyczaj przeciw obecnym swych dóbr właścicielom, którzy nabyli je po większej części bardzo tanio, za garść assygnat bez wartości, a czasami nawet szkaradnemi środkami. Od utrzymania jednak tej sprzedaży zależał spokój państwa i tak król jak i książęta jednego byli zdania w tym względzie. Życzenie ich jednak, aby emigranci powrócili do dziedzictwa swych ojców było tak wielkie, że sami emigranci nie mogli tego goręcej pożądać; ale pewność natychmiastowego zamięszania w kraju powstrzymywała ich żądze i sam król zgodził się na następne jasne i stanowcze wyrażenie: *Wszelka własność jest nietykalną, bez żadnego wyłączenia tych, które nazywają się narodowemi; prawo żadnej różnicy pomiędzy niemi nie robi.*

Podobne wyrażenie było zupełnie wystarczającém i nie można nawet było życzyć lepszego. Wydawało się ono jednak nazbyt znaczące dla niektórych członków kommissji, którzy przy tej sposobności zdradzali tajemne zamiary stronnictwa rojalistów, chcąc chociaż jakim wybiegiem wywinąć się od przyznania do ciążących na Burbonach warunków, na mocy których powołani zostali do rządów. Pan de Fontanes starając się teraz odpokutować dawne swe postępowanie, żywo powstawał na redakcję tego artykułu ustawy. Mówił on, że zwyczaje ustaliły widoczną różnicę pomiędzy dobrami po przodkach odziedziczonemi, a temi, które się nazywają narodowemi, więc jeżeli ta różnica istnieje w rzeczywistości, jak

można ośmielać się na wyrzeczenie, iż nie ma żadnej? Aż dotąd nawet, prawa rewolucji ograniczały się tylko na utrzymaniu własności pochodzenia narodowego, nie posuwały się jednak nigdy aż do nadania tej wartości moralnej, na jakiej jej zbywało. Więc czyż można było w dniu powrotu Burbonów do Francji, pogorszać położenie tych nieszczęśliwców, którzy obdarci zostali ze swego dziedzictwa?

Bardzo łatwo można tu było odpowiedzieć, że jeżeli nie wszyscy ci nieszczęśliwcy, to przynajmniej wielka z nich liczba podniosła broń przeciw własnej ojczyźnie, a ztąd, że interes jaki obudzali, nie może być tak rzetelnym; jeżeli zaś powrót Burbonów rozbudził uśpione ich nadzieje, to właśnie należało wybrać tę samą chwilę, na wzmocnienie rękojmi dla nabywców dóbr narodowych. Autorowie projektu zupełnie jednak zamilkli, jakby dając do zrozumienia, że ustępują tylko przed czasową koniecznością, której złorzeczą w gruncie serca. Jedynie pan Lainé rozdarł zasłonę. Przed dwudziestu laty namiętnie popierał on sprawę rewolucji, lecz zrażony jej nadużyciami tak gwałtownie począł się cofać, że do tych samych prawie co i emigranci przyszedł przekonań. Mówmy otwarcie, zawołał; uznaliśmy za potrzebę oszczędzać nabywców dóbr narodowych, lecz pomimo całego ich oszczędzania żądamy, aby dobra te przeszły do dawnych swych właścicieli. Tego wymaga moralność, sprawiedliwość i prawdziwa zasada monarchizmu. Ale to może się tylko dokonać na mocy wzajemnych układów pomiędzy dawnymi a obecnymi tych dóbr posiadaczami. Umowy podobne rozpoczęły się już w niektórych miejscach, sprowadzone wpływem opinji publicznej, ciążącej na obecnych posiadaczach. Dla czegoż więc mamy tu się trudzić nad zmniejszeniem wpływów tej opinji, która prowadzi do pożądanego celu?

Było to bardzo po prostu powiedziano, że należy zmusić przestrachem obecnych posiadaczy, aby nabyte dobra zwrócili dawnym za jak najtańszą cenę. Prawda że wielu z nich prawie za nic nabyło dobra, ale też wielu zapłaciło za nie gotówką i to wedle ceny zbliżonej do rzeczywistej ich wartości. Z drugiej nawet strony, tysiącznemi układami wielka część tych dóbr przeszła już do innych posiadaczy, którzy nabywali je za gotówkę, płacąc prawdziwy ich szacunek. Żywiony więc zamiar, aby przeszły one napowrót w ręce dawnych swych posiadaczy, pomimo niesprawiedliwości swej pod moralnym, był bardzo wielkim nierozsądkiem pod względem politycznym.

Autorowie projektu ustawy najzupełniejsze zachowywali milczenie i dopiero p. Beugnot, minister stanu zarządzający policją, zabrał głos w celu bronienia spornego artykułu, którego nawet był redaktorem. Z odbieranych każdodziennie rapportów wiedział, do jakiego to stopnia

nieukrywane nadzieje emigrantów przerażają nabywców dóbr narodowych, z prawdziwego stanu rzeczy ułożył obraz, który bardzo poruszył obradujące dwie kommissje. Pomimo to nie przemógłby jeszcze, gdyby się nie był posłużył wybiegiem. Pomiędzy rękojmiami ogólnemi znajdował się następny artykuł: *Państwo może wymagać poświęcenia jakiej własności w sprawie dobra publicznego, prawnie wykazanego, ale za poprzedniém wynagrodzeniem.* Artykuł ten razem ze spornym przedstawił kommissji, dowodząc, że rzecz ta może być podniesioną później i na mocy wynagrodzeń przez rząd udzielonych, dobra mogą powrócić do dawnych swych właścicieli. Wybieg ten stawszy się pozorem dla jednych, a słusznością dla drugich, zakończył rozprawy i przedstawiana redakcja została przyjętą.

Do tych praw i powinności ogólnych, dodano jeszcze postanowienie pod względem służby wojskowej, obowiązującej wszystkich obywateli. Zgodzono się na użyte już podejście co do zniesienia poboru i ogłoszono rozporządzenie, stanowczo znoszące dawny sposób rekrutowania, co miało doprowadzić do urządzenia na nowo tak koniecznego spisu wojskowego, który powoli i z rozsądkiem rząd przeprowadzić zamierzał.

Po uchwaleniu praw naród obowiązujących, należało w końcu przystąpić do określenia formy rządu królewskiego. Pod względem tym nie mogło być ani jednej w zdaniach różnicy, gdy odsunięto na bok wszelkie ostateczne zasady. Wszyscy uznawali za rzecz konieczną nietykalność króla, sprawującego całą władzę wykonawczą i znoszącego się za pomocą ministrów odpowiedzialnych z dwoma izbami różnego pochodzenia. Ale gdy emigranci żywili w sobie szalone żądze, zarówno i rewolucjoniści, których możnaby także nazwać emigrantami innego rodzaju, ze swej strony niesprawiedliwie oceniali rzeczy i pozostawszy zapalonymi stronnikami ustawy z 1791 roku, jedną tylko izbę mieć chcieli. W obudwóch kommissjach, a nawet w ogóle nie można było znaleźć ani jednego światłego człowieka, któryby podobnego był zdania, rozprawy przeto nad tym przedmiotem wszcząć się nie mogły. Artykuł 14, przyznający królowi prawo urządzenia spraw pod względem wykonawczym, został przyjęty po prostu; a chociaż dodano doń wyrazy: *dla bezpieczeństwa państwa*, to przecież nie chciano powiedzieć, aby król mógł się posłużyć tém dowolném urządzeniem władzy wykonawczej, do stanięcia wyżej od prawodawczej i aby mógł znosić konstytucję, gdy to mu się podoba. Nikomu nie przyszło nawet do głowy pozbawiać króla koniecznych środków do utrzymania bezpieczeństwa kraju na zewnątrz i wewnątrz; w tej to jedynie myśli zatwierdzono mu rzeczone prawo, gdyż i najlepiej napisane ustawy pełne są jeszcze drobnych, nieokreślonych szczegółów, które należą do

rozstrzygnięcia władzy wykonawczej. W artykule więc 14 nie kryła się wiarołomnie dyktatura, gdyż, powtarzamy to, działano po prostu i z dobrą wiarą.

Pozostawała jeszcze do rozstrzygnięcia kwestja inicjatywy prawodawczej, która w owym czasie za daleko ważniejszą niż dzisiaj była uważaną, albowiem skutkiem braku doświadczenia nie rozumiano jeszcze, że prawdziwą inicjatywę w prawodawstwie naród posiada wówczas, gdy wyniesie na ministrów ludzi swego wyboru. W ten sposób utworzony gabinet wyobraża zawsze prawa, których kraj czuje potrzebę. W owym jednak czasie wiele przywiązywano wagi do prawa czynienia wniosków celem zmiany urządzeń, dla tego rojaliści chcieli utrzymywać je przy królu, a liberalni żądali nadania go dwom izbom. Pozbawienie zupełne izb tego prawa, jak to projektowano, stawiało zgromadzenie w tém położeniu, że mogły tylko po prostu przyjąć albo odrzucić wnioski królewskie, co nawet autorowie projektu uważali za zbyteczne ich ograniczenie. Zgodzono się przeto na pozostawienie izbom prawa wchodzenia z prośbami do króla, o przedstawienie wniosków pożądanych, z tém wszakże nawet rozsądném zastrzeżeniem, że prośba dopiero może być zaniesioną do tronu, gdy poprzednio zyska przyzwolenie obudwu izb. Była to więc sama inicjatywa, tylko w formie nadzwyczaj uniżonej, co nie zmniejszało ani jej wartości, ani też jej wpływu.

Zrobiono także niejakie w roztrząsanej ustawie poprawki pod względem możności zmiany praw przedstawianych pod uchwały izb, to jest uchwalono, że to nie będą miały mocy obowiązującej aż dotąd, dopóki nie zostaną rozstrząśnięte i dopóki nie zgodzą się na nie także ministrowie lub kommissarze królewscy. W każdym wypadku potwierdzenie prawa wyłącznie należało do króla. Ostrożność ta co do poprawiania praw stawała się konieczną, gdyż rozprawy nad niemi bez możności zaprowadzenia jakiejkolwiek zmiany, byłyby tylko nie prowadzącą do niczego gadaniną. Postawienie izb pomiędzy prostém przyjęciem lub odrzuceniem przedstawianych przez króla wniosków, zmuszałoby je koniecznie do uchwał nadzwyczajnych, niszczcąc od razu ducha pojednania, który jest prawdziwym kierownikiem krajów wolnych. Zresztą konieczne zatwierdzenie uchwalonych praw przez króla, dawało wszelką rękojmię w tym względzie przywilejom korony.

Rozumie się samo przez się, że poczynione poprawki musiały być przedstawione Ludwikowi XVIII i dopiero po zatwierdzeniu ich mogły być wprowadzane do ustawy. Czterech kommissarzy złożyło uchwalone zmiany królowi, który się zgodził na nie bez trudności, mówiąc, że nie wy-

maga niepodobnych rzeczy, aby przedstawiony dwom kommissjom projekt ustawy jednomyślne zyskał ich uznanie.

Następnie zatwierdzono utworzenie izby parów w miejsce senatu, gdyż sama podobna nazwa lepiej odpowiadała zasadom dawnej monarchji, i postanowiono, że król przemianuje z senatorów na parów nie wszystkich, lecz tych, którzy swemi usługami, wzięciem, lub położeniem będą przypadać do nowego porządku rzeczy. Nie powołani senatorowie do nowotworzącej się izby, mieli zatrzymać swe uposażenie. Godność parów mieli piastować także książęta krwi na mocy praw swego urodzenia. Lecz na przedstawienie pana de Sémonville, który prawdopodobnie w chęci przypodobania się dworowi, bardzo wyraźnie tu wspomniał o księciu Orleańskim, kommissja uchwaliła, że książęta mogą zasiadać w izbie tylko skutkiem zezwolenia królewskiego. Projekt ustawy nie zawierał tej ostrożności, więc po uchwalonej poprawce trzeba było odnieść się do króla, który po prostu ją zatwierdził, najmniejszej nie zrobiwszy uwagi na niekorzyść księcia, którego głównie tu miano na widoku.

Druga izba nazwaną została izbą deputowanych. Aż do jej odnowienia miała ona pozostać w zupełnym swym obecnym składzie, gdyż daleko bardziej od senatu odpowiadała widokom nowego porządku rzeczy, gorliwie się oświadczając na korzyść Burbonów. Projekt uchwały mówił, że deputowani będą wybierani w kollegjach okręgowych, przez wyborców opłacających 300 franków i że sami powinni opłacać 1,000 franków podatku. W tym względzie wiele podniesło się kwestji. Najprzód, czy ma być wymagane cenzum ze strony wyborców i wybranych i jaka ma być jego wysokość?

Co do wyborców nikt najmniejszego nie miał powątpiewania. Pod względem zaś wybranych powstały niejakie wątpliwości. Pan Feliks Faulcon, szanowny i szanowany człowiek, który od lat dwudziestu pięciu zasiadał na ławach różnych zgromadzeń narodowych, powstawał przeciw wymaganiom wyborczego cenzum, dowodząc, jakie to niedogodności może sprowadzić podobny warunek, i za przykład samego siebie przedstawiał, gdyż aż dotąd takowego nie płacił. Pomimo wszelkiego, jaki dlań miano szacunku, nieuwzględniono zrobionej uwagi, a to z powodu, że obdarzając kraj wolnością, należy złożyć bezpieczeństwo jego w ręce wielkich właścicieli, zwłaszcza, że ta wolność była tak nową i tak rozciągłą, iż próba jej mogła się stać niebezpieczną. Dowodzenia te przeważyły. Pozostawała do określenia natura wymaganej opłaty. Zauważano, że wyrażenie: *podatek gruntowy*, było za wielkiém ścieśnieniem i żądano dodać: *ruchomy*, gdyż podatki oznaczone tym ostatnim wyrazem mają wiele podobieństwa do pierwszego. Po przeprowadzonych rozprawach, wyrażenie:

podatek gruntowy, zamieniono na *podatki bezpośrednie*, bez żadnego powątpiewania, że tym sposobem zmieni się zupełnie zamierzony porządek rzeczy, gdyż wprowadzi się pomiędzy wyborców klassę *patentowaną*, która płaci podatki nie od posiadanej własności, lecz od sprawowanego rzemiosła. Czy posiedzenia izb miały jawnie odbywać swe posiedzenia, tego pytania nie brano nawet pod rozprawy.

Nakoniec, odnośnie do sposobu utworzenia drugiej izby, pan de Montesquiou działając tu na własną rękę, żądał, aby zatwierdzono królowi władzę należącą na mocy ustawy cesarstwa do senatu, to jest dowolny wybór członków ciała prawodawczego, z listy kandydatów uformowanej przez okręgi wyborcze. Dla dowiedzenia zaś, że podobne zgromadzenie nie byłoby bardziej od innego zależném, przytoczył zgromadzenie znakomitych obywateli w 1787 roku, które odrzuciło wszystkie przedstawienia rządowe. Nikt jednak nie popierał tego wniosku. Projekt p. de Montesquiou nie zasługiwał na uznanie z tego względu, że największego wzięcia zgromadzenie, które uważało się za wyraz całego kraju, pozbawiał pozorów niezależności, co z samą nawet niezależnością porównaćby nieraz można. Dowodzenie zaś jego tém bardziej nic nie wróżyło, gdyż jak z jednej strony wybór deputowanych nie zapewniał królowi żadnej rękojmi na ciężkie rewolucyjne czasy, tak z drugiej, przy naturalnym biegu rzeczy, prowadził za sobą pozory samowładztwa, co właśnie wyrzucano rządowi cesarskiemu. Nie utrzymały się więc pomysły pana de Montesquiou.

Bez żadnych sporów przyznano izbie niższej prawo roztrząsania spraw skarbowych państwa, a izbie wyższej władzę sądową w niektórych szczególnych wypadkach, naprzykład gdyby się okazała potrzeba stawienia przed sądem ministrów. Mianowanie parów pozostawiono zupełnie królowi; mieli oni być dziedziczni z pozostawieniem woli królewskiej powoływania na tę godność i dożywotnio. Nikt nie sprzeciwił się dziedziczności parów, gdyż uważano w tém rękojmię zarówno niezależności jak i trwałości tej wysokiej władzy.

Postanowiono następnie, że izby będą zwoływane każdorocznie przez króla, który będzie mógł rozwiązywać je dowolnie, z tém jednakże zastrzeżeniem, aby w przeciągu trzech miesięcy na nowo zwołane zostały, i aby zanoszone podania tak do jednej jak drugiej izby czynione były na piśmie. Zajęto się dalej urządzeniem postępowania sądowego, opartego na niezmiennych zasadach niezależności od roku 1789, a nakoniec przejrzano przechodnie prawa, jak o utrzymaniu długu publicznego, legji honorowej, stopni i uposażenia wojska, dawnej i nowej szlachty i t. p.

Prawie jednomyślna zapadała uchwała pod względem tych rozmai-

tych artykułów ustawy, z których niektóre zostały poprawione, co potrzebowało zatwierdzenia królewskiego. Ludwik XVIII nadzwyczaj łatwo zgadzał się na wszelkie poprawki, gdyż w jego oczach zasada monarchiczna została ocaloną, skoro konstytucja od niego pochodziła, a ztąd drobnostki podobne nie wiele go obchodziły. Zgodził się nawet i na to postanowienie, że królowie w czasie koronacji zobowiązani zostali do zaprzysięgania ustawy, albowiem przysięgę podobną uważał nie za zobowiązanie się względem narodu, lecz względem Boga, a w takim razie tylko królewski spowiednik mógł być sędzią w sprawie dotrzymania zobowiązań. Gdy praca ta w ten sposób postępowała w łonie kommissji, król prawie nic nie wspominał o niej w radzie, ograniczając się na powtarzaniu, że jest zadowolniony z kierującego obradami usposobienia. Jedynie co do dwóch lub trzech poprawek, jak o poborze wojskowym i inicjatywie prawodawczej, z mniejszém zadowoleniem, lecz nazbyt krótkiemi słowy odezwał się, dając do zrozumienia, że rzecz ta całkowicie i prawie wyłącznie do niego należy.

Cztery dni były początkowo wyznaczone na przejrzenie ustawy, tak że 4 Czerwca miała być ogłoszoną, lecz p. Begnot żądał przedłużenia tego czasu o dni jeszcze 4, to jest do 8go, aby można było uszykować urtykuły, starannie wykończyć ich redakcję, napisać wstęp i nadewszystko choć rzucić na papier ogólne zasady prawa wyborczego, gdyż to jeszcze pozostawało do zrobienia. Miał już otrzymać zatwierdzenie tej zwłoki, gdy wtém monarchowie sprzymierzeni, przyśpieszając swój wyjazd z Paryża od czasu podpisania pokoju (30 Maja), wyraźnie zażądali, aby wszystko najdalej do 4 Czerwca zostało ukończoném. Uważali się oni bowiem za obowiązanych honorem względem nadania Francji tej konstytucji, bez której ludzie co im zupełnie zaufali, zostaliby bez żadnej rękojmi bepieczeństwa, emigracja bez wędzidła, a Francja, to jest Europa, wystawionąby była na nowe burze. Pan Metternich oświadczył, że ważne sprawy powołują ich do domu, że wojska sprzymierzone nic nie zyskają na przedłużeniu swego pobytu we Francji, że oficerowie niszczyli się tutaj i że nie można czekać dłużej. O wymaganiu tém uwiadomiono radę królewską, która okazała się zdziwioną i obrażoną.—Niechżeż więc idą sobie, żywo zawołał książe de Berry, nie potrzebujemy ich wcale dla utworzenia rządu Francji, gdyż jeżeli po ich wyjściu ogłosi król ustępstwa krajowi, to będą one nosić na sobie piętno daleko większej niezależności.—Książe ten najgoręcej życzył sobie wyswobodzić się od Cesarza Rossyjskiego, który najwięcej ze wszystkich monarchów ciążył. Lecz ministrowie cudzoziemscy oświadczyli, że chociaż mogą zmniejszyć liczbę swych wojsk w stolicy, to przecież ostatnich oddziałów nie wyco-

fają, dopóki nie zostaną spełnione wszystkie przyrzeczenia dane w Saint-Ouen. Trzeba się więc było poddać i posiedzenie królewskie naznaczyć na dzień 4 Czerwca.

To co jeszcze pozostawało do zrobienia, nie wielką miało wagę w oczach króla. Zasady prawa wyborowego mogły być bowiem wstrzymane aż do samego prawa i rozpisania wyborów na deputowanych, a redakcję wstępu można było ukończyć przez noc jedną. Rozkazano więc panu Beugnot, aby był gotów na dzień oznaczony. Dwa jeszcze pytania pozostawały do rozstrzygnięcia: data nowej konstytucji i jej nazwa. Co do daty, Ludwik XVIII nie dopuścił żadnych rozpraw. Uważał się za panującego od dnia śmierci syna Ludwika XVI, to jest, że panował nawet wówczas, gdy wyniesiony Napoleon głosem narodu na cesarstwo, zwyciężał pod Austerlitz, Jeną, Friedland, Wagram, i podpisywał traktaty w Preszburgu, Tylży i Wiedniu. Były to tylko, według niego, różne wypadki skutkiem przywłaszczenia tronu, które ustąpiły w obec niewzruszonej zasady prawowitości monarszej. Żądał przeto Ludwik XVIII, aby ustawa była datowaną roku dziewiętnastego jego panowania. Co do nazwy wysłuchał zdań wszystkich. P. Dambray wnosił, aby nowa konstytucja nazwaną została *postanowieniem królewskiém*, na wzór dawnych postanowień (*ordonnances*), zaprowadzających niegdyś zmiany w prawodawstwie francuzkiém. Nazwa ta podobała się z początku Ludwikowi XVIII. Pan Beugnot jednak inny przedstawił wniosek. Gdy królowie Francuzcy zatwierdzali niegdyś byt prawny bądź to gminom, bądź różnym zgromadzeniom cywilnym lub religijnym, nadawali to pismem nazywaném z łacińskiego *kartą*. Pomiędzy tém, czego obecnie dokonywano, a tém naprzykład, co robił Ludwik Gruby, zachodziło pewne podobieństwo, łechcące dumę królewską Ludwika XVIII, a ztąd zatwierdził dla ustawy nazwę *karty*, dodając jej przydomek *konstytucyjnej*, dla lepszego określenia przedmiotu. Po takiém rozstrzygnięciu obudwóch tych pytań, p. Beugnot zajął się potrzebną redakcją, którą przy swej zdolności w kilku mógł ukończyć godzinach. Król sam napisał mowę, którą miał powiedzieć, nauczył się jej na napamięć dla tém lepszego wystąpienia, i z wyjątkiem tej mowy, zdawało się, iż nic go więcej nie zajmuje. Po nim kanclerz Dambray miał wyłożyć zasady karty, a p. Ferrand tekst jej przeczytać. Następnie, w obec zgromadzenia wielkich ciał państwa, miano ogłosić kilka postanowień królewskich pod względem urządzenia nowych władz kraju. Tak postanowiono przeczytać listę mianowanych parów, która obejmowała 83 dawnych senatorów, czterdziestkę dawnych książąt i kilku marszałków, którzy nie byli członkami senatu. Wyłączono 55 senatorów od godności parowskiej, z których 27 jako cudzoziem-

ców, a 28 jako królobójców, lub też nazbyt odznaczonych swém postępowaniem za czasów rewolucji i cesarstwa. Dawni senatorowie, tak przemianowani na parów, jako też i wyłączeni, mieli zapewnione swe uposażenia sposobem płacy. Ciało prawodawcze zostało zamienione na izbę deputowanych i miało odbywać posiedzenia aż do powołania nowych członków na zasadzie prawa obecnie ogłoszonego.

Dnia 4 Czerwca rozwinięto wielkie siły wojsk francuzkich, a nadewszystko gwardji narodowej, co było rozpoczęciem uroczystości posiedzenia królewskiego, na którém miały być spełnione wielkie obietnice dane w Saint-Ouen. Większa część wojsk cudzoziemskich już wyruszyła, a reszta gotowała się do wymarszu w dniu dzisiejszym i następnych. Cesarz Aleksander chcąc koniecznie widzieć się przed powrotem do swego państwa z księciem Walji, nie oczekiwał na zapowiedziane posiedzenie królewskie. W dzień wyjazdu z Paryża zażądał jeszcze, aby dzieci królowej Hortensji, których stał się protektorem, otrzymały na własność księstwo Saint-Leu ze znakomitém prócz tego uposażeniem. Żądał zarównie przyzwoitego stanowiska dla księcia Eugenjusza, lecz sprawę tę odesłano pod rozstrzygnięcie kongresu wiedeńskiego. Wyjechał zachwycony Francuzami, których podbił serca swą dobrocią, mało jednak będąc zadowolony z rodziny królewskiej, której zarówno się nie podobał. Król Pruski i cesarz Austrjacki prawie jednocześnie opuścili Paryż. Z rana w dzień uroczystości, wielkie zaszło zamięszanie na dworze. Rozeszła się wieść, że miano wysadzić w powietrze całą rodzinę królewską, za pomocą silnego wybuchu przygotowanych prochów. Urzędnicy, którzy z pośpiechem ofiarowali byli swe usługi hrabiemu d'Artois i którzy poczęli tworzyć w koło niego rodzaj ochotników policyjnych pod rozkazami panów Ferrier de Mantciel i de la Maisonfort, dostrzegli na wybrzeżach Sekwany kupy prochu, co im się wydawało rzeczą podejrzaną. Po wyprowadzoném jednak śledztwie przekonano się, że to artyllerja rossyjska pozostawiła w tém miejscu prochy przy swém pakowaniu się w drogę.

Po uspokojeniu tego wzruszenia zebrano się w Tuileries. Pan Beugnot chciał przedstawić Ludwikowi XVIII napisany przez siebie wstęp do *karty*, lecz król zajęty wyłącznie powtarzaniem mowy, z którą miał się popisać przed izbami, nie chciał go słuchać, oświadczając, że zupełnie jest pewnym dobroci jego redakcji. Wyruszono więc do Palais-Bourbon, zbywając lekko wielkiej wagi sprawy, gdyż nie miano jeszcze doświadczenia rządu liberalnego, jaki to wpływ wywierają słowa na umysły. Po zwichnięciu przestrachu powstałego ze sprawy prochowej, nastąpił z kolei inny. Obawiano się, ażeby bądź to w senacie, bądź też w ciele prawodawczém, nie podniosły się głosy przeciw sposobowi, ja-

kim karta miała być ogłoszoną. Kanclerz otrzymał rozkaz nie dozwalać na zabieranie nierozsądnego głosu, ale zawsze byłoby to zdarzeniem nieprzyjemném, opłakaném dla godności królewskiej, które mogłoby się stać bardzo złowrogiém, jeśliby do niego przyszło. Odurzeni jednak przygotowaniami do uroczystości, dworacy przestali myśleć o możliwości podobnego wypadku, gdy już znajdowali się na drodze do Palais-Bourbon.

Król w powozie otoczonym przez książąt i marszałków przebył ogród tuileryjski i około 3ej godziny przybył do Palais-Bourbon. Przyjęty tu był ze starożytną wystawnością królewską i wszedł do pałacu wsparty na ramieniu księcia de Grammont. Zajął miejsce na tronie, mając z swej prawej i lewej strony na siedzeniach niższych: księcia d'Angoulême, księcia de Berry, księcia Orleańskiego i księcia Condé. Brakowało tylko na tém posiedzeniu hrabiego d'Artois, dotkniętego napadem podagry, jako też zmartwieniem, które wkrótce poznamy. Publiczność nasycona już widowiskami wielkich uroczystości wojskowych, którym tyle razy uczestniczyła, zaczynała nabierać smaku do uroczystyści politycznych i ztąd tłumnie się zbiegła. Wnętrze sali zapchane było największemi znakomitościami Paryża, a na ławach zasiadły obiedwie izby: najprzód nowomianowani panowie, a następnie ciało prawodawcze w pełném zgromadzeniu. Skoro tylko się król ukazał, rozległy się natychmiast jednogłośnie okrzyki: *Niech żyje król!* kilkakrotnie z namiętnością powtarzane. Dotknięty tém przyjęciem i zapewniony o dobrej woli swych słuchaczy, zabrał głos i powiedział następną mowę, nadzwyczaj zastosowaną do okoliczności, z wielką sztuką i wdziękiem:

„Panowie, mówił król, wchodząc po raz pierwszy w to grono wiel-
„kich władz państwa i wyobrazicieli narodu, który nie przestaje okazy-
„wać mi najbardziej dotykających oznak miłości, muszę sobie powinszo-
„wać, iż jestem szafarzem dobrodziejstw, które Opatrzność Boża raczyła
„zapewnić dla mego ludu.

„Zawarłem z Austrją, Rossją, Anglją i Prusami pokój, w którym
„mają udział tych państw sprzymierzeńcy, to jest wszyscy książęta chrze-
„ścijańscy. Wojna była powszechną; pojednanie jest ogólne.

„Stopień jaki zajmowała Francja pomiędzy narodami, nie uległ ża-
„dnej zmianie i utrzymuje go ona bez podziału. Wszystko to, co obce
„państwa nabyły na bezpieczeństwie, zwiększa zarówno jej pewność
„i przykłada się do rzeczywistej potęgi. Czego zaś nie utrzymała ze
„swych podbojów, to nie powinno być uważane za pozbawiające ją pra-
„wdziwej siły.

„Sława wojsk francuzkich nie poniosła żadnego szwanku: pomniki
„jej dzielności zostały nietknięte i arcydzieła sztuki należą odtąd do

„nas, a to na mocy praw daleko starszych i świętszych aniżeli „zwycięztwo.

„Drogi handlowe tak długo zamknięte, zostały otwarte. Targi „Francji nie będą już służyć jedynie dla płodów jej ziemi i jej przemy- „słu. Towary, których używanie zwyczaj przemienił w potrzebę i któ- „rych Francja potrzebuje dla prowadzenia swego przemysłu, dostarczane „będą ze zwróconych jej posiadłości. Nie będzie już ona zmuszoną oby- „wać się bez nich, lub też nabywać je pod rujnującemi warunkami. Na- „sze rękodzielnie na nowo zakwitną, nasze miasta nadmorskie odrodzą się „i wszystko nas upewnia, że długi spokój na zewnątrz i trwała pomyśl- „ność wewnątrz, staną się pożądanemi owocami pokoju.

„Bolesne jednak wspomnienie zakłóca mą radość. Urodziłem się „i pochlebiałem sobie, że całe życie pozostanę najwierniejszym podda- „nym najlepszego z królów, a tymczasem dziś zajmuję jego miejsce! Ale „przynajmniej nie umarł on zupełnie, gdyż odżył w testamencie, prze- „znaczonym za naukę dla dostojnego i nieszczęśliwego dziecięcia, które- „go jestem następcą! Z oczami wlepionemi w to nieśmiertelne dzieło, „przejęty uczuciami jakie go natchnęły, prowadzony doświadczeniem „i wsparty radami wielu z pomiędzy was, ułożyłem kartę konstytucyjną, „której odczytania wysłuchacie, a która spoczywa na trwałych podstawach „pomyślności państwa.

„Mój kanclerz da wam szczegółowo poznać ojcowskie moje zamiary".

Ta mowa prosta, godna, zręczna, zarówno dobrze powiedziana jak i napisana i poświęcona o tyle pokojowi o ile karcie, słuchana z początku z religijném niemal milczeniem, przyjętą została następnie oklaskami. Król zdawał się być zachwycony powodzeniem, które było nie tylko polityczne ale i osobiste. Po królu kanclerz przeczytał mowę, wktórej tłumaczył kartę z widocznym zamiarem przedstawienia jej rojalistom za nieunikniona, starając się przytem wykazać, że pochodziła ona tylko z zupełnej władzy królewskiej. Nakoniec pan Ferrand głosem nieco stłumionym, odczytał samą kartę, która jak to można było osądzić przy tém pobieżnem czytaniu, zaspakajała nawet najwięcej wymagających, gdyż oprócz jej pochodzenia wyłącznie królewskiego, prawie nieodstępowała od ustawy napisanej przez senat. Po ukończeniu czytania, kanclerz powołał do przysięgi parów i deputowanych wpośród największej cichości i rozbudzonego zaciekawienia skutkiem wzywania już to wielkich imion dawnej monarchji, których oddawna nie słyszano, już też wielkich imion cesarstwa, które się odzywały tyle razy w pełnych sławy buletynach Napoleona, a które nagle wpisane zostały na listę nieodwołalnej dla Burbonów wierności.

Uroczystość zakończyła się w wybornym porządku i bez żadnego z wypadków, których tak się obawiano. Ludwik XVIII powrócił do Tuileries wpośród hucznych oklasków izb obu, odbierając osobiście powinszowania od tych wszystkich, których położenie pozwalało na zbliżenie się do króla. W wielkiej tej uroczystości widziano tylko jedną rzecz, to jest mowę króla i rozpływano się nad jednym tylko skutkiem, to jest jego osobistém powodzeniem. Zdarza się częstokroć ludom, że są w ogromném usposobieniu przyklaskiwania panującym, jak gdyby nie umiały zastosować wobec nich milczenia. Tą razą oklaski izb i publiczności były bardzo na swojém miejscu i uczyniły króla tak zadowolnionym z karty, jak gdyby ona najulubieńszém jego była dziełem. Zgodził się na nią bez wstrętu, co już wielką było rzeczą, a gotów był nawet wykonać ją podobnie, co stawało się daleko większą. Chcąc być jednak sprawiedliwym, to należy wyznać, że ustawa była głównie dziełem senatu, to jest starych wyobrazicieli rewolucji francuzkiej, wracających w dzień upadku Napoleona do prawdziwych swych przekonań i nie życzących sobie, aby powalenie tego zadziwiającego człowieka, stało się zarazem zniszczeniem zasad z 1789 roku. Trzeba też dodać, że karta była w pewnym stopniu dziełem monarchów sprzymierzonych, nienawidzących naprawdę konstytucji, ale chcących dotrzymać danego słowa senatowi za wyświadczone usługi, obawiających się szaleństwa emigracji i oceniających za rzecz bardzo użyteczną nałożyć na nią wędzidło, a to nietylko w interesie Francji, lecz całej Europy. Z tego wszystkiego można wyprowadzić ten wniosek, że karta, jako niepochodząca z przelotnego usposobienia jakiego stronnictwa, była dziełem całego świata.

Pozory jednak (prawdziwe lub nie) uchodząc często za rzeczywistość, całą zasługę karty przypisywały Ludwikowi XVIII, który w utworzeniu jej zawsze większy lub mniejszy miał udział. Znano tu jego dobrą wolę i wszyscy światli ludzie wiele na nią zaliczali. Senat jakkolwiek wyłączony poczęści od parostwa, nie mógł się użalać, gdyż tylko ci z senatorów zostali wyłączeni, którzy żadną miarą nie mogli się znaleść w nowym porządku rzeczy, z wyjątkiem jedynie kilku osób, których pominięcia należało żałować, jak naprzykład marszałka Massena, z powodu iż się rodził po zagranicami Francji z 1790 roku, i marszałka Davout, z powodu że obrona Hamburga oburzyła nadzwyczaj mocarstwa sprzymierzone. Zresztą tak wyłączeni jak i przemianowani zatrzymali swe dawne uposażenie. Co zaś do ciała prawodawczego, było ono utrzymane w całym swym składzie aż do nowych wyborów. Nakoniec karta, przy odrzuceniu na bok kwestji jej pochodzenia, co wówczas zdawało się tylko niepotrzebną grą wyrazów, karta zawierała w sobie wszystkie zasady

mónarchji konstytucyjnej i niepodobała się tylko krańcowym rojalistom. Zyskała ona uznanie najlepszego, a przynajmniej niepodejrzanego z sędziów, gdyż znajdujący się w liczbie upadłych senatorów Sieyès, niewahał się wyrzec, że przy tej karcie Francja, jeżeli zechce, może być wolną, i że nic co było dobrego z rewolucji nie zginęło z cesarstwem, z wyjątkiem jedynie granic, jedynej wielkiej wagi straty, godnej długiego żalu.

Traktat paryzki jednocześnie ogłoszony z kartą, nie cieszył się podobnem powodzeniem. Nie można było gorącej pożądać pokoju od ówczesnej Francji, do czego miała ona słuszne swe powody; ale też ogłoszony traktat z 30 Maja, nie był nawet tym pokojem, którym się cieszono od 23 Kwietnia, gdyż był tylko jego ceną i to ceną bardzo bolesną. To też poznanie traktatu pokoju bardzo smutny wywarło skutek, a to nie tylko pomiędzy ludźmi, których dotknęła ostatnia rewolucja, ale pomiędzy bezstronnymi krajowcami. Poznano tu okrutną cudzoziemców rękę, a nadewszystko w kreśleniu granic francuzkich. Nie łudzono się nadzieją utrzymania granic jeograficznych i nie pochlebiano sobie, aby zwycięzka Europa po wejściu do Paryża chciała pozostawiać Ren przy Francji; bezustanne przecież powtarzania, że Francja pod Burbonami więcej będzie oszczędzaną aniżeli pod rządami Bonapartych, budziły jeszcze jakieś marzenia. Ale po poznaniu nagle całej rzeczywistości, po ujrzeniu, że pomiędzy wszystkiemi państwami tylko Francja zepchniętą została w granice z 1790 roku, po dowiedzeniu się nadewszystko, że francuzkie kolonje, które powinny były być powrócone za ustępstwa Francuzów na stałym lądzie, zagrabione w części zostały, nastąpiło głębokie oburzenie, a mianowicie w portach, gdzie pokoju daleko goręcej aniżeli gdzie indziej pożądano. Utrata Ile de France najgłębiej była poczutą i oskarżano Anglję, że chce powstrzymać odrodzenie się handlu francuzkiego. Gorzkie zarzuty podnosiły się wszędzie przeciw tej wiecznej współzawodniczce. Po Anglji największe złorzeczenia słychać było w całym kraju prawie Austrji. Postępowanie Austrji, tak łatwe do ocenienia ze względów politycznych, ale tak trudne z uwagi na prawa przyrodzone, bardzo niekorzystnie dla tego państwa sądzone było. Powszechnie najzgubniejsze przypisywano jej wpływy, a ztąd przyjmowano wszędzie cesarza Franciszka z nadzwyczajną oziębłością.

Daleko lepiejby było mniej narzekać na doznane zawody, a raczej zająć się wynalezieniem środków na ich powetowanie. Ale, wedle zwyczaju, w miejsce tego jedni drugim wyrzucali popełnione błędy, szukając w nich powodów do gorzkich oskarżań. Stronnicy rewolucji i cesarstwa oskarżali Burbonów o niegodny powrót do Francji z nieprzyjacielem

i dokonane przez to poniżenie kraju. Rojaliści w miejsce odpowiedzi, że chociaż przybyli śladami nieprzyjaciela, to przecież go nie sprowadzali, gdyż to Napoleon niepohamowaną swą dumą otworzył mu bramy Francji, rojaliści w miejsce bronienia się tą prostą i niezbitą prawdą, starali się obracać w śmieszność patrjotyczną boleść, którą należało im poszanować, choćby jej nawet nie podzielali. Śmieli się oni z granic naturalnych, z tego urojonego, jak mówili celu, dla którego tyle krwi trzebaby wylać, jeśliby na prawdę do niego zdążać miano. A przecież wszystkie narody mają swe cele co do rozciągłości granic, cele mniej lub więcej prawne, mniej albo bardziej oddalone, do których zdążają z mniejszą lub większą roztropnością, zręcznością, oszczędzaniem innych, lecz które są bezustannym poruszaniem ich usiłowań! I tak Anglja ciągle pracuje nad ścisłem połączeniem w jedno trzech królestw brytyjskich, nie mówiąc już o Indjach i innych jej posiadłościach; Rossja zawsze usiłuje zapewnić sobie stałe panowanie nad Finlandją, Besarabją, Krymem; Austrja marzy bezprzestannie o Dunaju i brzegach morza Adrjatyckiego; Prusy o rozciągnięciu się wewnątrz Niemiec; nakoniec Hiszpania o zagarnięciu jak największej części półwyspu! Dowodzili także rojaliści, że jeżeli Francja utraciła niektóre ze swych posiadłości, to za to ma zapewniony pokój ze wszystkiemi państwami, co jest niezaprzeczoną korzyścią w każdej przegranej sprawie; że pozbyła się tych niezgrabnych z akcentem cudzoziemskich Francuzów, którzy przychodzili tylko spierać się o urzęda; a przecież nie można było przyklaskiwać utraceniu przez Francję takich ludzi, jakim był finansista Corvetto, prawnik Lasagni, matematyk Lagrange, marynarz Verhuel, i wojownik Massena! Mówili oni, że jeżeli kraj utracił prowincje wydające zboże, to nabył za to wydające cukier, kawę, bawełnę, niemniej konieczne przedmioty. Żartowali z handlu za czasów cesarstwa, skazanego na mozolne włóczenie się wózkami po obszernych przestrzeniach stałego lądu i porównywali go z wyniosłością handlu morskiego, który zasłonięty opieką został zwrócony Francji. Błądzili także wyśmiewaniem szlachetnej boleści, przeciw której stawiali radość stronniczą, i błądzili zarówno wyrzucaniem narodowi klęsk, które tylko Napoleonowi należało przypisać. A i tu można było jeszcze powiedzieć, że jakkolwiek Napoleon zmniejszył granice Francji, z powodu że je za nazbyt chciał rozszerzyć, to przecież pozostała po nim olbrzymia sława, potężna jedność narodu, postęp pod każdym względem skutkiem rozwoju zasobów narodowych za rewolucji i cesarstwa, nakoniec tak żywe rozbudzenie ducha Francji, że po kilku latach pokoju pod rządem liberalnym, mogła ona odzyskać napowrót tę przewagę moralną i fizyczną, która nie przestała nigdy do niej należeć i która nie zależała

nigdy od posiadania jakiej prowincji. W tém tylko należało szukać prawdziwego i jedynego w owych czasach pocieszenia. Lecz w doznawanych przeciwnościach, ludzie daleko więcej doznają pociechy w rozszerzanych narzekaniach, aniżeli w lekarstwie, któreby prawdziwą ulgę przynieść im mogło. Pocieszają ich skargi i to o tyle więcej, o ile są one zjadliwsze. Nie podnosimy ich przeto i niechcemy nawet dawać wiary wszystkiemu co mówiono, a to tém bardziej iż mamy zaszczyt trzymać w swym ręku szalę historji.

KSIĘGA PIĘĆDZIESIĄTA PIĄTA.

RZĄDY LUDWIKA XVIII.

Zmiana opinji publicznej w miesiącu Kwietniu i Maju. — Odrodzenie się stronnictw. — Krańcowi rojaliści skupiają się koło hrabiego d'Artois. — Książe ten chory i zmartwiony, długo przebywa w Saint-Cland. — Przybycie do Francji księcia Orleańskiego. — Przyjaciele wolności liczą, a rojaliści napadają na niego. — Wielka ostrożność tego księcia, — Bonapartyści; ich upadek i rozproszenie. — Rewolucjoniści zadowolnieni początkowo z upadku Napoleona, skłaniają się ku Bonapartystom skutkiem gwałtowności stronnictwa emigracyjnego. — Powrót do Paryża p. de Lafayette, p. Benjamina Constant, pani de Staël i utworzenie stronnictwa konstytucyjnego. — Rozsądne usposobienie mieszczaństwa paryzkiego. — Duch stolicy odbija się w prowincjach z rozmaitemi odcieniami. — Stan Wandei i Bretanji. — Starzy powstańcy biorą się do broni, odmawiają płacenia niektórych podatków, i groźbami swemi niepokoją nabywców dóbr narodowych. — Oburzenie miast zachodnich na Szuanów i Wandejczyków. — Stan miasta Nantes. — Położenie prowincji południowych. — Panujący duch w Bordeaux, Tuluzie, Nimes, Avignon, Marsylji i Lyonie. — Obecność i rabunki nieprzyjaciela do rozpaczy przyprowadzają prowincje wschodnie i przywiązują je do Napoleona, którego nieprzestają uważać za dzielnego obrońcę ojczyzny. — Powrót wojsk tworzących załogi w odległych stronach, jak niemniej niewolników z Anglji, Rossji, Niemiec i Hiszpanji. — Rozpacz i uprzedzenie tych wojsk, przekonanych że tylko skutkiem nikczemnej zdrady Francja wydaną została nieprzyjacielowi. — Kłopoty Burbonów zmuszonych dokonywać bolesnego dla wojska zmniejszenia sił, oszczędzać wszystkich a szczególniej nieprzyjacielsko usposobionych i sprawować rządy, że się tak można wyrazić, wspólnie ze swymi nieprzyjaciołmi na niekorzyść swych przyjaciół. — Pierwsze postanowienia pod względem skarbu, wojska, marynarki i innych gałęzi służby. — Minister skarbu Louis stanowczo przeprowadził uznanie wszystkich długów państwa i utrzymanie ceł połączonych. — Granice, w których zmusza do zamknięcia się ministrów wojny i marynarki. — Projekt organizacji wojska, utrzymanie gwardji cesarskiej i przywrócenie dawnej straży przybocznej królewskiej. — Trudność pogodzenia tak różnorodnych instytucji, a nadewszystko podołania wszystkim potrzebom. — Utrzymanie legji honorowej ze zmianą na niej wyobrażenia. — Wielkie dowództwa wojskowe powierzane znakomitym marszałkom. — Złe przyjęcie przez wojska nowej organizacji. — Zebranie się w Paryżu ogromnej liczby oficerów na pół żołdzie i urzędników bez obowiązków. — Podczas zobojętnienia wojskowych, skutkiem cierpianego przez nich zmniejszenia szeregów i przywrócenia dawnej straży przybocznej, rozdrażniono także stronników rewolu-

cji nieroztropnemi manifestacjami. — Żałobne nabożeństwo za duszę Ludwika XVI, jenerała Moreau, Pichegru i Jerzego Cadoudal. — Napady duchowieństwa na nabywców dóbr narodowych. — Ponieważ konkordat nie został ubezpieczony kartą, przeto postanowili Burboni zażądać jego odwołania. — Poselstwo do Rzymu w tym przedmiecie. — Podczas gdy zażądano od papieża odwołania konkordatu, papież z swej strony zażądał od Ludwika XVIII zwrotu Avignonu. — Rozporządzenie policji względem święcenia niedzieli i świąt uroczystych. — Sprawiony skutek tém rozporządzeniem. — Z powodu robionych ustępstw swym przyjaciołom, rząd w przeciągu kilku miesięcy zniechęcił wojskowych, rewolucjonistów, księży przysięgłych, nabywców dóbr narodowych i mieszczaństwo. — Zebranie izb ożywionych zasadami monarchicznemi i liberalnemi, łagodzi ten stan rzeczy. — P. Durbach powstaje w izbie deputowanych na rozporządzenie o święceniu niedzieli i na prawo oddające prassę codzienną pod władzę cenzury. — Izba deputowanych odrzuciwszy wniosek pana Durbach, żąda jednak prawa co do tych dwóch przedmiotów. — Król zaspokaja żądanie izby i każe przedstawić prawo o prasie, ale prawo tworzące cenzurę.—Wzburzenie umysłów. — Rodzące się zamiłowanie do rozpraw politycznych. — Po długich rozprawach uznano, że cenzura nie jest objęta kartą, a prawo prasowe przyjęto tylko jako środek czasowy. — Król zgadza się na zrobione poprawki i zatwierdza prawo takie, jakie wyszło z pod obrad izby deputowanych. — Odesłano do osobnej kommissji rozpoznanie kwestji o świętach i niedzielach.— Wiele pism przeciw sprzedaży narodowej nadesłano do izb; izba deputowanych potępiła te pisma i na nowo uroczyście zaręcza nietykalność własności tak zwanych narodowych, — Projekt do prawa odnośnie do skarbu. — P. Louis przedstawia bilans skarbowy cesarstwa. — Niedokładność tego bilansu, lecz dokładność zasad ministra. — Projektuje całkowite uznanie długu państwa, utrzymanie podatków pośrednich i obrachowanie długów zaległych. — Rojaliści podnoszą głosy przeciw projektowi ministra, a nieośmielając się mówić o bankructwie, wnoszą, aby spłacić wierzycieli państwa rentami al pari — Znajdują oni niejakie poparcie pomiędzy liberalnymi, którzy nie pojmując projektu ministra, powstają przeciw ażjotarstwie. — Pan Louis jednak, skutkiem swej dzielności i wymowy, pokonywa wszystkie zapory i skłania do zatwierdzenia swych projektów, które stają się początkiem kredytu Francji. — Rozsądne środki pod względem handlu przy przejściu ze stanu wojny do pokoju. — Pomimo że liberalni oskarżają izby o bojaźliwość, to jednak łącząc umiarkowanie ze stałością, zasługują na szacunek u rządu i zaufanie u publiczności. — Obrady ich sprowadzają pewne uspokojenie. — Uczta w ratuszu na cześć Ludwika XVIII. — Straż przyboczna spiera się z gwardją narodową o zaszczyt strzeżenia króla. — Skutki uczty. - Błędy zarządu sprawami wewnętrznemi, pochodzące z winy pana de Montesquiou. — Minister ten umiejąc podobać się izbom, a niezdolny na nieszczęście do pracy, nie umie ani zmienić ani pokierować urzędnikami administracyjnymi. — Pozostawione samym sobie prowincje oddają się namiętnościom miejscowym. — Podróż książąt celem przywiązania ludności do Burbonów. — Niebezpieczeństwo tych podróży, które rozbudzają w miejsce uspokojenia namiętności. — Podróż księcia d'Angoulême po niszej Normandji, Bretanji, Wandei i Gujennie. — Przyjęcie, jakiego doznał w Bretanji, a mianowicie w Nantes. — Książe ten udaje się w głąb Wandei. — Uczucia, postępowanie Wandejczyków. — Bordeaux. — Zmiana w zapatrywaniu się na rzeczy mieszkańców tego miasta. — Powrót księcia przez Angers. — Podróż jego przeplatana złém i dobrém, kończy się w Sierpniu. — Wyjazd hrabiego d'Artois do Szampanji i Burgundji.— Liczne przyrzeka ulgi wszystkim prowincjom, które wycierpiały od wojny i rozsypuje ordery. — Pobyt i popełnione niedorzeczności w Lyonie, — Przybycie jego do Marsylji. — Zapał Marsylczyków. — Gorąca ich żądza ogłoszenia portu wolnym. — Hrabia d'Artois to przyrzeka, a ztąd pozostawia ich w prawdziwém szaleństwie radości. — Podróż jego do Nimês, Avignon, Grenobli i Besançon. — Nieprzyzwoite postępowanie ze względu na arcybiskupa Lecoz. — Powrót hrabiego d'Artois do Paryża. — Podróż jego wydała samo złe bez domieszki dobrego. — Podróż księcia de Berry po prowincjach pogranicznych. — Książe ten oburzony na spotykaną opozycję w wojskach, zgubnym oddaje się uniesieniom. — Po chwilowém uspokojeniu się w Sierpniu, rozbudziły się namiętności w Październiku i Listopadzie, skutkiem podróży książąt i nierozsądnego postępowania rządu z weteranami, sierotami legji honorowej i szkołami wojskowemi. — Wdanie się izb sprowadza zmianę lub też odwołanie użytych środków. — Napływ i rosnąca opo-

zycia wojskowych w Paryżu. — Opłakany wypadek ze względu na jenerała Vandamme i rozpoczęcie sprawy jenerała Exelmans. — Niełaska marszałka Davout. — Skutki projektu powrócenia emigrantom dóbr dotąd niesprzedanych. — Zasada środków zostaje przyjętą, ale przemówienie ministra Ferrand oburza wszystkie umysły. — Izby ganią ministra i uchwalają prawo z rozmaitemi poprawkami. — Wpośród tego wzburzenia, stronnictwo tak zwane szuanów i oficerowie na półżołdzie wzajemnie się obawiają i oskarżają o urojone spiski. — Policja urzędowa stara się wykazać te spiski w prawdziwém świetle, gdy tymczasem policja przyboczna hrabiego d'Artois usiłuje je powiększyć. — Strudzenie i niepewność Ludwika XVIII, znudzonego raportami brata. — Rola pana Fouché w tych okolicznościach. — Przed udaniem się na przedstawienie do Odeonu, król nabrawszy przekonania o istniejącym związku przeciw rodzinie panującej, nadzwyczajne przedsięwziął ostrożności. — Objawy gorliwości marszałka Marmont, dowodzącego strażą przyboczną. — Rozkiełznanie przeciw ministrowi wojny i dyrektorowi policji. — Na żądanie dworu mianuje król marszałka Soult, w miejsce jenerała Dupont, ministrem wojny, pana André w miejsce pana Bengnot dyrektorem jeneralnym policji. — Wynagradza pana Beugnot teką marynarki. — Wielkie zaufanie dworu i krańcowych rojalistów w tém lekarstwie. — Stan rzeczy w Grudniu 1817 roku.

Dwa miesiące upłynęło zaledwie od powrotu Burbonów, a już Francja tworzyła największe przeciwieństwo z tém, czém była lub czém się okazywała przez lat 15. Pod cesarstwem bowiem wyszedłszy z krwawej rewolucji, w czasie której z prawdziwém szaleństwem rzucali się jedni na drugich, zażarte stronnictwa ujrzały się nagle ujętą potężną prawicą Napoleona; a sprowadzone do zupełnej bezwładności fizycznej i moralnej, zrozpaczyły wkrótce o możności rzucenia się znowuż na siebie, popadły w pewien rodzaj zapomnienia o sobie, o swych namiętnościach i zasadach, których jednak nie porzucając i nie przykładając ręki do spraw publicznych, rzucały od czasu do czasu ciekawe spojrzenie na bohaterski romans rozwijający się przed ich oczami. Niespodziewany upadek Napoleona wyzwolił je od żelaznej ręki i różnorodnemi napełnił uczuciami: rojalistów niesłychaną radością, rewolucjonistów połowiczném zadowoleniem pomięszaném z niespokojnością, a nakoniec Bonapartystów odurzył nagłym i gwałtownym ciosem. Uczucia te jednak zmieniły się wkrótce. Po przejściu pierwszej radości poznawszy rojaliści, że rzeczywistość o wiele była niższą od żywionych przez nich nadziei, stali się pastwą trapiącej zazdrości i rozprawiali pomiędzy sobą, komu ma przypaść największy łup ze zwycięztwa. Korzystając z odrodzenia się wolności, która nazajutrz po dokonanej restauracji wyłącznie ich była udziałem, i posługując się nią dla spotwarzenia rewolucji i cesarstwa, napełnili rewolucjonistów żalem

z chwilowego ich zadowolenia i pozbawili Bonapartystów, pochodzącego z nagłego upadku, ogłuszenia, które na razie niezdolnymi ich do obrony czyniło. Z tej więc pozornej jedności za cesarstwa, wyszło nagle powszechne wzburzenie, podobne do zakłócającego Francją przed dwudziestu laty, gdyż szlachta i mieszczaństwo, świętoszki i filozofi, księża przysięgli i nieprzysięgli, żołnierze Kondeusza i rzeczypospolitej, znaleźli się w obec siebie, mierzyli wzrokiem zdradzającym zamiary użycia pięści, do czegoby przyszło niezawodnie, jeżeliby rząd, w miejsce powstrzymywania i miarkowania namiętności, zechciał je pobudzić lub też wolne do działań pozostawić pole.

Rozdział ten ukazał się najprzód na dworze. Głęboko dotknięty hrabia d'Artois, że ganiono krótkie jego rządy, mocno zasmucony z powodu, że tyle złego przypisywano umowie z 23 Kwietnia, a niemożność ściągnięcia podatków nierozsądnym jego obietnicom (wyrzuty do których król dawał zachętę), cofnął się do Saint-Cloud, gdzie bardziej był zmartwiony aniżeli słaby, dozwalając swym przyjaciołom tworzyć przy sobie koło niezadowolonych, z którém łączyli się wszycy ci, którzy uważali, iż za wielkie ustępstwa zrobiono rewolucji. Publicznie pomiędzy sobą oni rozprawiali, że król był pewnym rodzajem jakóbina i że powrócił do niedorzecznych swych zasad, jakie wyznawał w młodości. Wyższa szlachta pomimo zajęcia wysokich stanowisk na dworze, chciała opanować wszystkie godności w państwie, a gdy temi musiała się dzielić z ludźmi wysokiego stanowiska za czasów cesarstwa, więc daleką była od zadowolenia. Na tej drodze nieukontentowania spotkała się ona z dawną szlachtą parlamentarną, nie zwyczajną żyć z nią w zgodzie, ale nadzwyczaj obrażoną obecnie, że to nie jej powierzono ułożenie nowej ustawy, którą chciałaby widzieć napisaną wedle swych pomysłów i obróconą na swą wyłącznie korzyść. To też żyjący jeszcze członkowie dawnych parlamentów wystosowali do Ludwika XVIII tajemną przeciw karcie protestację. Szlachta z prowincji, a szczególniej nieposiadająca wielkiego majątku, tłumnie nadbiegła do Paryża, żądając zwrotu dóbr niegdyś przez nią posiadanych i starając się o wszelkiego rodzaju i wartości urzęda. Ale szorstko przyjęta przez ministra skarbu, który chciał obsadzać rządowe miejsca ludźmi mającymi doświadczenie w służbie, a pogardliwie przez ministra spraw wewnętrznych, którego znudziła, uciekła się pod opiekę hrabiego d'Artois, narzekając, że powierzono rząd rewolucjonistom i dowodząc, że jeżeli stan taki potrwa dłużej, to monarchja i Francja na nowo zgubione zostaną.

Podczas tworzenia się w samych Tuileriach stronnictwa rojalistów, *bardziej rojalistycznego od samego króla*, jak mówiono, w Palais-Royal

tworzyło się stronnictwo zupełnie przeciwne, bez żadnego jednak współudziału domyślnego swego naczelnika, którym był książe Orleański. Książe ten, dawny i waleczny żołnierz rzeczypospolitej, uczony, bystrego umysłu, przezorny, wcześnie nabywszy w swém ruchliwém życiu doświadczenia, znający dobrze emigrantów, śmiejący się z nich chętnie w kółku domowém, był tak uszczęśliwiony z powrotu do kraju, z odzyskania w nim książęcego stanowiska, wielkiego majątku, że o niczém inném nie myślał, jak tylko o zabezpieczeniu się od pocisków rojalistów, którzy zarówno namiętną dla niego jak niegdyś dla jego ojca żywili nienawiść. Wówczas gdy zajmował się jedynie swemi dziećmi, ich wychowaniem, rozproszoném dziedzictwem, unikając o ile można stronników, rojaliści dostarczali mu ich tysiącami, prześladując go swą nienawiścią i oskarżając o interesowność i zasady rewolucyjne wszelkiego rodzaju. Tak więc po prawej ręce króla znajdował się hrabia d'Artois otoczony niezadowolonymi, a po lewej książe Orleański otoczony liberalistami, których nie szukał wcale, zajmując się jedynie swemi interesami familijnemi, wówczas gdy rojaliści mimo jego chęci zatrudniali go sprawami publicznemi.

W innej zupełnie sferze wysocy urzędnicy cesarstwa, którzy nie mogli, albo też nie chcieli połączyć się z Burbonami, podniosłszy się nieco z upadku zaczęli się skupiać, lecz z wielką ostrożnością i bez żadnych nieprzyjacielskich objawów. Byli to: p. de Caulaincourt, którego Cesarz Rossyjski nie był w stanie wynieść na parostwo i który trzymał się na uboczu, nadzwyczaj dotknięty nieszczęściami Francji i rozsiewanemi na się potwarzami z powodu aresztowania księcia d'Enghien; książe Cambacérès, bardziej jak zwykle milczący i ograniczający się na przypuszczaniu do swego stołu kilku dawnych przyjaciół, zarówno jak on ostrożnych i myślących; książęta: de Bassano, de Cadore, de Gaëte, de Rovigo; hrabiowie: Mollien i Lavalette. Rozmawiali oni z sobą o wydarzeniu, w którém uczestniczyli, przyglądali się z wybaczoném dla zwyciężonych zadowoleniem kłopotom swoich następców i uczęszczali z wielką jednak oględnością, do królowej Hortensji, pozostałej w Paryżu pod opieką Cesarza Aleksandra, stając zawsze w obronie interesów jej dzieci. Księżna ta utraciła niedawno matkę, cesarzowę Józefinę, zmarłą skutkiem przeziębienia, na które się naraziła przy przyjmowaniu w Malmaison Cesarza Aleksandra. Śmierć byłej cesarzowej powszechny żal wywołała, gdyż ci co ją bliżej znali, umieli ocenić jej przymioty i serce, a publiczność zdarzenie to uważała za jedną więcej ruinę w pośród tylu już rumowisk. Z dwóch małżonek więźnia z wyspy Elby, jedna umarła z wycieńczenia i smutku, a druga opuściła go bez korony i z dziecięciem bez dziedzictwa,

by wrócić do posiadłości swego ojca, gdzie zaledwie uważano ją za księżnę, choć z urodzenia była arcyksiężniczką Austrjacką, i gdzie była gotową do zapomnienia o mężu, z którym podzielała berło świata.

Do Paryża przybyli także: marszałek Soult, pozbawiony dowództwa, rozgniewany nadzwyczaj na przyznane pierwszeństwo marszałkowi Suchet i nieoględnie żalący się na wyrządzoną sobie niesprawiedliwość, co mu nie było zwyczajném; marszałek Massena, zapominający doznanych krzywd od Napoleona w obec nieszczęść Francji, obrażony iż go poczytano za cudzoziemca i zmuszano do naturalizacji, aby został Francuzem, żyjący zresztą spokojnie i w odosobnieniu i nie szukający w Tuileries względów zapewnionych wszystkim marszałkom za pochlebstwo; nakoniec marszałek Davout, dumny ze swej obrony Hamburga, nie troszczący się wcale o to, co o nim mówili rojaliści i jenerałowie wojsk nieprzyjacielskich i gotujący się do napisania w swych dobrach Savigny, dokąd się wybierał, pamiętnika, w którym miał wyłożyć ze śmiałą otwartością wszystko, co tylko uczynił przy pełnieniu powinności żołnierskich.

Obok tych znakomitości spostrzegano nie mięszających się z nimi rewolucjonistów wszelkich odcieni, którzy nie będąc nigdy nieprzyjacielsko usposobieni dla wojska, nie mieli z niém jednak, a nadewszystko z jego naczelnikami stosunków. Zadowoleni chwilowo, jaktośmy mówili, z upadku cesarstwa, poczęli się teraz niepokoić. Najwięksi rewolucjoniści, jak Tallien, Merlin inni zbierali się u bogatego Barrasa, i opłakiwali upadek wolności, przypisując go głównie Napoleonowi. Łączyli się z nimi także niektórzy wojskowi, jak naprzykład marszałek Lefebvre, który pomimo swego wyniesienia przez cesarstwo, żywił w głębi serca dawne uczucia, kryjąc republikanina pod świetnym mundurem marszałka. Liczyli oni na przedmieściach pomiędzy ludem pewną liczbę stronników, tak starych skutkiem wspomnień, jak i młodych zapalonych opowiadaniem o czasach wolności; a choć mniej oni posiadali jak niegdyś śmiałości, to przecież gotowi byli do jej odzyskania pod wpływem wypadków, i rozpraw politycznych. Powyżej i na uboczu znajdowali się znakomitsi rewolucjoniści, z którymi z początku dobrze obchodził się Napoleon, lecz którzy później poróżnili się z nim, już to skutkiem swych zasad już błędów rządu. Byli to powiększej części senatorowie, wyłączeni z izby parów za głosowanie na śmierć Ludwika XVI, a ztąd nazywano ich obecnie *głosującymi* (votants). Najznakomitszymi pomiędzy nimi byli panowie Sieyès i Fouché: pierwszy zawsze tetryczny, samotny, pochwalał kartę, lecz wątpił aby weszła ona w wykonanie; drugi zaś przeciwnie, zawsze czynny, niestrudzony, uczęszczający na posiedzenia wszystkich stronnictw, usiłujący zyskać zaufanie wszystkich, pomimo że źle został wynagrodzony za oddane

usługi hrabiemu d'Artois, starał się jednak zbliżyć i przekonać jego przyjaciół, że tylko on jeden, w pośród tych szkopułów położenia, jest zdolnym do prowadzenia i ocalenia Burbonów.

Francja przecież nie była złożoną z samych tylko stronnictw, z których jedne marzyły o przywróceniu starego porządku rzeczy, a drugie żałowały szaleństw rewolucyjnych, lub bogatych uposażeń cesarstwa. Znajdowała się bowiem tak pomiędzy ludźmi przeszłości, jak i młodszém pokoleniem wychowaném w szkołach cesarskich, znakomita liczba głów światłych, odznaczających się, zwracających swe spójrzenia ku przyszłości, nieposiadających przesądów żadnej epoki i szukających wolności pod rządami Burbonów, których błędy cesarstwa sprowadziły do Francyi, a czego niepotrzebaby było nawet żałować, jeżeliby naród umiał pogodzić się z nimi i jeżeliby oni chcieli zastosować się do wymagań obecnej Francji. Ludzie ci spotykali się pospolicie u pani de Staël, która powróciła z wygnania, gdzie ją zatrzymywała nieufność Napoleona i która tak potrzebowała Paryża jak i jej Paryż, gdyż należąc do towarzystwa światłego, przyjmowała w swych salonach zarówno zwycięzców jak i zwyciężonych, starając się dowieść wszystkim żywą swą wymową, że pod rządami przywróconych Burbonów należy uzyskać wolność brytyjską. P. Benjamin Constant powróciwszy także z wygnania, gotował się do wyłożenia swém łatwém i świetném piórem wartości zasad konstytucyjnych. P. de Lafayette za pierwszym odbłyskiem wolności opuściwszy swe schronienie w Lagrange, nie bez pewnej radości widział powrót Burbonów, pod którymi przepędził swą młodość, a ztąd usposobiony był do połączenia się z nimi, jeżeliby oni naprawdę połączyli się z krajem. Obadwa oni byli najbardziej odznaczającymi się członkami tego towarzystwa, które zawierało w sobie wszystko, co tylko Paryż posiadał najświetniejszego pod względem nauki, najzacniejszego pod względem charakteru, i które zaczęło tworzyć tak zwane odtąd stronnictwo konstytucyjne.

Mieszczaństwo paryzkie daleko więcej sprzyjało temu aniżeli innym stronnictwom. Trzymając się drogi spokojnej, umiarkowanej, bezinteresownej, nieubiegając się za żadnemi urzędami i żądając tylko zakwitnięcia obrotów pieniężnych, mieszczaństwo paryzkie chętnie zgodziło się na powrót Burbonów, od czasu gdy krok ten za konieczność uznany został. Licząc na nich a mianowicie na króla, że przy stałym pokoju zapewni rozsądną wolność, to jest taką, któraby nie była zgubą dla dynastji, gotowe ono było do skutecznego popierania rządu gwardją narodową, powiększej części z zamożniejszych obywateli złożoną, z tém tylko zastrzeżeniem, aby nie powstawano nazbyt na zasady, uczucia i godność

mieszczaństwa. Pomimo iż nabrało znaczenia w kraju skutkiem rewolucji, nie splamiło się przecież żadną zbrodnią, gdyż nie podzielało ani występnych działań terrorystów, ani też niebezpiecznej dumy zyskania godności rządowych, a mając na widoku tylko dobro publiczne, było w tej chwili najprawdziwszém, najlepszém i najpowszechniejszém wyrażeniem żądań Francji.

Na prowincji panowały te same złe i dobre namiętności, lecz z widoczniejszemi odcieniami i z daleko mniejszém umiarkowaniem. W niższej Normandji, Bretanji i Wandei, wsie tak spokojne pod rządem cesarskim, podniosły się dzisiaj na nogi, że się tak można wyrazić. Z niepodobną do uwierzenia szybkością zgromadzili się szuani, postanowili na czele dawnych swych wodzów, wybrali innych w miejsce zmarłych, wzięli broń na ramię nie wiedząc nawet co z nią mają robić, a jak się zdaje dla przyjemności jej noszenia, zagrażając nią dawnym swym przeciwnikom i dowodząc, że podnieśli oręż na wsparcie króla. W gorliwości swej o wystaranie się broni napadali na tych, których nazywali *niebieskimi* i gwałtownie zabierali im strzelby. Władze miejscowe wzywały ich do spokojności, zapewniając, że królowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo, a ztąd nie potrzebuje pomocy, ale tajemni podżegacze, powiększej części emigranci, opłakujący utratę dóbr lub zawiedzione nadzieje w otrzymaniu urzędów, dowodzili im, że nie można wierzyć prefektom, gdyż książęta żądają od swych wiernych stronników, aby trzymali się w pogotowiu. Poruszenie to głównie było skierowane przeciw nabywcom dóbr narodowych. Tworzyli oni znakomitą klassę ludności po wsiach, a w bardzo małej liczbie zamieszkiwali wielkie miasta, w których znajdowali się powiększej części tylko ci, którzy tu nabyli pałace lub klasztory. Prawie wszyscy przychylni sprawie rewolucyjnej z 1789 roku, uważając szlachtę i księży za nieprzyjaciół kraju, bez najmniejszego skrupułu nabywali ich dobra, a stawszy się właścicielami za bardzo nizką cenę, postawili je na stopie rzeczywistej wartości. Nadewszystko liczni w Normandji, Bretanji, Wandei i prowincjach południowych, przerazili się atakami stronników nowego rządu, zagrażającemi ich własności. Niewiele ufając szczerości władz miejscowych, gotowali się do obrony, do wzięcia za broń, choć się jeszcze do niej nie porywali. Mieszkańcy miast większych i mniejszych, chociaż nie byli właścicielami dóbr narodowych, to jednak mając w pamięci okropności popełniane niegdyś przez szuanów, sprzyjali zupełnie nabywcom dóbr, utworzyli jakby stronnictwo i nazywani byli we wschodniej Francji *niebieskimi*, z powodu stawianego oporu *białym*. Ci ostatni daleko lepiej od polityki pojmowali kontrabandę, której się namiętnie oddawali, a nadto, w dowód z przywiązania swego do Burbo-

nów, nie chcieli płacić podatków od soli, i zabierali ogromne ilości tego produktu z bagien słonych, bez najmniejszej do skarbu opłaty. Do tych zamieszań należy jeszcze dodać szaleństwa duchowieństwa, stokroć nierozsądniejszego od innych ludzi marzących o powrocie do dawnego porządku rzeczy. Stare kłótnie pomiędzy księżmi *przysięgłymi* a *nieprzysięgłymi*, odrodziły się obecnie, chociaż pod inną postacią, to jest uznania lub odrzucenia konkordatu. Tam gdzie znajdował się przy życiu, jak naprzykład w dyecezji la Rochelle, dawny jaki biskup, który na żądanie papieża w roku 1802 nie złożył swej godności i ciągle przebywał w Anglji, odmawiano posłuszeństwa rzeczywistemu biskupowi mianowanemu przez cesarza i potwierdzonemu przez papieża. W Touraine, Mans i Perigord, podobnie postępowano. Konkordat był deptany i głoszony za dzieło rewolucyjne. Dotykano niełaskami uznających go księży, którzy po większej części byli przysięgłymi, dowodzono, iż nie trzeba się dziwić temu, że księża, którzy przyjęli ustawę cywilną dla duchowieństwa, smakują w podobnym konkordacie. Nakoniec, publicznie przemawiano za koniecznością zwrócenia dóbr duchowieństwu. Szlachta i księża powtarzali wszędzie i głośno, że jeżeli Burboni nie wymierzyli natychmiastowej im sprawiedliwości, to uczynią to wkrótce, gdyż w każdym razie hrabia d'Artois i jego synowie zdołają poprowadzić króla za gorącemi swemi życzeniami.

Usiłowania podobne ku przywróceniu dawnego porządku rzeczy, zaczęły niepokoić nawet takie mieszczaństwo, które obojętném było zawsze na sprawy publiczne. Rzeczy doszły aż do tego stopnia, że w przeciągu dwóch miesięcy, miasto nadmorskie Nantes, jedno z najbardziej sprzyjających pokojowi i Burbonom, prawie stało się nieprzyjacielskiém dla restauracji, z powodu rozwijającej się na wsze strony *szuanerji*. Dalej ku południowi, Bordeaux, które nazwało się *miastem 12 Marca*, z powodu że w tym dniu otworzyło swe bramy księciu d'Angoulême, Bordeaux, jeszcze nie zmieniło usposobienia, lecz miało także swe wyłączne zachcianki, niezgodne ze sprawami powszechnemi. Najprzód wzbraniało się stanowczo wnosić *cel połączonych*, utrzymując, że nie były one prawnemi, jako ustanowione pod rządem przywłaszczyciela, następnie gorzko się żaliło na ustąpienie Ile de France i gwałtownie występowało przeciw Anglikom, z takim zapałem z początku przyjmowanym. W Tuluzie panowało prawie podobne usposobienie, z pewnemi jednak zmianami. W mieście tém nie z taką zażartością powstawano na Anglików, gdyż nie tyle obchodził mieszkańców handel morski, ale też za to gwałtowną zawrzały nienawiścią klassy społeczne i ugrupowały się dwa przeciwne sobie stronnictwa, przypominając dawną zażartą walkę pomiędzy rojalistami

a rewolucjonistami, którą wywoływała szlachta bogata i potężna, jako w kraju pełnym wielkich posiadłości ziemskich i nie o żywionym rozległym handlem, a marząca o zgnieceniu współzawodnictwa mieszczan. Wreszcie Langwedocji, jak w Montpellier i Nimes, toż samo panowało usposobienie, lecz jeszcze do większych podniesione rozmiarów, z powodu kłótni religijnych. Katolicy bowiem, uważając się za pozbawionych od lat dwudziestu pięciu wyłącznego prawa sprawowania władzy na korzyść protestantów, a to skutkiem równo uprawnienia wszystkich wyznań, zamierzali najgwałtowniejszych przeciw nim użyć środków, od czego z wielkim tylko trudem można było ich powstrzymywać. Ze swej strony i protestanci zaczęli się zbroić dla własnego ocalenia. Nimes prawdziwym było wulkanem, gotowym w każdej chwili do wyrzucenia płomieni. Kilka osób z gminu zrobiwszy się siepaczami szlachty katolickiej, już to z przyrodzonego popędu, już też dla zyskania urzędów, zamierzyło opanować władzę i kierować się tylką swą wolą. Publicznie podarli oni ustawę napisaną przez senat, rozsiewali złorzeczenia przeciw temu zgromadzeniu, żądali samowładztwa królewskiego i protestowali przeciw karcie. Nie inaczej też postępowano w Arles, a w okolicach nieograniczano się na samém grożeniu nabywcom dóbr narodowych, gdyż kilku dawnych właścicieli siłą opanowało skonfiskowane sobie niegdyś za zdradę kraju majątki (1).

Marsylja nakoniec przewyższyła, jeżeli być mogło, wszystko to, cośmy powiedzieli o miastach południowych. Nie chciała ona wnosić do kass *cel połączonych*, żądając zarówno przysądzenia sobie wyłącznego prawa doprowadzenia handlu ze wschodem, wyzwolenia z pod praw handlowych obowiązujących całą Francję, uczynienia miastem wolném, aby mogła swobodnie z całym światem zawiązać stosunki, bez znoszenia najmniejszych ograniczeń celnych, tak potrzebnych dla dźwignięcia przemysłu narodowego. Wszystko co tylko utrudzało spełnienie tych życzeń, powinno było wedle niej zostać strzaskaném jak rząd przywłaszczyciela; żeby zaś król mógł własnowolnie robić co uzna za stosowne dla najwierniejszych swych poddanych, należało przywrócić mu całą potęgę, aby nie był ograniczany ani przez izby, ani też przez żadną inną władzę pochodzenia rewolucyjnego. Złorzeczyła więc Marsylja karcie, a z kartą Anglikom, którzy zabrali Ile de France. Zebrawszy razem wszystkie nadużycia trjumfujących rojalistów w Wandei, Bordeaux, Nimes i innych jeszcze miejscach, to te dopiero wyrównywaćby mogły szaleństwu Mar-

(1) Skreślamy tu obraz Francji w owym czasie z raportów policji, składanych każdodziennie Ludwikowi XVIII.

sylji, tak rozsądnemu i kwitnącemu miastu dzisiaj, lecz które wówczas prawdziwie szalało, skutkiem dwudziestopięcioletnich a srogich dolegliwości.

Zbliżając się ku Rodanowi, w Awinjonie ta sama panowała gwałtowność, połączona nadto z wściekłą żądzą zemsty, co łatwo da się wytłumaczyć w kraju, w którym popełniono tyle okropności. Powyżej nad tą wielką rzeką południową, to jest w Valence i Lyonie, objawy powolnie się zmieniając, prawie przeciwne zdradzały usposobienie. W Lyonie bowiem, jeżeli znajdowali się zagorzali rojaliści pełni wspomnień z oblężenia w 1793 roku, zgromadzeni około pana de Precy, który z taką sławą wytrzymywał to oblężenie i który skutkiem tego postawiony tu został na czele gwardji narodowej, to za to z drugiej strony byli tu liczni stronnicy cesarstwa, pamiętni dobrodziejstw Napoleona sypanych na miasto, pomyślności i kwitnącego przemysłu podczas jego panowania, którzy ztąd serdecznie byli przywiązani do upadłego cesarza i których usposobienia nie mogły się zmienić skutkiem obecności i postępowania wojsk najezdniczych. W Franche-Comté, Alzacji, Lotaryngji, Szampanji, Burgundji, w prowincjach, które były teatrem zażartej wojny, patrjotyzm mieszkańców tak strasznie doświadczony, przemienił się w czysty *bonapartyzm*. Prowincje te, daleko spokojniejszego zawsze ducha od środkowych i południowych, umiały uchronić się podczas rewolucji od wszelkich do stateczności posuniętych wyobrażeń, trzymając się niezłomnie świętych z 1789 roku zasad. Uwielbiano tu Napoleona za zaprowadzenie ładu we Francji, uwielbiano jako zwycięzcę Europy, ale wkrótce zaczęto opłakiwać jego błędy, a nawet nie wahano odstąpić zupełnie od niego. Ale ujrzawszy go w 1814 roku walczącego z taką dzielnością i stałością przeciw koalicji europejskiej, i podzielając z nim wszelkie niedole przywiązane do wojny, mieszkańcy tych stron przywiązali się do rządu cesarskiego. Z największą odrazą znosili oni obecność wojsk najezdniczych i bardzo zimno spoglądali na Burbonów, jako na porządek rzeczy zaprowadzony przez nieprzyjaciół Francji.

Takim sposobem rząd królewski spotkał się z wielką dla siebie niechęcią w prowincjach wschodnich, co zresztą daleko mniej mu sprawiało kłopotu, niż ta bezładna gorliwość jego stronników na południu i zachodzie. Do wszystkich tych żywiołów burzących się jednocześnie, przybywał jeszcze nowy, to jest wielka liczba starych żołnierzy, którzy powracali do Francji bądź to z niewoli, bądź też skutkiem opuszczenia zajmowanych przez siebie twierdz za granicą. Przez Perpignan przybyło dwadzieścia tysięcy ludzi wracających z Hiszpanji; przez Niceję i Tulon dziesięć z Genui i Toskanji; przez Chambéry trzydzieści kilka, które

składały armję włoską; przez Strasburg, Metz, Maubeuge, Valenciennes i Lille przynajmniej ośmdziesiąt tysięcy, stojących niegdyś załogą w Würcburgu, Erfurcie, Magdeburgu, Hamburgu, Antwerpji, Berg-op-Zoom i innych miejscach. Wylądowało w Dunkierce, Calais, Boulogne, Dieppe, Hawrze, Cherbourgu i Brest przeszło czterdzieści tysięcy ludzi, którzy przeżyli okropne z nimi postępowanie na pontonach angielskich. Oczekiwano jeszcze wielkiej liczby niewolników, których miała zwrócić Rossja, Niemcy, Anglja i Hiszpanja. Wszyscy oni powrócili z trójkolorową na kaszkietach kokardą, i żadną miarą odpiąć jej niechcieli. Po większej części starzy żołnierze, pielęgnujący w sercach uczucia, jakie panowały w ich ojczyznie wówczas gdy kraj opuszczali, nie mogli się powstrzymać, pomimo niejednokrotnego niegdyś oburzenia na Napoleona, od uważania go za wyobraziciela Francji, jej wielkości, jej niezależności, zupełne przeciwne mając przekonanie o Burbonach. Napełnieni oni byli tém niezbitem przekonaniem, że w czasie ich nieobecności w kraju, nie wielka liczba szlachty i księży wsparta na bagnetach nieprzyjacielskich, zdradzieckiej dokonała rewolucji, z ogromną dla Francji i jej wojsk klęską. Przekonanie to napełniało ich prawdziwą wściekłością i głęboką pogardą dla rządu, który, jak mówili, był kreaturą i wspólnikiem cudzoziemców. Można było tak sądzić z pozoru, lecz w gruncie rzeczy oskarżenie podobne było niesprawiedliwém, gdyż jeżeli Burboni weszli w 1814 roku do Francji śladami zwycięzkiego nieprzyjaciela, to o nieszczęście to nie ich obwiniać należy, gdyż nastąpiło ono skutkiem błędów Napoleona. Nie zwracano jednak uwagi na tę tak jasną prawdę i w oczach starych wiarusów uchodzili Burboni za sprawców i wspólników europejskiej koalicji.

Łatwo ztąd można poznać ile to trudów musiał zażywać rząd królewski, aby ująć pod swą władzę żołnierzy wracających do Francji. W Strasburgu, obecni w teatrze oficerowie na pewném okolicznościowem przedstawieniu, rzucili się z swych miejsc na scenę i niedozwolili dokończyć rozpoczętego na cześć króla śpiewu, gdyż ten się im nie podobał. W Metz i innych miastach nosili jak dawniej trojkolorowe kokardy i orły cesarskie i wystąpili z niemi podczas uroczystej processji Bożego Ciała. Na wybrzeżach morskich, po wylądowaniu z Anglji, posunęli gwałtowność aż do tego stopnia, że chcieli zdzierać krzyże ś. Ludwika z piersi starych oficerów marynarki. W Roun wygwizdali rossyjskiego jenerała Sackena, który przecież jako gubernator Paryża wielkiém się odznaczał umiarkowaniem. Wszędzie gdzie tylko znajdywały się sklepy rycin, wchodzili do nich i niszczyli wszystkie karykatury wymierzane przeciw Napoleonowi, nieprzepuszczając nawet portretom króla i ksią-

żąt. Bardzo często dawali się słyszeć z buntowniczemi śpiewami, czego szczególniej w Paryżu nie można było powstrzymać. Gdy zaś wojska austrjackie zatknęły zielone gałęzie za swe kaszkiety na znak zwycięztwa, żołnierze francuzcy poczytali to za wyrządzoną sobie zniewagę i gwałtownie im takowe zdzierali. Przyszło aż do tego, że książe Schwarzenberg zmuszony został do ogłoszenia odezwy, w której tłumaczył, że zatykanie zielonych gałęzi nie jest żadna obrażającą manifestacją, lecz tylko zwyczajem wojsk austrjackich w czasie kampanji, czego im zresztą na teraz zakazał.

Większa część żołnierzy francuzkich wielkie przeniosła cierpienia przed swym do Francji powrotem. Znajdowali się pomiędzy nimi tacy, którzy od sześciu, dwunastu, a nawet ośmnastu miesięcy nie otrzymali należnego żołdu. Oskarżali oni o to nie cesarstwo, lecz restaurację, ponieważ rachunki nie mogły być ukończone tak prędko w ministerstwie wojny jak chcieli i ponieważ potrzebowali pieniędzy.

Zasada pochlebiania dowódzcom wojska, niewystarczającym była środkiem na ich uspokojenie i zyskanie. Widok marszałków: Berthiera, Oudinota, Neya, Macdonalda, Monceya, Augereau, Seruriera, Motiera, zasiadających na dworze pomiędzy królem a książętami i ujmowanych najpochlebniejszemi względami, nie poruszał wcale żołnierzy, którzy nie chcieli nawet przypuszczać, aby to ich tak czczono w osobach jenerałów. Przeciwnie, sądzili oni, że świadczenie wodzom takich zaszczytów, jest nagrodą za zbrodnicze odstępstwo. Choć w inny bezwątpienia, ale w daleko mniejszym stopniu aniżeli to przypuszczano, Marmont, stał się dla nich typem tej wymyślonej zdrady, której przypisywano wszystkie klęski Francji. Codziennie też krążyły pogłoski, że został zabity w pojedynku, pogłoski fałszywe, bezustannie zaprzeczane, bezustannie wznawiane, które były tylko wyrażeniem życzeń żołnierzy. Nowy rząd nie lubił naprawdę marszałków, z konieczności ich zyskania pokonywał odrazę, poniżał się, schlebiał, nadskakiwał, a jednak pomimo to wszystko nic na tem nie wygrał, gdyż tracił własną swą godność, obdzierał z niej po części głaskanych dowódzców i nie zdołał sprostować błędnych przekonań niższych oficerów i żołnierzy.

Nadbiegł do Paryża ogromny tłum oficerów, którzy przybyli tu tak w chęci dowiedzenia się co się z nimi stanie, jak niemniej z zamiarem podniesienia wspólnych krzyków na zmianę swego losu. Powtórny rozkaz ministra wojny, aby powrócili do pułków, pod zagrożeniem utraty praw, jeżeli inspektorowie wojska nie znajdą ich w czasie przeglądu na swych stanowiskach, podobnie jak pierwszy pozostał bez skutku. Oficerowie ci, korzystając z powszechnego zamięszania pozostali w Paryżu, licznie

zbierali się na widowiskach i miejscach publicznych, gdzie znieważali i wyśmiewali Burbonów. Obok nich spostrzegano także wielką liczbę urzędników cywilnych, z odległych stron przybyłych, jak celników, poborców, kommissarzy policji, którzy dalecy od żartów i śmiechów, opłakiwali swą biedę. Ciągle pojawiały się kłótnie i bójki, w których żołnierze francuzcy byli zawsze górą; dla przywracania porządku, rząd nie mógł używać wojsk cudzoziemskich, chcąc nie chcąc posługiwać się musiał gwardją narodową, która przy swym mundurze przez wszystkich szanowanym i przy swém patrjotyczném usposobieniu, zaprowadzała ład jedynie swą obecnością i radami. Powszechnie gwardję narodową uważano za zgromadzenie mające na celu spokój publiczny, podzielające częstokroć uniesienia młodych ludzi, ale hamujące ich wybryki, z powodu dokładniejszego ocenienia konieczności poddania się okolicznościom, gdyż szczęścia Francji nie w przeszłości ale w przyszłości szukać należało.

Z prostego tego obrazu stanu rzeczy i ducha narodu, łatwo odgadnąć wszystkie trapiące rząd nowy kłopoty, zwłaszcza że przy trudności zadania wystawiony był na popełnianie licznych błędów. Potrzeba mu było najprzód opanować wojska, zmusić je do nieuniknionego zmniejszenia szeregów, jako przejścia ze stanu wojny na stopę pokoju, a to do przejścia tém trudniejszego jeszcze, gdyż sprowadzenia olbrzymich zakładów wojennych do stanowiska bardzo ścieśnionego i ograniczonego. Następnie potrzeba było koniecznie przekonać wojskowych, że zmniejszenie szeregów jest nieuniknioném i nie pochodzi ani z prywaty, ani ze złej woli, ani też z knowań emigracyjnych. Potrzeba było dalej strzedz się drażnienia rewolucjonistów, pomimo że ich ruchliwość tyle klęsk przypominała, gdyż z zadraśnięcia ich ukazywało się bardzo widoczne niebezpieczeństwo, że zranieni rzucą się w objęcia stronników cesarstwa, z którymi się dotąd nie złączyli. Potrzeba było także upewnić nabywców dóbr narodowych, tworząc część znakomitości z wielkich właścicieli ziemskich, zwłaszcza że oni żadnej nie doznawszy krzywdy od rządu cesarskiego, gotowi byli do stania się Bonapartystami. Potrzeba było zarówno utrzymywać w karbach duchowieństwo wierne sprawie Burbonów, zabronić mu złego obchodzenia się z księżmi przysięgłymi, którzy byli daleko liczniejsi, i nie przerażać tych ostatnich zniesieniem konkordatu, jedynej ich rękojmi. Potrzeba było nakoniec pilnie baczyć, aby wszystkie niespokojne o swój los i byt stronnictwa i klassy społeczne, a ztąd gotowe do okazania niezadowolenia, nie przerodziły się w nieubłaganych nowego rządu nieprzyjaciół, żałujących nielubianego dawniej cesarstwa, a nadewszystko, aby rozsądne, bezstronne mieszczaństwo, oddychające

umiarkowanemi zasadami, będące głównem i prawie jedyném wsparciem, na które można było z pewnością liczyć, nie przerzuciło się na stronę niezadowolonych, przez zranienie jego zdrowego sądu, jego sprawiedliwego oceniania rzeczy, jego zamiłowania w równości. Bolesne i nazbyt bolesne było to dla Burbonów zadanie i przybyłej z nimi emigracji! Należałoby im bowiem przekładać żołnierzy Napoleona nad żołnierzy Kondeusza, a nabywców za nizką cenę dóbr swych przyjaciół, nierzadko nawet ich katów, nad samych nawet przyjaciół, skazując ich na pędzenie nędznego żywota! Należałoby, aby dali pierwszeństwo księżom uległym rewolucji, przed duchowieństwem niechcącym z nią wchodzić w układy. Należałoby umieć ukrywać swe uczucia w obec klas nowych, utworzonych w czasie ich nieobecności, i dać im przewagę, ponieważ były bogate i zręczne, nad szlachtą, z którą żyli na dworze w młodości i na wygnaniu w wieku dojrzałym. Jedném słowém, należałoby sobie wydrzeć pamięć i serce, aby pokazać się Francji ludźmi, jakimi się stać nie mogli! To też rozbierając surowo popełnione przez nich błędy, wyznać także potrzeba, że znajdowali się prawie w niemożliwém położeniu ich uniknięcia. Rewolucja, kontrewolucja, te dwa najzupełniejsze przeciwieństwa, podobne są jednak ze wszystkiem do siebie, gdy porównamy ich straszne działania pomijające zawsze prawdę, sprawiedliwość, ludzkość, gdy porównamy spotykane przez nie do przeprowadzenia swych widoków kłopoty. Pierwsza przekracza cel, druga po zań się cofa, a żadna nie umie zatrzymać się na właściwém stanowisku. Ale dla wytłómaczenia tak jednej jak drugiej, wyznać potrzeba, że jeżeli pierwsza ma tę zasługę, iż leży w duchu czasu, to druga chełpi się najszlachetniejszemi uczuciami zacnej duszy: miłością przeszłości i wiernością dla władzców!

Konieczność nakazywała jak najspieszniej zająć się wojskami. Zamyślano najprzód o wypłaceniu zaległego żołdu, gdyż żołnierze w takiej zostawali potrzebie pieniędzy, że częstokroć sprzedawali swe prawa lichwiarzom po 50 za 100 i to pod drzwiami ministra wojny. Pomimo najgorętszej chęci dopełnienia wszystkich zobowiązań poczynionych przez państwo, jak to zamierzał minister skarbu, żadną miarą nie można było zaspokoić przeszłości bieżącemi wpływami, które wystarczały zaledwie na najgwałtowniejsze potrzeby, i w tym celu, po obliczeniu wszelkiej zaległości, postanowiono bezzwłocznie zaciągnąć pożyczkę. Co do zaległego żołdu był tu wyjątek, gdyż p. Louis poświęcił nań natychmiast 30 czy 40 miljonów w monecie brzęczącej. Otworzył więc ministrowi wojny nieunikniony kredyt, którego natychmiastowemu użyciu dwie rzeczy stały na przeszkodzie: trudność w obliczeniu na oddalonych stanowiskach rzeczywistej siły korpusów i trudność w urządzeniu ministerstwa wojny. Na-

glony o zwrócenie dawnemu właścicielowi pałacu ministerstwa, który był nie sprzedanym majątkiem emigranta, jenerał Dupont przeniósł swe biura, co połączone z liczną zmianą urzędników w celu zlania w jedną, dwóch władz przedtém istniejących, gdyż zarząd osobami oddzielony był za cesarstwa od zarządu zapasów wojennych, tak że prawie dwa istniało dawniej ministerstwa wojny, sprawiło chwilowe zamięszanie, które opóźniało działania ministra. Jenerał Dupont robił jednak wszystko co tylko było w jego możności, aby jak najspieszniej wypłacić żołd zaległy wojskom przybyłym ze stron dalekich, i udzielić jakie wsparcie napływającym ze wszystkich krajów niewolnikom.

Po tém pierwszém zajęciu się wojskami, koniecznie należało przystąpić do stanowczej ich organizacji, aby ta odpowiednią była rozległości kraju i zasobom skarbu. Była chwila, w której skutkiem zbiegostwa powstała obawa, że Francja pozostanie bez żołnierzy. Powiedzieliśmy już wyżej, że upoważniono spisowych z 1815 roku do pozostania lub też powrócenia do domów, a co do spisowych z lat poprzednich, którzy gromadnie zbiegali, postanowiono tak ze względu nieużywania przeciw nim surowych środków, jako też z uwagi, aby można ich w danym razie powołać, uważać za żołnierzy znajdujących się na urlopie. Powrót jednak załóg i niewolników rozproszył obawy o brak żołnierza, gdyż dostarczał go 400 tysięcy wszelkiej broni, przez co na długi czas można było zaniechać poboru, uważać go za zniesiony czasowo i dopiero później wydać w tym względzie stosowne prawo. Rozpuszczając część tych żołnierzy za urlopami nieograniczonemi i pozostawiając resztę w szeregach, łatwo było wystawić wyborne wojsko, gdyż złożone z najdzielniejszych żołnierzy na świecie.! Ale czy można było dostarczyć dla nich płacy, a nadewszystko zapewnić los 40 do 50 tysiącom oficerów, tym świetnym pozostałościom po długich wojnach, to wielkie pytanie?

Żywo ono zajmowało radę królewską, w której zasiadali, jakośmy widzieli, członkowie byłego rządu tymczasowego i ministrowie. Polecono jenerałowi Dupon wygotować w tym celu stosowny projekt, który po wykończeniu oddany został baronowi Louis, aby ten dokładnie poznał, ile ma poświęcić na utrzymanie wojska. Minister skarbu oświadczył, że nie jest w możności zadość uczynić wymaganiom, dopóki nie otrzyma budżetów departamentalnych i dopóki nie urządzą się stanowczo wpływy podatków. Książe de Berry, najmłodszy i najczynniejszy z książąt rodziny królewskiej, z zamiłowania, a zarazem i z rachuby zajmując się sprawami wojskowemi, usilnie nalegał na ministra o bliższe wykazanie zasobów skarbowych, na co ten odpowiedział, że nigdy więcej nad 200 miljonów nie może poświęcić na utrzymanie armji. Dla liczby przenoszącej 400

tysięcy ludzi, żołnierzy i oficerów, podobna summa była bardzo niewystarczającą, chociaż utrzymanie jednego żołnierza nie kosztuje, a nadewszystko że w owym czasie nie kosztowało tysiąc franków rocznie (1). Przy zaprowadzeniu koniecznej oszczędności, mógłby minister wojny utrzymać 200 tysięcy żołnierza pod bronią, ale z uwagi, że należało tak się urządzić, aby w każdej chwili z łatwością można było przejść ze stopy pokoju do wojny, co wymagało utrzymania licznych zakładów, przeznaczona przez ministra skarbu summa zaledwie na 150 tysięcy ludzi starczyła. Potrzeba więc było surową zaprowadzić oszczędność, nie wydając ani grosza tak na przepych jak i na zadowolenie stronnictwa.

Najważniejszém do rozwiązania pytaniem w sprawach wojskowych była gwardja cesarska. Cóż z nią zrobić? Rozwiązanie jej stawało się bardzo trudną i niebezpieczną rzeczą. Zachowanie zaś, bez powierzenia jej straży przy osobie królewskiej i przy widocznem przez nią poczuciu, że znajduje się w pewnym stopniu niełaski, tém niebezpieczniejsze mogło sprowadzić następstwa. Jenerał Dupont i książęta wynaleźli, jak im się zdawało, środek rozsądny i przyzwoity na rozwiązanie trudności, postanowiwszy utrzymać starą gwardję jako wyborowy korpus wojska, przy zapewnieniu mu dawnej płacy, przywilejów i zaszczytnego stanowiska, nie powierzając jednak osoby króla, gdyż ten obowiązek włożony został na straż przyboczną. Młoda zaś gwardja do tego stopnia była już skutkiem wojny rozproszoną, że składała się tylko z kadrów pochodzących ze starej, które napowrót mogły być do niej wcielone. Tak z jednej jak drugiej uformowano dwa pułki piechoty, o czterech bataljonach każdy, to jest pułk grenadjerów, pod nazwiskiem *grenadjerów Francji* i strzelców pieszych, pod nazwą *strzelców pieszych Francji*. Zrobiono to samo i z jazdą, którą podzielono na 4 pułki: kirasjerów, dragonów, strzelców i ułanów, nazwawszy je podobnież, *kirasjerami, dragonami, strzelcami*

(1) Powszechnie mniemają, że utrzymanie jednego żołnierza we Francji kosztuje 1000 franków, czyli że na 100 tysięcy potrzeba 100 miljonów rocznie. Tak przecież nie jest. Koszta te obliczano wedle budżetów z pierwszej połowy bieżącego stulecia, gdzie na utrzymanie 300 tysięcy ludzi, oznaczano zwykle 300 miljonów. Summa ta jednak pokrywała wszystkie inne wydatki ministerstwa wojny, jak utrzymanie twierdz, zapasów wojennych, sztabów, kadrów, weteranów, żandarmerji, i tylko wzięta ogólnie bez powyższego uwzględnienia, oznaczała na tysiąc franków utrzymanie żołnierza. Wedle bliższych rachunków, po odtrąceniu wydatków na zapasy wojenne i utrzymanie sztabów, przed piętnastoma lub ośmnastą laty jeden żołnierz w czasie pokoju kosztował około 400 franków rocznie, a zatém wydatek na 100 tysięcy ludzi ściągniętych z urlopu i wcielonych napowrót do szeregów nie 100 ale 40 miljonów właściwie wynosićby winien, ale tylko ze względu na szeregowych żołnierzy.

i ułanami Francji. Rezerwy artyllerji zostały rozwiązane i wcielone do korpusów, z których pochodziły. Cała siła tego korpusu gwardji, tak piechoty jak jazdy, wynosiła około ośmiu tysięcy ludzi, kosztujących tyle, ileby potrzeba było na utrzymanie 15 lub 18 tysięcy żołnierzy. Wielkie to pytanie do rozwiązania, czy potężne państwo potrzebuje koniecznie mieć wyborowe oddziały, ale ludzie rządzący wówczas Francją nie zastanawiali się wiele nad tém i utworzyli aż dwa podobne korpusy: jeden dla wyłącznej straży króla, a drugi chyba dla tego tylko, aby strzegł cieniów sławnego monarchy, któremu służył przypominając go bezustannie tak sobie jak drugim.

Następnie potrzeba było zająć się wojskami linjowemi i liczbę ich ściśle zastosować do funduszów skarbowych. Minister projektował utworzenie 90 pułków piechoty linjowej o trzech bataljonach z sześciu kompanji złożonych i 15 pułków piechoty lekkiej, co obliczając wedle stopy wojennej, wynosiło 300 tysięcy żołnierzy. Całkowita ta liczba znajdowała się obecnie zgromadzoną, a to skutkiem powrotu do kraju tak załóg jak i niewolników. Środki skarbowe wystarczały zaledwie na opłacenie połowy tej siły, a ztąd drugą połowę trzeba było rozpuścić za urlopami nieograniczonemi. Wypchnięci tym sposobem ludzie z szeregów, skazywani zostali na największą nędzę, gdyż rzadko który z nich posiadał jakie rzemiosło, a nadto rząd pozbawiał się niezrównanych żołnierzy, gdyż każdy zająwszy się staraniem o chleb powszedni, aniby myślał o powrócenie kiedy pod chorągwie. Największą jednak spotykano trudność w zabezpieczeniu losu oficerów.

Wedle przedstawionego projektu organizacji wojska, przeszło trzydzieści tysięcy oficerów pozostawało bez zajęcia. Rada wojenna zajmowała się nimi troskliwie. Książe de Berry nacierał, aby obmyślano dla nich jakikolwiek rodzaj służby, a nikomu nie przyszło do głowy, że oszczędziwszy wydatki przeznaczone na gwardję cesarską i straż przyboczną króla, możnaby było zatrzymać pod chorągwiami jakie 60 lub 80 tysięcy żołnierzy więcej, a ztąd przy rozszerzeniu kadrów, znalazłoby się zatrudnienie dla wielkiej liczby oficerów.

Użyto jednak względem nich podobnego jak z gwardją cesarską półśrodka: pozostawiono na reformie tych wszystkich, którzy nie mogli się pomieścić przy nowém tworzeniu wojska, przy zapewnieniu połowy żołdu, jak niemniej prawa wejścia napowrót do pułków, lecz tylko w dwóch trzecich częściach, w razie wydarzonego wakansu. Tym sposobem tworzyło się bardzo silne i niebezpieczne stronnictwo niezadowolonych, a zarazem zniechęcało oficerów w czynnej utrzymanych służbie, gdyż prawie pozbawieni byli awansu przez zapewnienie im prawa tylko

do jednej trzeciej części miejsc opróżnionych. Bezwątpienia że złe było tu do nieuniknięcia, ale też nie należało go jeszcze zwiększać bezużytecznemi wydatkami, kiedy na opędzenie najgwałtowniejszych potrzeb skarb nie wystarczał.

Podobne urządzenia zastosowano także do jazdy, która przecież nie została tak bardzo ścieśnioną. Zatwierdzono utrzymanie 56 pułków, o czterech szwadronach każdy, to jest 14 ciężkiej, 21 linjowej i 21 pułkow jazdy lekkiej, co czyniło razem około 36 tysięcy koni. Utrzymano 12 pułków artyllerji, to jest 8 pieszych i 4 konnych, liczących razem 15 tysięcy ludzi, jak niemniej 3 pułki inżynierji około 4 tysięcy liczące. W tych broniach podobnie jak i w piechocie zapewniono nieużytym oficerom pół żołdu i prawo do dwóch trzecich wydarzonych wakansów.

Cała liczba wojsk znajdujących się pod bronią, wynosiła po tém ich nowém urządzeniu 206 tysięcy ludzi, a 214 z gwardją cesarską, i pociągała za sobą wydatek, na który minister wojny miał wyznaczone 200 miljonów. Minister ten, skutkiem braku doświadczenia administracyjnego, dziwnie się uwodził, jakto zobaczymy wkrótce, gdyż za tę summę nie mógł nawet utrzymać 150 tysięcy żołnierza pod chorągwiami. W takim razie żadną miarą nie można było wskrzeszać dawnej straży przybocznej króla, tworząc w ten sposób korpus szlachty, który zjadał tyle, ile potrzeba było na utrzymanie jakich 50 tysięcy ludzi w szeregu i bardzo niekorzystnie oddziaływał na wojska linjowe, które ze swym niedostatkiem porównywały świetne położenie straży przybocznej. Ale znajdowała się stara szlachta, poświęcona i nieszczęśliwa, którą koniecznie trzeba było obdarzyć jakim urzędem; znajdowała się pełna zapału młodzież szlachecka, która tą drogą chciała zdobyć dla siebie stanowisko w zawodzie wojskowym; durzono się także, że kilka tysięcy dzielnej pod bronią szlachty, najlepszą od przyszłych rewolucji stanie się obroną; a gdy zresztą już pozwolono zająć każdemu to miejsce, jakie niegdyś posiadał w straży przybocznej króla, więc nie było o czém rozprawiać i należało przemyśliwać tylko nad środkami do wywiązania się z przyjętych zobowiązań. Wspominano nadto, że lista cywilna bierze na siebie przyłożenie się w pewnej części do utrzymania straży przybocznej, co mogłaby uczynić, wynosząc ówcześnie 33 miljonów, które znaczyły tyle, ile 45 dzisiaj. Była to jednak tylko wymówka, gdyż jeżeliby ona chciała nałożyć na siebie podobny ciężar, to i w takim razie należałoby o wiele zmniejszyć straż przyboczną; ale najlepiejby postąpiła, gdyby z dobrej woli przyjęła na siebie utrzymanie gwardji cesarskiej, którąby pozostała wierną, jeżeliby umiano z nią postępować, a przeniesiona w budżecie jednego na drugi rozdział wydatków, o wiele ulżyłaby skarbowi. Żaden

z tych tak prostych pomysłów nie zawitał do głowy tych, którzy pocili się nad rozwiązaniem największych trudności.

Jenerał Beurnonville, który służył przed i po rewolucji, otrzymał rozkaz uorganizowania straży przybocznej króla. Wywiązał się z tego skopjowawszy rzetelnie jej urządzenie w przeszłości. Wskrzeszono dawne kompanje czerwone pod nazwą: *muszkieterów szarych*, *muszkieterów czarnych*, *żandarmów* i *szwoleżerów*, z których każda zawierać miała od 300 do 400 szlachty w stopniu oficerskim, z obowiązkiem pełnienia służby w dniach wielkiej uroczystości pod dowództwem największych panów dworu. Następnie utworzono kompanje korpusu gwardji, których było niegdyś cztery, a dziś podniesiono do liczby sześciu, a to z powodu, że dawni ich dowódzcy panowie: d'Havre, de Grammont, de Poix i de Luxembourg, zająwszy napowrót dawne stanowiska, życzyli widzieć pomiędzy sobą dwóch marszałków cesarstwa. Wybrani dwaj marszałkowie byli: Berthier, z powodu wielkiego swego znaczenia, i Marmont, którego jakimkolwiek sposobem należało wynagrodzić za oddane usługi. Nieszczęśliwiec ten upadł już bardzo w swych nadziejach, a gdyby chciano przyznać słuszność wszystkim tym, którzy go potępiali bez litości, to powinien był zupełnie być pozostawionym na uboczu.

Polecono dowódzcom sześciu kompanji korpusu gwardji, aby zapełnili swe szeregi rojalistami z prowincji, rozpuszczonymi gwardzistami honorowymi i tymi młodymi a dzielnymi ludźmi z wojska, którzy ożywieni już będąc nieszkodliwém usposobieniem politycznem dla Burbonów, zupełnie na ich stronę mogli być pozyskani stopniem podporucznika Sześć te kompanji, z których każda liczyła od 300 do 400 ludzi, miały wyłącznie powierzoną straż przy królu, co miesiąc kompanjami zmieniając się na służbie. Przywrócono kompanję grenadjerów konnych, których dowództwo otrzymał p. de La Rochejaquelin, jak niemniej gwardję Monsieura i t. p. Do tego oddziału jazdy należy jeszcze dodać korpus piechoty około czterech tysięcy ludzi liczący z pięćdziesięcioma lub sześćdziesięcioma działami. Wypełnione kadry liczyły najwięcej dziewięć do dziesięciu tysięcy ludzi, posiadających stopień podporucznika w jeździe a najniższy podoficera w piechocie.

Łatwo odgadnąć, jakie to nieukontentowanie sprawiał podobny korpus wojskom, zwłaszcza gdy porównały one otaczający go przepych z rozrzutnością zaspakajany, ze skąpstwem, które stawało się koniecznem przy opędzaniu potrzeb wojsk niewyborowych. Nie wiele potrzeba było zajść przypadkowych pomiędzy oficerami straży przybocznej a wojskami, aby spr owadzić pomiędzy nimi nieszczęśliwe starcie i nienawiść nieubłaganą. Jeżeli dodamy tu jeszcze przywrócenie najemnych żołdaków szwaj-

carskich, którzy pod cesarstwem istnieli tylko z imienia, a których uformowania należało zresztą życzyć, gdyż to był jedyny sposób na przywiązanie dzielnego narodu do przeznaczeń Francji, to pojmiemy jak wiele trudności natworzył sobie rząd nowy, z których jedne były nieunikuione, a drugie sprowadzone tylko dla zaspokojenia zachcianek stronniczych.

Zaprowadzono kilka zmian jeszcze w urządzeniu wojska, aby mu przywrócić formy zewnętrzne z przed 1789 roku i skłonić o ile tylko można do zapomnienia cesarza i cesarstwa. W porządkowym numerze pułków znajdowało się kilka brakujących, z powodu że takowe wytrzebione przez wojnę, rozwiązały się pod względem administracyjnym. Skorzystano z tej sposobności dla zmienienia numerów wszystkim pułkom, rozkazując przyjąć nieistniejący numer pułkowi najbliższy tego posiadającemu, następnemu zaś numer przez poprzedni pułk porzucony: w ten sposób nastąpiła zupełna zmiana i żaden pułk nie zatrzymał numeru, pod którym się odznaczał na polu bitwy. Zabranie wojskom tych drogich dla nich pamiątek, było prostém targnięciem się na ich sławę. W zamiarze zaś przywiązania ich do dynastji nazwiskami zaszczytnemi, nazwano pierwszy pułk piechoty linjowej *pułkiem króla*, drugi *pułkiem królowej*, trzeci *pułkiem delfina* i tak następnie, o ile tylko zdołano wynaleść książąt krwi, których imiona możnaby nadać pułkom. Dla upozorowania zaś mięszania się tych książąt do spraw wojskowych, nadano im tytuły pułkowników jeneralnych rozmaitych broni. Hrabia d'Artois mianowany został pułkownikiem jeneralnym gwardji narodowej i Szwajcarów, książe d'Angoulême kirasjerów i dragonów, książe de Berry strzelców konnych i ułanów, stary książe Condé piechoty linjowej, książe Bourbon piechoty lekkiej, i nakoniec książe Orleański pułkownikiem generalnym huzarów. Tytuły te nadane zostały przez Napoleona jenerał porucznikom najbardziej odznaczającym się w każdej broni, a ztąd zostali oni srodze dotknięci tém poniżeniem. Dla zmniejszenia ich niezadowolenia pozostawiono im uposażenie i obowiązki odebranych godności, przez mianowanie inspektorami jeneralnemi tych korpusów, których książęta nosili tytuł pułkowników jeneralnych.

Nietylko to w wojsku trzeba było ścieśniać szeregi, aby je zastosować do obecnej rozległości i stanu skarbowego Francji, albowiem marynarka wymagała koniecznie daleko większego jej zmniejszenia, które tém silniej odezwać się przez niechęć musiało. W miejsce stu okrętów linjowych i dwustu fregat, które Napoleon wybudować postanowił i które przy rozległości brzegów morskich mógł przez dwa lub trzy lata pokoju należycie uzbroić, w obecnym stanie zasobów skarbowych Francji, zaledwie zdołała ona utrzymać dwa lub trzy okręta i ośm lub dziewięć fre-

gat pod żaglami, a ztąd do tej stopy należało zastosować zapasy i służbę marynarki. O budowie okrętów przez długie lata nie potrzeba było myśleć, gdyż pozostałe z czasów cesarstwa, nad wszelką wystarczały potrzebę. Dla majtków zaś i rzemieślników otwierało się pole do służby przy marynarce handlowej, która przy pokoju miała przyszłość przed sobą. Ale oficerowie i inżynierowie morscy w trudném i przykrém znajdowali się położeniu. Postąpiono z nimi podobnie jak z oficerami wojsk lądowych, zapewniono pół żołdu i dwie trzecie miejsc w służbie czynnej, w razie zdarzonego ich opróżnienia. Dozwolono im także służyć na okrętach kupieckich bez utraty praw i stopni marynarki królewskiej. Lecz były to wszystko mało pomocne lekarstwa, nie zdolne do sprawienia ulgi dotkliwym cierpieniom wojsk lądowych i morskich.

Należało także wyrzec coś o najdroższej dla wojskowych sprawie, o Legji honorowej. Karta zapewniła utrzymanie i niktby się nie ośmielił zaprojektować jej zniesienia. Potrzeba było jednak pogodzić jej istnienie z innemi dawnemi i nowemi orderami, a ztąd koniecznością się stawało odpowiednie pod względem oznak koronnych wydać postanowienie. Arcybiskup z Malines ksiądz de Pradt zostawszy wielkim kanclerzem Legji honorowej, wnosił o utworzenie nowego orderu *Restauracji*. Order ten, który w dniach kilku popadłby w równą śmieszność jak order *Lilji* rozdany już 300 tysiącom osób, jednogłośnie został odrzucony przez radę królewską. Ważniejsza daleko kwestja zrodziła się z orderu ś. Ludwika, orderu poważanego, ustanowionego przez Ludwika XIV na wynagrodzenie zasług wojennych i zdobiącego jeszcze w tym czasie piersi starych oficerów, którzy z zaszczytem służyli w wojnach zeszłego stulecia. Niepodobieństwem stawało się dla Burbonów zniesienie podobnej oznaki. Pan de Blacas wnosił o połączenie go z Legją honorową i utworzenie z tych dwóch, orderu jednego, którego Ludwik XVIII stałby się twórcą, opiekunem i prawodawcą. Kanclerz Dambray zrobił uwagę, że byłoby to pogwałceniem karty, która po prostu i jasno orzekła utrzymanie Legji honorowej. Rada królewska podzieliła to zdanie. Postanowiono przeto, że obadwa będą istnieć z osobna i że dla odmłodzenia orderu ś. Ludwika, rozdadzą go najwięcej odznaczonym oficerom wojsk cesarskich, którzy tym sposobem dwa w miejsce jednego będą posiadali krzyże i zyskają uświęcenie swej nowej sławy, otrzymując sprawiedliwie wsławioną oznakę sławy starożytnej.

Postanowiono także, że bez zakazywania orderu Zjednoczenia, będącego tylko próżném a nawet opłakaném wspomnieniem zjednoczenia krajów, które pod Napoleonem tak wzburzyły Europę, nikt go nadal nie otrzyma, co było najpewniejszym środkiem do bliskiego go zniesienia. Co zaś do or-

deru Korony żelaznej, to ten z powodu, że obecnie przeszedł pod prawa władzców Lombardji, tylko za pozwoleniem króla mógł być we Francji noszonym.

Utrzymując Legję honorową, należało zmienić jej ozdoby, gdyż nie można było zmuszać Ludwika XVIII i książąt jemu pokrewnych, aby zawieszali na swych piersiach wyobrażenie Napoleona. Pierwszy pan de Talleyrand zabrał głos na radzie królewskiej w tym przedmiocie. Traktowany zwyczajnie przez Ludwika XVIII z grzecznością, do której ani szczypta nie domięszywała się wdzięczności, poznał, że dla utrzymania swego stanowiska musi się koniecznie podobać, i nie szczędził ku temu trudów, pomimo swej osobistej wielkości. Wniósł zatém, aby na orderze Legji honorowej umieścić wyobrażenie Ludwika XVIII w miejsce Napoleona. Marszałek Oudinot prostodusznie stanął po za tém zdaniem. Inni członkowie rady, pomimo iż mieli słuszne powody do oparcia się podobnemu wnioskowi, nie ośmielili się jednak na ich przytoczenie i zamilkli. Milczenie to stało się wkrótce bardzo kłopotliwém dla członków rady, a nadewszystko dla wnioskującego, a Ludwik XVIII ze złośliwym uśmiechem napawał się kłopotem obecnych, nie podzielając go wcale. Zamilkł na wzór swych radców. Dla położenia końca tej nieprzyjemnej a milczącej scenie, jenerał Beurnonville wnosił, aby ten wniosek odesłać pod rozpoznanie wyznaczonej ku temu z łona rady królewskiej kommissji. Żądanie to nie przerwało jednak milczenia, jak gdyby nie możliwą było rzeczą mówić coś o tym przedmiocie w obec króla. Jedyny członek rady, który zdawał się nigdy nie doznawać kłopotu i jedyny, którego król oszczędzał bądź to z upodobania, bądź też z obawy, książe de Berry, śmiało zabrał głos i bez najmniejszych ogródek wypowiedział, że każdy za coś szczególnegoby uważał, umieszczenie wizerunku Ludwika XVIII na orderze utworzonym przez Napoleona i rozdanym za zasługi pod rządami Napoleona, a ztąd wnosił, aby umieścić wyobrażenie Henryka IV, którém można było bez obawy porównania zastępować wszelkie inne wizerunki. Śmiało wypowiedziane tak zdrowe zdanie rozwiązało języki i p. Ferrand z wielką szczerością podtrzymywał zdanie księcia de Berry. Pan Blacas zaś, zachęcony rozpoczętemi w tym przedmiocie rozprawami, wnosił, aby w miejsce wizerunku jakiegokolwiek króla, umieszczono na Legji honorowej wyobrażenie Francji. Przestawienie to nie mogło nazbyt podobać się Ludwikowi XVIII, gdyż za bardzo trąciło zasadami republikańskiemi. Aż dotąd nie mięszający się król ani słówkiem do wszczętych rozpraw, zabrał głos i serdecznie dziękował za zdanie swemu synowcowi, oświadczając, że nie jest z liczby tych władzców, którzy za życia pragną wznoszenia pomników, jak ten naprzykład, którego wizerunek potrzeba

było usunąć, i że po dobrém rozważeniu wniosków tak księcia de Berry, jak i pana de Blacas jest zdania, aby umieścić wizerunek Henryka IV. Zręczny pochlebca, który koniecznie chciał się podobać królowi, spostrzegłszy, że przedstawienie jego powszechnie zostało odrzuconém, niewielkiego doznał zakłopotania i po prostu zgodził się na zdanie ogólne, aby na stronie głównej Legji honorowej umieścić wizerunek Henryka IV, a na odwrotnej trzy lilje. Postanowiono także, że natychmiast po dokonanej zmianie, wszyscy Burboni zawieszą na swych piersiach krzyż Legji honorowej.

Wszystkie te postanowienia, natchnięte po większej części nieubłaganą koniecznością, boleśnie dotknęłyby wojska nawet wówczas, gdyby nie można się było w nich dopatrzeć najmniejszej niechęci. Ale połączone z tém wszystkiém, co Burboni dodawali dla przypodobania się swym przyjaciołom, z panującém pomiędzy żołnierzami rozdraźnieniem, z natchniętym przez to rozdraźnienie niesprawiedliwym sądem, musiały one przyjęte być najgorzej, wywołać gorzkie przygany, a nawet niebezpieczny opór. Gwardja cesarska aż dotąd znajdowała się w Fontainebleau. Wiedziała ona o swém utrzymaniu w nowym porządku rzeczy, lecz bolało ją wyłączenie od straży przy osobie królewskiej, a ztąd wydalenie ze stolicy, co zwykle wojska za poniżenie uważają. Rozeszła się już prawdziwa wiadomość, że rząd uważając stanowisko gwardji w Fontainebleau za nadto zbliżone do Paryża, ma wyprawić piechotę do Lotaryngji, a jazdę do Flandrji i Pikardji. Wiadomość ta żywe wywołała w szeregach wzburzenie i znaczna liczba żołnierzy przebiegając ulice Fontainebleau, wydawała okrzyki: *Niech żyje cesarz!*

Książe de Berry miał poruczone szczególne zajmowanie się wojskami, gdyż jego postawa najbardziej odpowiadała tej roli. Udał się do Fontainebleau na przegląd gwardji, która aż dotąd nie była zaszczyconą widokiem księcia z rodziny królewskiej. Podchlebstwem i działaniem na ambicję oficerów usiłowano dlań zjednać okrzyki. Był jednak przyjęty milczeniem. Kilka okrzyków: *Niech żyje król!* wydanych przez ludzi do tego przeznaczonych, pozostało bez odgłosu. Książe jednak przeglądający szeregi w towarzystwie marszałka Oudinot, dowodzącego piechotą, i marszałka Ney, jazdą, okazał się łaskawym, przystępnym i aż do zbytku głaszczącym starych żołnierzy. Wszelkie jego usiłowania ku zjednaniu serc dzielnych wiarusów pozostały bez skutku, choć może powstrzymywały nierozsądne przeciw rządowi objawy. Gdyby jednak król szczerze był powierzył straż swej osoby gwardji cesarskiej i przyznał jej wszelkie przywileje wyborowego wojska, być może, że udałoby się nowemu rządowi przywiązać ją do siebie, a w każdym razie mógłby przy-

najmniej liczyć z pewnością na wierne pełnienie obowiązków. Ale przywróceniem straży przybocznej królewskiej i oddaniem jej wyłącznie straży pałacowej, Ludwik XVIII nieodwołalnie przywiązał gwardję cesarską do sprawy Napoleona.

Po wyjściu wojsk sprzymierzonych, głównie zajęto się utworzeniem załogi Paryża, wybrawszy do jej składu kilka pułków głaskanych nadanemi im nowemi nazwami, jak pułki: króla, królowej, Monsieura. Ostrożność ta jednak nie zmieniła usposobienia w koszarach. Każdodziennie rozlegały się tam okrzyki: *Niech żyje cesarz!* Dla ułagodzenia umysłów książe Berry bardzo często odwiedzał żołnierzy w koszarach, lecz jego usiłowania żadnego nie odnosiły skutku i zmuszony był nie raz do słuchania buntowniczych okrzyków. Obdarzony przytomnością umysłu i umiejąc powstrzymywać własne uniesienie, w czasie podobnych odwiedzin zbliżył się do żołnierza krzyczącego *niech żyje cesarz* i zapytał go, dla czego wydawał ten okrzyk. — Ponieważ Napoleon po stokroć prowadził nas do zwycięztwa, odpowiedział zapytany żołnierz.—Wielkie dziwo, odrzekł książe, zwyciężać tak dzielnymi jak ty żołnierzami.—Wyrażenie to miało swe powodzenie, gdyż krążyło czas jakiś po koszarach. Zjednało ono nadto kilka przychylnych dla księcia słówek, lecz z tém wszystkiem nie zdołało zmienić usposobienia wojska.

Zjawili się nareszcie na ulicach Paryża młodzi ludzie w mundurach przybocznej straży królewskiej. Strojnie przybrani, chętnie kręcili się wszędzie, a obdarzeni będąc stopniami oficerskiemi, mieli prawo wymagać ukłonów od szeregowców. Niejednokrotnie opierali się temu żołnierze a wymierzane kary za przekroczenia przepisów wojskowych nic nie pomagały. Ważniejszą jeszcze było rzeczą, że nawet gwardja narodowa podzielała tu usposobienie wojska. Zaraz po uformowaniu pierwszej kampanji straży przybocznej, zastąpiła ona gwardję narodową w służbie wewnętrznej pałacu, pozostawiając dla niej tylko stanowiska zewnętrzne. Było to w pewnym rodzaju wyrzucenie jej za drzwi, był to półśrodek jakiego należało unikać, i wkażdym razie, albo zupełnie jej straż powierzyć, albo też stanowczo odebrać. Niespodziany nadto wypadek zwiększył jeszcze bardziej ważność tego wyproszenia gwardji narodowej z wnętrza Tuileries. W dniu ukończenia formacji pierwszej kompanji straży przybocznej, udała się ona natychmiast na służbę około godziny pierwszej z południa, to jest wczasie, w którym gwardziści narodowi wychodzili po większej części na posiłek. Straż przyboczna zajęła po prostu stanowiska i wyrzuciła za drzwi broń nieobecnych gwardzistów. Ci powróciwszy zastali już stanowiska zajęte i broń swą na zewnątrz strażnicy, bez najmniejszej uwagi na porządek, z jakim zwykle oddziały

wojskowe mieniają się na służbie. Oburzyli się nazbyt na podobny postępek i żywe przeciwko niemu zaczęli podnosić krzyki, a chociaż całe to zdarzenie powstało jedynie skutkiem nieznajomości służby i niezręcznego postąpienia stanowisk przybocznej, chociaż najmniejszej nie było w nim chęci obrazy, to przecież oburzenie gwardji narodowej stało się powszechne. Oddział, który zwykle zajmował straż w Tuileries, stanowczo oświadczył, że nie zajmie już tam ani na wewnątrz ani na zewnątrz stanowisk, i doszło do tego, że p. de Blacas musiał napisać do jenerała Dessolles list, wktórym dziękując w imieniu króla gwardji narodowej za oddane usługi, najpochlebniej się o niej wyrażał. Urządzono nawet wspólny bankiet dla straży przybocznej i pewnej liczby wybranych gwardzistów narodowych, lecz wszystko to rozniesło tylko panującą niezgodę nie uśmierzywszy jej wcale.

Król ze swej strony największe świadczył względy dowodzcom wojska. Przyjął marszałka Massena, winszował mu świetnych czynów wojskowych i zapewnił o bliskiém udzieleniu naturalizacji skutkiem uchwały izb. Przyjął zarówno Carnota jako pierwszego inspektora inżynierji i admirała Verhuel jako oficera marynarki pozostającego w służbie francuzkiej, zapomniawszy zupełnie, że pierwszy był królobojcą, a drugi do ostateczności bronił się w Texel. Pomimo jednak tych wszystkich wysileń dla zyskania wzięcia, zdawało się przecież, że Burboni chcą ulżyć swym sercom przez wywarcie swej złości na jednego z największych żołnierzy obecnego czasu. Marszałek Davout został poświęcony na ofiarę trawiącemu gniewowi rojalistów. Obrona Hamburga oburzyła na niego wszystkich monarchów europejskich, a niemniej obraziła Burbonów za strzelanie do chorągwi białej, wzniesionej razem z rossyjską przeciw Francuzom. Te to powody, a nadto poczytywanie marszałka za gorącego stronnika Napoleona, pomimo iż od 1812 roku wypadł już był z łaski, zwróciły przeciw niemu całą zajadłość panującego stronnictwa. Tak więc był tylko jedynym z marszałków, którego król nie chciał przyjąć. Minister wojny został zobowiązany uwiadomić marszałka, iż z powodu narażenia imienia francuzkiego za granicą, nie może być przyjętym u dworu, dopóki nie oczyści się z zarzucanych mu czynów. Obojętnie przyjął Davoot to oznajmienie i pisał dalej rozpoczęty już pamiętnik, mający zapoznać tak Francję jak Europę z postępowaniem jego w Hamburgu. Od tej to chwili marszałek Davout, który aż dotąd nazbyt był poważany a mało kochany od wojskowych, został nagle bożyszczem żołnierzy.

Bulwar Włoski i Palais-Royal były głównem miejscem zbioru oficerów, którzy opuściwszy swe korpusy nie chcieli do nich powracać, po-

mimo powtarzanych rozkazów ministra wojny. Jedni z nich żyjąc wygodnie w Paryżu skutkiem otrzymywania zasiłków od rodzin, a drudzy utrzymując się z otrzymanej części zaległego żołdu, z uporem trzymali się stolicy, gdzie mogli oddawać się swym uniesieniom, nie zgadzając się na powrót do pułków, w których mieli pozostać tak zwanymi oficerami na pół żołdzie. Gromadnie zbierali się oni w Palais-Royal i na bulwarach, po swojemu tłumaczyli wszystkie czynności rządu, obsypywali żartami kalekę króla, porównywali jego ociężałość z szybkiemi ruchami człowieka, którego djabelskiej ruchliwości złorzeczyli nieraz, szydzili ze straży przybocznej, a nadewszystko ze starych emigrantów, którzy każdodziennie udawali się w jakiejś deputacji do Tuilleries i bardzo często dawali powód do żartów. Już bowiem była to deputacja od jakiej armji wandejskiej, lub armji Kondeusza długo służącej nad Renem, już też jako wyobraziciele sławnego obozu pod Jalès, przybywając w przestarzałych strojach swej prowincji, odwiedzając króla i hrabiego d'Artois, zwierzając się chętnie przed tym ostatnim, podając prośby i wynosząc z posłuchania ozdoby orderu Lilji lub obietnicę jakiej płacy. Dla młodych oficerów było to przedmiotem do nieustannych żartów i widziano nawet niektórych, jak przebrani w mundury wojskowe starej monarchji, przechadzali się po ulicach Paryża, do szaleństwa przedrzeźniając ruchy ludzi dawnej daty, ku wielkiej uciesze tłumnie towarzyszących im przyjaciół. Nie zawsze jednak podobne sceny kończyły się żartami, gdyż wywiązywały się z nich pojedynki, szczęściem tylko że nie zbyt często, gdyż jak z jednej strony nie każdy ośmielał się szukać kłótni z oficerami wojsk cesarskich, tak też i książęta powstrzymywali swych stronników od podobnego kroku. Smutek i to bardzo sprawiedliwy smutek mięszał się przecież z temi żartami. Mówiliśmy już o tych tysiącach urzędników różnego rodzaju, celników, poborców podatków, oficerów policji, którzy towarzysząc wojskom w odwrocie, podzielali ich niebezpieczeństwa i bohaterstwo, a obecnie umierali zgłodu w Paryżu razem z żonami i dziećmi. Prostém następstwem skupili się oni koło niezadowolonych i oficerów i z wesołemi tych żartami łączyli rozdzierający obraz nędzy. Baron Louis bardziej zajęty uporządkowaniem spraw skarbowych aniżeli niesieniem pomocy nieszczęśliwym urzędnikom, wielki błąd popełnił przez odmowienie im wsparcia, jakie bez zbytniego obciążenia skarbu byłoby wstanie zapobiedz niezasłużonej ich niedoli, która wielu doprowadziła do samobójstwa. Ta mięszanina śmieszności z rozdzierającemi serce widokami niekorzystny na umysły wpływ wywierała i zaczęła się stawać niepokojącą.

Jedyny sposób na przywrócenie karności wojskowej, a zarazem na

dostarczenie zatrudnienia tym marszałkom, którzy nie otrzymali obowiązków na dworze, upatrywano w postawieniu ich na czele głównych dywizji wojskowych z rozległą władzą i bogatém uposażeniem. Jak z jednej strony był to środek na ich rozłączenie, tak z drugiej pojmowano aż nadto, że nigdy oni nie będą zadowoleni na dworze, na którym pomimo wszelkich świadczonych względów, nie w swoim zostawali żywiole, a co najważniejsza, że sprawując na prowincji rzeczywistą władzę, przestaną tęsknić za Napoleonem, będą się starali wywrzeć swój wpływ na wojska i skłonić je do pełnienia powinności. Chwycono się więc tego środka w następny sposób. Dowództwo dywizji w Paryżu nie było tak ważném z powodu znajdowania się pod bokiem władzy naczelnej. Wymagało ono przecież człowieka sprężystego i dla tego przeznaczono na to stanowisko jenerała Maison, który tak rzadką siłę woli okazał w Lille i który nie uchodził za przyjaciela Napoleona. Dalej, postawiono na czele dywizji marszałka Jourdan w tém samem miejscu, gdzie zatknął chorągiew białą, to jest w Rouen; marszałka Mortier we Flandrji, marszałka Oudinot w Lotaryngji, marszałka Ney w Franche-Comté (wszystkich trzech w miejscu ich urodzenia); marszałka Kellerman w Alzacji, gdzie zawsze zarządzał on zakładami; marszałka Augereau w Lyonie, gdzie obecnie dowodził; marszałka Massena w Prowancji, gdzie go zastała restauracja marszałka Macdonald w Touraine i nakoniec marszałka Soult w Bretanji. Ten ostatni pozbawiony łaski królewskiej z powodu znalezienia się swego w Tuluzie, okazywał się z początku bardzo zagniewanym, następnie jednak, ustępując zdrowym radom jenerała Dupont, uspokajał się powoli i doszedł aż do złożenia królowi zapewnień szczerego rojalizmu. Otrzymał on dowództwo w najbardziej przywiązanej do sprawy królewskiej prowincji, w której bez niebezpieczeństwa można było wyprobować wierność nowo nawróconego marszałka. Zobaczymy wkrótce, jakie to przyniosły owoce te świetne dowództwa, w utworzeniu których tyle pokładano nadziei.

Gdy tak mało zyskiwano powodzeń na polu przywiązania wojska do nowego porządku rzeczy, pomimo nawet tylu wysileń na zjednanie sobie dowódzców, daleko mniej jeszcze powodziło się rządowi w zyskaniu innych ludzi, których starannie należało oszczędzać, aby ich nie zmusić do połączenia się z wojskowymi. Pomimo to powrócona na tron rodzina królewska, nie nazbyt się tém zajmowała i natychmiast po swym powrocie postanowiła uroczystém żałobném nabożeństwem obchodzić śmierć Ludwika XVI, Marji Antoniny i innych znakomitych ofiar, których głowy spadły z rusztowania. Nie można zaprzeczyć, że żaden z krwawych wypadków rewolucji nie budził tak bolesnych wspomnień jak śmierć nie-

szczęśliwego Ludwika XVI, który najlepsze dla kraju chęci przypłacił najniesprawiedliwszym wyrokiem, a ztąd oddanie hołdu jego nieszczęściu prostą stawało się rzeczą. Lecz w czasach rozbudzonych stronnictw, bardzo proste czyny jednych najzłośliwiej przez drugich bywają tłumaczone, a publiczność nierozumując przyznaje zwykle słuszność niesprawiedliwym a głośnym dowodzeniom. Należało się przeto obawiać, aby żałobne nabożeństwo, należne jako hołd wielkiemu nieszczęściu, nie stało się nowym powodem do większego rozdwojenia. Bez względu jednak na nasuwające się uwagi, wybrano dzień 16 Maja, jako rocznicę śmierc Henryka IV, na obchod żałobnego nabożeństwa, i we wszystkich kościołach Paryża odprawiono je w pamięć wymordowanych w 1793 roku ofiar z rodziny królewskiej. W celu zaś nienaruszenia głoszonej zasady puszczenia w niepamięć przeszłości, odczytano testament Ludwika XVI, w którym nieszczęśliwy ten książe w przeddzień swej śmierci, tak dotykającemi słowy przebaczał wszystko swym nieprzyjaciołom. Przy podobnym obchodzie nabożeństwa na prowincjach zupełnie przeciwnie postępowano. Duchowieństwo występowało z mowami pogrzebowemi, zapalczywym przemawiając językiem. W mowach tych rewolucja przedstawioną była za nieprzerwany szereg najohydniejszych zbrodni, a ztąd w ogóle bez żadnego wyjątku potępiano jej wszystkie czyny i wszystkich służących jej ludzi, potępiano nawet zasadę sprawiedliwości, w imię której rozwinęła się rewolucja, a która uświęconą została przez kartę. Pisma rojalistów poruszone żałobném nabożeństwem, zatruwały jeszcze bardziej swym jadem istniejące kłótnie, odpowiadając tym, którzy powoływali się na przyrzeczone zapomnienie przeszłości przez kartę, że to zapomnienie w ten tylko sposób należy tłumaczyć, iż sprawcy zbrodni rewolucyjnych nie będą za nie ściganí przez sprawiedliwość karzącą. Dowodziły one, że obięte w tym względzie przyrzeczenie nie może się rozciągać aż do zamilczenia o zbrodniach, do uważania okrucieństw za rzeczy obojętne, aż do zaprzeczania Francji prawa do wylewania łez po szlachetnych ofiarach; że na uwagę nawet zasługiwać nie mogą sprawcy popełnionych zbrodni, zżymający się na to powszechne świadectwo boleści narodu; że za szczęśliwych powinniby się uważać, kiedy jest cierpianą bezkarnie na ziemi francuzkiej ich bezczelność, gdyż ani szacunku ani pozostawienia w spokoju ze strony uczciwych ludzi nikt im zapewnić nie w stanie; nakoniec, że jeżeli dnie poświęcone powszechnej boleści narodu stają się dla nich tak przykre, to powinni ukryć się przed zwrokiem ludzi podczas tych tak krótkich i tak rzadkich obrzędów, gdyż zbrodnie ich nie mogą być odpokutowane. Łatwo można pojąć jaki skutek wywarło podobne przemawianie, tak na tych, do których wprost ono było skierowane, jak

i na innych, którzy bądź to wspólnością czynów bądź też z zasad połączeni byli z pierwszymi.

Po tém wejściu na drogę wspomnień, nie umiano zatrzymać na niej. Po nabożeństwie żałobnem za Ludwika XVI i Marję Antoninę, następowały za księżnę Elżbietę, księcia d'Enghien, Moreau, Pichegru, a nawet, któżby temu uwierzył, za Jerzego Cadoudal, który zeznał przed sądem zamiar zamordowania pierwszego konsula na drodze do Malmaison. Wyszukano księży, którzy przygotowywali ich na śmierć, aby obecnie celebrowali odprawiane nabożeństwa. Postępowanie podobne bezpotrzebnie narażało tylko Ludwika XVIII w oczach umiarkowanych liberalistów, którzy aż dotąd uważali go za najświatlejszego księcia z całej rodziny królewskiej. Uroczyste obchody do najwyższego stopnia oburzyły wojskowych, a nawet wybuchy tak były gwałtowne, że przerażona policja widziała się w obowiązku uwiadomić o tém króla.

Tak nieoględne branie się do rzeczy ścisłym łączyło węzłem nawet najumiarkowańszych rewolucjonistów z wojskiem i ze wszystkimi stronnikami cesarstwa. Nie oszczędzano także nabywców dóbr narodowych i przysięgłych księży. Niemałém to było dla Burbonów strapieniem, że po swym do Francji powrocie, nie byli w możności powrócić dóbr emigrantom i że ciągłych musieli słuchać oskarżeń, iż usadowiwszy się sami w Tuileries, pozwalali umierać z głodu ludziom poświęcającym się przez całe życie dla ich sprawy. Wystarczało trochę tylko uczucia, aby książęta pokazali się dla swych stronników dobrymi i wdzięcznymi; ale wielką zaporę stawiła tu polityka, która nie będąc ani niewdzięczną, ani niemoralną, zmuszała do pilnego baczenia na sprawy państwa i stosowania do wymagań kraju wszelkich postanowień. Uważając bowiem, że dobra Kościoła mogły być prawnie sprzedane, uważając także, że i majątki emigrantów w tym samym znajdowały się stosunku, gdyż wielu z nich podniosło broń przeciw własnej ojczyźnie i konfiskata, jakkolwiek już zniesiona, istniała wówczas, i prawnie za popełnione występki wyrzeczoną została, uważając nadewszystko, że przez odwołanie sprzedaży dóbr tak zwanych narodowych, ogromnyby nastąpił przewrót w prawach własności, polityka, która nie mogła podzielać uczuć Burbonów, najsprawiedliwiej zmuszała do nieodwołalnego uznania sprzedaży. Książęta jednak podobnie jak pan Lainé myśleli i koniecznie chcieliby zmusić nabywców, aby zabezpieczeni prawem, lecz potępieni przez opinję publiczną, za byle jakiém wynagrodzeniem zwrócili dobra dawnym ich właścicielom. Rozumując w ten sposób, prostém następstwem rzeczy zachęcali lub też pozwalali na wszystko, co tylko przedsiębrano dla dopięcia zamierzonego celu.

O wiele nieoględniejsi od emigrantów księża, rozpoczęli na prowincji najniebezpieczniejsze dla państwa prawić z ambon kazania. Kazali oni publicznie przeciw konkordatowi, przeciw sprzedaży dóbr tak kościelnych jak i emigrantów i śmiałość swą aż do tego posunęli stopnia, że odmawiali sakramentów umierającym nabywcom dóbr, którzy prawej swej własności niepowrócili dawniejszym jej posiadaczom.

Nie ograniczali się przecież na tém napadaniu na nabywców dóbr narodowych, lecz rozciągnęli swą zajadłość także do księży umiarkowanych, uznających konkordat, i tym sposobem sprowadzili rozdział w łonie Kościoła. Na nieszczęście senat, przy układaniu ustawy państwa, ani pomyślał o rękojmi do utrzymania konkordatu, a z tego przepomnienia, które zagrażało ogromnym przewrotem w sprawach Kościoła, łatwo pojąć można, jakie to usługi wyświadczyło to zgromadzenie dla kraju, że zdołało uświęcić na nowo zasady społeczne i polityczne rewolucji francuzkiej. Odżałować więc nie można, że przepomniał on zatwierdzić wszystkich zmian, jakie zaprowadziła rewolucja w kościele, a które zostały już uświęcone trwałością, prawodawstwem i głosami światłych ludzi.

Przypomnimy sobie bezwątpienia, w jakim to stanie znalazł pierwszy konsul sprawy religijne w 1800 roku. Znakomita liczba księży uległa prawodawstwu cywilnemu dla duchowieństwa, a to skutkiem łagodności, zamiłowania pokoju i dokładnego pojęcia, że nadana im ustawa była korzystną dla kraju i nie naruszała spraw kościoła. Inni zaś wytrwale ją odrzucali już to z powodu zbytniej swej religijnej gorliwości, już też kierowani stronniczym duchem. Ci księża, którzy wykonali przysięgę, przeznaczeni zostali do pełnienia obowiązków kościelnych, co było wzbronionem opierającym się postanowieniom rządu, którzy przecież cieszyli się zaufaniem wiernych. Pierwsi sprawowali obrządki w prawie pustych kościołach, a drudzy w urządzonych po prywatnych domach kaplicach, w pośród wielkiego zgromadzenia pobożnych. Unieważniali oni wszystkie czynności *przysięgłych*, udzielali nanowo chrzest i śluby małżeńskie, jedném słowem powtarzali po nich wszystkie obrządki religijne, potrzebne w życiu człowiekowi. Nieład nie ograniczał się jeszcze na tém. Wiele stolic biskupich było niezajętych, a to z powodu, że papież odmówił potwierdzenia biskupom przez władzę doczesną mianowanym, więc w tém zamięszaniu prawdziwie pobożni nie wiedzieli czego się trzymać, a niedowiarki znajdowali sposobność do pogardzania zarówno *przysięgłymi* jak i *nieprzysięgłymi* księżmi, a nawet do skazywania na wygnanie tak jednych jak drugich, jak to się działo w czasach terroryzmu. Nakoniec, gdy konwencja wyganiała księży, rojaliści w Wandei posługiwali

się niemi do pobudzania, utrzymywania i rozpalania wojny domowej. Taki to był stan kościoła francuzkiego w przeddzień konkordatu. Pierwszy konsul silny swą bez plamy sławą, zaufaniem bez granic w kraju, potęgą bez podziału w Europie, skłonił papieża do uznania wszystkiego, co tylko było rozsądném w ustawie napisanej dla duchowieństwa, jak do zatwierdzenia nowego podziału djecezji, odpowiadającego podziałowi administracyjnemu kraju, do zmiejszenia zbytecznej liczby stolic biskupich, do zastosowania ich do liczby departamentów, do zasad podwójnego mianowania prałatów przez władzę doczesną i stolicę apostolską, do uznania zaszłych już zmian pod względem społecznym, jak powierzenia aktów stanu cywilnego urzędnikom cywilnym, zniesienia sądów duchownych, sprzedaży dóbr kościelych i t. p. Ze swej strony pierwszy konsul przyrzekł, że państwo opiekować się będzie wyznaniem katolickiem, zapewni mu przyzwoite uposażenie, powróci mu jedném słowem całą świetność, jaka mu należy w kraju katolickim i oświeconym. Nakoniec, dla położenia końca opłakanemu odszczepieństwu, papież i pierwszy konsul zgodzili się na zupełne unieważnienie dawnych mianowań prałatów, aby tę rzecz urządzić na nowo, zgodnie z wymaganiami czasu, wybierając na dygnitarzy Kościoła księży zarówno przysięgłych jak i nieprzysięgłych, byle tylko byli uczciwi, czyści, przywiązani do wiary i Francji. Taki to był ten traktat pokoju z Kościołem, który tyle czyni zaszczytu jenerałowi Bonaparte i Piusowi VII; traktat pełen sławy, przynoszący tyle pożytku dla kraju i kościoła, traktat daleko trwalszy od zawartych w Luneville, Presburgu i Tylży, gdyż te będące dziełem zwycięztwa, a ztąd zmienne jak los wojny, zniknęły wkrótce z widowni praw publicznych europejskich; a ten zaś oparty na niewzruszoném wyrozumowaniu, trwa i pomimo przesady niektórych ludzi trwać będzie tak długo jak wiara we Francji, jako jedyne urządzenie spraw Kościoła, na które może się zgodzić religja i polityka zarówno pobożna jak i niezależna.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że konkordat o wiele zwiększył potęgę pierwszego konsula i utorował mu drogę do tronu. Pokój z Kościołem, pokój z Europą i kodeks cywilny, były trzema świetnemi gwiazdami rządów jenerała Bonaparte. Burbonowie na wygnaniu zrozumieli bardzo dobrze całą doniosłość konkordatu, który ze wszystkich czynów Napoleona, stał się dla nich najstraszniejszym i dla tego swym wpływem zdołali oni powstrzymać wielu prałatów od zrzeczenia zajmowanych stolic na żądanie papieża. Trzynastu biskupów odmówiło wymaganego od nich zrzeczenia, a ztej liczby żyło jeszcze dziesięciu lub dwunastu. Taka jednak była potęga konkordatu, że upierający się przy utrzymaniu swych stanowisk prałaci najmniejszej nie zatrzymali władzy, gdyż nowo

mianowanych na ich miejsce przez Napoleona i Piusa VII, uważali wszyscy wierni za prawych naczelników Kościoła, zajmujących opróżnione stolice, a ztąd cieszyli się powszechnym uznaniem i szacunkiem. Kilku nieubłaganie opierających się księży, żadną miarą nie chcieli uznać nowo mianowanych kiskupów, których poprzednicy znajdowali się jeszcze przy życiu i niezłożyli wymaganego od nich zrzeczenia się i ztąd ściągnęli na się śmieszną i bardzo zasłużoną nazwę *małego kościoła*, gdyż odpowiadała ona zupełnie znaczeniu jego w świecie religijnym.

Oddawszy Napoleon skutkiem swych błędów rządy w ręce Burbonów, naraził najwspólniejsze swe dzieło, które zagrożone zostało upadkiem, jako rzecz zasługująca na zniszczenie. Burboni bowiem związani ustawą napisaną przez senat, albowiem to ona przerodziła się w *kartę*, zmuszeni zostali do uszanowania rozsądnych zasad w polityce i zarządzie kraju, ale też wolni zupełnie pod względem konkordatu, z powodu że pominięto uświęcenie go ustawą, zamierzali w tym względzie poprostu wrócić do przeszłości. Podobne usposobienie powróconych na tron książąt, bardzo łatwo można sobie wytłumaczyć, gdyż pomimo, iż własne skłonności pociągały ich na tę drogę, to nadto zmuszani byli do tego kroku przez swych przyjaciół, przed którymi nie mogli jak w innych razach zasłonić się kartą. Dodawszy do tego poczutą przez nich odrazę nie już do konkordatu, z powodu iż ten tyle im złego wyrządził, ale do samego nawet papieża, któremu dotąd nie mogli wybaczyć jego stosunków z Napoleonem, i którego uważali za pewien rodzaj księdza *przysięgłego*, gdyż ten pomimo iż sam był prawym władzcą, łączył się jednak z przywłaszczycielem, pojmiemy dokładnie, z jaką to gorącą żądzą starano się zniszczyć tak świetne dzieło. Wyobraźmy sobie następstwa podobnego zamiaru i zapytajmy jaki obrót cała sprawa przybraćby mogła, gdyby papież zmieniał nanowo podział djecezji i przywracał je w dawnych granicach, żądał na nowo zrzeczenia się stolic od wszystkich biskupów, w celu zamianowania tych, których niegdyś złożył, jednem słowem, gdyby zrobił napowrót ów rozdział pomiędzy duchowieństwem, jak tego domagała się ślepa reakcja? Czyżby nie musiały ponowić się natychmiast dawne rozróżniania księży przysięgłych od nieprzysięgłych, odszczepieństwo w Kościele, wojna pomiędzy duchowieństwem, zamięszanie pomiędzy wiernymi? A nadto, czyżby papież nie zaprzeczył swej nieomylności przyznając się tym postępkiem do popełnionego błędu, a Burboni niezobowiązani kartą, czyżby chcieli pozostawić sprzedane dobra kościelne w ręku prawych ich nabywców? To tylko zupełna nieznajomość potrzeb i położenia Francji, jaką aż nazbyt odznaczali się emigranci, mogła popychać rząd na podobne drogi, na których za każdym krokiem musiał doznawać nieuniknionych kłopotów i olbrzymich niebezpieczeństw.

Rozwiązane jednak mając ręce Burboni, postanowili zrobić próbę i zaczęli od nieuznania kilku prałatów, przez proste zerwanie z nimi wszelkich stosunków. Kardynał Maury już został wyparty ze swej stolicy, ponieważ hrabia d'Artois oświadczył, że nie chce być przez niego przyjmowanym w Notre-Dame, przy uroczystym swym wjeździe do Paryża. Wprawdzie kardynał Maury, nawet wedle brzmienia konkordatu, nie był na swém stanowisku zbyt silnym, ale postąpienie podobne skierowane było głównie do innych biskupów, przez papieża potwierdzonych, a to z powodu, że jedni byli księżmi przysięgłymi, a drudzy zajmowali stolice dawnych prałatów, którzy mieszkając w Londynie, stanowczo odmówili żądanego od nich w 1802 roku zrzeczenia się swych djecezji. Biskupi ci pośpieszyli z opuszczeniem Londynu i przybyciem do Paryża, gdzie ich wtajemniczono w zamiary obalenia konkordatu. Nie omieszkali oni uwiadomić o tém niższe duchowieństwo, skutkiem czego natychmiast pojawiło się odszczepieństwo w tych djecezjach, w których dawni biskupi znajdowali się jeszcze przy życiu. Takim sposobem w Roszelli, prałat mianowany przez Napoleona i potwierdzony przez papieża, a skutkiem tego posiadający podwójną władzę, gdyż doczesną i duchowną, spotkał się z prawdziwym buntem niższego duchowieństwa, a to z powodu, że znalazł się do stolicy biskupiej współzawodnik, dawny pasterz tej djecezji, który nie złożył wymaganego odeń w swym czasie zrzeczenia. Większa część księży przestała uznawać jego władzę i poddał się nieuznającemu konkordatu, wracającemu z tułactwa biskupowi. Podobne odszczepieństwo gwałtowne czyniło postępy w Charentes, Dordogne, Wandei, Deux-Sevres, Loire-Inférieure, Loir-et-Cher, Sarth, Mayenne, a to do tego stopnia, że wierni zupełnie nie wiedzieli, której władzy mają być posłuszni. Nieład ten pomiędzy duchowieństwem silnie rozbudzał namiętności. Kazano przeciw konkordatowi, księżom przysięgłym, nabywcom dóbr narodowych, łącząc wszystkie szaleństwa gorliwości religijnej z zapamiętałością polityczną. Na przeciwnym krańcu Francji, w Franche-Comté, gdzie pomimo spotykanego umiarkowania pod względem politycznym, krzewiło się zagorzalstwo religijne, nieco różny spotykano nieład, ale zarówno ważny i bardziej jeszcze gorszący, jeżeli to być mogło. Arcybiskup Besançon, Lecoz, niegdyś prałat konstytucyjny, lecz ksiądz wszelkiego poszanowania godzien, został przedstawiony Piusowi VII przez pierwszego konsula i podwójnie, przez władzę świecką i duchowną mianowany w myśl konkordatu. Z pobożnością i godnością rządził on swemi owieczkami i zapełniał swą djecezję księżmi przysięgłymi, nie okazując się ani stronnym, ani też mściwym dla innych. Do usunięcia go nie można było wynaleść nawet tego pozoru, jaki stosowano do in-

nych, że znajdował się jeszcze przy życiu dawny, nieusunięty tej djecezji pasterz, a przecież zawieszono go w sprawowaniu obowiązków i bez powierzenia ich komu innemu wypędzonego jak złoczyńcę, a za nim wszystkich księży, którzy znajdowali się na złowrogiej liście przysięgłych. Pierwszy prefekt dał przykład tak gorszącego czynu.

Chociaż duchowieństwo francuzkie w nierozsądném swém na wsze strony postępowaniu działało na wspólkę z rządem, to przecież niemałego nabawiało ono kłopotu gabinet, narażając go bez miary. Nie możebną bowiem stawało się rzeczą zamierzać o zniesieniu konkordatu, bez zezwolenia papieża; a przesadzona nawet gorliwość dla spraw Kościoła, nie pozwalała na podnoszenie buntu przeciw jego głowie i na otwarte nieuznanie czynów najwyższej duchownej władzy. W oczekiwaniu przeto na odwołanie konkordatu przez Piusa VII, nieubłagana konieczność nakazywała rządowi uznanie sprawującego obecnie swe obowiązki duchowieństwa, gdyż w rozmaitych stronach Francji zagorzalcy religijno-polityczni gotowi już byli do gwałtownego wypędzenia księży i wydziedziczenia nabywców dóbr narodowych (1). Oceniając dobrze następstwa podobnego kroku, ksiądz de Monesquiou przedstawił Ludwikowi XVIII całe jego niebezpieczeństwo i zyskał upoważnienie królewskie do wezwania biskupa Roszelli, mianowanego przez cesarza i papieża, aby wymagał od księży swej djecezji posłuszeństwa dla istniejącej władzy biskupiej. Upoważniał go nadto do usunięcia od obowiązku nieposłusznych i zapewniał na wszelki wypadek oporu pomoc władzy wykonawczej. Najmniejszej jednak nie zrobiono w tym liście wzmianki o konkordacie, a okoliczność ta jasno dowodziła, że rząd uważał go za prawo obowiązujące tymczasowo, dopóki niezostanie zniesione, i że dawał tylko nieszczęśliwemu biskupowi poparcie materjalne, odmawiając zarazem głównie mu potrzebnej siły moralnej. To też list ten, który w gruncie rzeczy napisany był bardziej dla oddziałania na opinję publiczną w Paryżu, aniżeli w Roszelli, żadnego nie przyniósł w tém odległém miejscu pożytku, o czem nawet policja stosowne złożyła królowi doniesienie.

Postanowiono w tym czasie zawiązać rokowania z Rzymem. Doprowadzenia układów przeznaczył król księdza Courtois de Pressigny, byłego biskupa z Saint-Malo, mianując go nadzwyczajnym ambasadorem przy

(1) Niejednokrotnie zaprzeczano, aby rzeczy dochodziły wówczas do tego stopnia, a nadewszystko co do zamiaru targnięcia się na własność nabywców dóbr narodowych. Dla przekonania się jednak o tém, dość jest przeczytać raporta policyjne, składane Ludwikowi XVIII i korrespondencję odnoszącą się do spraw duchownych, które jasno malują wykazywane przez nas położenie.

stolicy apostolskiej. Zalecono temu posłannikowi, aby okazując cały należny szacunek domu Burbonów dla stolicy Apostolskiej, dał jednak w delikatny sposób uczuć Piusowi VII, że nazbyt okazał się słabym w swych stosunkach z przywłaszczycielem, co jednak prawy rząd we Francji będzie się starał puścić w niepamięć, ze względu na doznane nieszczęścia przez widomą głowę Kościoła. Za okazanie tej powolności ze strony Burbonów, miał ambasador żądać od papieża pośpiechu w zatarciu wszystkich śladów nieoględnie popełnionych przez niego czynów, to jest, aby natychmiast uznał za nie byłe wszystko to, co się tylko stało od czasu wejścia Francuzów do Włoch, coby prostém następstwem rzeczy pociągało za sobą unieważnienie konkordatu. Następstwami podobnego postanowienia stolicy apostolskiej, miało być przywrócenie dawnych 135 stolic biskupich, powołanie na nie prałatów, którzy nie złożyli wymaganego od nich zrzeczenia się w 1802 roku, a którzy znajdowali się jeszcze przy życiu, gdyż jak twierdził dwór francuzki, byli oni prześladowani, tułali się na wygnaniu przez lat dwadzieścia pięć za sprawę prawdziwej wiary i posiadali te same prawa do odzyskania swych djecezji, które wprowadziły Ludwika XVIII do Paryża, a papieża do Rzymu. Tym więc sposobem wymagano od Piusa VII, aby powrócił do tego podziału djecezji, który nawet przez Kościół uznany został za nie stososowny; aby odsądził od władzy mianowanych przez siebie biskupów i to na korzyść tych, którzy jawne mu okazali niegdyś nieposłuszeństwo, czyli żądano odeń, aby dwa razy w przeciągu lat dwunastu dopełnił czynu, którzy sami Burboni okrzyczeli za zbyteczny i przechodzący możność, gdy naglony koniecznością papież, dla powrócenia Francji na łono Kościoła po raz pierwszy go przeprowadzał. Wymagania podobne od nieszczęśliwego kapłana, jakżeż wielką i gorszącą przedstawiały sprzeczność z pojęciami książąt, dla których urok władzy moralnej nadzwyczaj powinien był być drogim, kiedy wszystkie swe prawa do tronu opierali i uważali jedynie za pochodzące z Bożej Łaski.

W chwili gdy ambasador dworu francuzkiego wyjeżdżał do Włoch, celem załatwienia przedstawianej przez nas sprawy, przybył do Ludwika XVIII wysłannik Piusa VII, z zamiarem przeprowadzenia niektórych zmian w konkordacie, które obchodziły wyłącznie Kościół rzymski. Posłannictwo to dowodziło, że zarówno w Rzymie jak i Paryżu nie zważano na głos rozsądku. Po złożeniu bowiem powinszowań domowi Burbonów, że powrócił na tron francuzki, oświadczał papież królowi, iż największe pokłada zaufanie w uczuciach religijnych całej dostojnej rodziny; a przystępując następnie do rzeczy, radził odrzucenie ustawy uchwalonej przez senat (nie wiedziano jeszcze w Rzymie o ogłoszeniu

karty), prosił o zniesienie wolności wyznań i o nadanie Kościołowi francuzkiego bogatego uposażenia w dobrach ziemskich. Z drugiej zaś strony żądał wstawiennictwa do innych mocarstw, celem przywrócenia stolicy apostolskiej Legacji, Ponte-Corvo i Beneventu (Benevent był w posiadaniu pana de Talleyrand, który z urzędu swego przyjmował posłannika papiezkiego). Nakoniec wymagał powrócenia do państwa kościelnego Awinjonu, który obecnie znajdował się w posiadaniu Francji, a którego Ludwik XVIII, jak mówił Pius VII, nie może odmówić stolicy apostolskiej, jako starszy syn Kościoła.

Nie można zaprzeczyć, że każda rewolucja przechodzi w szaleństwo, jeżeli bez żadnej uwagi na obecność, gwałtownym zmierza krokiem ku przyszłości; ale też przyznać należy, że ani na jotę od tego szaleństwa nie odstępuje każda kontrewolucja, która ze stronniczém zaślepieniem dąży do zupełnego zwrotu dawno ubiegłej przeszłości. Patrząc na Ludwika XVIII żądającego zniesienia konkordatu i na papieża domagającego się Awinjonu, nie można się powstrzymać od wyrzeczenia tych kilku słów porównania.

Na szczęście jednak, że te żądania tak z jednej jak i z drugiej strony nie mogły mieć nawet nadziei powodzeń, ale pozostawało zawsze wzburzenie w części kraju i bardzo wiele popełniono niedorzeczności na karb obrządków religijnych, co usposobiało Francję do zwrócenia się na bardzo złą w tym względzie drogę. W tej nawet chwili dał się widzieć smutny i opłakany przykład.

Hrabia d'Artois, książe i księżna d'Angoulême po powrocie swym do Francji mocno dotknięci zostali, że Niedziela nie była uroczyście obchodzoną. W dniu tym bowiem przeznaczonym na spoczynek i modlitwę widziano pootwierane sklepy zrana, warsztaty napełnione robotnikami często aż do wieczora i miejsca zabaw bardziej uczęszczane niż wkażdym innym dniu tygodnia. Zadziwienie ich nie miało granic, zwłaszcza gdy powracali oni z Anglji, gdzie jakby całe życie zamiera w Niedziele. Nie mogli pojąć jakim to dzieje się sposobem, że kraj katolicki mniej zwraca uwagi na Pismo święte od protestanckiego, a ztąd pokilkakroć powtarzali dyrektorowi policji Beugnot, że należy położyć koniec temu zgorszeniu rewolucyjnemu po powrocie na tron prawych książąt. Dotknięty temi wymówkami pan Beugnot i uważając nadto święcenie niedzieli za konieczne, tak ze względu na sprawy towarzyskie jak i religijne, szperał po starych rozporządzeniach dawnej monarchji i postanowieniach rzeczypospolitej, przestrzegającej świątecznego obchodzenia *dekad*, i wynalazł ustawy, które na nowo zamierzał wprowadzić w życie. Prostém więc rozporządzeniem policyjném z dnia 7 Czerwca, nakazał święcenie Niedzieli

i dni uroczystych. W moc tego postanowienia, w każde święto sklepy powinny były być zamknięte od rana aż do wieczora, rusztowania rzemieślnicze i warsztaty opróżnione, a wozy ładowne nie mogły przez dzień cały ukazywać się na ulicy. Szynki i kawiarnie dopiero po południu miały być otwierane, a miejsca tańców dopiero wieczorem. Tylko aptekarzom i kupcom ziół lekarskich pozwolono przez cały dzień mieć otwarte swe sklepy. Rozporządzenie to zagrożone surowemi karami pieniężnemi od 100 do 500 franków, pociągnięte zostało pod prawo o przekroczeniach.

Dla wydania podobnego postanowienia, potrzeba było być pozbawionym znajomości nietylko nowej, ale każdego czasu Francji, która przekładała zawsze swobodę prywatną nad wolność polityczną, i nie znosiła krępowania wolnych jej ruchów, gdy chciała swobodnie urządzać domowe swe sprawy. Bardziej skłonna do szemrania na mniejsze aniżeli większe dolegliwości, sprzeciwiająca się niemiłym urządzeniom, znieważająca częstokroć rządy do popełnienia czynu stanowiącego o jego losie, rozpalająca się gwałtownie skutkiem odmawianej jakiej drobnostki, gotowa do stania się pobożną pod rządem bezbożnym, a niewierną pod władzą klepiącą pacierze, a na szczęście daleko gruntowniej zgłębiająca rzeczy niż to się wydaje, Francja bardzo nieprzychylnie przyjęła rozporządzenie policyjne. Wielkie więc zrobiło się wrzenie w Paryżu po poleceniu zamykania w Niedzielę sklepów, otwieranych zwykle po południu, opróżniania warsztatów przez większą część dnia stojących otworem, przytrzymywania wozów pod pozorem, że chcą zabierać ładunek i po zastosowaniu za tę przestępstwa kar surowych, przed stu laty w użyciu będących. Do przestrzegania podobnych przepisów nie można było użyć gwardji narodowej, już i tak aż nadto strudzonej pełnieniem służby, zmierzającej do powstrzymania przestępstw zupełnie innego rodzaju. Najlepiej temu zadaniu odpowiadała gwardja municypalna Paryża, nadzwyczaj zajęta sobą i śmiało stawiająca czoło wzburzonej i pracowitej ludności.

We wszystkich klassach społeczeństwa prawie jednakowo przyjęto rozporządzenie policji, i rząd, który był nazywany rządem cudzoziemskim, szlacheckim, emigrantów, dostał jeszcze nazwisko rządu świętoszków; a przyganiacze, którzy wyśmiewali jego politykę, daleko bardziej żartowali z dziwnego tego nabożeństwa. Wrażenie było tak silne, że zaniepokoiło nawet samą radę królewską i ściągnęło na pana Beugnot ostre wyrzuty, żołnierskim wypowiedziane językiem, ze strony księcia de Berry. — Chcesz pan, powiedział książe, przedstawić nas za *pobożnych*, a nie można wynaleść lepszego sposobu na pozbawienie nas wziętości we Francji.—Sam nawet Ludwik XVIII, który nie będąc nabożnym, chciał jednak

znieslenia konkordatu; oświadczył, że postąpiono w tym względzie bardzo pospiesznie, a nawet nieroztropnie.

Od trzech dopiero miesięcy Burboni powrócili do Francji, a już oburzyli na siebie naród jedynie z powodu, że nie umieli powstrzymać swych przyjaciół i samych siebie, choć zresztą nie można zarzucać im złych zamiarów. Zniechęcili bowiem wojsko skutkiem nieuniknionego co prawda zmniejszenia, które połączoném zostało z wznowieniem ubliżającém żołnierzom straży przybocznej królewskiej; srodze zranili zwolenników rewolucji i rzucili ich w objęcia nieprzyjaznych zawsze Bonapartystów przez pobożne obrzędy w pamięć Ludwika XVI, gdyż łączyły się z niemi szaleństwa stronnicze; odstrychnęli od siebie duchowieństwo wyznające zasady umiarkowane, daleko liczniejsze od zagorzałego, przez szalone napady na księży przysięgłych i konkordat; przestraszyli potężną klassę nabywców dóbr narodowych, przez dozwolone na ambonach głosy przeciw sprzedaży dóbr kościelnych i przez niezliczoną liczbę niepokojących słówek, których źródło było w Tuilleries; nakoniec, skutkiem nierozsądnego postąpienia policji, obrazili ten potężny stan średni, który nie będąc bezbożnym, chciałby jednak być wolnym pod względem wiary i zwyczajów: chciałby być pobożnym, gdy mu się to podoba, lub przeciwnie, gdy taka mu przyjdzie ochota. Tym to sposobem nowy rząd stanął w przeciwieństwie ze wszystkiemi żądaniami kraju, a to pod każdym względem, gdyż nawet zwyczajów, obyczajów i usposobienia narodu.

Wszystkie te następujące po sobie czyny nowego rządu powinny były stanąć przed najwyższym trybunałem, to jest przed dwoma izbami zapewnionemi przez kartę, które na szczęście składały się z ludzi światłych i nie były usposobione do ulegnięcia wpływowi dworu. Przypominamy sobie, że król zwołał je na dzień 4 Czerwca, w celu przedstawienia im nadanej narodowi karty i powołania do obrad nad potrzebami kraju. Od czasu zebrania nie przestały one obradować, zająwszy się najprzód wewnętrzném swém urządzeniem, co prostém następstwem rzeczy koniecznie musiało zająć pierwsze posiedzenia, gdyż przed przystąpieniem do narad, należało uchwalić sposób, w jaki one odbywać się mają. Po przeprowadzeniu rozpraw zgodzono się na porządek obrad, któryby pozwalał na spokojne i gruntowne spraw roztrząsanie. Straszne wspomnienie komitetu bezpieczeństwa publicznego budziło obawę do posiedzeń nieustających, które pochłaniając w siebie pewną część rządu, jak skarb, wojnę, politykę zewnętrzną, sprawiedliwość, policję, przypisują sobie wszechwładztwo i stają się niebezpiecznym, a często nawet krwawym despotyzmem. Z powodu zaś potrzeby, aby każde zgromadzenie podzieliło się na pewne oddziały, dla gruntownego i spokojnego zbadania każdej rzeczy w wy-

braném kółku, zgodziły się izby na wybranie stosownych biur z dwudziestu lub trzydziestu osób złożonych, któreby odnawiane losem każdomiesięcznie, roztrząsały przedstawiane sobie pod obrady wnioski i takowe powierzały następnie wybranej z łona swego kommissji, aby ta po dokładném obejrzeniu sprawy, dała z niej szczegółowe sprawozdanie na posiedzeniu ogólném. Ten to sposób postępowania przyjęto i taki zawsze musi odnieść pierwszeństwo przed każdym innym, jeżeli chcemy uchronić się od tyranji stronniczej.

Po ukończeniu tej czynności obiedwie izby się urządziły, uwiadamiając o zapadłej uchwale władzę wykonawczą. Izba deputowanych, a raczej tak nazwane dawniejsze ciało prawodawcze, przedstawiła królowi pięciu kandydatów, z których jeden w myśl zastrzeżenia karty, miał być mianowany prezesem. Z przedstawionych kandydatów wybrał król pana Lainé, który największą liczbę miał głosów i który winien był to wyniesienie znakomitemu swemu talentowi, poważnemu charakterowi i odegranej roli w miesiącu Grudniu roku zeszłego, gdy będąc sprawodawcą ciała prawodawczego, do tak wysokiego stopnia rozgniewał Napoleona. Urządziwszy się w ten sposób, izba deputowanych natychmiast przystąpiła do prac ją czekających.

Wpośród rozbudzenia się tak długo tłumionych wszystkich namiętności politycznych, ważną stawało się rzeczą rozpoczęcie czynności przez obiedwie izby, które za żadną cenę nie chciały być podobne do zgromadzeń pod rządem cesarskim, i które stały zrobiły zamiar nie popaść w zależność, jaką im wyrzucano. Na szczęście składały się one z ludzi światłych, doświadczonych i napojonych duchem, który stać by się był powinien udziałem samego rządu. Ludzie ci nie pożądali na prawdę powrotu Burbonów, lecz uznawszy niepodobieństwo dalszego panowania Napoleona, przywołali ich jako niezbędnych, i w dobrej wierze sądzili, że książęta ci pogodzą się z taką Francją, jaka się zrodziła z olbrzymiej rewolucji. Nie zamierzali oni o tworzeniu trudności, owszem, chcieli nawet zamykać oczy na niektóre błędy, pod warunkiem jednak, że ogólne kierownictwo sprawami państwa na zdrowych będzie oparte zasadach i zmierzać do prawdziwego celu, to jest pomyślności kraju.

Rząd zaś ze swej strony widząc ukończone już pierwotne obudwu izb rozprawy, które zajęły cały Czerwiec, i pojmując aż nadto, że niektóre nierozważne postanowienia surowych znajdą sędziów w deputowanych, naradzał się nad sposobem postępowania z obradującemi zgromadzeniami. Ksiądz de Montesquiou, który jako minister spraw wewnętrznych miał za zadanie, a jako dawny członek konstytuanty chętkę wystąpienia w izbach z głosem, radził jak najściślejsze pod tym względem

ograniczenie, najstaranniejsze unikanie inicjatywy członków zgromadzeń i natychmiastowe odroczenie posiedzeń po zatwierdzeniu budżetu i uregulowaniu spraw skarbowych. Zdanie swoje opierał na dość błędném a powszechném zresztą wówczas przypuszczeniu, że bez posiadania środków do podobnego jak w Anglji wpływu, niepodobieństwem się staje kierować izbami francuzkiemi, czyli, że kiedy nie ma potęgi, należy zachować największą z niemi przezorność. Książe de Berry oburzył się na sposoby mogące zniszczyć lub podkopać władzę królewską, lecz pozwolono mu się wygadać, wiedząc z doświadczenia, że wkrótce ucichnie, i zgodzono się na przedstawiony wniosek przez pana de Montesquiou, z zastrzeżeniem zmiany stosownie do postępujących wypadków.

Izby zaś ze swej strony rozpoczynały swe działo i zmuszały rząd do wystąpienia, do działania, zarówno same działając. Zaledwie urządziła się izba deputowanych, posypały się wnioski. Pan Bouvier-Dumolard, były prefekt za rządów cesarskich, członek różnych zgromadzeń narodowych, napełniony szlachetnemi i gorącemi uczuciami, lubiący więcej mówić niż słuchać, wniósł potrzebę przedstawienia królowi prośby, z żądaniem uchwały postanowienia, któreby zapewniało dwom obradującym izbom tytuł i prawa prawdziwego parlamentu Francji. Wnioskujący zamierzał tym sposobem zapewnić izbom francuzkim stanowisko, jakie zajmują izby angielskie, a zarazem odpowiedzieć na zamierzone przeciw karcie wystąpienie przez kilku zostających jeszcze przy życiu członków dawnego parlamentu. Ważny wniosek pana Dumolard pozostał bez następstw, ale byłyby one, gdyby miało miejsce wystąpienie przeciw karcie, o którém tyle mówiono. Inne dwa wnioski nastąpiły po tym i daleko większego dostąpiły rozgłosu.

Pan Durbach, deputowany z Alzacji, nie mający żadnych osobistych zachcianek, gorącemi pałający uczuciami, znoszący się z ludźmi rewolucji, wystąpił przeciw niezgodnemu z duchem karty postąpieniu rządu, przez wydanie rozporządzenia policyjnego o świętach i Niedzielach, jak niemniej przez postanowienie królewskie stawiające prassę pod prawem o księgarstwie z czasów cesarstwa. Utrzymywał on, że dyrektor policji nie ma prawa skazywać na kary pod pozorem, że je czerpie z dawnych postanowień; co do drugiego, że gdy karta zapewniła wolność druku, więc się nie zgadza ani z jej osnową, ani też z duchem, aby dzienniki oddane były pod samowolność cenzorów. Dzienniki i broszury oddawane już były do poprzedniego przed drukiem przejrzenia, które jednak nie było w obecnej chwili tak uciążliwém, gdyż na czele cenzury stał sławny profesor filozofji, znakomitość owego czasu i pierwszrzędny pisarz, p. Royer-Collard, który pomimo iż stanowczym był stronnikiem Burbonów, odznaczał się

przecież wyniosłém, niezależném i liberalném usposobieniem. Taki człowiek nie mógł wprawdzie nadużywać władzy cenzora, ale za to trapił dzienniki dyrektor policji, który przywoływał do siebie naczelnych redaktorów, dawał im swoje rady i utrzymywał w pewnych karbach, nie wzbraniając przytém pismom rojalistów najgwałtowniejszego używać języka. Pan Durbach powstał na postanowienie względem wolności druku i rozporządzenie policji co do święcenia Niedziel w sposób tak szorstki, że ta jedna przyczyna spowodowała odrzucenie jego wniosków. Deputowani poczuli jednak, iż przedstawienie pana Durbach gruntowne miało podstawy, a ztąd powszechne zapanowało usposobienie do podniesienia tej sprawy, jeżeli ona wniesioną zostanie w sposób umiarkowany. Po kilku więc dniach, p. Faure poparty przez znakomitą część izby, nowy, dotyczący jedynie wolności druku złożył wniosek, aby izba weszła z prośbą do króla, o dozwolenie wzięcia go pod obrady, celem uchwalenia przepisów prassowych. Dość jasno tu powiedziano, że wydane w tym względzie postanowienie nie było prawném. Wniosek pana Faure jednogłośnie został przyjęty.

Co zaś do rozporządzenia dotyczącego święcenia Niedziel i dni uroczystych, trudniejsza była sprawa. Nie można bowiem było przy uchwaleniu prawa o święceniu dni uroczystych przyjmować innych zasad od zawartych w rozporządzeniu pana Beugnot, gdyż żadną miarą nie wypadało urzędownie oświadczać, aby Niedziela w połowie tylko święconą była, a niemożebną także stawało się rzeczą odnawiać prawa, które sprawiało niebezpieczne wrzenie w narodzie. Tym więc sposobem nie ośmielając się ani na jego zniesienie, gdyż to zakrawałoby na zamiar zniesienia Niedzieli, ani też na utrzymanie, coby tém bardziej jątrzyło i tak już wzburzone umysły, chwycono się pośredniej drogi i odesłano tę sprawę pod gruntowne i spokojne ocenienie kommissji.

Ta pochopność deputowanych do spiesznego zajmowania się przedmiotami zajmującemi uwagę publiczną, dowiodła wkrótce o ile się rząd mylił mniemając, że będzie w możności miarkować udział izb w sprawach państwa, że potrafi utrzymać je w należytém od nich oddaleniu, nie wspominając nawet o tém, co najspieszniejszego wymagałoby załatwienia. Nie obliczono dobrze, że przypuszczając do rządów zgromadzenie narodowe, nie można tu używać półśrodków, gdyż zdoła ono zawsze siłą otworzyć zamykane przed niém podwoje. Posługując się bowiem współudziałem izb, należy zawsze postępować z niemi otwarcie i działać stanowczo i z zaufaniem, a w takim razie, jeżeli rząd wie czego chce, jeżeli jego zamiary nie obrażają narodu, jeżeli na obranej drodze postępuje wytrwale i jeżeli pomiędzy swymi członkami posiada ludzi zdolnych, do wy-

powiedzenia gorącém słowem potrzeby przeprowadzenia swych zasad, w takim razie może być pewnym, że dowolnie będzie kierować obradami zgromadzeń narodowych. Postępowanie podobne wiąże z rządem izby, które nawet namiętnie występują w jego widokach i w miejsce urojonej zapory stają się prawdziwą pomocą i wsparciem.

Zrozumiał rząd, że trudno mu będzie wyminąć szkopuły i że izba deputowanych opierając się na artykule 8ym karty, który zapewnia wolność druku, dozwalając jedynie surowych używać środków przeciw jego nadużyciom, nie da się byle czém pozbyć bez sprawienia hałasu w kraju. Pierwszy wniosek pana Durbach odrzucony został jedynie dla niewłaściwej formy, gdy tymczasem drugi, umiarkowanemi wyrażeniami przedstawiony przez pana Faure i jednomyślnie zatwierdzony, jasno dowodził, że sprawa wolności druku powtarzać się będzie bezustannie, i aż dopóki przeszedłszy przez uchwałę izby parów, nie zjawi się jako nieuniknione do zatwierdzenia prawo u podnóżka tronu.

Pojmował to dobrze Ludwik XVIII i dla tego na zebranej w tym celu radzie, w następne odezwał się słowa: Pierwszy wniosek został odrzucony z przyczyny, że *Durbach potłukł szyby*, ale za to drugi, przedstawiony z umiarkowaniem, jednogłośnie został zatwierdzony. Należy przeto zgodzić się nam z dobrej woli, jeżeli nie chcemy być zmuszeni. Rozsądne zdanie króla powszechnie zostało na radzie uznane. Zdarzała się nadto stosowna pora ku zręcznemu przeprowadzeniu tej sprawy, to jest zażądać od izb uchwały prawa zatwierdzającego istniejący porządek rzeczy. Chodziło tu o utrzymanie obowiązujących przepisów cesarstwa, które poddawały książki pod rozpoznanie cenzury, a pisma czasowe pod nadzór policji, która przez czas rządów Napoleona bynajmniej nie dokuczała ich bezbarwności. Od czasu jednak upadku cesarstwa rozbudziły się namiętności, których dzienniki stawszy się codziennem wyrażeniem, nabyły wielkiego wpływu podzielając go wspólnie z broszurami, a ztąd zmuszały policję do takiego około nich krzątania się, o jakiém już dawno zapomniano. Usiłowała ona bez najmniejszego powodzenia miarkować nieco zajadłość pism rojalistów i z pobłażaniem obchodziła się z bojaźliwemi jeszcze liberalnemi wystąpieniami, a w jednym i drugim przypadku widziała się nieraz zmuszoną do czynniejszego występowania. A częste to mięszanie się policji wystarczało zupełnie do uznania prawa prassowego za niewygodne i nieznośne.

Upoważniony pan Montesquiou do napisania projektu prawa, bez najmniejszego zawahania wziął za podstawę urządzenia cesarskie. Wyróżnił on książki od broszur i gazet i zupełnie odmienne przepisał dla nich postępowanie. Dla zrobienia różnicy pomiędzy książkami a broszurami

i dziennikami, przyjął za normę tom obejmujący trzydzieści arkuszy druku (480 stronic w 8ce). Wszystko co tylko w takiej objętości wychodziło z druku, uważaném być miało za książkę i uwolnione od poprzedniego przeglądania jej przez władzę, a to z przyczyny, że książka podobnego rozmiaru wymaga długiego na jej napisanie czasu i że mniejszą ma liczbę, a przytém poważniejszych czytelników. Pisma zaś nieposiadające tej objętości, czyli 480 stronic, podlegać miały poprzedniemu ich przejrzeniu, to jest oddawane przed wydrukowaniem do cenzury i mogły być wstrzymywane, jeżeliby władza uznała ogłoszenie ich za niedogodne dla siebie. Dla osłodzenia zaś podobnych przepisów, powiedziano, że zakaz drukowania przedstawionej pracy będzie niejako czasowym i że przy każdém otwarciu izb zostanie wyznaczona kommissja z trzech parów i trzech deputowanych złożona, która będzie badać postępowanie cenzury. Złagodzenie to niewiele miało wartości, gdyż dla artykułów gazeciarskich i broszur, powstrzymanie druku na kilka miesięcy wyrównywało prawie zakazowi. Drukarze nadto oddani zostali pod władzę policji wykonawczej, która była w prawie pozbawić ich patentu, w razie uznania jakiego czynu za nieprawy, skutkiem więc czego stali się oni właśnie cenzorami oddawanych im dzieł do druku.

Gdyby ten projekt do prawa wniesiony został jako czasowy, z uwagi na ważne obecne okoliczności, bezwątpienia nie spotkałby wielkiego oporu. Ale chcieć zatwierdzenia cenzury jako władzy stałej, opartej na karcie, było zbyt śmiałém żądaniem, mogącém powstać w głowie tylko zarozumiałego księdza de Montesquiou. Pochlebiał on sobie jednak, że zdoła przeprowadzić żądane prawo i zyskał upoważnienie do przedstawienia izbom przytoczonego wniosku.

W towarzystwie pana de Blacas, ministra dworu królewskiego, i pana Ferrand, ministra stanu, ksiądz de Montesquiou udał się z swym projektem do izby deputowanych. Pan Blacas wyobrażał sługę królewskiego, a pan Ferrand publicystę stronnictwa rojalistów. Nie można więc było znakomitszego dla przedstawianego wniosku zyskać orszaku. Pochlebiało nadzwyczaj izbie deputowanych, że korona tak spieszy ze spełnieniem jej życzeń, kiedy one nie zostały jeszcze zatwierdzone przez izbę parów. Przyjęło więc z wielkiém poszanowaniem przedstawiane prawo i odesłała je natychmiast pod rozpoznanie kommissji.

Skoro tylko projekt do prawa poznany został, natychmiast sprowadził wrzenie umysłów. Aż dotąd panowało tylko rozdrażnienie skutkiem powstałych kłótni, nieodłącznych od zupełnej zmiany rządu w kraju. Wojskowi żalili się na okazywaną stronność dla żołnierzy Kondeusza i Wandei, rewolucjoniści obrażali się wrzaskami rojalistów, nabywcy dóbr

narodowych przerażeni byli napadami na prawa własności; i odwrotnie, rozlegały się skargi dawnej daty oficerów, księży, emigrantów, na zbytnie względy świadczone żołnierzom cesarstwa, na nadzwyczajną pobłażliwość dla splamionych krwią rewolucjonistów, na okazywaną opiekę przywłaszczycielom dóbr szlachty i duchowieństwa. We wszystkich tych zgoła kłótniach wcale nie walczono o zasady, lecz tylko o sprawy wynikłe z namiętności stronniczych. Teraz dopiero wybuchło wrzenie o zasady, a choć nie sprowadzało jeszcze burzy, to przecież wyłącznie zajmowało ludzi oświeconych, którzy pragnęli wejść na drogę otwartą przez kartę.

Sposób zapatrywania się na rzeczy, zależy bardzo od wrażenia chwilowego. Wolność druku, która tak zmienne we Francji przechodziła koleje, daleko względniej aniżeli dzisiaj była sądzoną, gdyż zapomniano już o działaniach rewolucyjnych, a pamiętano tylko o despotyzmie cesarstwa. Pojmowano o ile złego może wyrządzić władza nieograniczona i powszechnie sądzono, że gdyby jakakolwiek była wolność słowa, bądź we władzach państwa, bądź też w dziennikach, to zaślepiony zdobywca nie mógłby zgubić w Hiszpanji, Rossji, Niemczech, miljona Francuzów, granic Francji i samego siebie. Przypominano sobie także nieład rewolucyjny, lecz nie przypisywano go wcale wolności druku. Wprawdzie druk wpośród powszechnego spokoju i nierozbudzonych jeszcze namiętności, sprowadzał burzę, ale nie można zaprzeczyć, że w czasach największego nieładu rewolucyjnego stawiłby on zaporę do popełniania nadużyć w roznamiętnionym kraju, gdyby wolność jego nie była uciśnioną. Wspomnienia przeto tak z czasów cesarstwa jak i rewolucji nie sprzeciwiały się wolności druku, a co więcej, że wielkie spełnione we Francji zdarzenia stawały się potężnym dowodem na korzyść wszelkiego rodzaju swobody. Rewolucja bowiem francuzka przechodząc stopniowo od najprostszych i najsprawiedliwszych zasad do najszaleńszych pomysłów, błąkała się po różnych manowcach, dopóki nie natrafiła na drogę, z której wyszła i posunęła się aż do powołania na tron dynastji, której naczelnika wprowadziła na rusztowanie. Zastosowanie się nad tą zmiennością kolei rewolucyjnej zdawało się dowodzić, że obłęd i prawda stanowczo zostały już zbadane, a ztąd z zaufaniem dążono do umiarkowanej wolności, tak narażonej obecnie.

Nie mówimy tu o emigrantach, którzy każdą liberalną instytucję uważali za powrót do stanu rzeczy z 1793 roku, ani też o wytrwałych rewolucjonistach, których sam widok Burbonów napełniał wściekłością. Mówimy tu tylko o ludziach spokojnych, bezstronnych, a szczególniej o ludziach światłych, zamierzających popchnąć Francję na drogi, na których Anglja znalazła swą wolność i wielkość. Oni to pokładając największą

ufność w wolności druku, ani pomyśleli o jej ściśnięciu, choć jej nieprzyjaciele spotykani po większej części w świecie urzędowym, żądali nałożyć na nią hamulec, a zdawało się, że ci ostatni, którzy wywodzili swe stanowisko z rewolucji lub cesarstwa, opierali się bardziej w widokach osobistych, aniżeli z przekonania. Wielu nawet otwartych rojalistów dość dobrze było usposobionych na korzyść dzienników, upatrując w nich możność pokonania rewolucjonistów, a młodzi ludzie, wyznający zasady liberalnej monarchji, dawali się słyszeć, że nie można poświęcać najkosztowniejszego nabytku wolności dla dogodzenia kilku dorobkowiczom, którzy kłopoczą się tylko o utrzymanie swego stanowiska i spokojnego życia.

W licznych salonach stolicy, w których zajmowano się polityką, poruszyła się żywo sprawa wolności druku z najprzyjaźniejszém dla niej usposobieniem. Najsilniej popierał ją zawsze pan Benjamin Constant, a jego dowodzenia, pełne zdrowego poglądu na rzeczy, wielki na umysły wpływ wywierały. *Journal des Debats*, dziennik, który za czasów cesarstwa do wielkiego przyszedł wzięcia skutkiem wybornych krytyk na polu literatury, z namiętnością prawie popierał zasadę wolności druku, a nadewszystko w sposób trafiający w słabą stronę rojalistów, gdyż niezbitemi przemawiał dowodami, że jeżeliby wolność druku była możebną pod rządem cesarskim i komitetu bezpieczeństwa publicznego, to nie padłoby było miljon głów francuzkich tak w szalonych wojnach jak i na rusztowaniu.

Kommissja izby deputowanych w tym duchu zapatrywała się na przedstawiony projekt do prawa, a ztąd nie była dlań korzystnie usposobioną. Uważała ona za nieszczerość zamiary rządu, chcące dopatrzyć się cenzury w artykule 8 karty. Jeżeliby rząd otwarcie był powiedział, że karta zapewnia wolność druku i że ta utrzymaną będzie, lecz że tylko w interesie dobra powszechnego, skutkiem jedynie przeprowadzania w kraju nowego porządku rzeczy, konieczność wymaga chwilowego zaprowadzenia cenzury, niezawodnie zyskałby poparcie przedstawionego wniosku. Tymczasem postąpieniem wręcz przeciwném i nakręcaniem artykułu 8 karty, który mówił: *Francuzi mają prawo ogłaszać i drukować swe zasady, w zastosowaniu się do przepisów zmierzających ku powstrzymaniu nadużyć tej wolności*, rząd zranił i zaniepokoił kommissję izby. Było to bowiem już zamiarem uważania cenzury jako zasady karty, już to okazywaniem złej wiary przez podstępne tłumaczenie tejże karty, już też nakoniec bardzo dziecinném dowodzeniem obrońców projektu rządowego, że wyrażenie: *ku powstrzymaniu nadużyć*, rzeczywiście oznaczało ich *uprzedzenie*. Utrzymywali oni, że każde prawo, któ-

reby się ograniczało na karaniu winnych bez pomyślenia o powstrzymaniu nadużyć, miałoby jedynie za cel zemstę a nie bezpieczeństwo publiczne. Tłumaczyli, że *uprzedzenie* jest najlepszym środkiem ku *powstrzymaniu* przekroczeń. Podobne nakręcanie wyrażeń musiało wywołać wrzenie. Odpowiedziano więc, że każde prawo uprzedza nadużycia przez samo ich powstrzymywanie; że karą przewinień przeszłych zapobiega się przyszłym, gdyż obawa spotkania się z prawem karzącém skutecznie działa na umysły; że nie można nawet wynaleść innego sposobu na uprzedzenie; że prawo musi dopuszczać na popełnianie czynów bez poprzedniego ich badania, czy one są złe lub dobre, gdyż w przeciwnym razie potrzebaby było zatrzymać wszelkie czynności ludzkie, a to z obawy, aby po ich dokonaniu nie okazały się występnemi, czyli co na jedno wyniesie, że należałoby wzbronić człowiekowi chodzenia, poruszenia się nawet, gdyż mógłby popełnić przy tych czynnościach jaki występek, który prawo chce uprzedzić uważając za możebny. Pominąwszy zresztą całą drobiazgowość podobnego rozumowania, zapytywano się, co ma mieć za znaczenie cenzura? i uważają ją za proste przeciwieństwo wolności druku, gdyż bardzo słusznie sądzono, że ustanowienie tej władzy zmierza do przedstawiania wszelkich rękopismów, celem otrzymania pozwolenia na ich wydanie.

Najbardziej jednak oburzało dowodzenie rządu, że zasada cenzury znajdowała się w karcie, gdyż pominąwszy już samo kłamstwo, obawiano się powszechnie utrwalenia tak niewygodnego stanu rzeczy. Wzburzenie to starano się uśmierzyć niby szczerem wyznaniem, iż przedstawiany projekt do prawa miał na celu tylko chwilowe, ze względu na ważne okoliczności, zawieszenie wolności druku. Zasiadał w kommissji podeszłego już wieku, lecz jędrny jeszcze człowiek, p. Raynouard, który z południową żywością charakteru łączył rozsądek, dobrą wiarę, odwagę i znakomite wzięcie na polu literatury. W Grudniu roku zeszłego podzielił on z panem Lainé zaszczyt stawionego oporu przeciw Napoleonowi, dawszy się słyszeć przy tej sposobności z mową zarówno śmiałą jak wzniosłą. Należał on do grona tych światłych ludzi, którzy żądali wówczas rządu monarchicznego miarkowanego przez wolność, i Burbonów ograniczonych rozsądną ustawą. Najbardziej przemagała w nim strona pisarska, a ztąd nadzwyczaj pożądał wolności druku. Nadzwyczajny wywierał wpływ na członków kommissji i na posiedzeniu wystąpił z wnioskiem odrzucenia projektu rządowego. Pewna liczba członków kommissji uznając słuszność wniosku pana Raynouard, ale obawiając się zbyt boleśnie dotknąć radę królewską, wystąpiła z przedstawieniem jakie do gabinetu należało uczynić, to jest że należało wyrzec, iż karta obejmowała zasadę wolności

druku, którą jednak dla naglących okoliczności należało na czas jakiś zawiesić. Pan Raynouard nie poprzestając jednak na podobném złagodzeniu przedstawionego przez siebie wniosku, nalegająco przemówił, zyskał odrzucenie przedstawionego przez rząd projektu większością jednego głosu i został mianowany sprawozdawcą postanowienia kommissji. Mniejszość zaś przedstawiała jeszcze przyjęcie prawa z następnemi poprawkami: 1. Ustanowienie granicy pomiędzy wyzwolonemi od przeglądania cenzury i z podlegającemi jej rękopismami, projektując, aby książka obejmująca 20 w miejsce 30 arkuszy (320 stronnic w miejsce 480) była wolną od przedstawiania jej w rękopiśmie na uzyskanie pozwolenia druku; 2. aby cenzura obowiązywała tylko po koniec 1816 r.; 3. aby prace członków izb nie podlegały przeglądowi cenzury.

W dniu naznaczonym na złożenie przez pana Raynouard sprawozdania izbom z postanowienia kommissji, ogromny był natłok publiczności. Na posiedzeniach ciała prawodawczego nie widziano nigdy podobnego ścisku. Nabiegła publiczność z tysiącznych składała się odcieni i rzetelnie wyobrażała Francję taką, jaką ona od trzech była miesięcy. Widziano tu bowiem emigrantów z konieczności zgadzających się na kartę, a smakujących w dawnym porządku rzeczy; zwolenników wolności kraju, z konieczności zgadzających się na Burbonów i na nadaną przez nich kartę, a gotowych pomimo chęci ujęcia spraw państwa, do wierności dla dynastji, jeżeliby ta szczerze z krajem postępowała; rewolucjonistów, wojskowych i stronników cesarstwa, udających przyjaciół swobód kraju i naprawdę stających się nimi pomimo nawet wiedzy. Różne powody sprowadziły tu tak jednych jak drugich: ci bowiem spieszyli na posiedzenie z przywiązania swego dla nowego rządu, owi z zamiarami sprowadzenia mu trudności, wielu z powodu zajmowania się żywo podniesioną sprawą, a wszyscy jedném słowem z ciekawości i z rozbudzonego zamiłowania do publicznego załatwiania spraw kraju. W narodzie z usposobieniem wrażliwém, przechodzi się łatwo z jednego do drugiego zamiłowania. Pożądała dawniej Francja trjumfów wojennych i przepełniła się już nimi. Przez ośmnaście lat miała ona zwrócone oczy na jednego tylko człowieka, na skinienie którego potokami lała się krew ludzka nie przyniosłszy żadnych innych skutków, nad ruinę kraju! Inne zupełnie były na teraz potrzeby narodu i na inny obraz zwrócił on obecnie swą uwagę. Patrząc bowiem na ludzi odznaczających się charakterem, wiedzą, talentami, a różniących się pomiędzy sobą w zasadach, ścierających się z sobą współzawodników zarówno nieubłaganych, jak ci jenerałowie, którzy poświęcali żołnierzy w Hiszpanji dla dogodzenia swym zazdrośnym namiętnościom; patrząc na ich zajęcie się najważniejszemi sprawami narodu

i na ich częste wzniesienie się do szczytnej wymowy pod wpływem ogromu położenia; patrząc na to ich skupianie się do kilku głów potężnych, ulegających niegdyś skinieniu jednego człowieka, a obecnie w rozlicznych odcieniach występujących na scenę publiczną, zaczęła Francja uczuwać skłonność ku rozprawom parlamentarnym. Nawet wojskowi, pomimo swego strudzenia, pomimo tak obfite krwi przelanej, nie omieszkali uczestniczyć obecnie w nowej dla nich walce i chętnie występowali. Nie wyszły jeszcze z ukrycia wielkie polityczne zdolności, ale ich poszukiwano i z zupełną wiarą spodziewano się, że ukażą się wkrótce, gdyż wierzono powszechnie, że Francja wynajdzie zawsze u siebie to wszystko, co dla jej szczęścia potrzebne. Nie zabrakło jej jenerałów w 1792 roku i nikt nie wątpił w brak ludzi stanu i trybuny w 1814. Sprawozdanie pana Raynouard nieco rozwlekłe, nieco zakrawające na rozprawę naukową, pozbawione prostoty i dobitności języka urzędowego, który tylko wprawą może być nabyty, z religijną zostało wysłuchane uwagą. Mieściło jednak ono w sobie wszystko co tylko było do przytoczenia i wywarło skutek. Wieczorem dnia tego cały Paryż tylko tém sprawozdaniem wyłącznie był zajęty.

Odroczono rozprawy do 5 Sierpnia. Napełniły się w dniu tym trybuny, a natłok publiczności był tak wielki, że przelała się ona aż do sali obrad i zajęła miejsca przeznaczone dla deputowanych. Skutkiem pozostałych wspomnień z czasów rewolucyjnych, ogłoszono postanowienie zabraniające wejścia do sali obrad każdemu, kto nie był członkiem izby deputowanych. Postanowienie to zapadło na wniosek kilku deputowanych, przestraszonych takiém oblężeniem pałacu izby, skutkiem czego marszałek zgromadzenia zawezwał wszystkich nienależących do obrad, aby ustąpili z sali. Wypadek ten spowodował odroczenie obrad do dnia następnego ku wielkiemu niezadowoleniu nabiegłej publiczności, która chciała być widzem tak nowego i z taką ciekawością pożądanego przez nią widowiska.

Nazajutrz, 6 Sierpnia, rozpoczęły się obrady. Brak wprawy w życiu parlamentarném spowodował czytanie mów przez deputowanych, gdyż żaden z nich nie mógł się ośmielić na przemówienia improwizowane, by podtrzymać spory w miarę wymagania chwilowych okoliczności. Każdy więc rozwijał swe zasady z napisanej poprzednio karty i zajmował drugich bacznem słuchaniem wykładanych ogólnikowo przekonań. Pomimo tego sposobu obradowania zarysowały się jednak zdania za i przeciw wnioskowi rządowemu i cierpliwe słuchanie rozpraw wyjaśniło nakoniec stan rzeczy.

Przeciwnicy przedstawianego projektu do prawa szorstko odpychali

dowodzenia stronników rządu, co do wyrażeń *powstrzymać* i *uprzedzić*, zastosowanych w tej okoliczności. Silnie się oni opierali na artykule 8 karty, który zapewniał wolność druku, dowodząc, że ustanowienie cenzury wyraźném byłoby jego zaprzeczeniem i że dziwną jest nazbyt rzeczą występować z podobnemi zachciankami w miesiąc po ogłoszeniu karty. Zapytywali oni czego mogą się spodziewać, kiedy tak prędko odbierano krajowi prawa dobrowolnie przez króla nadane? Objawy te usposobienia publicznego, wypowiadane były przez liberalnych członków izby, którzy utrzymywali, że po wszystkich szalonych od lat dwudziestu pięciu projektach, przedstawianych bądź to z trybuny klubów, bądź też w dziennikach, zmysł narodu nie dał się obłąkać i zdołał się utrzymać przy zdrowym poglądzie na rzeczy, na poparcie czego przytaczali ten dowód, że przy pierwszej sposobności cały kraj zwrócił do liberalnych i monarchicznych zasad z 1789 roku i najszczerzej się zgadzał na rządy Burbonów ograniczonych kartą. Dowodzili przeto potrzeby wolności druku bez najmniejszej z tego powodu dla rządu obawy, zwłaszcza iż doświadczenie pokazało, że ten zawsze nakładał wędzidło zarówno na demokratyczne jak i despotyzmu wybryki; że ta wolność druku, gdyby tylko było możebną, opierałaby się równie samowolności rządów Robespierra jak i Napoleona; że nawet w Anglji ograniczała niezaprzeczone wszechwładztwo parlamentu, a to wszechwładztwo straszne, nie mające żadnej innej przeciwwagi; że ztąd bardzo rozsądną byłoby rzeczą stawić wolność druku na pohamowanie możliwych wybryków izb francuzkich, przy obecném rozwijaniu się życia parlamentarnego.

Wszystkie te dowodzenia opierały się jedném słowem na zasadach wyrobionych przez rewolucję, ale wyrobionych nazajutrz a nie w przeddzień rewolucyjnego szału. Stronnicy rządu uszykowali się za mniejszością kommissji, która zaledwie ośmielała się na podtrzymywanie projektu rządowego pod warunkiem jego poprawki, opierając się bez żadnego skutku na oklepanych zdaniach przeciw wolności druku, przeciw tej bezustannej możności, jak mówiono, burzenia umysłów i popychania ich na drogę przesadzonych wyobrażeń. Podobne przedstawianie sprawy nie mogło wywrzeć pożądanego skutku i daleko silniej podziałało utrzymywanie, że zbyteczna wolność druku nadużywa częstokroć swych praw na szkodę osób pojedyńczych, miotając potwarzami, co na nieszczęście było i prawdą, gdyż przy jakimkolwiekbądź porządku rzeczy, nie umiała prasa postępować w tym względzie z koniecznem umiarkowaniem. Któżto bowiem, pytano, będzie w możności zabezpieczyć obywateli od rozkiełznania druku, jeżeli artykuły nie będą najprzód przeglądane przez ludzi światłych, znanych, a w dodatku zostających pod nadzorem osobnej ku temu kom-

missji z łona dwóch izb wybranej? Czyż dla zabezpieczenia sobie spokoju trzeba będzie koniecznie szermierzyć piórem lub szpadą? Przypuście, mówił jeden z deputowanych, przypuście panowie, że się pojawi jaki pamflecista z talentem takim, jaki posiadał Beaumarchais, więc w takim razie czyż dla zasłonięcia się od jego napadów potrzeba będzie zarówno jak on jadowitém walczyć piórem? Przypuście, że się znajdzie jaki pisarz zawadjaka, więc czyż koniecznie będzie trzeba dzielnie władać szpadą dla zapewnienia sobie szacunku? Wyrok trybunału nie przyniesie nigdy pożądanego zadośćuczynienia gdy idzie o honor żony lub córki, gdy idzie o własną sławę, która może być zachwiana wymyśloném i kłamliwém oskarżeniem, i pogrążyć tém samém spotwarzonego w głębokiej rozpaczy!

Dowodzenia te, na które można było tylko odpowiedzieć, że czas nauczy pogardzać wszelkiemi potwarzami, a czego wówczas jeszcze nie umiano, gdyż do wzniesienia się nad kłamliwe szkalowanie złośliwych, dochodzi się dopiero po bolesném doświadczeniu, dowodzenia te wywarły pewien skutek, lecz zupełnie były niedostateczne na pokonanie głęboko wkorzenionego przekonania, że wolność druku zapewniona była kartą, że karta sprzęciwiała się ustanowieniu cenzury, że skutkiem tego możnaby tylko uchwalić jakie prawo przechodnie, okolicznościowe. Większość izby ożywiona duchem pojednawczym, nie chcąc wystąpić przeciw słusznemu żądaniu większości kommissji, nie życząc też sobie potępić pierwszego projektu do prawa przez nowy rząd przedstawianego, oceniając także w pewnym stopniu niebezpieczeństwo przez nagłe nadanie krajowi nieograniczonej wolności druku, zwłaszcza w czasie, w którym silnie wrzały namiętności, większość izby widocznie skłaniała się do życzeń mniejszości kommissji, która wnosiła zatwierdzenie projektu z pewną jednak poprawką.

O podobném usposobieniu izby wszyscy przyjaciele rządu zapewniali ministrów, którzy uwiadomili o tém króla. Ustanowienie na lat dwa cenzury było aż nadto wystarczającym środkiem na przebycie chwil pierwszych, zwłaszcza że był to przeciąg czasu wielkie mający znaczenie w burzliwym naszym wieku. Co więcej, było to pewnym rodzajem pojednania, które zabezpieczało rząd nowy od poniesienia wielkiego dlań ciosu. Król pełen umiarkowania, co mu nawet zaszczyt przynosi, gdyż niezwyczajną to było u Burbonów rzeczą, aby postępowali rozsądnie, król zgodził się na przedstawianą przez mniejszość kommissji poprawkę i przystał na jej wniosek, aby prawo o cenzurze obowiązywało tylko po koniec 1816 roku, jeżeli izby nie uznają za konieczne przedłużenia takowego; aby książki przenoszące nie 30 lecz 20 arkuszy druku, były wolne od przedstawiania ich

cenzurze; nakoniec, aby głoszone zasady przez członków izby zupełnie były wyłączone z pod tego prawa. Po pięciu dniach rozpraw nad tym przedmiotem zabrał głos pan de Montesquiou i powiedziawszy na wstępie, że król zgadza się na przedstawiane przez mniejszość kommissji poprawki, mówił dalej zręcznie, z umiarkowaniem, z pamięci i bardzo płynnie, omijał wszelkie główniejsze trudności, jak naprzykład nie wspomniał o tém, czy utworzenie cenzury można podciągnąć pod jaki artykuł karty; rościł prawo, lecz bardzo wątpliwie, do możności tłumaczenia przez władzę wykonawczą ustawy, zapewniał, że rząd szczerze pragnie wolności dla kraju, żądając jedynie rozsądku przy jej używaniu i skończył swą mowę przytoczeniem pozornych powodów, zmuszających do czasowego ustanowienia cenzury. Takim sposobem minister spraw wewnętrznych zupełnie dla siebie i dla rządu zyskał powodzenie. Poprawiony projekt do prawa stał się projektem ministerjalnym i został przyjęty 137 przeciw 80 na 217 głosujących, czyli został zatwierdzony przez 57 głosów większości.

Wypadek sprawy zadowolnił myślących i rozsądnych ludzi. Wolność druku ocaloną została w zasadzie, gdyż chwilowe jej zawieszenie upozorowane było tylko czasowemi okolicznościami. Okazała się tu niezależność większości, która nie chciała ani osłabienia władzy wykonawczej, ani też poświęcenia wolności. Rząd zawsze został ograniczony bez narażenia go na poniżenie. Stronnictwa mogły odwrócić oczy od ran jątrzących się ciągle i zwrócić swe spojrzenia na powszechne sprawy kraju, zwłaszcza, że zaczęło się już rodzić wspólne uczucie do uważania izb za sędziego polubownego pomiędzy niemi, który postępując silnie, niezależnie, nie podzielając ich usposobień, ich do ostateczności posuniętych życzeń, mógł dla wszystkich służyć za pośrednika i skłonić do porozumienia wytrącając broń z ręki.

Uchwała ta i kilka następnych tym samym ożywionych duchem, uspokoiły cokolwiek wzburzone umysły, lecz na nieszczęście tylko chwilowo. Przeznaczona kommissja do ocenienia rozporządzenia policji względem święcenia niedziel i dni uroczystych, w sprawozdaniu swém ważyła się na tę i ową stronę z wielką zręcznością. Nie przypisując bowiem tego znaczenia, jak rząd tłumaczył, artykułowi karty mówiącemu, że religja katolicka jest religją państwa, nie uznając także aby ten artykuł poddawał wszystkie obrządki pod przewagę jednego, a przyznając jednocześnie potrzebę poświęcenia dnia jednego w tygodniu na spoczynek, że dniem tym powinien być ten, który jest obchodzony przez większość obywateli, ale też, że potrzeba wielkiej oględności przy wydawaniu obowiązujących przepisów pod względem religijnym i społecznym, sprawozdanie kommis-

sji wnosiło, że tylko uchwała nowego i zgodnego z duchem czasu prawa, może urządzić tę drażliwą sprawę.

Dwaj adwokaci znani z występowania przed kratkami, panowie Dard i Falconnet, gorąco popierający roszczenia emigrantów, ogłosili pisma przeciw utrzymaniu przedaży tak zwanej *narodowej*. Pisma te, odznaczające się nadzwyczajną gwałtownością i wielką przebiegłością, dowodziły, iż król nie mógł stanowczo oświadczyć, że kupno dóbr nastąpiło w sposób stały, gdyż prawie ani jedno nie nosiło na sobie tej cechy; że w każdym razie są rzeczy, których król nie może przyrzekać, gdyż nawet sam nie posiada do ich spełnienia odpowiedniej władzy; że naprzykład nie ma prawa ogłosić z własności ani jednego ze swych poddanych, a ztąd prosty wniosek, że artykuł karty utrzymujący sprzedaż narodową, należy uważać za żaden, jako nie oparty na prawie. Tak jedna jak i druga z ogłoszonych broszur, zdradzała podstępy emigrantów, którzy chcieli koniecznie przerazić nowych posiadaczy dóbr przez państwo prawnie sprzedanych, aby tym sposobem zniewolić ich do dobrowolnych układów z dawnymi właścicielami, by ci za najniższą jak może być cenę powrócili do dawnej swej własności. Lecz publiczne te dowodzenia przyjęte z zapałem przez emigrantów, z niepokojem przez ogół, a z oburzeniem przez napastowanych, zostały zaskarżone przed izbami w licznych przedstawionych im w tym celu prośbach. Izba deputowanych, która z porządku rzeczy pierwsza musiała wyrzec w tej sprawie, oświadczyła się stanowczo przeciw wszelkim napadom na pewność sprzedaży tak zwanej narodowej, a jednomyślnością w tym razie dowiodła, że postanowiła niezmiennie utrzymać napastowany artykuł karty. Wystąpiła nawet z interpellacją ministrów i wymogła na nich, że dyrektor policji otrzymał rozkaz uwięzienia panów Dard i Falconnet, jako oskarżonych o zakłócenie porządku publicznego, zamierzających poważnić klassy społeczne i oburzyć jednych przeciw drugim. Zdarzenie to wprawdzie pozostało tylko próżnym hałasem, ale zawsze oswobodzało ono rząd od odpowiedzialności za postępowanie gorących jego stronników i napełniło otuchą przerażonych właścicieli. Prawie jednocześnie wprowadzono do izby deputowanych rzecz o stanie skarbu, a ta sposobność była jedną więcej do okazania, że zgromadzenie to stale hołduje sprawiedliwości i pragnie szczęścia dla kraju.

W radzie królewskiej bezprzestannie nalegano na pana Louis, aby przedstawił ułożony przez siebie budżet i wykazał wszystkie środki, za pomocą których spodziewa się podołać potrzebom państwa. Nie ustraszony minister uważając za zaszczyt zapewnienie Francji kredytu, zaraz po otrzymaniu od każdego po szczególe ministra wykazu żądanych fundu-

szów, przedstawił żądany budżet przy stosownem wyjaśnieniu swych zamiarów. Wspierany przez pana de Montesquiou, który jako obowiązany do znoszenia się z izbami, pojmował lepiej od innych drażliwość ciał prawodawczych pod względem skarbowym, sprzeciwiał się zamiarom zwiększenia budżetu dwóch najkosztowniejszych ministerstw i upierał się, aby wydatki wydziału wojny nie przenosiły 200 a marynarki 51 miljonów franków. W tym razie błądził p. Louis, gdyż chcieć ograniczyć wydatki do cyfry widocznie niewystarczającej, było narażaniem tak potęgi państwa, jak i wierności wojska dla dynastji. Chodziło tu tylko co prawda o budżet na rok 1815, gdyż w roku bieżącym, 1814, postanowiono zaspokajać wszelkie potrzeby w miarę możności. Jednak minister skarbu, mając ciągle wlepione oczy w główne swe zadanie, to jest w przywrócenie kredytu, był nieubłaganym i utrzymał dla dwóch ministerstw summy, których wedle jego dowodzeń żadną miarą nie można było przekroczyć. Zmniejszono następnie wydatki na dyplomację, przeznaczono ministrowi spraw wewnętrznych tylko nieuniknioną kwotę na utrzymanie dróg, oznaczono na 35 miljonów listę cywilną, co ogromną było summą na owe czasy, lecz co się dało wytłumaczyć wydatkami na straż przyboczną i dobrodziejstwami Burbonów dla wiernych a nieszczęśliwych towarzyszów wygnania. Cały budżet na rok 1815 wynosił 618 miljonów franków z pominięciem kosztów poboru podatków. Z tych 618 miljonów poświęcono 70 na *zaległości*, to jest na część wydatków niezaspokojonych w latach 1813 i 1814, jak na zaległy żołd, wypłaty za żywność, umundurowanie, których to wydatków nie można było zaliczać na karb kredytu i gotówką należało wypłacić.

Najważniejszą częścią projektów skarbowych ministra, był zamiar zapłacenia wszystkich w ogóle długów państwa, bez żadnej uwagi na ich pochodzenie. Przy rzadkiej wytrwałości w podtrzymywaniu swych zasad, p. Louis zdołał wymódz utrzymanie wszelkich podatków i przyznanie wszystkich długów państwa, bez względu na to, czy one pochodziły lub nie, skutkiem nadużycia władzy przez *Buonapartego*, jak go wówczas nazywano. Często kroć nazbyt się unosił, gdy sprzeciwiano się jego przedstawieniom, a wówczas uśmiechał się król zwykle, stale jednak przyznając słuszność wnioskom nieugiętego ministra. — Niechodzi tu, mówił minister, o same teorje, o które bez końca i skutku ścierają się ekonomiści. Tutaj ukażą się natychmiast skutki zapadłego postanowienia. Nie podołam wszystkim wymaganiom bez kredytu, ustaleniem jego chwilowém zdołałem tylko opędzić dotąd pierwsze potrzeby, gdyż codzienne wydatki o wiele przewyższają dochody. Niepodobieństwem jest przecież zapewnić sobie kredyt czasowemi środkami i koniecznością się

staje utrwalenie jego, a czego żadną miarą nie będzie można dopiąć bez utrzymania wszystkich podatków i bez uznania wszelkich bez żadnego wyjątku długów państwa. Bez tego podwójnego warunku zmuszony będę do zamknięcia kassy i do skazania na śmierć z głodu pod drzwiami skarbu urzędników wszelkiego rodzaju, duchowieństwo, a nawet wojska. — W odpowiedzi na to śmiałe wypowiedzenie zasad, hrabia d'Artois i książe d'Angoulême kłopocząc się o poczynione obietnice po swém przybyciu do Francji, usiłowali podnosić sprawę o cła połączone. Zostali jednak pokonani najprzód przez ministra, który posuwał swą gwałtowność tak daleko, jak pozwalało na to należne książętom uszanowanie, następnie przez króla, który nie troszczył się wcale o poczynione przez jego brata i synowca obietnice, a nakoniec nawet przez księcia de Berry, który stawał w obronie wojska i za żadną cenę nie zgadzał się na zmniejszenie koniecznych na utrzymanie jego wydatków. Książe ten powtarzał zawsze, że strzałami należy odpowiedzieć rojalistom południa na ich opór co do wnoszenia ceł połączonych. To też z wyjątkiem pozornych tylko zmniejszeń, podatki te w całości i stanowczo utrzymane zostały. Monopol od tytuniu, który w dochodach znakomitą stanowił rubrykę, zarówno nie przypadał do smaku w niektórych prowincjach, gdzie nazywano go *dziełem rewolucyjném*. Baron Louis uparł się przy jego utrzymaniu i dopiął celu, na tych samych zawsze opierając się powodach. Pod względem wpływów bezpośrednich, wnosił proste i zupełne utrzymanie, jako obowiązującego prawa, tych postanowień, któremi w Styczniu roku zeszłego powiększył je Napoleon znaczną liczbę centimów dodatkowych. Usprawiedliwione koniecznością wojny, prostém następstwem rzeczy, centimy te trwały jako następstwa tejże wojny pomimo zawartego pokoju. Cła połączone ciążyły na miastach, a centimy dodatkowe obciążały wieśniaków. Było to wspólną dla wszystkich nauką, że należy zawsze wielkich unikać błędów, jak niemniej, że po popełnieniu lub zezwoleniu na ich spełnienie, potrzeba zarówno umieć ponosić wszystkie nieuniknione ich następstwa.

Co zaś do uznania wszystkich bez względu na pochodzenia długów państwa, nie znaleźli się w radzie królewskiej na teraz doradcy bankructwa. Tak dalece bowiem uznaną już została konieczność kredytu przez wszystkich członków rady, że nikt przeciw niemu nie śmiał wystąpić. Przy zgodzeniu się jednak na uznanie długów, podnosiły się tylko głosy względem środków, któremiby można je zaspokoić. Pan Louis przedstawił bilans swoich poprzedników panów de Gaëte i Mollien, po których odziedziczył dwie teki, to jest finansów i skarbu, lecz przedstawił on bilans rządu upadłego, czyli co na jedno wyniesie dość niespra-

wiedliwie, a to nie tak pod względem czysto materyalnym, jak raczej co do moralnego go ocenienia.

Minister skarbu obliczał deficit na 1308 miljonów, gdy tymczasem tylko 818 miljonów można było uważać za *wymagalne*. Już samo podobne przedstawianie rzeczy jasno dowodziło, z jaką to stronnością, tak niegodną siebie, postępował pan Louis w tej sprawie. Wykazał bowiem jako zaległość 244 miljonów, które od lat dziesięciu wpłynęły stopniowo do skarbu z dóbr z zaboru pochodzących (domaine extraordinaire) i które tém samém niezaprzeczonym były długiem. Ale też minister nie chciał zwrócić na to uwagi, że rzeczone dobra jako wynik prowadzonych wojen, stosownie do powodzenia przynosiły zarówno korzyści jak i straty, a co więcej, że należały one do państwa, a ztąd prostém następstwém rzeczy państwo było dłużne państwu pomienioną summę, a ztąd nie mogła być ona uważaną jako *wymagalną*. Tak samo inna jeszcze summa 246 miljonów niesłusznie pod dług ogólny podciągniętą została. Pochodziła ona bowiem ze składanych kaucji i od wielu już lat za dług wieczysty uważaną była, gdyż każdy posiadający kaucję urzędnik, natychmiast po swém wyjściu ze służby zastępowany był przez innego, który zarówno musiał złożyć równą poprzednikowi i obróconą na wypłatę mu kaucji summę. W takim stanie rzeczy nie było nawet mowy o spłaceniu pochodzącego z tego tytułu długu; a ztąd najniesłuszniej podciągnięty on został pod rubrykę długów *wymagalnych*, choć nieznaczącą kwotę należało zwrócić urzędnikom z prowincji odpadłych obecnie od Francji.

Rzeczywisty więc dług wynosił 818 miljonów, ale z tych należało jeszcze potrącić 12 miljonów, które znaleziono w kassach państwa, i 70 miljonów wpisanych do budżetów za lata 1814 i 1815, gdyż stanowiły one część tych uwzględnionych zaległości, które chciano zapłacić gotówką z bieżących dochodów. Pozostawało więc 736 miljonów długu, a jeszcze i w tej ogólnej summie znajdowało się wiele tytułów najniesłuszniej tu wprowadzonych. Wpatrzywszy się dobrze w budżet przeszłego rządu, to najwięcej można było uważać tylko 700 miljonów za dług wymagalny, a jeżeli zwróci się jeszcze uwagę i na tę okoliczność, że rząd ten chwycił się środka podwyższenia podatków przez centimy dodatkowe dopiero w ostateczności i że zaskoczony upadkiem, prawie nie skorzystał z tego podwyższenia, to trzeba się nawet zadziwić, że po wytrzymaniu takich wojen jak 1813 i 1814 roku, pozostawił tylko 700 miljonów deficytu. Pomimo nawet trzymania się tej zgubnej polityki, która sprowadziła sprzymierzoną Europę do Paryża, rząd cesarski zasłużył na prawdziwe uwielbienie za swój zarząd skarbowy, gdyż umiał ograniczyć wydatki tak strasznej wojny, wpośród której ani na chwilę nie został zachwiany porządek w sprawach finansowych.

Nie chciał jednak przyznać tego p. Louis, gdyż pomimo wielkiej administracyjnej zdolności, był on człowiekiem stronnictwa i marzył o zdobyciu dla siebie sławy choćby z potępieniem poprzedników. Cokolwiekbądź, zawsze należało pokryć deficyt 700 miljonów, którego stopniowe spłacanie wedle ukończenia obrachunków nastąpić miało w ciągu dwóch lub trzech lat i któremu bardzo łatwo można było podołać, mając na ten cel 250 miljonów rocznie.

Dwoma środkami można było załatwić całą tę sprawę, to jest rentą wieczystą, albo też papierami z krótkim terminem wypłaty, jak naprzykład obligami królewskiemi, których za kilka miljonów wypuścił już z powodzeniem minister skarbu. Posłużenie się rentą wieczystą ważne podnosiło pytanie. Czy wydać wierzycielom rentę al pari, lub też ze zmiennym każdodziennie kursem? W pierwszym wypadku narażało się wierzycieli na stratę 35 na sto, gdyż renta 5 procentowa w dniu prowadzenia tych obrad trzymała się na giełdzie w kursie 65 franków; w drugim zaś, rząd daleko więcej aniżeli był winien musiałby zapłacić, gdyż można się było spodziewać podniesienia papierów skutkiem ustalenia się pokoju a z nim kredytu. Wystawiało się nadto państwo na wieczne płacenie procentów, a przytem rozwój ówczesny obrotów pieniężnych nie byłby w możności wytrzymać tak wielkiego wylewu renty. Daleko przeto lepiej było wypuścić papiery z krótkim terminem wypłaty, z możnością ich wycofania w przeciągu lat trzech, odpowiednie do wymagań kapitalistów i przynoszące im zysku około 8 na sto. Papiery podobne dzięki pokojowi i obudzonemu zaufaniu przez działania ministra skarbu, mogły się trzymać w kursie blizkim al pari, a nawet dojść do niego w miarę zbliżania się terminu umorzenia. Chciał także sprzedać p. Louis częściowo 300 tysięcy hektarów lasu (pozostałoby go jeszcze w posiadaniu rządu 1400 tysięcy), a nadto liczył na wpływ pewnych summ za sprzedaż dóbr gminnych. Postępując wytrwale w ten sposób, był pewnym spłacenia zaciągniętej pożyczki w naznaczonym terminie, podniesienia wartości wystawionych na nią papierów, a ztąd możności odnowienia po trzech latach pożyczki, którą możnaby nawet bardzo korzystnie za pomocą renty otrzymać. Takie to były zasady ministra, bardzo jasno przez niego wykładane i stwierdzone późniejszém doświadczeniem, że w czasach, gdy o gotówkę jest bardzo trudno, daleko lepiej jest zaciągać pożyczkę przez puszczenie w obieg papierów z krótkim terminem, aniżeli renty wieczystej, gdyż w podobnym stanie rzeczy naraża ona państwo na wielkie straty.

Wnosił przeto p. Louis o utworzenie papierów czasowych pod tytułem uznania dawnych obrachunków, któreby zostały spłacone w przeciągu lat trzech, przynosząc procent 8 od sta i któreby wypuszczane

w miarę kończenia tych obrachunków, ubezpieczone były na 300 tysiącach hektarów lasu i na należnych jeszcze skarbowi summach za sprzedaż dóbr gminnych. Nie pozbawiał się także i możności posłużenia się rentą wieczystą i dla tego żądał, aby spłacić nią należności tym wierzycielom, którzyby zgodzili się przyjąć ją al pari, czego można się było spodziewać skutkiem przywrócenia pokoju i wracającego zaufania. Projekta swoje głęboko rozważył pan Louis, bez poprzedniego ich nawet zatwierdzenia wypuścił już był cząstkę obligów królewskich przynoszących 8 od sta i przekonał się, że dobrze one zostały przyjęte, gdyż rozpoznanie planów ministra skarbu, zamiary spłacenia wszystkich wierzycieli państwa i krótki termin wypłaty, której można było podołać przez cząstkową w tym czasie sprzedaż 300 tysięcy lasu, budziło tak wielkie zaufanie, że w danym razie z łatwością mógłby się rząd posłużyć rentą wieczystą. Przejście to do ustalenia kredytu bardzo zręcznie było obmyślaném, a wszelkie przeciwne sądy pod względem zaradzenia niedostatkowi skarbu, nie mogły się utrzymać w obec wniosków ministra, gdyż nie były one zaszczytne i jeszcze bardziej mogły zachwiać zaufanie. Nadto, ze względu na politykę, projekt pana Louis ważne oddawał usługi, przeznaczony bowiem las na cząstkową sprzedaż, w znacznej części pochodził z dóbr wywłaszczonego za rewolucji duchowieństwa, więc czyn podobny ze strony rządu wlałby otuchę w nabywców dóbr narodowych i pokonałby choć jedną z tych licznych zawad, które spotykali na swej drodze Burboni. Jedném słowem wszystko najlepiej było obmyślaném w planach ministra skarbu.

Wnioski te pana Louis przedstawione do ocenienia panu de Talleyrand, który zdrowy miał zawsze sąd w sprawach skarbowych, i księdzu de Montesquiou, który bystrością umysłu umiał ocenić plany ministra, zostały poparte w radzie królewskiej. Król zaś, który zupełnie nie pojmował rachub finansowych, lecz widząc powszechne uznanie przedstawianego projektu, bardzo rozsądnie postanowił rozwiązać ręce ministrom w rzeczach przez nich rozumianych i ze swej strony także się przychylił. Jedynie tylko p. de Blacas wystąpił z niejakiemi uwagami. Dawny niedobór uważał on po prostu za zebranie w jedną całość długów rewolucji i cesarstwa, o ich spłacenie zupełnie się nie troszczył, bankructwa z tego powodu nie uważał za hańbę i *wierzycieli Buonapartego* chętnieby widział czém inném a nie pieniędzmi zaspokojonych. Wniósł więc o spłacenie ich rentą wieczystą wydaną al pari, co i tak za wielkie dla nich uważał dobrodziejstwo. Pan Louis z zapałem wystąpił przeciw temu wnioskowi i bardzo słusznie dowodził, że czy to cząstkowe czy całkowite, ale bankructwo jest zawsze bankructwem, i tak samo jest ono przy pła-

ceniu wierzycielom 50 za sto jak i przy zupełném odmówieniu wypłaty a w końcu dodał, że on nie może się zgodzić ani na pierwsze, ani na drugie, gdyż postąpienie zgodne z zamiarami pana de Blacas sprawiłoby natychmiastowy upadek renty, a to tak z powodu zachwianej w nią wiary, jak i nieroztropném puszczeniem jej w obieg w tak znacznej wysokości, coby nieodwołalnie zabiło tak potrzebny kredyt Francji. Odpowiedział na to pan de Blacas, że przedstawiony przez ministra projekt podobne prowadzi za sobą niedogodności, gdyż wypuszczenie w miejsce renty innych papierów nie zmienia w niczém natury złego. Widocznie pan de Blacas, jako obcy sprawom skarbowym, nie pojmował gruntownie, jakie korzyści przynosi plan ministra, który oceniony przez członków rady królewskiej, został przez nich przyjęty i wniesiony na posiedzenie izby deputowanych, gdzie jakkolwiek dobrze, ale nie tak zawsze jak należało, był przedstawiony. Pan Louis bowiem był z rzędu ludzi, którzy daleko lepiej umieją nakreślać aniżeli wykładać pewne pomysły, choć nie można mu także zaprzeczać, że w niektórych okolicznościach był zdolnym do popierania swych zasad w sposób energiczny i obrazowy zarazem.

Odesłany plan ministra do biur izby, przeszedł następnie pod rozpoznanie kommissji. Oczekiwany z niecierpliwością wielkie zyskał powodzenie. Najprzód poznano z niego rzeczywistą rozciągłość ciążących na państwie zobowiązań, które jakkolwiek wielkie, nie przechodziły jednak zasobów Francji; przekonano się następnie o możności zrównoważenia dochodów z wydatkami i o szczerej dążności rządu do spłacenia wszelkich długów, czemu opowiadały znajdujące się środki; nakoniec oceniono dobrze ministra, który obdarzony energją, zręcznością, przejęty swém powołaniem, nie przestraszał się położeniem, pewnym będąc, że mu podoła. W dzień przedstawienia projektu renta trzymała się w kursie 65, po dowiedzeniu się o nim finansistów podniosła się do 70, a w kilka dni doszła już do 75 za sto. Widoczną przeto stawało się rzeczą, że minister skarbu bardzo zdrowo sądził o usposobieniu giełdy i o środkach, któremi można było wlać w nią zaufanie; przekonano się bowiem, że wypuszczenie papierów kredytowych nie wpłynęło bynajmniej na podniesienie wartości gotowizny.

Ze wszystkich stron zbadała kommissja przedstawiony jej projekt i bez zamiaru zrobienia jakiejkolwiek grzeczności rządowi, gdy rozpoznała dokładnie budżet z 1815 roku i rachunki dawnych zaległości, zniewoloną niemal została do oświadczenia, że przedstawiony pod jej ocenienie plan ministra, jest najpewniejszym i najmniej kosztownym sposobem na podźwignięcie skarbu z obecnego stanu. Z wyjątkiem tylko jednego lub dwóch szczegółów pod względem redakcji, budżet ministra i jego plany finansowe w zupełności uznane zostały.

Wniesione sprawozdanie na posiedzenia izby, przeszło pod obrady ostatnich dni Sierpnia. Publiczność nie okazywała tak wielkiego zajęcia jak wówczas, gdy ważyło się prawo drukowe, albowiem i sam przedmiot nie mógł tak namiętnie poruszać umysłów i z samej natury swojej niemógł być on dokładnie pojmowany przez wszystkich. Zajmował on jednak bardzo wszystkich ludzi trudniących się obrotami pieniężnemi i polityką, którzy pojmowali całe jego znaczenie. Na wszystkie posiedzenia izby deputowanych, gdy rzecz chodziła o sprawy skarbowe, towarzyszył panu Louis ksiądz de Montesquiou, aby go popierać swym wpływem, a w razie potrzeby i zabraniem głosu. Rozprawy nad tym przedmiotem trwały dni dwanaście i były nadzwyczaj ożywione, popierane to przez jedną lub drugą stronę, chociaż widoczne w nich było niedoświadczenie ludzi, po raz pierwszy powołanych do obrad nad rzeczą takiej wagi w zgromadzeniu zupełnie wolném. Rozpoczęły się one od okazania wielkiej dla nowej dynastji gorliwości, gdyż odłożono na bok listę cywilną, która została podniesioną do 25 miljonów dla króla, a do 8 dla książąt, a nadto uniesiona izba jakimś zapałem, uchwaliła konieczność spłacenia wszystkich długów zaciągniętych przez rodzinę królewską podczas wygnania i na ten przypadkowy i niespodziany wydatek zatwierdzono 30 miljonów. Po tém to dopiero swiadectwie rojalistowskich usposobień, przeszła izba do budżetu, rozbierając go we wszystkich szczegółach.

Przystąpiła najprzód izba do budżetu z 1815 roku, nie zaczepiąc go wcale za rok 1814, gdyż ten jako zależący od wielu wypadków, potrzebował kilkomiesięcznej usilnej pracy na sprawdzenie wszystkich rachunków, a nadto z powodu, że mniej lub więcej 50 miljonów należnych do wypłaty z dawnej zaległości, które miały być uiszczone zamierzoną pożyczką, mogły pozostać po za obrębem rozpraw. Wyłącznie przeto zajęto się budżetem z 1815 roku, jako przedmiotem wyobrażającym przyszłość, który zarazem był jedyném do działalności polem. Wedle zwyczaju niewprawnych do życia publicznego zgromadzeń narodowych, silnie wystąpiono z początku przeciw ogromowi wydatków. Kilku deputowanych, a głównie pan de Flaugergues, człowiek światły, szczery i uczciwy zwolennik konstytucji, wystąpił przeciw temu budżetowi na 618 miljonów obliczonemu, który wyrównywał wydatkom za cesarstwa w czasie pokoju, choć ono sto trzydzieści departamentów w swym obrębie liczyło. Wystąpienie to było nieuzasadnione, gdyż z pominięciem wydatków na wojska, kilka departamentów mniej lub więcej, nie mogło stanowić wielkiej różnicy w wydatkach wielkiego państwa. Jeżeliby ludzie ówcześni pojmowali sprawy publiczne, co tylko może mieć miejsce przy używaniu przez czas jakiś w kraju wolności, to wcale inaczej poglądaliby na

przedstawiany budżet, gdyż można mu było zarzucić tylko niedostateczność otworzonego kredytu dla niektórych ministerstw. Dwa bowiem szczególniej wydziały, to jest marynarki i wojny ograniczone przez ministra skarbu na 51 i 200 miljonów rocznie, nie mogły żadną miarą, pomimo wszelkich dowodzeń, wystarczyć temi summami na opędzenie koniecznych wydatków. Dorzucenie jakich 100 miljonów o wiele podniosłoby budżet, lecz nie wielkiej byłoby to wagi w obecnej chwili, zwłaszcza gdy główna rzecz chodziła o ustalenie kredytu przez szczere o stanie skarbu rozprawy, a położenie w tym względzie nie było tak opłakane. Napadano więc na budżet w sposób niezgodny z prawdą, choć zresztą to napadanie nie wywarło żadnego skutku, gdyż nie dotykało ono rzeczy głównej, poruszającej ówczesne namiętności, to jest projektu kredytu. Powiedziano słów kilka o wpływach. Niektórzy deputowani wyobrażając departamenta uprawiające wino, powstawali na podatki pośrednie, lecz głos ich nie znalazł echa. Pomimo że izba deputowanych składała się z członków wybranych na lat kilka przed obecną restauracją, to jednak, jak to zobaczymy wkrótce, przemagał w niej duch wielkich właścicieli, a ztąd daleko więcej zajmowało się podatkami bezpośredniemi niż pośredniemi. Niesłuchając przeto, zmusiła do milczenia deputowanych z południa, gdyż daleko więcej obchodziły ją centimy dodatkowe, prostem postanowieniem rządu narzucone w trzech ostatnich miesiącach cesarstwa, a zamieniane w obowiązujące prawo projektem pana Louis. Ogólna summa tych dodatkowych centimów, obracanych bądź to na na wydatki departamentów bądź też na wydatki państwa, wynosiła do 60 miljonów. Izba usposobioną była do ich zniesienia, odkładając stanowcze nad tym przedmiotem rozprawy do dnia, w którym będą wprowadzane poprawki do projektu rządowego.

Ruchliwość wyobrażeń skierowała następnie umysły na ważny przedmiot zaległości, chcąc im stawić od razu czoło. Projekt rządowy spotykał tu dwa rodzaje przeciwników, to jest małą liczbę deputowanych naginających się do pojęć emigracji, którzyby chcieli spłacenia wierzycieli państwa jakiemi bądź papierami, bez sprzedaży na ten cel lasów należących niegdyś do duchowieństwa, i krańcowych liberalistów, jak naprzykład pan Durbach, którzy choć szlachetnemi ożywieni zamiarami, ale nie pojmując spraw skarbowych, uważali za ażjotarstwo przedstawiane projekta, nie widząc, że nie ma nic bardziej przeciwnego ażjotarstwu nad rzetelne spłacenie wierzycieli. Tak jedni jak drudzy z dziecięcą występowali przesadą przeciw zbawiennym planom ministra.

Pierwsi, to jest ci, którzy skłaniali się ku pojęciem emigracyjnym, nie ośmielali się przecież występować z zamiarami ogłoszenia bankructwa.

Trzeba bowiem wyznać na zaszczyt tego czasu, iż zasada rzetelności skarbowej tak wielkie zrobiła postępy, że nikt nie wystąpił publicznie przeciw zamiarowi spłacenia wszystkich długów państwa, bez względu na ich pochodzenie. Trzeba także dodać na zaszczyt ciała prawodawczego, że nie ścierpiałoby nic podobnego. Przecież przyjaciele emigracji błądzili po manowcach i utrzymywali, że spłacenie wierzycieli państwa rentą al pari było rzeczą wystarczającą, gdyż w takim razie zrównani ze wszystkimi innymi wierzycielami, nie zostaną tak bardzo pokrzywdzeni. Utrzymywano także, że pomiędzy wierzycielami znajduje się bardzo wielu dostawców, o których można było twierdzić, iż do tego stopnia bawili się oszustwem skarbu, że jeżeli spłaceniby zostali podobną monetą, to i w takim razie jeszcze więcejby otrzymali aniżeli się im należało. Przeciwnicy tego odcienia projektu rządowego, powstawali następnie przeciw sprzedaży 300 tysięcy hektarów lasu. Dowodzenia ich w tym względzie oparte były na zasadzie ochrony lasów i nie wspomnieli ani słówkiem o tém, co ich najbardziej bolało, że lasy na sprzedaż przeznaczone należały niegdyś do duchowieństwa. Mówili oni, że tak wielką sprzedażą drzewa prawie się wyniszczy lasy państwa, a nadewszystko, że one do bardzo małych, niewystarczających zejdą rozmiarów, gdyż jeżeli obecnie posiada ich 1400 tysięcy hektarów, to po zwróceniu jakich 400 tysięcy dawnym ich właścicielom, wychodząc z zasady zwrotu emigracji dóbr dotąd nie sprzedanych, pozostanie tylko co najwięcej miljon hektarów, z których jeżeli skarb pozbędzie się 300 tysięcy, w takim razie pozostanie mu tylko 700, to jest połowa, co stanie się prawdziwą klęską dla kraju, gdyż dowiedzioną jest rzeczą, iż tylko lasy należące do państwa nie ulegają nieoględnemu ich tępieniu. We wszystkiém tem co mówiono, dopatrzyć się można było pewnego rozjątrzenia mówców przy zupełnym braku z ich strony otwartości, a ciało prawodawcze pojmowało aż nadto uczucia, które wywołały te dowodzenia.

Krańcowi zaś libereliści powstali przeciw puszczaniu w obieg nowych papierów, a nadewszystko przeciw stracie 8 od sta, uważając ją za nazbyt wielką. Zapominali oni, że minister już był wypuścił tych papierów pod nazwiskiem *obligów królewskich* za kilka miljonów franków, które zostały dobrze przyjęte, jako oparte na prawdziwej znajomości rzeczy i że skutkiem tego zdołał pan Louis opędzić pierwsze potrzeby państwa, gdyż chociaż wpływy z podatków 200 miljonów nawet nie wynosiły, dostarczył przecież 340 miljonów na niecierpiące zwłoki wydatki. Nie pojmując lub też pomijając te czyny, nieposiadając ani żądzy do ich zbadania ani też zdolności do ocenienia, przeciwnicy ci dowodzili podobnie, jak się często zdarza słyszeć deputowanych z prowincji, że środ-

kami temi tylko pomnożą ażjotarstwo i poświęcą byt ludu na korzyść spekulacji pieniężnej.

Z przeciwnych projektowi ministra tylko jeden głos większej był wagi, żądając aby wydać wierzycielom państwa papiery 5 procentowe, z amortyzacją 3 procentową, coby sprowadziło prędkie pozbycie się długów, gdyż nowe te papiery dalekoby wyżej stały od renty umarzającej się jednym od sta procentem. Kombinacja ta, tak korzystna z pozoru dla skarbu, gdyż w krótkim czasie zapewniała spłacenie długu, była tylko odwróconym projektem ministra. Wniosek ten jednak drobnostkowo i zawile wykładany nie zyskał wzięcia i nie był silnie popierany.

Plan skarbowy pana Louis broniony był przez sprawozdawczą kommissję i przez wielu deputowanych światłych, którzy jakkolwiek popierali go mowami czytanemi a do tego bez pewnego koniecznego związku, opierali się przecież na tak zdrowém pojęciu rzeczy, że przechylili izbę na jego stronę. Najlepszym obrońcą tego planu był sam minister, który w dowodzeniu poprzednio napisaném i obecnie czytaném, wyłożył tak jasno najdrobniejsze szczegóły swego systemu skarbowego, że ten prawie od wszystkich został zrozumiany. Przy rozbieraniu szczegółów rozprawy stały się gorętsze, wybitniejsze i wówczas każdy zaniechał swych mów przygotowanych na piśmie, lecz chwytał wątek przedmiotu i rzecz wedle widzenia rzeczy rozbierał. Przy takiém ożywieniu rozpraw, minister skarbu jakkolwiek pozbawiony gładkiej wymowy, a do tego jąkając się często, co pochodziło z wrodzonej mu żywości, jędrnością wyrażeń i siłą dowodzeń wielki wpływ na słuchaczach wywierał i dla swego projektu stanowcze zyskał powodzenie. Rozpoczął rzecz od oświadczenia, że niczego nie zaniedbał dla ograniczenia wydatków i że na tém polu do ostatecznych doszedł już granic. Co do podatków, pogardliwie wyrażał się o tych wszystkich, którzy dowodzili, że naród niemi jest przeciążony i dowodził, że najpierwszą powinnością obywatela jest zaspakajanie wszelkich potrzeb państwa, gdyż zarówno nie można obejść się bez wojska, sądów i dróg, jak i bez chleba; że obecne podatki tak bezpośrednie jak i pośrednie koniecznie potrzeba utrzymać, tém bardziej, że ze wszystkich państw europejskich Francja najmniej jest obciążoną niemi; nakoniec, że potrzeba umieć zapłacić za swe klęski, gdyż to jest najpewniejszy sposób do powstania z upadku. Przechodząc następnie do zaległości, dowodził minister, że przedewszystkiem należy zapłacić wszystkie długi i to całkowicie, gdyż takie postępowanie cechuje nie tylko uczciwych ale, i zręcznych ludzi; że tym sposobem w miejsce zubożenia zbogaci się wszystkich, gdyż przywróci zachciany kredyt publiczny, a za nim prywatny, przy rozwinięciu którego do olbrzy-

mich rozmiarów dochodzą obroty handlowe; że zresztą wszyscy członkowie rządu podobne mają przekonanie i że sam król stały ma zamiar spłacenia wszystkich długów, nie wchodząc bynajmniej w przyczynę ich powstania. Powiedziawszy to z energją cechującą głębokie przekonanie, dorzucił minister, że nie mogąc zespokoić wszystkich tych wymagań wpływami z podatków, nie mogąc ich nadto powiększać, gdyż uważa je i tak już za zbyteczne, rozwiązanie tej trudności tylko w kredycie upatruje; że to jest środek najpewniejszy jako już doświadczony w pierwszych chwilach nowego rządu, lecz który wymaga koniecznie dwóch warunków, to jest aby pokazać się godnym zaufania przez rzetelne spełnianie swych zobowiązań i spłaceniem długów w rzeczywistej ich wartości; że jeżeliby spłacić wierzycieli rentą al pari ukrzywdziłoby się ich o 25, 30, a nawet 40 na sto, a przeciwnie dając im rentę po obecnym kursie, skarb byłby ogromnie stratnym, a nadto naraziłby jeszcze wierzycieli na stratę przez obniżenie kursu renty, z powodu nadmiaru jej wypuszczenia. W takiém przeto położeniu, daleko lepiej wypuścić papiery czasowe, które jakkolwiek kosztować będą od 8 do 9 na sto, to przecież strata będzie przechodnią, nie zrujnuje ani skarbu ani też wierzycieli, gdyż wyobrażać będzie spłacalną w każdym czasie gotówkę. Wypuszczone już w obieg podobne papiery jawnie dowiodły rzeczywistości tego dowodzenia, przyjmowano je bowiem z potrąceniem 7 do $7^1/_2$ na termin od 3 do 6 miesięcy wypłaty i procent ten może się najwyżej podnieść do 8% przy naznaczonym od dwóch do trzech lat terminie wypłaty. Sprzedaż zaś lasów największą stanowi rękojmię pożyczki, gdyż jeżeli sprzeda się drzewa za sto miljonów i jeżeli te pieniądze użyte zostaną na wycofanie puszczonych w obieg za tę summę papierów, w takim razie nie ulega wątpliwości, że kredyt ustali się do tego stopnia, iż bezpiecznie będzie się można uciec do pożyczki przez wypuszczenie renty, a z tą pomocą będzie można podołać wszystkiemu i spłacić wszelkie zaległości. Dla dopięcia tego potrzeba sprzedać trzecią część lasów na ten cel przeznaczonych, które wybrano w ten sposób, że zarząd niemi byłby nawet trudnym dla rządu i więcej wydatków aniżeli korzyści przynosiłby państwu, z powodu rozrzucenia go drobnemi po całym kraju obrębami, a co właśnie ułatwi i sprzedaż i wygodném się stanie dla nabywcy. Lasy zaś potrzebne państwu tak dla marynarki jak niemniej na inne cele, pozostaną nienaruszone i wszelkie dowodzenia w tym względzie przeciwnych projektowi są urojone i żadnej nie mają podstawy. Po wyłuczszeniu tych wszystkich powodów, dodał wkońcu minister, że nie widzi żadnego innego środka na zaradzenie obecnemu położeniu i że ten jest najpewniejszym, gdyż go nie tylko obmyślał ale i wyprobował w przeciągu pięciu miesięcy.

Zasady te, wypowiedziane z wyrazem twarzy znamionującym zapał przekonania, przekonały izbę, która patrząc na ministra przemawiającego z ogniem i przekonana, iż ten doskonale wiedział co miał czynić, zamknęła rozprawy pomimo podnoszonych krzyków przez przeciwników różnych odcieni. Przystąpiono następnie do rozbioru szczegółowych artykułów, które odroczono do przyszłego posiedzenia.

Rozpoznawszy dokładnie prawdziwe usposobienie izby, dwaj ministrowie uznali potrzebę zrobienia niejakich ustępstw, lecz nie co do budżetu albo też planu skarbowego, lecz pod względem centimów dodatkowych. Przeważający w izbie duch na korzyść własności nieruchomych, wymagał pewnego ustępstwa co do podatków bezpośrednich. Należało przeto zmniejszyć z 60 na 30 centimy dodatkowe, bez naruszenia jednakże ogólnej summy budżetu, obliczonego na 618 miljonów, w przypuszczeniu, że w latach następnych izba go dopełni tym albo owym sposobem. Poprawka do projektu skarbowego wniesiona przez księdza de Montesquiou, bez sporów przez izbę przyjętą została. W czasie tym jednak wyszedł z sali posiedzeń p. Louis, gdyż nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za naruszenie wykładanych zasad, zwłaszcza, że ścierpieć nie mógł, aby zatwierdzano wydatki bez natychmiastowego uchwalenia na ich pokrycie dochodów.

Ostatnia jeszcze rzecz pozostała do rozstrzygnięcia. Wszyscy przeciwnicy projektu ministra połączyli swe siły na przeprowadzenie poprawki względem zmniejszenia procentu od mających się wypuścić papierów. Chodziło o sprowadzenie go z 8 na 6 od sta, a podobna poprawka groziła niebezpieczeństwem, gdyż większość bardzo łatwo mogła przychylić się do niej, uważając za rzecz stosowną dla każdego zgromadzenia pośredniej trzymać się drogi, a to tém bardziej, że wielu członków nie pojmując spraw skarbowych, w dobrej wierze sądziłaby, iż zmniejszenie procentu korzystném być może dla skarbu. Złośliwi przecież przeciwnicy projektu ministra, stawiając swój wniosek, aż nadto pojmowali jego znaczenie, jak z jednej strony zażarci rojaliści koniecznie chcieliby przeprowadzić ulubiony swój zamysł, aby rząd nie zaspokoił *wierzycieli Buonaparteyo*, tak też z drugiej nieprzyjaciele Burbonów w tym nawet środku szukali dla nich klęski. Z całej siły opierał się minister temu wnioskowi, dowodząc, że ustanowiwszy 8 od sta straty na papierach, nie robił tego samowolnie lecz z konieczności; że kurs giełdy jest zawsze niezależnym od wpływu rządu; że dostawszy początkowo pieniędzy ze stratą od 7 do $7\frac{1}{2}$ na krótki termin wypłaty, sądzi, że przy dłuższym terminie procent ten podniesie się do 8; że gdy będzie w możności skontraktować pożyczką pod korzystniejszemi warunkami, bezwątpienia to

uczyni, lecz w takim razie żąda dla siebie szerszego do działań pola; nakoniec, że ograniczanie go podobne wyrównywa zupełnemu odrzuceniu tak przedstawianego projektu jak i całego budżetu, na co nie ma innej rady, jak zobowiązać występujących z poprawką do prawa, aby wskazali inne środki, któreby podołały wszystkim obecnym trudnościom.

Energiczne i szczere występienie ministra zdołało przechylić większość na jego stronę. Na 223 głosujących wniesiona poprawka odrzucona została większością 21 głosów, co jednak nie wyobrażało prawdziwego usposobienia izby, gdyż przy wszelkich innych uchwałach widocznem było, że rząd ma tylko 66 głosów nieprzychylnych sobie.

Powodzenie rządu w izbie nadzwyczaj oddziaływało na publiczność. Z jednej bowiem strony ukazała się większość deputowanych ze stałym zamiarem wspierania rządu, a z drugiej tenże rząd zręczny, rozsądny, silnie się trzymający w swych planach skarbowych, wiedzący co mu wypada czynić i postępujący po raz wytkniętej drodze. Pięcioprocentowa renta, która z powodu przedstawienia pod obrady projektu rządowego podskoczyła z 65 na 75, nazajutrz po zatwierdzeniu tegoż projektu podniosła się do 78 i można się było spodziewać, że przy utrwaleniu pokoju podniesie się do 98 — do kursu tak niezwyczajnego w tych czasach. W takim zaś przypadku z łatwością możnaby było skontraktować pożyczkę i bezzwłocznie spłacić wszelkie zaległości przy sprzedaży tylko tej części lasu, która już została zarządzoną.

Nietylko sprawy skarbowe potrzebowały natychmiastowego załatwienia. Zniesienie bowiem blokady lądowej, która upadła razem z cesarstwem, wymagało koniecznie obmyślenia stosownych praw na zabezpieczenie przemysłu i handlu francuzkiego. Ogłoszeniem blokady w celu zgniecenia Anglji na polu obrotów handlowych, Napoleon założył i dźwignął fundamenta przemysłu francuzkiego, a ztąd prostém następstwem rzeczy, w dniu najechania wszystkich granic Francji przez nieprzyjaciela, wszystkie jej fabryki w ogromne popadły zamięszanie, co zwiększało liczbę niezadowolonych, żałując prawie upadłego cesarstwa, którego jawnymi byli stronnikami wojskowi, urzędnicy cywilni i nabywcy dóbr narodowych.

W pierwszych zaraz dniach restauracji, pan Louis przedsięwziął niejakie środki w celu pogodzenia prawodawstwa handlowego z nowym porządkiem rzeczy. W tym to celu zawiesił chwilowo cło od bawełny surowej, dostarczając tém samém sposobności fabrykantom do nabywania jej na wyroby po najtańszych cenach. Obniżył cło od cukru i kawy w ten sposób, aby przedmioty te mogły współzawodniczyć z brytyjskiemi w francuzkich portach. Środki te były jednak tylko przechodnie

i konieczność nakazywała przedsięwziąść jeszcze inne dla zapewnienia rozwoju fabrykom francuzkim. Jak to się zwykle dzieje w podobnych okolicznościach, każdy chciałby wyłącznych praw dla swego tylko zawodu, nie przypuszczając, aby z nich korzystać mogli i inni; to też wszyscy fabrykanci liczne podali prośby do izby, robiąc z niej najwyższego sędziego tej sprawy. Pan Louis usiłował zadowolnić prawie wszystkich proszących środkami umiarkowanemi, na które zgadzały się bez trudności obiedwie izby.

Zwróciwszy swą uwagę na potrzeby przemysłu i handlu, minister skarbu przywrócił najprzód służbę celną na wszystkich granicach, powstrzymując zarazem pewien rodzaj defraudacji, który się zrodził z obecnych okoliczności. Jakkolwiek małe były nabytki Francji, jakie zyskała traktatem paryzkim do swych dawnych z 1790 roku granic, to przecież były one aż nadto wystarczające do nagromadzenia na nich wielkiej ilości towarów. Nabytki te ze strony Belgji, Renu i Sabaudji, napełnione były wyrobami angielskiemi, które miały wejść bez cła do Francji, z dniem stanowczego przez nią objęcia tych posiadłości. Ze względu przeto na te wyroby, minister nakazał wywóz tych, które zostały we Francji nakazane, a zarazem polecił wnieść do skarbu cło wedle obowiązującej taryfy od innych. Obciążył zakazem wszelkie wyroby bawełniane i sukna, a to jedynie w zamiarze utrzymania praw obowiązujących. Francuzkie przędzalnie i warsztaty tkackie otrzymując bawełnę surową za cenę, po jakiej sprzedawano ją w całej Europie, mogły na tegorocznym jarmarku w Lipsku sprzedawać swe wyroby bez obawy współzawodnictwa angielskiego. W chwili jednak zniesienia ceł od surowej bawełny, poniosły one znaczne straty, gdyż nadal nie mogły oddawać swych wyrobów po cenach, po jakich wystawiali je fabrykanci z nowo-nabytej bawełny. Straty te obliczono na 30 miljonów, których zwrotu domagały się poszkodowane fabryki. Minister odrzucił zaniesione żądanie i silnie został tu poparty przez izby, a to z uwagi, że poniesione straty były prostém następstwem wojny, a ztąd rząd nie mógł im zaradzić, zwłaszcza w obec najazdu nieprzyjaciela.

Na równi z wyrobami bawełnianemi, a nawet większe od nich zajmują stanowisko fabryki żelazne. Metal ten, przeznaczony na zastąpienie kamienia i drzewa pod wieloma względami, jest jednym z największych czynników cywilizacji tegoczesnej. Produkcja jego nadzwyczajnie rozwinęła się we Francji skutkiem blokady lądowej, wzbraniającej przywozu morzem wyrobów żelaznych. Obalenie zaś tego porządku rzeczy postawiło fabryki metalowe w obec strasznego współzawodnictwa. W Anglji bowiem ogromna zaszła zmiana pod względem tego przemysłu, gdyż przy

wyrobach wprowadzono węgiel w miejsce drzewa i kuto żelazo maszynami w miejsce używanych dawniej młotów, skutkiem czego Anglicy o jedną trzecią mogli taniej oddawać swe wyroby niż Francuzi; a chociaż żelazo tych ostatnich jako topione w ogniu z drzewa i kute młotami daleko było lepsze pod względem wartości, to przecież żadną miarą nie było w stanie wytrzymać współzawodnictwa. Z tych przeto powodów fabryki wyrobów metalowych stawały się bardzo kłopotliwemi dla rządu. Właściciele fabryk zaręczali, że jeżeli nie zostaną zasłonięci od współzawodnictwa z żelazem zagranicznem, to zmuszeni zostaną do zamknięcia swych warsztatów, co pozbawi Francję wyrobów pierwszego użytku i odda ją pod zupełną w tym względzie zależność Anglji, która bezwątpienia każe sobie drożej płacić za swe towary, aniżeli gdyby te pochodziły z rękodzielni krajowych. Popierali ich tu właściciele lasów, dla których fabrykanci żelaza byli głównem źródłem dochodów. Występowali zaś przeciw nim mieszkańcy portów i prowincji produkujących wino, którzy pochlebiali sobie, że przy wolności handlu dobrze będą spieniężać swe wino i taniej nabywać wyroby żelazne. Nie śmiejąc jednak przyznać się do prawdziwych swych życzeń, utrzymywali, że Francja pozbawiona Belgji i prowincji Nadreńskich, nie będzie w stanie dostarczyć żelaza na swe własne potrzeby. Tak więc stanęły naprzeciw siebie dwa przeciwne obozy: właściciele fabryk żelaznych żądający taryfy zakazowej i kupcy jak niemniej właściciele winnic dążący do wolności handlu. W takim stanie rzeczy minister skarbu zaprojektował uchwałę cła protekcyjnego 150 franków na beczce żelaza, coby postawiło wyroby francuzkie na równi pod względem ceny z angielskiemi. Żywe i otwarte wywiązały się rozprawy w izbie deputowanych: stanęły w obec siebie dwa przeciwne interesa i gorących znalazły popleczników. Wniesiono nawet poprawkę o podniesienie opłaty od żelaza do 250 franków i poprawka ta o mało nie przeszła. Zwyciężył jednak projekt ministra, a więc i tą razą dowiodły izby, że szczerze rząd popierają.

Następnie przyszła pod rozprawy rzecz o rafinerji cukru licznemi wywołana przedstawieniami, bądź to do izb, bądź też do rządu. Produkcja cukru była oddawna bardzo rozległą i zyskowną gałęzią przemysłu francuzkiego, zwłaszcza w czasach, gdy należała do Francji wyspa San-Domingo, zkąd w znacznej ilości sprowadzano mączkę cukrową i rafinowano ją następnie na potrzeby większej części Europy. Wojna, która podniosła we Francji przemysł wewnętrzny, rozwinęła o wiele rafinerje cukrowe w krajach jej ościennych. Właściciele cukrowni podnieśli głos obecnie, przypominali dawną świetność kolonji, zyskali poparcie i zyskali uchwałę zabraniającą wprowadzania cukru do Francji.

Rolnictwo nie zaniedbało także przedstawić swych potrzeb izbie deputowanych, która korzystnie dlań była usposobioną. Rolnicy zarówno chcieli korzystać z otwarcia handlu morskiego i żądali pozwolenia na wywóz ziarna i wełny. W czasach ostatniego nieurodzaju wstrzymano wywóz zboża z Francji, co zaś do wełny, to Napoleon nietylko że wzbronił jej wywożenia, ale nadto zakazał wyprowadzać owiec, gdyż życzył, aby przez wielkie wprowadzenie merynosów, wpłynąć na poprawę wełny francuzkiej. Rolnictwo więc domagało się wolnego handlu zbożem, wełną i owcami, przeciw czemu występowały kraje nadmorskie, Normandja Bretanja i Wandeja, zamieszkałe przez lud żarliwie do Burbonów przywiązany. Przeciw rolnikom występowali wszyscy potrzebujący wełny, jak fabrykanci sukna i fabrykanci tkaniny znanej pod nazwą merynosu i zgoła tych wszystkich wyrobów wełnianych, które prawdziwém stają się dobrodziejstwem dla ludu, tak z powodu upowszechnienia jak i nizkiej ceny. Rolnictwo na ważnych przecież opierało się podstawach, gdyż jeżeli słuszną jest rzeczą obciążać zakazem wyroby obce dla podźwignięcia krajowych, to nie można wytłómaczyć sobie zakazu co do wywożenia za granicę płodów zbywających od potrzeb kraju. Izba przeto deputowanych zgodnie z wnioskiem ministra skarbu zezwoliła na wyprowadzenie zboża za granicę, obciążywszy je cłem ruchomém stosownie do ceny. Zezwoliła zarówno na wywóz wełny, ograniczając jedynie nałożoném cłem wyprowadzanie baranów.

Temi to głównemi środkami starano się przejść od blokady lądowej do rozwinięcia handlu zamorskiego. Zniesiono, jaktośmy mówili, cło od płodów zagranicznych pierwszej potrzeby, jak od bawełny surowej, farb, drzewa, które Napoleon obciążał taryfą, jako pochodzące z handlu brytyjskiego; utrzymywano zakaz co do wyrobów bawełnianych, w celu zapewnienia rozwoju warsztatom krajowym; obciążono żelazo cłem takiej wysokości, które pod względem ceny równoważyły wyroby angielskie z francuzkiemi; co zaś do przedmiotów wielkiej konsumcji, jak cukru i kawy, nałożono na nie cło przynoszące dochód skarbowi, przy uwadze jednak, aby z utwierdzonym pokojem pozbyć się kontrabandzistów, przez upadek zysku nieprawego ich rzemiosła; nakoniec zupełnym dotknięto zakazem rafinerje zagraniczne i otworzono prawie wolny wywóz dla płodów rolniczych.

Środki te przedsięwzięte z chwalebném umiarkowaniem, powszechne zyskały uznanie. Rząd ciągle tu był popierany lub wspierany przez izby, które nabyły niejakiej opiekuńczej władzy nad wszelkiemi powaśnionemi sprawami. Ludzie jednak, za gorąco biorący do serca zasady wolności, żalili się czasami, że izba deputowanych nie występowała bardziej sta-

nowczo. Żądali oni naprzykład jasnej i stanowczej pod względem druku uchwały, chociaż wydając ją, izba deputowanych ocaliła zasadę wolności, co dla ludzi myślących wystarczającą stawało się rzeczą, gdyż przejście granicy mogłoby zadać cios słabemu rządowi, który nie umiał się jeszcze pogodzić z nowym porządkiem rzeczy. Pod względem przeto politycznym postąpienie izby było jedno z najlepszych.

Ze swej strony izba parów zarówno rozsądnie jak i izba deputowanych postępowała. Gruntownie zajęła się ona prawem prasowém i zatwierdziła go dopiero po zniesieniu wstępu, który zdawał się mówić, że zasada cenzury czerpniętą jest z karty. Ministrowi spraw wewnętrznych wyborną udzieliła odpowiedź, na przedstawiony izbom rapport o stanie Francji. Napoleon, jak to sobie przypominamy, każdorocznie przedstawiał ciału prawodawczemu obraz położenia cesarstwa, celem sprowadzenia postępu w zarządzie kraju. Obecny rząd widział się w obowiązku pójść za tym przykładem, a to tém bardziej, że chciał przedstawić obraz klęsk sprowadzonych przez rewolucję i cesarstwo. Sprawozdanie ministra spraw wewnętrznych ukazywało Francję tylko z jednego punktu widzenia i zgadzało się z prawdą tylko pod jednym względem, to jest niedoli sprowadzonej przez wojnę. Izba deputowanych odpowiedziała prostém podziękowaniem za przedstawienie jej tego obrazu, ale izba parów w dwóch trzecich częściach składająca się z członków byłego senatu, nie chciała dozwolić na obrzucenie rewolucji i cesarstwa taką niesprawiedliwością. Wystosowała przeto kategoryczną odpowiedź, w której przypominając ogromne dobrodziejstwa z zastosowania we Francji zasad z 1789 roku, jak ze zniesienia cechów i wszystkich pęt nałożonych na rozwój przemysłu wewnętrznego, z podziału dóbr nieruchomych, z powiększenia liczby własności ziemskich, z podniesienia wartości znacznej części ziemi, z zaprowadzenia i udoskonalenia fabryk, i przypomniawszy jeszcze te tak różne dobrodziejstwa, dodała, że przy pokoju i wolności pochodzących od Burbonów, można się spodziewać prędkiego zakwitnięcia pomyślności powszechnej. Odpowiedź ta pełna uszanowania dla rządu, była pełną godności i wyrażeń na swojém powiedzianych miejscu.

Obiedwie izby jakkolwiek nie odpowiadały wymaganiom stronnictwa liberalnego, zyskiwały przecież szacunek ludzi światłych i zaczynały powoli nabierać siły na podtrzymywanie i powstrzymywanie rządu, do czego głównie one zmierzały. Na nieszczęście tylko, że opór rządu przeciw wyobrażeniom konstytucyjnym nie wchodził na inną drogę. Król prawie zawsze był tym samym, to jest spokojnym, rozstrząsającym sprawy ze spokojem i dość skłonnym do pozostawiania wolnego pola działań ministrom, gdy nie chodziło o zasadę jego władzy, lub o główne interesa emi-

gracji, które mu bardzo leżały na sercu. To też pod względem dóbr narodowych prawdziwy gwałt sobie zadawał, a gdyby tylko mógł, to niezawodnie zwróciłby je dawnym posiadaczom. Z uwięzienia na mocy prawa panów Dard i Falconet, za ogłoszenie broszur przeciw nieodwołalności sprzedaży narodowej, bardzo był niezadowolony. Po dość krótkiém przeprowadzeniu sprawy, udało się broniącym oskarżonych adwokatom wyprowadzić ich z więzienia, ku wielkiemu zadowoleniu wyższej emigracji, która ich odwiedzała, starannie się nimi zajmowała podczas krótkiego uwięzienia i która obecnie przepełniała ich domy bezustannemi odwiedzinami. Wmięszał się także król do kłótni zaszłej pomiędzy gwardją przyboczną a gwardją narodową i wojskami i wyraźnie się oświadczył za utrzymaniem za jakąbądź cenę swej straży. Ministrowie nie sprzeciwiając się zamiarom króla, ograniczali się jedynie na zapobieżenie przyszłym starciom, lub też na zniszczenie ich skutku, gdyby te stały się nieuniknione. Król zresztą pozwalał ministrom załatwiać sprawy, z wyjątkiem przecież drażliwych dla niego kwestji, o którychśmy wyżej wspomnieli. Co zaś do hrabiego d'Artois, który po długim, usprawiedliwionym chorobą i rozżaleniem swym pobycie w Saint-Cloud powrócił do Paryża, ten stał się napowrót ruchliwym; przyjmował starających się o urzęda napływających z prowincyi rojalistów, robił im przyrzeczenia niemożebne do spełnienia, przezco coraz bardziéj stawał się przedmiotem nadziei i przywiązania dla koterji tak zwanej *ultra-rojalistów*. Z ciekawości i zamiłowania mięszał się do spraw rządu, a skutkiem podejrzliwości właściwej ludziom słabego charakteru otoczył się policją złożoną z intrygantów wszelkiego rodzaju, używanych do służby policyjnej przez dawne rządy i starających się teraz o urzęda odmawiane im przez dyrekcję jeneralną policji, za wpływem tak zwanego *pawilonu Marsan* (był to pawilon zajmowany przez księcia w Tuileries). Książe ten z przyjemnością zajmował się zbieraniem plotek niepokojących i donoszeniem ich królowi, aby okazać jak mu źle służono, albo że sobie nie umiał dobierać ludzi godnych i że wówczas gdy ślęczał nad klassykami, państwu zugrażały nieszczęścia. Luowik XVIII, któremu pan Beugnot gorliwie dowodził bezzasadności doniesień księcia, rozkazał bratu zaniedbać tych plotek i zostawić go w spokoju. Książe nic sobie nie robiąc z upomnień, poprzestał na mniej częstem donoszeniu królowi. Z dwóch synów księcia, książe d'Angeulème, chociaż nie miał bystrego pojęcia, ale za to rozsądny i skromny, starał się zawsze występować w właściwej sobie roli, i obecnie podróżował po prowincjach wschodnich, chcąc obudzać szacunek dla władzy królewskiej; zaś książe de Berry, choć światły ale nadzwyczaj gwałtowny; zajmujący się gorliwie wojskiem, na jakie takie zarobił sobie z po-

czątku u niego względy, ale gdy później zaczął napotykać z dniem każdym coraz więcej trudności w przywiązaniu wojska do Burbonów i gdy wrodzone usposobienie wzięło górę, popuścił cugle swojej namiętności, a ztąd prawie znienawidzony został przez żołnierzy. Tak więc ci trzej książęta, pomimo różnego usposobienia podzielali skłonności swoich nieprzyjaciół, ulegli ich wpływowi i błędom. Co chwila nowe jakieś manifestacye z ich strony dodawały znaczenia wypadkom, z których złośliwość stronnictw starała się korzystać.

Za czasów cesarstwa uroczyście obchodzono imieniny Napoleona w dniu 15 Sierpnia. Dla rządu Burbonów najwłaściwszą było rzeczą nie zwracać na to uwagi i starać się puścić ten dzień w zapomnienie. Rodzina jednak królewska chciała utrzymać uroczysty obchód dnia tego, zmieniając go w uroczystość królewską. Tego dnia bowiem Ludwik XIII uradowany brzemiennością Anny Austrjaczki, powierzył Francję opiece Najświętszej Panny. Chociaż pamiątka ta była bardzo szacowną, trzeba jednak było dobrze zastanowić się przed jej odnowieniem nad obecnemi okolicznościami. Nie uczyniono przecież tego i ogłoszono uroczyste nabożeństwa w całej Francji na przypomnienie i potwierdzenie ślubu Ludwika XIII. W Paryżu książęta szli za processją pieszo, ze świecami w ręku; lecz widok nie oddziałał korzystnie na umysły ludu, któremu nie podobała się religijna gorliwość Burbonów. Półżołdowi oficerowie bardzo liczni w stolicy, żartowali sobie z pobożnych książąt, a żołnierze pokupowali sobie świece, ażeby illuminować swoje kazamaty na cześć Napoleona, tak że wieczorem z trudnością zaledwie zdołano przygasić tę buntowniczą illuminację. 29 Sierpnia innego rodzaju manifestacja wywarła niemniej przykre wrażenie. Król zaproszony przez miasto Paryż na wspaniałą ucztę, udał się do ratusza, czego jeszcze nie zrobił od czasu powrotu do Francji. Na samym wstępie musiał pogodzić pokłóconą swą straż przyboczną z gwardją narodową. Straż przyboczna chciała sama zająć apartamenta wewnętrzne, zostawiając dla gwardji narodowej posterunki zewnętrzne. Było to żądanie niesłuszne, bo gwardja narodowa tworzona z samych obywateli Paryża, uzbrojonych jedynie dla oddania honorów królowi, w ratuszu była jak u siebie w domu; wypychać ją za drzwi, a wpuszczać wewnątrz straż przyboczną, było zupełném zapomnieniem wszelkiej przyzwoitości. Sprzeczka stawała się coraz żywsza, król ją rozstrzygnął rozkazawszy, żeby zarówno gwardja narodowa jak i straż przyboczna pełniły służbę wspólnie wewnątrz ratusza.

Uczta rozpoczęła się obiadem, bal był jej zakończeniem. Wspaniałe przygotowanie godne było zarówno wielkiego miasta, przyjmującego swego króla, jak i dostojnego gościa przez nie podejmowanego. Lu-

dwik XVIII przypuścił do głównego stołu oprócz książąt krwi, trzydzieści sześć dam, naruszając tym sposobem niejako dawne zwyczaje. W liczbie ich pomieścił także najpierwsze damy dawnego dworu, które miały wszelkie prawo do uczestniczenia w zabawie; trzy lub cztery było tylko z nowej szlachty, lecz na to nie zwrócono prawie uwagi. Prefekt stojąc za królem, usługiwał panu; żona jego księżnie d'Angoulême; członkowie rady municypalnej książętom. Niegdyś był zwyczaj, że książęta a nawet królowie usługiwali cesarzom, ale można śmiało powiedzieć bez żadnych uprzedzeń demokratycznych, że już minęły te czasy. Napoleon pomimo całego uroku sławy i potęgi, uznał niestosowność podobnych zwyczajów, chciał je co prawda wznowić, ale nigdy nawet nie probował przeprowadzenia ich w zupełności. Nazajutrz po uczcie w ratuszu, pochlebcy z zapałem ją wysławiali, unosząc się nad wspaniałością i znaczeniem moralném dnia poprzedniego. O podobnych uroczystościach z czasów rewolucji i cesarstwa wyrażali się z pogardą, dodając, że ani jedne, ani drugie nie miały najmniejszego podobieństwa z ostatnią, że jedynie prawowita, uznana przez wszystkich władza królewska, może się otaczać podobnym urokiem, i że ci, którzy mieli szczęście uczestniczyć w uroczystości, zachowają ją wiecznie w pamięci. Mówili jak zwykle zadowoleni po każdej uczcie, trafiając do przekonania tym tylko, którzy byli zaproszeni. Bez wątpienia, że i w naszych czasach powaga królewska może sobie jeszcze zjednać szacunek, ale do tego musi dojść cnotą, prostotą, powagą i okazywaniem zarówno takiego szacunku dla innych, jakiego wymaga dla siebie.

Naród sądzi o rzeczach tak jak je widzi i dla tego najczęściej z zewnętrznych oznak rządu wydaje o nim swe zdanie. Porównywano więc role, jakie na siebie przyjęli urzędnicy miejscy usługując królowi, z rolami, jakie niektórzy ludzie chcieliby nadać narodowi; a sceny ratuszowe z nadużyciami popełnionemi przed niedawnym czasem w Normandji, Bretanji, Langwedocji i Prowancji przez kilku dawnych magnatów. Jedni bowiem żądali, aby im podawano wodę święconą w kościołach, będących w ich majątkach, a drudzy, chcieli tu pierwszeństwa dla siebie przed wszystkimi innymi, przez co wywołali śmieszne spory, które stały się źródłem uszczypliwych wystąpień dla dzienników, a nawet rozpraw w izbach. Wypadki te zresztą nie miałyby wielkiej wagi, gdyby rząd był silny, ściśle prawny, zgodny z nadanemi instytucjami i ożywiony duchem jaki się objawiał w izbach. Ale rządu tego niepodobna było znaleść w ministerjum, w którém nie było ani jedności, ani naczelnika, ani kierunku, ani też wpływu. Minister spraw wewnętrznych pan de Montesquiou, daleko więcej od innych swych towarzyszy posiadał bezpośrednich

stosunków z krajem; bardzo miły kiedy nie miał powodu być zarozumiałym, dosyć rozsądny na człowieka swego pochodzenia i stronnictwa, przemawiający z łatwością i powodzeniem w izbach, był jednak najniezdolniejszym do rządzenia, ponieważ nie odznaczał się wytrwałością i usilnością w pracy. Odwoławszy komissarzy nadzwyczajnych, pozostawił na dawnych stanowiskach wiekszą część prefektów cesarskich, nie porozumiawszy się z nimi, nie dawszy im nawet poznać, czy pozostaną nadal na urzędach, lub też czy zmienieni zostaną. Nie można było nic lepszego zrobić nad pozostawienie w służbie urzędników specjalnych, obznajmionych dostatecznie z kierowaniem sprawami skarbu i w ogóle ze wszystkiemi gałęziami służby publicznej, gdyż nie było pod ręką ludzi do ich zastąpienia; ale pozostawiać prefektów upadłego rządu, stawało się rzeczą nazbyt trudną i niebezpieczną, albowiem oni powinni byli wiernie wyobrażać ducha i politykę nowego porządku rzeczy. Pan de Montesquiou jednak był zmuszony pozostawić na urzędach wielu prefektów, gdyż brakło ludzi zdolnych do ich zastąpienia: trudno ich było bowiem znaleść w stronnictwie rojalistów od dawnych już lat obcych wszelkim sprawom państwa. W tej ostateczności, pozostawiając dawnych prefektów, gdyby przynajmniej przeznaczył ich był do innych departamentów, przerobiłby ich choć w części na urzędników królewskich, którzy znalazłszy się w obec nowych ludzi, nie byliby krępowani w działaniach pamięcią dawnych swych zasad. Minister nie uczynił jednak tego i poprzestał tylko na mianowaniu do niektórych departamentów, kilku prefektów i podprefektów ze starej szlachty, zdolnych do służby publicznej, lecz tak tych jak i dawnych nie zaopatrzył w konieczne szczegółowe instrukcje. Skutkiem czego nowo-mianowani prefekci postępowali nadzwyczaj gwałtownie, a cesarscy okazywali się zbyt słabymi, a to z obawy, żeby się nie narazić rojalistom. Tak więc pierwsi brnęli śmiało wedle swego widzenia rzeczy, a drudzy obojętnie na wszystko patrzeli, pozwalając na publiczne mowy, że karta była tylko chwilowym fortelem, że skoro tylko Burboni na silnych staną podstawach, to przeprowadzą w zupełności restauracyę, przywracając dziesięcinę, oddając majątki duchownym i emigrantom, i t. d. Ażeby to uprzedzić potrzeba było czytać liczne korrespondencje, odpowiadać na nie natychmiast, rozkazywać, jednem słowem działać, a do tego wszystkiego pan de Montesquiou był niezdolny. Zaledwie dostrzegał rzeczy najważniejsze, z których wypływało coś podobnego jak gorsząca sprawa biskupa z Roszelli, i wtedy to dopiero zabierał się do pisania rozkazów, po czasie zwykle wyprawianych. Pan Beugnot, człowiek światły, zarządzając policją przewidział doskonale ten stan rzeczy; wysławszy do departamentów ludzi zdolnych liczne

otrzymał doniesienia, w których mieścił się prawdziwy obraz tego dziwnego położenia Francji w owej epoce. Doniesień tych niepodobna było pokazać Ludwikowi XVIII, gdyż bardzo wyraźnie oskarżały one o szalone czyny najgorliwszych przyjaciół rządu. Pomiędzy temi raportami było jednak wiele dowcipnych i zdolnych zabawić króla lubiącego żarty, więc pan Beugnot korzystał z tej sposobności i przedstawił je królowi. Ludwik XVIII po przeczytaniu zwracał je napowrót panu Beugnot śmiejąc się razem z nim z przyjaciół swego brata, jak ich nazywał, i na tém wszystko się kończyło. Takie to było ówczesne postępowanie rządu. Pojmowano przecież, choć bardzo niewyraźnie całą wadliwość administracji, zamyślano o poprawie złego i jako jedyny środek zdawało się książętom, że skoro się ukażą w kraju, to ich obecność podbije wszystkie serca i obudzi ducha rojalizmu. Mylili się jednak bardzo i nie spostrzegali, że zamiast zmniejszenia złego, powiększyć je jeszcze mogą. Najgłówniejszą wówczas stawało się rzeczą powstrzymać namiętności swoich przyjaciół, gdy tymczasem wysłanie książąt na prowincję, rozbudzało je tylko do najwyższego stopnia, a wywoływanie manifestacji pomiędzy pospólstwem na korzyść nowego porządku rzeczy do niczego nie prowadziło, gdyż krzykacze uliczni zapominają zwykle nazajutrz, o ożywiających ich wczoraj uczuciach, i gotowi zawsze do wydania okrzyków w przeciwnym duchu, jeżeli takich kto od nich zażąda.

Największe wzburzenie panowało w prowincjach wschodnich, przeto do nich najprzód wysłano jednego z książąt, i trafnie postąpiono, wybierając księcia d'Angoulême, który podróżował przez Lipiec, Sierpień, Wrzesień i Październik. Hrabiego d'Artois wyprawiono dla zwiedzenia Szampanji, Burgundji, Lyonu, Prowancji, Delfinatu i Franche-Comté, i jednocześnie księcia de Berry do prowincji pogranicznych, gdzie było najwięcej wojska.

Prowincje wschodnie, to jest niższa Normandja, Bretanja, Wandeja nie były w łaskach u Ludwika XVIII, bo nie wiele o niego dbały, i więcej daleko zajmowały się panem de la Rochejacquelin i kilku innymi przywódzcami rojalistów, niż samym królem. Jak to już wyżej mówiliśmy, powstańcy tych prowincji połączyli się i uzbroili kosztem tak zwanych niebieskich, którym zabrali broń, następnie przywołali dawnych przywódzców lub wybrali innych na miejsce umarłych i rozkazy ich daleko gorliwiej aniżeli rządu spełniali. Księciu d'Angoulême poruczono, aby ich przekonał, że jest tylko jeden król, którego winni byli uznać i szanować władzę. Niechcąc zaś rozgłaszać zbytecznie powodu swej podróży do prowincji bezprzestannie powstających niegdyś, utrzymywał książe, że się udaje nad brzegi kanału la Manche, to jest do Brest, Nantes i Ro-

szelli i rzeczywiście mijał okolice przepełnione szuanami, podróżując prosto do Niższej Normandji, Rennes i Brestu. W prowincjach, w których mieszkańcy przypominali sobie nieraz ze łzami w oczach, co przecierpieli dla pracy Burbonów, przyjmowany był książe z oznakami największego współczucia. Zauważył jednak, że tak dawni jak i nowi rojaliści, odzywali się o karcie bardzo lekko, utrzymanie sprzedaży narodowej uważali za chwilową ostrożność, a konkordat jako rodzaj praw upadłych z Bonapartem. Spostrzegł, że naród uważał podatki za zabytki tyranji cesarskiej, z której chciał się jak najprędzej oswobodzić i że gotów do opierania się uchwalonemu przez izby wolnemu wywozowi zboża; nabywców dóbr narodowych znalazł strwożonych i gotowych do połączenia się dla własnej obrony; urzędników podejrzliwych, oczekujących z niespokojnością obiecywanej im władzy; nakoniec wojska znękane, niechętne, bez należytej karności. Książe ten nie miał dość przenikliwości do ocenienia w całém znaczeniu tego stanu rzeczy, lecz posiadał dosyć rozsądku i prawości, aby poznać, że wszystko działo się bez najmniejszego ładu, w zupełném przeciwieństwie z obietnicami króla, które podług niego winny były być święcie spełnione. Przemawiał więc wybornie w tym duchu, wyjąwszy jednak kwestji, religijnych, w których cała ta dynastja miała najzdrożniejsze pojęcia. Starał się przekonywać, że nie było dwóch króli, z których, jak utrzymywano na prowincji, jeden rezydował w pawilonie Flory, to jest Ludwik XVIII, był sobie dawnym Jakóbinem, chytrym i podejrzliwym, wiele obiecującym, nic nie dotrzymującym, drugi zaś, hrabia d'Artois, przesiadujący w pawilonie Marsan, posiadał sam jedynie serce i uczucia prawdziwego rojalisty; pierwszego reprezentowali prefekci, którym nie trzeba było wierzyć, ani ich słuchać, drugiego kilku przywódzców szuanów, których rozkazy jedynie należało wykonywać. W takim przeto stanie rzeczy musiał książe dowodzić, że jest tylko jeden król, którego wolę trzeba spełniać, podatki płacić, nie opierać się wywozowi zboża, nie dokuczać nabywcom dóbr narodowych, korzystać z ustalonego pokoju, nie mącić spokojności innym. Mniej rozsądnie wyraził się o księżach, których zdawał się podzielać błędy, wyjąwszy jednak zapatrywania się duchowieństwa na dziesięciny i dobra kościelne. Nadał nieco powagi władzy królewskiej, zachwycił naród jako przedstawiciel Burbonów, zadowolnił uczciwych ludzi swojém umiarkowaniem i prawością, ale na nieszczęście nie ujął nikogo, i zwiedziwszy Laval, Rennes, Brest i Lorient pozostawił kraj prawie równie wzburzony jakim był wprzódy, pomimo że przemówienia jego były dobre i obecność sprawiała żywe wzruszenie, a w tym właśnie czasie, każde wzruszenie było bardzo szkodliwém, ponieważ obudzało namiętności, które trzeba było przytłumiać a nie rozniecać.

Nantes ważne w obecnej chwili zajmowało stanowisko. Miasto to zamieszkałe po większej części przez majętne, handlujące mieszczaństwo, które polubiło zasady rewolucji, potępiając jednak jej nadużycia, jakich tyle przed jego oczami okropnych przesunęło się przykładów; nie nawidziło nadto powstania wandejskiego i zuchwałości szlachty mieszkającej po obu brzegach Loary i nie cierpiało cesarstwa, bo było przez nie pozbawione handlu, a zatém z łatwością nakłoniło się do wracających z pokojem i konstytucją Burbonów. Wkrótce jednak zniechęciło się do nowego rządu nadużyciami emigrantów i księży, również jak trudnością przywrócenia handlu. Żałowali Nantejczycy odstąpienia Ile de France, powstawali na Anglję, przypisując jej najszkaradniejsze rachuby i gniewali się na rząd za jego stronność dla tego mocarstwa. Kolonje bowiem, na które Nantes w swym handlu najwięcej liczyło, pokryte zostały flagą brytyjską pod względem zaopatrywania we wszelkie płody Europy, a ztąd handel z niemi można już było uważać nawet za stracony. Wszystko to spowodowało, że Nantejczycy choć szczerzy rojaliści, zachwiali się bardzo w swych usposobieniach, a ztąd kiedy Wandejczycy ogłosili, że postawią na lewym brzegu Loiry słup z napisem: *Tutaj zaczyna się Wandeja*, Nantejczycy odpowiedzieli, że postawią drugi przy rogatkach miasta Nantes z napisem: *Tutaj upadła Wandeja*.

Książe d'Angoulême bardzo dobrze przyjęty przez Nantejczyków, przemówił do nich z wielkiém umiarkowaniem, co im się podobało i lepiej usposobiło dla sprawy królewskiej. Opuszczając Nantes udał się do Wandei, skierowawszy się najprzód do Beaupréau. Był właśnie w Bocage, w tym kraju niedostępnym, gdzie szlachta żyjąc patryarchalnie z wieśniakami, prowadziła ich niegdyś przeciw szeregom republikańskim. Mieszkańcy tych wiosek odznaczali się dobrą wiarą, prostotą, nie można było prawie dostrzedz w nich usposobienia do zaburzeń i rozbojów, z których słynęli szuani. Wieśniacy żyli spokojnie słuchając swych panów, nakłaniających ich do czekania na rozkazy króla, które winni byli spełniać. Jedynie nieposłuszeństwo zasadzało się na opieszałem płaceniu podatków w nadziei, że te wkrótce zupełnie zniesione zostaną.

Do Beaupréau wyszło na spotkanie księcia pięć do sześciu tysięcy wieśniaków z białemi chorągwiami, pod przewodnictwem starej szlachty wszyscy byli mocno wzruszeni, gdyż widok księcia budził w nich wspomnienia tylu walk i cierpień poniesionych dla sprawy królewskiej. Przemówili stosownie: dali do zrozumienia, że są zadowoleni z ulepszeń wprowadzonych od 1789 roku, a także nie ukrywali niechęci dla przywrócenia dziesięciny i praw feodalnych. W Bourbon-Vendeé usposobienie mieszk-

kańców nie było tak proste i szczere. Mieszkańcy tych stron mniej się zajmując rolnictwem, a więcej handlem, mieli upodobanie do rozruchów, pragnęli jakiegoś znaczenia, polubili kontrabandę, nie smakowali w płaceniu podatków i okazywali usposobienie burzliwe. W najgorszém jednak świetle przedstawiało się duchowieństwo. Na powitalne mowy książe powiedział to samo, co powtarzał wszędzie. Następnie udał się do Roszelli, gdzie mógł zrobić wiele dobrego, gdyby był przyjął u siebie biskupa mianowanego przez cesarza, pomimo że przeciw niemu powstawało całe miejscowe duchowieństwo, żądając powrotu dawnego, który nie złożył swej godności. Na nieszczęście książe d'Angoulême najpobożniejszy ze wszystkich książąt, nie chciał widzieć się z biskupem, przez co zadał kłamstwo listowi Pana de Montesquiou. Duchowni *małego kościoła* zachwyceni tém zdarzeniem zhardzieli jeszcze bardziej, gdyż nie mogli odnieść większego tryumfu nad ten, że odmówiono przyjęcia biskupa, dla którego sam nawet rząd nakazał posłuszeństwo. Było to głośném wypowiedzeniem, że rozkazy rządu były czcze i że należało ich unikać.

W Bordeaux książe był jakby we własnej stolicy. Tam pokazał się pierwszy Bourbon, to jest on sam, ale i tam tak jak i wszędzie nie oddawano się już próżnej radości i nadziei. Z początku uważano Anglików jako oswobodzicieli i dobrych konsumentów, bo pili dzielnie i z sobą pozabierali dobre zapasy wina, ale kiedy dowiedziano się o stracie Ile de France i o rzeczywistym stanie kolonji francuzkich wściekano się na nich. Bordolanie nadto mocno byli niezadowoleni z cierpkich docinków szlachty gujeńskiej i ze zmuszania ich do wnoszenia ceł połączonych. Nienawiść ku Anglikom, nieukontentowanie spowodowane przez szlachtę, i oburzenie na cło połączone, były to trzy ważne sprawy, które wymagały koniecznego ich załatwienia w Bordeaux. Książe d'Angoulême zrobił wszystko co było w jego możności, przyznawał że Anglicy nie postąpili jak przystało na zwycięzców, ale że pomimo to nie przeszkodzili w niczém odrodzeniu się handlu francuzkiego i że przy pracy i usilności wkrótce to nastąpi. Wyższemu mieszczaństwu okazał wiele szacunku, co zaś do podatków, utrzymywał, że budżet państwa nie może się bez nich obejść, i wywarł dosyć dobry wpływ, a szczególniej między bogatymi mieszkańcami Bordeaux.

Z Bordeaux udał się do Mont-de-Marsan, Bayonny, Pau, Tuluzy, Limoges; wszędzie przemawiał rozsądnie i nie raz dawał skuteczne rady, ale sam nie wiedząc o tém, obudzał wszędzie więcej niż należało namiętność rojalistów ze szkodą Francji i swojej rodziny. Skierował swój powrót do Paryża na Angers i Mons.

Ze wszystkich miast wschodnich w Angers największe panowało

wzburzenie. Mieszczaństwo i szlachta nie mogli się z sobą pogodzić. Mieszczaństwo stanowiło piechotę gwardji narodowej a szlachta jazdę, bo jako bogatsza była wstanie utrzymywać konie. Jazda ta obrała sobie mundur zwany pospolicie wandejskim, którego nie chciała zrzucić pomimo rozkazów nadchodzących z Paryża; objawiła nadto, że jej zamiarem jest być wyłącznie przy księciu i stanowić jego straż przyboczną. Usposobienie to szczególniej objawiało się w Mons, w tém głównem siedlisku szuanów, gdzie nadto o daleko ważniejszym zamierzali kroku, gdyż chcieli się zebrać w liczbie dwudziestu tysięcy i ze swymi dowódzcami i chorągwiami na czele towarzyszyć księciu d'Augoulême w czasie jego pobytu w tej prowincji. Prefekci z Angers i z Mons pracowali przeszło dwa miesiące dla zapobieżenia tej manifestacyi i nie mogli nic poradzić. Ledwie zdołano przyprowadzić ich do rozumu za zbliżeniem się księcia do miasta, mianowicie gdy się dowiedzieli, że sam tego nie życzył, wtedy dopiero tak jazda jak i gwardja narodowa przyrzekli nie robić żadnego niestosownego kroku. Mimo tych zapewnień pokojowych, gdy książe przybył pod Angers i gdy wszystkie władze wyszły na jego spotkanie, gwardya narodowa piesza obawiając się, ażeby ją nie uprzedziła chciwa wyższości jazda, przebiła orszak i otoczyła księcia, tworząc koło niego czworobok. W tej chwili ani książe ani władza wojskowa nie śmieli ich skarcić, bo za niemi był głos całej publiczności, a ztąd z takim orszakiem musiał odbyć swój wjazd do miasta. Zaraz po przybyciu użył książe swej powagi względem obydwóch stronnictw: rozwiązał kompanję piechoty, która naruszyła porządek, lecz zrównoważył to naganą udzieloną jednemu z głównych przywódzców szlachty. — To pan, powiedział do niego, chcesz być tutaj wyższym od samego króla, wymagasz żeby prezentować broń, żeby pana słuchano więcej niż władzy i zakłócasz porządek w kraju, któremu przecież powinienbyś dawać przykład zgody i posłuszeństwa dla prawa! Tacy rojaliści są niebezpieczniejsi od najsroższych nieprzyjaciół; proszę się oddalić! — Wkrótce o tém tylko mówiono w całém mieście; mieszczaństwo było zachwycone, i scena ta mogła była wywrzeć wiele bardzo dobrego, gdyby ją rozgłoszono w całej Francji, ale zabroniono umieścić w dziennikach. Następnie książe przebaczył gwardji narodowej, którą rozwiązał, zezwolił na uformowanie się i opuszczając Angers pozostawił w powszechnem zadowolnieniu mieszkańców. W Mons zdołano przekonać dowódzców szuanów, do ułagodzenia których to się głównie przyczyniło, że nie zdołali zgromadzić tylu ile się spodziewali dawnych swoich żołnierzy, a z późniejszych mała ilość znajdowała się takich, którzy byliby w stanie odbyć własnym kosztem 15 lub 20 mil drogi dla wzięcia udziału w demonstracji politycznej. Tym sposo-

bem wybawili księcia z kłopotu. Dostrzegł jednak wielu gorliwych rojalistów, starych żołnierzy jeszcze z czasów wojny, którzy mu okazywali swoje uczucia nie miarkując ich wcale, unikając jednakże wszelkich demonstracji. Powrócił do Paryża w połowie Sierpnia, przez cały ciąg podróży miał niezachwianą chęć robienia dobrego, lecz sprzeczny los kierował go najczęściej ku złemu, bo mimowoli i chęci obudzał prowincje, które trzeba było uspakajać.

Natychmiast po powrocie księcia d'Angoulême, hrabia d'Artois wyjechał do Szampanii i Burgundji. Upoważniono go do obiecywania wielu ulepszeń w zarządzie kraju, do rozsypywania orderów, ponieważ na tém nie szkodował ani budżet państwa ani też nie sprzeciwiało się to nieubłagalnej konieczności przestrzegania porządku. To też wielka liczba ozdobioną została orderem Lilji, wojskowi i urzędnicy Legją honorową, zapaleni rojaliści krzyżem Śgo Ludwika; zgoła, upoważnienie w tym względzie króla z największą wykonywał szczodrością. Zwiedził najsamprzód brzegi Sekwanny i Auby, a mianowicie miasta: Nogent, Mery, Arcis-sur-Aube, Brienne, Bar-sur-Aube, Troyes, gdzie wojna pozostawiła okropne ślady spustoszenia. Część mieszkańców żyła w pustkowiach śród strasznej nędzy. Ponieważ książe z natury był litościwy, więc żywo go wzruszył widok tylu cierpień, a że nie ukrywał swych uczuć, więc podobał się powszechnie. Przez cały ciąg swej podróży ubolewał nad cierpiącymi, płakał nawet z nimi, nazywając ich z kolei to swojemi dziećmi to przyjaciółmi i obiecując uwiadomić o ich nieszczęściu króla, jak gdyby ten był w stanie polepszyć wszystko. Minister skarbu starał się o ile możności ochronić od złych skutków rozrzutności księcia, postawił zasadę, że państwo nie jest odpowiedzialne za szkody spowodowane przez wojnę i że najwięcej dotkniętym można było zmniejszyć podatki, wrazie gdyby się okazała zupełna niemożność ich ściągnięcia. To też książe przyrzekł mieszkańcom, że będzie prosił o uwolnienie ich od podatków i o zaciągnięcie pożyczki, a tym czasem sam upoważnił do wyrębu 120,000 sztuk drzewa w lasach skarbowych dla odbudowania domów. Do tej słusznej i znacznej pomocy rozdzielił jeszcze jałmużny na rachunek listy cywilnej już i tak dobrze zadłużonej wsparciami udzielanemi emigrantom, rozdając od razu po pięćset i sześćset orderów Lilii, podnosząc tu i owdzie ich wartość kilkoma krzyżami Legji honorowej lub Śgo Ludwika.

Główna ulga jakiej doznali mieszkańay po odjeździe księcia, leżała w wspomnieniu z jego odwiedzin i w nadziei, która, uzasadniona czy nie, zawsze jednak nas pociesza.

Zwiedziwszy prowincye zniszczone przez wojnę, hrabia d'Artois udał się do Troyes i Dijon. Dijon było miastem parlamentarném, znajdo-

wała się tam stara szlachta piastująca niegdyś urzęda i posiadająca naukę, dzisiaj pełna dziwnych roszczeń i nie przypuszczająca innej konstytucji, nad możność *robienia uwag królowi*. Skutkiem tego była ona przejętą najgorszym duchem, do czego głównie zachęcał ich prefekt podzielający jej usposobienia. Z biskupem, który skutkiem konkordatu zasiadł na stolicy, bardzo źle się tu obchodzono, obwiniając go, że oszczędzał takich jak sam księży przysięgłych. Głosiła z wielką zarozumiałością, że Ludwik XVIII źle wszystko urządził, że karta była nieznośną, lecz że jeszcze był czas naprawić popełnione błędy przy zdarzającej się okoliczności. To też kiedy w Szampanji wszystko nosiło na sobie cechy pewnego spokoju, zakłócanego tylko czasami narzekaniami na biedę pochodzącą skutkiem ostatniej wojny, w Burgundyi przeciwnie, umysły nadzwyczaj były wzburzone: jedno stronnictwo marzyło o powrocie przeszłości, która znów zatrważała innych. Naturalnie że książe był z zapałem przyjmowanym przez rojalistów, których podzielał zasady, a że był nadzwyczaj łatwy w pożyciu, więc nie przeczył niczemu co mu mówiono, potwierdzał wszystko co słyszał i radził tylko, aby cierpliwie czekać; co zaś do skutków podróży, która miała mieć wielkie znaczenie, to zdaje się, iż tylko szkodę przyniosły, gdyż odmówiwszy przyjęcia biskupa, wywołał w całej okolicy najżywsze wrzenie, które rozszerzyło jeszcze bardziej niezgody wszczęte między duchowieństwem.

Takim sposobem hrabia d'Artois znalazłszy złe usposobienie Dijonu pogorszył je jeszcze i udał się do Lyonu. Położenie tego wielkiego miasta, najważniejszego w owym czasie w całém królestwie po Paryżu, było podobném do wszystkich innych miast we Francji. Obok starych rojalistów, przepełnionych wspomnieniami oblężenia z roku 1793, niecierpiących rewolucji i jej czynów i z zapałem stawających pod chorągwią starego swego dowódzcy pana de Précy, widziano bogatą klassę kupców i fabrykantów, puszczających w niepamięć rok 1793, a przypominających sobie z żywem wzruszeniem wszystko, co uczynił Napoleon dla powetowania klęsk jakie poniosło to miasto, i dla dźwignięcia handlu, który za jego panowania doszedł do najwyższej potęgi. Wojna morska, która zrujnowała Nantes, Bordeaux i Marsylię, zbogaciła za to Lyon. Miasto to położone przy ujściu Saony do Rodanu, przy zbiegu wszystkich kommunikacyi wodnych z Niemcami, Szwajcarią, Włochami i Hiszpanią, było głównym punktem załatwiania najczynniejszych i najrozleglejszych obrotów handlowych. Posiadanie Włoch, łatwość nabywania po bardzo umiarkowanej cenie surowego jedwabiu i dostarczanie wyrobów prowincjom stałego lądu i znaczne obstalunki do pałaców cesarskich, były korzyści, które Lyon potrafił ocenić, a które zmniejszały się widocz-

nie od czasu, jak morza stanęły otworem, gdyż żegluga rzeczna musiała tracić to co zyskiwała morska, a Anglicy zarówno jak i Austryjacy panując we Włoszech, podwyższyli cenę surowego jedwabiu przez wykupienie go na własny użytek. Do tego dodawszy jeszcze popełniane nadużycia przez Austryjaków, o które najniesłuszniej obwiniano Burbonów, łatwo pojąć można powody oziębłości i niechęci dla sprawy królewskiej kupców lyońskich, klassy najbogatszej w kraju i największym cieszącej się wpływem. Uczucia ludu były podzielone, część mniejsza ale bardziej zapalona połączyła się z rojalistami, ale większość do przeciwnego należała obozu. Rojaliści zgromadzali się zwykle w pewnej kawiarni, głośnej z gwałtowności rozmów, jakie w niej prowadzono, któremi zagrzani wyzywali częstokroć po wyjściu swych przeciwników, przerażających się choć o wiele liczniejszych. Mer, człowiek spokojny i uczciwy, rojalista z urodzenia i stosunków, uległ namiętnościom panującym w mieście i poróżnił się z prefektem panem de Bondy, który napróżno usiłował powstrzymać ten nieład. Prefekt najlepszym ożywiony duchem sam jeden musiał walczyć ze wszystkiemi stronnictwami, gdyż nie znajdował poparcia ani w panu de Précy naczelniku gwardji narodowej, ani też w marszałku Augereau, który dowodził tu rozłożonemi wojskami. Marszałek ten wzgardzony przez wojsko i prawie przez lud cały za to że nie umiał bronić Lyonu przeciw Austryjakom i z powodu swej słynnej odezwy, nie miał żadnego wpływu, a ztąd nie był w możności połączyć władz miejscowych pod jeden wspólny zarząd, któryby stał się naraz silnym i pojednawczym.

Hrabia d'Artois dolał jeszcze oliwy do ognia; przyjazd jego wielkie wywołał wrzenie. *Zwiastun prawowitości*, jak go nazywano wówczas brat królewski, a według czystych rojalistów prawdziwy król, powinien był być przyjęty z zapałem. Dowódzca gwardji narodowej de Précy i mer miejscowy d'Albon, wyszli na jego spotkanie do samych bram Lyonu, w towarzystwie najzapaleńszych jego stronników i poprzysięgli w imieniu wszystkich mieszkańców, że pozostaną na zawsze wierni Burbonom. Ci co byli najbliżej, potwierdzili hucznemi oklaskami to szczere zobowiązanie się. Następnie poprowadzono księcia przez najcelniejsze ulice, a władze miejskie na klęczkach wznawiały przysięgę na każdym placu, że nie uznają nigdy innej od Burbońskiej dynastji. Doprowadzono go nareszcie do pałacu, który miał zająć. Następnych dni hrabia d'Artois zwiedzał gmachy publiczne i wstępował do celniejszych fabrykantów, którym krok ten nadzwyczaj pochlebiał i zjednało ich na chwilę dla sprawy królewskiej; dalej oglądał ślady oblężenia, zatarte po większej części przez Napoleona, a nakoniec przyjmował niewielką pozostałą liczbę obrońców Lyonu

w czasie tego słynnego oblężenia, którzy albo byli ranni, albo też wycierpieli niemało innym sposobem. Pan de Précy wprowadzał ich, a rola ta była dla niego bardzo stosowną. Ściskał ich książe ze zwykłą swoją szczerością, przyozdobił wielu krzyżem Śgo Ludwika i założył pierwszy kamień pod budowę gmachu, przeznaczonego na uwiecznienie pamiątki oporu miasta Lyonu przeciw konwencji narodowej w 1793 r. Żaden rząd jeszcze nie robił tyle obietnic co do puszczenia w niepamięć przeszłości i żaden nie zachował tyle z niej wspomnień. Książe stworzony był do podobania się mianowicie tym, którzy podzielali jego zdanie; po kilku dniach pobytu w Lyonie zjednał sobie wszystkich i obudził namiętności, które lepiej było przytłumić. Nie był niegrzecznym ani dla prefekta, ani dla marszałka Augereau, bo nie chciał narazić się nikomu, ale też nie wzmocnił ich władzy. Przeciwnie, z panem de Précy, z merem i z kilkoma ich przyjaciołmi bardzo był wylanym, mówił, że choć tak wiele przywilejów nadano rewolucyonistom, to jednak trzeba czekać cierpliwie, gdyż król poprawi wszystko z czasem; ale też dodawał, że obecnie należało okazywać wiele roztropności, aby nie dostarczać powodów do narzekań swym przeciwnikom. Pomimo to jednak, sam książe tak był nierozważny, że kiedy przybyli do Lyonu prefekci z okolicy dla złożenia mu uszanowania, odezwał się do jednego z nich, szlachcica i służącego jeszcze za cesarstwa: Mój kochany prefekcie, jakby też podług twego zdania należało postąpić z dobrami narodowemi? jak myślisz, czy nie lepiejby było zwrócić je dawnym posiadaczom? Prefekt odpowiedział, że rzucenie podobnej myśli mogło wywołać wielkie zaburzenie. W tedy książe widząc niestosowność swego odezwania się powrócił do pierwszej rozmowy; lecz z tych słów kilku można było łatwo odgadnąć co myślał i o czém poufnie rozmawiał z tymi, którzy podzielali jego zdanie.

Po odjeździe hrabiego d'Artois, pomiędzy mieszkańcami Lyonu silniej jeszcze zawrzały namiętności i daleko większy niż przedtém nastąpił rozdział. W Walencyi zezwolił na manifestacyę, która jak najgorszy wpływ wywarła. Dano dla niego obiad: przy licznych stołach zasiedli zaproszeni, pomiędzy którymi pierwsze miejsce trzymali członkowie rady departamentowej. Ojciec jednego z nich, człowieka bogatego i poważanego, podpisał niegdyś jeden z licznych adresów, podawanych do konwencji po śmierci Ludwika XVI. Ktoś z miejscowych a niechętnych mu, odgrzebał to i puścił w obieg między otaczających księcia. Kilku oficerów przybocznych, którzy mieli naznaczone miejsce przy jednym stole z synem tego, który podpisał ów adres, wstali jak się ten tylko pokazał i oddalili się, co się stało powodem wielkiego niezadowolenia, które w kilka godzin rozniesło się po całej okolicy.

Przez Awinion książe przejechał tylko, pokazując się wszędzie jednakowym i nakoniec przybył do Marsylii gdzie go oczekiwano z największą niecierpliwością.

Wielkie to miasto, niegdyś panujące nad morzem Śródziemnem, do czego powróciło dzisiaj, lecz nie środkami o jakich wtedy marzyło, miało słuszne powody do nienawidzenia rewolucji i cesarstwa, bo one pozbawiły go nietylko pomyślności ale nawet i chleba. Przez dwadzieścia pięć lat widziano zatrzymanych na wybrzeżach Marsilji przeszło trzysta okrętów kupieckich, gnijących tam bez ruszenia się z miejsca, i zaledwie czasami przybijał do jej portu jaki statek ze zbożem lub cukrem, jeżeli cudem uszedł baczności nieprzyjacielskiej (1). Anglicy zważając na wystrzały z twierdzy, schwycili wiele okrętów już stojących w porcie. Nieszczęśliwe to miasto doszło już do tak okropnego położenia, że bezzawodnie rozwinęłoby było chorągiew powstania, gdyby nie żelazna ręka hrabiego Thibaudeau, który był tu prefektem. Jedyna rozrywka, jakiej w tak przykrém położeniu doznawali od czasu do czasu, było palenie na jednym z głównych placów miasta towarów angielskich; w obec umierającego z nędzy ludu niszczono tu bogactwa, które mogły byt zapewnić biedakom. To też dzień upadku Napoleona i powrotu Burbonów był dla nich dniem szalonej radości, nie podobnej do opisania. Ale radość jest zwykle krótko trwała, gdyż zasadza się najczęściej na niepodobnych do ziszczenia marzeniach. W krótce Marsylia ujrzała znikającą dla siebie Ile de France, z którą ją łączyły rozległe stosunki, i z tego powodu taką powzięła niechęć ku Anglikom, że zaledwie znosiła ich obecność w swym porcie. Powrócone Francji kolonje przepełnione były płodami europejskiemi a ogołocone z miejscowych, wszystkie stosunki kupieckie zmienione; Hiszpanja w bezładzie, morze Śródziemne w ręku Anglików i Greków, swój własny port, *port wolny*, otoczony komorami celnemi, temi samemi, które istniały za cesarstwa; a nakoniec cła połączone, którym przypisywała w części swą niedolę, utrzymane i potwierdzone. To też radość jej wkrótce ostygła i szukała z goryczą przyczyny doznanych zawodów. Marsylia nie wiedziała wtedy, że niezadługo olbrzymi

(1) Jako urodzonemu i wychowanemu w Marsylji, stoi mi jeszcze przed oczami ten ogrom nieruchomych statków, uszykowanych w kilka rzędów i zalegających całą przestrzeń od placu Cannebière aż do portu Śgo Jana. Dziecięciem wówczas byłem, lecz prowadzony często na wybrzeże, miałem zwyczaj pilnie przyglądać się okrętom, pytać o ich nazwiska, a ztąd pamiętam tak dobrze ich kształt, jak domów ulicy, przez którą przechodziłem, i nie widziałem aby choć jeden ruszył się z miejsca w ostatnich latach cesarstwa. To też upadek tego rządu taką napełnił radością mieszkańców, jak nigdy i w żadnej okoliczności nie zdarzyło mi się widzieć podobnej.

w koło niej rozwinie się przemysł i że nowe państwo nabyte przez Francję, to jest Algier, jak niemniej odrodzenie się krajów oblanych przez morze Śródziemne, uczynią z niej królowę wód południowych, bogatszą niż dawniej i szukającą jak tyle innych w przyszłości a nie w przeszłości swej utraconej korony. Ale wówczas zdawało się Marsylji, że pomyślność jej zasadza się na *wolności portu*, to jest na wolném bez opłaty ceł przybywaniu z całego świata towarów, które podlegały taryfie dopiero o dwie mile za jej murami, jak gdyby linja komór celnych zbliżona o dwie mile mogła zmienić jej położenie i przywrócić stosunki od dawna zerwane! Skład może ułatwić stosunki handlowe ale ich nie stwarza. Hamburg, najważniejsze miasto handlowe na świecie, winno swą wielkość nie wolności portu, ale Elbie, która jest drogą handlową całych Niemiec. Biedna Marsylia odurzona wspomnieniami, myślała tylko o odzyskaniu tego, co nazywała *swoim wolnym portem*, i wyobrażała sobie, że pod tym tylko warunkiem restauracja Burbonów była największém dobrodziejstwem, o którém nieustannie marzyła.

Przybycie księcia odrodziło w Marsylji wszystkie dawne złudzenia, to też przyjęła go z uniesieniem. Usłyszał tu najniedorzeczniejsze mowy, jakie tylko zdarzyło mu się słyszeć w ciągu całej podróży. Mówiono mu bowiem, że naród chce mieć króla prawdziwego, samowładnego, wolnego od wszelkiego przymusu, któryby mógł uszczęśliwiać swych poddanych bez przeszkód stawianych przez rewolucjonistów, czyli co na jedno wyniesie, żeby nikt nie śmiał sprzeciwiać się wolności portu Marsylii. Z gwałtownością powstawano także na cła połączone, a hrabia d'Artois postępując wedle zwyczaju, odpowiedział Marsylczykom, że podziela ich zdanie, że przyznaje im zupełną słuszność, że o ile mu się zdaje to wkrótce będą zadowoleni, lecz tylko trzeba mieć cierpliwość i zostawić królowi czas do wypełnienia swych dobrych zamiarów. Tak byli uszczęśliwieni patrząc na księcia i ściskając go za ręce, że uwierzyli wszystkiemu co powiedział, a w tém szczęśliwém usposobieniu wspaniale go przyjmowali. W podobnych okolicznościach każde miasto pokazuje co ma najpiękniejszego. Marsylia też pokazała swą zatokę, która nie była jeszcze tém czem jest dzisiaj: popisywała się na niej zręcznością pływaków, a jednego dnia kiedy się najlepiej bawiono, dała o samym zmroku cudne widowisko, czyniąc z góry, panującej nad portem, rodzaj wulkanu przez wypuszczenie w powietrze do tysiąca beczek napełnionych przedmiotami palnemi. Mer powiedział hrabiemu d'Artois, że to co widział było tylko słabym obrazem gorących uczuć Marsylczyków; następnie udał się książe do głównego teatru znajdującego się w mieście. Tam odbyła się scena prawdziwego szału. Książe napisał do króla nalegając o zatwierdzenie

wolności portu, czemu się bardzo sprzeciwiała rada królewska, a na co Ludwik XVIII odpowiedział, że spodziewa się wymódz to na swych ministrach. Książe zaś wziąwszy to przyrzeczenie za spełnione już życzenia, ogłosił w teatrze wolność portu, jako rzecz postanowioną. Mer upadł na kolana całując go w ręce w imieniu całej ludności marsylskiej. Widzowie wstawali z 10 razy, wydając okrzyki radości i wdzięczności.

Przepędziwszy kilka dni pośród ludności upojonej szałem i powtórzywszy Marsylczykom to wszystko co już był powiedział w Lyonie, Burgundyi i Szampanii, to jest że chwile tu przepędzone były najpiękniejszemi w jego życiu, hrabia d'Artois opuścił Marsylję i udał się do Tulonu, a następnie zwróciwszy się, przejechał przez Nimes, gdzie mógł być wielce użytecznym, powstrzymując katolików i upewniając protestantów, czego jednak nie uczynił i udał się do Grenobli, gdzie gorąco był przyjęty przez nielicznych ale zapalonych rojalistów i nakoniec przybył do Franche-Comté.

W Besançon usposobienie stronnictw wymagało postępowania bardzo rozsądnego i oględnego. Szlachta dumna i pełna uprzedzeń, mająca prefektem departamentu także szlachcica, który obudzał namiętności, zamiast je powstrzymywać, bardzo źle usposobiła cały ogół mieszkańców. Szczególna okoliczność pogorszała jeszcze ten stan rzeczy. Tam właśnie mieszkał arcybiskup Lecoz. Prałat ten, o którym już wspominaliśmy, dawny konstytucjonista, człowiek czcigodny ale nadzwyczaj uparty, dawał schronienie księżom przysięgłym; lecz pomimo to wszystko ani władza świecka ani też duchowna nie miała powodów do uskarżania się na jego postępowanie. Po upadku cesarstwa i wstąpieniu na tron Burbonów, mały kościół wywarł na niego całą złość swoją; szlachta miejscowa połączyła się z nim, prefekt zaś podłożył ognia i powstało ztąd coś nakształt wojny religijnej, ograniczającej się na używaniu całej stronniczej zajadłości, bez wzięcia się przecież do broni Prefekt i jego stronnicy mówili głośno, że książe przejeżdżając przez Besançon nie przyjmie u siebie arcybiskupa; ten zaś odpowiadał ze zwykłym swym uporem, że pomimo to uda się do hrabiego d'Artois. Prefekt dotknięty do żywego taką śmiałością, oświadczył, że jeżeli arcybiskup dotrzyma słowa to każe go zaraz uwięzić. Te i tym podobne rozmowy odbywały się publicznie w Besançon, pomiędzy władzą świecką a duchowną i to w obec świadków, którzy rozgłaszali wszystko co tylko zasłyszeli.

Książe mógł w tej okoliczności postąpić również rozsądnie jak użytecznie, zadając swojém postępowaniem fałsz słowom nierozważnego prefekta, utrzymując z prałatem choć urzędowne stosunki, które należało przynajmniej zachować aż do odwołania konkordatu, tem bar-

dziej, że do tego obowiązywał list pana de Montesquiou, pisany do biskupa Roszelli. Na nieszczęście nie można było spodziewać się od księcia czegoś podobnego. Przybywszy do Besançon pośród najżywszych demonstracyi ultra-rojalistów, nie udał się do katedry z obawy spotkania tam arcybiskupa; a bojąc się, żeby nie przyszedł do niego, kazał mu powiedzieć, że go nie przyjmie. Prefekt sam zobowiązał się uwiadomić o tém prałata, co uczynił też z największą uprzejmością. Ten ostatn równie uparty jak jego przeciwnicy, zażądał od prefekta powtórzenia na piśmie ustnego rozkazu, gdyż w podobném zdarzeniu winien był być odpowiedzialnym za swe postępki. Prefekt niemniej szalony od swego stronnictwa, napisał do prałata, a nie poprzestając na tém, dla uzupełnienia zgorszenia posłał naczelnika żandarmeryi. Naczelnik ten, poczciwy oficer, podzielający uczucia swego korpusu, który w każdej epoce wypełniał z honorem powierzone sobie obowiązki, udał się do arcybiskupa wyraził mu całą swą boleść i błagał go, aby nie opuszczał swego biskupiego pałacu podczas bytności księcia w Besançou, dając mu do zrozumienia, że w przeciwnym razie miał polecenie użyć swej władzy. Prałat poddał się tą razą, nie opuszczał swego mieszkania, lecz napisał natychmiast do Paryża, postanowiwszy uwiadomić obiedwie izby o tak gorszącém postępowaniu władzy. Skutki tego okazały się nadzwyczajne: w całej okolicy duchowieństwo rozdzieliło się na dwa nieprzyjacielskie obozy, po za któremi stał cały naród, bardzo nierówno podzielony, gdyż większa część oświadczała się przeciw szlachcie i duchowieństwu podniecającemu terroryzmie. Wszędzie przyjmowany z zapałem przez swoich stronników, hrabia d'Artois skierował się nakoniec ku Paryżowi; uprzejmem obejściem podobał się wszystkim tym, których nie zraził nierozwagą, w rozdawaniu orderów był nader hojny: order Lilji rozsypał tysiącami, a Legję honorową i Śgo Ludwika setkami; pomimo to pozostawił po zasobą zawiedzione w nadziejach prowincje a do tego jeszcze bardziej wzburzone niż były poprzednio, gdyż nie udzielił nawet, jak syn jego książe d'Angoulême, dobrych rad po drodze. Powrócił do Paryża w końcu Października.

W tym samym czasie drugi syn jego, książe de Berry, odbył czysto wojskową podróż wzdłuż granic: zwiedził Maubeuge, Givet, Metz, Nancy, Strasburg, Colmar, Huningue, Belfort i przez Langres wrócił do Paryża. Wyłącznie zajął się w tej podróży wojskiem: kazał im odbywać manewra, porozdawał nowe chorągwie, porozdzielał ordery i pozostawił żołnierzy zarówno niezadowolonych jak byli poprzednio. Książe ten mały i nadający swej postawie ruchy Napoleońskie, dosyć podobał się wojskom w początkach restauracyi. Ale bądź to z powodu niepodobieństwa prze-

zwyciężenia nieprzyjaznych usposobień wojskowych, bądź też z powodu wad rządu lub swoich własnych, nie mógł podołać żądaniu. Zamiast zdwajania usilności, ku pokonaniu przeciwnych usposobień, unosił się w tej swojej podróży i oddawał się napadom gniewu, który uważany przez niechętnych, powiększany w opowiadaniu, roznoszony wszędzie, wywierał równie smutny skutek jak nierozwaga jego ojca w sprawach religijnych i politycznych.

Tak więc podróż książąt nie sprawiła tyle dobrego ile się spodziewano, chociaż ich ukazanie się wywoływało wszędzie okrzyki pełne zapału. Aby podróż ich wywarła pożądany skutek, należało, jak to już powiedzieliśmy, żeby rząd pewny był swych zamiarów, silny w wypełnianiu woli, ożywiony duchem izb, duchem zarazem liberalnym i umiarkowanym i ażeby książęta wierni przedstawiciele tego rządu, mówili wszędzie tylko to swym przyjaciołom, czego ci właśnie sobie nie życzyli, to jest, że karta była aktem nieodwołalnym, z którego należało wyciągnąć wszelkie możebne korzyści. Z podobnym rządem w Paryżu a książętami będącymi jego organem na prowincji, można było uspokoić zapalonych przyjaciół, sprowadzić kraj na drogę umiarkowania, a następnie pohamować rozdrażnienie wojska, ku czemu można było jeszcze znaleść zaradcze środki. Ale, jak to widzieliśmy, nie było tego rządu. Król umiarkowany lecz obojętny, nieprzeszkadzający w działaniu swoim ministrom, i nie powstrzymujący również błędów swoich braci i synowców; książęta zupełnie sprzecznego usposobienia; książe d'Angoulême roztropny ale bez wpływu; hrabia d'Artois miły i ruchliwy ale na nieszczęście niedziałający nigdy w prostym kierunku; książe de Berry dosyć dowcipny i odważny, ale bez należytej powagi, i raz pochlebiający nadto a drugi ubliżający wojsku, nie umiejący ani go uszanować ani też wzbudzić poszanowania dla siebie; ministrowie bez naczelnika, bez systemu, z wyjątkiem jednego, zbliżający się lub oddalający od izb, o to prawdziwe wyobrażenie ówczesnego rządu, który był raczej stronnictwem aniżeli władzą, czyli stronnictwem posiadającém władzę, co na jedno wyniesie jak miecz w ręku szalonego.

Położenie to pogorszyło się szczególniej we Wrześniu i Październiku, wczasie podróży książąt. Rozmaite środki, których się chwytano w podobnym stanie rzeczy, niepomyślnie odezwały się w izbach i wywołały z ich strony stanowczy opór, któremu trzeba było uledz. Tak więc minister wojny, wyszukując wszędzie oszczędności, do której zmuszały go niewczesne wydatki, jakich od niego wymagano, starał się zyskać dwa miljony na zarządzie domu inwalidów. Olbrzymie wojny ostatnich czasów pomnożyły bardzo liczbę żołnierzy biednych i rannych i trzeba było ko-

niecznie utworzyć nowe pomocnicze zakłady w Arras i Awinionie. Minister chciał się uwolnić od inwalidów cudzoziemców, dając im jednorazowe wsparcie i odesłał do domu część Francuzów z roczną płacą 250 franków. Zdawało mu się, że ta kwota wystarczającą była do utrzymania się na wsi, gdy tym czasem w Paryżu w domu inwalidów utrzymanie jednego człowieka wynosiło 700 franków. Wyrachowanie było niewątpliwe, ale środek wydał się nieludzki, ponieważ 250 franków były niedostateczne dla kaleków, po większej części pozbawionych domu i rodziny. Wkrótce też zaczęto narzekać, że wypychano z własnego schronienia żołnierzy zniedołężniałych w usługach ojczyzny, gdy tym czasem wspierano hojnie i rozdawano wyższe stopnie ludziom, którzy podnosili oręż przeciw Francyi. Mianowano bowiem kommissję do obliczenia zasług wojsk Kondeusza, w celu udzielenia wsparć starym żołnierzom. Drugi ten środek równie źle obmyślany, jak tyczący się inwalidów, wielkie także wywołał oburzenie.

Trzeba było zająć się także funduszami Legii honorowej. Uposażenie od którego płacono procenta, nie wystarczało nawet na opłacenie mianowanych w czasie ostatniej wojny przez Napoleona. Prawda że postanowiono nie dawać pensyi tym, których ozdobiono orderem już po zawarciu pokoju, odkładając tę rzecz do poprawienia dochodów zakładu, ale też trzeba było koniecznie dostarczać pieniędzy na wydatki instytutów naukowych, w których wychowywano córki biednych wojskowych, to jes, zakładów w Saint-Denis, w Ecouen, jak niemniej i innych drugorzędnych, z których dwa znane były pod nazwaniem *Barbeaux* i *Loges*. Napełnione one były młodemi dziewczętami, z których największa część była osierocona skutkiem długich wojen. Najnieszczęśliwiej dla siebie rząd postanowił zamknąć trzy podobne zakłady, a mianowicie: Ecouen, Barbeaux i Loges i wesprzeć biedne dziewczęta zarówno jak inwalidów 250 frankami rocznej płacy wydalonem z ich schronienia. Okoliczność zaś, że pałac w Ecouen należał do Kondeuszów, jeszcze bardziej gmatwała tę sprawę. Przypuszczano bowiem, że dla tego wypędzano sieroty wojskowych poległych w obronie Francji, aby oddać zamek dawnym właścicielom. Na tę wiadomość wojskowi już i tak oburzeni, zniechęcili się tem bardziej, a usposobienie ich podzieliła publiczność, stając po stronie biednych dzieci, które nie mogły wyżyć za 250 franków a kilka z nich nawet nie mając ni ojca ni matki w przykrém bez schronienia znajdowały się położeniu. Marszałkowie podjęli tę sprawę, i Macdonald zaniosł ją do izby parów, której był członkiem, i do stóp samego tronu, do którego miał przystęp.

Nieszczęsny nakoniec projekt ministra co do zakładów wojskowych uzupełnił całość tych źle obmyślanych środków. Chcąc połączyć w jedną trzy szkoły wojskowe, znajdujące się w Saint-Cyr, w Saint-Germain i de

la Fleche, ażeby, jak utrzymywał, nadać im więcej jedności i żeby szlachta używała praw zapewnionych jej edyktem styczniowym w 1751 roku, minister postanowił rozkazem królewskim połączenie trzech szkół w jedną, która miała istnieć w Saint-Cyr. Tekst tego rozkazu zdradzał zamiar, choć jeszcze nie wyraźny, nieprzypuszczania mieszczan do szkół wojskowych, by je wyłącznie zapełnić szlachtą, która w takim razie samaby się tylko oddawała sztuce wojennej, jak to niegdyś bywało.

Trudno zaiste opisać wpływ, jaki wywarły te rozmaite rozporządzenia. Chociaż niezadowolenie całej publiczności i dzienników będących jej organem powiększały i jaskrawo przedstawiały wszystkie te czyny rządu, to widoczną przecież stawało się rzeczą, że aby podołać niewczesnym wydatkom, jak to na przywrócenie straży przybocznej, lub też na wyznaczenie płacy emigrantom, musiano koniecznie obcinać fundusze na wojsko, i że miano zamiar przywrócenia dawnego porządku rzeczy, to jest aby szlachta wyłącznie zajmowała stopnie oficerskie. Skargi sypnęły się ze wszystkich stron. Użyto przy tej sposobności z całą rozciągłością prawa podawania próżb, prawa, które w zwyczajnym czasie, kiedy rzadko zdarzy się coś ważniejszego do sprostowania, mało się czuć daje. Licznemi podaniami zarzucono obiedwie izby. Izba deputowanych chcąc natychmiast wyrozumieć rzecz całą, pomimo oporu mniejszości zupełnie poświęconej emigracji i drugiej mniejszości także, działające w duchu przeciwnym, wskazała błędy rządu odsyłając mu prośby o których mowa, i prosząc nadzwyczaj grzecznie ale stanowczo o odwołanie wydanych rozporządzeń. Tym sposobem rząd był zmuszony do cofnięcia się i ogłoszenia, że przytoczenie edyktu z roku 1751 niemiało bynajmniej na celu dawania pierwszeństwa szlachcie w przyjmowaniu jej do zakładów wojskowych; że postanowił już rozszerzyć zakłady dla inwalidów i że ci, którzy obecnie w nich się znajdują, pozostaną aż do śmierci; że postanowił zarówno nie odsyłać do domów pensjonowanych inwalidów, chyba na ich własne żądanie i tak samo sierot Legii honorowej; że nakoniec zakłady w Barbeaux i Loges będą przywrócone dla dziewcząt, któreby nie chciały lub nie mogły oddalić się do swych rodzin.

Izby, chociaż bardzo umiarkowane i czysto rojalistowskie, zawsze były gotowe powstrzymać chwiejącą się władzę, i najlepiejby było, gdyby wszystkie obrażone stronnictwa zaufawszy im, w nich jedynie szukały zadość uczynienia i pewności. Ale namiętności poruszone nie poprzestają na sprawiedliwości, trzeba im zemsty, którą wynajdują wszelkiemi sposobami. Oficerowie zostający na połowie żołdu, nagromadzeni w stolicy, z których jedni przebywali w salonach a drudzy w miejscach publicznych, odzywali się codzień gwałtowniej i bardziej wyzywająco.

Zuchwałość taka rozdrażniła rząd i sprowadzała na nich nieuniknione kary, a tak z jednego rozdrażnienia przechodząc do drugiego, doszło już prawie do otwartej wojny, zaczętej od słów tylko, ale która mogła się zakończyć bardzo tragicznie.

Murat zajmował dotąd tron neapolitański, skutkiem zdradliwego odstępstwa od sprawy Napoleona. Obecność jego na tronie Włoch południowych, zajmowała nietylko Włochów, ale i Burbonów tak hiszpańskich jak i francuzkich, którzy domagali się upadku króla Neapolitańskiego na kongresie wiedeńskim. Policje rywalizujące miedzy sobą, z których jedna należała do rządu, druga zaś do hrabiego d'Artois, ubiegały się w podejrzliwości i wymysłach, i zdawało im się, że wzburzenie umysłów było dziełem nieprzyjaznych stronnictw i że nie pochodziło ono z błędów przez rząd popełnianych. Ten zaś łudzony przez policje szukał gdzie indziej przyczyn złego, i zdawało mu się, że Napoleon pogodziwszy się z Muratem, używał swych znakomitych skarbów na utrzymywanie nieprzyjaznego ducha w wojskowych i urzędnikach bez obowiązków.

Pewien Anglik, fantastyk jak wielu innych, lord Oxford, rozmiłował się bardzo w Bonapartych, pomimo sprzecznych uczuć w tym względzie wszystkich swoich ziomków. Udając się do Włoch przejeżdżał przez Paryż, gdzie skutkiem tego domyślano się, że on wiezie do Elby i Neapolu tajemną korrespondencję niezadowolonych wojskowych. Rząd więc porozumiał się z ambasadorem angielskim, skutkiem czego zatrzymano lorda Oxford, lecz nie w zamiarze uwięzienia, a w celu odebrania mu papierów. Po przeczytaniu tych papierów zdziwienie było wielkie z powodu ich błachości, czego się należało spodziewać przy większej nieco rozwadze. Pomiędzy zabranemi papierami, najważniejszy pochodził od jenerała Exelmans: upatrywano nawet w tém zbrodnię, choć cała, jaką ów papier zawierał tajemnicę, bardzo małej było wagi. Jenerał Exelmans dowiedziawszy się, że państwa powzięły zamiar wysłać przeciw Muratowi jedną ze sprzymierzonych armii, pisał do niego, jako niegdyś swego wodza, pod rozkazami którego długo służył i który obdarzył dobrodziejstwami wielu oficerów, a zaliczając tu i siebie miał zamiar ofiarować mu swoje usługi, gdyby tron neapolitański został zagrożony. Zresztą nie wspomniał ani słowa tak o Burbonach francuzkich, jak i o jakich bądź zamiarach przeciw ich rządowi.

List ten, choć nie urzeczywistnił bynajmniej podejrzeń, jakie o nim powzięto, oburzył jednak do najwyższego stopnia króla i książąt. Chcieli ukarać jenerała Exelmans za wszystkie urojone spiski, których nie odkryto nawet i cienia, a uparcie w nie wierzono. Postanowiono wytoczyć mu proces za utrzymywanie stosunków z nieprzyjaciołmi zewnętrznymi

państwa, za przestępstwo pogorszone jeszcze jego położeniem, jako oficera zostającego w służbie czynnej. Ale minister wojny, jenerał Dupont, choć zwykle postępujący za słabo, oparł się tą razą rozsądnie i uczciwie. Dowodził, że król Neapolitański był jeszcze uważany przez całą Europę i że choć Francya żądała w Wiedniu jego złożenia, to przecież nie była z nim jeszcze w otwartej wojnie; że poddani francuzcy mogli ofiarować mu swoje usługi niepopełniając zbrodniczych czynów przez te z nim stosunki, że żaden sąd nie mógłby potępić listu jenerała Exelmans; że jenerał, jako zostający w służbie, mógł wiedzieć jakie są zamiary Francyi pod względem Neapolu, a ztąd zasługiwał co najwięcej na zarzut nieoględnego zdradzenia tajemnicy i brak gorliwości, ale nic więcej. Chociaż król podzielał także oburzenie książąt przeciw jenerałowi Exelmans, poprzestał jednak na zdaniu ministra wojny, że największą karę na jaką jenerał zasłużył była nagana. Wskutek tego minister wojny przywołał jenerała Exelmans, zrobił mu niejakie wyrzuty i na chwilę sprawa ta, która dostąpiła później takiego rozgłosu, została przytłumioną dzięki rozsądkowi, jaki jenerał Dupont okazał w tej okoliczności.

Młodzi oficerowie, których pełno było w Paryżu, dowiedzieli się zaraz o przygodzie jenerała Exelmans i rozgłaszali o wyrządzonej mu krzywdzie. Wkrótce jednak nadarzyła im się lepsza sposobność, choć w tym samym rodzaju, do podniesienia krzyków. Jenerał Vandamme, pełen zasług, lecz nadzwyczaj gwałtowny, zagorzały rewolucjonista, nieumiejący się usprawiedliwiać a ztąd obarczony potwarzami, uchodził niesłusznie za najgorszego człowieka i był zarówno jak i marszałek Davout znienawidzony przez nieprzyjaciół Francji. Powracając z niewoli rossyjskiej, wystawiony był na największe nieprzyjemności w całych Niemczech, co było dostatecznem do zjednania mu ogólnego współczucia. Gdy jeszcze znajdował się w podróży, zdołano przekonać króla o potrzebie najgorszego przyjęcia jenerała Vandamme, jeżeliby przedstawił się w Tuilleries, wyłączając go od tych wszystkich względów, któremi tak hojnie pochlebiano dowódzcom wojska. Za przybyciem do Paryża, jenerał udał się do Tuilleries zaraz na pierwsze przedstawienie wojskowych jego stopnia, lecz zabroniono mu wejść do pałacu, a gwardja przyboczna wyrzuciła go prawie za drzwi mieszkania królewskiego. Stary żołnierz, który przepędził życie na walce z nieprzyjacielem, oburzył się na takie postępowanie młokosów, którzy może w życiu nie słyszeli wystrzału karabinowego; głośno się więc uskarżał po całym Paryżu i silnie był popierany.

Podczas gdy tak niegodnie postępowano z starym żołnierzem, rozeszła się pogłoska o nadaniu szlachectwa rodzinie Jerzego Cadoudal. Nie można było zaprzeczyć Jerzemu odwagi ani poświęcenia się dla sprawy

króla, ale nikt nie mógł pochwalić zbrodniczych środków, jakiemi zamierzał targnąć się na pierwszego konsula, a do jakich sam przyznał się przed sądem. Łatwo przeto odgadnąć, ile to podobny czyn rządu wywołał cierpkich i gwałtownych uwag.

Gdy inni oficerowie w braku zajęcia burzyli się w całym Paryżu, jeden z nich, jenerał Carnot, żył cicho i na uboczu, a chociaż po oblężeniu Antwerpji mianowany został inspektorem inżynierji i był nawet przedstawiony królowi, to przecież opuścił dwór, odstrychnął się od rewolucjonistów i zamieszkał samotnie najbardziej oddaloną część miasta, nie troszcząc się wiele o złe obchodzenie się z wojskowymi, gdyż ich uważał po większej części za szaleńców. Mocno się jednak oburzył na poniżanie dawnych patrjotów, gdy tymczasem przepełniano łaskami i obdarzano szlachectwem naczelników szuanów. Silnego choć niezbyt sprawiedliwego umysłu, człowiek uczciwy choć pełen wyniosłości, napojony zasadami rewolucji, Carnot najmocniej był przekonany, że wydany wyrok na Ludwika XVI, był nietylko prawym ale i słusznym. Zamierzał więc napisać rozprawę o królobójstwie i przypisać ją samemu królowi, a to w sposób memorjału; nie wiedział jeszcze jaki jej nada obrót, ale sam zamiar stawał się już dla niego pociechą. W pracy tej, napisanej z siłą, cierpkością, ironją, rozbierał, nie ubliżając jednak władzy królewskiej, okropną kwestję królobójstwa, posługując się dowodzeniami z czasów konwencji. — Czy królowie są nietykalni? Była to jak mówił, kwestja ważna, o której różnie sądzono we wszystkich czasach i miejscach, a nawet w Biblji. W każdym razie ta nietykalność ulegała wielu wyjątkom, gdyż niepodobna przypuścić, aby podobne potwory do Nerona i Kaliguli mogły być nietykalnemi dla swych ludów. Zresztą naród francuzki mianując konwencję nadał prawa jej członkom sądzenia Ludwika XVI. Czy go osądzono słusznie lub niesłusznie? o tém historja miała wyrzec, ale żadna powaga na świecie nie posiadała dość władzy do targnięcia się na sędziów. Jeżeli się omylili, uczynili to w dobrej wierze, a w każdym razie dali w tym względzie dowód nieustraszonej miłości dla kraju. Teraz zaś uderzają na nich nazywając ich zbrodniarzami, ależ w czyjém imieniu i z jakiego tytułu? Cała Francja potwierdziła ich wyrok tysiącznemi adresami i wyniosła do najwyższej godności sędziów Ludwika XVI; czyż i ją nazwą królobójczynią lub wspólniczką królobójstwa? Jeszcze nie wszystko: Europa złożyła broń przed tymi ludźmi i zawierała z nimi traktaty, jak to miało naprzykład miejsce w Bazylei; czyż dla tego i Europę należy nazwać królobójczynią? Nakoniec, któż to byli ci oskarżyciele, którzy dziś dopiero powrócili do kraju dla znieważania obywateli przez dwadzieścia pięć lat walczących za Francję i jej wolność? Byli to

ciż sami emigranci, którzy zamiast zasłaniać Ludwika XVI swą osobą, pouciekali pod pozorem stanięcia do walki nad Renem, a skalawszy broń swoją w walce przeciw własnej ojczyźnie, sami to ściągnęli na Ludwika XVI ogólne oburzenie, pod którem ten nieszczęśliwy król musiał uledz.

Takie to były straszne rozumowania dawnego członka konwencji narodowej, z których to tylko można było wywnioskować, że w tych groźnych czasach wszyscy błądzili, a ztąd, że najlepiej było wszystko zapomnieć. Na nieszczęście jednak, że to zapomnienie, o które się jedna strona domagała, a druga jej obiecywała, nie przypadło żadnej do smaku.

Zdaje się że Carnot nie przeznaczał do druku tej rozprawy, lecz zaślepiony rewolucyjnemi przesadami, sądził, iż zdoła ją przedstawić królowi i będzie mógł rozbierać z nim sam na sam kwestję królobójstwa. Chociaż zazwyczaj samotny, uczęszczał jednak niekiedy do niektórych dawnych konwencjonistów, jak to do pana Garat, Fouché i kilku innych, i pokazał im swoją pracę, gdyż potrzebował wylać się przed nimi. Dać podobną rzecz do przeczytania, jest to samo co ją publicznie ogłosić, a w każdym razie niepodobna było w podobnej okoliczności rachować na milczenie pana Fouché, który wcale nie był zdatny na powiernika. Zaledwie dostała się kilku osobom, zaczęto ją na gwałt przepisywać, nawet drukować i w przeciągu kilku dni równie była głośną, jak niegdyś słynny raport o finansach pana Neckera. Tysiące jej egzemplarzy rozchodziło się po kraju i za granicą. Bezwątpienia, że w obecnej chwili rozprawa ta bardzo trafiała do usposobienia wszystkich, gdyż zarówno odpowiadała uczuciom oburzonych i dosyć licznych jeszcze rewolucjonistów, jak i nabywców dóbr narodowych, których było nierównie więcej, niezadowolonych żołnierzy i urzędników bez posad; podobała się nawet stronnictwu liberalnemu, które chociaż nie pochwalało królobójstwa, widziało przecież w tej rozprawie słuszny odwet za wszystkie błędy popełnione przez emigrację. Nakoniec i sama emigracja, pomimo całego rozdrażnienia, chciała poznać pisemko, o którém wszyscy rozprawiali. Było to więc aż nazbyt wystarczającą rzeczą, aby praca Carnota rozniesła się w dniach kilku po całej Francji i Europie.

Jak było do przewidzenia, stronnictwo emigracyjne w szalony gniew popadło i wystąpiło z odpowiedzią, która pod każdym względem, a szczególniej słuszności i umiarkowania, nie była niższą od napaści. Powiedziano Carnotowi, że ludzie podobni jemu, jeżeliby mieli choć trochę zdrowego rozsądku, to za szczęśliwych powinniby się uważać, że im jakaś nieograniczona dobroć dozwala żyć bezkarnie, że powinniby na tém poprzestać, szukać jak największego ukrycia i tym sposobem starać się zasłużyć, jeżeli nie na pobłażanie, którego niepodobna im było otrzymać

za występek jakiego się dopuścili, to przynajmniej na zapomnienie, które im obiecano i które dotrzymane będzie z pewnością, jeżeli przestaną odwoływać się ciągle do ohydnych postępków współczesnych i zwiększać swe winy szkaradniejszemi jeszcze od samych czynów usprawiedliwieniami; że zresztą pisma ich tyle były warte co i oni sami; że znalazł się jeden pomiędzy tymi ludźmi, którego odróżniano od innych mu podobnych i przypisywano więcej nieco rozsądku i prawości, ale przekonano się obecnie, że i jego rozumowania zarówno są śmieszne jak i niegodne; jednem słowem, że wszyscy sprawcy 21 Stycznia byli siebie godni, że wspomnienie popełnionej zbrodni powinno było skłaniać ich do ukrywania się przed wejrzeniem oburzonego świata i do szanowania przynajmniej spokoju dzieci po niecnem przelaniu krwi ojców.

Nie poprzestano jednak na tych odpowiedziach, gdyż wmięszał się tu rząd i sądownie zaczął poszukiwać rozprawy Carnota. Powołany autor z dumą się przyznał do swego dzieła, dodając, że nic nie wie o jego wydaniu; zeznanie swe popierał swém słowem uczciwego człowieka, żądając aby mu ufano, do czego jednak władze nie okazywały ochoty. Następnie pociągnięto księgarzy, których posądzono o publikacje pokątne, starając się wyśledzić o ile przyczynili się do rozszerzenia obwinionej broszury. Winnych czy niewinnych stawiano przed sądem, a krok ten jeszcze bardziej się przyczynił do oburzenia umysłów. Byli członkowie konwencji, tak zwani *głosujący*, którzy się zgromadzali u panów Fouché lub Barrasa, oburzyli się bardzo na ten postępek rządu i udali po radę do wojskowych, to jest do Bonapartystów. Wypadki te ciągle się mnożyły i zdawało się, że jakaś siła popychała ludzi i rzeczy do bliskiego przesilenia.

Jak to już widzieliśmy, emigranci z trudnością poddali się artykułowi karty, który zapewnia nietykalność sprzedaży narodowych. To też ciągle się uskarżali, mówiąc, że książęta zadowoleni iż odzyskali wszystko przez odzyskanie korony, pozostawiali w biedzie tych, którzy się poświęcili dla ich sprawy. Układy prywatne, na które wiele liczono, a dla dobrego skutku których użyto zarazem groźby, przymusowych przysiąg, nawet spowiedzi, nie na wiele się przydały, bo nowi nabywcy ustępując z swoich majętności, chcieli aby im dobrze za nie płacono, a wielu z nich, mianowicie włościanie, za żadną cenę nie pozwalali wydziedziczać się z nabytej raz ziemi. Zagrożeni niehamowanemi mowami i działaniami emigrantów, szukali rady u ludzi światłych, którzy ich przekonali, że karta i izby osłaniają sprzedaż narodową wszechwładną opieką. To też wszyscy ci, na których niewielkie wrażenie robiły gromy duchowieństwa, trzymali się silnie swych praw i nie chcieli słuchać o żadnych układach.

Rząd czuł dobrze swą bezsilność w tej sprawie, lecz chciał wynagrodzić ludzi uskarżających się, że restauracja nic dla nich nie uczyniła dobrego, a ztąd postanowił zwrócić dawnym właścicielom niesprzedane dotąd dobra. Była ich jeszcze znaczna ilość w posiadaniu państwa, składająca się głównie z lasów, od trzech do czterech kroć sto tysięcy hektarów wynoszących. Na podobne własności karta nie rozciągała praw swoich, gdyż wspominała tylko o już sprzedanych. Zamiar zaś tego przywrócenia tym był milszy dla króla i książąt, że dobra te należały po większej części do najznakomitszych rodzin we Francji, z któremi oni znali się bliżej i w ściślejszych zostawali stosunkach, a nadto sądzili, że przez zadośćuczynienie możnym, zdołają przytłumić wszelkie inne krzyki. Projekt był więc nieodwołalnie postanowiony i zajęto się już wprowadzeniem go w wykonanie.

Gdyby w tym zamiarze powrócenia dóbr sprawiedliwość brała należyty udział, postąpionoby zupełnie inaczej, gdyż nie najznakomitsze to rodziny, które nierozważném swém postępowaniem przyczyniły się głównie do rozżarzenia rewolucji, zasługiwały na uwzględnienie; lecz ta liczna emigracja, składająca się z drobnej szlachty i mieszczaństwa, która mimo swej wiedzy pociągniętą została do ogólnej klęski i opłacała zgubne niezgody własną częstokroć głową, a prawie zawsze majątkiem. Oni to zasługiwali na prawdziwe współczucie Burbonów, ale trzeba je było okazywać tak im jak ich rodzinom bez naruszenia zasad państwa, bez popełnia nowych niesprawiedliwości, zwłaszcza kiedy zamierzano zatrzeć niesprawiedliwe czyny, czyli że należało wesprzeć najpotrzebniejszych i najgodniejszych, nie zaś najbogatszych. Zasada bowiem powetowania szkód, nie niektórym lecz wszystkim, gdyby je potwierdziło państwo i wyznaczyło na ten cel dobra, które utrzymało w swej posiadłości, mogła być wówczas dozwoloną i natychmiast wykonaną. Można było tak się rozliczyć, aby największy dział przypadł najbiedniejszym; można też było jednocześnie zająć się obrotem pieniężnym, opartym na trzech do czterech kroć stu tysięcy hektarach lasu, które państwo miało w swém rozporządzeniu, a do których, gdyby stan finansów pozwolił, możnaby było dodać dwieście do trzystu miljonów, zaczerpniętych z funduszów państwa i tym sposobem możnaby było nietylko poprawić, ale załatwić i uspokoić nawet całą tę sprawę. Tym bowiem sposobem dawni właściciele, choćby nie zostali tak wynagrodzeni jak życzyli, lecz wedle możności, nie mieliby już pozoru do czepiania się nabywców dóbr narodowych, i zostawiliby ich w spokoju. Tak jedna z największych, a może i największa przyczyna zamięszania byłaby natychmiast usuniętą. Nie pomyślano nawet o tém. Książęta postanowili najprzód zadość uczynić rodzinom starożytnym, naj-

mniej dotkniętym nieszczęściem, gdyż ich ciągłe hałasowania były najnieznośniejsze. Posiadali w swym ręku ich lasy i nie zastanawiając się wcale, oddali je całkowicie, chcąc ich zadowolnić i skłonić do milczenia, nie pomyślawszy nawet, że pozbawiali się tym sposobem pewnej rękojmi, która mogłaby być podstawą ogólnego wsparcia tylu biedaków.

Kommissja pod przewodnictwem pana Ferrand ułożyła to prawo przedstawione następnie radzie, która wzięła go pod obrady. Przyjęto za zasadę, aby po prostu zwrócić dobra jeszcze niesprzedane. Zasada tak prosta na pozór była bardzo trudną w wykonaniu. Gminy bowiem posiadały znaczną ilość tych dóbr dotąd niesprzedanych i przeznaczonych wyłącznie na korzyść szpitali. Kassa amortyzacyjna posiadała ich także jakąś część, służącą na zapewnienie renty państwa. Odebrać część przynależną szpitalom, było obdzierać biednych i chorych, a ogołacaniem kassy amortyzacyjnej naruszał się kredyt państwa. Twórcy projektu zmuszeni więc zostali twardą koniecznością wyrzec się zamiaru odbierania dóbr tego rodzaju i postanowili robić tylko jakieś nadzieje dawnym ich właścicielom. Znajdowały się także dobra tego rodzaju, które obrócono na korzyść publiczną, jak pałace przeznaczone na pomieszczenie władz państwa i przedmioty sztuki przeniesione do muzeów. Tak naprzykład do części gabinetu artylerji mogli dochodzić swych praw Konduesze i wiedziano, że mieli już z tego korzystać. Powstałyby z tych zwróceń liczne kłopoty, których trzeba było unikać; postanowiono zatém, że państwo zachowa podobnego rodzaju majątki tak ruchome jak nieruchome z warunkiem zwrócenia ich wartości dawnym właścicielom. Zamieszczono nawet w budżecie odpowiednie na ten cel fundusze. Po załatwieniu wszystkich tych przeszkód, ukazała się jeszcze jedna, której całą ważność dostrzeżono dopiero po chwili rozwagi. Ustęp jeden projektu opiewał, że kwoty niewniesione jeszcze do skarbu przez nowych nabywców, prawnie należą do dawnych właścicieli. Przyjęta zasada stanowiła, że państwo winno było zwrócić jako nieprawnie nabyte wszystko, czém dotąd rozporządzało i oddawało rzeczywiście pozostałe części, jako przypadające tym, których nazywano prawymi właścicielami. Ale że prawa tyczące się dóbr narodowych, stanowione w miarę spadania papierów, były bardzo zawikłane, nie było ani jednego nabywcy, którego majętność nie obudziłaby sporu z powodu mniemanych od nowych nabywców należności, więc z takiego zagmatwania powstałby ogólny proces przeciw nabywcom dóbr narodowych, a emigrantom dostarczyłoby się strasznej broni, pod którą obowiązujący artykuł karty byłby niezawodnie upadł.

Ustęp projektu, o którym mowa, zostałby bez trudności przyjęty, skutkiem nieuwagi członków, którzy po większej części nie zajmowali się

wcale interesami, gdyby nie bystrość i czujność ministra skarbu, który się temu sprzeciwił. Objaśnił doniosłość podanego projektu, czém przestraszona rada usunęła ten ustęp, zwłaszcza gdy p. Ferrand nie upierał się przy swojem. Po dokonaniu tej zmiany projekt do prawa wniesiono przed izby.

Na nieszczęście, że wykład sprawy, równie ważny jak sama osnowa prawa, nie był roztrząsany przez radę. Król nie przeczytał go nawet. Położono bowiem zupełną ufność w zdaniu i talencie pana Ferrand, człowieka już w podeszłym wieku, przytém łagodnego, wykształconego i dobrze wyrażającego się, ale który był bardzo uparty, niezręczny i podzielał wszelkie zasady posunięte do ostatniego stopnia zagorzałych rojalistów.

W sprawozdaniu wyłuszczył on przekonania swoje i dworu, to jest, że rząd oddając dobra niesprzedane czynił zaledwie to, co uczynić był winien, ubolewał nad niemożnością zrobienia więcej i utrzymywał, że w braku dostatecznych środków do zadośćuczynienia wszystkim, obecnie należało przynajmniej zrobić im nadzieje na przyszłość; jedném słowem powiedział, że obecnie czyni się wszystko co tylko można i obiecywał, że w przyszłości załatwią się sprawy, które nateraz niepodobne są do przeprowadzenia.

Pan Ferrand udał się do izby deputowanych w towarzystwie panów de Montesquiou i Louis, przeczytał sprawozdanie cicho i dość niewyraźnie, czém zmniejszył trochę jego skutek w pierwszej chwili. W tém sprawozdaniu obchodzącém głównie emigrantów, władza królewska usprawiedliwiała się, że nie czyniła więcej dla nich, i że to co robiła obecnie było tak spóźnioném, gdyż nazajutrz po tak strasznej rewolucji chcąc wejść na drogę sprawiedliwości i prawdy, napotyka się wiele przeszkód. Dobre można było tylko spełniać z oględnością i powoli. Bezwątpienia, mówił pan Ferrand, król *cieszy się szczęściem tych, którym zwraca dawne ich posiadłości, ale też potrzebuje tej pociechy dla złagodzenia żalu, jakiego doznaje, że nie może nadać temu aktowi sprawiedliwości całej rozciągłości nakreślonej w głębi jego serca.* Spodziewał się jednak, że dzięki mądrości jego rządów zaprowadzonemu porządkowi w dochodach i wydatkach publicznych, przyjdzie nakoniec dzień, w którym szczęśliwy stan skarbu zmniejszy te przykre wyjątki, do których jest dziś zmuszony okolicznościami.

Żal ten tak szczerze wyrażony, prawie wskazywał ile władza królewska musiała sobie zadawać gwałtu, aby zostać wierną karcie, a te niepewne nadzieje tak źle określone, dając nadzieje jednym, a przejmując trwogą drugich, nieprzyjemne wywarły wrażenie. Jeden mianowicie ustęp tego nieszczęśliwego sprawozdania zrobił jak najgorsze wrażenie,

bo obrażał naród cały. Starając się ocenić zasługi moralne tych, którzy emigrowali, jak niemniej pozostałych we Francji, p. Ferrand dodał: „Po„wszechnie uznano dzisiaj, że tylu dobrych i wiernych Francuzów opusz„czali ojczyznę z zamiarem rychłego do niej powrotu. Rzuceni na obcą „ziemię płakali nad nieszczęściami swojego kraju, spodziewając się je„dnak, że go jeszcze ujrzą. Uznano dzisiaj, że tak samo krajowcy jak „i emigranci życzyli sobie gorąco zmiany wtedy nawet, kiedy jej się spo„dziewać nie mogli. Nieszczęścia skupiły wszystkich do jednego punktu, „wszyscy do niego przybyli, *jedni kierując się prostą drogą, z której „nigdy nie zboczyli, inni postępując mniej więcej za zmienną rewo„lucją*, która ich ogarnęła.

Wyrazy te, chociaż wymówione wcale nie pobudzającym głosem, sprawiły szczególniejsze wrażenie, które ciągle zwiększało się, dopóki nie wywarło skutku. Więc władza królewska przyznawała, że tylko emigranci postąpili prawą drogą, a wszyscy inni zboczyli z niej mniej więcej. Więc cały naród, wyjąwszy dwadzieścia do trzydziestu tysięcy osób, poszedł błędną drogą! Więc zbłądzili i ci, którzy zginęli jedynie dla tego, aby wyrwać Francję z władzy wściekłych demagogów! Więc i Malesherbes, który nie udał się za książętami, ale umierał za to, że bronił sprawy królewskiej, i Boissy d'Anglas pozostający z całą szlachetnością na dawném swém stanowisku, nie zważając na zakrwawioną głowę Ferranda, zbłądzili równie. Samego Ludwika XVI uniewinniało tylko niepowiedzenie się podróży do Varennes! Więc wszyscy ci, którzy tak mądrze kierowali Francją od lat dwudziestu, i ci którzy ginęli krociami tysięcy, aby ją wyrwać z rąk obcych lub podnieść do najwyższego szczytu chwały, zbłądzili! Desaix, Kleber, Marceau, Lannes byli to wszystko obłąkańcy, którzy zeszli z prawej drogi! A zatém ci tylko poszli prawą drogą, którzy przez dwadzieścia pięć lat intrygowali, lub też prosili Boga, aby Francja była pokonana i owładnięta przez wrogów!

Te i tym podobne uwagi nastręczyły się wszystkim, a choć z razu były one niewyraźne, to w następstwie codzień stawały się jaśniejsze, i wzburzenie dosyć silne, jakie pierwszego zaraz dnia objawiło się w samém zgromadzeniu, stawało się coraz żywszém. Ze zgromadzenia przeszło do ogółu publiczności, z Paryża na prowincję. Druk, którego cenzura nie mogła powstrzymać, rozniósł je tém bardziej, tak, że wkrótce stało się zarówno żywem jak ogólném. Nieszczęśliwe przytém wyrażenie się pana Ferrand dało się rozmaicie zastosować, z czego nie omieszkali korzystać niechętni mu. *Prosta droga* poszła w przysłowie: ten szedł *drogą prostą* inny *krzywą*, to jest, że był prawdziwie cnotliwym jeżeli emigrował; lub też był mniej więcej uniewinnianym, ale tylko uniewin-

nionym, jeżeli nie opuścił ojczyzny. Chociaż niechęć znacznie powiększała znaczenie wyrazów pana Ferrand, to przecież nie ulega wątpliwości, że w gruncie rzeczy tak król jak książęta i emigracja podobnie myśleli. Tak naprzykład, kiedy przedstawiano radzie królewskiej przepisy, do jakich miano stosować się w wyznaczaniu pensji oficerom z emigracji, książęta postawili siebie na czele. Niewystarczającą było rzeczą znajdować się w emigracji razem z królem lub służyć w korpusie Kondeusza, aby zupełne otrzymać wynagrodzenie, gdyż jeżeli kto wrócił do kraju bez zezwolenia książąt, zmniejszano mu prawa do pobierania pensji. Więc nietylko naród zbłądził tém, że nie emigrował, ale nawet dawni emigranci zmęczeni dziesięcioletniém wygnaniem, jeżeli osądzili że Francja uspokojona przez pierwszego konsula była jeszcze ojczyzną godną kochania i zamieszkania w niej, zbłądzili także w pewnym stopniu, co winno było być należycie ocenioném przez kommissję, złożoną do nagradzania zasług za wyrzeczenie się własnego kraju.

Z tej okoliczności zapanowało przekonanie w całym kraju, że rząd złożony jest z emigrantów, lub podzielających ich zasady, i jeżeli ich pozostawią u steru, to pokierują sprawami państwa wedle swego widzenia rzeczy. Nie było to jeszcze stanowcze postępowanie rządu, ale początek starannej niechęci. Pozostawały izby, które mogły powstrzymać ten rząd, bo chociaż nie były w stanie natchnąć go uczuciami narodowemi, co od nich nie zależało, to przynajmniej zdołałyby dać mu to do zrozumienia. Jak się spodziewano, izby nie zawiodły położonego w nich zaufania.

Wszystkie biura przyjęły to prawo jako akt sprawiedliwości, gdyż i stronnictwo liberalne chciało zachować tylko zasady rewolucji, nie zaś jej nadużycia. Przyznając jednak prawo, jako akt sprawiedliwości, objawili zarazem słuszne oburzenie przeciw sprawozdaniu, zażądali jego usunięcia, potępienia ministra, który je napisał i czytał, jak niemniej publicznego oświadczenia przeciw temu obrażającemu godność narodową odezwaniu się.

Kommissja wyznaczona do zbadania prawa, podzielając oburzenie biur, działała pod wrażeniem doznanego uczucia. Przyjęła prawo zastrzegając niektóre zmiany nic nieznaczące co do jego wykonania, ale bardzo ważne w znaczeniu moralném. I tak: wyrażenie *zwrócić*, zastąpiło słowem *oddać*, przez co zniszczyła zasadę, że emigranci mają prawo do dóbr im oddawanych. Państwo posiadając jeszcze dobra w swém ręku, oddawało je dla zapobieżenia nędzy, zwłaszcza gdy było w stanie wesprzeć biedaków. Co się zaś tyczyło dóbr obróconych na użytek publiczny, jak przeznaczonych na fundusz szpitali, kassy amortyzacyjnej, a które to dobra obecne prawo *na teraz* wyjmowało z pod zasady zwrócenia

ich dawnym właścicielom, wykreślono wyraz *na teraz*, co stanowiło wyjątek tymczasowy, a tém samém odjęto nadzieje na przyszłość. Postanowiono nareszcie, aby sprawozdanie kommissji zupełnie przeciwnego było ducha od sprawozdania ministra.

Sprawozdawcą kommissji był pan Bedoch; zabrał głos w izbie 17go Października i żywo powstał na wygłoszone zasady przez pana Ferrand. Oświadczył bowiem, że kommissja poleciła mu przywrócić zaufanie publiczne, tak naruszone nierozważnemi słowy ministra, który przypisał Ludwikowi XVIII własne swe zasady, niepodobne do podzielania ich przez króla Francji, a tém więcej, że niemożebną jest rzeczą odzywać się z niemi. Rownowaga błędów i zasług wielkiej rewolucji nie mogła być stanowczo ustalona, gdyż trzebaby także zbadać postępowanie tych, którzy przez źle zrozumianą gorliwość przyspieszyli upadek władzy królewskiej i nieszczęścia Francji. Gdyby nawet można było coś podobnego uczynić, to zawsze nie należało poruszać tej sprawy. Król przyobiecał widzieć we Francji jedną rodzinę, złożoną z jego dzieci, a zatém nie powinien był, a tém bardziej nie powinni byli jego doradcy, robić bolesnych rozróżniań pomiędzy obywatelami. Wspominano o żalu, jaki król czuł w głębi serca, ależ on powinien tylko czuć niezłomną wolę w dotrzymaniu swych obietnic, a nie było świętszych nad uszanowanie własności wszelkiego pochodzenia. Co zaś do przyszłości, nie przewidywano wcale, żeby emigranci mogli z niej ciągnąć więcej korzyści, ponieważ spodziewano się, że podatki będą obracane na potrzeby państwa.

Jak to widzimy raport był silny, surowy i zawierał naukę bardzo wyraźną, która wyżej sięgała jak ministra. To też pomimo iż zgromadzenie potwierdziło to sprawozdanie kommissji, zawahało się jednak gdy poruszono sprawę jego wydrukowania. Wedle przyjętego porządku, ogłoszenie sprawozdań drukiem było albo zwyczajne, odnoszące się do wszelkich rozpraw toczonych w izbie, albo nadzwyczajne, dozwalane tylko mowom wybranym przez izbę. Zgromadzenie nie ośmieliło się wyrzec, aby raport pana Bedoch podciągnięty został pod prawo nadzwyczajnego wydania.

Korzystając p. Ferrand z tego zawahania się izby, pomyślał, że to była właśnie stosowna pora do odpowiedzenia sprawozdawcy, a posługując się najbardziej wziętym dziennikiem stronnictwa rojalistów, dowodził w nim, że izba podziela jego zdanie, ponieważ nie zezwoliła na wydrukowanie mowy jego przeciwnika.

Zaledwie jednak ukazał się na świat ten artykuł, izba deputowanych zmieniła się nagle. Jeden członek kommissji odezwał się z trybuny, przypominając, że biura zażądały albo odparcia twierdzeń ministra, lub

też zupełnego ich usunięcia, że kommissja wypełniała tylko formalny rozkaz tych, co ją mianowali, że sprawozdawca był jej wiernym organem i że izba chcąc zbić zarzuty, jakie jej stawiano, winna była jawnie oświadczyć, że nie potwierdza rapportu, jak o tém wspominał ów dziennik. Izba oświadczyła się zaraz większością głosów, rozkazała wydrukować tak sprawozdanie jak niemniej i to ostatnie dowodzenie jej członka.

Powstały rozprawy nad projektem i trwały aż do końca Października, tak z jednej jak z drugiej strony gwałtowne wywołując mowy. Jeden członek z prawej strony (zaczynano już oznaczać stronnictwa podług miejsc jakie zajmowali w izbie), pan de la Rigaudie w gwałtownej mowie, przerywanej co chwila głośném szemraniem, wytoczył proces całej rewolucji i obudził takie wzburzenie, że policja zabroniła dziennikom dawania sprawozdań z całego posiedzenia. Odpowiedziano mówcy, ale na szczęście z wielkiém umiarkowaniem. Pan Durbach przedstawił izbie bardzo rozsądny wniosek, aby rząd objął wszystkie dobra niesprzedane dla zrobienia z nich podstawy obrotów skarbowych, w celu przysporzenia dochodów, któremi możnaby wspierać nie uprzywilejowane kasty emigrantów, lecz wszystkich, szczególniej zaś biedniejszych. Nie przyjęto tego projektu i głosowano za prawem z poprawkami poczynionemi przez kommissję; mowa pana Ferrand powszechnie naganioną została.

Dochodzenie na drodze sądowej broszury Carnota, rozmaite zdarzenia odnoszące się do inwalidów, sierot Legji honorowej, szkół wojskowych, przygody jenerałów Vandamme i Exelmans, podróże książąt, postępowanie z arcybiskupem w Besançon, prawo oddania dóbr niesprzedanych, wyrażenie pana Ferrand o *drodze prostej*, zajmowały wzburzone umysły przez cały Październik i Listopad. Po niejakiém uspokojeniu, które się objawiło skutkiem pierwszych rozpraw prawodawczych, a mianowicie po głosowaniu z szczególniejszą roztropnością i umiarkowaniem nad środkami skarbowemi, nastąpiło gwałtowne oburzenie, zupełnie równe zresztą w obudwu sprzecznych stronnictwach, w emigracyjném i rewolucyjném. Do tego ostatniego nie należeli w obecnej chwili sami tylko rewolucjoniści, jak naprzykład ci, których nazywano *głosującymi*, ale także urzędnicy państwa, wojskowi, liberalni umiarkowani i znaczna część mieszczaństwa, obrażonego roszczeniami szlachty i duchowieństwa. Dzienniki chociaż wstrzymywane przez cenzurę, głosiły jednak zasady jednych i drugich, czém Paryż był mocno ożywiony. Zima już nadchodziła, wiele osób powróciło do stolicy, a policja zajęła się śledzeniem ich, gdyż wielką w rządzie budzili nieufność. Byli to panowie: de Bassano, de Vicence, de Montalivet, de Cadore, de Rovigo, La Valette i inni, któ-

rzy nie robili spisków, ale żyli z sobą tylko i cieszyli się z niezręczności rządu, który uważali za nieprzyjacielsko dla siebie usposobiony. Z całego serca życzono sobie wydalić ich z Paryża, ale nie ośmielono się posunąć do tego kroku. Byli oni zresztą tak nieszkodliwi i nieśmieli, że książe Cambacérès, przyjmujący swoich przyjaciół tylko na obiady, z obawy aby nie obudzić podejrzeń, nie zapraszał nigdy wojskowych. Pewna okoliczność zaniepokoiła mocno policję i obudziła całą jej czujność, pomimo że w rzeczywistości nie miała ona znaczenia. Kilku marszałków, którzy zamiast siedzieć na prowincji przyjechali jeden po drugim do Paryża, zupełnie przypadkowo i bez najmniejszych zamiarów politycznych, nabawili strachu policję. Byli to marszałkowie: Suchet, Soult, Oudinot, Masséna, Ney. Marszałek Soult przyjechał z prośbą, i jak to później zobaczymy, nie był niebezpiecznym dla Burbonów. Marszałek Suchet dawniej głównodowodzący dwoma armjami hiszpańskiemi, znajdował się w Paryżu z powodu rozwiązania tych dwóch armji. Bardzo był spokojny i wskazywano go powszechnie jako najstosowniejszego na ministra wojny. Marszałek Masséna jak tylko otrzymał naturalizację, odjechał natychmiast do Prowancji, dokąd go wzywało otrzymane dowództwo. Marszałek Oudinot zabawił tylko kilka dni w Paryżu; a marszałek Ney najdłużej tu pozostał. Dwór więcej niż innym dogadzał temu marszałkowi i on chętnie to z początku przyjmował, ale nagle okazał niezadowolenie. Pochlebiał on sobie, że za wstawieniem się Ludwika XVIII i łaską Cesarza Aleksandra, potrafi utrzymać swe dobra po za granicami Francji położone, ale straciwszy nadzieję i pozostawszy tylko przy płacy do stopnia przywiązanej, a obarczony liczną rodziną, znalazł się w niedostatku. Wojna, która wydała mu się bardzo długą jak i tylu innym, była jednak źródłem sławy i majątku, czego się już teraz nie można było spodziewać; żałował jej nie przyznając się do tego i przekładał ją nad bezczynność połączoną z tylu goryczami. Pochlebstwa, któremi go zasypywano, ukazały się mu wkrótce w prawdziwém świetle: przebijała przez nie pogarda. Piękna i dumna jego żona, doznawała w Tuilleries od dam dworskich, mniej ostrożnych niż mężowie, nieprzyjemności, które mocno czuła, a które tém mocniej obraziły jej gniewliwego małżonka (1). Szczególna do tego okoliczność doprowadziła do najwyższego stopnia zły humor marszałka. Książe Wellington zostawszy ambasadorem angielskim w Paryżu, okazy-

(1) Wiarogodny świadek, a do tego człowiek godzien szacunku i wysokiego stanowiska, zapewniał, że widział w ręku pani marszałkowej Ney, list od jej męża, pisany z Lons-le-Saulnier w tym samym dniu, gdy opuszczał Burbonów i przechodził pod rozkazy Napoleona; a w liście następne znajdowały się słowa: „Moja przyjaciółko, nie będziesz już płakać wychodząc z Tuilleries"...

wał próżność, która była jedyną słabością jego silnej i prostej duszy. Napawał się z upodobaniem pośród dworu blaskiem swej sławy, podnoszonej jeszcze z przesadą przez stronnictwo rojalistowskie. W tej chwili wściekły gniew przeciw Anglji był ogólny, a przypisywano go traktatowi paryzkiemu. Zburzenie Waszyngtonu spalonego przez wojska angielskie (podczas wojny Anglji z Ameryką) rozjątrzyło wszystkie stronnictwa do tego stopnia, że musiano nawet powstrzymywać dzienniki rojalistowskie. Widziano nadto wojska angielskie przechodzące lądem z Bordeaux do Brukselli. Lord Wellington zdawał się im rozkazywać z samego Paryża, a publiczność czuła się tém mocno obrażona, jakby przeczuwała tak bolesną i szybko zbliżającą się przyszłość. Rzeczy doszły do tego stopnia, że policja była zmuszona czuwać nad lordem Wellington, dla zasłonięcia go od publicznej zniewagi. Marszałek Ney, porównywając zaniedbywanie jakiego zaczął doznawać na dworze, jak niemniej nieprzyjemności swej żony w Tuilleries, z uprzedzeniami, któremi obsypywano generała angielskiego, bolesnemi miotany był uczuciami. Ten człowiek, mówił on, gdy się wyrażał o Wellingtonie, był wprawdzie szczęśliwym w Hiszpanji skutkiem błędów Napoleona i naszych generałów, ale gdybyśmy się z nim jeszcze spotkać mogli w położeniu, w którémby los nie przygotował mu wszystkiego do odniesienia zwycięztwa, zobaczylibyśmy czém on jest rzeczywiście. Pochlebiać w naszej obecności tak zajadłemu nieprzyjacielowi Francji!... Szlachetny gniew marszałka posunął się tak daleko, że nie mógł go już ukryć, i skutkiem tego zbliżył się nawet do marszałku Davout, z którym był poróżniony od owej nieszczęśliwej bitwy pod Krasnoje. Marszałek Davout, jak to już powiedzieliśmy, żył samotnie w swych dobrach, w Savigny, opisał był całe swoje postępowanie w Hamburgu w treściwych pamiętnikach, w których wykazywał jak najwidoczniej niegodziwość potwarzy rzucanych na niego, i prosił króla o pozwolenie ogłoszenia ich publicznie. Król zamiast obejść się z tym dzielnym człowiekiem z godnością, jaka mu się słusznie należała, ograniczył się na powiedzeniu do ministra wojny, że powody wyrażone w pamiętniku były dosyć przekonywające, tak że marszałek nie zasługiwał na skarcenie (miano te szalone myśli), że zezwala na ich ogłoszenie, pozostawiając jednakże marszałka na wygnaniu, nieprzyznaném za rzeczywiste, w jakiém znajdował się Savigny. Zresztą marszałek sam oddalił się do Savigny i rzadko kiedy pokazywał się w Paryżu, gdyż tu otaczały go zwykle chmary szpiegów policyjnych.

Podobne postępowanie ze znakomitym obrońcą Hamburga, było jedną z głównych przyczyn rozjątrzenia wojskowych. Słusznie utrzymywali oni, że takie obejście się z zasłużonym bohaterem, było niegodném i ubli-

żającém dla całego wojska. Ney powtarzał to wszystkim i utrzymywał, że marszałkowie powinni byli zgromadzić się i zanieść przedstawienie do stóp tronu.

Dwór byłby z chęcią zmusił do milczenia tych, którym pochlebiał bez korzyści, ale nie śmiał używać tu siły. Zuchwałość stronnictwa emigracyjnego i jego żądza zemsty, nie wzniosła się jeszcze wtedy do sławnej głowy Neya! Trzeba było na to klęsk nowych i wielkich. Poprzestano tymczasowo na oddaleniu z Paryża jenerała Vandamme, który od czasu jak mu pokazano drzwi Tuilleries, odzywał się często bardzo nieoględnie. Nie uleczono jednak temi środkami choroby, w Listopadzie niespokojność zwiększała się codziennie. Pieniądze spadały, a pięć procentowa renta, którą plan skarbowy pana Louis podniósł z 65 na 78 franków, spadła znowu na 70, chociaż położenie finansowe polepszało się widocznie, gdyż podatki pośrednie zaczęły wpływać do kassy, i wypuszczone papiery na spłacenie długów były przyjmowane z bardzo małą stratą. Widać jednak, że zaufanie było silnie zachwiane i że polityka a nie stan skarbu głównie na ten stan wpływała.

Pan de Chateubriand, przeciw swemu zwyczajowi zaczął odzywać się z siłą, umiarkowaniem, rozsądkiem, starając się uspokoić stronnictwa i przekonać zarazem, że ich nadzwyczajne żądania były niesłuszne i niepodobne do urzeczywistnienia; że przeciwnie, słuszne wymagania były albo już urzeczywistnione lub też na drodze do tego; że powinni byli poprzestać na tém, przyczynić się nawet do wygranej w sprawie, w której wszyscy mieli wspólny interes: rojaliści, ponieważ to czynili dla Burbonów, rewolucjoniści i Bonapartyści znów dla wolności, jedynej ochrony praw i bezpieczeństwa powszechnego. Tym sposobem dawał wszystkim stronnictwom, a mianowicie swojemu tak mądre i zbawienne rady, jakie nawet do niego nie były podobne; artykuły swoje umieszczał zwykle w Journal des Débats, lub też wydawał broszury, które król chwalił publicznie. Nic jednak nie mogło uspokoić jakiegoś przestrachu, który opanował wszystkich i udzielał się wzajemnie.

Obydwom stronnictwom wydawało się, że obadwa knują przeciw sobie spiski i że wybuch co chwila może nastąpić. Bonapartyści, to jest wojskowi i rewolucjoniści zupełnie zgadzający się z nimi w nienawiści do Burbonów, byli przekonani, że już sprowadzono do Paryża do tysiąca pięciu set najdzielniejszych szuanów, z których pomocą zdołają oddalić króla pod pozorem podróży do Compiègne; że następnie zmienią rząd, zniweczą kartę, uwięzą najznaczniejszych z pomiędzy wojskowych i rewolucjonistów, w zamiarze stracenia głównych dowódzców, a wygnają innych by z wszelką łatwością można było ogłosić zupełne przywrócenie da-

wnego stanu rzeczy. Ze swej zaś strony rojaliści, którym przypisywano podobne zamiary, byli przekonani, że młodzi jenerałowie, a było ich pełno w Paryżu, znajdując pod rozkazami kilka tysięcy oficerów i licząc na przyłączenie się do nich wojska, zamierzali o gwałtownem wystąpieniu, ujęciu rodziny królewskiej, wymordowaniu lub posłaniu jej na wygnanie, o podobném postąpieniu ze starą szlachtą, o ogłoszeniu Napoleona I lub Napoleona II i rozpoczęciu na nowo panowania cesarskiego, rzucając się na Europę, aby ją złupić raz drugi, a to wszystko na korzyść pokolenia Mameluków stworzonego przez wojnę, choć mogło się ono cieszyć pokojem. Podług ich twierdzenia, ten wielki spisek ukartował Napoleon z Muratem, którzy obecnie pogodzili się i opłacali swemi skarbami wszelkie tajemne knowania. Domysły ściągające się do Napoleona nie miały granic, równie jak mniemanie o jego nadzwyczajnej czynności i wpływie. Nigdy on nie był tak wielkim w wyobraźni ludzi, jak wtedy, kiedy za całe schronienie służyła mu mała i nędzna wysepka, bo chociaż zajadłość stronnicza przedstawiała go za największego nędznika bez genjuszu i odwagi, to przecież przestrach malował go jako niezmordowanego olbrzyma, nie wyczerpanego w środkach i zawsze gotowego do przewrócenia świata. Mówiono że zabrał z sobą skarby do Porto-Ferrajo i że ztamtąd kierował wszelkiemi spiskami, jakie się knuły w Europie, mianowicie w Wiedniu, gdzie zgromadzili się obecnie wszyscy władcy na kongres. Utrzymywano koniecznie, że podsycał tam ogień niezgody, podtrzymywał siłą genjuszu nieudolność swojego teścia i zamierzał stanąć na czele wojsk austrjackich, aby uderzyć na Burbonów francuzkich i hiszpańskich. Czasami znowu utrzymywano, że umknął z wyspy i dowodzi wojskami amerykańskiemi przeciw Anglji, lub tureckiemi przeciw Europie, albo też neapolitańskiemi przeciw Austrji, bo podobne sprzeczności nic nie kosztowały. Jedném słowem widziano go wszędzie, i trwoga jego nieprzyjaciół wynagradzała usiłowania czynione przez nienawistnych i dążących do jego poniżenia.

Ale ileż było prawdy w tych nieskończonych spiskach, które przypisywali jedni drugim? Wszystko i nic: wszystko, jeżeli będziemy uważać za spisek próżne mowy stronnictw; nic, jeżeli za prawdziwy spisek przyjmiemy jedynie zamiary dobrze obmyślane, wiadome tylko naczelnikom, a których wolę wypełniają związkowi porozumiewający się z sobą, zaopatrzeni w dostateczne środki dla dojścia do celu, z oznaczeniem lub przynajmniej gotowością do naznaczenia dnia wybuchu. Podobne nie istniały wcale. Wszystkiem było wiadomo, że gdyby tylko rojaliści mogli, bezzawodnie zniweczyliby kartę, i że jeżeli byliby tak źli jak o nich mówiono, to uwolniliby się od głównych przywódzców wojska i rewolucji.

Mniej jednak od swych przeciwników posiadali oni środków, a szczególniej mniej odwagi do stanowczego działania, a ztąd poprzestawali na niedorzecznych mowach, które gdy doszły do uszów Bonapartystów lub rewolucyonistów, przejmowały ich niezmyśloną obawą. Bez wątpienia że gdyby to było w mocy Bonapartystów i rewolucyonistów, byliby niezawodnie pochwycili rodzinę królewską i dwór i zrobiliby wszystko, aby się od nich wyswobodzić. Prawdą jest, że gdyby byli mogli porozumieć się, zgodzić i pokierować sobą, mogliby zrobić wszystko coby tylko chcieli, bo cała ludność była za nimi. Nieulega wątpliwości, że czując coby uczynić mogli, głosili bez najmniejszego zastanowienia, że to zrobią i przez to nieumiarkowanie języka czynili się o tyle zatrważającymi o ile wrzeczywistości byli bezsilnymi. Wszystkie stronnictwa mogłyby były odzyskać zupełną spokojność, gdyby umiały poznać wzajemnie swoje prawdziwe położenie, ale podług zwyczaju sądzono o zamiarach z nieoględnych mów i z wspólnej wszystkim obawy. To też i jedna i druga strona miała się na ostóżności. Często wojskowi przepędzali noce bezsenne, zupełnie uzbrojeni, będąc przekonani, że ich mają napadać! Ze swej strony strwożona policja nabawiała popłochem władze, które natychmiast uzbrajały gwardję narodową, kompanie gwardji przybocznej, zgoła wszystkie siły, któremi mogły rozporządzać, wyjąwszy jednak załogi, której nie ufano. Całe noce trawiono nieraz na takiej gotowości wojennej (1). W Listopadzie zdarzały się takie noce, że setkami krążyły po ulicach patrole, a powód do nich dawał jedynie jakiś ogólny paniczny przestrach, który coraz bardziej zmniejszał zaufanie, a ztąd spadała wartość papierów ze szkodą obrotów handlowych.

Policja główna, to jest rządowa, podzielała ten powszechny popłoch, zachowując przecież wielkie umiarkowanie pod kierownictwem pana Beugnot, który w raportach swoich starał się uspakajać króla, czemu też ten chętnie wierzył skutkiem wrodzonego lenistwa i upodobania w spokojności. Ale brat królewski nie mógł w żaden sposób usiedzieć spokojnie, a jego policja podzielała również to usposobienie i przekonywała, że się znajdowali nad wulkanem gotowym do wybuchu, że policja rządowa była niezdatna a nawet zdradliwa, i że zaślepienie jej doprowadzi do tego, iż prąd rewolucyjny opanuje Paryż. Książe udał się do króla starając się go przekonać, że mu źle służono i że co chwila należało obawiać się nowej klęski. Król nie chciał tego słuchać i przekonywał

(1) Nic nie może być ciekawszego nad raporta policyjne z tego czasu składane przez pana Beugnot. Z nich się przekonywamy, że Listopad był miesiącem fałszywego przestrachu i sprowadził zmianę ministerjalną o której mówić będziemy.

brata że jest oszukiwany przez intrygantów, ale napastowany ciągle, ulegał w końcu i sam tej nieustającej trwodze i wpadał w rodzaj niepewności.

Synowcowie jego, którym więcej ufał niż bratu, podzielali zdanie hrabiego d'Artois i utrzymywali, że rzeczy stały źle i że trzeba było starać się zapobiedz temu jakim sposobem. W tém jednak największa leżała trudność. Zapewnie że rzeczy źle stały, a lekarstwo na to znajdowało się tam, gdzie go rząd nigdy nie szukał, to jest w powstrzymaniu się od własnych upodobań, a mianowicie w niedogadzaniu tak bardzo swym przyjaciołom. Tym sposobem z łatwością można było uspokoić cały naród, który zwykle przeciwnym bywa wszelkim stronnictwom, szukając jedynie dobra powszechnego. Wystrzegano się przecież podobnych rozumowań i całą winę zwalono na tych, którzy rządzili, to jest na ministrów, uważanych powszechnie za sprawców wszystkiego, co się dzieje w państwie wolném, albo prawie wolném. Utrzymywano, że pomiędzy ministrami nie ma zgody, co było prawdą; ale przepominano, że dla jedności w gabinecie niezbędném było utworzenie ministerjum konstytucyjnego, to jest, aby ono było jedyną radą państwa, z przybraniem do niej jednego lub najwięcej dwóch mężów zaufania i wyłączeniem z niej zamięszanie tylko sprawiających książąt. Dalekim był rząd od pomyślenia nad tém, a ztąd czepiano się nie rady i jej składu, ale ministrów w szczególności, a szczególniej ministra wojny. Zarzucano mu bowiem, że nie umie utrzymać wojska; że nie ma nad niém wpływu i nie jest zdolny ani do okazania mu swej władzy, ani też do zaspokojenia jego wymagań! Taka to zwykle bywa nagroda słabych ministrów. Jenerał Dupont był równie nieszczęśliwy na swém stanowisku ministra jak niegdyś wodza w Hiszpanii, a chociaż rozsądny, najlepszemi ożywiony chęciami, ochraniający ile możności swych dawnych towarzyszy, ukrywający ich nierozwagę, wreszcie usiłujący zadowolnić tak ich jak i emigrantów, to przecież ściągnął na siebie tylko niezadowolenie jednych i drugich. Gdyby był nawet ani jednego nie popełnił błędu, co było niepodobieństwem w jego położeniu, to zawsze z trudnością przyszłoby mu jeszcze zaspokoić żądania wojska, które musiało koniecznie doznać we wszystkiem uszczuplenia i uledz nowej formie rządu, nieodpowiadającej jego wyobrażeniom. Popełnił on wiele błędów i to ważnych, lecz któż go do tego zniewolił? Ciż sami książęta, którzy go teraz obwiniali. Przecież to oni sami wymagali utworzenia straży przybocznej, rozsypywali stopnie i ordery pomiędzy emigrantów i t. p. To też kiedy ukazał się przewidziany i nieunikniony skutek tych błędów, książęta obwiniali o nie ministra, który je przecież popełnił za ich namową. Dowodzono ztąd, że

niebezpieczeństwem groziło pozostawienie nadal wojska pod jego rozkazami. Król nic nie miał przeciw temu do zarzucenia, nie wiedząc co się dzieje i zdawał się dosyć ufać swoim synowcom, którzy się do tej sprawy bardzo mięszali.

Był jednak przedmiot, o którym z niechęcią słuchał uwag jakie mu robiono, już to dla tego, że takowe pochodziły od jego brata, już też z powodu, że dość posiadał zdrowego sądu do przekonania się o całej ich bezzasadności. Mówiono mu, że policja była w bardzo złym i opłakanym stanie, że pan Beugnot, o którego rozumie nie powątpiewano, nie znał się na tém zupełnie; że Bonapartyści oszukiwali go i że on z kolei oszukiwał mimo woli króla i gubił państwo. Te czcze gądaniny zniecierpliwiły Ludwika XVIII, gdyż odbijał się w nich wyraźnie hrabia d'Artois, zawsze gotów do mięszania się do interesów i zawsze oszukiwany przez intrygantów wszelkiego rodzaju. Król odczytywał regularnie raporta pana Beugnot, zawsze dowcipne i zabawne, zręcznie pochlebiające i będące żywym obrazem współczesnych. Zdrowy rozsądek kazał mu je uważać za prawdziwe, złośliwość napawała się ich dowcipem, a miłość własna mogła być z nich także mocno zadowoloną. Ale książe chciał koniecznie przekonać brata, że pan Beugnot zajmował go jedynie plotkami i że jeden tylko człowiek w całej Francyi był zdolny do kierowania policją i do ocalenia władzy królewskiej, gdyby mu zupełnie zaufano. Któżby wierzył, że tym człowiekiem był królobójca Fouché? Książe, który chociaż nikogo nie znienawidził, nie umiał jednak oddać nigdy nikomu sprawiedliwości, a to z powodu braku roztropności i bezstronności, stał się nagle dla pana Fouché nie tylko bezstronnym, ale nawet pobłażającym i przyjacielskim. Ten, jak to już powiedzieliśmy, nie był obecnym w Paryżu w czasie wybuchnięcia rewolucji w 1814 roku, więc chciał później odzyskać swój wpływ, mięszając się wszędzie gdzie tylko mógł. Kiedy książe chciał uzyskać od senatu namiestnictwo królestwa, znalazł księcia d'Otrante nadzwyczaj usłużnym, nadskakującym, zręcznym i bez żadnej nienawiści dla Burbonów, chociaż należał do liczby królobójców, gdyż starał się podobać Burbonom i zarazem oddać usługi senatowi przez wybawienie go z kłopotu. To też hrabia d'Artois najlepsze zaraz o p. Fouché powziąwszy wyobrażenie, uczuł do niego niezwyciężony pociąg. Usposobienie to było potwierdzone stosunkami ajentów pawilionu Marsan. Między tymi ludźmi znajdowało się prostém następstwem rzeczy kilku rojalistów, lecz po większej części byli to służalcy rozmaitych rządów, używani do posług przez różne policje i wydalani skoro te wyciągnęły z nich wszelkie możebne usługi. Gotowi zawsze do ofiarowania swej wiernej służby pierwszemu lepszemu, w naj-

wyższym stopniu spodleni i do tego stopnia bezecni, że uczciwy człowiek zada się z nimi tylko wówczas, gdy jest obowiązany czuwać nad bezpieczeństwem kraju, i pogardza nimi natychmiast skoro tylko cel zamierzony osiągnie, stanowili przyboczną policję hrabiego d'Artois. Pan Fouché, zamiast unikania tych szkaradnych ludzi, miał upodobanie w ich towarzystwie, wiecznie był nimi otoczony, żywił ich własnym kosztem, kiedy nie pobierał potrzebnych na to pieniędzy ze skarbu państwa i tym sposobem nabywał prawdziwych i fałszywych wiadomości, nie umiejąc nigdy odróżnić jednych od drugich, a do podobnego rodzaju plotek dodawał zwykle rzeczy jak najpewniejsze, których dowiadywał się odwiedzając panów Carnot, de Lafayette, de Blacas, de Bassano, nawet ministrów zagranicznych, którzy z swej strony przypuszczali pana Fouché do siebie w nadziei dowiedzenia się czegoś, coby na korzyść swych rządów obrócić mogli. Takim to sposobem książe d'Otrante przybierał na siebie pozory czarodzieja, który wszystko wiedział, wszystkiém kierował i miał w swém posiadaniu tajemnicę, zaufanie i życzenia wszelkich stronnictw, a ztąd posiadał niby możność ich powstrzymania lub rozwiązania wedle swej woli, jedém słowem był jakby królem tego chaosu, w którym on sam tylko był w stanie panować.

Ajenci ci, którymi się brzydziła i odpychała urzędowa nawet policja, chętnie przyjmowani byli w pawilonie Marsan, gdzie ciągle śpiewali przed hrabią d'Artois hymny pochwalne na cześć pana Fouché i w końcu zdołali go nakłonić do tego, że go książe przyjął u siebie. Do podobnego kroku głównie skłoniła księcia niepohomowana skłonność do intryg, a rozmowa z panem Fouché do reszty go oczarowała. Zamiast chełpić się z królobójstwa jak Carnot, Fouché przeciwnie okazał się pokornym i żałującym, pełnym uszanowania i uległości; uręczał, że chce z całego serca naprawić popełnione winy podtrzymując i ocalając Burbonów i tym sposobem podbił zupełnie księcia, a swą szczególną znajomością rzeczy i ludzi, wydał mu się jako jedyny zbawca, któremu należało powierzyć losy państwa. Tak więc hrabia d'Artois, bożyszcze najzagorzalszego rojalizmu, zniżył się aż do królobojcy, wynalazł intryganta bez żadnych zasad i powierzył mu swe zaufanie, którego odmawiał najczcigodniejszym przyjaciołom wolności. Powziął zamiar wykierowania księcia d'Otrante na ministra policji i zrobił mu już w tym względzie pewne nadzieje. Oddalając się od hrabiego d'Artois, książe d'Otrante był przepełniony radością, czego przed nikim nie ukrywał, jak również nadziei zostania wkrótce ministrem. Ale książe nadto się chełpił, bo nie rozporządzał wcale tekami ministerjalnemi, a jego zaufanie zamiast mu zjednywać Ludwika XVIII, coraz go bardziej oddalało. Kilka razy obiecywana teka

nie przybywałe, co obraziło do tego stopnia pana Fouché, iż zaczął rozgłaszać po Paryżu, że mu ofiarowano ministerstwo policji ale go nie przyjął. Pan Beugnot opowiedział Ludwikowi XVIII bardzo zręcznie najdrobniejsze szczegóły, a król drwił sobie z brata, choć gniewał się za jego wielce nieprzyzwoite stosunki.

Najbardziej powstawano u dworu na dwóch ministrów: wojny i policji; ten ostatni był tylko dyrektorem jeneralnym, z tytułem ministra stanu. Król, który lubił spokój a nie cierpiał zmiany, pojmował dobrze, że w proponowanych mu środkach było więcej niebezpieczeństwa niż pożytku, rozprawiał często o tych ciągłych napastowaniach z panem de Blacas, który był zawsze jednego z nim zdania, bo pan de Blacas miał rozum pomimo swoich namiętnych przekonań i zresztą podzielał z chęcią zdanie swego pana. Jednakowoż nadto był szczerym, aby miał ukrywać prawdę przed królem i nie dać mu poznać, że skarżono się bardzo na ministra wojny i dyrektora policji. Król był w niepewności i byłby niezawodnie mocno tém wzruszony, gdyby wrodzona ociężałość nie uspokajała drzemiącej duszy.

Cały Listopad przeszedł na tych wewnętrznych wahaniach, to w tę to w ową stronę, co się jednak nie dawało czuć publiczności, aż dopiero 30 Listopada, we Środę, kiedy król miał się udać z wielką okazałością na przedstawienie do Odeonu, policja hrabiego d'Artois pośpieszyła ze złożeniem raportu w Tuilleries, że tego samego dnia miał wybuchnąć spisek. Miał się on zasadzać na pochwyceniu rodziny królewskiej, którą związkowi zamierzali utopić w Sekwanie lub też wywieść za granicę, następnie rząd opanować. Kilkuset ludzi śmiałych i odważnych mieli zrobić napad. Było to za zgodą naczelników stronnictw, którzy już wszystko przygotowali, ażeby nie tracić korzyści z następstw dokonanego czynu. Policja rządowa nic o tém nie wiedziała, co dla rojalistów było jedną więcej przyczyną do zupełnego wierzenia temu doniesieniu. Marszałek Marmont objął służbę przy królu z swoją kompanią gwardji przybocznej. Był on równie łatwowierny jak lekkomyślny, a nadto nie cierpiał jenerała Dupont, ponieważ minister ten zajmował miejsce, które on uważał za należne sobie, a nadto, że miał niepewną nadzieję zastąpienia go kiedyś. To też był jednym z powtarzających najczęściej, że wojsko nie było jak należy kierowane i że pozostawało na łasce spiskowców. Rano w dniu o którym mowa, przebudzony przez jednego z tych usłużnych ajentów, którzy zwykle mięszają sen dworu, i dowiedziawszy się o mniemanym spisku, z oznaczeniem wybuchu na wieczór, pobiegł co tchu do króla, starając się okazać mu swoje poświęcenie, nie wzbudziwszy w nim jednak ani trwogi ani wdzięczności dla siebie, ponieważ Ludwik XVIII nie zu-

pełnie dowierzał głoszonemu niebezpieczeństwu. Marszałek kazał siąść na koń swojej gwardji przybocznej, uwiadomił jenerała Maison dowodzącego pierwszą dywizją wojskową i jenerała Dessoles dowodzącego gwardją narodową, którzy poruszyli natychmiast swe wojska; ale nie doniósł ani słowa ministrowi wojny, który powinien był być najpierw uwiadomiony. Główne znakomitości dworu przywdziały mundury wojskowe zaopatrzyły się skrycie w broń rozmaitego rodzaju, i przybyły do Odeonu uzbrojone od stóp do głów. Ulice były napełnione wojskiem, loże mundurami, i mogło się wszystkim wydawać, że są nie na przedstawieniu teatralnem ale gdzie w koszarach. Jeden tylko człowiek ukazał się zupełnie czarno ubrany wpośród mundurów, a tym był właśnie minister wojny. Zdawał się nic wcale nie wiedzieć, a jego postawa obojętna, prosta, okazująca zupełną niewiadomość, jeszcze bardziej oburzyła nadskakujących, przerażonych i ostróżnych.

Jak zwykle nie oszczędzano oklasków dla króla, który powrócił nie doznawszy ani napadu ani najmniejszej obrazy. Ciekawi, czatujący na wiadomostki, śmieli się nazajutrz z tego wielkiego popłochu, ale ci, którzy mniemali, że uratowali życie króla, a na ich czele marszałek Marmont, oburzali się na niedbalstwo ministra wojny i dyrektora policji. Cały dwór był w rozkiełznaniu, a że zwykle po wielkich wzburzeniach zmiany sprawiają ulgę, więc i teraz wymagano przynajmniej zmienienia ministrów. Synowcowie króla żądali koniecznie innego ministra wojny, a brat królewski innego dyrektora policji. Król znużony tém dokuczaniem dał się wreszcie przekonać, że groziło mu rzeczywiście niebezpieczeństwo, ustąpił i zgodził się na dwie żądane zmiany.

Co do policji nie chciał nawet słyszeć o księciu d'Otrante i pozostawiając tę część administracyi pod dotąd używaną nazwą dyrekcji jeneralnej, powierzył ją panu André, nigdyś członkowi zgromadzenia konstytucyjnego, urzędnikowi światłemu, pracowitemu, rozsądnemu, który był korrespondentem Burbonów podczas ich pobytu w Anglji, co dawało dobrą otuchę stronnictwu emigracyjnemu. Ale czyniąc zadość żądaniu swego brata, przez oddalenie pana Beugnot Ludwik XVIII nie miał wcale zamiaru robić ofiary z tego wiernego sługi; przeciwnie, chciał go wywieść i powierzył mu ministerstwo marynarki, które właśnie wakowało po śmierci pana de Malouet, człowieka znakomitego i godnego żalu. Tym sposobem pan Beugnot był podwójnie wynagrodzony za swoje dowcipne i mądre raporta, bo go uwolniono od policji a zrobiono ministrem z teką.

Trzeba było wynaleść ministra wojny. Wojska miały wówczas dwóch ludzi posiadających w najwyższym stopniu przymioty niezbędne dla ministra i łączących w sobie władzę moralną ze zdolnościami administracyj-

nemi; byli to marszałkowie Davout i Suchet. Marszałek Davout, znienawidzony przez wszystkich za granicą i przez emigracyę, znajdował się na wygnaniu, a zatem nie mógł być powołanym, o czém nawet nie pomyślano. Marszałek Suchet, z wrodzonego mu usposobienia skłonny do rządu umiarkowanie liberalnego, którego Burboni mogli być we Francyi twórcami, był nawet dosyć lubionym i często wskazywany jako odpowiadający zadaniu ministra wojny. Nie wiedząc nawet o tém, wchodził zawsze w skład gabinetu, przedstawionego hrabiemu d'Artois przez księcia d'Otrante. Lecz nie lubiąc narzucać się, nie okazywał nigdy u dworu chęci zjednania sobie jakichś względów. Udało się to jednak człowiekowi, o którym nie marzono nawet, to jest marszałkowi Soult. W obecnej chwili był on bożyszczem stronnictwa rojalistów, tak jak pan Fouché koteryi hrabiego d'Artois. Oto jakim sposobem doszedł tak wielkiej łaski.

Obarczany bardzo niesprawiedliwemi wyrzutami, że stoczył bitwę pod Tuluzą w czasie zupełnego pokoju, gdyż wydając ją nic nie wiedział o wypadkach zaszłych w Paryżu, po przybyciu tutaj okazywał widoczne swe niezadowolenie i to w sposób bardzo śmiały, nie przebierając w wyrazach. Jenerał Dupont, starając się ile możności zjednać przeciwników Burbonów, przyjął i wysłuchał marszałka Soult, zrobił mu nadzieję i tym sposobém wrócił mu nieco spokojności. Potem minister ten chcąc swe dzieło doprowadzić do końca, postanowił dać dowództwo marszałkowi Soult, ażeby go przywiązać stanowczo do Burbonów i zamierzając pierwiastkowo wysłać go do Alzacyi, namyśliwszy się lepiej przeznaczył do Bretanii, gdzie nie zupełnie pewnego wodza można było dobrze wypróbować. Wierność tej prowincyi była tak wielką, że uprzedzała wszelkie niebezpieczeństwa i dopiero o tym, który miał z nią styczność, można było sądzić czy był rzeczywiście nawrócony. Wyrachowanie ministra wojny najzupełniej się udało. Marszałek Soult otoczony najgorliwszymi rojalistami, potrafił wszystkim uczynić zadość i wkrótce wyrównał im wszystkim pod względem wyznawanych zasad, dobrowolnie głosząc, że od dwudziestu pięciu lat dobra sprawa była po stronie Burbonów i że wszyscy ci, którzy służyli innej, zostawali w błędzie, co było jednak do poprawy obecném poświęceniem bez granic. Nie poprzestał na tém, zwiedził pole bitwy pod Quiberon, gdzie mu się zdawało, że widział kości niepochowane, co się zdarza czasem na miejscach walki. Otworzył więc składkę na wzniesienie pomnika oficerom francuzkim, w bitwie tej poległym. Zapewnie że godni byli pożałowania poczciwi ludzie, którzy robiąc tak zły użytek ze swej odwagi, stracili życie na tych smutnych wybrzeżach Quiberonu, ale nie należało obudzać podobnego wspomnienia w obe-

cnej chwili, mianowicie zaś, żeby do tego był bodźcem nowy guberna natór Bretanii.

Zarówno wielkie okazało się zadziwienie wojska jak i zadowolenie rojalistów. Marszałek Soult bowiem kosztowną był zdobyczą. Wydalony z izby parów razem z marszałkami: Massena i Davout, przybył do Paryża starać się o tę godność, skutkiem otworzenia składek na pomnik w Quiberon. Starzy towarzysze bardzo źle, ale za to dwór najlepiej go przyjął. Oczekiwał na łaski rządu, gdy zawakowała teka ministerstwa wojny. Jednomyślnie postanowiono mu ją powierzyć, pomimo starań Marmonta, o którym nikt nawet na prawdę nie pomyślał. Marszałek Soult łącząc z wytrwałą pracą postawę dowódzcy i stałość, zdawał się najbardziej odpowiednim do zajęcia stanowiska ministra wojny. Mianowany więc został, co dla publiczności było niespodzianką a dla dworu radością nadzieją.

Wszystkie te mianowania ogłoszone zostały postanowieniem królewskiem w dniu 4 Grudnia. Rzecz dziwna, ale zupełnie odpowiednia onym czasom, i która zarazem dokładnie przedstawia jak pojmowano wówczas rząd konstytucyjny, że o tych zmianach ministerjalnych rada królewska nie wiele prędzej dowiedziała się od publiczności. W imieniu króla pan de Blacas uwiadomił o tém swych towarzyszy, którzy się zadziwili, nieobawiając jednak o naruszenie harmonii gabinetu. Pan de Talleyrand, główna podówczas znakomitość rządowa, który powinien był należeć do narad nad zmianą ministrów, a który o niej dowiedział się przecież dopiero po dokonaniu, wyjechał był już na kongres do Wiednia, przeto wysłanym przez pana de Blacas gońcem uwiadomiony został. Nakoniec Ludwik XVIII odrazę mając do wszelkich zwierzań, gdyż te zakłócały upodobanie jego w spokoju, a nadto drażniły jego powagę królewską, sam ani słowa nie wyrzekł do jenerała Dupont. Od czasu sceny w Odeonie unikał spotkania się z nim i już to wymawiając się jaką dolegliwością, już potrzebą przechadzki, nie wpuszczał do siebie, a w dniu 3 Grudnia przez pana de Blacas zażądał zwrócenia teki ministerstwa wojny, wynagradzając jenerała pensją 40 tysięcy franków wynoszącą i dowództwem na prowincji. Wywiązał się z tego pan de Blacas i zadziwił nadzwyczaj jenerała, gdy mu doniósł o zmianach ministerjalnych, o jego następcy w ministerstwie wojny i o niespodziewanem uwolnieniu od obowiązków.

Takim to sposobem zakończyło się to przesilenie przez usunięcie ministra wojny, któremu przypisywano złe usposobienie wojska, i przez zmianę dyrektora policji, który nie chciał wierzyć, aby istniały jakie

spiski. Jak to zwykle dzieje się w podobnych wypadkach, nastąpiła potem cisza aż do czasu, w którym przekonano się o bezskuteczności lekarstwa i w którym sprawdziła się smutna przepowiednia Napoleona, że *Burboni pogodzą Francję z Europą, ale też zakłócą ją na wewnątrz.*

KSIĘGA PIĘĆDZIESIĄTA SZÓSTA.

KONGRES WIEDEŃSKI.

Położenie Europy od czasu pokoju paryzkiego. — Niezadowolenie prowincji belgijskich i nadreńskich, wcielonych do krajów protestanckich i ugniatanych przez wojska cudzoziemskie. — Zamięszanie grożące Niemcom. — Ludy napróżno oczekują przyrzeczonej im wolności, a małe państwa obawiają się, aby nie zostały pochłonięte przez wielkie. — Ogólne zaburzenie w Szwajcaryi, spowodowane walką między dawnemi i nowemi kantonami.— Smutne położenie Włoch. — Zły rząd króla piemonckiego i nadużycia władzy papiezkiej w Rzymie. — Odwołanie konkordatu francuzkiego prawie dozwolone, ale odroczone. — Zdziwienie Murata że zajmuje dotąd tron neapolitański i niezadowolenie władców że widzą go jeszcze na nim. — Położenie Hiszpanii. — Zdradzieckie i okrutne postępowanie Ferdynanda VII. — Ferdynand odstępuje przymierza zawartego z rodziną dla przypodobania się Anglikom. — Podczas tak męczącego stanu w całej Europie, sprzymierzeni monarchowie uczestniczą na świetnych ucztach w Londynie.— Ponowili obietnicę pozostania nadal zjednoczonymi, nie porozumiawszy się jednak pod względem punktów spornych. — Kongres wiedeński odroczony od Września. — Usposobienie jego. — Dwóch tylko panujących t. j. Cesarz Aleksander i król Fryderyk Wilhelm przybywają tam w zupełnej zgodzie i ściśle połączeni. — Utrzymują że Europa wszystko im jest winna i za to jeden chce zabrać całą Polskę a drugi Saksonję. — Anglia nie przewiduje zupełnie tego zamiaru, Austrja go odkrywa ale zamilcza w nadziei, że go zdoła obalić nie zrywając jedności europejskiej. — Korzyści jakie ztąd mogła mieć Francja, gdyby nie była przybyła bez żadnych zobowiązań do Wiednia i nie podpisała traktatu z 30 Maja. — Pozostawiona wolność działania p. de Talleyrand.— Król wkłada tylko na niego jeden obowiązek, aby usunął Murata od neapolitańskiego tronu. — Odjazd pana Talleyrand w towarzystwie księcia Dalberg. — Jego niecierpliwość do odgrywania wielkiej roli i powzięty zamiar ugruntowania swej polityki w Wiedniu na zasadzie prawowitości. — Wejście uroczyste sprzymierzonych władców do stolicy Austryi. — Pyszne i kosztowne przyjęcie ofiarowane im przez cesarza Franciszka w pałacu Schoenbrunn. — Zamiary Prus i Rossyi co do Saksonii i Polski wkrótce poznane przez wszystkich, stają się przedmiotem ogólnych rozpraw. — Oburzenie książąt niemieckich na te roszczenia. — Kłopoty Anglii i Austryi niespokojnych o utrzymanie przymierza zawartego w Chaumont. — O ile więcej związek jest zagrożony, o tyle bardziej pokazują wiarę w jego utrzymanie i przyrzekają utrzymanie go.— Tajemna umowa Austryi, Anglii, Rossyi i Prus, ażeby same i wyłącznie kierowały swemi sprawami, przypuszczając do obrad inne mocarstwa tylko na pozór. — Ta umowa zostaje wkrótce odkryta

i staje się powodem nowej krzywdy wyrządzonej państwom drugorzędnym, które obawiają się, ażeby to wyłączenie nie było środkiem do ich poświęcenia. — Poselstwo francuzkie oburzone nie poprzestaje na oświadczeniu się przeciw zamiarom wyłączenia, ale ujmuje się natychmiast za Saksonją, co się sprzeciwia widokom Rossyi i Prus. — Prusy mszczą się utrzymując, że Francja chce zagarnąć napowrót granice Renu. — Oświadczenia bezinteressowności, do których jest zmuszone poselstwo francuzkie, ażeby naprawić skutek sprawiony zbyt nagłém postępowaniem. — Gniew Aleksandra mianowicie do pana de Talleyrand. — Widzenie się tego monarchy z pełnomocnikiem francuzkim. — Po kilku tygodniach straconych na układach i cierpkich gadaniach podniósł się ogólny okrzyk z żądaniem zwołania kongresu. — *Czterej*, to jest Austrya, Anglia, Rossya i Prusy czując niebezpieczeństwo tak ogólnego i rychłego zebrania, występują z wnioskiem odroczenia na miesiąc kongresu, przez co odwlokłby się do 1go Listopada, pod pozorem aby mieć więcej czasu do zbadania kwestyi. — Pan de Talleyrand staje na czele opierających się temu. — Żąda bezzwłocznego połączenia kongresu w ogólne zgromadzenie i korzystając ze sposobności chce wymódz przyjęcia posła króla Saskiego, a odrzucenie neapolitańskiego, tym sposobem rozwiązałoby się natychmiast dwie najważniejsze kwestye obecnej chwili. — Żywy opór ze strony *czterech*. — Po kilku dniach układają się i odraczają kongres do 1go Listopada, obiecując połączyć go w tedy całkowicie, i używają wyrażeń, które robią nadzieję *poszanowania prawa publicznego*. — Po zniweczeniu zamiarów wyłączenia, poselstwo francuzkie zamiast powstrzymać się chwilowo od mięszania do sprawy saskiej, oświadcza się coraz silniej. — Rossya i Prusy oświadczają się z swej strony z nadzwyczajną wyniosłością. — Czynność małych państw, mianowicie Bawaryi. — Jej związek z poselstwem francuzkiém. — Wzrastający kłopot Austryi i Anglii. — Lord Castlereagh obawiając się poróżnienia z Prusami, których potrzebuje do swej polityki względem Niderlandów, chciałby im oddać Saksonię dla ocalenia Polski. — Meternich, który przeciwnie wolałby ocalić saksonię niżeli Polskę, nie pochwala tej taktyki, ale zezwala na próbę w nadziei że się nie uda, bo Fryderyk Wilhelm nie będzie się uważał za zupełnie zadowolonego jeżeli nim równie nie będzie Aleksander. — Lord Castlereagh występuje śmiało naprzód. — Jego żywe rozmowy z Aleksandrem, po których następują silne i cierpkie noty. — Bawarya ciągle najczynniejsza waha się mówić o wojnie i wspomina Austryi, że trzeba pomyśleć o zbliżeniu się do Francyi i zawrzeć z nią przymierze. — Metternich, który obawia się rozdzielenia, utrzymuje że Francya nie ma już wojska. — Bawarya donosi o tém poselstwu francuzkiemu, chcąc w niém obudzić punkt honoru. — Pan Talleyrand prosi Ludwika XVIII ażeby nakazał uzbrojenia. — Rozprawy nad tym przedmiotem w radzie królewskiej. — Minister finansów decyduje się dać do pięćdziesięciu miljonów na stosowne uzbrojenie wojska francuzkiego. — Wielkie zadowolenie pana Talleyrand i pośpiech w ogłoszeniu uzbrojeń Francyi. — W tymże czasie walka w Wiedniu trwa ciągle równie zajadła. — Książe Metternich zmuszony uledz lordowi Castlereagh radzi Prusom nie przyjmować Saksonii w ich własnym interesie, ale skłania się na oddanie jej pod warunkami, na które Prusy nie mogą przystać. — Rozgniewany Aleksander okazuje, iż będzie stawiał czoło wszystkiemu: oddaje zajmowaną przez swe wojska Saksonię Prusakom i wszystkie swe siły skupia nad Wisłą. — Oburzenie w Wiedniu i ogólne życzenie zebrania kongresu 1go Listopada. — Gwałtowna sprzeczka Aleksandra z Metternichem. — Zebranie się kongresu w oznaczonym czasie. — Ośm podpisanych państw na traktacie paryzkim, to jest: Francya, Anglia, Austrya, Rossya, Prusy, Hiszpania, Portugalja i Szwecya, pierwsze robią wnioski co do zwoływania i rozwiązywania. — Podział kongresu na komitety. — Komitet do sprawdzania pełnomocnictw. — Komitet tak nazwany *sześciu*, złożony z Francyi, Hiszpanii, Austryi, Anglii, Rossyi, Prus, dla wielkich spraw europejskich. — Komitet dla interesów niemieckich, włoskich, szwajcarskich, dla wolności murzynów, wolności rzek i t. d. — Postanowiono, że kiedy głównie interesowani w jakiej sprawie ułożą się w komitetach, wtedy *ośmiu* zakończoną umowę i zatwierdzenia postanowienia. — Praca we wszystkich komitetach. — Sprawy włoskie. — Myśl przyłączenia Genui do Piemontu, i następstwo korony sabaudzkiej. — Kwestya Parmy i Neapolu. — Mądre powody dawane przez Metternicha, ażeby jak można najdłużej przeciągnąć sprawę neapolitańską. — Sprawy Szwajcarskie; ciąg dalszy walki między nowemi i dawnemi kantonami. — Wpływ Francyi na kanton

arystokratyczny berneński i na kantony demokratyczne Uri, Glaris, Unterwald, użyty do pośrednictwa celem zaprowadzenia zgody. — W czasie kiedy sprawy Włoch i Szwajcaryi mają się ku końcowi, sprawa Polski i Saksonii gorszy przybiera obrót. — Usiłowania lorda Castlereagh ażeby oderwać Prusy od Rossyi. — Aleksander to dostrzega i żąda tłumaczenia od Fryderyka Wilhelma. — Dwaj monarchowie po porozumieniu się rzucają się w objęcia, przyrzekając jeszcze większą niż dawniej jedność. — Odezwa księcia Repnina, gubernatora tymczasowego Saksonii, który ogłasza, że to królestwo przechodzi pod władzę króla pruskiego za zgodą Anglii i Austryi. — Gwałtowne zaprzeczania tych dwóch państw. — Nalegania książąt niemieckich na księcia regenta Angielskiego, zmniejszyły surowość odezw lorda Castlereagh. — Ten ostatni zmienia swe postępowanie i łączy się z Metternichem, dla bronienia stanowczego Polski i Saksonii. — Wszystko dąży do wojny. — Plan wyprawy obmyślany przez księcia Szwarzenberga, w którym rozporządzają siłami Francyi nicjej nie wspominając o tém. — Zamiar wprowadzenia na wiosnę 200 tysięcy Austryjaków i Niemców do Polski, 150 tysięcy do Szląska i 100 tysięcy Francuzów do Frankonii i Westfalii. — Metternich podaje 10 Grudnia notę, w której cofa się z domyślnego przyzwolenia na poświęcenie Saksonii, zasadzając się na tém, że Prusy nie dopełniły żadnego z warunków wymaganych przez Austryę. — Prusacy oburzeni do najwyższego stopnia chcą zrobić wybuch, ale Aleksander usiłuje ich powstrzymać. — Po kilku rozmowach z księciem Szwarzenbergiem cesarz przekonał się, że wszystkie państwa postanowiły opierać się jego zamiarom i postanawia zrobić niejakie ofiary. — Zgadza się na zachowanie dla siebie Polski i oddanie księstwa Poznańskiego Prusom, z warunkiem aby one mniej wymagały od Niemiec; usiłuje jednocześnie załatwić się po przyjacielsku z Austryą o granicę ruską w Galicyi. — Prusy stosując się do rad Aleksandra dają Austryi bardzo umiarkowaną odpowiedź. — Odpowiedź Austryi dowodząca, że przez oddanie Prusom od 3 do 400 tysięcy dusz w Saksonji, wypełnia się zobowiązanie przywrócenia ich do stanu, w jakim były w 1805 roku. — Prusy wchodzą w te wyrachowania i przedmiot ten traci swój bezwzględny dotąd charakter, zmieniając się w kwestję liczb. — Utworzenie kommissyi do ocenienia nabytków z przypuszczeniem do niej Francyi, którą chciano pierwej wyłączyć. — Roztrząsają w tej kommissyi kwestye ilości. — Wiadomość o zawarciu pokoju między Anglją i Ameryką przywraca lordowi Castlereagh całą jego energję. — Po gwałtownem zajściu, jakie miało miejsce między Anglikami i Prusakami, lord Castlereagh oburzony do najwyższego stopnia udaje się do pana de Talleyrand. — Ten ostatni korzystając ze sposobności proponuje ministrowi angielskiemu przymierze odporno-zaczepne. — Konwencya z 3 Stycznia 1815 roku, w której Austrya, Anglia i Francya łączą się i każda z nich obiecuje dostarczyć 150 tysięcy żołnierza dla zwycięztwa wspólnej polityki. — Przykre warunki nałożone na pana de Talleyrand, że w razie wybuchnięcia wojny, Francja musi pozostać w granicach nakreślonych traktatem paryzkim. — Przeznaczenie jenerała francuzkiego do roztrząśnienia planu wojny. — Konwencya z 3 Stycznia chociaż trzymana w tajemnicy, była jednak zakommunikowana Bawaryi, Hanowerowi, Niderlandom i Sardynii w zamiarze, aby się również do niej przyłączyły. — Pomimo ukrywania w tajemnicy Prusy i Rossya dostrzegając z położenia swych nieprzyjaciół, że między nimi zaszła jakaś umowa, skłaniają się na wejście w układy. — Odbierają Saksonii połowę posiadłości i trzecią część ludności dla nadania ich Prusom. — Ostatnia walka o Lipsk, który stanowczo pozostawiony przy Saksonii. — Zaproszenie króla Fryderyka Augusta do Pesztu dla wymęczenia na nim zgody. — Po rozwiązaniu głównej sprawy dzielącej Europę i po powołaniu lorda Castlereagh do parlamentu, spieszą z ukończeniem narad. — Rozwiązanie spraw będących w zawieszeniu. — Stanowcze utworzenie królestwa Niderlandzkiego. — Przywrócenie domów: Hesse-Cassel i Hesse-Darmstadt. — Domy te oddają Prusom Westfalię na wymianę. — Usiłowania Prus dla zachowania sobie całego pasa ziemi od Mezy do Niemna. — Niesprawiedliwe postępowanie względem Danii. — Luxemburg odpada od królestwa Niderlandzkiego. — Moguncya zostaje fortecą związkową. — Bawarya nabywa palatynat Reński i księstwo Würzburgskie, a Tyrol z granicą oznaczoną przez rzekę Inn oddaje Austryi. — Konstytucya niemiecka. Austrya odmawia przyjęcia korony cesarskiej i otrzymuje przewodnictwo na sejmie. — Urządzenie sejmu związkowego. — Rozwiązanie sporów w Szwajcaryi, do czego się przyczyniła najwięcej Francya. — Nowe kantony zachowują swój byt za pieniężném wynagrodzeniem. — Bern

otrzymuje wynagrodzenie terrytorjalne w Porentruy i biskupstwie Bazylejskiem. — Konstytucja szwajcarska wyjęta prawie całkowicie z aktu pośrednictwa. — Trudności zachodzące w sprawie Włoskiej. — Pan Talleyrand, który nic nie żądał za swe uczestniczenie w sprawach polskiej i saskiej, zagrożony powszechnem go odstąpieniem w sprawach neapolitańskich. — Szczęściem dla niego Murat sam podsuwa rozwiązanie, podając kongresowi urzędowne i bardzo nierozważne warunki. — Austrya na nie odpowiada, że poszle do Włoch 150 tysięcy wojska.—Postanowienie ogólne raz skończyć z Muratem. — Trudności zachodzące w sprawie parmeńskiej. — Na żądanie obydwóch linii Burbonów chcianoby oddać Parmę królowej Etruryi a Maryi Ludwice pozostawić tylko Lukę. — Ta kierowana dobremi radami opiera się temu i w końcu obudza litość w swoim ojcu i wspaniałomyślność w Aleksandrze. — Nie mówiąc o niczem panu Talleyrand, zobowiązali lorda Castlereagh, aby przy przejeździe przez Paryż, wszedł w bezpośrednie układy z Ludwikiem XVIII, celem pozostawienia Parmy Maryi Ludwice w dożywociu i żeby królowa Etruryi poprzestała tymczasowo na księstwie Lukiejskiem. — Postanowiono przywrócić Legacye pod władzę papieża. — Postanowienia względem wolności murzynów i rzek spławnych. — Ponieważ wszystkie sprawy zostały załatwione w Lutym, przeto monarchowie gotują się do odjazdu, wkładając na ministrów obowiązek zredagowania postanowień. — Uchwalono, że będzie sporządzony jeden akt ogólny, podpisany przez ośmiu panujących, którzy uczestniczyli w traktacie paryzkim i że będzie zawierał wszelkie rozwiązania spraw interesu ogólnego, oprócz oddzielnych układów między stronami interesowanemi co do spraw szczegółowych. — W chwili rozejścia się kongresu, wiadomość o wylądowaniu Napoleona przeraziła i wstrząsnęła wszystkie umysły. — Przyrzeczenia utrzymania związku do nowego przesilenia. — Wszystkie europejskie układy utrzymano. — Prawdziwy charakter kongresu wiedeńskiego i sąd, jaki można wydać o tém dziele, które pomimo niejakich zmian, trwało prawie pół wieku.

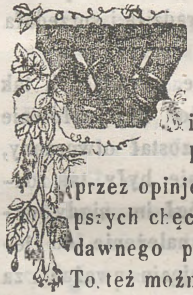

Widzieliśmy do jakiego stanu doprowadzili Francję Burboni, pomimo iż ograniczeni byli konstytucją i strzeżeni przez opinję publiczną, nadzwyczaj drażliwą; gdyż pomimo najlepszych chęci ulegali popędowi reakcji, dążącej do przywrócenia dawnego porządku rzeczy na zwaliskach rewolucji i cesarstwa. To też można wyobrazić sobie położenie, w jakim znajdowała się wówczas Europa, rozdzielona pomiędzy wielką ilość rządów, nie krępowanych ani prawem pisaném ani też wpływem opinji publicznej, a ztąd z zupełną swobodą zajmujących się odbudowaniem przeszłości, marzących o odzyskaniu zatraconych niegdyś prowincji, lub o przywłaszczeniu sobie tych, które nigdy do nich nie należały. Nieszczęśliwa Europa, dostawszy się pod władzę różnego rodzaju emigrantów, którzy w pojęciach nie różnili się od francuzkich, jak niemniej ludzi zarozumiałych i dumnych, dzielących ją na sztuki, była strasznie zawichrzona i przedstawiała chaos, w którym chciwość walczyła z nierozsądkiem. Człowiek, którego nazy-

wano wówczas geniuszem złego, Napoleon, ze szczytu swej wyspy z całą złośliwością, jaką mu przypisywano i jaką posiadał, śmiało mógł głosić, że jego upadek nie sprowadził na świat bezinteresowności i umiarkowania.

Trzeba więc rzucić okiem na tę umęczoną Europę, ażeby mieć pojęcie o jej stanie, właśnie w epoce, którą uważano za chwilę oswobodzenia.

Prowincje belgijskie, które uczuły z początku prawdziwą ulgę, oswabadzając się od jarzma francuzkiego, zostały mocno zdziwione i zmartwione, ujrzawszy się na nowo pod jarzmem równie ciężkiém, a co gorsza, zupełnie sprzeczném z ich narodowemi uczuciami. Prowincje te tém głównie przykrzyły sobie rząd francuzki, że im mocno dokuczał poborem wojskowym, cłami połączonemi, zamknięciem mórz i sprawami religijnemi. Wyzwoliły się one obecnie od poboru, ale musiały dalej wnosić podatki pośrednie, gdyż te zostały utrzymane. Morza były przystępne, lecz tylko dla przywożenia płodów angielskich, które ubiegały się z belgijskiemi, a od chwili otwarcia mórz zamykała się dla nich Francja, z którą właśnie handel tyle się przyczynił do ich wzbogacenia. Widziały papieża powracającego do Rzymu, ale same przechodziły pod panowanie narodu protestanckiego, którego nie lubiły. Obecność wojska angielskiego, wzmagającego się ciągle dla opieki nad nowém królestwem Niderlandzkiém, była dla nich nieznośna, a ztąd obwiniały Austrję, która się dużo przyczyniła do oderwania ich od Francji, że je zdradziła i sprzedała Anglji.

Prowincje Nadreńskie również były niezadowolone, gdyż jeżeli tak jak i Belgja wolne były od poboru wojskowego, jeżeli Ren, głównie przyczyniający się do ich pomyślności, wraz z morzem został otworzony, to za to Francja zamknęła się dla ich rękodzieł, które się były tak rozwinęły za czasów cesarstwa, a handel z Prusami nie mógł im nigdy wynagrodzić prowadzonego z Francją handlu. Nakoniec, należenie do jednej ojczyzny z Królewcem, niewyrównywało w ich pojęciu uważania za swych współrodaków mieszkańców Paryża, a wolność Papieża nie więcej pocieszała ich jak Belgów, gdyż zarówno jak oni podpadły pod panowanie protestanckiego rządu. Doznawały także wszelkich klęsk, pochodzących z obecności wojsk nieprzyjacielskich, gdyż zajmujący te prowincje żołnierze Blüchera, nie nawykli jeszcze do uważania za rodaków mieszkańców Akwisgranu i Kolonji i obchodzili się z nimi jak z każdym innym nieprzyjacielem.

Dalej za Renem, inne były powody zniechęcenia. Prusacy bardzo słusznie byli zadowoleni początkowo, gdyż skutkiem zwycięztwa liczyli

na znaczne rozprzestrzenienie swej ojczyzny, ale też w nagrodę swego patrjotyzmu spodziewali się otrzymać obiecywaną wolność, z udzieleniem której nie spieszono się wcale. Hanower, Brunświk, Hessja wyglądające z niecierpliwością ustalenia swego losu, niszczone były przechodem wojsk sprzymierzonych. Saksonja, która opuściła Francuzów na polu bitwy, zagrożoną została w nagrodę odstępstwa utraceniem samoistności i obróceniem w prowincję pruską, co ją wprowadzało w prawdziwą rozpacz; a nadto mocnego doznawała upokorzenia, gdyż król Saski jako jeniec zostawał w Berlinie. Książęta małych państw niemieckich niepokoili się bardzo rozgłaszanemi wieściami o zamiarach wielkich władzców Niemiec, a lud trapił się, że panujący książęta pomimo poczynionych obietnic, widocznie nie sprzyjali zasadom wolności. Bawarja, której się należały znaczne wynagrodzenia za mające przejść kraje pod panowanie Austrji, nie bardzo sobie życzyła otrzymać je na lewym brzegu Renu, zbyt blizko Francji, z którą ją chciano tym sposobem poważnić.

Szwajcarja wpadła w stan jakiegoś zamięszania, z którego nie wiedziano jak ją wydobyć, a który sprowadził ogólny zamęt we wszystkich jej sprawach i rozbrajał ludność. Akt pośrednictwa wprowadzając w Alpach rozsądne zasady 1789 r., wyzwolił z pod przewagi dawne kantony podległe, utworzył z nich niepodległe, zmienił trzynaście kantonów na dziewiętnaście, obalił w nich nierówność stanów, będącą źródłem wszelkich nieszczęść kraju i stworzył byt, który przez lat dziewięć uszczęśliwiał Szwajcarję. Nic już w kraju tym nie pozostało do życzenia, lecz wojna zakłócała szczęście powszechne.

Był to ten sam akt pośrednictwa, o zniweczeniu którego zamyślali Berneńczycy, wprowadzając do Szwajcarji sprzymierzonych jeszcze w Grudniu roku zeszłego, i który później udało im się rzeczywiście zniweczyć. Obudziły się wszystkie dawne zachcianki. Bern chciał zagarnąć pod swą władzę kantony Vand i Argowję i odjąć im charakter związkowych. Uri chciał znów zabrać kantonowi Tessin dolinę Levan i opanował ją nie czekając na przyzwolenie żadnej władzy. Schwytz i Glazis gotowały się do wydania kantonowi Saint-Gall obwodów Utznach i Gaster, a dla łatwiejszego dopięcia celu, starały się wywołać w nich powstanie. Zug żądał jakiegoś okręgu w Argowji; Appenzell był pewny, że odzyska dolinę Rheinthal. Ze swej strony prowincje zagrożone postawiły się na stopie obronnej. Obywatele kantonów: Vaud, Argowji, Thurgowji, Saint-Gall, Tessinu stanęli pod bronią w liczbie dwudziestu tysięcy ludzi. Porządek wewnętrzny kantonów nie w mniejszém był niebezpieczeństwie od ich posiadłości. Zależność jednej klassy od drugiej mogła być lada chwila przywróconą. Zamierzono już o dokonaniu tego przewrotu, a ztąd przez

zagrożenie praw przyznanych aktem pośrednictwa, ludność gotowała się do wybuchu.

Sejm zgromadzony w Zurichu chcąc położyć tamę tej anarchji, usiłował przywrócić porządek w Szwajcarji. Ale pięć kantonów, które sobie układały plany zmian terrytorjalnych, to jest: Bern, Uri, Schwytz, Glaris i Zug, przyciągając na swą stronę zgadzające się z niemi w zdaniu kantony: Friburg, Soleure, Lucernę i Unterwaldetn, utworzyły drugi sejm, który nie chciał ani się zgodzić z zurichskiemi, ani potwierdzić jego czynności. Sejm zurichski składał się z zagrożonych kantonów: Vaud, Argowja, Thurgowja, Saint-Gall, Tessin, i tak nazwanych bezstronnych: Zurich, Bazylea, Szafuza, Appenzel, Grizon. Było ich dziesięć, sejm zaś przeciwny liczył ich tylko dziewięć.

Szczęściem dla dobrej sprawy, że Cesarz Aleksander, liberalny równie z własnego przekonania jak z nabytego wychowania, na którego nadto wielki mieli wpływ pan Laharpe i jenerał Jomini, nie zamyślał być wspólnikiem podobnego zawichrzenia. Wpłynął na sprzymierzonych monarchów i zdołał wymódz na nich wyrzeczenie, że przyznają tylko sejm zurichski, że nie potwierdzą wyrzucenia żadnego z istniejących kantonów, i że ponieważ Bern wiele utracił, będą się starali wynagrodzić go jakiemi prowincjami nabytemi we Francji.

Sejm zurichski silny tém poparciem, pokonał różniących się z nim i przyciągnął do siebie. Ułożył projekt przymierza związkowego, który uświęcając istnienie dziewiętnastu kantonów, i pozostawiając kongresowi wiedeńskiemu rozstrzygnienie spraw terrytorjalnych, zachował pod względem równości obywalelskiej i składu władzy wszystko to, co się zawierało w akcie pośrednictwa. Zamiar ten nie doszedł do skutku przez kantony różniące się w zdaniu, a naród, którego byt był zagrożony, nie chciał się rozbroić. Kanton Vaud zamieniony był w obóz: zamiast nastręczać oku, jak zwykle obraz dobrobytu i spokojności, przedstawiał widok najokropniejszej niespokojności i wzburzenia. Oto co zyskała w obecnej chwili Szwajcarja na oswobodzeniu Europy. Kongres wiedeński powinien był, jeżeli to było w jego mocy, przywrócić w niej porządek i sprawiedliwość.

Po za Alpami zaś, położenie stawało się smutniejsze i bardziej jeszcze poruszające.

Francuzi oddalając się z Włoch pozostawili szczątki swych wojsk w Medjolanie, a Austrjacy zajęli większą część twierdz Lombardji. Książe Eugenjusz pochlebiał sobie, że pomimo szlachetnej wierności dla Napoleona, zachowa przynajmniej część jakąś rządów swego namiestnictwa. Liczył, że mu tu dopomoże wpływ króla Bawarskiego, jego teścia, i oso-

histe poważanie, jakie był sobie wyrobił w całej Europie. Rozsądniejsi z Włochów byliby go chętnie przyjęli za księcia i senat lombardzki przygotowywał się do pewnych kroków w tym celu; ale ludność medjolańska sprzykrzywszy sobie Francuzów, których widziała u siebie przez lat ośmnaście, pobudzona zresztą przez kilku członków szlachty i duchowieństwa, podniosła powstanie, napadła na senat i zamordowała ministra skarbu pana Prina. Toż samo miała uczynić z ministrem wojny, lecz zdołano ją powstrzymać. Jenerał Pino stanął na czele, utworzono rodzaj rządu tymczasowego przyzywając najświatlejszych patrjotów, i proszono następnie kongres wiedeński o panującego. Odpowiedź łatwa była do przewidzenia, nastąpiło zajęcie austrjackie. Marszałek Bellegarde, na czele stu pięćdziesięciu tysięcy Austrjaków zajął całą Lombardję, aż do rzeki Padu, rozwiązał rząd tymczasowy i objął kraj w posiadanie w imieniu cesarza Austrjackiego. Chociaż nie wiadoma była jeszcze forma rządu, jaką przeznaczano dla tego kraju, przewidywano jednak, że będzie ten sam co w innych prowincjach austrjackich.

W Lombardji rząd jakkolwiek twardy, nie zbaczał jednak z prostej drogi, gdy tymczasem w Piemoncie był najniedorzeczniejszy od pierwszej zaraz chwili. Dawny król Sardyński przepędziwszy w Rzymie czas swego wygnania, był obecny wjazdowi papieża, przed którym bił czołem; powrócił następnie do Turynu objąć w posiadanie swe kraje, które Anglicy mieli zamiar powiększyć obwodem Genueńskim. Rządził niemi jakby najzaślepieńszy z emigrantów. Nietylko że przywrócił rząd samowładny, ale jeszcze nadużył go, prześladując tych, którzy służyli dawniej Francji, karząc nie poszczących w Piątki i Soboty, zezwalając na najokropniejsze prześladowania, i to w kraju przejętym duchem i usposobieniem Francuzów przez dwudziestoletnie z nimi obcowanie. Większa część oficerów piemonckich uciekała do Murata, który ich przyjmował z wielką skwapliwością, reszta wojska albo wyrzekała się służby, albo też nie cierpiąc nowego rządu, nie była wcale usposobioną do podtrzymywania go. Gdyby nie obecność Austrjaków nad Tessynem i Padem, niezawodnie wybuchłoby było ogólne powstanie.

Genua, która się nierozważnie poddała Anglikom i otrzymała od łagodnego i liberalnego lorda Bentinck obietnicę niezależności, była w rozpaczy od czasu, jak dostrzegła jaki to jej los przygotowywano. Nie było bowiem dla niej jarzma bardziej odrażającego nad piemonckie. Dziwna rzecz, że wszystkie porty europejskie najpierw wyciągnęły rękę do Anglików, to jest do morza, a teraz wyrywały się z ich objęć ze złością. Genua postąpiła jak Marsylja, Bordeaux, Nantes, Anvers i wiele innych.

Legacje, wchodzące za czasów cesarstwa w skład wicekrólestwa

Lombardzkiego, zajmował obecnie Murat, który niemi owładnął w imieniu sprzymierzonych. Kierując się górującemi wtedy pojęciami, to jest oddając każdemu księciu co do niego dawniej należało, trzeba było zwrócić je papieżowi, który nawet z uzasadnionych tą zasadą powodów spodziewał się tego na pewno. Lecz Murat, którego nie chciał przyznać powrócony do Rzymu papież, mścił się za to dalszém zajmowaniem tych prowincji, nie męcząc ich zresztą, i pozostawiając w przykrej niepewności względem przyszłego losu.

W czasie o którym mowa (we Wrześniu i Październiku 1814 roku), jeden tylko kraj był szczęśliwy we Włoszech a może i w całej Europie, a tym była Toskanja. Oddana arcyksięciu Ferdynandowi, byłemu księciu Würzburgskiemu za czasów cesarstwa, od lat dwudziestu miała kilku panujących, lecz w końcu zyskała sobie księcia umiarkowanego i mądrego, który nie starał się pozbawiać jej ulepszeń wprowadzonych przez Francuzów, nie prześladował nikogo za to, że służył Napoleonowi, lecz przeciwnie, wybrał najznakomitszych członków zarządu francuzkiego, panów Fossombrini i Corsini i postawił na czele swego rządu. To też Toskańczycy oceniając słusznie swój los i znajdując go dobrym, byli jedynymi z Włochów, którzy niczego nie żałowali i nic sobie więcej nie życzyli. Nawet burzliwe Liworno, mając zupełną swobodę żeglugi i nie widząc się zagrożone jak Genua należeniem do obcego księcia, było równie zadowolone i spokojne jak i reszta Toskanji.

Rzym odzyskał papieża i przyjął go na klęczkach na placu del Popolo. Między oddającymi mu ten hołd pokorny, widziano biednego Karola IV, jego małżonkę, księcia Pokoju, smutne szczątki hiszpańskiego domu, wygnane do Rzymu, po ocaleniu z ogromnego rozbicia. Pius VII, zwykle tak umiarkowany i łagodny, wyzuł się prawie z zalet swego charakteru wstępując w dawne swe posiadłości, oddał się gniewowi najnierozważniejszemu i wcale nieludzkiemu. Pospieszył zniweczyć to, co Francuzi uczynili najlepszego pod względem zarządu, prześladował bez litości tych, którzy im służyli, zarówno księży jak świeckich, unieważnił sprzedaże dóbr kościelnych, nakoniec ogłosił przywrócenie jezuitów, co było przedmiotem wielkiej niespokojności wszystkich ludzi oświeconych. Tak nierozważne postępowanie nie pochodziło bynajmniej skutkiem wpływu kardynała Consalvie, który właśnie oddalił się był w owym czasie dla szukania wsparcia u dworów europejskich, w sprawach Legacji, lecz skutkiem namowy kardynała Pacca, jego tymczasowego zastępcy. Kardynała Maury wydalono do jego dyecezji Montefiascone, zabraniając mu pokazywać się ojcu świętemu, a to dla tego, że został prałatem Napoleona, którego sam Pius VII namaszczał. Wszyscy krewni kardynała byli po-

zbawieni swych posad. Rzeczy wreszcie doszły do tego stopnia, że sam Pius VII zaczął się wstydzić kłamliwych o jego charakterze roznoszonych wieści.

Wspomnieliśmy już o stosunkach papieża z rządem Burbonów, gdy była mowa o odwołaniu konkordatu. Prosząc Burbonów o pomoc w sprawie Legacji i Marchji, Pius VII, jak to już widzieliśmy, upominał się o Awinion i Benevent. Błagał Ludwika XVIII, ażeby nie przyjmował karty z powodu wyrażonej w niej wolności wyznań; żądał przytém zniweczenia rozwodów, zmiany prawa tyczącego się małżeństwa, to jest, żeby akt religijny przewyższał cywilny i nadania dóbr Kościołowi. Z swej strony były biskup z Saint-Malo, poseł Ludwika XVIII, przedstawił żądania swego dworu, które się zasadzały na zniesieniu zupełném konkordatu i przywrócenia duchowieństwa francuzkiego do stanu, w jakim było przed rokiem 1802. Zanosząc tę prośbę do Stolicy Apostolskiej, z wszelkiem należném jej uszanowaniem, biskup z Saint-Malo dał do zrozumienia Piusowi VII, że nie uznanoby jego rządów i obwinianoby go nawet o zbytnią słabość charakteru, gdyby ośmielono się podnieść jakiekolwiek zarzuty na wyobraziciela Boga na ziemi.

Papież zaś uważał za rzecz bardzo prostą upomnieć się o Awinjon i sprzeciwić wolności wyznań, ale też nadzwyczaj się obraził, że ośmielono się żądać od niego, aby własne obalił dzieło, przez przywrócenie dawnego porządku rzeczy w francuzkim Kościele; a obrazę tę uważał za tem większą, gdy dano mu do zrozumienia, że się omylił podpisując konkordat. Upornie bowiem trzymał się tej zasady, że Stolica Apostolska jest nieomylną. Gdyby Burboni zastanowili się nieco, nie wystąpiliby byli przeciw temu przekonaniu, lecz wszelka uwaga na skutki daleką od nich była. Minister Ludwika XVIII, chcąc więc otrzymać unieważnienie konkordatu, utrzymywał, że papież mógł się omylić i tym sposobem popierał zasady Kościoła gallikańskiego; a papież uzbrojony ultramontańskiemi dowodzeniami na obronę konkordatu, dzieła najmniej ultramontańskiego ze wszystkich jego czynów, podobnej dopuszczał się sprzeczności.

Jednak gdy papież zarówno Burbonów jak Burboni potrzebowali papieża, więc starano się koniecznie porozumieć. Pius VII mianował kongregację kardynałów dla zbadania ważnej sprawy odwołania konkordatu i rozwiązania licznych trudności, jakie ona przedstawiała. Jedno żądanie dworu francuzkiego bardzo przypadało do smaku Rzymowi, to jest znaczne powiększenie biskupstw i pod tym względem wszyscy nadzwyczaj byli zadowoleni. Zgodził się na to papież, lecz nie na mocy odwołania konkordatu, ale jako na potrzebę prostego powiększenia djecezji, czego Kościół nigdy nie zabraniał. Co do osób, równie był gotów do ustępstw

i zezwalał na przywrócenie biskupów dawniej mianowanych, których jeszcze dwunastu czy czternastu pozostawało przy życiu, chociaż czuł się tu mocno upokorzonym przywracaniem prałatów, których niegdyś usunął; dla tych zaś, którzy skutkiem tej zmiany pozostać mieli bez stolic, zażądał uposażenia, czego mu nie odmawiano. Układy jednak przeciągały się dość długo, jak to zwykle bywa w Rzymie, ale tą razą zwłoka ta była bardzo szczęśliwém zdarzeniem dla powagi Piusa VII i rządu Burbonów, którzy ani się nie domyślali, ile im przynosi korzyści to odraczanie gorących życzeń.

Pozostawał jeszcze Neapol i szczątki dynastji cesarskiej w tém królestwie. Zdziwienie Murata, że dotąd zajmował tron neapolitański, równało się zdziwieniu Europy, że go jeszcze na nim widziała. Kiedy w pierwszych dniach 1814 roku państwa sprzymierzone powątpiewały o swojém zwycięztwie, Austrja chcąc oderwać Murata od Napoleona, zaręczyła mu posiadanie tronu neapolitańskiego, a Anglja potwierdziła to zapewnienie. Lecz teraz, kiedy koalicja stanowczo zwyciężyła, żałowała swego prędkiego i formalnego zobowiązania się. Państwa, które nie wzięły udziału w tych układach, ganiły pośpiech Austrji i Anglji, a te wstydziły się swego dzieła, nie śmiejąc same targnąć się tak prędko na własne zobowiązanie i gorąco życzyły, aby się tego podjął kto inny.

Wszyscy przywróceni książęta Włoch, nie chcieli uznać Murata, a głównie papież, nad którym król Neapolitański wywarł swą zemstę przez zajęcie Legacji i Marchji. Obok tego sąsiada tak silnego pod względem moralnym, który odmawiał mu uznania, miał Murat jeszcze drugiego, równie groźnego, Ferdynanda IV, króla Sycylji i Palermo, który go uważał za awanturnika, pozostawionego chwilowo na przywłaszczonym tronie, z powodu zamięszania panującego w Europie. Jak się spodziewać należało, prawy następca Burbonów neapolitańskich używał wszelkich środków, ażeby powrócić do swej posiadłości. Murat w Neapolu a Marmont w Paryżu mogli zarówno ocenić, ile się to zyskuje na odstąpieniu swej sprawy, pomimo że różne mogły na to wpływać powody. Żal zwykle poprzedza zgryzoty; Murat szczerze już żałował, że opuścił prawdziwą swą sprawę, odstępując od sprawy Napoleona. Siostra jego żony, księżniczka Paulina, wspólnie z królową dawała mu uczuć, co on czuł aż nadto, i udała się do Porto-Ferrajo, usiłując sprowadzić zbliżenie pomiędzy bratem a szwagrem.

Murat nie chciał przecież dostarczyć zgromadzonym w Wiedniu monarchom żadnego pozoru do obalenia go z tronu, a ztąd pokazywał się zawsze jako wierny przyjętym zobowiązaniom i chociaż zasyłał na wyspę Elbę wyrazy szczerego żalu, to przecież unikał kroków mogących

go narazić, przemawiając zawsze, iż bardzo był zadowolony z przystąpienia do koalicji, gdyż przyczynił się także do pokonania tyrana Europy. Lecz przyjmował oficerów piemonckich lub lombardzkich, którzy przy nim szukali schronienia; przyjmował również oficerów francuzkich, którzy przyszli mu ofiarować swe usługi, chociaż rozkaz Ludwika XVIII odwoływał tych ostatnich do Francji; płacił dobrze jednym i drugim, ponieważ skarb jego w dość dobrym był stanie. Starał się zwiększyć swe wojska liczące 80 tysięcy ludzi i zajmował się niemi z wielką troskliwością, ponieważ na kongresie wiedeńskim one głównie mogły przemawiać za jego prawami. W Neapolu nawet miał kilku stronników między szlachtą i mieszczaństwem, którzy obawiali się nowego przewrotu i powtórnego panowania Ferdynanda IV. Jeżeli jednak sprzyjały mu klassy oświeceńsze, którym się nie narażał, inaczej rzecz się miała z lazzaronami, mocno przywiązanymi do swych dawnych panów, pomimo że i ci często mu przyklaskiwali jego okazałej postawie, kiedy go widzieli przejeżdżającego się konno po ulicach Neapolu. Nie był więc zupełnie nielubionym, ale nie był już tém, czém był przed kilkoma miesiącami, to jest bohaterem Włoch. Bohater ten był gdzieindziej, na wyspie Elbie. Włosi chcieli się uwolnić od ceł połączonych i poboru wojskowego, lecz wkrótce wrócili do Napoleona, widzieli w nim idealnego przedstawiciela swej sprawy, pokonanego i przywiązanego jak Prometeusz do skały. Z wyjątkiem Toskanji, jedno tylko panowało życzenie od Alp do cieśniny Messyńskiej, aby monarcha Elby opuścił swą wyspę, stanął na czele wojsk neapolitańskich i poszedł do Medjolanu. Życzenie to jednak czczém tylko było marzeniem, gdyż Napoleon nigdy nie przedsięwziąłby podobnego kroku, nie opuściłby swej wyspy dla stanięcia na czele Włochów, by bez współudziału Francji rzucić się w rozpaczną ze zwycięzką Europą walkę, i jeszcze dla sprawy, która go nigdy wiele nie obchodziła, to jest dla jedności Włoch. Nie ulega przecież wątpliwości, że gdyby zjawił się tylko, to bezzawodnie wszyscy, których oburzały rozporządzenia wojskowe Austrjaków, pobożne okrucieństwo króla Piemonckiego, panowanie świętego kollegjum, byliby na jego głos powstali i zrobili jedno z tych wysileń, jakie już tyle razy bez skutku powtarzali.

Tak więc Włochy, które równie jak i inne kraje Europy żądały i wzywały tego, co nazywano wspólném oswobodzeniem, nie cieszyły się niém wcale. Ale znajdował się inny jeszcze kraj, który daleko większych niż wszystkie inne doznał zawodów, a ztąd słusznie się oburzał na ciężkie dolegliwości, jakie nań spadły za wszelkie patrjotyczne wysilenia. Krajem tym była Hiszpanja. Wylała ona potoki krwi i podtrzymywała bohaterską walkę dla przywrócenia swych królów, a w nagrodę

tej krwi wylanej, tej nadzwyczajnej walki, otrzymała szalone i okrutne samowładztwo króla!

Ferdynand VII, jak to widzieliśmy, przeniesiony z rozkazu Napoleona na granicę hiszpańską i oddany hiszpańskiemu wojsku, wszedł do Garundy 21 Marca. Ztamtąd udał się do Saragossy, gdzie znalazł posłanników od regencji i kortezów, które zażądały, aby zaprzysiągł konstytucję kadykską przed objęciem królewskiej władzy. Postępek ten regencji i kortezów podobny był zupełnie do postępowania senatu francuzkiego z Ludwikiem XVIII. Wyobraźmy sobie Burbonów w Paryżu, nie szanujących wojska francuzkiego w Fontainebleau, ani światłej opinji publicznej, opierających się nie na wojskach obcych, któremi kierował Cesarz Aleksander, lecz na armji wandejskiej, a łatwo odgadniemy, jak to Ferdynand VII postępował w Hiszpanji. Najprzód odmówił on posłuchania posłannikom regencji i kortezów i udał się z Saragossy do Walencji, otrzymując po drodze hołdy, zachwyconej widokiem króla, a bardziej jeszcze odzyskaniem pokoju ludności. W Walencji przyjęto go z niezmiernym zapałem. Wojsko nawet złożyło przysięgę; a że te poruszenia wywołane obecnością króla zwiększały się ciągle, więc mu się zdawało, że będzie wkrótce dosyć silnym do porozumienia się z władzami Madrytu. Ludzie rozumni byli zdania, że król nie mógł przyjąć bez żadnej zmiany konstytucji kadykskiej, która daleko więcej od francuzkiej z 1791 roku posiadała usterek; ale najznakomitszy owego czasu w Hiszpanji zwycięzca z pod Baylen jenerał Castanos i pan de Cevallos najświatlejszy z ministrów, radzili królowi wejść w układy, poprzestać na poprawieniu ustawy i nie zrywać z ludźmi, którzy bronili tronu ceną krwi własnej. Król bardziej był jeszcze oburzony na tych, którzy ocaliwszy jego władzę zamierzali ją ograniczyć, aniżeli na tych, którzy usiłowali wydrzeć mu ją na zawsze, zamykając w Valencay, a ztąd za żadną cenę nie chciał użyć drogi pojednawczej. Na nieszczęście naczelnicy kierujący kortezami, równie nierozsądni jak sam król, nie więcej byli skłonni do ustępstw, i zgoda, od której zależało uspokojenie natychmiastowe Hiszpanji i ustalenie w niej praw rozsądnych, stała się niemożebną. Otrzymawszy przez arcybiskupa z Toledy, upoważnionego od regencji, prośbę o stanowcze wyrzeczenie co do konstytucji, oświadczył, że jej nie przyjmuje, odesłał arcybiskupa do Madrytu, unieważnił wszelkie wyroki kortezów, objął w zupełności swą władzę i posłał wojsko do stolicy.

Naród i wojsko widząc w nim króla, za którego tak długo walczyli, nie rozumiejąc nic albo bardzo mało sporów rozdzielających króla z kortezami, dziwiąc się nawet, że mu odmawiano władzy ocalonej takiemi wysileniami, dodawało mu odwagi nadzwyczajną uległością, posuniętą do od-

ważenia się na wszystko, co tylko rozkaże. Wszedł więc do Madrytu jako król samowładny, to jest zupełnie wolny do popełniania wszelkich nadużyć, które mogły go zgubić. Zaledwie osiedlił się w pałacu, oddalił natychmiast, lub też rozkazał uwięzić ludzi, którzy walczyli z największą usilnością za ocalenie mu korony, wysłał do djecezji arcybiskupa Toledy, naczelnika regencji, który utrzymywał z całą siłą przywileje królewskie, przywrócił inkwizycję ze wszelkiemi jej następstwami, i do tych śmiesznych zamiarów przywrócenia dawnego porządku rzeczy, dodał jeszcze najczarniejszą i najsroższą niewdzięczność. Znajdowali się przecież w Hiszpanji ludzie, na których zrobiły wrażenie zasady liberalne kortezów, a chociaż ich zupełnie nie podzielali, to jednak postępowanie króla uważali za śmieszne, potępianie najszlachetniejszych patrjotów za niegodne i gotowi byli do stawienia oporu. Znajdowali się głównie w Katalonji. Wielu członków kortezów połączyło się z nimi i począł organizować się opór. Widząc bowiem podobne postępowanie syna Karola IV, zamyślali o przywołaniu starego króla, któremu jakkolwiek brakowało potrzebnego do rządów światła, ale za to znany był ze swej dobroci. Zawikłania zwiększały się z każdą chwilą. Ferdynand VII przypisując to wzburzenie umysłów knowaniom księcia Pokoju, który znajdował się w Rzymie razem z Karolem IV, zażądał od Stolicy Apostolskiej, aby dawny minister jego ojca został wygnany do Pesaro. Karol IV zawsze wierny swemu ministrowi, oburzył się na to nadzwyczaj i objawił zamiar opuszczenia Rzymu w celu udania się bądź do Barcelony, bądź też do Wiednia, aby zażądać od Hiszpanji lub Europy zwrócenia mu tronu i ukarania wyrodnego syna. Z wielkim zaledwie trudem zdołano go uspokoić przy użyciu aż świętej powagi samego papieża.

Taki to przedstawiała podówczas widok Hiszpanja i z pobieżnego tego na nią poglądu, nie można się powstrzymać od wynurzenia wdzięczności dla senatu francuzkiego za przygotowanie rozsądnej ustawy, dla monarchów sprzymierzonych za jej poparcie i dla Ludwika XVIII, że pokazał tyle rozsądku i zgodził się na nią, gdyż temu tylko przypisać należy, że Francja zdołała uniknąć tak okropnej reakcji, jaka dręczyła obecnie najbardziej do szczęścia kraju przywiązanych Hiszpanów. Lecz pomimo to wszystko, pomimo że panujący we Francji Burboni nie wyrównywali w szkaradzie postępków Ferdynandowi VII, to przecież popełniali oni tyle błędów, że te najzupełniej wystarczały Napoleonowi do sprobowania śmiałego przedsięwzięcia i do sprowadzenia nowych na Francję nieszczęść.

Skreślony ten obraz ówczesnego położenia Hiszpanji, uzupełnia się krótko-trwałemi jej z gabinetem francuzkim stosunkami. Zaledwie w Lipcu

podpisano traktat pokoju, który tak łatwym z powodu Pirenejów był do ułożenia, poczem zobopólne nastąpiło uwolnienie jeńców wojennych. Tajemną jednak umową zobowiązała się Francja, że wyjedna na kongresie wiedeńskim przyznanie Parmy królowej Etrurji i tronu neapolitańskiego Ferdynandowi IV, którego panowanie od ośmiu lat ograniczało się tylko do Sycylji. Nie było nawet wielkich trudów w namówieniu Francji do podobnych działań, gdyż w każdym razie zmiany te odpowiadały uczuciom Burbonów, a ztąd rozpoczęliby je nawet na własny rachunek. Lecz w tejże chwili Hiszpanja zawarła tajemny z Anglją układ, że nie odnowi swych rodzinnych z Francją stosunków, a nadto zerwała wszelkie z gabinetem Tuileries znoszenia się dla bardzo dziwnych powodów. Dowódzca partyzantów Mina, którego czyny tak dały się uczuć Francuzom i którego Ferdynand VII tak wychwalał, obecnie znajdował się w liczbie tych, których odrodzona monarchja ścigała za stawiany opór władzy samowładnej. Znakomity ten przywódzca schronił się do Bayonny, gdzie go aresztował konsul Hiszpański za zezwoleniem słabych władz francuzkich. Obrażony Ludwik XVIII jak i książe de Berry na taką zniewagę praw, koronie francuzkiej służących, rozkazali uwolnić uwięzionego, usunąć od obowiązków urzędnika francuzkiego, który pomagał w tym nieprawym czynie, a zarazem zażądali zadosyćuczynienia od dworu hiszpańskiego. Ferdynand VII ani chciał słuchać o jakiem kolwiek zadośćuczynieniu i przeciwnie żądał go od dworu francuzkiego, a ztąd stosunki dyplomatyczne zostały przerwane. Takim sposobem Ferdynand VII skłóciwszy się z tymi wiernymi Hiszpanami, którzy niezmordowanie pracowali nad powróceniem mu tronu, poróżnił się nadto z Burbonami francuzkiemi, jedynymi krewniakami, jedynymi sprzymierzeńcami na świecie i swe związki rodzinne powierzył Anglji, bez zapewnienia sobie jej wsparcia, gdyż mocarstwo to głośno powstawało na srogą reakcję, której król głównem był narzędziem i sprawcą.

Takie to było wówczas położenie Europy, oswobodzonej od Napoleona i oddanej na pastwę kontrrewolucji powszechnej, a przecież nie były to jeszcze wszystkie zagrażające jej klęski. Po piętnastoletnich cierpieniach skutkiem niepohamowanej dumy Napoleona, należało się spodziewać, że upadek tego nienasyconego zdobywcy będzie nauką dla całego świata i zdoła miarkować zachcianki wszystkich. Nic jednak podobnego nie zaszło i zdawało się nawet, że zwycięzkie mocarstwa skutkiem zbytniego łakomstwa starają się bardziej o usprawiedliwienie Napoleona, aniżeli o błogosławienie jego upadkowi. Smutne tych usposobień widowisko przedstawiał Wiedeń, gdzie naznaczono zabranie się na 1 Sierpnia.

Monarchowie sprzymierzeni, z wyjątkiem cesarza Franciszka, który nie był przyjacielem hałaśnych wystąpień, po opuszczeniu Paryża udali się do Anglji, by stać się w Londynie przedmiotem takiej owacji, do jakiej naród angielski jest zdolny, gdy widzi zadowolone swe namiętności i po myśli załatwione sprawy. Od kilku już miesięcy do najradośniejszych przychodziło objawów w Rzymie, Madrycie, Wiedniu, Berlinie, lecz wszystko to nie mogło iść w porównanie z wybuchem Londynu na widok cesarza Rossyjskiego i króla Pruskiego. Przyjęcie jakie im przygotowano, dochodziło do szaleństwa. W zamiarze niezakłócenia tej powszechnej radości ścieraniami się o sprawy, przyrzeczono sobie zamilczeć o nich czas jakiś i wzajemne poczynić ustępstwa dla utrzymania zgody, a głównie umowy zawartej w Chaumont, zwłaszcza gdy ona to wpłynęła na oswobodzenie się od tyrana Europy. Francja, jakkolwiek zwrócona Burbonom, to przecież, jak mówiono, nie zapomniała jeszcze osadzonego na Elbie Napoleona do tego stopnia, aby nie wzięła udziału w zajść mogących wypadkach, zkąd prostem następstwem rzeczy należało utrzymać przeciw niej przymierze. Z tych przeto powodów bez wspomnienia nawet o przyszłém urządzeniu spraw europejskich, poprzysiężono sobie na nowo wieczną przyjaźń z solenném przyrzeczeniem, że w Wiedniu te same zasady kierować będą sprzymierzonymi.

Według artykułu 32 traktatu paryzkiego, który oznaczał dwu miesięczny przeciąg czasu na zebranie się kongresu, ten w dniu 1 Sierpnia powinien był się otworzyć. Lecz ponieważ termin za nadto był bliskim z uwagi na wielkie przygotowawcze prace, przeto zebranie się odłożono do miesiąca Września.

Po uroczystościach londyńskich, król Pruski, choć zwykle skromny, powrócił do swych krajów zbierać powinszowania poddanych. Cesarz Aleksander udał się do Warszawy, by swą obecnością wzbudzić zapał w Polakach dla zamierzonego odrodzenia Polski, a ztąd monarchowie ci zaledwie około 25 Września mogli przybyć do Wiednia. Odbyli tu wjazd wspaniały, odpowiadający tak ich radośnemu usposobieniu, jak niemniej zyskanym powodzeniem. Cesarz Franciszek, biorący udział we wszystkich uroczystościach więcej ze względu na swych sprzymierzeńców, niż na własne usposobienie, wyjechał na spotkanie monarchów, uściskał ich w obec swego ludu i następnie wraz z nimi odbył wjazd do stolicy przy objawiającym się zapale mieszkańców. Przybyli następnie królowie: bawarski, wirtembergski, duński, a tuż za nimi książęta włoscy, niemieccy, holenderscy, którzy mieli interes bronić swych praw na przyszłym kongresie. Księżniczki zarówno jak książęta napływały do Wiednia, a pomiędzy niemi przybyła także wielka księżna Katarzyna, siostra Cesarza

Aleksandra, a wdowa po księciu Oldenburgskim, księżna dowcipna, czynna i wielki wpływ wywierająca. Z temi ukoronowanemi głowami łączyli się także jenerałowie i dyplomaci koalicji, niecierpliwie oczekujący pochwał za swe czyny wojenne lub polityczne, przybyli bądź to wzamiarze szukania podziękowań za powodzenia, bądź też w celu zasiadania na kongresie w imieniu swych rządów, a głównie dla uczestniczenia w uroczystościach, zabawach, dla zbierania nagród i wiadomości, tworząc zbiorowo nadzwyczaj świetne towarzystwo. Brakowało tu tylko nieszczęśliwego króla Saskiego, obecnie więźnia w Berlinie za ostatni jego związek z Francją, jak niemniej Marji Ludwiki, odesłanej do pałacu w Schoenbrum, gdzie z pewnym rodzajem zaciekawienia dowiadywała się o uroczystościach, zapomniawszy już o mężu znajdującym się na Elbie, gdyż wyłącznie zajęta była uzyskaniem przyrzeczonej Parmy, i kierowana przez pana de Nesperg, przeznaczonego jej na towarzysza, znakomitego oficera, zajmującego się zarówno sprawami wojskowemi jak i dyplomatycznemi, uwiadamiającego ją o wszystkiém co tylko żądała wiedzieć, i w tém odosobnieniu, w jakiém się znajdowała, stającego się dla niej doradcą, adwokatem, przyjacielem.

Po kilku dniach poświęconych zabawom wszelkiego rodzaju, należało zająć się poważniejszemi sprawami, lecz nikt jakoś nie chciał przyśpieszać chwili. Powtarzano sobie codzienie o potrzebie zgody, a jednak nie załatwiono żadnej sprawy, z wyjątkiem kilku drobnostek objętych traktatem paryzkim. To też ułożono na piśmie, że Anglja obejmie Belgję i Hollandję dla utworzenia z nich przeciw Francji królestwa Niderlandzkiego, że Austrja zagarnie Włochy aż do Tessynu i Padu, że Prusy zostaną przywrócone do dawnego stanu z 1805 roku i że nakoniec Rossja pozbywszy się wielkiego księstwa warszawskiego, po przyjacielsku podzieli się niém z sąsiadami. Lecz co do innych krajów, które były do wzięcia, o losie ich zachowywano ciągle milczenie, gdyż wszyscy mieli swe widoki i bali się poruszyć tej sprawy, a ztąd rozwiązanie jej pozostawało w wątpliwości.

Wątpliwość ta nie odnosiła się ani do Włoch, gdzie Austrja miała sobie oznaczoną już granicę Tessynem i Padem, ani też do Niderlandów, które stanowczo miały się opierać o granicę francuzką z 1790 roku. Spornym punktem była środkowa Europa, to jest kraje położone pomiędzy Rossją, Austrją a Prusami, rozgraniczenie których mogło nawet sprowadzić burzę.

Cesarz Rossyjski i król Pruski, każdy z osobna tajemne żywili zamiary, zaledwie przewidywane przez sprzymierzeńców, choć były już one stanowczo postanowione: pierwszy chciał posiąść całą Polskę a drugi Saksonję.

Obadwa ci książęta zbliżeni do siebie wiekiem i położeniem, choć różni bardzo charakterem, rozpoczęli rządy swych krajów od ścisłego pomiędzy sobą związku. Rozdzieleni wypadkami 1807 roku, to jest w czasie, gdy obadwa zwyciężeni zupełnie przeciwnych doznali skutków wojny, albowiem pomimo wspólnej klęski Cesarz Aleksander porobił nabytki, a Fryderyk Wilhelm utracił połowę swego państwa, zbliżyli się znowuż do siebie w 1813 roku pod twardym uciskiem Napoleona, odnowili przyjaźń na polu bitwy pod Lützen i nakoniec przysięgli sobie pod Lipskiem, że się nigdy nie rozłączą. Nic też nie ukrywali przed sobą, porozumiewali się we wszystkiém, wspólnych udzielali sobie spostrzeżeń, i tak byli zjednoczeni, że gdy Cesarz Aleksander co mówił, to można było być pewnym że Fryderyk Wilhelm otwierał już usta dla powiedzenia tego samego. A ponieważ Cesarz Aleksander nie tylko mówił ale i myślał pierwszy, więc też prowadził dowolnie swego sprzymierzeńca, co jednak nie mogło szkodliwie oddziałać na Prusy, gdyż sprawy tych krajów zarówno jak serca monarchów ściśle były związane. Obadwaj ci książęta zobopólnie mieli dla siebie wysoki szacunek i uważali się za najszlachetniejszych ludzi owego czasu, gdy tymczasem poczytywali Anglję za najbardziej samolubne, a Austrję za bardzo zradliwe państwo. Utrzymywali oni, że jeżeliby Cesarz Aleksander nie dał był hasła do oporu w 1812 r., jeżeliby Fryderyk Wilhelm nie poszedł za jego przykładem w 1813 roku, że jeżeliby po przybyciu nad Odrę nie byli popchęli wojny aż nad Elbę, nad Ren, nad Sekwanę, pociągając za sobą Europę, w takim razie świat cały jęczałby jeszcze w niewoli. Nic przeto nie wyrównywało zobopólnemu szacunkowi, jakim przejęci byli dla siebie, a szacunek ten ugruntowany był na wielu względach, gdyż chociaż często Fryderyk Wilhelm okazywał się słabym, a Cesarz Aleksander zanadto ruchliwym, to przecież pierwszy pełen był zawsze prawości i skromności, a drugi szlachetności i powabu. Lecz jak to się zwykle zdarza uczciwym ludziom, uważali się oni za niepokalanych, a nawet zarozumiałość swą w tym względzie do cnoty podnosili. Pożądanie przez jednego Polski a przez drugiego Saksonji pochodziło, z najczystszych i najszlachetniejszych powodów. Aleksander chciał objąć Polskę jedynie dla jej odbudowania. Odbudowywanie Polski przez Napoleona w 1807 i 1812 r. bardzo mu się nie podobało i dla tego bronił się przeciw temu o ile tylko zdołał, lecz obecnie osądziwszy, że nadeszła sposobna chwila, podjął tę sprawę i zajmował się nią tak jak wszystkiém, to jest z namiętnością. Z łatwością nawet mógł przeprowadzić swe zamiary, z powodu posiadania w swym ręku większej części dawnych prowincji polskich. Przyłączywszy je bowiem do wielkiego księstwa Warszawskiego, obejmującego War-

szawę, Toruń, Poznań, Kalisz, można było utworzyć piękne królestwo, którego ogłosiłby się królem, przy nadaniu ustaw liberalnych, pozostając zawsze cesarzem Wszech Rossji. Mianowałby się podwójnym tytułem cesarza i króla, coby było szczytem potęgi, i byłby dla Rossyi równym albo nawet wyższym od Katarzyny i Piotra I, ponieważ w ciągu jednego tylko panowania przyłączyłby do cesarstwa rossyjskiego Finlandję, Bessarabię, Polskę. Wielu Polaków, którzy byli zawsze tego przekonania, że Francja zanadto była oddaloną, ażeby mogła przywrócić Polskę, i że Rossja jedynie mogła tego dokonać z pomyślnym skutkiem, jak niemniéj wielu takich, którzy zaczęli dopiero myśleć o tém od czasu upadku Napoleona, otoczyli Aleksandra i rozpłomieniali w nim te uczucia. Obiecywał też Cesarz stać się odnowicielem Polski i to odnowicielem szczodrym, gdyż zamierzał obdarzyć ją ustawą liberalną nakształt angielskiej. W jego przekonaniu, gdyby kongres wiedeński zgodził się na podobne plany, to podniósłby do szczytu sławę zwycięzkiej Europy i mógłby sobie przyznać, że odbudował świat na podstawach sprawiedliwości, wolności i prawdziwej polityki.

Takie to jedni drugim robili przyrzeczenia, przy zawiązywaniu w 1813 r. przeciw Francji europejskiej koalicji; nadspodziewane jednak powodzenie tej koalicji, dozwoliło posunąć nierównie dalej dawne przywrócenia, ponieważ Austrja zamiast otrzymać samą tylko Illirję, miała odzyskać Tyrol i północne Włochy, z dołączeniem nawet do nich rzeczypospolitej Weneckiej, której pierwej nie posiadała. Anglja, któraby się była za bardzo szczęśliwą mogła uważać, odrywając francuzkim nadbrzeżom Hamburg i Bremę, a jeszcze szczęśliwszą zabierając jej Hollandję, miała jej zagarnąć nawet Belgię, ażeby nią uposażyć książąt Oranii. Jeżeli więc wszyscy przewyższyli o wiele pierwsze swoje życzenia, czyż tylko Rossja, mówił Aleksander, miała pozostać zamkniętą w ciasnych granicach, nakreślonych wówczas, gdy koalicja marzyła zaledwie o dotarciu do Elby i nieprzypuszczała nawet, aby doszła aż do Renu? W tym nowym przeto obrocie sprawy widoczną stawało się rzeczą, że część przeznaczona dla Rossji winna była być zastosowaną, równie jak i wszystkich innych sprzymierzonych, do nadspodziewanych powodzeń koalicji.

Prusy miały otrzymać Saksonję, co było dla nich urzeczywistnieniem wszelkich życzeń. Państwo to od czasu jak je utworzył, z cząstek i kawałków, za pomocą broni i polityki swoim genjuszem Fryderyk II, przedstawiało zawsze rodzaj ułomności jeograficznej. Każdy wpatrujący się z uwagą w kartę Europy, znajdował to państwo nadzwyczaj długie, rozciągające się od Niemna do Renu, prawie ze wszystkiem ogołocone z posiadłości we środku. Drezno dodane do Berlina naprawiłoby po

części ten niedogodny układ, nadto dostarczało mu pola do działań wojennych, których Napoleon w dziewiętnastym wieku a Fryderyk II w ośmnastym okazali całą ważność; dawało Prusom za poddanych dobrych Niemców w zamian za niechętnych im Polaków, a ztąd tworząc z nich pierwszorzędną z niemieckich potęg, przygotowywało zarazem przyszłość jedności niemieckiej, która tak odurza każdego Prusaka, gdy mu się ją ukazuje zdaleka. Kiedy Aleksander sądził, że najświętszych dopełnia obowiązków odnawiając Polskę dla siebie, Fryderykowi Wilhelmowi zdawało się, że powinien był zrobić wielki krok dla jedności Niemiec, i pochlebiał sobie, że zapłaci tym sposobem za krew wylaną dla wspólnego oswobodzenia, i ani przypuszczał, że więcej robi dla jedności pruskiej aniżeli niemieckiej, że drugorzędne państwa niemieckie przerażą się tą jednością, że oburzy się Austrja, i że cała Europa zatrwoży się posiadaniem przez Rossję całej Polski. Podobnie jak Cesarz Aleksander i król Pruski gotowe miał odpowiedzi na spodziewane zarzuty przeciw temu zamiarowi, gdyż patrzał nań przez okulary swych życzeń, a ztąd widział je w pożądaném świetle. Utrzymywał, że przyobiecano Prusom dziesięć miljonów poddanych bez wskazania krajów, gdzieby ci poddani zamieszkiwali, a ztąd powinny one porobić nabytki w miejscu dla siebie najstosowniejszem, co znaczyło Saksonję, której ludność nieprzewyższała przyobiecanej liczby. Król Saski był zdrajcą, gdyż opuścił sprawę Europy, więc nie należało nawet zwracać uwagi na jego sprawy i przeszkadzać Prusom ogarnięcia Saksonji. Zresztą Rossja i Prusy połączone, mogły nie obawiać się przeciwników. Austrja tak była zajętą zasycaniem swej chciwości we Włoszech, Anglja zaś na obydwóch półkulach, że ani jedna ani druga nie zwróciłyby na to uwagi. Francja nie zasługiwała nawet, żeby niepokoić się jej głosem. W końcu Europa tyle była winna Rossji i Prusom, że nie mogła odmówić spełnienia tak uczciwych i prawych ich żądań. Takie to powody dawał Fryderyk Wilhelm i uważał je za wyborne. Nadto Cesarz Aleksander i król Fryderyk dali sobie słowo wzajemnego popierania i przybywali do Wiednia zupełnie przekonani, że jeden będzie miał Polskę a drugi Saksonję.

Czy podobna ażeby Anglja i Austrja nie przewidziały tych zamiarów, a jeżeli je przewidziały, żeby przyjęły bez sporów? Mocno się temu dziwić należy, zastanowiwszy się zwłaszcza nad gwałtownym oporem, jaki wybuchł wkrótce. Ale jak to już powiedzieliśmy, państwa sprzymierzone starannie unikały objaśnień z obawy naruszenia jedności. Mówiono zawsze o odbudowaniu Prus, na co wszyscy przystali, o ukaraniu króla saskiego, co zdawało się słusznem, o podziale księstwa Warszawskiego, co wypływało z traktatów. Mówiono nawet o przywróceniu

Polski, jako o sprawie, którą można było poddać kongresowi. Lecz od lat pięćdziesięciu tyle rzeczy nazwano Polską, że można było wymówić ten wyraz nie oznaczywszy właściwie żadnej granicy. Pozostawano więc w wygodnej dla wszystkich niepewności tem bardziej, że zajęcia blizkie odwracały uwagę od bardziej oddalonych. Anglja ciągle pełna wspomnień blokady lądowej, myślała tylko o postawieniu takiej zapory, aby ta nie mogła się powtórzyć; w tym celu utworzyła królestwo Niderlandzkie, pracowała nad wzniesieniem Hanowerskiego, chciała zapewnić jednemu i drugiemu Prusy za sprzymierzeńca i gotowa była wszystko ustąpić temu mocarstwu, żeby tylko podzieliło jej widoki. Austrja o wiele przezorniejsza od Anglji, lepiej zrozumiała zamiary Fryderyka Wilhelma i Aleksandra, bo tu szło o dozwolenie Prusom zajęcia wszystkich wąwozów w Saksonji; lecz nie to głównie stanowiło powód jej niespokojności, gdyż pomimo obecnych powodzeń, nigdy nie miała tyle i tak ważnych utrapień. Jeżeli na wschód i północ niepokoiły ją Prusy i Rossja, musiała znów odtwarzać Niemcy, określić tam na mocy ustawy swoje miejsce, urządzić Włochy, utrzymywać w karbach Murata, czuwać nad jeńcem wyspy Elby, mieć nawet na oku Francję, i trzeba jeszcze było zwracać uwagę, zajmując się temi wszystkiemi sprawami, aby jedno działanie nie stawiło zapory drugiemu. Postanowiła przeto używać podług potrzeby środków, to jest cierpliwości, przebiegłości, czujności, a w ostateczności i siły. Ze 300 tysięcy żołnierza, którym rozporządzała, zgromadziła 250 tysięcy w Czechach i Węgrzech, we Włoszech, zaś pozostawiła tylko 50 tysięcy, choć była tam narażona na starcie z Muratem, Włochami, a może nawet i z jeńcem z Elby. Nic nie mówiąc zabezpieczyła się tym sposobem od strony Saksonji i Polski, lecz im większe spotykała trudności, tem bardziej starała się je pokonywać jednością i dobrem porozumieniem z tymi, których zwykle nazywano *czterema* (*les quatre*), to jest Anglją, Austrją, Prusami i Rossją, ponieważ podług jej zdania przypuszczając do tego Francję i małe państwa niemieckie, narażano się na wpadnięcie w prawdziwy zamęt, z któregoby znowu wytrysnął lucyper, to jest Napoleon, nie zatarty jeszcze w pamięci i który bezwątpienia zamyślał już o wystąpieniu, pomimo że udawał głęboki spokój, tłumacząc go nadzwyczajném utrudzeniem. To też pierwsze słowa wymówione w Wiedniu były te same, które powiedziano sobie ostatnio w Londynie, że mocarstwom sprzymierzonym nadewszystko należy utrzymać zupełną zgodę, chociażby ceną największych ofiar, a powtarzano to sobie tém bardziej, że poczuło już zbliżający się dzień, w którym jedność miała się rozerwać.

W takiém to usposobieniu przybyli do Wiednia monarchowie ze swymi ministrami. Niekłamana jednak chęć utrzymania jedności i nadzwy-

czajna chciwość nie zgadzały się z sobą. Nigdy błąd popełniony przez Francję, skutkiem tak spiesznego podpisania umowy zawartej w Paryżu, nie był tak uderzającym jak w obecnej chwili, gdy Europie konieczne groziło rozdwojenie; bo niepodobną do prawdy stawało się rzeczą, aby Austrja przystała na osiedlenie Prusaków w Dreznie, a Rossji Krakowie; aby państwa drugorzędne zgodziły się na zniesienie najznaczniejszej pomiędzy niemi Saksonji, i to za błąd wspólny wszystkim, jedynie za przymierze z Francją; aby Anglja nakoniec chciała zezwolić na te wszystkie dumne zamiary, popełniane w obec potężnego jej parlamentu. Gdyby więc w pośród podobnego rozdwojenia Francja przybyła do Wiednia nie związana traktatem, nie mając naznaczonych granic, stanowisko jej byłoby zupełnie różne od tego, jakie zajmowała w Paryżu w miesiącu Maju. Między Rossją i Prusami z jednej strony, które chciały za jakąbądź cenę zyskać Polskę i Saksonję, a Anglją i Austrją z drugiej, które im tego odmawiały, strona, którąby miała Francję po sobie, mogłaby być pewną tak stanowczej wyższości, że głos jej stałby się przeważnym, a w takim razie Francja nie potrzebowałaby skarbić sobie względów państw innych i starać się o ich przyzwolenie dla przeprowadzenia swych zamiarów. Dwa państwa najskłonniejsze do robienia ustępstw Francji, były Rossja i Prusy, ponieważ im szło o Wisłę i Elbę, a nie o Ren i Skaldę. Nie ulega przeto wątpliwości, że gdyby Burboni byli stanęli po ich stronie, zyskaliby zupełnie inne granice od nakreślonych w traktacie paryzkim. Gdyby można było przynajmniej zyskać linję twierdz, żądaną przez pełnomocników francuzkich przy prowadzeniu układów, korzyści dla dynastji byłyby wielkie, ponieważ ustępstwo to otrzymane przez politykę, zjednałoby Burbonom popularność, na której im właśnie zbywało. Prawdziwém więc było nieszczęściem przybywać do Wiednia w okowach traktatu paryzkiego. Choroba jednak nie była bez ratunku, pozostawały jeszcze środki korzystania z tego położenia rzeczy. Wszystko bowiem wskazywało, że starcie będzie silne, gdyż Rossja i Prusy zdawały się gotowe posunąć do ostateczności dla zyskania Polski i Saksonji. Gdyby więc rzeczy zaszły aż do zachwiania przymierza i do podobieństwa wybuchu wojny, w takim razie niepodobna nawet przypuścić, aby zwracano uwagę na osnowę traktatu paryzkiego, kiedy zawarty w Chaumont miał być rozerwany. Bezwątpienia że Francja nie mogła zdradzać zamiaru wyłamania się z pod warunków traktatu paryzkiego, ale zwlekając, dając do zrozumienia że czynnie wystąpi i ociągając się z wystąpieniem, mogłaby dojść do celu. Rossja i Prusy tak były zapalone, że same byłyby wymówiły wyrazy, których Francja nie śmiała wyrzec i ofiarowałyby jej to, czego nie śmiała żądać. Jakiemi środkami doszłaby do poprawy

swego położenia, nie można stanowczo oświadczyć, ale rzecz najpewniejsza, że stałoby się to jakimkolwiekbądź sposobem, i że osiągnęłaby korzyści odpowiednie do ważności zawikłań. Dodajmy jeszcze, że sprzymierzona Francja z Rossją i Prusami nie potrzebowała się obawiać niczego. Prawdopodobném jest nawet, że w takim razie Anglja i Austrja nie odważyłyby się na wojnę i przystałyby na ustępstwa, a w takim razie Francja zapanowałaby nad położeniem, gdyż wystąpiłaby tu w roli rozjemcy dobrze wynagrodzonego. Zniszczenie przeto traktatu paryzkiego nie było niepodobieństwem, lecz trudnością, którą można było pokonać przebiegłością, a każdy przyzna, że w obec przeciwników, którzy względem Francji użyli i nadużyli swej siły, można było użyć przebiegłości.

Taki sposób postępowania wskazywałby, że Francja powolną się stała dla życzeń Prus i Rossji, lecz ta powolność wyszłaby jej na dobre. Gdyby Rossja otrzymała Polskę całą, której część większą już posiadała, posunęłaby się od zajmowanej od dawna Wisły aż nad brzegi Warty. Gdyby zaś Prusy otrzymały Saksonję, bliżej byłyby Austrji. Rossja więc nabawiłaby tylko kłopotem Niemcy, a Prusy Austrję. Lecz cóż to wszystko mogło obchodzić Francuzów? Czyż bowiem potrzebowali się troszczyć o ścisłą jedność trzech mocarstw, które przyczyniły się głównie do ich pokonania, a pokonawszy, przysłużyły się traktatem z 30 Maja, który przez lat czterdzieści trzymał Francję ciągle w wielkiej zależności? Jeżeli niezbędném było, ażeby Prusacy niepokoili kogoś zajmowaném przez nich stanowiskiem, to czyż nie lepiej było przysłużyć się taką przyjemnością Austrji, przez usadowienie ich w Dreznie, aniżeli zwalać całą niewygodę na Francję, przez wpuszczenie ich do Kolonji i Akwizgranu? Gdyby król Saski został na prawdę przeniesiony z nad brzegów Elby na lewy brzeg Renu, jak to Cesarz Aleksander i Fryderyk Wilhelm zamierzali uczynić, równowaga Niemiec, cząstka równowagi europejskiej, więcejby była naruszoną. Ależ ta równowaga Niemiec tak mocno podkopana w naszym wieku, czyż przynosiła Francji i Europie jakiekolwiek korzyści? Wszak ta to równowaga pomieściła małe pomiędzy wielkiemi państwami, w celu niedopuszczenia wojny pomiędzy niemi. Czyż nie lepiej więc było dla Francji, aby jeszcze jedno państwo niemieckie oddzielało ją od Prus? ochraniało od wojny z niemi, aniżeli między Prusami a Austrją dla uchronienia ich od możebnego starcia? A Saksonja, która zdradziła Francuzów na polu bitwy, a Europa, która im pofolgować nie chciała, zasługiwały na jakiekolwiek względy Francji i czyż postępowanie ich nie upoważniało Francuzów bardziej niż w każdym innym czasie i każdej innej okoliczności do myślenia o sobie, wyłącznie o sobie?

Przypuszczać podobne rozumowania znaczy prawie to samo co je

rozstrzygać, i po upływie pół wieku dziwimy się, że można było w tak dziwny sposób zapatrywać się na nie w czasie, którego kreślimy dzieje. Na nieszczęście, że ówczesny rząd Francji nielepiej kierował na zewnątrz jak wewnątrz sprawami państwa, a ztąd kwestje te nie zostały nawet wniesione pod obrady rady królewskiej. Tak samo jak nie zadano sobie pytania, czy należało odroczyć na dwa miesiące konwencji z 23 Kwietnia, która pozbawiając Francję nieoszacowanych rękojmi, nie przyspieszyła ani o jeden dzień wymarszu wojsk sprzymierzonych, tak jak nie zapytano siebie, czy nie lepiejby było odłożyć do pół roku podpisanie paryzkiego traktatu, to jest do chwili, w której sprzymierzeni monarchowie po pokonaniu Francji, zaczęliby się spierać pomiędzy sobą o podział zdobyczy, tak samo nie zastanowiono się nad tém, czego należało trzymać się w Wiedniu. Powodem tego był wadliwy skład rady królewskiej, bardziej aniżeli brak światła w ludziach ją składających. Rada ta bowiem, jaktośmy widzieli, była mięszaniną książąt, ministrów zarządzających wydziałami, ministrów bez tek, pod przewodnictwem króla światłego, roztargnionego, leniwego, pozwalającego ministrom rządzić, lecz niechcącego się zgodzić na mianowanie naczelnika gabinetu, a ztąd czynności jej były zupełnie tak bezładne jak skład jej samej. W każdym wydziale bieg spraw zależał od osobistych zdolności ministra, to też w ministerstwie skarbu wszystko szło dobrze i daleko lepiej niż w innych wydziałach, w których, prawdę powiedziawszy, sprawy załatwiały się przypadkowo, jak to szczególniej miało miejsce w ministerstwie spraw wewnętrznych, z powodu wpływu namiętności stronnictwa będącego u steru rządu. Co zaś do spraw zagranicznych, to te pozostawione były królowi, jako królowi, i panu de Talleyrand, jako najzdolniejszemu człowiekowi pod tym względem we Francji, i rozwijały się one następnie.

Pogląd Ludwika XVIII na sprawy zagraniczne podobny był do jego zapatrywania się na wszystkie rzeczy, to jest dość rozsądny, chociaż ograniczony jak jego w tym względzie żądania (1). Szczęśliwy z powrotu do dziedzictwa swych ojców, zwiększonego jeszcze dwoma lub trzema twierdzami i wspaniałém muzeum, o które niewiele się troszczył, nie

(1) W całej historji ostatnich czasów nie ma przedmiotu, któryby mniej był znany jak kongres wiedeński, chociaż on jest rzeczą najważniejszą tegoczesnych dziejów, gdyż urządził zupełnie Europę, która w tym stanie do pięćdziesięciu lat przetrwała. W naszém opowiadaniu przedstawiamy rzecz całą jak ona rozwijała się rzeczywiście, gdyż opieramy się na tajemnej korrespodencji prowadzonej pomiędzy Ludwikiem XVIII a panem de Talleyrand. W tych to dowodach znajdujemy te drobne szczegóły, które mogły zająć króla dowcipnego, złośliwego, lubiącego zgorszenia i nie mającego żadnego przesądu, z wyjątkiem o swém pochodzeniu, któremu nic równego

żądał zwiększenia swych posiadłości i nie robił nawet tej prostej uwagi, że przy rozszerzeniu się państw innych, pozostawienie Francji w granicach z 1792 roku było jej zmniejszeniem; że jeżeli nabierała niejakiej powagi, to tylko skutkiem działań rewolucji, której zasług oceniać nie chciał. Obdarzony godnością, Ludwik XVIII najmniejszej nie miał żądzy rozszerzenia granic, przywiązawszy się nadewszystko do pokoju, który stał mu się drogim skutkiem wieku, choroby, wyczerpania Francji, i którego słusznie najlżej nawet nie życzył narazić. Mięszanie się nadto w sprawy zagraniczne było wspomnieniem cesarstwa, czego starannie unikał, a ztąd w Wiedniu ukazywał się w roli godnej, spokojnej, chcąc tylko otrzymać jedno ustępstwo, to jest usunięcie Murata z Neapolu. Pozostawienie bowiem choć jednego małego tronu przywłaszczyciela, kiedy już runął wielki, zdawało mu się rzeczą niewłaściwą, napawającą wstydem wszystkie mocarstwa, i prawdziwie niebezpieczną dla Francji. *Flagitio addit damnum*, powtarzał, gdy napadła go chętka wyrażania się po łacinie. Uważał bowiem Neapol za zajazd, w którym Napoleon mógł stanąć w każdej chwili, pomaszerować na czele ośmdziesięciu tysięcy Włochów ku Alpom i poruszyć wszystkie żywioły burzące się we Francji. Przypisując wszelkie wewnętrzne niepokoje Francji knowaniom i pieniądzom Napoleona, odmówił mu wypłaty przyznanych traktatem z 11 Kwietnia dwóch miljonów, i żądał przeniesienia jego samego na wyspy Azorskie. Oprócz tych dwóch żądań chciał także, aby odmówić Marji Ludwice księstwa Parmy, gdyż według niego, było to także rzeczą niewłaściwą i niebezpieczną dla polityki europejskiej, i wnosił, aby tym księstwom nadano dom Parmeński, spokrewniony z Burbonami. Nakoniec, jako syn księżniczki Saskiej, uważał za rzecz godną swej korony ocalić króla Saskiego, chociaż tę kwestję na ostatku dopiero w swych życzeniach umieszczał. Z nikim nie życzył sobie wojny, ani nawet ważnych sporów, lecz co się tyczyło ścierań czysto na polu politycznem, z chęciąby je podjął. Przymierza uważał za potrzebne w polityce, lecz nie ży-

na świecie nie widział. Pan de Talleyrand dostarczał zwykle wszelkich szczegółów panu de la Besnardiere dla zredagowania korrespondencji, którą następnie własnoręcznie przepisywał. Król najczęściej odpowiadał sam, a czasami przez pana de Blacas. Co zaś do spraw poważnych, to te załatwiał wprost pan de Dalberg z gabinetem, kierowanym przez pana de Jaucourt pod nieobecność pana de Talleyrand. Ten mniej dowcipny i traktujący rzeczy poważnie, nie pozostawiał nic do życzenia pod względem wykładu rzeczy, przedstawiając je jasno, dokładnie i z odznaczającą się znajomością, pomimo iż zapatrywał się na nie z zajętego stanowiska przez legację francuzką. Nie możemy przytoczyć tu dowodów zagranicznych, z których czerpaliśmy nasze opowiadanie, uręczając jednak, że autentyczność tych żadnej nie ulega wątpliwości.

czył sobie zbyt ścisłych, by te nie wciągnęły go mimowolnie w wojnę. Związek z Anglją przekładał nad wszystkie inne, które mógł zawrzeć ze czterema wielkiemi mocarstwami europejskiemi, gdyż nie przypadała mu do smaku ruchliwość cesarza Rossyjskiego, zanadto liberalne zasady narodu pruskiego i pokrewieństwo domu austrjackiego z Bonapartem. Uprzedzenie swoje w tym względzie posunął aż do zerwania projektowanych związków rodzinnych z dworem rossyjskim, choć ten związek ważne mógł sprowadzić następstwa. Ponieważ był bezdzietnym i jedynymi jego następcami byli synowcowie, z których książe d'Angoulême także nie miał potomstwa, przeto należało ożenić księcia de Berry, dla utrzymania korony przy starszej linji Burbonów. Hrabia Pozzo di Borgo zamyślał doprowadzić do skutku połączenie wielkiej księżny Anny, tej samej, z którą miał się żenić Napoleon, z księciem de Berry; zajął się tą sprawą ze zwykłym sobie zapałem, przytaczając usługi, jakie Rossja oddała i te, które jeszcze oddać mogła, jedném słowem wychwalając korzyści podobnego związku. Lecz Ludwik XVIII stawiał na przeszkodzie temu projektowi tysiączne wyrachowane zawady. Gdyby można było wybierać, wolałby, jak to już powiedzieliśmy, połączyć się z Anglją, chociaż i to byłby uczynił z wielką ostrożnością. Porozumieć się z Anglją, nie zobowiązując się jednak względem niej do wielkich obowiązków, a dzięki temu porozumieniu uwolnić się od Murata i jeńca z Elby, oddać księstwo Parmy domowi etruryjskiemu, złagodzić cokolwiek los króla Saskiego, na tém zasadzała się cała jego polityka. Ale dla żadnego z wyżej wymienionych powodów, wyjąwszy może usunięcie z tronu Murata i przeniesienie Napoleona na inne morza, nie przystałby na stawienie czoła ważnym powikłaniom. Zresztą wyraziwszy te skromne życzenia swemu pełnomocnikowi, pozostawił mu zupełną swobodę postępowania, stosownie do tego jaki przybierą obrót sprawy, i zaledwie rzucił okiem na ogromny memorjał, ułożony w ministerstwie spraw zewnętrznych, pod tytułem *Instrukcja*, obejmujący we wszelkich szczegółach niezliczone europejskie sprawy. Podpisał go, nie czytając prawie.

W instrukcji tej pan de la Besnardiere, który był jej redaktorem, jako znający gruntownie szczegóły spraw europejskich, dodał także do żądań Ludwika XVIII wyrażenie życzeń Francji, oddzielnemi obejmując je ustępami. Ponieważ twierdze Luxemburg i Moguncja odpadły od Francji, przeto należało przynajmniej usiłować, aby nie dostały się Prusom lub Austrji. Chcąc sobie bowiem zapewnić bezpieczeństwo, można je tylko było zostawić w ręku Hollandji lub Bawarji. Co do Włoch nie było dostatecznem oddalić ztamtąd Murata na korzyść Ferdynanda IV, i Marję Ludwikę na korzyść królowej Etrurji, lecz niezbędném było roz-

strzygnąć nierównie ważniejszą sprawę, to jest następstwo tronu domu Sabaudzkiego. Stary król Sardyński nie miał dzieci, a jedyny jego następca również był pozbawiony potomstwa. Ważném było przeto zapewnienie następstwa domowi Carignan, jeżeli nie życzono sobie, aby skutkiem związków małżeńskich Piemont przeszedł w posiadanie domu Austrjackiego. W końcu należało także zająć się donatarjuszami francuzkimi, między którymi w pierwszym rzędzie było kilku marszałków, i ocalić, jeżeli to było możebném, ich uposażenia. Oto punkta drugorzędne, ale bardzo ważne, powiększone przez redaktora w instrukcji pełnomocnika francuzkiego.

Na pełnomocnika francuzkiego wyznaczony został pan de Talleyrand, i niepodobieństwem nawet było mianować kogoś innego. Dodali mu do pomocy księcia de Dalberg, który skutkiem rzadkiej przenikliwości i rozległych w Niemczech stosunków, najwłaściwszym był do spełnienia tej roli. Zresztą, jak to widzieliśmy, Ludwik XVIII umiarkowanemi żądaniami nadzwyczaj ułatwił stanowisko swych reprezentantów w Wiedniu. Gdyby bowiem poprzestając na utrzymaniu układów z 30 Maja, chciał tylko obalenia Murata, nabycia jakich posiadłości dla domu Parmeńskiego i utrzymania dla króla Saskiego choćby małej części jego państwa, w takim razie francuzcy pełnomocnicy mogli być pewni, że ich misja pomyślnym uwieńczy się skutkiem. Widoczném było, że Murat zostający w rażącej sprzeczności z obecném położeniem Europy, wspierany tylko od Austrji, która się do tego zobowiązała do pierwszego z jego strony nierozważnego kroku, upadłby wkrótce pod naciskiem żądań obydwóch gałęzi domu Burbonów. Daleko trudniejszą stawało się rzeczą pozbawić przyrzeczonego księstwa Marję Ludwikę, na korzyść domu Parmeńskiego, i to na kongresie, na którym miał przewagę Franciszek II, chociaż nie było niepodobieństwem wynaleść dla niej jakie inne wynagrodzenie na rozległej przestrzeni Włoch. Co się zaś tyczy Saksonji, aż nadto było pewném, że Austrja nie chciałaby nigdy zezwolić na to, aby Prusacy zajęli Drezdno, a Rossjanie podnóża gór Czeskich; że wszystkie państwa drugorzędne Niemiec oburzyłyby się na sam zamiar zniesienia takiego państwa, jakim była Saksonja; że Anglja nie mogłaby pozostać głuchą na ich żale; że mianowicie parlament angielski obruszyłby się nazbyt widokiem Rossji zajmującej całą Polskę; i że gdyby do tego ogólnego oporu dołączyła się i Francja, to Rossja i Prusy byłyby zmuszone ustąpić. Należało więc tylko pozostawić działanie samych wypadków, aby ziściły się umiarkowane żądania Ludwika XVIII. Przeciwnie, gdyby chciano korzystać z tych nieporozumień dla unieważnienia traktatu paryzkiego, przez stanięcie po stronie Prus i Rossji, rola stawała się mozolniejsza

i trudniejsza, chociaż nie groziła niebezpieczeństwem i skutek był prawie tak samo pewny, ponieważ Austrja i Anglja nie śmiałyby nigdy rozpoczynać na nowo wojny, gdyby oprócz Francji miały jeszcze przeciw sobie Rossję i Prusy. Jak w jednym tak w drugim rodzaju postępowania, czy to przyjmując stanowczo warunki traktatu podpisanego w Paryżu, czy też wyczekując niesnasek monarchów dla wyciągnięcia z nich korzyści pod względem granic, skutek był prawdopodobny. Jednak, jakiejkolwiek trzymałaby się Francja polityki, spotykałaby zawsze trudność, a tą był niezwyciężony wstręt Europy ku przypuszczaniu Francuzów do swoich sporów, gdyż wstydziłaby się okazywać w obec nich swych nędznych waśni, które groziły niebezpieczeństwem, jeżeliby wypadło zażądać od Francji usług i przyznać jej za nie znakomite stanowisko. W takiém położeniu, jeden był tylko sposób postępowania w Wiedniu: trzeba było cierpliwie oczekiwać na prawie pewne rozdwojenie pomiędzy mocarstwami sprzymierzonemi, a dopiero wówczas z stanowczym wystąpić głosem; słowem tak działać, aby inne mocarstwa objawiły żądzę pośrednictwa francuzkiego, z którém nie można się było narzucać. O ile bowiem Francja skwapliwiej podejmowałaby rolę rozjemcy, o tyle więcejby się jej obawiano i mniej płacono. Cierpliwość zatém połączona z wytrwałością, jedyną była postawą, jaką francuzka legacja przyjąć mogła, jeżeli pewną być chciała pomyślnego skutku. Dwie rzeczy bowiem były pewne, to jest, że nastąpi rozdwojenie pomiędzy mocarstwami i że wszyscy będą potrzebować Francji; a w obec takich dwóch pewników, polityka wyczekująca musiała nieochybnie pomyślnym uwieńczyć się skutkiem.

Jeżeli był kiedy człowiek posiadający w wysokim stopniu zdolności do spełnienia podobnego zadania, to nim był pan de Talleyrand. Wielki urodzeniem, rolą jaką odgrywał od lat trzydziestu, sposobem życia, jakiemś zaniedbaniem wspaniałem i dumném na raz, z bezwładności uczynił prawie cnotę w czasie panowania księcia, który czynność uważał za występek; zdawało się, że jeżeli kto mógłby kiedy zgrzeszyć niecierpliwością, to z pewnością nie pan de Talleyrand w Wiedniu. Jednak wrodzone nawet usposobienie słabnie przed namiętnościami, jeżeli tylko uczuje żądło miłości własnej lub pychy, czego pan de Talleyrand miał dać dziwny przykład w tém zdarzeniu.

Pan de Talleyrand zajmował w rzeczy samej od lat piętnastu pierwsze miejsce na wszystkich zjazdach europejskich; reprezentanci mocarstw, których teraz miał widzieć jako ministrów zwyciężkiej Europy, ulegali niegdyś jego woli, i zawsze spotykał ich niżej stojących od siebie. Za czasów cesarstwa, pan Metternich był w Paryżu skromnym ministrem dworu zwyciężonego i przygnębionego; pan Nesselrode był prostym se-

kretarzem poselstwa. Przykro więc było panu de Talleyrand, że przynajmniej na równi nie stanął z temi osobami, które dawniej za drugorzędne uważał, ztąd płynęła trudność jego położenia, mogąca nawet zaszkodzić jego sposobowi postępowania w Wiedniu. Nie wycieńczając się zazwyczaj ani myśleniem, ani przewidywaniem, nie zastanowił się nawet, czyby rozdwojenie Europy mogło wpłynąć na polepszenie położenia Francji; zastanowił się tylko nad obecném jej stanowiskiem w Wiedniu i nad postawą jaką sam ma zachować. Powiedziawszy sobie, że będąc pierwej przedstawicielem wszechwładnego genjuszu a obecnie prawa (co określił szczęśliwym wyrazem, który otrzymał ogromne powodzenie, *prawowitość*), występuje w roli godnej, stosownej, a może i nie niższej wcale od tej, jaką niegdyś zajmował. Odjeżdżał więc do Wiednia z mocném postanowieniem wyrobienia sobie miejsca urokiem prawowitości, która chociaż dobra jest w bardzo wielu rzeczach, nie do wszystkiego jednak da się zastosować. Zapewnie że do zrzucenia z tronu Murata, wzbudzenia szacunku dla króla Saskiego, wyraz ten bardzo był skuteczny, ale dalekim był do skutecznego zastosowania w innych okolicznościach, bo jeżeli go pojmowano w prawdziwém znaczeniu nie należało robić układów z Bernadottem, któremu monarchowie starali się pochlebiać, ale z Gustawem IV wałęsającym się jak wygnaniec po Europie; nie trzeba było przyjmować posła Ferdynanda VII, który był królem ze szkodą własnego ojca Karola IV, ponieważ ten nie tylko że się swych praw nie zrzekł, lecz owszem, był gotów wystąpić z niemi: należało wezwać posłów z Genui, Wenecji, Malty; dawnych elektorów Kolonji, Trewiru i Moguncji, równie jak innych tyle ofiar, których spuścizną miano się dzielić. Tym sposobem zapełnionoby kongres marami, pozostawiając zewnątrz istoty rzeczywiste. Ten wyraz prawowitość, pomimo że zawierał w sobie wiele prawdy i powagi, nie mógł służyć w obecnej chwili do bronienia najważniejszych interesów Francji; pobudzał do śmiechu ludzi praktycznych, którzy mieli się zebrać w Wiedniu i używali go lub uważali podług potrzeby; miał przytém tę niedogodność, że stawiał Francję za Austrją i Anglją, które były najmniej usposobione ze wszystkich innych państw do podniesienia Francji z upadku; łączył ją z ich polityką, w końcu zaś, w obec dwóch wielkich stronnictw, które miały rozdzielić Europę, pozbawiał Francuzów, co właśnie stanowiło główną ich siłę, swobody głosu.

Z niezaprzeczoną wyższością jako pełnomocnik, p. de Talleyrand przybył do Wiednia z usposobieniem, które nie było najlepszém do osiągnięcia przez Francję największych korzyści w jej nowém położeniu. Nic nie było pewniejszego nad to, że stanie na wysokości, ale też bardzo

wątpliwą stawało się rzeczą, czy działania jego będą korzystne. Wszelako dawał wszelką rękojmię, że przedstawiana przez niego Francja nie wystąpi w roli mocarstwa pokonanego, ani też poniżonego.

Wyjechawszy z Paryża 15go, stanął w Wiedniu 23 Września. Było to w przeddzień przybycia tutaj monarchów, ale co się tyczy ministrów i ich sztabów, to oddawna znajdowali się oni na miejscu obrad i języki nadzwyczaj były czynne. Bardzo wiele rzeczy, które chciano pozostawić w niepewności, zaczęło się wyświecać. Rossjanie i Prusacy, wtajemniczeni w zamiary swych władzców, nie ukrywali ich wcale. Rossjanie bez ogródki wszędzie rozpowiadali, że im potrzebna cała Polska; Prusacy zaś nie okazując ani więcej roztropności, ani też umiarkowania, dowodzili konieczności zajęcia dla siebie Saksonji. Ani jednym, ani drugim na myśl nawet nie przychodziło, aby kongres mógł im odmówić tych ustępstw, kiedy tak wielkie oddali usługi.

Żądania te z pewnością powtarzane, w pierwszych zaraz dniach wstrząsnęły kongresem. Niemieccy i inni drugorzędni monarchowie, wzburzyli się nazbyt wiadomością o pochłonięciu przez dumnego sąsiada wyrównywającego ich posiadłościom państwa, a to z powodów, pod który wszystkich ich można było podciągnąć, że zostawał w przymierzu z Francją. Reprezentanci wszystkich mocarstw przerażali się myślą, że Rossja posunąwszy swe granice na początku tego wieku nad brzegi Wisły, rozszerza je teraz aż po Odrę i Wartę, dzięki nieukrywanemu porozumieniu się w tym względzie z Prusami. Utrzymywali oni, że nie warto było zadawać sobie trudów do obalenia potęgi Napoleona, kiedy ta tak prędko, tak zupełnie i tak niebezpiecznie ma być zastąpiona przez inną. Najbardziej jednak oburzały ich nieukrywane zamiary, że cztery legacje, a mianowicie: rossyjska, pruska, austrjacka i angielska, chcą opanować ster obrad i nie dopuścić do nich pełnomocników państw innych. Ztąd to z niecierpliwością wyglądano przybycia legacji francuzkiej, i pomimo nienawiści jaką żywili Niemcy do przymierza z Francją, byli jednak gotowi do stanięcia po za nią, licząc, że stanie się wsparciem uciśnionych. Jednem słowem byli oni gotowi do powierzenia swych losów Francji, chcąc się bronić, ocalać i zemścić za jej pomocą.

Powolność pana de Talleyrand zupełnie wystarczała na podrażnienie wszystkich tych chęci, a nawet na obrócenie ich wkrótce w prawdziwą namiętność; to też zaledwie przybył do Wiednia, stał się natychmiast celem zabiegów. Ministrowie wszystkich mocarstw przyjęli go jak najznakomitszego dostojnika Europy, dostojnika, który przedstawiając poprzednio zwycięztwo, wyobrażał obecnie prawowitość, a co więcej, że był on typem tej dawnej wytworności, tak dzisiaj poszukiwanej. *Czterej*,

to jest pełnomocnicy Anglji, Austrji, Rossji i Prus, okazywali mu wiele względów, mówili mało o sprawach i dawali do zrozumienia, że to nie jego wpływ, lecz wyłącznie osoba doznaje takiego przyjęcia, jak niemniej, że postanowili wszystko rozstrzygnąć pomiędzy sobą, pomimo że załatwienie interesów dalekiém było od wyrównywania zamiarom. Pełnomocnicy małych dworów, zwykle ruchliwi, dobrze świadomi rzeczy i przyzwyczajeni do podburzania przeciw sobie ministrów państw wielkich, gdyż tym sposobem byt swój zdołali ocalać, skupili się około pana de Talleyrand i bądź to wprost, bądź też za pośrednictwem pana de Dalberg, wyjawiali zamiary *czterech*, że postanowili owładnąć sterem obrad, a nadewszystko oddać Saksonję Prusom, które za to miały zrzec się zaboru w Polsce na rzecz Rossji Sprawozdania te były przeplatane złośliwemi objaśnieniami o przewadze króla Pruskiego i Cesarza Rossyjskiego, o niezręczności lorda Castlereagh, o słabości Metternicha, gotowych, jak utrzymywano, do zrobienia zamachu na prawa narodów, a to z przyczyny, że jeden nie posiadał dość zręczności, a drudzy nie mieli odwagi do powstrzymania od tego.

Wystarczało panu de Talleyrand cierpliwie tylko słuchać przez dni kilka, aby zamiary *czterech* upadły skutkiem powszechnego oburzenia. Postanowienie jednak wielkich mocarstw do wyłączenia Francji od obrad, o czém uwiadomiły go małe państwa, do żywego go dojęło. Natychmiast więc zaczął rozpowiadać, że powrócona Francja pod władzę prawego króla, stanie się w Wiedniu, jeżeli tego zajdzie potrzeba, jedynym i bezinteresownym wyobrazicielom prawa narodów i że nie ścierpi i nie pozwoli na żadne niesprawiedliwości. Oświadczenie to publicznie głoszone, żywe wywarło wrażenie, zachwyciło ministrów drugorzędnych państw niemieckich, boleśnie rozgniewało Prusy i Rossję, mocno zakłopotało Anglję i Austrję, niezadowolnione bezwątpienia i przerażone oświadczeniem się Francji, stającej na czele gotowych do powstania państw drobnych.

Dyplomaci, którzy stawili opór tak prędko przyjętej postawie Francji, a szczególniej Prusacy, zaczęli ze swej strony głosić, że Francja już zrzuciła maskę; że zdawała się początkowo ulegać swemu losowi, co było kłamliwém, gdyż w gruncie rzeczy marzy o brzegach Renu, że stara się wszystkich pokłócić dla dopięcia celu; że jeżeli wszystkie państwa nie sprzymierzą się silnie, to na dotkliwe wkrótce wystawione zostaną klęski. Francuzka zaś legacja, a głównie najczynniejszy z jej członków książe de Dalberg, ściśle złączony z Niemcami, odpowiadał na te potwarze, że Francja nic dla siebie nie pożąda, że nie ma żadnych dumnych zamiarów, że nie myśli o żadném zwiększeniu swych posiadłości,

lecz chce się oprzeć zbytecznemu rozszerzaniu się państw innych, gdyż to zagrażałoby powszechnemu bezpieczeństwu Europy. Nieszczęście tylko, że potrzeba było składać podobne oświadczenia i głosić o zupełném zadowoleniu, kiedy postępowanie sprzymierzonych z Francją przy układach w Paryżu, tak żywo jeszcze stało w pamięci. Gdyby bowiem rząd francuzki wstrzymał się był nieco z zawarciem pokoju, niktby nie śmiał zarzucać mu obecnie dumnych zamiarów i Francja nie potrzebowałaby dowodzić o swej bezinteresowności, co ją bardziej jeszcze krępowało od samego traktatu paryzkiego.

Ośm dni zaledwie upłynęło od zupełnego zjazdu do Wiednia, a już tajemnice wszystkich stały się głośnemi. Wiedziano bowiem, że Rossja pożądała całej Polski, a Prusy Saksonji; że drugorzędne państwa oburzały się na to i szukały poparcia u Francji, i że ta ze skwapliwością takowe ofiarowała, że Anglja i Austrja zakłopotane tym hałasem, upierały się przy pierwotném postanowieniu, pomimo podejrzanych zamiarów Rossji i Prus, aby wszystko z niemi po cichu załatwić bez współudziału państw innych. Ztąd to wzruszenie było żywe i niespokojność wielka, chociaż zagłuszono je świetnemi uroczystościami.

Nic nie mogło wyrównywać gniewowi i zadziwieniu Cesarza Rossyjskiego w tej chwili. Tak był przekonany o zobowiązaniu względem siebie całej Europy, że zaledwie mógł pojąć, aby stawiano opór jego życzeniom. W usposobieniu tém uważał wszystkich za niewdzięcznych: Niemców, że wzbraniali posunięcia się granic rossyjskich nad Odrę; Burbonów, że bronili swego krewniaka króla Saskiego i nakoniec Austrję i Anglję, że milczeniem przyjmowały wszystkie podnoszone nań krzyki. To też zmienił się zupełnie Cesarz Aleksander i w miejsce swej zwyczajnej słodyczy, grzeczności, stał się nagle oschłym. Najbardziej jednak oburzał się na Francję. O ile tylko mógł, jak utrzymywał, wyrwał ją z rąk zwycięzców, powrócił Burbonów na tron i postawił pana de Talleyrand na czele spraw państwa: najlepiej się obszedł z krajem, z królem, z pierwszym ministrem, a przecież tak od jednych jak drugich tylko niewdzięczności doznawał. Ludwik XVIII zarówno mało uwagi zwracał na jego osobę jak i zasady, nie chciał słuchać rad jego, nie ozdobił go niebieską wstęgą, jak księcia rejenta Angielskiego, odmówił parostwa panu de Caulaincourt, i nakoniec prawie znieważające stawiał zapory małżeństwu księcia de Berry z wielką księżniczką Anną. Zażaleń tych Cesarz Aleksander nie ukrywał, powtarzał je i utrzymywał, że postawa, jaką nagle przybrał pan de Talleyrand w Wiedniu, przechodzi wszystko. Rozsądny hrabia Nesselrode, zajęty ciągle gaszeniem pożarów wzniecanych przez innych, usiłował uspokoić Cesarza

Aleksandra, pogodzić go ze wszystkimi, a szczególniej z Francją, z którą przymierze za bardzo korzystne dla Rossji uważał. Skutkiem tego skłonił pana de Talleyrand do proszenia o posłuchanie cesarza. Krok ten był prawie powinnością po przybyciu do Wiednia, a nadto przypadał do smaku panu de Talleyrand, który bardziej był skłonnym do rozszerzania aniżeli ściskania swej roli. Cesarz zgodził się i przyjął posłannika Francji w pałacu Schoenbrunn, gdzie zamieszkiwał. W miejsce pokazania się ze zwykłą życzliwością i poufałością, przyjął pana de Talleyrand wyniośle, co bynajmniej nie zakłopotało znakomitego dyplomatę, który posiadał sztukę utrzymania swego stanowiska w obec największych mocarzów świata. Wypytywał go sucho o stan Francji, i to tonem nieprzypuszczającym dobrych wiadomości, co nawet znaczyło, że Europa nie najlepiej postąpiła przywołując na tron Burbonów. Pan de Talleyrand odpowiadał z uszanowaniem ale śmiało na wszystkie zapytania Cesarza Aleksandra i następna urywana wywiązała się rozmowa: — Jakie jest położenie Francji? — Bardzo dobre Najjaśniejszy Panie, tak dobre jak W. C. Mość może tego pożądać, a lepsza jak się spodziewa.—A usposobienie narodu? — Polepsza się z dniem każdym. — A postęp zasad liberalnych? — Postęp ten nie jest ani porządniejszym, ani też rzeczywistym? — A prassa? — Jest wolną, z wyjątkiem niektórych ograniczeń koniecznych w początku. — A wojska? — Wyborne... Mamy 130 tysięcy pod chorągwiami, a w miesiąc możemy mieć 300 tysięcy żołnierza. — A marszałkowie? — Który Najjaśniejszy Panie? — Oudino? — Poświęcony rządowi. — Soult? — Gniewał się trochę w dniach pierwszych; dano mu Bretanję i zadowolnił się i największe okazuje poświęcenie. — A Ney? — Boleje nad stratą swego uposażenia, ale od woli W. C. Mości zależy położyć koniec tym zmartwieniom. — A wasze izby?... utrzymują że nie zjednoczyły z rządem. — Któż mógł powiedzieć coś podobnego W. C. Mości?... Znajdują się, zwykle jak to bywa przy pierwszém wystąpieniu, pewne trudności, ale też zadziwiającą jest rzeczą, że po dwudziestu pięciu latach rewolucji, po kilku miesiącach zupełnego używamy pokoju. — A pan, czy jesteś kontent ze swego stanowiska? — Zaufanie i dobroć króla przechodzą me nadzieje Najjaśniejszy Panie. — Po każdej z tych odpowiedzi, które zaledwie dał kończyć, można było dostrzedz na twarzy Cesarza ironiczny niedowiarstwa uśmiech. Lecz wkrótce po tych obfitych pytaniach o stanie Francji, które byłyby nawet znieważającemi, gdyby pełna uszanowania wyniosłość pana de Talleyrand nie była naprawiała trudności położenia, Cesarz Aleksander żywo powiedział: Mówmy o naszych sprawach. Czy je skończymy? — Zależy od W. C. Mości, odrzekł p. de Talleyrand, ukończyć je z największą chwałą dla

siebie i z największym pożytkiem dla Europy. — Zaledwie mógł się powstrzymać Cesarz, gdyż wielkiego doznawał niezadowolenia i zadziwienia z oporu Francji, i powiedział do pana de Talleyrand: Zdaje się, że Burboni mi coś winni. — Pan de Talleyrand nie zaprzeczając należnych względów swego króla dla Cesarza Aleksandra, mówił o prawach Europy, że je należy szanować, nadewszystko po obaleniu człowieka, którego oskarżano, iż je podeptał. — Tych praw europejskich, odpowiedział Cesarz Aleksander, któreście dziś dopiero wymyślili dla stawienia mi oporu, ja nie uznaję. Pomiędzy mocarstwami przyzwoitość jedyném jest prawem. Nie przyjmuję innych. — Wówczas pan de Talleyrand zmieniając się nagle, podniósł ręce po nad głowę i zawołał: Nieszczęśliwa Europo! nieszczęśliwa Europo! cóż się z tobą stanie? — Rozgniewany Cesarz tym znaczącym wykrzyknikiem, wyrzekł niesłyszanym jeszcze nigdy od pana de Talleyrand tonem. Dobrze, jeżeli tak, więc wojna! wojna! Mam 200 tysięcy żołnierza w Polsce, niechże mię ztamtąd wypędzą. Zresztą, porozumiałem się ze wszystkiemi mocarstwami, wy jedni stawiacie mi zaporę i rozbijacie zgodę, która stać się miała powszechną. — Pan de Talleyrand, który przez cały czas cesarstwa wytrzymywał natarcia lwa daleko straszniejszego, aniżeli Cesarz Aleksander, pokazał się bardziej zasmuconym niż przestraszonym z uniesienia Cesarza i odpowiedział mu, że Francja nie pożąda wojny i nie obawia się jej, ale jeżeli nieszczęściem zmuszoną do niej zostanie, w takim razie prowadzić ją będzie dla utrzymania praw świata, wspierana powszechném błogosławieństwem i pomocą wielu sprzymierzeńców, gdyż pewnym był, iż ta zgoda, którą pochlebiał sobie Cesarz, zupełnie nie istniała. Po przykrej tej rozmowie, pan de Talleyrand skłoniwszy się z uszanowaniem lecz zimno, skierował się ku drzwiom gabinetu cesarskiego. Wówczas Cesarz Aleksander postąpił ku niemu i podał mu rękę, lecz z poruszeniem konwulsyjném, które gniew zdradzało.

W takich to trudnych okolicznościach znajdując się pan de Talleyrand, jako przedstawiciel wielkiego państwa wobec innego, był niezrównanym. Jeżeliby rzeczywiście prawdziwe interesa Francji były wówczas nad Elbą i Wisłą a nie nad Renem i w Alpach, to nikt i nigdy nie mógłby ani lepiej ani dumniej ich przedstawiać.

Koniec Września poświęcony był na uroczystości i na żywe przemówienia. Należało przecież zebrać nareszcie kongres pod tą lub ową formą, całkowicie lub częściowo. Pełnomocnicy Rossji, Prus, Austrji, Anglji, to jest panowie de Nesselrode, von Hardenberg, von Metternich i lord Castlereagh, czyli *czterej*, jak ich nazywano, przybyli pierwsi do Wiednia, o tyle staranniej naradzali się nad sprawami pomiędzy sobą,

o ile te bardziej zdawały się być powikłane i tajemnie ułożyli pomiędzy sobą sposób postępowania.

Wszystkie kongresy, jakie tylko odbyły się w czasach przeszłych, były zupełnie innej natury i z obecnym porównane być nie mogły. Nigdy bowiem niezdarzyło się widzieć zgromadzonych przedstawicieli państw wszystkich, obradujących nad urządzeniem całego świata ucywilizowanego, a to tak pod względem granic jak i ustaw wewnętrznych. Pełnomocnicy składający kongres westfalski, zajmowali się tylko Niemcami, gdy tymczasem kongres wiedeński, wziąwszy najprzód pod rozstrzygnięcie sprawy Niemiec, rozszerzył je następnie na Europę, a nakoniec na świat cały. Zdawało się więc, że zgromadzenie ministrów państw różnych dla wspólnego obradowania, było rzeczą bardzo prostą i łatwą. Ale jakże mogli oni wspólnie radzić nad przedmiotami, z których jedne obchodziły ich głównie, a drugie były tylko dodatkowe? Jakżeż naprzykład Szwajcarja stanowić miała o losie Portugalji, Portugalja o Norwegji, a tak jedna jak druga o ustawie dla Niemiec i Włoch? Jakżeż można było równą przywiązywać wagę do zdania pełnomocników, kiedy jedni przemawiali w imieniu pięćdziesięciu miljonowej ludności, a drudzy tylko miljona, a częstokroć mniejszego jeszcze kraju? A jeżeliby zwrócono uwagę na tę okoliczność, jakżeż wypośrodkować powagę każdego głosu z wszelką dokładnością? Widocznem było to niepodobieństwem, a ztąd nie można było połączyć pełnomocników mocarstw w pewien rodzaj *konstytuanty* europejskiej, gdyż jeżeli niektóre państwa, jak Austrja, Prusy, Francja, Anglja, Rossja, zajmowały się wszystkiemi sprawami wielkich i małych, gdyż miały w tém własny interes, to za to inne albo zupełnie nie chciały się wtrącać do spraw obcych, lub nie znały potrzeb innych krajów, albo też przeciwne drugim miały zamiary, a ztąd głosy ich nie mogły odpowiadać celowi. Nadto, znajdowali się pełnomocnicy, których jedne państwa chciały przyjąć do grona obrad, a drugie usunąć. Tak Prusy i Rossja oddalały ministra króla Saskiego, przez obadwa te państwa z góry osądzonego na utratę korony; dwa domy Burbonów usuwały pełnomocnika króla Neapolitańskiego, uważanego za przywłaszczyciela, a nikt nie chciał uznać pełnomocnika dawnej rzeczypospolitej Genueńskiej, gdyż o odbudowaniu jej ani myślano. Powszechne więc zjednoczenie się państw wszystkich było niepodobném i daleko właściwszą byłoby rzeczą, aby mocarstwa, które po podpisaniu traktatu paryzkiego, odroczyły dalsze układy do zjazdu wiedeńskiego, przyjęły na się rolę, jaką odgrywały mocarstwa pośredniczące na poprzednich kongresach, to jest aby występowały w charakterze pośrednika, a wrazie potrzeby rozjemcy pomiędzy stronami. Tym sposobem ośm

państw podpisanych na traktacie paryzkim, mogło otworzyć kongres, sprawdzić pełnomocnictwa, dla każdej po szczególe sprawy oddzielne wyznaczyć komiteta ze stron interesowanych, ustanowić sędziów polubownych do spornych punktów, zaprowadzić ład i zgodę w załatwianiu spraw wszelkich, po sporządzeniu oddzielnych co do każdej po szczególe rzeczy układów, objąć je wszystkie jednym ogólnym traktatem, podpisanym przez wszystkie bez wyjątku państwa, aby cała Europa do tego przystąpiła dzieła. Prawda że pomiędzy temi ośmioma państwami, przypuszczone do podpisania traktatu paryzkiego Portugalja i Szwecja, nie mogły się liczyć pomiędzy pierwszorzędnemi mocarstwami i że tylko z tytułu państw wojujących podpisały traktat pokoju z Francją, ale przypuszczenie ich na ten raz nie prowadziło za sobą żadnej niedogodności, owszém, było niejakiém oparciem się na legalności, a ztąd powinny były być wezwane do uczestniczenia w otwarciu kongresu wiedeńskiego.

Podobne wzięcie się do rzeczy widocznie było najwłaściwszém, z warunkiem przecież, aby niektóre państwa nie chciały nadużywać swego wpływu; nadto było ono popierane przez pełnomocników Anglji, Austrji, Rossji i Prus, tajemnie pomiędzy sobą układających sposób postępowania, a ztąd zostało przyjęte przez wielu reprezentantów Europy, zebranych na kongres wiedeński. Po załatwieniu zaś tej kwestji pod względem formy, pozostawały jeszcze dwie inne i to wielkiej wagi: podział rozległych krajów zdobytych na Francji i stanowcze urządzenie Niemiec. Sprawy odnoszące się do Szwajcarji i Włoch były ważnemi bezwątpienia, lecz były one czysto miejscowe i obchodziły tylko Francję Austrję i Hiszpanję. Załatwienie ich przeto odłożono na później, gdy dwie główne kwestje załatwione już zostaną. *Czterej* więc postanowili, że ośmiu podpisanych na traktacie paryzkim wezmą na siebie otworzenie kongresu wiedeńskiego i że następnie utworzy się dwa komitety, z których jeden zajmie się rozdziałem pomiędzy mocarstwa zdobytych krajów i ogólnemi sprawami Europy, a drugi wyłącznie urządzeniem Niemiec. Pierwszy z tych komitetów przeznaczony do wielkich czynności uporządkowania Europy, początkowo składał się tylko ze czterech; lecz gdy niepodobieństwem się stawało wyłączyć z niego Francji, a z Francją, która przedstawiała dziś jeden z dwóch domów Burbońskich, Hiszpanji, który przedstawiała drugi i którą spodziewano się mieć po sobie, ponieważ ona była Hiszpanją, ponieważ panował w niej Ferdynand VII, i ponieważ wiedziano dobrze, że obiedwie gałęzie Burbonów skłócone są obecnie pomiędzy sobą. Postanowiono przeto, że pomimo powołania do wielkiego komitetu europejskiego tych sześciu mocarstw, to przecież czterej tajemnie będą obradować, stanowić o wszystkiém, i tylko rzeczy już załatwione wno-

sić na ogólne posiedzenie, aby tym sposobem zawładnąć całym kierunkiem narad i podzielać je tylko pozornie.

Co zaś do spraw niemieckich, postanowiono powierzyć je Austrji i Prusom, które w drugim komitecie podobną miały odgrywać rolę, jak *czterej* przy załatwieniu wielkich spraw europejskich, to jest uchwaliwszy każdą rzecz tajemnie pomiędzy sobą, poddawać ją następnie tylko dla formy pod obrady drugorzędnych państw niemieckich, jak Bawarjii Wirtembergowi i Hanowerowi, który obecnie został już urządzony w niezależne królestwo na korzyść domu panującego w Anglji. Saksonja została skazaną przez *czterech*, na co przystawali prawie wszyscy, aby nie zasiadała w komitecie niemieckim, również jak obiedwie Hessje, o urządzeniu których nic jeszcze nie postanowiono, jak niemniej Badeńskie, któremu nieprzyznawano tyle ważności, aby mogły zasiąść w komitecie.

Takie to były postanowienia pierwszych narad ministrów czterech wielkich dworów, co do otworzenia i formy kongresu, a nadewszystko co do środków, za pomocą których przeważny wpływ mogłby wywierać. Dziwną zaprawdę a nawet śmieszną było to rzeczą, że *czterej* tak przywłaszczali sobie wszechwładztwo powszechne, skutkiem porozumienia się wspólnego, kiedy zgoda pomiędzy niemi była niemożebną, gdyż łakome żądze musiały ją koniecznie rozerwać przy pierwszém poruszeniu wzajemnych zachcianek. To też nie należało się obawiać tej przywłaszczonej przewagi. Zamiary te jednak skoro tylko zostały przewidziane, w kilku dniach wielkie wywołały wrzenie. Wszyscy bowiem wyłączeni od obrad obawiając się, aby to wyłączenie nie oznaczało skazania ich na ofiarę, wielkie podnieśli krzyki i zapytywali, dla czego sprawy mają być załatwiane przez czterech, sześciu lub ośmiu i dla czego nie oddają ich samemu kongresowi? Dotknięta do żywego legacja francuzka, że te tajemne układy pozostawiły ją na zewnętrz obrad, szerzyła myśl zwołania całego kongresu, a myśl ta z zapałem była popieraną przez wyłączonych, to jest prawie przez wszystkich. Znalazła ona nadto gorliwego popleczника w panu de Labrador, pełnomocniku hiszpańskim, człowieku światłym, który pomimo nieporozumień pomiędzy dworem Madryckim a Paryzkim, nie uważał za stosowne przenosić tych nieporozumień do Wiednia i życzył, aby dwa domy Burbonów przyjęły jedną postawę, jedno postępowanie, jeden język, gdyż jednego interesu obadwa potrzebowały bronić. Towarzyszył panu de Talleyrand, podzielał jego zdania i powtarzał mowy. To też pod wpływem legacji francuzkiej, a nadewszystko przerażenia państw drobnych, w salonach wiedeńskich pytano się bezustannie, kiedy zbierze się kongres? Jak będzie zwołany?

Zebranie kongresu w zupełnym komplecie przytém wrzeniu umysłów przerażało *czterech*. Należało przecież dać znak życia i wyrzec coś nakoniec do tego licznego zebrania dyplomatów w Wiedniu, którzy od trzech lub czterech tygodni napróżno wyczekiwali na jakie oświadczenie. *Czterej* więc zgodnie z zawartą pomiędzy sobą umową postanowili, że ośmiu pełnomocników podpisanych na traktacie paryzkim rozpoczną pozorne działania kongresu i ogłoszą, że opierając się na 32 artykule tego traktatu, który wzywał reprezentantów Europy do Wiednia, po przybyciu swojém zajęli się natychmiast zbadaniem wszystkich spraw ważnych, lecz z powodu niemożności zupełnego porozumienia się, otwarcie kongresu odraczają do miesiąca, chcąc w tym czasie zbliżyć do siebie i pogodzić różne zapatrywanie się na rzeczy i dopiero nadać tej pracy powagę urzędową, uznaniem jej przez wszystkie strony.

Stosownie więc do tego postanowił pan Metternich zgromadzić u siebie, nie ośmiu jednak pełnomocników podpisanych na traktacie paryzkim, lecz tylko tych sześciu, którzy tajemnie zawartą poprzednio umową, mieli składać wielki komitet europejski, to jest ministrów Austrji, Anglji, Rossji, Prus, Francji i Hiszpanji, i przedstawić im projektowane oświadczenie. Zgromadzenie to zwołane za pomocą poufnych listów, przybierało charakter prywatnego porozumienia się co do koniecznego oświadczenia. Wezwano ministrów na dzień 30 listami z 29 Września, z zamiarem, aby oświadczenie nosiło datę 1 Października, a ztąd, aby obrady zostały odroczone do 1 Listopada.

Porozumiawszy się zupełnie z panem de Labrador, p. de Talleyrand udał się na to zgromadzenie ośmiu państw podpisanych na traktacie paryzkim. Przybył tu ostatni, przybierając zwykłą swą dumną i obojętną na raz postawę, bez żadnego widocznego wyrazu twarzy, oprócz małego dostrzegalnego na niej ironicznego uśmiechu. Znalazł już zgromadzonych u pana Metternicha i siedzących w koło stołu: pana Nesselrode za Rossję, lorda Castlereagha za Anglję, Metternicha za Austrję, von Hardenberga i von Humboldta za Prusy, de Labradora za Hiszpanję i nakoniec sławnego pamflecistę Gentza, przeznaczonego do redakcji protokółów. Zasiadł pomiędzy pp. Metternichem a lordem Castlereagh jak we własnym domu, a następnie z obojętnością zapytał, jaki był cel zgromadzenia i na mocy czego ono zwołane zostało. Dla zadość uczynienia żądaniu pełnomocnika francuzkiego, zabrał głos p. Metternich i oświadczył, że obecne zebranie naczelników gabinetów ma za cel naradę co do uchwały nietylko stosownego ale i koniecznego oświadczenia.—Naczelników gabinetów, odrzekł p. de Talleyrand, ale p. de Labrador niepiastuje tej godności, a także i p. von Humboldt!—Wówczas z pewném zakłopotaniem odpowiedział p.

Metternich, że Hiszpanja nie ma innego nad p. de Labrador reprezentanta w Wiedniu, a ztąd ten musiał być wezwany, a co się tyczy p. Humboldt, towarzyszy on tylko panu Hardenberg, zupełną dotkniętemu głuchotą.— Jeżeli niedołęztwo nadaje prawa, powiedział p. de Talleyrand, to i ja mógłbym przyprowadzić towarzysza tutaj. Zapytał następnie dla czego zebranie liczy sześciu a nie ośmiu członków, jeżeli tylko podpisani na traktacie mają mieć udział w naradach, dla czego nadewszystko nie widzi zgromadzonych przy tym stole wszystkich interesowanych w kongresie, dla czego, jedném słowem, tylko sześciu ma stanowić o sprawach, które obchodzą wszystkich.—Odpowiedziano mu, że tu tylko idzie o proste przedwstępne oświadczenie, które należy jedynie do podpisanych na traktacie paryzkim, gdyż oni to wywołali potrzebę zwołania kongresu, że zresztą dla poznania tego oświadczenia należy najprzód je odczytać do czego też zaraz przystąpiono.

Wyraz *sprzymierzeni*, kilkakrotnie w oświadczeniu tém użyty, widocznie odnosił się do państw wojujących, które związały się przeciw Francji w Chaumont. W czasie czytania, pan de Talleyrand przerwał takowe przy wyrazie *sprzymierzeni* i wyrzekł: Nie uznaję tu sprzymierzonych, gdyż sprzymierzeni oznaczają wojnę, a ta zakończyła się 30 Maja 1814 roku —Następnie słuchał dalszego czytania jakby go nie rozumiał, pomimo że przybrał postawę człowieka, któremu nie można było zaprzeczyć pojętności. Mieszał obecnych okazywaniem zadziwienia, ciągłém zapytywaniem o różne wyrażenia, i tym sposobem zgromadzenie to przedstawiło wkrótce widok niewypowiedzianego nieładu.—Nie wiem, powtarzał, na mocy jakich praw zebraliśmy się tutaj i jakie prawa mamy do reprezentowania wszystkich dworów, nie wiem co to są za jedni, którzy się nazywają sprzymierzonymi, którzy swą wolą do miesiąca chcą odraczać kongres, w miejsce natychmiastowego jego zebrania, dla sprawdzenia przynajmniej pełnomocnictw i dla oznaczenia formy i czasu pracy. —Odpowiedział pan Metternich, że nie przywiązywał się do znaczenia jednego wyrazu i że wyrażenie *sprzymierzeni* zostało użyte z przyzwyczajenia do niego. — Przyzwyczajenie to można zmienić, powiedział pan de Talleyrand, przerywając panu Metternichowi. — Ten zaś zabierając głos na nowo, dodał, że nie można było otwierać zgromadzenia obradującego, gdyż przedewszystkiem potrzeba było wskazać tych, których powołano, prawa na mocy których ich powołano i stopień udziału każdego z nich; że niepodobieństwem jest nadać prawo panującemu księciu nad 50 tysięczną ludnością do stanowienia w sprawach Rossji liczącej 50 miljonów; że nakoniec jedynie tu chodzi o oświadczenie co do otwarcia kongresu, odroczenia go na miesiąc w celu pogodzenia spraw różnorodnych i co do środków znoszenia się urzędowego i poufnego.

Wyborne te powody, gdyby jednak nie ukrywały w sobie ukrytych zamiarów przewagi czterech, nie zrobiły wrażenia na p. de Talleyrand i nie przestawał on okazywać się nieczułym na wszelkie dowodzenia.— Nie możemy jednak, wtrącił pan Hardenberg, powierzać spraw europejskim książętom Lippe i Lichtenstein. — Nie możemy tém bardziej, odrzekł pan de Talleyrand, powierzać ich reprezentantom Prus i Rossji. — Ktoś wspomniał o Muracie na dowód trudności w oznaczeniu praw co do zasiadania na kongresie. Nie znamy tego człowieka, powiedział na to p. de Talleyrand ze szczególną wzgardą i z pewnością człowieka, który nie troszczył się o swą przeszłość. Jedném słowém zerwał obrady i wyszedł pozostawiając obecnych w wielkim kłopocie.

Zdarzenie to wstrzymało bieg rydwanu czterech wielkich mocarstw sprzymierzonych, z taką łatwością toczonego dotąd po gruncie wiedeńskim. Powodzenia tego jednak nie mógł nadużywać pełnomocnik francuzki, gdyż jakiejkolwiek czepiłby się polityki, to jest czy związania się z Prusami i Rossją dla poprawienia narzuconych warunków Francji, czy też z Austrją i Anglją dla ocalenia Saksonji, zawsze musiał dopiąć stanowczego rozłączenia dwóch mocarstw z dwoma innemi, co wymagało koniecznie wielkiej oględności, aby ich nie oburzyć przedwcześnie przeciw Francji, i aby nie nabawić ich tym nowym związkiem nowego kłopotu. Było i tak dość już hałasu, gdyż wszyscy ci, którzy bali się wyłączenia i którzy ztąd zachwycali się, że nie udał się zamiar odroczenia kongresu, roznieśli wszędzie całe zdarzenie. Rozpowiadali oni nadto szczegóły o usiłowaniach czterech mocarstw do zupełnego zawładnięcia kongresem i skutkiem jakiego to oporu usiłowania te upadły. *Czterej* zaś, a szczególniej Prusy, przeciwne roznosiły wieści, że Francja napróżno usiłuje ukrywać tajemne swe zamiary, że w gruncie rzeczy nie chce ona poprzestać na traktacie paryzkim, że żałuje Renu i że chce wszystkich pokłócić dla odzyskania tej granicy. Były to wszystko niesprawiedliwe potwarze, na które raz jeszcze wypadało odpowiedzieć zapewnieniem o swej bezinteresowności, co stawało się nowém zobowiązaniem do wyrzeczenia się wszystkiego, co tylko było po za obrębem traktatu paryzkiego.

Hałas ten powiększył jeszcze sam p. de Talleyrand przez napisanie noty, która wybornie zredagowana nie mogła być pominiętą; dowodził bowiem, że sześć mocarstw zarówno jak i ośm nie mogą wyrzekać o losie innych; że wprawdzie, zwoławszy one traktatem paryzkim kongres do Wiednia, mogły dać początek obradom przez swe oświadczenie, lecz że to oświadczenie powinno być zgodne z prawami i należnemi względami wszystkim w ogóle państwom; że dla dopełnienia tych warunków należało zwołać najprzód wszystkich pełnomocników, choćby dla spraw-

dzenia pełnomocnictw i otwarcia kongresu i że następnie dopiero można było podzielić się na komiteta, zajmujące się szczegółowemi sprawami lub też wyrzec odroczenie, jeżeliby tego uznana została potrzeba, dla poufnego przed obradami porozumienia się; że pierwsze to zebranie nie miałoby przewidywanych trudności, gdyż małe państwa nie wystąpiły z zamiarami zajmowania się sprawami wielkich i ograniczyłyby się jedynie na podniesieniu głosu w rzeczach ich tylko dotyczących; że nadewszystko jeżeli te trudności były rzeczywiste, to nie będzie można uniknąć ich w przyszłości tak samo jak dzisiaj; że ztąd należało przedwstępnie zgromadzić wszystkich przynajmniej na ten jeden raz dla sprawdzenia pełnomocnictw i że czynność ośmiu państw podpisanych na traktacie paryzkim, wyłącznie powinna się ograniczyć: 1) na zwołaniu pierwszego zgromadzenia i 2) na wykazaniu praw, na mocy których ono zwołane zostało.

Cała doniosłość tej noty tak loicznie napisanej, leżała w ostatecznym jej wniosku. Pan de Talleyrand bowiem chciał koniecznie rozpatrzenia praw pod względem należenia do kongresu, gdyż tym sposobem zamierzał przypuścić doń pełnomocnika króla Saskiego i wypchnąć Neapolitańskiego. Anglja, Austrja, Rossja i Prusy wielki krzyk podniosły po odczytaniu noty francuzkiej. Najprzód zamierzały te państwa załatwić wszystko bez hałasu i po przyjacielsku, z obawy uprzedzenia i wzburzenia interesowanych. Po drugie, sama myśl zwołania kongresu nabawiała obawą Prusy, gdyż przewidywały burzę, albowiem niemożnaby było znaleść dwóch Niemców, którzyby się zgodzili na zniesienie Saksonji. Przypuszczenie zaś do obrad pełnomocnika króla Fryderyka-Augusta stawało się stanowczém roztrzygnięciem tej sprawy na korzyść Saksonji, tak samo jak roztrzygnięciem losu Murata, przez usunięcie ministra neapolitańskiego. Sprawy Murata nikt nie podejmował, lecz chciał go koniecznie oszczędzić p. Metternich, co złośliwi głosili za skutki blizkich stosunków pomiędzy tym dyplomatą a królową Neapolitańską; ale mylili się oni bardzo, gdyż prawdziwe powody tego oszczędzania zupełnie były inne. Pan Metternich posłużył się osobistemi swemi stosunkami z dworem neapolitańskim dla przeciągnięcia go na stronę koalicji, a ztąd moralnie był związany względem Murata, co mu nie pozwalało opuszczać go aż dotąd, dopóki on sam nie zawini na nowo przed Europą. Przewinienia tego można się było bardzo spodziewać, to też pan Metternich chciał wyczekiwać, aby nie był posądzony o zdradę. Nadto zgromadziwszy na wszelki wypadek 250 tysięcy żołniera w Czechach, Galicji i Morawji, dla podtrzymywania swej polityki przeciw wymaganiom Prus i Rossji, i posiadając tylko 50 tysięcy we Włoszech, gdzie Murat liczył 80 tysięcy

ludzi pod bronią, prowadzonych po części przez oficerów francuzkich, nie chciał, jak bardzo słusznie mówił *podkładać wszędzie ognia od razu*. Nawet w gorącej chęci zadowolenia Ludwika XVIII, legacja francuzka mogła wejść w rachuby ministra austrjackiego pod względem spraw neapolitańskich, gdyż rzeczywiście chciał on tylko zyskać na czasie i wiedział jak brać się do dzieła, aby dojść do celu.

P. von Gentz, który był bardzo gwałtownym z piórem w ręku, nadzwyczajne zachowywał umiarkowanie w działaniu. Biegał on od jednej do drugiej legacji, szczególniej odwiedzał francuzką i starał się koniecznie pojednać je z sobą, gdyż pojmował jak wielu innych, że nadzwyczaj potrzeba oszczędzać niezadowolonych, kiedy był zamiar uniknąć wybuchu. Doprowadził do tego, że sześciu pełnomocników zeszło się do pana Metternicha. Najprzód zażądano tu od p. de Talleyrand, aby cofnął swą notę, gdyż trudną było rzeczą nie odpowiadać na nią, a jeszcze trudniejszą odpowiedzieć bez poruszenia bardzo drażliwych kwestji. Pan de Talleyrand bronił się przeciw tym wymaganiom, gdy w tém pan de Labrador dotknął tej sprawy oświadczeniem, że cofnięcie noty było już niemożebném, gdyż przesłał już ją swemu dworowi. Wówczas p. Metternich w przystępie gniewu wyrzekł do p. Nesselrode: Myślę, że daleko lepiej postąpimy, jeżeli załatwimy sprawy pomiędzy sobą. — Jak się panom podoba, odrzekł pan de Talleyrand, a gdy pan Metternich żądał bliższego wyjaśnienia, dodał: Nie pokażę się już więcej na zebraniu panów, lecz jako człowiek kongresu będę oczekiwał na jego zwołanie. — Było więc to jawném wypowiedzeniem, że Francja na czele pokrzywdzonych domagać się będzie ogólnego zebrania kongresu, z poświęceniem wszystkiego, co tylko dzieje się po za obrębem tegoż kongresu. Zagrożenie podobne wielką miało wagę. To też wszyscy obecni nie chcąc popchnąć rzeczy do ostateczności, starali się porozumieć i wymyślić jaki środek do narad. Pan Metternich bardzo gruntowną uczynił uwagę panu de Talleyrand, że dotąd nic nie było gotowém, że żadnej sprawy jeszcze niedotknięto i że w takim stanie rzeczy kłopotliwą byłoby rzeczą stanąć przed kongresem; na co pan de Talleyrand odpowiedział, że co się tyczy czasu zwołania kongresu gotów był do jego odroczenia na trzy lub cztery tygodnie dla ukończenia prac przygotowanych, jednakże pod warunkiem, że przy późniejszém otwarciu kongresu wyraźnie położoną zostanie zasada, że przypuszczeni doń tylko zostaną *reprezentanci wszystkich tych książąt, których kraje miały udział w obecnej wojnie, którzy tak poprzednio jak i teraz uważali byli za prawych władzców i z których nie ustąpili ani skutkiem umowy ani też zrzeczenia się.*

Tak postawionym wnioskiem narady znalazły się w zbyt drażliwém

położeniu, gdyż podobna zasada wyłączała z kongresu Murata, który nie był powszechnie uznawanym za *prawego władzcę*, a przypuszczała króla Saskiego, który nie opuścił swych krajów *ani skutkiem umowy ani też zrzeczenia się*. Tém dotknięciem sprawy pod względem formy, dotykało się jej w gruncie rzeczy i to pod względem najtrudniejszym do rozwiązania na kongresie. Trudne więc było porozumienie się i dla tego zgromadzeni rozeszli się bez stanowczego postanowienia. Wychodząc lord Castlereagh dał do zrozumienia panu de Talleyrand, że swym uporem rozwiązuje sprawę, która mu najbardziej leży na sercu. Na nieszczęście jednak, że niechciał otwarcie powiedzieć, iż Austrja i Anglja są gotowe do zerwania z Prusami i Rossją, a nie posiadając sztuki wyjaśnienia rzeczy pół słowem, pozostał niezrozumiałym. Ze swej zaś strony pan de Talleyrand tak był zajętym, że nie miał czasu zastanowić się nad usłyszanemi wyrazami.

Jednak jak jedna tak i druga strona uczuły potrzebę porozumienia się z sobą, gdyż *czterej* poznali, że zamiar załatwienia spraw pomiędzy sobą, choćby z przypuszczeniem *sześciu* lub *ośmiu* dla formy, był niemożebnym do urzeczywistnienia w obec powszechnego oburzenia stron interesowanych; zaś p. de Talleyrand więcej obecnie jak zwykle ożywiony, uczuł, że dotykając bezustannie p. Metternicha i lorda Castlereagh, a głównie nie lubianego przez siebie Metternicha, silnie zjednoczy *czterech*, którzy popchnięci do ostateczności porozumienia się pomiędzy sobą, z uporem poświęcą wszystkie sprawy, w obronie których występuje legacja francuzka. Wtakim więc stanie rzeczy powszechne do ustępstw było usposobienie, a ztąd po trzech lub czterech dniach, po użyciu licznych pośrednictw, a szczególniej zręcznego pióra pana von Gentz, zgodzono się na wprowadzenie do oświadczenia zasad stron spornych i ułożono redakcję bardzo ogólnikową i nieujętą, która odpowiadała żądaniu otwarcia w przeciągu miesiąca kongresu, jak niemniej życzeniom panów Metternich i Harderberg, aby zupełnie pominiętą została zasada, kto ma być przypuszczony do obrad. Powiedziano bowiem w tém oświadczeniu, że pełnomocnicy ośmiu mocarsw podpisanych na traktacie paryzkim, zobowiązawszy się do zebrania w Wiedniu, dopełnili tego zobowiązania, przybyli tu i już wzięli się do porozumienia z pełnomocnikami innych państw; lecz gdy do tego porozumienia się potrzeba im czasu na przeprowadzenie poufnych narad, przeto odraczają otwarcie kongresu do 1 Listopada, że po tym czasie posiedzenia kongresu niezawodnie otwarte zostaną i że bezzwłocznie zajmą się załatwieniem wszelkich spraw zgodnie z potrzebami Europy, z oczekiwaniem współczesnych i szacunkiem potomności.

Po napisaniu tego projektu zgromadzili się u pana Metternicha pełno-

mocnicy, nie sześciu lecz ośmiu mocarstw podpisanych na traktacie paryzkim i tym sposobem wgronie ministrów: Rossji, Francji, Prus, Austrji, Anglji i Hiszpanji, zasiedli także reprezentanci Szwecji i Portugalji. Pan Metternich zobowiązał p. de Talleyrand, aby o całą godzinę uprzedził ogólne zebranie, celem porozumienia się co do stanowczeji redakcj oświadczenia. Uczynił zadość temu żądaniu p. de Talleyrand i przybywszy przed innymi pełnomocnikami do pana Metternich, usłyszał od niego sam na sam wyznanie, że redakcja oświadczenia napisana w myśl jego żądania, powinnaby go zadowolnić. Gdy jednak nie mógł od razu wynaleść pomiędzy papierami szukanej redakcji, przeto pan Talleyrand skorzystał z tego i z uśmiechem ironicznym, ożywiającym lodowate jego oblicze, powiedział: Pewnie szukane papiery znajdują się *u sprzymierzonych*. — Nie mówmy już więcej o sprzymierzonych, odrzekł pan Metternich, a następnie zaklinał ministra francuzkiego, aby chciał z nim pomówić otwarcie i odłożył na bok wszystkie zwady, jeżeli chce ocalić wspólną sprawę. Wówczas p. de Talleyrand zapytał, jakim to dzieje się sposobem, że minister austrjacki zwala na niego cały ciężar wyparowania Prusaków z Drezna a Rossjan z Krakowa? Mógłby odpowiedzieć p. Metternich, iż dziwi go to niewymowie, że p. de Talleyrand tak bierze do serca sprawy Austrji i chce ją koniecznie ocalać, lecz zamilczał, gdyż potrzeba było porozumieć się, a ztąd unikać docinków. Starał się tylko przekonać pana de Talleyrand, że gdy będzie miał rozwiązane ręce do działania, to ubezpieczy wszystkie sprawy, które zdają się być tak bardzo zagrożone. Ten zaś chcąc go zmusić do bliższego wyjaśnienia, oświadczył, że Francja nic nie żąda dla siebie, że gotowa nawet dać na to piśmienne zobowiązanie, lecz że są rzeczy, na które w interesie dobra publicznego nigdy się nie zgodzi, jak naprzykład aby Prusacy posiedli Luksemburg, Moguncję i Drezno, a Rossjanie brzegi Wisły. Dodał także, że co się tyczy króla Saskiego, to twarda konieczność wymaga aby poniósł straty, lecz pomimo to Francja nie zezwoli na zupełne go wydziedziczenie. Przy usłyszeniu tych słów p. Metternich ujął rękę pana de Talleyrand i wyrzekł: Daleko bliżsi jesteśmy porozumienia się jak jak pan myślisz. Prusacy nie dostaną ani Luksemburga ani też Moguncji, zrobimy co tylko będzie można dla utrzymania przy królu Saskim większej części jego państwa i dla oddalenia jak tylko można Rossji od Odry; lecz miej pan cierpliwość i nie twórz nam trudności. Następnie mówił panu de Talleyrand o rzeczach, o których ten nie śmiał się dotąd odezwać. Znam dobrze cel do którego pan dążysz (było to domyślne zwrócenie mowy na Neapol); siła wypadków jest za panem, lecz nie uprzedzaj ich w niczem. Sprowadziłbyś ważne zawikłania, nad któremi ani ja, ani żaden z nas nie byłby w stanie zapanować.—

Pod względem Neapolu p. de Talleyrand okazywał zupełną spokojność, oświadczając, że tu idzie głównie o zasadę a nie o stosunki rodzinne i że liczy na Europę, iż ta nie ścierpi dłużej we Włoszech stanu rzeczy, który był na raz zgorszeniem i niebezpieczeństwem.

Krótka ta rozmowa nadzwyczaj ułagodziła pana de Talleyrand i odtąd okazywał wiele usposobienia do ustępstw. Przybyli następnie inni dyplomaci wezwani na to posiedzenie, jako to: p. Nesselrode za Rossję, obecny już de Talleyrand za Francję, Metternich za Austrję, von Hardenberg i von Humboldt za Prusy, lord Castlereagh za Anglję, de Labrador za Hiszpanję, de Palmella za Portugalję i de Loevenhielm za Szwecję. Pan von Genz trzymał pióro. Odczytano dwa projekta oświadczenia, to jest ten, który poprzednio przedstawiał p. Talleyrand i ten, który został ułożony przez pana Metternich, przy uwzględnieniu redakcji francuzkiej. Ostatni powszechnie został uznany, ponieważ odraczając do miesiąca zebranie się kongresu, nie przesądzał w niczém sprawy o wyłączenia od jego obrad. Pojmując p. de Talleyrand, że należało mu ustąpić, gdyż przeprowadził najważniejszy swój wniosek, to jest zobowiązanie do otwarcia kongresu, oświadczył, iż jest gotów do zatwierdzenia odczytanego projektu, jeżeli do wyrażenia, które brzmiało, że, przy jedno-miesięcznej zwłoce czynności kongresu więcej odpowiedzą *oczekiwaniu współczesnych*, dodadzą się jeszcze wyrazy: *i prawu publicznemu Europy*, które nic stanowczo nie oznajmując, zawierały jednak znaczenie, za bardzo ważne przez pełnomocnika francuzkiego poczytywane.

Słowa te wywołały burzę. Prusacy widzieli w nich przymówkę do Saksonji i obecnego nią zarządu, co ich oburzyło i przestraszyło do najwyższego stopnia. Prawda, że używano prawa publicznego, dla uczynienia z niego tarczy dla Saksonji Ale przymówka jasna dla jednych była zupełnie nic nie znaczącą dla drugich, a w każdym razie przymówki nie rozwiązywały sprawy. Pan von Hardenberg stojący krzyczał jak wszyscy ci, którzy nie słyszą ani siebie, ani drugich, i powtarzał: Cóż za potrzeba wspominać o prawie publicznem? Nic się nie zrobi z pewnością przeciwnego prawu publicznemu. O tém nie ma co mówić... — Jeżeli o tém i mówić nie trzeba, odrzekł pan de Talleyrand, zatém daleko lepiej będzie wspomnieć w oświadczeniu. — Ale cóż ma do tego prawo publiczne? pytał natarczywie pan de Humboldt. — Na jego zasadzie znajdujesz się pan tutaj, odpowiedział pan de Talleyrand; bo gdyby nie ono, ani pan, ani inni, nie moglibyście zajmować tu miejsca. — Wrzawa trwała kilka minut, i tych dziesięciu poważnych dyplomatów robili hałas, jakby najliczniejsze zebranie. Lord Castlereagh chcąc wreszcie zakończyć wrzawę, wziął pana de Talleyrand na bok i zapytał go: — Czy będziesz pan wy-

rozumialszym, jeżeli ustąpią mu w tym punkcie? — Tak, odrzekł pan de Talleyrand, proszę jednak pana o oddanie mi jednej usługi. Pan masz wpływ na pana Metternich, pozwól mi użyć go przeciw Muratowi. — Przyrzekam to panu, odpowiedział lord Castlereagh. — Słowo? — Słowo! — Po tej krótkiej rozmowie minister angielski powiedział swym towarzyszom, że trudno było odmówić umieszczenia tak szanownego i niewinnego wyrażenia, jak *prawo publiczne*. Panowie Gentz i Metternich powtórzyli to samo i wszyscy zgodzili się na to dla Francji ustępstwo. Skutkiem czego przyjęto i zatwierdzono w dniu 8 Października tekst następujący:

OŚWIADCZENIE.

„Pełnomocnicy dworów podpisanych na traktacie paryzkim z 30 Ma-„ja 1814 roku, z uwagi na artykuł 32 tegoż traktatu, który opiewa, że „wszystkie państwa, mające udział tak z jednej jako też i drugiej strony „w ostatniej wojnie, wyszlą do Wiednia pełnomocników, w celu zała-„twienia na powszechnym kongresie spraw, odnoszących się do rzeczo-„nego traktatu; zastanowiwszy się nadto bacznie nad położeniem, w ja-„kiem się obecnie znajdują i nad obowiązkami, jakie spełnić powinni, „uznali, że najlepiej odpowiedzą swemu zadaniu, jeżeli poprzednio poro-„zumieją się na drodze poufnej ze wszystkiemi mocarstwami. Przeko-„nani są także, że interesem jest państw wszystkich, aby odroczyć po-„wszechne zebranie się ich pełnomocników, aż do czasu, w którym „sprawy dojrzeją do tego stopnia, iż odpowiedzą zasadom prawa publi-„cznego, zobowiązaniom w traktacie paryzkim zawartym i słusznemu „oczekiwaniu współczesnych. Z tych przeto powodów kongres zostaje „odroczonym do 1 Listopada, a pełnomocnicy pochlebiają sobie, że praca, „dla której ta zwłoka będzie poświęconą, ustali pojęcia, pogodzi zasady „i tém samém przyśpieszy załatwienie wielkiego dzieła, które wspólném „jest dla nich zadaniem.“

Wiedeń 8 Października 1814 r.

Nikt w Wiedniu nie mylił się pod względem zawartego w oświadczeniu wyrażenia: *zasadom prawa publicznego*, i każdy chciał w nich widzieć przewagę odniesioną na korzyść Saksonji. Było to powodem wielkiego zadowolenia dla Niemców, którzy wyjąwszy jednych tylko Prusaków, gorąco pragnęli utrzymania tego państwa. Należało przecież poprzestać Francjina tém powodzeniu, jakie otrzymała z dość wielkiém narażeniem się, a nawet z tém bardzo niedogodnym dla jej spraw obrotem, że zmuszoną została do powtarzanego oświadczenia, że z traktatu jest zadowoloną, że nic więcej nie żąda, a nadto, że nie mogła wprowadzić

w kłopot tak Austrji, jako też Anglji, gdyż nieodwołalnie potrzebując tych mocarstw, musiała podążać za ich polityką.

Gdyby jednak Francja stanęła była po stronie Prus i Rossji, co właśnie wymagała jej polityka, w takim razie ani pod względem Saksonji, ani też ogólnych spraw europejskich nie potrzebowałaby takiej zachowywać oględności i we własnych swych występować sprawach, gdyż państwa te tak były zapalone, tak mało zachowywały oględności, że postępowanie Francji nie byłoby tak rażącém, a nadto połączone siły Prus, Rossji i Francji, znaczyłyby coś w obradach. Lecz postępując zupełnie przeciwnie w zamiarze ocalenia Saksonji, a wydziedziczenia Murata i Marji Ludwiki, zmuszoną została do bojaźliwego i drobnostkowego działania, dla dopięcia zamierzonego przez dwór francuzki celu. Lord Castlereagh i p. Metternich obawiali się także, aby postępowanie p. de Talleyrand nie narażało ich w oczach sprzymierzonych. Nadewszystko p. Metternich obawiał się, aby Francja nie działała za żywo, gdyż jak to już mówiliśmy, zgromadziwszy 250 tysięcy żołnierza w Czechach, Galicji i Morawji, pozostawił tylko 80 tysięcy we Włoszech, a ztąd życzył w spokoju pozostawić Murata, dopóki nie rozstrzygnie się rzecz o Saksonję. Niemcy nawet, tak zadowoleni obecnie z Francuzów, wymagali wielkiej w postępowaniu oględności, gdyż przy tém wieczném ich niedowierzaniu, przeraziliby się bezzawodnie, gdyby Francja zanadto czynnie wystąpić chciała. Obawa wspólnego z nią działania była jeszcze tak wielką, że lord Castlereagh i p. Metternich dotkliwe robili wyrzuty panu de Labrador, że politykę swą na wzór francuzkiej urządził, oświadczając, iż podobném postępowaniem Hiszpanja czarnej względem Europy dopuszcza się niewdzięczności. Należało więc nadzwyczaj oględnie postępować panu de Talleyrand, gdyż wszyscy ci, którzy pożądali współdziałania Francji, zarówno obawiali się pochodzącego od niej ocalenia, jak i przewagi Prus i Rossji.

Częstokroć polityka zupełnie podobna jest do handlu: narzucanie się zniża wartość rzeczy, których żądanie podnosi, jeżeli tylko czekać umiemy. Francja oświadczając się z pożądaną pomocą w sprawie saskiej, która mało ją obchodziła, spodziewała się, że dobre za nią otrzyma wynagrodzenie w sprawach neapolitańskiej i parmeńskiej, które głównie miała na oku, gdyż do tego tylko zmierzał obecny gabinet francuzki. Oczekiwać więc na rozwiązanie spraw niemieckich, stać po za niemi, a nie wysuwać się naprzód, było najgodniejszą i najkorzystniejszą zarazem polityką.

Sprawy niemieckie zresztą dalekiemi były od uśpienia. Państwa drugorzędne gorąco występowały przeciw temu, co zwykle nazywały

chciwością Prus, tyranją Rossji, niezręcznością Anglji i słabością Austrji. Na ich czele stała Bawarja. Państwo to bowiem liczne miało powody, żeby nie zezwolić na poświęcenie Saksonji, której istnienie było nieodzownie potrzebne do równowagi niemieckiej, zwłaszcza gdy jedyną jej zbrodnią było przymierze z Francją, co zarówno i do Bawarji zastosować się dało. Po zniesieniu nadto Saksonji, Bawarja z pozostałemi państwami byłaby za słabą do oparcia się wpływowi Prus i Austrji, zawsze gotowych do związku, kiedy szło o zagarnięcie Niemiec. Pomimo słusznych powodów do bronienia Saksonji, posiadała Bawarja ku temu i środki. W Wieniu była silnie reprezentowaną. Oprócz króla, który się tu znajdował osobiście, ministrem jej na kongresie był książe de Wrede, który pomimo niejednego na placu bitwy popełnionego błędu, był jednak jednym z jenerałów największemi u sprzymierzonych cieszącym się względami, a ztąd wielkiego używał wpływu. Książe de Wrede nie wahał się z oświadczeniem, (czemu król wcale nie przeczył), że dla ocalenia Saksonji należało odłożyć na bok fałszywe skrupuły względem Francji, i gdyby miało przyjść nawet do wojny, przyjąć ją i zażądać pomocy Francuzów na wyparcie Prusaków do Brandeburgji, a Rossjan za Wisłę. Obiecywał wystawić najmniej pięćdziesiąt tysięcy Bawarczyków, a uczęszczając do pana de Talleyrand i księcia de Dalberg nalegał na nich, żeby energiczniej niż dotąd występowali. Z tém wszystkiém król Bawarski obawiał się wzbudzać nieufności z powodu dawnych swych z Francją stosunków i nie śmiał widywać się osobiście z panem de Talleyrand, chociaż mu przesyłał oświadczenia najserdeczniejsze i najs lniejsze co do kierunku wspólnej polityki.

Inne jeszcze państwo niemieckie popierało silnie tę politykę, a tém był Hanower, który odzyskał samoistność w roku 1813. Król Angielski, niegdyś tylko elektor hanowerski, nie chciał mieć w Niemczech mniejszego tytułu od panującego w Würternbergu, którego Napoleon mianował królem. Przybrał tytuł królewski, który przez wszystkich został uznany. Na kongresie wiedeńskim królestwo Hanowerskie przedstawiane było przez pana de Münster, który stanowczo oświadczył się na korzyść Saksonji; ale podług odwiecznego zwyczaju, minister hanowerski nie zgadzał się zawsze w widokach z ministrem angielskim, który postępował właściwą sobie drogą, kierowany interesem wyłącznym Anglji i gabinetu w Parlamencie. Pomimo to Hanower mógł oddać ważną usługę Niemcom, działając na księcia rejenta angielskiego, aby swoim wpływem zyskał od ministrów angielskich więcej przychylności dla sprawy saskiej, a wpływ ten, jak to zobaczymy później, miał być wielce użyteczny. Hessja, Baden i w ogóle wszystkie małe państwa były gotowe po-

łączyć się z Bawarją, Würtembergiem i Hanowerem, celem wystąpienia, jeżeliby tego była potrzeba, z bardzo znaczącym objawem na korzyść Saksonji i oczekiwały w tym względzie tylko na hasło państw głównych. Ażeby zająć książąt niemieckich, pomimo zawieszenia obrad kongresu i odroczenia wszelkich prac urzędowych, utworzono komitet z Austrji, Prus, Bawarji, Würtemberga, Hanoweru, który miał obradować nad projektem ustawy dla Niemców, pod przewodnictwem Bawarji, aby ją choć tym sposobem wynagrodzić za nienależenie do wielkiego komitetu niemieckiego, w którym zapanował duch drugorzędnych państw niemieckich, a ztąd wszelkiemi możebnemi sposobami broniono niezależności krajów samoistnych, chcąc je zabezpieczyć od silnej federacji z innemi, gdyż nadzwyczaj obawiano się chciwości panujących, dla których gotowano przewagę w sprawach rzeszy przy nowém jej urządzaniu.

Nakoniec, z temi wszystkiemi żądzami niemieckiemi łączyła się jeszcze żądza austrjacka, która, tajona przez członków gabinetu wiedeńskiego, z powodów poprzednio przedstawionych, objawiała się jednakże w czynnościach dworu i wojska. Szczególniej w sztabach austrjackich nie ukrywano gniewu przeciw podwójnemu zamiarowi Prus i Rossji, gdyż tak jeden jak drugi nadzwyczaj przerażał Austrję. Wojskowi austrjaccy, którzy utrzymywali, że tak dobrze jak inni przyłożyli się do pokonania Francuzów, gdyż, jak mówili, Rossjanie i Prusacy odrzuceni nad Odrę skutkiem bitw pod Lützen i Bautzen, bez ich pomocy wyparciby wkrótce zostali za Wisłę, wojskowi Austrjacy zapytywali się, czy za krew przez nich wylaną jeszcze gorsze mają uzyskać stanowisko, aniżeli za czasów przewagi Napoleona i czy przyciśnięci do gór Czeskich z jednej strony przez Rossję, a z drugiej przez Prusy, zmuszeni będą do wydania wąwozów, których Fryderyk II i Napoleon tak wielką okazali ważność? Pomimo niewielkiej ich skłonności ku rozpoczęciu wojny, głośno jednak powtarzali, że gotowi są do niej, gdyż daleko lepiej wdać się w nią natychmiast aniżeli później, dla uniknięcia tego podwójnego niebezpiecznego wdzierania się w cudze prawa. Austrja bowiem posiadała w Galicji, Morawji i Czechach 250 tysięcy żołnierza pod bronią; inne państwa niemieckie mogły jej dostarczyć 100 tysięcy; Anglja z powodu zajęcia swego w Ameryce, nie mogła czynnie wystąpić, ale za to 150 tysiączna pomoc Francji była zapewnioną; a ztąd prosty wniosek, że dla wystąpienia przeciw zachciankom Prus i Rossji, mogła wystawić 500 tysięcy ludzi do boju.

Mogła więc Francja liczyć na pewno, że zostawiając tylko pole czasowi do wzburzenia tych wszystkich nieporozumień i nie mięszając się zupełnie do sporów i powikłań, powołaną zostanie do odegrania ważnej i stanowczej roli w myśl polityki francuzkiej. Tymczasem dwaj mężowie

stanu, przeznaczeni na odmotanie wszystkich tych powikłań w polityce europejskiej: szczery, rozsądny, stały, lecz często niezręczny lord Castlereagh, i zręczny do wszystkich knowań politycznych p. Metternich, zamierzali rozplątać ten węzeł gordyjski bez użycia miecza Aleksandra, a to z powodu, że tym mieczem zawsze była szpada Francji, a powoływanie wojsk francuzkich do Niemiec, uważali za wielką sprzeczność i niebezpieczeństwo. Nadto, zgadzając się pod względem celu, nie tak byli zgodni co do środków. Pan Metternich nie chciał zezwolić na żadne ustępstwo ani Prusom, ani Rossji, ale był cierpliwym i wyczekiwał, aby uniknąć zerwania. Lord Castlereagh zaś przeciwnie, życzył zaspokoić żądania Prus, pociągnąć je ku sobie i posłużyć się niemi przeciw Rossji, gdyż polityka angielska chciała koniecznie ocalić Polskę i dla tego gotową była do poświęcenia Saksonji. Usposobienie to lorda Castlereagh tłómaczyło innym ministrom zamiary gabinetu angielskiego, które zawsze muszą być wytłómaczone zanim zostaną pojęte.

Blokada lądowa takim nabawiała przestrachem Anglików, że nie mogli się uspokoić z obawy możności jej wznowienia, rozumując, iż tak dobrze Burboni jak i Napoleon mogą się posunąć do podobnego kroku. W tém to przewidywaniu oddali brzegi północne domowi Orańskiemu, tworząc dlań z Hollandji i Belgji królestwo Niderlandzkie, a dla wzmocnienia go wiązali tu z niém zachowane dla siebie królestwo Hanowerskie, a nawet Prusy, które dla wartości prowincji Nadreńskich, zmuszone były do stawania w nieprzyjacielskiej przeciw Francji postawie. Dla tém silniejszego nadto przywiązania Prus do swej sprawy, lord Castlereagh zgadzał się na wydanie im Saksonji, pochlebiając sobie, że potrafi wytłumaczyć się z tego przed parlamentem, opierając się na potrzebie sprzymierzeńców dla Anglji. Lecz gdy przewidywał aż nadto, że nigdyby nie zdołał usprawiedliwić się przed tym parlamentem z opuszczenia sprawy polskiej, przeto stale postanowił opierać się Rossji i koniecznie ztąd chciał odłączyć od niej Prusy ustąpieniem Saksonji. Dążył do zupełnego odosobnienia Rossji, by mógł robić co mu się podoba pod względem interesów tego mocarstwa.

Powikłana ta polityka nie podobała się Metternichowi, który zamierzał zarówno bronić Saksonji jak i Polski. Niełatwo jednak odwieść od jakiego postanowienia Anglika, zwłaszcza jeżeli w tém widzi korzyść dla swej ojczyzny; dla tego więc p. Metternich pojmując, że nie zdoła przekonać lorda Castlereagh, pozwolił mu działać, bardzo dobrze sobie wyrozumowawszy, że przez bronienie jednej ze spraw zagrożonych uda mu się ocalić obiedwie. Cesarz Aleksander i król Fryderyk Wilhelm dali

sobie słowo co do Saksonji i Polski, a ztąd Fryderyk Wilhelm nie mógłby złamać tego słowa i zapomnieć o przyjaźni, gdyby nawet otrzymał Saksonję przy odmówieniu Polski Cesarzowi Aleksandrowi; nadto, przy tém odmówieniu Rossji wszystkich prowincji polskich i przy nowym ich podziale, dając Prusom Poznań, tak wynagrodzony nie mógłby wymagać całej dla siebie Saksonji. Podnosząc przeto sprawę polską, podnosiło się zarazem i saską, czyli przy jakiémkolwiek ocalaniu jednej ocalało się i drugą. Rozważywszy dobrze te okoliczności, pan Metternich w miejsce powstrzymywania popychał naprzód lorda Castlereagh, który najstraszniejszym był przeciwnikiem zamiarów Cesarza Aleksandra. Niezależnie od osobistego swego usposobienia, lord Castlereagh przedstawiał państwo, które największą okazywało bezinteresowność przy podziale krajów starego lądu i które płaciło wszystkim podczas ostatniej wojny. Wrodzona wyższość tego co płaci nad opłacanym, dawała zawsze Anglji przewagę nad jej sprzymierzeńcami. Działając w takich warunkach, lord Castlereagh prosił o posłuchanie u Cesarza Aleksandra i takowe natychmiast otrzymał.

Cesarz Rossyjski pohamował już pierwsze swe oburzenie, pochodzące z niespodziewanych, jakie spotykał zawad. Pomimo wrażliwego usposobienia, w postępowaniu nadzwyczaj był zręcznym, a do tego tak żądającym podobania się wszystkim, że nie mógł zbyt długo występować w roli człowieka zagniewanego. To też kierując się usposobieniem i postępując stosownie do okoliczności, głaskał wszystkich, a szczególniej wojskowych, robił z nimi wycieczki na różne pola bitwy z czasów kampanji zakończonej klęską pod Wagram, gdzie, pomimo iż znajdował się ze zwyciężonymi, tysiącznemi obrzucił ich pochlebstwami; na ulicach Wiednia zwykle ukazywał się piechotą, już to wsparty na ramieniu jakiego dyplomaty, albo też oficera; do salonów wchodził jak człowiek zwykły, poufale zadawał się ze wszystkiemi stanami, usiłował zapominać o swym stopniu pomiędzy książętami licznie zgromadzonymi na kongres jedném słowem starając się ująć wszystkich, co mu się bardzo udawało, gdyż trudno znaleść człowieka, któryby w równym stopniu od Cesarza Aleksandra posiadał sztukę jednania dla siebie i ludzi. Zauważano także, że ściśle żył owym czasem z księciem Eugenjuszem, którego matką i siostrą opiekował się w Paryżu i dla którego starał się obecnie o jakie księstwo, przyrzeczone traktatem z 11 Kwietnia. Przedstawiał go wszędzie i pod niebiosa wynosił niezłomną dla Napoleona wierność, bez uwagi nawet, że podobne przedstawianie bardziej jeszcze przeszkadzało do wydarcia dla Eugenjusza czegoś z tej powszechnej chciwości. Chęć ta podobania się wszystkim, o co Cesarz Aleksander z taką się starał usilnością, obliczona była na zrównoważenie nieprzyjemnego, a wywołanego zamiarami politycznemi, wrażenia pomiędzy dyplomatami.

Zaledwie otrzymał więc prośbę od lorda Castlereagh o udzielenie mu posłuchania, odpowiedział na nią osobistém i natychmiastowém udaniem się do ministra brytyjskiego. Rozumie się, że podobny postępek ze strony Cesarza, nadzwyczaj poruszył lorda, dla tego też pokazał się bardzo wdzięcznym, pełnym uszanowania, ale z tém wszystkiém pozostał zawsze niezwruszonym Anglikiem, to jest stanowczym, niechcącym nic oszczędzać i nic też nieoszczędzającym.

Lord Castlereagh usiłował najprzód dowieść cesarzowi, że Anglja stara się nieść mu usługi we wszelkich sprawach; że pomogła w 1812 roku do zawarcia w Bukareście pokoju z Turkami i sprowadziła tem samem dla Rossji nabytek Bessarabji, że skłoniła Persję po ustąpienia lepszej granicy nad morzem Kaspijskiém, że nakoniec, pomimo całej niechęci do oddania Norwegji pod władzę Szwecji, zgodziła się jednak na to, dla stanowczego zapewnienia Finlandji dla Rossji. Po tém szczegółowem wyliczeniu prawdo wdzięczności dla Anglji, lord Castlereagh zaczął rozbierać traktaty zawarte w Kaliszu, Reichenbach i Töplitz, w Lutym Czerwcu i Wrześniu 1313 roku, dowodząc, że zawarowany niemi podział wielkiego księstwa warszawskiego nie znaczył bynajmniej, aby toż księstwo jednemu tylko państwu miało być przysądzone. Przechodząc następnie do położenia ogólnego, dał do zrozumienia, że Europa niepokoi się bardzo rozszerzaniem Rossji, że nawet jej sprymierzeni przerażają się tą myślą i nie zawahał się z powiedzeniem, że kongres wiedeński, od którego ma się datować panowanie umiarkowania i sprawiedliwości w narodach ucywilizowanych, stałby się wkrótce, jeżeliby się nie miano nabaczności, tak wielkiém widowiskiém dumnych zamiarów, że przyszłoby żałować upadku Napoleona. Wszystko to wypowiedział słowami prostemi i stanowczemi, nic bezwątpienia nie przesadzając, ale też nie osładzając żadnego wyrażenia i stawiając rzeczy na tém ważném stanowisku, na jakiem one rzeczywiście się znajdowały.

Na nieszczęście, że żadne z wielkich czterech państw europejskich, nie mogły występować do siebie z nauką moralną, gdyż wszystkie zarówno grzeszyły; to też i Cesarz Aleksander, gdyby chciał wodwecie skreślić obraz zaborczych postępków Anglji, od czasu zajęcia Malty aż do Przylądka Dobrej nadziei i Ile de France, boleśnie mógłby zakłopotać ministra brytyjskiego. Powstrzymał się przecież choć, mocno uczuł usłyszane słowa. Niechcąc jednak pozostawać pod ciężarem usług otrzymanych od Anglji, znajwiększą zręcznością przedstawił lordowi Castlereagh, że podwójny pokój Rossji to jest z Turcją i Persją, jakkolwiek ułatwiony wdaniem się Anglji, wszystkie wojska rossjskie obrócił na wspólną przeciw Francji wyprawę;

że Norwegja została zapewnioną Bernadottemu dla tego, aby go stanowczo obrócić przeciw Napoleonowi; że z tych przeto powodów Rossja nieczuje się wobowiązku wdzięczności dla Anglji, gdyż postępowanie jej kierowane było własnym interesem. Zwracając się następnie do traktatów zawartych w Kaliszu, Reichenbach i Töplitz, Cesarz Aleksander dowodził, iż podpisywane one były w okolicznościach, obecnemu stanowi rzeczy zupełnie nieodpowiadających; że wówczas mocarstwa sprzymierzone zaledwie spodziewać się mogły jakiego ograniczenia Napoleona, lecz ani myślały o zepchnięciu go nad Ren, a tém bardziej o zruceniu z tronu; że przy tak niespodziewaném powodzeniu, gdy Austrja zyskała brzegi Innu, Tyrol, Włochy, gdy Anglja opanowała Hollandję, Belgję i Hannower, niesprawiedliwościąby było, aby Prusy i Rossja, które daleko większem zagrożone były niebezpieczeństwem, nie zostały należycie wynagrodzone łupami wspólnego i nieprzewidywanego nawet zwycięztwa; że pomimo wszystkiego cesarz już się zobowiązał do oddania Saksonji swemu przyjacielowi królowi Pruskiemu i Polski Polakom. W oczach bowiem Cesarza Aleksandra, podział Polski był czyném bardzo niemoralnym, ciągnącym zgubne na Europę skutki, a ztąd należało go naprawić o ile tylko można. Naprawy tej tylko jedna Rossja dokonać może, gdyż posiada ku temu środki, w panowaniu nad największą częścią prowincji polskich; Francja zaś w próżném usiłowaniu wskrzeszenia Polski pokazała w tym względzie swą niemoc, a nakoniec Prusy i Austrja nie pomyślały nawet nigdy o tym czynie sprawiedliwości. Rossja bowiem odłączając od swych krajów dziedzicznych prowincje polskie, przy małém poświęceniu ze strony Prus, zwłaszcza przy zapewnieniu stosownego dla nich wynagrodzenia, może przywrócić Polskę jako państwo oddzielne, nadać je wolnemi prawami, jedném słowém dopełnić dzieła, któreby się stało chwałą Europy i kongresu wiedeńskiego. Cesarz Aleksander przedsięwziął ten cel szlachetny, był już wprzeddzień dosiągnięcia go i niechciał od swych zamiarów odstępować. Nadto, wchodząc do Polski, przyrzekł to Polakom w zamiarze odciągnięcia ich od sprawy Napoleona i postanowił dotrzymać danego słowa. Nie należał bowiem do liczby tych władzców, którzy skorzy do dania słowa wpotrzebie, z największą łatwością je łamią skoro tylko przejdzie ta potrzeba. Przyrzekł, pamiętał o tém i sądził, że po oddaniu tak wielkich usług Europie niepowinienby spotykać takiego oporu w przeprowadzaniu swych zamiarów.

Charakter Cesarza Aleksandra był mięszaniną zręczności i romantycznego zapału, a ztąd niezawsze okazywał się jednakim. Nie ulega wątpliwości, że chęć zyskania sławy za przywrócenie Polski, najszlachetniejszą stronę jego duszy poruszała i prawie już się zgodził na wcielenie

do tego nowego królestwa Polskiego całej Litwy i Wołynia, ale też z tém wszystkiém tak zwykle dowodził, jakby to królestwo dla kogo innego a nie dla siebie tworzył, gdyż wielką przypisywał sobie zasługę. Znajdując zaś na swej drodze do tego celu zawady, nie chciał pojmować dla czego mu je stawiano i dla tego oburzał się mocno. Na oburzenie to lord Castlereagh żadnej nie zwracał uwagi i tylko gruntownemi rozumowaniami chciał zapanować nad położeniem. Nic stanowczego nie mógł odpowiedzieć przeciw trzem traktatom z 1813 roku, gdyż rzeczywiście były one zawierane wnadziei małych powodzeń, ztąd przy zyskaniu tak niespodziewanych, Rossja zarówno z innemi mocarstwami miała prawo do uczestniczenia w korzyściach zwycięztwa. Bronił się więc w tym względzie potrzebą umiarkowania i równowagi europejskiej przytaczał wyborne powody, lecz wszystko to bardzo źle brzmiało w jego ustach po zajęciu Włoch przez Austrję, a Belgji przez Anglję. Co zaś do przywrócenia Polski nie brakło mu dowodzeń, które silnie wykładał.

Obecnie, mówił on, chętnie się Anglja zgodzi na wskrzeszenie Polski, jeżeli ono ma być zupełne, szczere i pod odpowiedniemi warunkami. Jeżeli naprzykład Austrja zwróci wszystkie posiadane polskie prowincje, jeżeli Rossja i Prusy podobnie postąpią, jeżeli tym sposobem utworzy się królestwo oddzielne, niezależne od któregobądź z sąsiadów, jeżeli tron tego królestwa zajmie król Polak, a jeżeli nie Polak to przynajmniej wolny od wszelkich związków z trzema sąsiedniemi mocarstwami; jeżeli do tego wszystkiego nada się Polskę prawém monarchiczném i liberalném, w takim razie Anglja gotową jest do przyklaśnięcia temu dziełu, a nawet przyłożyć doń ręki, choćby ją to wiele kosztować mogło. Lecz czyż trzy mocarstwa, które dokonały podziału Polski, czyż zechcą na prawdę zgodzić się na konieczne ofiary? Czyż znajdzie się król, zdolny do przeprowadzenia tego pięknego zadania? I nakoniec złączeni Polacy, czyż odrazu jednolite napowrót utworzą państwo i czy z konieczną wprawą wezmą się do rządów? O tém wszystkiem wolno nietylko wątpić, ale zupełnie nie wierzyć i rzeczone przywrócenie uważać za czcze marzenie.

Następnie lord Castlereagh przedstawiał cesarzowi przestrach, jaki budzą jego zamiary, oświadczając, że gdyby tylko nie wiara w prawość jego charakteru, to przestrach ten sprowadziłby już bezwątpienia rozwiązanie się kongresu, a ztąd w imieniu spokoju powszechnego i własnej sławy Cesarza błagał go, ażeby odstąpił od tych zamiarów. Wczasie całej tej rozmowy Cesarz Aleksander z trudem tylko zdołał się powstrzymywać, gdyż pomimo całego swego wdzięku, najmniejszego nie mógł wywrzeć wpływu na ministra angielskiego, który zarówno przy wrodzonej

niezręczności nie mógł trafić do przekonania wrażliwego cesarza. Pożegnali się więc bardzo niezadowoleni, najmniejszego z rozmowy nie odniosłszy skutku.

Nazajutrz lord Castlereagh obawiając się czy czasem nieprzepomniał czego powiedzieć, chcąc nadto pozostawić ślady tej rozmowy w pamięci Cesarza, a przytém przygotować sobie usprawiedliwienie w obec parlamentu brytyjskiego, napisał notę długą i dołączywszy do niej list poufny przesłał ją cesarzowi, zaopatrzywszy się tym sposobem wdowody oporu przeciw zamiarom rossyjskim. Pomimo iż sprzymierzeni przyrzekli sobie utrzymywać wszystko w tajemnicy przed Francją, chciał przecież pokazać jej całą zasługę swego postępowania i dla tego uwiadomił pana de Talleyrand tak o rozmowie, jak i o nocie. Pan de Talleyrand nie posiadał się z radości, widząc lorda Castlereagh tak żwawo naprzód postępującego, chociaż nie zadawalało go bynajmniej ustępowanie Anglii w sprawie saskiej. Ta szczególniejsza taktyka Anglji podała mu myśl podobnej taktyki, ale w duchu przeciwnym. Chcąc, ile można, przeważyć szalę na korzyść Saksonji, którą odstąpił lord Castlereagh, użył do tego księcia Czartoryskiego, będącego w ciągłej z poselstwem francuzkiém styczności i kazał powiedzieć Cesarzowi Aleksandrowi, że Francja nie ustąpi nigdy w sprawie Saksonji, a natomiast dość skłonną jest do ustąpienia w sprawie Polski. Był to zgrabny obrót, bo skoro jedni nie chcieli przystać na to, na co drudzy przystawali, wszelka zgoda, wypłynąć mogąca tylko z zadosyć uczynienia tak Prusom jak Rossji, stawała się niepodobieństwem.

Podczas gdy się to dzieje, książęta niemieccy drugiego rzędu nie ustawali w żarliwej opozycji. Sprzeciwiali się w komitecie, w którym trudnili się razem ukonstytuowaniem Niemiec, wszelkim kombinacjom Prus i Austrji, dążącym do opanowania rzeszy niemieckiej. Nie szło o przywrócenie tytułu dawnego cesarza Niemieckiego, który cesarze Austrji tak długo piastowali, a którego zrzekł się Franciszek II w r. 1806, kiedy Napoleon utworzył ligę Reńską. Byłaby go bez wątpienia przyjęła Austrja, gdyby chciano oddać jej go dziedzicznie, ale nie mogła zezwolić aby był wybieralny, bo byłoby to samo, co zostać w zawisłości od elektorów i nadto narazić się na to, że kiedyś mogłby się był dostać i której z głów pruskich. Ostatni ten powód byłby sam jeden wystarczającym do odrzucenia podobnej ofiary. Skoro zaś ustał tytuł cesarza, do którego naturalnie przywiązane było kierownictwo rzeszy, trzeba było państw przewodniczących, tak jak w Szwajcarji, mijających się jedne z drugiemi, na co Prusy byłyby przystały, skoroby szło o alternatę między niemi a Austrją. Austrja nie bardzo chętna temu była, ale

w każdym razie oświadczyły: Bawarja, Hannower i Wirtembergja że nie pozwolą na alternatę, tylko wtedy, gdy zostanie wyłącznie między obu wielkiemi mocarstwami niemieckiemi. Tym sposobem przygotowano rozwiązanie tej kwestji takie, jakie później nastąpiło, to jest proste prezydowanie w rzeszy, przyznane na wieczne czasy Austrji, na obraz dawnej cesarskiej władzy, dziedzicznej w domu austrjackim. Brakło więc tej prezydencji majestatu, tytułu, ale przybyła jej wieczystość. Jedno tylko ważne złe pociągało za sobą takie rozwiązanie, to jest, że nieroztrzygało tak ważnej kwestji jak dowództwo nad wojskiem całej rzeszy.

Równie ważną jak poprzednia kwestją, było wypośródkowanie normy bytu politycznego państw rzeszy i natury ich stosunków z mocarstwami europejskiemi. Dotąd posiadały państwa związkowe Niemieckie, choć złączone z sobą węzłem federacji, niezawisłość zupełną, t. j. posiadały prawo wojny i wysyłania poselstw, mogły mieć wysłanników przy wszystkich dworach, mieć wojsko i niém rozrządzać. Z tej podwójnej tych państw natury wynikało często, że zawiązywały przymierza, chociaż nie przeciwne rzeszy samej, to przynajmniej przeciwne obu wielkim mocarstwom, Austrji i Prusom, a jeśli czasem wyniknęła z tego interwencja, obcego państwa, wynikał też nieraz ratunek wspólnej niepodległości. Prusy chciały koniecznie, aby odjęto związkowym prawo poselstwa i wojny, ale Prusy stały w tym względzie osamotnione, napotkały więc na bezwzględną opozycję. W końcu oświadczały za każdą sposobnością trzy królestwa: Bawarja, Wirtembergja i Hannower, że żadnego w punktach spornych nie dadzą głosu dopóty, dopóki nie roztrzygnie się stanowczo los Saksonji. Groziły nawet, że zaprotestują wszystkie państwa Niemieckie, przeciw projektom przypisywanym pewnym mocarstwom ze względu na Saksonję. Skończyło się na tém że komitet oświadczył, że dopóty się na nowo nie zbierze, dopóki nie będzie roztrzygnięta wielka kwestja saska.

Trzeba było ochraniać czas, bo 1 Listopada nie był daleko, skoro oświadczenie zawieszające kongres zostało podpisane i ogłoszone 8 Października. Zachodziła tedy słuszna obawa, że termin fatalny nadejdzie, a zgoda nie przyjdzie do skutku. Bawarja, najczynniejsza i najznaczniejsza z państw niemieckich drugiego rzędu, oświadczyła swe postanowienie chwycenia za broń, aby ratować Saksonję. Nakazała była pobór żołnierza i miała teraz 75,000 wojska; ośmielała p. Metternicha, głośno go obwiniając o słabość, ofiarowała na każde 100 tysięcy Austryaka dostarczyć 25 tysięcy żołnierza, krzątała się od pana Metternicha do pana de Talleyrand, którego zaiste nie miała potrzeby podburzać, żądała od niego, aby się nie ograniczał na słowach, ale przystą-

pił do groźb, a przedewszystkiem do groźb istotnych, żeby oświadczył p. p., że zamiarem jest króla Francji użyć nawet siły, gdyby tego była potrzeba. Zaręczała, że niechby tylko p. Talleyrand przemówił w tym duchu, a Austrja i Anglja nie znajdą wymówki ani nawet pozorów do ociągania się, że nareszcie i one oświadczą się formalnie i tak ocalona będzie niepodległość Niemiec i Europy. Na to odpowiedział p. Talleyrand, że Francja była gotową, że nie wypadało jednak, aby ona sama podejmowała się zadania, przypadającego z natury rzeczy mocarstwom najbardziej w tej sprawie interesowanym; że one to oświadczyć się powinny a przynajmniej wyrazić życzenie, a ramię Francji służyć im będzie na pierwsze wezwanie; że dotąd wszelako zaledwie raczono przemawiać do poselstwa francuzkiego, że trzymano je na uboczu we wszystkich rokowaniach i że wreszcie nie mogła przecież Francja narzucać pomocy swej tym, którzy zdawali się jej nie chcieć.

Bawarja pospieszyła się z powtorzeniem tych słów p. Metternichowi, a że p. Metternich nie chciał działać nagle, więc podał za powód swych wolnych poczynań nasamprzód dziwną taktykę Anglji, która aby ocalić Polskę, poświęcała Saksonję, a potem zamiary Francji, zawsze według niego, podejrzanej o ambicję. Szczególniejsza to była wartość tego powodu, bo jedyna właśnie tylko Francja, która ze wszystkich mocarstw nie pokazała była ambicji! Dodał p. Metternich, że byłoby to wielką na siebie brać odpowiedzialność, chcieć samym wprowadzać wojska francuzkie do Niemiec po tak krótkim przestanku czasu, do Niemiec, gdzie te wojska tak przeważnie panowały, tak były uciążliwe i tak znienawidzone; że zresztą one już nie istniały, a przynajmniej dla Burbonów, niezdatnych do połączenia ich pod narodowe sztandary i poprowadzenia na nieprzyjaciela; że Francja dużo mówi, ale ani może ani chce działać, że gada tylko aby pomącić wszystko, siać nieporozumienia i odzyskać swe stanowisko wśród niezgody sprzymierzonych, którzy ją zwyciężyli. P. Metternich odpowiedź tę dał księciu Wrede, który natychmiast udzielił jej Francji. Takie same odpowiedzi słyszeć można było i z ust cesarza i kilku arcyksiążąt, przyczem widocznie życzono sobie aby Francja o niczém nie wiedziała. Był to więc rodzaj wezwania, aby się wytłómaczyła. Nareszcie, te same zdania, które objawiali Austrjacy z pewnym żalem i celem uniewinienia się, przybierały barwę junakerji i drwin w ustach Prusaków, którzy chcieli aby uwierzono w niemoc Francji i w ustach Rossjan, którzy znów chcieli aby uwierzono w niemoc Burbonów.

Nie było więc nadal podobieństwa zbywania nieuwagą takich objawów i trzeba było nakazać im milczenie, oświadczając się przekonywa-

jąco i pozytywnie. P. de Talleyrand oświadczył, że Francja miała wolę i środki do działania, że da tego dowody, skoro tylko ją się postawi w konieczności dostarczenia takowych i że w każdym razie, niebawem pokaże Francja i swe postanowienie i swe środki. Napisał natychmiast do króla, polecił księciu Dalbergowi aby napisał do gabinetu i wskazał tak królowi jak gabinetowi dwa kroki, jakie przedsięwziąść należy, t. j. zbroić się i głośno oświadczyć dla czego. Wiedząc, że Ludwik XVIII nie chciał wojny, chociaż jeden z jego bratunków, książe de Berry, mocno jej sobie życzył, wiedząc, że rada królewska również mało jak król skłonną była do niej, napisał im, że wojna bynajmniej nie była prawdopodobną, (co było prawdą) ale że wśród obawy powszechnej przed nią ten weźmie górę, który jej się obawiać każe; że rzeczy w Wiedniu nie przekroczą granic prostych demonstracji, ale że zrobić je trzeba nie na żarty; że od tego zależy znaczenie Francji, od znaczenia zaś jej, jej wpływ i spełnienie jej życzeń i że to, czego sobie np. życzy we Włoszech, zależało od tego, co się zrobi w Niemczech, że nie może wreszcie być potężną z jednej strony, niepostanowiwszy się w możności być potężną i z drugiej.

Było to zachwycić króla za jego słabą stronę i użyć dobrego środka aby usłuchał, to jest wspomnienia o Włoszech czyli o Neapolu i Parmie. Rada Talleyranda była zresztą mądra i dana w bardzo dobrej wierze, chociaż dziwném zrządzeniem losu, jak zobaczymy później, nie miała posłużyć na korzyść domu Burbonów.

Depesze te noszące datę 15 Października, nie małe zrobiły na Ludwiku XVIII wrażenie. Jak już powiedzieliśmy, usilnie on chciał pokoju i dla Francji, która go bardzo potrzebowała i dla swojej familji, której główny tytuł stanowił pokój, wreszcie i dla siebie; powody tego jego pokojowego usposobienia leżały w jego wieku, w jego kalectwie i w naturze jego zdolności. Wdzięczny był reprezentantowi swemu w Wiedniu, że wyznawał tak głośno zasadę prawowitości, że zniweczył projekt wykluczenia Francji ze wspólnych narad; rad był że istniało wszelkie prawdopodobieństwo zrzucenia z tronu Murata i podobała mu się nadzieja uratowania krewnego swego, króla Saskiego; ale znajdował, że poselstwo francuzkie o wiele zanadto się krząta i obawiał się, aby go dalej nie zaprowadziło, aniżeli sobie tego życzył. Naradzał się nad propozycjami Talleyranda, nasamprzód w familji, a potém na radzie królewskiej. Co czynić wypada, nad tém nie było się co namyślać, wszelkie bowiem powody, wielkie i małe, dobre i mierne mówiły za postanowieniem, jakie radził p. de Talleyrand. Nasamprzód chodziło o postawę Francji w Wiedniu, i nie można było pozwolić wkorzenić się opinji, tak ze względu na Francję,

jak ze względu na Burbonów, że Francja popadła w niemoc od czasu przywrócenia dawnej dynastji. Przesąd taki szkodził krajowi zarazem i familji panującej. Powtóre, zależało widocznie od wpływu Francji w Wiedniu, rozwiązanie upragnione kwestji włoskiej, rozwiązanie, do którego Ludwik XVIII tyle przywiązywał wagi, a do którego niemniej i ministrowie przywiązać byli powinni dla tego, że bezpieczeństwo Burbonów znaczyło wtedy tyle, co bezpieczeństwo Francji. Potrzecie, nabrało uratowanie Saksonji pewnej wagi dla Francji, skoro już wyrzekła się ona wszelkich usiłowań powiększenia terrytorjalnego. Słusznie czy niesłusznie, dość że uchodził król Saski za ofiarę przywiązania swego do sprawy francuzkiej, a uratowanie go powinno być było, według wszystkich tych, którzy się chełpili patrjotyzmem, rzeczą honoru Francji. W razie więc pomyślnego skutku nabywają Burboni niejakiej popularności, pomijając nawet ideje prawowitości. Wreszcie, powiększenie etatu wojskowego stało się koniecznością, albowiem armja zmniejszoną była poniżej nawet stosunku, w jakim ją mieć chciano, z przyczyny ograniczeń finansowych ministra wojny, do którego budżetu dodane jeszcze nierozważnie zostały wydatki uboczne. Pułki składały się już tylko z próżnych kadrów, któremi niepodobna było odbywać działań wojskowych. Rezultat ten łatwo da się wytłómaczyć, jeśli pomyślimy, że szczupłą siłę 200,000 żołnierza, którą myślano utrzymać budżetem dwustu miljonów, zredukowano niebawem na 150,000 żołnierza, a wkrótce, z przyczyny niedostatku pieniędzy, na 130,000. Ograniczyć się na tak małéj ilości stałego wojska, w obec stopy na jakiej stały siły europejskie, było to zrzekać się istnienia Francji. Redukcje te stanowiły zresztą jednę z przyczyn nieukontentowania wojskowych; nietylko więc nakazywała polityka zewnętrzna ale i wewnętrzna, postawić na lepszej stopie armję francuzką. Ze wszystkich tych powodów wzięto usilnie na uwagę propozycję poselstwa francuzkiego, które poparła wybornie rada królewska.

Trudna strona tej kwestji była tylko strona pieniężna. Ludwik XVIII odwołał się na radzie królewskiej do patrjotyzmu ministra skarbu, barona Louis. Minister ten, chociaż z wielką surowością pilnował raz oznaczonych granic w wydatkach a właśnie dla tego, że ich pilnował, oświadczył był kilkakrotnie, że w nagłych przypadkach, mieć będzie na każde zawołanie królewskie 100,000,000. W istocie, potrafił on wyszukać dość znaczne źródło dochodu, przywracając kredyt publiczny tym sposobem, że się trzymał stale raz powziętych zasad polityczno-finansowych. Papiery jego, zwane *reconnaissances de liquidation*, pozyskały wziętość. Prócz tego, zaczynały wpływać i podatki niestałe; nie nabawił go więc kłopotu nieprzewidziany wydatek 50,000,000 franków.

Zdziwiony był przecież, że go tak wcześnie uchwycono za słowo i zmuszono, aby dowiódł doniosłości swych zasobów. Baron Louis rozumiał również dobrze politykę jak skarbowość, odpowiedział więc ministrowi wojny, gdy tenże oświadczył, że potrzebować będzie 40,000,000 fr., iż je ma na pogotowiu i dawać je będzie w miarę potrzeb. Doczekano się więc dość szybko owoców dobrego postępowania w materji skarbowości, słuchając rad prawego i energicznego męża, który stał na czele skarbu.

Zasoby potrzebne dla armji były więc zapewnione, chodziło teraz o to jak ich użyć. Minister wojny (był nim jeszcze jenerał Dupont) życzył sobie zastosować do dwóch kroć stotysięcy starego żołnierza, który wrócił z zagranicy i rozpuszczony został na urlop, system rezerwowy, to jest chciał żołnierzy zostawić w domu i tylko od czasu do czasu odbywać im kazać ćwiczenia. System ten nie przeszedł był jeszcze dobrze próby, nawet w Prusiech, gdzie go wprowadzono w życie raczej jako podstęp administracyjny, wymyślony dla przekroczenia liczby wojska pruskiego, przepisanej przez Napoleona. Nie wiedziano więc właściwie, ile wart. Obawiano się także wprawić w ruch tyle ludzi, tak oficerów jak żołnierzy, których usposobienia bardzo były podejrzane rządowi. Wreszcie operacja tu wymagałaby była dużo czasu, kiedy tu chodziło o natychmiastowe i pewne rezultaty. Ze wszystkich tych powodów i na wniosek księcia de Berry, postanowiono powołać na nowo 70,000 żołnierza pod broń, tak, żeby podnieść liczbę żołnierza wynoszącą obecnie 130,000 ludzi, do 200,000 i postawić pułki na lepszej stopie. Do uskutecznienia tego nie potrzeba było uciekać się do konskrypcji, imiennie zniesionej; dość było, jak sobie czytelnik przypomni, powołać część żołnierzy, będących na urlopie, bądź że urlop ten istotnie otrzymali, bądź że go sami sobie wzięli, opuściwszy szeregi.

Do depeszy urzędowych, donoszących p. de Talleyrand o rezolucjach rządu, mieli ministrowie skarbu i wojny dołączyć takie listy prywatne, że je mógł Talleyrand pokazać w zaufaniu; w nich obeznawali go z dobrym stanem tak skarbu jak wojska. Mianowicie miał mu napisać minister wojny, że stanie natychmiast 200,000 żołnierza pod bronią, a w miesiąc i 300,000, jeśli tego będzie porzeba, i to sami starzy żołnierze, wybornie usposobieni. Było to istotną prawdą, skoroby chodziło o walkę z nieprzyjacielem zewnętrznym. Król napisał do p. de Talleyrand, aby mu swe osobiste wyłożyć zapatrywania. Nie chcę, napisał doń, mimo przywiązania mego do pokoju, aby Francja odgrywała rolę podrzędną, która jej nie przystoi i pokazała się niezdatną w obronie dobrej sprawy, ale zarazem zlecił Talleyrandowi wyraźnie, aby go nie wmięszał do koalicji, do którejby tylko Austrja i małe państwa niemieckie należały. Chciał uczest-

nictwa Anglji, aby zawsze pozostać z nią w zgodzie i być pewniejszym rezultatu wojny, gdyby przyjść miało do tej smutnej ostateczności. Wskazał p. de Talleyrand wreszcie zawsze jeszcze na dwa najistotniejsze cele, to jest wypędzenie Murata i przewiezienia Napoleona na jednę z wysp Azorskich.

Podczas gdy wyprawiano te odpowiedzi do p. de Talleyrand, nie ustawało wzburzenie umysłów Wiedniu. Spór toczył się zawsze jeszcze między Cesarzem Aleksandrem a lordem Castlereagh, który usiłował koniecznie uratować Polskę poświęcając Saksonję. Wiedziano, że książe rejent Angielski w charakterze swym przyszłego króla Hannowerskiego, nie zgadzał się na poświęcenie Saksonji, że był nawet mocno temu przeciwny i użyto różnych na niego wpływów, aby zażądał zmodyfikowania instrukcji danych lordowi Castlereagh. Tymczasem jednak postępował lord Castlereagh podług raz powziętego planu, w nadziei, że oderwie Prusy i osamotni Rossję, i że osamotniwszy ją, skłoni do ustąpienia. Chociaż bardzo trudno było oderwać Fryderyka Wilhelma od Cesarza Aleksandra, zdawało się natomiast, że ministrowie pruscy mniej byli niewzruszeni aniżeli ich król, że kilku z nich niepokoiło się wzrostem Rossji w kierunku do środka Europy i złem wrażeniem, jakieby zrobiło na Niemcy wcielenie Saksonji do Prus, że więc jedném słowem nie byli tak bardzo jak ich król związani przymierzem z Rossją.

Lord Castlereagh dopatrzywszy tej różnicy między królem Pruskim, a jego ministrami, pochlebiał sobie, że połączy Prusy z Austrją, że użyje obu tych mocarstw, aby zmusić Rossję do zatrzymania się nad Wisłą, bez pomocy Francji, która tym sposobem pozostałaby i nadal na boku w wielkich sprawach europejskich. Miał więc nadzieję utworzyć z Anglji, Prus, Austrji i wszystkich państw niemieckich wielką całość centralną, którąby zdołała powstrzymać Rossję, mogła obyć się bez Francji, a rozstrzygała wszystko w najwyższej instancji.

Pan Metternich naglony głosem Niemiec i armji austrjackiej do oświadczenia się rychlejszego aniżeli może chciał, opuszczony przez Anglję w sprawie Saksonji, zmuszony był podzielać do pewnego punktu politykę lorda Castlereagh. Napisał więc notę do Prus, w której wyraził nareszcie czego chce cesarz Franciszek i jego ministrowie. W depeszy tej, noszącej datę 22 Października (poprzedzającej więc o dni kilka czas naznaczony do otwarcia urzędowego kongresu), odezwał się p. Metternich do Prus w wyrazach zupełnej serdeczności, przypomniał, że już od początku r. 1813, i nawet przed zerwaniem z Napoleonem, postawiła była Austrja za zasadę: całkowite odbudowanie Prus, i z niej zrobiła wyraźny warunek swojej polityki, że od tego więc czasu nie można obwiniać

jej o zazdrość, jaka rozłączała dawniej wiedeński gabinet z pruskim; prosił Prusy, aby wzięły na uwagę, czyby we własnym ich interesie nie było rozsądniej zrzec się tego wcielenia Saksonji, mającego być tak drogo okupioném przez usadowienie się Rossji nad Odrą, przeciw czemu wszyscy powstawali Niemcy i co taką natchnęło ich nienawiścią, że gabinet austrjacki równieżby się może zdepopularyzował dla tego, że na to wcielenie zezwolił, jak gabinet pruski, że je przedsięwziął. Pan Metternich pytał czyby nie mądrzej było, karząc króla Saskiego przez odjęcie mu pewnej części jego ziem, zostawić mu jądro królestwa Saskiego, uwolnić się od nieszczęsnych obietnic uczynionych Rossji ze względu na Polskę, zadosyć uczynić tym sposobem powszechnemu głosowi Niemiec i postępować wreszcie w duchu naprawczym, którym się wszyscy chełpią przed Europą, a którym się nikt w tej chwili nie powoduje. Wyłożywszy opinję swoją w formie rady, dodał p. Metternich, że gdyby mimo to przyszło do poświęcenia całej Saksonji, zgodziłby się mógł na to tylko pod rozmaitemi warunkami, będącemi absolutnemi warunkami ze strony Austrji. Nasamprzód przyrzecby musiały Prusy, że się odłączą od Rossji w kwestji Polski i głosować będą tak, jak Anglja i Austrja, gdy przyjdzie do jej rozwiązania. Powtóre, chociaż życzy sobie zachować jak najlepsze porozumienie z Prusami, należy jednak przestrzegać pewnej między sobą równowagi i ku temu celowi sprawiedliwy utworzyć stosunek między całością państw północnych a południowych niemieckich, stanowiących kljentelę Prus i Austrji. Austrja tedy chce, aby Men na prawej stronie Renu, a Mozela z lewej stanowiły granice oddzielające państwa północne od południowych, aby Moguncja nie należała do państw północnych, to jest do Prus.

Pan Metternich nie mógł się był zręczniej wydobyć z kłopotu, w który go wprawiła szczególniejsza taktyka lorda Castlereagh, bo jeżeli ostatni warunek położony Prusom względem granicy między północą a południem, był łatwy do przyjęcia, to warunek odłączenia się od Rossji w kwestji polskiej był tak dobrze jak niemożliwy do przyjęcia dla króla Pruskiego. Pan Metternich więc, choć postępował drogą wskazaną przez Anglję, niemniej jednak dopiąć zamierzał swego, to jest ocalić zarazem Polskę i Saksonję.

Stanowisko zajęte przez Austrję musiało mocno rozdrażnić Cesarza Aleksandra: widział bowiem, że wszyscy obracają się przeciw niemu i że usiłowania wszystkich mają na celu oderwanie od niego Prus. Chcąc nastraszyć opozycję, którą napotkał, przedsięwziął stanowczą uczynić manifestację, któraby świadczyła również z jego strony jak i ze strony Prus o niewzruszonym postanowieniu. Wojska rossyjskie zajmowały jeszcze

Saksonję. Wezwał tedy króla Pruskiego, aby ją obsadził wojskiem pruskiém i potém natychmiast uorganizował ją administracyjnie i politycznie. Z swej strony rozkazał wojskom rossyjskim opuścić Saksonję i podążyć ku Polsce, tak, aby zgromadzone wszystkie siły rossyjskie nad Wisłą, stawiły żelazną zaporę tym, którzyby się pokusili o wydarcie mu jego zdobyczy. Równocześnie wysłał brata swego W. księcia Konstantego do Warszawy (o którym mówiono, że ma zostać królem Polskim), aby rozpoczął organizację nowego królestwa.

Jednogłośnie więc powstano przeciw podobnie zarozumiałemu i hardemu postępowaniu. Pan Metternich, oskarżony przez wszystkich Niemców o słabość, odpowiadał, że nie smucić ale radować się raczej należy, że Rosjsa wraca na północ i uwalnia Niemcy od swej obecności. Zdania tego nie podzielała dyplomacja, i utrzymywano, że Francja miała zupełną słuszność żądając zgromadzenia kongresu, albowiem, gdyby kongres był już zasiadał, nie śmianoby tak dalece się posunąć. Lord Castlereagh i p. Metternich nie zdawali się chcieć zaprzeczać temu. W tém położeniu utrzymywało wielu, którzy upadli na duchu, że nie przyjdzie się nigdy do końca z mocarstwami Rossji i Prus, że jeden tylko pozostał środek na nich, to jest rozjechać się, zostawić obu tych przywłaszczycieli w obec opinji Europy i zwołać nowy kongres, któryby opatrzony specjalnym mandatem, zasiadł silny głosem powszechnym.

Ludzie rozsądniejsi utrzymywali, że nie należy się cofać, że jedynym środkiem jest utrzymanie się oświadczenia z 8 Października, zwołanie kongresu na 1 Listopada; wtedy zobaczymy ażali owi dwaj monarchowie, którzy nie znali granic w swej pysze, wystąpią równie śmiało w obec połączonego kongresu. Zdanie tych ostatnich znalazło najliczniejszych zwolenników. Pierwszy Listopad był zresztą za pasem i nie potrzeba było czekać długo, aby wypróbować skuteczność proponowanego środka.

Cesarz Rossyjski zawsze występował wystawnie, chociaż był osobiście pełen prostoty, przyczyniał więc kosztów, jakie ponosiła Austrja podejmując swych gości. Powziął zamiar wyjechania do Budy w Węgrzech, aby oddać hołd pośmiertny swej siostrze, zmarłej arcyksiężnie namiestnikowej Węgierskiej. Chciał wystąpić w ubiorze węgierskim i przyzwał do Budy z pogranicznych prowincji wielu Greków tak świeckich jak duchownych; cesarz Aleksander bowiem miał wzrok w tej chwili zwrócony na zachód zarazem i na wschód. Cesarz Austrjacki i kilku książąt przedsięwzięli towarzyszyć mu w tej podróży, która miała zająć ostatnie dni Października. Przed wyjazdem rozmawiał cesarz Aleksander po dwa razy z p. de Talleyrand i p. Metternichem, a rozmowy te wywołały wielkie wrażenia i przyczyniły się niemało do tego, że nieod-

wołalnie pozostał pierwszy Listopad, dniem wyznaczonym na ogólne zebranie kongresu.

Widzieliśmy, że aby przeciwważyć taktykę lorda Castlereagh, który zezwalał na poświęcenie Saksonji celem uratowania Polski, dał p. Talleyrand do zrozumienia Cesarzowi Aleksandrowi przez księcia Czartoryskiego, że Francji przeciwnie, daleko więcej idzie o Saksonję, niż o Polskę i że poświęciłaby Polskę Aleksandrowi, gdyby chciał przyczynić się do ocalenia Saksonji. Nie było to właśnie dla Rossji ustępstwo, losy bowiem Saksonji i Polski były nierozerwanie z sobą połączone. Tymczasem był to zawsze nowy punkt widzenia rzeczy, który uderzał p. Nesselrodego i spowodował konferencję p. Talleyranda z Cesarzem Aleksandrem. P. de Talleyrand przystał na to, że prosić będzie o posłuchanie, dla formy tylko, w gruncie bowiem uczynił to jedynie w skutek bardzo wyraźnego napomknięcia p. Nesselrodego. Widzenie niniejsze cesarza z pełnomocnikiem francuzkim było drugiém od półtora miesiąca, a choć p. Talleyrand spotykał Cesarza Aleksandra na balach i uroczystościach, nie był u niego na posłuchaniu od czasu owej wizyty, którą opowiedzieliśmy.

Cesarz Aleksander mniej na ten raz pokazał goryczy reprezentantowi Francji. Wyraził żal, że niewidzi częściej p. Talleyranda, na co tenże odpowiedział z uszanowaniem i godnością, a potem bez straty czasu wszedł zaraz w materję będącą przedmiotem zajęcia wszystkich. Cesarz chciał wiedzieć, co Francuzom chodzi po głowie i co może być przyczyną ich zupełnej dla Polski obojętności.—Pan byłeś, rzekł do p. Talleyranda, jak najzupełniej przychylny w Paryżu odbudowaniu Polski.—Zapewne N. Panie, odpowiedział Talleyrand głosem pełnym uszanowania ale pewnym, tak ja, jak wszyscy Francuzi, życzyliby sobie z prawdziwą radością widzieć wskrzeszoną Polskę prawdziwą. Przeciwnie zaś, obchodzi nas bardzo mało ta, o którą tu chodzi. Ma ona bowiem tylko wartość kwestji granicznej między Waszą Cesarską Mością a Niemcami, a rzeczą jest Prus i Austrji wypośrodkować czy im to na rękę, aby Rossja ciągła aż do Ordry. W takim stanie rzeczy może nas, którzy stale bronimy prawa publicznego europejskiego, obchodzić tylko Saksonja.—Na to Aleksander który powstrzymał się dotąd, zawołał z goryczą, że prawo, że traktaty to słowa czcze, któremi się każdy posługuje podług swej dogodności, że nie da się wywieść w pole i że tu wcale nie chodzi ani o zasadę ani o prawo ale o interes, który każde mocarstwo pojmuje na swój sposób. — Dodał dalej Aleksander, że przyrzekł Saksonję królowi Pruskiemu, że nie cofnie tej obietnicy, albowiem bardziej mu chodzi o dotrzymanie słowa aniżeli o owe mniemane traktaty; że król Saski, który

porzucił sprawę Europy, pójdzie zakończyć swe życie jako jeniec.— Wtedy ucinając rozmowę Aleksander, dodał: Chodzicie tu za interesami, które wam bardzo leżą na sercu (znaczyło to Murata); otóż miara mych dla Francji względności zależeć będzie od miary jej względność dla mnie. — Francja, odparł p. de Talleyrand, nie żąda żadnej względności, bo ona tutaj tylko zasadę reprezentuje.—Było to dosyć jasno powiedziane, że Francja nie będzie prosić, Francji nie chodzi o żadne przyjaźne przysługi.

Opór który ze wszystkich stron napotykał Aleksander, zrobił go nieco spokojniejszym w obec oporu Francji. Nie objawił więc ten raz tyle goryczy co poprzednio, ale za to jeszcze bezwzględniej wzstąpił niż wówczas, a jego mowa była ucinana, zimna, tak jak człowieka, którego wola niewzruszona. W obec tej tak wyraźniej woli, umiał p. de Talleyrand, zawsze równie zręczny, połączyć z uszanowaniem lekko ironiczne powątpiewanie, które pozwoliło mu nie brać zbyt na serjo tej całej rozmowy.

Widzenie się Cesarza z p. Metternichem o wiele jeszcze było burzliwsze. Prusacy udzielili Aleksandrowi depeszę p. Metternicha, będącą wyrazem zamiarów Austrji i objawiającą jasno usiłowania dyplomacji Angielsko-Austrjackiej odosobienia Rossji, za pomocą korzyści ofiarowanych Prusom.

Na wieść o dziwnej tej scenie, szemrać zaczęto w całym Wiedniu Pytano siebie, czemu powstano przeciw Napoleonowi, skoro miano popaść bezpośrednio w jarzmo równie twarde, a bardziej poniżające, albowiem niedostawało nowemu jarzmu tego olbrzymiego uroku, jaki przez lat dziesięć służył na uniewinienie Europy. Cesarz Franciszek w ten sam dzień podążył do Budy, aby się złączyć z Cesarzem Aleksandrem w Węgrzech. Był on w dziwném przeciw Aleksandrowi położeniu. Podejmował go od więcej miesiąca w własnym swym pałacu, tak jak innych monarchów w Wiedniu obecnych. Gościnność nakazywała mu mieć pewne dla Aleksandra delikatne względy; był więc często zmuszony pokazywać mu pogodę na twarzy, czując w sercu gorzkie niezukontentowanie. Po długiém doświadczeniu, rzekł do niego: Przyzwyczaiłem się do tego, że każę prowadzić me interesa ministrom. Myślę że to dobry zwyczaj, bo nasi ministrowie postępują sobie z większą swobodą, konsekwencją, spokojem i znajomością rzeczy, aniżelibyśmy potrafili. Działają oni zresztą podług mych rozkazów, w swój sposób bez wątpienia, ale zawsze po mojej myśli i ich wola zawsze jest moją wolą. — Niepodobna było dobitniej pochwalić tego, co zrobił p. Metternich. Mówił mu potém cesarz Franciszek w ogólnikach pełnych taktu o obecném położeniu. —

Należę do mych ludów, rzekł mu. Poświęciłem dla nich wszystko, nawet własną córkę, a skoro widzę, że się niepokoją, mam obowiązek wziąść w rachubę te ich niepokoje i starać się o uchylenie ich przyczyny.— Aleksander odpowiedział, że rzetelność znana i doświadczona jego charakteru powinna przecież uspokoić ludy austryackie.— Zapewne, odrzekł Franciszek, rzetelność monarchów jest bez wątpienia rękojmią, ale dobra granica jeszcze więcej warta.

Podczas gdy ci dwaj monarchowie odbywali swą podróż po Węgrzech, uczestnicząc raz w obchodach pogrzebowych drugi raz w świetnych asamblach, dyplomaci działali w Wiedniu, a opinia ogólna codzień mocniej przemawiała za zebraniem się kongresu, chociaż panowała jak najzupełniejsza niezgoda w najważniejszych właśnie kwestjach. Ale monarchowie Prus i Rossji dali dowody takiej śmiałości bądź w czynach bądź w mowie, że trzeba było koniecznie dać im uczuć powagę Europy, a jakiż był sposób ku temu naturalniejszy, regularniejszy, a nawet bardziej obowiązujący, jak zebranie się całej Europy w osobie swych reprezentantów? Nie szło o zgromadzenie ich, jakeśmy już powiedzieli, jako ciała ustawodawczego europejskiego, nie mieli bowiem równego prawa do stanowienia o wspólnych interesach, ale istniały sprawy wspólne, w których trzeba było zasięgać zdania wszystkich, istniały sprawy szczegółowe, w których należało wysłuchać głównych interesowanych i możliwą uczynić zgodę. Skoro wreszcie zjechano się do Wiednia, w celu uporządkowania spraw europejskich, trzeba było, jakibądź wybranoby sposób konferowania, zawezwać tych, którzy reprezentowali Europę, zażądać od nich pełnomocnictw, sprawdzić takowe, zgodzić się na formę, przewodniczyć mającej pracy, a to znaczyło właśnie tyle, co ukonstytuować kongres, co ogłosić istnienie w Wiedniu władzy prawowitej, niepodlegającej zaprzeczeniu, europejskiej, której wpływ moralny mógł w pewnych okolicznościach zapobiedz niebezpiecznym starciom.

P. Metternich zwołał 30 Października do siebie tych ośmiu reprezentantów, którzy podpisali traktat Paryzki, aby się z nimi naradzić nad wykonaniem zawartego w deklaracji 8 Października zobowiązania. Przedstawił im, że kwestje ważne, dzielące niektóre gabinety, nie były jeszcze roztrzygniętemi, że jednak nie przestawano trudnić się ich roztrzygnięciem, że bez wątpienia osiągniętą zostanie zgoda, że praca mająca na celu kwestję tak ważną, jak jest ukonstytuowanie Niemiec, dość postąpiła, i że jest wszelka nadzieja zaprowadzenia takiej równowagi niemieckiej, którąby była w stanie przyczynić się niemało do utworzenia stosownej równowagi europejskiej, ale że tymczasem nie stoi nic na przeszkodzie, aby zwołać reprezentantów mocarstw zgromadzonych w Wiedniu

zażądać od nich pełnomocnictw, sprawdzić takowe i uformować potém komitety, któreby rozebrały między siebie główne przedmioty, mające być oddane pod rozpoznanie.

Propozycję p. Metternicha przyjęto całkowicie. Ale p. Metternich może zbyt często powtarzał, że nie chodziło o utworzenie jedynego zgromadzenia, w którémby wspólnie się naradzano nad interesami wszystkich, z równą władzą, wypływającą jedynie z prawa obecności, tak jak np. w parlamencie angielskim, i dodał także, że komitety winny być pośrednikami mającemi godzić interesowanych. Zdawało się p. Talleyrandowi nielubiącemu ministra austrjackiego, że zbyt wiele łoży starania około ścieśnienia suwerenności kongresu, przeczył mu więc z nieukontentowaniem i przyszło między nimi do wymiany dość przykrych słów, które całkiem na korzyść wyszły Rossjan i Prusaków, ale nie na naszą, albowiem, skorośmy raz obrali politykę oporu naprzeciw Rossji i Prusom, trzeba było przedewszystkiem ochraniać Austrję. Szczęściem przeszły bez skutku te rozterki osobiste. Zgodzono się, że przywołani będą jeden po drugim pełnomocnicy różnych dworów, wielkich i małych, że zażąda się od nich pełnomocnictw, które przedłożone będą komitetowi złożonemu z 3 mocarstw, a utworzonemu przez losy. Los wyznaczył Rossję, Anglję i Prusy. Jeśliby zaszła wątpliwość względem pełnomocnictwa którego z reprezentantów, miał wtedy komitet zdać swe sprawozdanie ośmiu mocarstwom podpisanym na traktacie paryzkim, które, ponieważ same zwołały się do Wiednia, miały się też, naturalnie, za władzę kierującą, przyjęły tę rolę i jej odpowiedzialność na siebie.

P. Talleyrand wstrzymał się od przemawiania powtórnego za zasadą przypuszczalności do kongresu, która już straciła znaczenie odkąd zachowanie Saksonji i wypędzenie Muratą stały się ważnemi przedmiotami negocyacji, których więc już nie szło rozwiązać sposobem nawiasowym, podczas traktowań o prostą kwestję formy. Postanowiono tylko, że pełnomocnicy, chociaż ich pełnomocnictwa nie zostaną przyjęte, brać będą jednak udział w naradach, powołani będą do komitetów, dawać będą objaśnienia, jedném słowem, objawiać będą życzenia swych dworów, ale że nie będą przypuszczeni do dania pełnego głosu.

Postanowiono, prócz tego, że ponieważ kwestja przodkowania między różnemi dworami, mogłaby wznieść kłopotliwe trudności, więc odraczają się wszystkie podobne kwestje na koniec kongresu, że podczas trwania kongresu będzie mógł raz ten, raz ów reprezentant przodkować, że zaś książe Metternich, jako reprezentant monarchy, u którego kongres zasiada, powierzone będzie miał przewodnictwo kongresu.

Następnych dni zgromadzono się, aby postanowić formę procedury

nad każdym przedmiotem. Jasna rzecz, że we wszystkiem co dotyczyło zwołania, podziału prac, składu komitetów, formy narad, pozostało władzą kierującą owych ośmiu, którzy podpisali traktat Paryzki i wzięli inicjatywę zwołania kongresu, podczas gdy pod względem istoty rzeczy, nie mogły postanowienia wszelkie, mające zamienić się w traktaty bądź ogólne bądź szczegółowe, być czém inném, jak tylko wpływem dobrowolnej ugody między państwami interesowanemi. Ponieważ zaś władzę ośmiu tych pełnomocników, którzy podpisali traktat Paryzki, uznali wszyscy w kwestjach formy, pozostało więc utworzenie komitetów dla kwestji zasadniczych, i obmyślenie dla nich układu, w który wchodzić miały nie tylko strony interesowane ale i pośrednicy, zdolni nakłonić przeciwników do zgody.

Sprawy odnoszące się do przyszłego konstytuowania Niemiec pozostały u komitetu złożonego z Austrji, Prus, Bawarji, Wirtembergji, Hannoweru, z zastrzeżeniem, że przypuszczeni zostaną reprezentanci innych książąt Niemieckich wtenczas, gdy się pokaże potrzeba ich obecności.

Wielkie terrytorjalne sprawy europejskie były dwojakie, północne i południowe. Północne tyczyły w szczególności Hollandji, Niemiec, Saksonji, Polski i stanowiły część najważniejszą i najsporniejszą. Niemożna ich było poruczyć jak tylko głównym mocarstwom europejskim, z których jedne bezpośredni terrytorjalny miały interes wpodniesionych kwestjach, drugie interes równowagi, a więc takie, które zdolne były wywierać wpływ pojednawczy. Sprawy te północne powierzono pięciu największym mocarstwom europejskim: Rossji, Prusom, Austrji, Anglji i Francji. Miały one roztrzygnąć kwestję Saksonji, Polski i wielu innych odnoszących się do Niderlandów, do Hannoweru, do Danji, do Bawarji i t. d. Miały więc najtrudniejsze zadanie, a jeśliby im się udało zgodzić się na jedno, wtedy niktby nie miał ani powodu ani środka sprzeciwienia się ich postanowieniom.

Sprawy południowe odnosiły się niemal wyłącznie do Włoch. Sprawy Włoskie obchodziły pod względem terrytorjalnym najbardziej Austrję i Hiszpanję. Hiszpanja upominała się przeciw Marji Ludwice o puściznę domu Parmeńskiego i przeciw de Muratowi o królestwo Neapolitańskie. I Francję mocno obchodziły te sprawy, głównie z przyczyny Neapolu; inne wielkie mocarstwa europejskie także ich nie brały obojętnie. Ułożono więc, że do Austrji i Hiszpanji przyłączy się Anglja, Francja i Rossja, które jako nie mające żadnych pretensji terrytorjalnych, będą się mogły podjąć pośredniczenia.

Chodziło jaknajmocniej całej Europie o Szwajcarję. Zlecono ko-

mitetowi złożonemu z Austrji, Francji, Rossji i Anglji, aby wysłuchał kantony i starał się je pogodzić. Utworzono wreszcie komitet dla wolnej żeglugi na rzekach, w którym zasiadały Francja, Prusy, Anglja; nie zapominano i o szczegółowym całkiem komitecie, który składał się wyłącznie z mocarstw morskich, a miał się zatrudnić kwestją handlu Murzynami.—Podział ten pracy raz uskuteczniwszy, prowadzono dalej negocjacje o Polsce i Saksonji, a rozpoczęto takowe o Włochy i Szwajcarję, o których to krajach mówiono dotąd z sobą tylko nawiasowo.

Najróżnorodniejsze zachodziły trudności w sprawie Włoskiej. Trzeba było dokonać przyłączenia Genui do Piemontu, przyobiecanego królowi Sardyńskiemu, pogodzić dom Parmeński, popierany przez Hiszpanję z Marją Ludwiką, popieraną przez ojca i Cesarza Aleksandra, oddać papieżowi Legacye, zajęte przez Murata, zadowolnić wreszcie w kwestji Neapolitańskiej oba domy Burbonów, a szczególniej Francuzki, który niemal ocalenie swoje przywiązywał do zrzucenia z tronu szwagra Napoleona.

Ostatni ten interes był bardzo ważny. Niezwykle on zapalał p. de Talleyranda, który otrzymał od Ludwika XVIII szczegółową w tej mierze instrukcję i któremu codziennie dodawały bodźca naglące listy króla. Wszystkie mocarstwa pragnęły upadku Murata, Austrja tak dobrze jak inne, miarkowała bowiem dobrze, że Murat nigdy nie będzie spokojnym, że w ciągłym niepokoju, któremu opędzić się nie mógł, starać się będzie zawsze szukać oparcia w wolnomyślącém stronnictwie Włoskiém i tym sposobem wiecznie przyczyniać się będzie do zamętu we Włoszech. Jednakowoż p. Metternich osobiście był zobowiązany dla dworu Neapolitańskiego i jeżeli chciał być zwolniony z swych zobowiązań, to przez własną winę Murata; pragnął nadto, aby nagromadziwszy w Czechach i Galicji 250,000 żołnierza, nie był zmuszony mieć jeszcze i we Włoszech 150,000. Nie przestawał też powtarzać reprezentantowi Ludwika XVIII, który wówczas stał się był najniecierpliwszym z dyplomatów: Umiej pan czekać! Bodaj kilka upłynie miesięcy, a pańskie życzenia spełnią się. Popieracie gorąco, goręciej od nas sprawę Saksonji, pozwólcie nam ją zakończyć i nie zmuszajcie nas do rozwiązywania na raz wszystkich kwestji. — Słowa te były niezaprzeczenie bardzo rozsądne, albowiem w stanie, w jakim były Włochy, wśród niezadowolnienia, które niemi wstrząsało od Alp Juljiskich aż do Kalabrji (z wyjątkiem Toskanji), z osobistością na czele tak zuchwałą jak Murat, który miał na zawołanie 80,000 żołnierza i pogodził się wtenczas właśnie z Napoleonem, za mało było mieć we Włoszech 50,000 Austrjaków, a przecież nie mogła tam obecnie więcej posłać Austrja. P. Talleyrand nie zważając bynajmniej na te powody utrzymywał, że parę tysięcy Francuzów wystarczyłoby na za-

kończenie tej sprawy. Na to odpowiedział p. Metternich, że po tamtej stronie Renu, przeciw Prusakom lub Rossjanom, pozostałby zawsze wierny swemu sztandarowi żołnierz francuzki, ale że mniej liczyć należało na jego wierność we Włoszech, przeciw Muratowi, a może przeciw Napoleonowi. Za całą odpowiedź oskarżał p. Talleyrand Metternicha o słabość, rozgłaszając słowa o nim i o przyczynach, które go skłaniały do ochraniania dworu Neapolitańskiego, słowa, które obraziły ministra Austrjii zaszkodziły niemało interesom poselstwa francuzkiego, ale i spełnieniu jego najgorętszych życzeń.

Inny jeszcze przdmiot podniecał gorliwość p. Talleyrand, stosownie do ważności jaką doń przywiązywał Ludwik XVIII, a przedmiotem tym było przewiezienie Napoleona na wyspy Azorskie. W tej kwestji, również, jak w kwestji Neapolu, zgadzał się p. Metternich w gruncie z p. Talleyrandem i miał te same życzenia. W istocie miał on to za najwyższy nierozsądek, że osadzono Napoleona na wyspie Elbie, odległej o 4 godziny od brzegów Włoskich, a o 48 od francuzkich. Ale chociaż nie stały mu tutaj na zawadzie żadne zobowiązania, przeszkadzały mu trudności leżące w rzeczy samej. Cesarza Franciszka nie nabawiały kłopotu w jego polityce związki krwi, jednakowoż bynajmniej nie był on nieczuły na przywiązanie familijne, i chociaż nie lubił wcale swego zięcia, nie byłby nigdy chciał stać się jego katem, wysyłając go po śmierć do zabójczego klimatu. Nie byłby może sprzeciwił się środkom ostróżności przedsięwziętym przez sprzymierzonych, ale nie wziąłby w nich inicjatywy. I Anglja była tego zdania, że nie można było zostawiać Napoleona tak blisko brzegów Europy, a lord Castlereagh wyraził się o tém bez ogródki, ale lorda kłopotał traktat z dnia 11 Kwietnia, z przyczyny parlamentu Angielskiego, który pewnoby nie pochwalił przeniewierzenia się. — Chciał więc czekać, aż się potknie Napoleon lub ci, których miano za jego wspólników, aby mieć potém w ręku usprawiedliwienie kroków ostrożności, przedsięwziętych przeciw więźniowi wyspy Elby. Nie przestawał też naglić Francji o zapłacenie Napoleonowi dwóch miljonów, zawarowanych traktatem z 11 Kwietnia, utrzymując, że inaczej mocarstwa europejskie pierwsze winne będą zgwałcenia traktatu. Koledzy lorda naglili porówno z nim o to p. Talleyranda, który przecież wstawienia te przesyłał bez skutku Ludwikowi XVIII. Prusy jedne nie sprzeciwiały się niczemu, cokolwiekby zrobić chciano z osobą Napoleona. Prawdziwa przeszkoda leżała gdzie indziej, leżała w szlachetności, w uczuciu honoru i wyznać należy, także i w rachubach Aleksandra. Monarcha ten był istotnym sprawcą traktatu z 11 Kwietnia i zarzucano mu go dość często, jak żeby mógł na chwilę o tém zapomnieć.

Nie dał on się zarzutami czynionemi przeciw temu traktatowi zbić z toru, miał sobie za pewien punkt honoru obstawać przy jego wykonaniu, codziennie się tego domagał, bądź żądając dotacji książęcej dla księcia Eugenjusza, bądź popierając utrzymanie się Marji Ludwiki w księstwie Parmy, bądź ganiąc z goryczą, że skarb francuzki odmawia Napoleonowi zasiłku dwóch miljonów. Dodajmy, że nie był dosyć zadowolniony z Austrji, że nie chciał więc uwolnić jej od strasznego sąsiada, jakiego jej dał, sadowiąc Napoleona na wyspie Elbie. Dał się nawet w tym względzie słyszeć w chwili rozdrażnienia przeciw Metternichowi.— Zwolnię z kajdan, jeżeli tego trzeba, mówił, potwora, który takiego strachu nabawia Austrję i innych.— Słowa te przykry odgłos znalazły w Wiedniu. Spotwarzylibyśmy przecież jeden z najszlachetniejszych charakterów nowszych czasów, gdybyśmy kazali wierzyć, że z tego jedynie powodu nie dopuszczał Aleksander gwałtu na osobie więźnia z wyspy Elby. Honor, szlachetność jego, nie byłyby nigdy zezwoliły na to, i tak w to wierzono, że nawet nikt nie chciał pomówić z nim o tém. Był to środek ostrożności, o którym myślano, nie śmiąc o nim mówić z obawy, aby go nie upodobnić, ale ku któremu, chociaż nic nie postanowiono, mocno się skłaniano, z wyjątkiem Aleksandra. Był to jeden z tych licznych punktów, o których powiadał Metternich, że je trzeba umieć zostawić czasowi.

Najdrażliwsze więc ze spraw włoskich były: wypędzenie Murata i przesiedlenie Napoleona na wyspy Azorskie. A kiedy mocarstwa trudniące się interesami Włoch, pierwszy raz o tém mówić zaczęły, mocno zdawał się zakłopotanym pan Metternich. Powołał się na powikłania, których się obawia we Włoszech, jeśli kongres znijdzie z drogi rozsądku; co spowodowało kilka niemiłych dlań odpowiedzi p. de Talleyrand. Wszelako idąc porządkiem jeograficznym, stanowił Neapol ostatnie ogniwo kwestji włoskiej. Ustąpił w tym względzie p. de Talleyrand, ale było to jedyne ustępstwo, na jakie przystał. Przyjąwszy porządek jeograficzny, poprzedzała wszystkie inne sprawy, sprawa Genui i Piemontu. Zajęto się więc nią zaraz.

W ogóle zgadzano się na wykonanie traktatu paryzkiego i na oddanie Genui Piemontowi w zamian za Chambéry. Ale Genueńczycy nie byli bynajmniej tego zdania. Reprezentował ich w Wiedniu markiz Brignole, osobitość bardzo szacowna tak przez swe urodzenie jak i swe przymioty, któremu okazywano wielkie względy, ale którego pełnomocnictwa nie uznano; uznanie takie bowiem byłoby zarazem uznaniem rzeczypospolitej genueńskiej, o czém nie myślano. Oddałaś się Francji w r. 1805, mówiono do tej dawnej rzeczypospolitej, Francja cię przyjęła i stała się od-

tąd twoją wszechwładną panią, a dziś służy jej z tego tytułu prawo oddania cię Piemontowi. Istniejesz tylko jako prowincja francuzka, którą wolno Francji odstąpić, a której odstąpienie uprawniliśmy. Genua zaprzeczała temu rozumowaniu, utrzymując, że oddała się w ręce Francji a nie Piemontu i dodając, co było prawdą, że otworzyła swój port Anglikom tylko w skutek formalnej obietnicy lorda Bentinck, że odzyska niepodległość. Lord Castlereagh usiłował wyperswadować to Genueńczykom, ale komitet, nie troszcząc się czy są przekonani lub nie, przyłączył ich do korony sardyńskiej, obiecując dać pewne rękojmie dla ich wolności i handlu. I kwestja terrytorjum genueńskiego przedstawiała trudności, traktat bowiem paryzki wspominał tylko o mieście Genui, a nie o ziemi genueńskiej. Ale tę nową trudność rozstrzygnięto na mocy władzy, jaką sobie przywłaszczono nad wszystkiemi ludami Europy i sprawa genueńska załatwioną została w dwóch czy trzech posiedzeniach, przez kommisję upełnomocnioną do zajęcia się sprawami włoskiemi.

Po kwestji genueńskiej nastąpiła kwestja następstwa tronu w domu sabaudzkim. To było jasno, że tron zawakuje, jeśli się go nie zapewni dla linji Sabaudzko-Carignańskiej, albowiem żaden z książąt linji głównej nie miał potomka. Mogłać Austrja, a Austrja jedyna, sprzeciwić się porządkowi następstwa, jaki chciano zaprowadzić, w nadziei, że korona sardyńska przypadnie wkrótce zamęście, któremu z książąt Austrjackich. Nie śmiała przecież przyznać się do takiej pretensji w chwili, w której zajęła większą część Włoch. A że nikt się planowi nie sprzeciwił, zadosyć uczyniono bez trudności życzeniom Francji i następstwo do tronu zapewnione zostało na linji sabaudzkioj Carignan.

Trzecią z porządku kwestją była parmeńska. Hiszpanja popierana przez Francję żądała, aby w skutek powszechnej restauracji europejskiej, dom Parmy odzyskał albo dawne swe księstwo, albo Toskanję, którą mu pod tytułem królestwa Etrurji dał pierwszy konsul na prośbę Karola IV, którego córka poślubiła była infanta Parmy. Przeciw tak uzasadnionej reklamacji nie było nic do nadmienienia, Że jednak Etrurję zwrócono już na zasadzie powszechnej restauracji wielkiemu księciu Toskanji, pozostała więc tylko jedna droga, to jest przywrócenie królowej Etruryskiej na księstwa Parmy i Placencji. Ale cóż wtedy stać się miało z traktatem z 11 Kwietnia i Marją Ludwiką, której ten traktat zawarował dotację Parmy?

Pani ta, jak powiedzieliśmy na początku tej księgi, zamieszkiwała w Schenbrun, gdzie ją dolatywał odgłos zabaw obchodzonych na pamiątkę jej upadku. Zaledwie by uwierzyć można! przykro jej niemal było nie uczestniczyć w tych zabawach, tak dalece pożerały nudy jej

słabą i płochą duszę! Rzucona bezwiednie w otchłań rewolucji, w nadziei, że wydana za Napoleona, pomoże tę otchłań zamknąć, utraciła niemal zupełnie, wśród strasznej tej próby, pamięć, uczucie i siłę. Złamaną była nieszczęśliwa kobieta. Dwie tylko troski ją zajmowały, przywiązanie do syna i chęć posiadania księstwa Parmy, dokąd chciała się schronić, aby mogła wypełnić daleko od zawichrzeń obowiązki matki. Była chwila, w której udać się chciała na wyspę Elbę, ale nie miano trudności wyperswadować jej tego, oświadczając, że musiałaby zostawić syna, albowiem zbyt niebezpiecznem było oddać go w ręce Napoleona. Mając tym sposobem do wyboru między rolą matki a małżonki, wybrała bez wahania pierwszą, z żalem codzień zmniejszającym się przytomnością hr. Neiperga, który, jakeśmy powiedzieli, całe jej pozyskał zaufanie. Poddawszy się całkiem woli ojca i monarchów sprzymierzonych, błagała, aby jej zostawiono przecież, w nagrodę tego poddania, dziedzictwo obiecane synowi, pozwolono pędzić w nim żywot wśród pokoju i zapomnieć o świetnym śnie, który olśnił był jej młodość. Spodziewać się można było zaiste dzielniejszych uczuć po małżonce Napoleona, ale skoro kobieta, z którą się ożenił z przyczyn politycznych, opuszczała go przez słabość, nie mógł się skarżyć na losy, a nam trzeba być wyrozumiałym dla tej ofiary, poświęconej przez monarchów i ludy bez litości dla ich spokoju, którzy na przemiany to wynieśli ją na szczyt najdostojniejszego tronu, to znów zeń zrzucili dla korzyści chwilowej, nie dbając o to czy czuła, czy żyła, czy nie rozdzierało jej serca cierpienie! Postąpiono z nią jak z mrówką, którę zdeptujemy nogą, nie wejrzawszy na nią nawet! Marja Ludwika była więc w Wiedniu, żądając od ojca, który znów żądał dla niej, wykonania obietnic zawartych w traktacie z 11 Kwietnia.

A jednak, któżby się nie litował nad nieszczęśliwą tą kobietą? I kiedy p. Metternich odezwał się do Rossji, Anglji, Francji i Hiszpanji, że nie można żądnć od Franciszka II, który tyle dla wspólnej polityki poświęcił, aby jeszcze własną ogołacał córkę, wszyscy przytomni zaambarasowali się, nawet reprezentanci Francji i Hiszpanji. Rossja, to jest Cesarz Aleksander, żądał dotrzymania przyjętych zobowiązań. Anglja była zdania, że trudno je gwałcić zupełnie. Co do Francji, byłby Ludwik XVIII przystał na wszystko, gdyby mu obiecano wypędzić Murata, a co do Hispanji, dopominał się Ferdynand VII jakiejkolwiek części Włoch, raczej przez wzgląd familijny, aniżeli przez przywiązanie do siostry, której nigdy nie kochał. Wśród takiego usposobienia umysłów myślano o załatwieniu spraw tym sposobem, że chciano oddać Parmę i Placencję infantce, dawnej królowej Etrurji, a dać jednę z legacji Marji Ludwice, z zastrzeżeniem dla papieża jej zwrotu.

Miała więc Stolica Apostolska czekać na śmierć arcyksiężnej, aby odzyskać kraj, którego była prawowitą panią. Wszelako sprzeciwiał się takiemu rozwiązaniu i duch czasu katolicki i chęć zapewnienia pomyślności Stolicy Apostolskiej, która dla polepszenia swego skarbu niemogła się obyć bez legacji. Mimo to bliskie było, jak widzimy, porozumienie w większej części spraw włoskich, nawet w sprawie Murata, który przez swe zbyt widoczne intrygi wpadł w podejrzenie, którego zaczynano mieć za winnego i którego polityka europejska miała wkrótce skazać na zatracenie.

W jakim stanie znalazła sprawy szwajcarskie, kommisja do takowych wybrana, nad tém rozwiedliśmy się już poprzednio. Żądało dziesięć kantonów, z których jedne nowo powstałe i utworzone z terrytorjów dawniej poddanych, drugie dawne, ale nie pozbawione uczucia słuszności, aby dziewiętnaście kantonów pozostało i aby potwierdzone zostały zasady wolnomyślne objęte aktem medjacyjnym. Z niemi stało w sprzeczności dziewięć pozostałych kantonów, tworzącyeh stronnictwo przestarzałe, i które mieściło w sobie pomieszane kantony: arystokratyczny Bernu i demokratyczne Szwycu, Uri, Glaru. Nie zawsze to bowiem demokracja tyle znaczy, co sprawiedliwość, i czasem demokracja hołduje tak samo przesądem przeszłości jak arystokracja. Te dziewięć kantonów odmówiły wprawdzie, jakeśmy powiedzieli wyżej, uznanania sejmowi w Zurich, ale niebawem znów nań przystały, żądając przecież zwrotu terrytorjów dawniej przez siebie posiadanych, to jest, żądając, aby kantony Wallisu, Argowji i Tessynu wróciły pod ich panowanie. Oba stronnictwa zawsze jeszcze stały pod bronią, tak w kantonie Bernu jak w kantonach Wallisu i Turgowji.

Zrazu chciano wykluczyć Francję z tej śliskiej negocjacji, jak w ogóle ze wszystkich, pragniono bowiem zatracić wpływ jej tak w Szwajcarji jak w Niemczech i we Włoszech. Ale tutaj tak dziwaczne było położenie, że Bern, kanton szczególnie arystokratyczny, że Lucern, Fryburg, kantony, w których panował najbardziej duch reakcji, były zazarazem kantonami, które zachowały najwięcej przywiązania dla Francji, rozumie się dla Francji Burbonów. Dobre to usposobienie zawdzięczała Francja wielkiej liczbie wojskowych Szwajcarów, którzy dawniej służyli we Francji, otrzymali w niej stopnie, dosłużyli się honorów, majątku i zachowali dla niej prawdziwą wdzięczność. Zażądali więc jak najstanowczej, by pełnomocnik francuzki zasiadał w komitecie do spraw szwajcarskich, a trudno zaiste było im tego odmówić. Książe Dalberg wyznaczony został na reprezentanta poselstwa francuzkiego w tym komitecie.

Ta interwencja Francji wybornie za sobą pociągała skutki. Skoro kantony najskłonniejsze do powrotu do dawnych stosunków, jako to: Bern, Uri, Szwyc, Lucern, Fryburg przekonały się, że p. de Talleyrand i Dalberg, chociaż z gorliwością przemawiają za niemi, nie śmią żądać, aby Wallis, Argowja, Tessyn, wróciły na dawne stanowisko kantonów poddanych, ani też domagać się przywrócenia różnicy klass w rzeczypospolitej, mocno się zakłopotały i zaczęły uważać uroszczenia swe za stracone. To też gdy Cesarz Aleksander wierny swym uczuciom wolnomyślnym, bić zaczął w konieczność zatrzymania wszystkich dziewiętnastu kantonów i zasad zawartych w akcie medjacyjnym, z małemi tylko zmianami, gdy Francja nie sprzeciwiała się podobnie sprawiedliwemu rozstrzygnięciu, zaczął tak Bern jak i sprzymierzone z nim kantony ustępować i niemal pewnym było być można rozsądnego rozwikłania tej sprawy. Postanowiono tedy, że dziewiętnaście kantonów pozostanie, że zasady równości obywatelskiej i nadal przemogą w rządzie wewnętrznym związku szwajcarskiego, że 4, czy 5 głównych kantonów przewodniczyć będzie po kolei w związku i że Bern otrzyma wynagrodzenie, za ustępstwa których żądano od niego, a mianowicie ziemię Porentruy lub biskupstwo Bazylejskie. Oba te terrytorja odebrano Francji. Innym kantonom reklamującym terrytorja, których niepodobna było wtrącić napowrót w stan poddaństwa, obiecano pieniężne wynagrodzenie.

Obie wiec kwestje tak włoska jak szwajcarska były blisko rozwiązania, z wyjątkiem neapolitańskiej, której rozstrzygnięcie zostawiono Muratowi samemu. Tak tedy pozostały jedynemi a nieustającemi przedmiotami troski, Saksonja i Polska, a stan obu tak się pogorszył, że zdawała się nieuchronną wojna powszechna.

Lord Castlereagh nie ustawał w usiłowaniach, aby odciągnąć ministrów pruskich od króla i od Cesarza Aleksandra. Pan Metternich, zmuszony naginać się do wymagalności lorda Castlereagh, pomagał mu choć niechętnie, albowiem kosztowało go dużo, że opuścił, chociaż tylko warunkowo, Saksonję. Poświęcenie Saksonji nad miarę nie podobało się Austrjakom, większe w tém upatrywali niebezpieczeństwo, niż w poświęceniu Polski. Tymczasem otrzymały jednak pewien skutek gorące wstawiania się Castlereagha i zimne rady p. Metternicha. Mówiono im, że jeżeli Fryderyk Wilhelm pośpieszył się z zajęciem pewnej części ziem polskich za pierwszego podziału, to uczynił końcem połączenia starych Prus ze Szląskiem, któreby inaczej zupełnie były rozłączone i przedstawiały dwa boki kąta prostego, schodzące się tylko u wierzchołka swego; że Rossja usadowiwszy się nad Notecią i Wartą, między Toruniem, Bydgoszczą, Poznaniem, Kaliszem, potrzebował, tyl-

ko krok jeden zrobić naprzód, aby Prusy przeciąć na dwoje za jednym zamachem, że idąc na Berlin, odcięłaby z jednej strony Stare Prusy i Pomeranję, a z drugiej Szląsk, nakształt dwóch gałęzi drzewa odciętych od swego pnia; że wszystko, cokolwiekby otrzymały Prusy nad Elbą od Wittenberga do Drezna, nie mogłoby wynagrodzić błędu popełnionego oddaniem Rossji Poznania, i że nie powinny w własnym swoim interesie przystać na to; że zresztą nie odmawiano im tego, czego sobie życzą nad Elbą, że Anglja i Austrja odstępują im nawet Saksonję, ale z warunkiem, że staną po stronie Europy i opuszczą ambitnego sprzymierzeńca, z którym się tak nieszczęśliwie związały; że nareszcie przywiązanie to było tylko osobistém między królem i cesarzem, ale że los państw nie powinien zależeć od przyjaźni książąt, i że rzeczą było ministrów pruskich oświecić Fryderyka Wilhelma w interesach jego narodu, i oprzeć mu się, gdyby im się nie udało go oświecić.

Były to nader ważne uwagi, szczególniej dla wojskowych, którzy widzieli wielkie niebezpieczeństwo w usadowieniu się Rossji przy dolnej Warcie; sprawiły one też pewne wrażenie na ministrach pruskich, którzy z kolei nie zaniedbali działać nieco na króla. Zdawało się przynajmniej Cesarzowi Aleksandrowi, że coś takiego dostrzega i ubodło go to głęboko, bo jeżeliby się udało przeciwnikom oderwać od niego Prusy, zostałby sam jeden naprzeciw Europie, nie mając nawet pomocy z Francji, która już się zobowiązała działać w duchu państw niemieckich, i z którą już za późno było się łączyć. Ograniczony wtedy będąc na dawny podział, poniżyłby się w oczach Polaków i musiałby słuchać wyrzutów swych poddanych, że nic nie zyskał przez ostatnie wojny, chociaż narażał się, prowadząc je, na największe niebezpieczeństwa. Prawda, że mógł Cesarz Aleksander przypomnieć swym poddanym nabytek Finlandji i Besarabji, ale zdobycze te zawdzięczał przymierzu z Francją; potępiały więc właśnie jego politykę obecną, a były tém samém dla ambicji narodowej, czém dla głodnego żołądka biesiada, oddawna ukończona.

W przykrém tém położeniu wziął pochop Cesarz Aleksander do eksplikacji z królem Pruskim. Posłużył mu do tego obiad sam na sam z królem. Tam ulżył on swemu sercu, przemawiając do Fryderyka Wilhelma z ostateczną gwałtownością. Przypomniał mu przysięgi wzajemne przyjaźni na początku r. 1813, w chwili połączenia się obudwu nad Odrą, kiedy po kilku latach oziębłości, zbliżywszy się do siebie w obec wspólnego niebezpieczeństwa, przyrzekli sobie razem upaść lub razem ocalić swe kraje i Europę. Przypomniał mu, z jakiém poświęceniem, mimo rad najwierniejszych swych poddanych, aby pozostał nad Wisłą i ztamtąd rozpoczął rokowania z Napoleonem, z jakiém poświęceniem

podał rękę Niemcom, aby ich oswobodzić; mówił, że bez tego poświęcenia byłyby Niemcy dotąd w niewoli, a Prusy ograniczone na 5,000,000 poddanych; że taką przemianę szczęścia jedynie ich jedność zdziałała, że mocarstwa sprzymierzone chciały wszystkie zarobić na tej zmianie formy, wykluczając Rossję, której przecież takową zawdzięczały; że chcieć Rossjan ograniczyć na Wisłę, było to nie uznać przelanej prsez nich krwi od brzegów Odry do brzegów Sekwany, albowiem Napoleon ofiarował był im po klęsce moskiewskiej Wisłę, mogli więc byli wrócić do siebie, nie narażając się na nowe niebezpieczeństwa, nie poświęcając dwóch do trzech kroć sto tysięcy ludzi, aby prowadzić dalej wojnę w r. 1813, uwolnieni będąc od W. Księstwa Warszawskiego i zapewnieni co do Besarabji i Finlandji; ale że teraz zdawano się nie przypominać sobie wielkiego tego kroku, który zrobili przechodząc Wisłę, pomimo rad mądrego Kutuzowa, że ci ze sprzymierzonych mocarstw, a szczególniej Austrjacy, których potrzeba było gwałcić, aby wciągnąć do tej europejskiej krucjaty i którzy ani czwartej części krwi nie wylali tyle co Rossjanie, chcieli sami zbierać owoce zwycięztwa; że nie mając ani jednej wsi spalonej, odmawiali nagrody Rossjanom za zgliszcze Moskwy; że dyplomaci jeśli tak postępują, leży to w ich rzemiośle, ale że monarchowie pełni uczuć honoru jak on i Fryderyk Wilhelm, zbliżeni do siebie wiekiem i zmiennemi losami swego życia, wspólnemi nieszczęściami, wspólném powodzeniem, nie powinni pozwolić, aby ich poróżniła niewdzięczność; że byli zawsze szczęśliwymi w połączeniu ze sobą, zawsze nieszczęśliwi gdy się rozłączyli, że powinni żywić przesądne przywiązanie do swej przyjaźni i tak dla szczęścia swych ludów jak i dla szczęścia swego osobistego żyć i umrzeć w jedności.

Było dużo prawdy w tych wyrazach, nie ze stanowiska europejskiego, ale ze stanowiska pruskiego i rossyjskiego. Pewną jest rzeczą, że gdyby, oderwawszy Prusy od Cesarza Aleksandra, ograniczono go na Wisłę, powinien był żałować gorzko, że ją przestąpił na końcu r. 1812 i że nie traktował z Napoleonem na początku r. 1813. Ale liczyć za coś trzeba też chwałę, którą pozyskał wkraczając do Paryża i biorąc się tam jak zwycięzca szlachetny i ucywilizowany.

Fryderyk Wilhelm bardzo był czuły na uwagi o prawości i stałości w przyjaźni, czuł zresztą, jakie Niemcy miały obowiązki dla Cesarza Aleksandra; bo gdyby Cesarz Aleksander był usłuchał rady Kutuzowa i traktować zaczął z Napoleonem po przejściu Berezyny, inne całkiem byłyby wypadki. Czuły był także na gwałtowność Cesarza Aleksandra, istotnie nadzwyczajną, jak zeznał sam Hardenberg. Wzruszony do głębi duszy, wierząc prócz tego z pewnym rodzajem przesądu w swą przyjaźń

dla Cara, rzucił się w jego objęcia i przysiągł, że mu wiernym pozostanie. Ale Cesarz Aleksander powiedział mu, że jego wierność nie wystarcza bez wierności ministrów i że miał powody powątpiewać o tej ostatniej. Aby się w tym względzie objaśnić zawołano Hardenberga i eksplikacja zaczęta z królem, zakończyła się w obec pierwszego ministra. Była ona również dojmująca z ministrem jak z królem samym. Hardenberg chciał przedłożyć niektóre powody, jakie przytaczali Anglicy i Austrjacy, aby Rossjan trzymać w oddaleniu od granicy pruskiej, ale został gwałtownie odepchnięty i po bezskutecznem usiłowaniu oparcia się, zmuszony do poddania i do obietnicy. że będzie obstawał za polityką, do której Cesarz Aleksander i Fryderyk Wilhelm na nowo się zobowiązali w sposób jak najuroczystszy,

Mieli więc i nadal bronić wspólnie wzajemnej ugody, to jest miała się dostać Rossji najznaczniejsza część krajów polskich, a równocześnie Prusom cała Saksonja.

Rossja, chcąc swoją drogą w r. 1814 odbudować Polskę, miała tę przed Napoleonem korzyść, że posiadała daleko większą część terytorjum polskiego; jeśliby przecież zmuszoną być miała do zatrzymania się nad Wisłą, byłaby miała tylko jednę stronę koryta Wiślanego; nie byłaby przedewszystkiem miała Warszawy, jeśli się ściśle trzymać chciano formy podziału, wynikającej z traktatów kaliskiego, reichenbachskiego teplickiego. Cesarz Aleksander. chciał więc posieść oba brzegi Wisły, aby naramprzód mieć Warszawę, to jest głowę i serce ciała, które wskrzesić przedsięwziął, a potém na lewym brzegu tyle kraju, aby stolica nowego królestwa nie leżała nad granicą, które nakreślić miano. Z tych powodów chciał wziąść całe Księstwo Poznańskie, to jest oba brzegi Warty. Chciał on posunąć się aż pod Kraków, obejmując brzeg prawy i lewy górnej Wisły. Ale było to chcieć, aby Niemcy a w szczególności Prusy zezwoliły na usadowienie się Rossji nad Odrą, przez co stawała się bardzo bliską sąsiadką Drezna i Berlina, było to chcieć, aby Austrja pozwoliła zbliżyć się zanadto do Karpat, co wyrównywało zupełnemu odstąpieniu działu austrjackiego po W. Księstwie Warszawskiém, a przecież obiecano podzielić między siebie Księstwo Warszawskie tak samo prawie, jak wprzódy. Prawda, że Cesarz Aleksander utrzymywał, że kiedy obiecano sobie podzielić się Księstwem Warszawskiém, nie zabrano wtedy ani Tyrolu, ani Włoch, ani Hollandji, ani Belgji i że Austrja, dziś tak niesłychanie zbogacona temi krajami, mogłaby bezpiecznie odstąpić Rossji cały swój dział z Księstwa Warszawskiego.

Po utwierdzeniu ścisłego z Prusami związku, umówiono się na nowo, że Rossja przejdzie Wisłę i będzie mieć brzeg jej lewy, posuwając się

tak dalece w górę, jak tylko będzie mogła. Wszelako od strony Pruss miała się rozszerzyć mniej lub więcej w kierunku Warty, podług tego, jak Prusy otrzymają mniej lub więcej Saksonji. Rzecz tę miano załatwić po ukończeniu kwestji saskiej i w miarę skutku odniesionego w negocjacji o Saksonję. Ze względu na Austrję zamierzał Cesarz Aleksander, zostawiając jej Galicję, którę bez przerwy posiadała od pierwszego podziału, pozyskać od niej te części Polski, które otrzymała w drugim i trzecim podziale, to jest brzeg lewy Wisły aż do Pilicy i brzeg prawy aż do Buga i miał słuszność ze swego punktu widzenia; albowiem bez tego kawała kraju byłaby Warszawa ku wschodowi zawsze jeszcze nad granicą. Ale było to żądać właśnie od Austrji całego jej działu z Księstwa Warszawskiego, które według umowy miało być podzielone między mocarstwa zaborcze według dawniejszej normy.

Bijąc w to, że Austrja pozyskała Tyrol i Włochy, co nie było do przewidzenia w r. 1813, można było jej osłodzić poświęcenie, którego wymagano, oddając jej kopalnie w Wieliczce, które wielkiej dla niej były wagi; można było zrobić Kraków miastem wolném, jak to chciano zrobić z Toraniem i wszystkiemi innemi punktami, o które się spierano; można wreszcie było zwrócić jej bogaty i ludny obwód tarnopolski, stanowiący wschodnią Galicję i dany przez Napoleona Rossji w roku 1809. Zresztą można się było oprzeć na konieczności, albowiem jeśliby nie zaokrąglono Polski ku wschodowi, odbierając Austrji kraj położony między Bugiem i Pilicą, leżałaby Warszawa nad samą granicą.

Co się tyczy negocjacji między Austrją i Rossją, miały w niej pośredniczyć Prusy i tym sposobem dopełnić, ile możności, jednego z warunków, pod któremi Metternich zgadzał się na poświęcenie Saksonji, o jest warunku, że Prusy połączą się z kwestji Polskiej z mocarstwami zachodniemi. Powiedzieliśmy co tylko, że Metternich zmuszony postępować razem z lordem Castlereagh, nie był od tego, aby dać Prusom Saksonję pod pewnemi warunkami, które, spodziewał się, że nie będą wypełnione, to jest: że Moguncja należeć będzie do rzeszy Niemieckiej, że Men i Mozela będą stanowić granicę między północnemi a południowemi państwami Niemieckiemi i że wreszcie w kwestji Polskiej głosować będą Prusy z Anglją i Austrją. Prusy zdecydowawszy się zezwolić na punkta dotyczące Niemiec i udając, że pomagają Austrji w oznaczeniu granic polskich w kierunku Galicji, mogły utrzymywać, że dotrzymały warunków, w których miano im dać Saksonję i mogły odtąd mieć gabinet wiedeński za związany naprzeciw sobie. Powodzenie tego rodzaju komedji mocno obchodziło Aleksandra, albowiem Rossja o tyleby dalej posunęła się w księstwo Poznańskie, o ileby więcej Prusy otrzymały z Saksonji.

Porozumiawszy się i pogodziwszy tym sposobem z sobą Aleksander i Fryderyk Wilhelm, utwierdzili się w swej ambicji i wystąpili jeszcze bardziej stanowczo w mowie. Wszelako nie mógł książe Hardenberg, którego lord Castlereagh miał nadzieję poruszyć obietnicą o Saksonji pod wskazanemi warunkami, nie mógł, powtarzamy, Hardenberg zataić przed reprezentantem Anglji nowych węzłów, jakie właśnie co dopiero połączyły Prusy z Rossją. Sam opowiedział mu scenę, jaka zaszła między Aleksandrem a Fryderykiem Wilhelmem, zaręczając, że nigdy podobnej nie widział, i że w obec takich scen stał się wszelki opór niepodobieństwem. Tym sposobem omyliły lorda Castlereagh jego rachuby, spełniły się rachuby Metternicha; albowiem Metternich dla tego tylko udał że poświęca Saksonję, iż był przekonany, że Prusy nie wypełnią warunków, pod jakiemi miano im ustąpić Saksonję. Lord Castlereagh dojmujące czynił zarzuty księciu Hardenbergowi, powiedział mu, że powinien był raczej wziąść dymissję, aniżeli się poddać, ale mimo to nie spowodował go do wzięcia takowej, a Prusy jeszcze silniej niż kiedykolwiek pozostały związane z Rossją.

Gdy się to dzieje, odsłonił jeszcze bardziej nieprzewidziany wypadek błąd dyplomacji angielskiej i zrodził nawet zupełne przesilenie. Widzieliśmy, że Rossja i Prusy śmiały zabrać w posiadanie kraje sporne, Rossja ustępując z Saksonji, celem oddania takowej wojskom Pruskim, koncentrując w następstwie siły swe nad Wisłą i wysyłając W. Księcia Konstantego do Warszawy, aby uorganizował nowe królestwo Polskie; Prusy zagarniając otwarcie całą Saksonję i posyłając tamże urzędników cywilnych, celem zaprowadzenia administracji pruskiej. Podwójną tę demonstrację uznano za bardzo nieprzyzwoitą, a skutek jej był ten, że nie wahano się już odtąd, jak opowiedzieliśmy, zwołać bezpośrednio kongres. Obwieszczenie przypadkowe, skutek nieuchronny nieroztropnego postępku Rossji i Prus, dopełnił miary publicznego zgorszenia i rozdrażnił przeciwników tych mocarstw do ostateczności.

Książe Repnin, z ramienia Rossji gubernator tymczasowy Saksonji, opuszczając kraj ten, którym rozsądnie zawiadował, mniemał, że należy pożegać Sasów i oświadczył im w osobnej deklaracji, która stała się publiczną, wyraźnie, że przechodzą pod panowanie Prus, w skutek ugody z Anglją i Austrją. Powiedział im, że zresztą kraj Saski nie będzie podzielony, że jak im obiecano, będą poddanymi jednego tylko monarchy: ze tym monarchą znanym ze swych cnot, jest Fryderyk Wilhelm, który zaręczy im ich prawa i stanie się sprawcą ich szczęścia, jak już był zprawcą szczęścia licznych swych poddanych; że bez wątpienia powinni żałować swego dawnego króla, który przez przeciąg lat 40 pozwalał

im błogiego używać spokoju, ale że tak kazało wyższe przeznaczenie i że oddawszy hołd słusznego żalu pamięci Fryderyka Augusta, niech będą wiernemi Fryderykowi Wilhelmowi i dadzą dowód, że zasługują przez swe poddanie się i poświęcenie na jego dobrodziejstwa.

Dobra wiara przebijająca w tej deklaracji, tém większe zrobiła wrażenie, że stanęła na dowód, jak daleko zaszły rzeczy; zrobiła mianowicie nadzwyczajne wrażenie na wszystkich Niemcach zebranych w Wiedniu. Obrzucono pytaniami lorda Castlereagh i Metternicha. Pytano ich czy prawda, że Saksonja za ich zezwoleniem stała się prowincją Pruską, bo jeżeli tak, wtedy kongres, uroczyście zwołany do Wiednia, zebrał się tylko, aby zatwierdzić niemniej szkaradną uzurpację, jak wszystkie te, które zarzucano Napoleonowi! Rozdrażnienie umysłów urosło do nadzwyczajnych rozmiarów. Że zaś lord Castlereagh obawiał się, aby w Anglji nie zrozumiano źle polityki, poświęcającej dla uratowania Polski Saksonję, a Metternich nie wątpił ani chwili o szkaradnem wrażeniu, jakie ta polityka wywrze na Austrjaków, więc pośpieszyli obadwaj zadać kłamstwo deklaracji Repnina, tak w rozmowach jak i w artykułach dziennikarskich, zaręczając, że gubernator Rossji w Saksonji ogłosił to za rzecz dokonaną, na co nawet jeszcze nie było zgody i co zależało od bardzo trudnych negocjacji, których konkluzja w bardzo dalekiém jeszcze polu. Rossjanie i Prusacy odpowiedzieli z wielką goryczą, że to igraszka słów, że prawdą jest iż na nic się jeszcze nie podpisano, ale że Austrja w nocie stanowiącej z jej strony zobowiązanie się, przystała na wcielenie Saksonji do Prus pod warunkami, które wypełnili Prusacy, a że Anglja nigdy nie zaprzeczała tego wcielenia. Na to znów odpowiadali Austrjacy, że wyrażając się tak jak to czynią Prusacy, jest to nadużywać dobrej wiary poselstw zgromadzonych w Wiedniu, że Austrja zawsze miała poświęcenie Saksonji za nieszczęście dla Niemiec, a więc i dla Europy, że radziła bezprzestannie Prussom, aby we własym swym interesie zaniechały Saksonji i że bądź co bądź położyła w tej sprawie warunki, z których najgłówniejszego nie dotrzymano, to jest że gabinet Berliński odstąpi Rossję w kwestji Polksiej. Podczas kiedy tak się spierają, zadając sobie kłamstwo, pokazał się nowy fakt podobnego co pierwszy rodzaju, który jeszcze bardziej rozdrażnił umysły. Czytano proklamację W. Księcia Konstantego do Polaków, w której tenże w imieniu Cesarza Aleksandra wzywał ich, aby się wszyscy połączyli pod starem godłém Polski i bronili istnienia swego i praw swych zagrożonych.

Ostatnia ta manifestja posunęła do najwyższego stopnia oburzenie powszechne. Przeciwnicy Prusaków i Rossjan widzieli, że odtąd oprzeć

się podobnej zuchwałości czemś innem trzeba, aniżeli artykułami dziennikarskiemi i słowami na salonach Wiednia, i nie wahali się dłużej wyznać, że wielki czas przygotować siły i rozstawić je tak, aby w ryzie utrzymały ambitnych, roszczących sobie prawo dzielenia Europy podług swego widzimisię. Najwięcej gniewu pokazywali Bawarczycy i Austrjacy, pierwsi dla tego, że zatracenie państwa tak ważnego jak Saksonja stanowiło zastraszający przykład dla wszystkich książąt Rzeszy Niemieckiej, drudzy, a mianowicie Austrja dla tego, że zgoda serdeczna Prus i Rossji i usadowienie się ich u podnoża gór Czeskich i Karpat, groziły jak największém niebezpieczeństwem. Austrjaków szczególniej oburzała zarozumiałość Prusaków i Rossjan i pytali, coby się było stało z Prusami i Rossją, gdyby armja Austrjacka nie była im, po bitwach pod Lützen i Budyszynem, przebiegła w pomoc, gdyby pod Dreznem i pod Lipskiem nie była głównego na się wzięła ciężaru wojny. — Jeżeli zbawiennie Europy — utrzymywali oni słusznie — było, jak bezczelnie twierdzili Prusacy i Rossjanie, dziełem wyłącznem jednej części sprzymierzonych, czyż nie słuszniej było przypisać to zbawienie raczej tym, którzy oświadczając się w r. 1813 przeciw Napoleonowi, i tym sposobem na szwank narażając swe istnienie i gardząc związkami familijnemi, całą rzecz zdecydowali, aniżeli je przepisywać tym, którzy ograniczeni na siebie samych, nie zdołali obronić ani Sali, ani Elby, ani Odry?

Książe Szwarzenberg, szanowany powszechnie, pełen zwykle skromności, nie lubiący nadawać sobie tonu, ale gdy go się przyprowadziło do ostateczności, gwałtowny wtedy i cierpki, miał kilkakrotnie rozmowy z Aleksandrem, który zresztą zawsze był dla niego pełen względów. Ten raz nie obwijał on Cesarzowi niczego w bawełnę, a mocno pobudzony krzykami zewsząd się wznoszącemi na Rossję, śmiał powiedzieć Aleksandrowi, że on (Szwarzenberg), który ślepą w rzetelności osobistej Cesarza pokładał wiarę, żałować zaczyna niemal tego swego niezmiernego zaufania. Dodał, że gdyby był przewidział to wszystko co zaszło, nie byłby radził swemu monarsze, aby wojska austrjackie połączył z pruskiemi i rossyjskiemi, że niebyłby przyjął nad niemi dowództwa, że niie byłby tyle wylał krwi, tyle połknął wstydu, tyle wziął na siebie odpowiedzialności, aby sprawie ogólnej dopomódz. Przypomniał mu, jak nalegali, jak błagali Austrję sprzymierzeni monarchowie, nim postanowiła iść z nimi, a jak niewzdzięcznie wzięli się z nią potém; odmalował mu wpływ jego uroszczeń, zawierających w sobie jak najrozgłośniejsze usprawiedliwienie Napoleona, wskazał wreszcie na niebezpieczeństwo otwarcia ócz Europie zmuszając ją, aby uznała, że tylko zmieniła tyrana.— Napoleon, mówił książe Szwarzenberg, chociaż w za-

ciszu wyspy, wywiera jeszcze wszechwładny wpływ na umysły, a cóż się stanie, jeżeliby, podczas gdy dwory europejskie przedstawiają widowisko gorszące chciwości i kłótni, pojawił się naraz w jednym lub w drugim obozie?

Naczelny wódz austrjacki nie posiadał się z oburzenia i w niemały wprawił kłopot cesarza swą gwałtownością. Aleksander uniewiniał się, wypierał się zamysłów ambitnych, jakie mu przypisywano, odwołał się na nowo na znaną swą rzetelność i szlachetność, przytoczył swe względem Polaków i Prusaków zobowiązania, pokazał wielkie zadziwienie nad drażliwością, z jaką występowano przeciw układowi, który mu się zdawał być całkiem naturalnym i wyraził prócz tego pewien żal, że rzeczy już tak dalece posunęły się i że sam tak bardzo już zabrnął. Mimo to, chociaż uniewiniał się, a nawet żałował, zdawało się, że nie odstąpił od swoich zamiarów.

Chociaż życzono sobie nadewszystko uniknienia wojny i przyzwania w pomoc Francji, co było nieuchronném w takim razie, trzeba było przecież o tém pomyśleć. Lord Castlereagh otrzymał właśnie z Anglji nowe instrukcje, które zmieniały jego położenie i miały zarazem sprowadzić niejaką zmianę w jego postępowaniu. Dotąd brał on się tak, jak się zwykle brali ministrowie angielscy, lekko po wszystkie czasy zbywając interesa hanowerskie, które daleko bardziej brała do serca familja panująca, aniżeli naród angielski; Castlereagh także więc nie uważał na kłopoty książąt niemieckich i zdawał się zapominać w kwestji Saskiej, że był również ministrem króla Hanoweru, jak i króla Angielskiego. Prawdziwy powód takiego postępowania był ten, że się domyślał u parlamentu Angielskiego daleko więcej gorliwości dla Polski aniżeli, dla Saksonji. Tymczasem niepodobieństwem było zezwalać długo na podobną taktykę. Książe rejent Angielski otrzymał był mnóstwo listów z Wiednia, a mianowicie od książąt Koburgskich. Książęta ci stanęli podczas ostatnich wojen po stronie Rossji, służyli w jej wojsku, ale niezapomnieli obowiązków należnych głowie swego domu, królowi Saskiemu, który ich zawsze bronił przeciw Napoleonowi i przemawiali w tej chwili za jego sprawą z poszanowania godną wiernością. Jeden z nich był w Wiedniu, gdzie znosił odważnie codzienne gniewy i pogróżki Aleksandra, drugi znajdował się w Anglji, gdzie zamierzał — jak mówiono — zaślubić księżniczkę Karolinę Angielską. Obadwaj — a pomagali im w tém ministrowie Austrjaccy — dawali uczuć księciu rejentowi, przyszłemu królowi Hanowerskiemu i Angielskiemu niebezpieczeństwo poświęcenia Saksonji, a książe rejent domagał się swoją drogą od gabinetu W. Brytanji, aby rozkazał wyraźnie lordowi Castlereagh bronić Saksonji. Wy-

szedł, w samej rzeczy, rozkaz taki od gabinetu i przyszedł do Wiednia w pierwszych dniach Grudnia.

Rozkaz ten nie mógł przyjść bardziej w porę. Zmuszał on lorda Castlereagh do zmiany postępowania i pomagał mu do niej dostarczając powodu naturalnego wyjaśniającego takową. Zresztą, chociaż byłby może lord Castlereagh niekontent z nowych instrukcji, gdyby takowe były nadeszły nieco prędzej, to teraz ucieszył się niemi, przekonał się bowiem, że go oszukała jego względność dla Prusaków. Zgodził się przeto z p. Metternichem, że trzeba bezwzględnie odmówić tak poświęcenia Saksonji jak i Polski i pokazać obom sprzymierzonym monarchom, że Anglja i Austrja są zdecydowane oprzeć im się wszelkiemi środkami. Książe Wrede, zawsze bardzo czynny i bardzo użyteczny reprezentant Bawarji, mocno namawiał do energicznego wystąpienia. Ofiarował w imieniu swego dworu 25,000 żołnierza na każde 100,000, jakichby dostarczyła Austrja i chciał prócz tego aby się porozumiano z Francją, albowiem ona tylko przeważyć mogła niepewną dotąd szalę siły wojskowej. Istotnie, Austrja miała 300,000 żołnierza, z których mogła użyć czynnie 200,000 przeciw Rossji i Prusom; Bawarja nie byłaby dostarczyła więcej nad 60,000, chociaż mniemała, że zbierze więcej; inni książęta Niemieccy zmogliby się na około 40,000, królestwo Niderlandów na taką samą liczbę może; ale nie należało liczyć na większą liczbę, skoro Anglja całe swe wojsko zatrudnione jeszcze miała w wojnie Amerykańskiej. Było więc wszystkiego wojska około 350,000 ludzi, co nie przewyższało sił Rossji i Prus, które mogły połączyć, jedna 200,000, druga 150,000. Ilość była równa, jakość, przypuszczano, ta sama, los wojny więc był wątpliwy i wystawionym się było na wojnę długoletnią bez rezultatu w obec Francji, która byłaby prostym widzem tych walk, tak dla niej pomyślnych. Aby więc szalę przeciwną Rossji i Prusom przeważyć, trzeba było zawezwać Francję, przyjmując 100,000 francuzkiego wojska, które zakończyłoby spór natarłszy na Prusaka od strony bądź Reńskich prowincji bądź Frankonji. Można się — bez wątpienia — było obawiać ceny, jakąby przyszło zapłacić za tę pomoc, której koniecznie potrzebowano, ale poselstwo francuzkie ofiarowało ją darmo, chociaż tego nie żądano, a tej ofierze towarzyszyły jeszcze jak najusilniejsze nalegania, aby tylko przyjętą została.

Powody te podane w szczególności przez Bawarję, a bijące same przez się w oczy, były stanowcze. Byłoby głupstwem nie przyjąć pomocy Francji ofiarowanej darmo i będącej bardzo skuteczną, chociaż udawano wprzódy, że się o tém wątpi. Wieść o zbrojeniu się Francji spowodowaném przez p. Talleyranda, rozeszła się ze wszystkich stro-

i pełen był Wiedeń listów pisanych z Paryża, w których donoszono, co się tam dzieje. Listy te rozwodziły się nad stanem wewnętrznym Francji, nad nieukontentowaniem spowodowaném braniem się polityczném Burbonów, ale we wszystkich, chociaż wzmiankowano o złym duchu wojska, dodawano zarazem, że wojsko widocznie się powiększa, że nigdy armja francuzka nie składała się z lepszych żołnierzy i że użyta na zewnątrz, również będzie straszą jak nią była za dni swej najświetniejszej chwały. Listy pisane do Rossjan i Prusaków mniej były życzliwe Francji, a mianowicie Burbonom, ale listy Wellingtona i Vincenta, ambassadorów Anglji i Austrji w Paryżu, chociaż mówiły o błędach politycznych przywróconej dynastji, zgadzały się w pochwałach armji francuzkiej i rozszerzały nad korzyściami, jakieby przynieść mogła. Chwaliły także dobry stan skarbu francuzkiego, którego szybkie wzmożenie z trudnością sobie wytłómaczyć zdołano, ale którego potęga zdawała się być bardzo wielką, sądząc po łatwości, z jaką się odbywały wszystkie funkcje machiny rządowej.

Trudno już więc było wątpić o skuteczności pomocy, jaką Francja dać mogła, chociaż zdawali się o niej powątpiewać lord Castlereagh i Metternich. Nie należało wątpić i o pośpiechu chętnym, z jakimby jej udzieliła, albowiem nalegania p. Talleyranda, aby otrzymać rolę w krucjacie o Saksonję i ciągła styczność między poselstwem francuzkiém i bawarskiém nie pozwalały wątpić o chęci.

Wszelako nie śpieszono zwierzyć się Francji i zawiadomić ją, że sprzymierzeni tak daleko już doszli, że aż układali plany wojny jedni przeciw drugim. Miłość własna sprzymierzeńca wstrzymywała jeszcze od tego tak lorda Castlereagh jak Metternicha; nie chcieli pomówić otwarcie z p. Talleyrandem, pewni będąc, że i tak przybiegnie na pierwszy znak. Wiedziano z resztą dobrze, że Bawarja zawsze jeszcze dosyć mu powie, aby się mógł przygotować. Stanął więc plan na r. 1815, w którym, nie powiedziawszy ani słowa Francji, rozrządzono jej siłami jakoby już obiecanemi. Według tego planu, ułożonego przez księcia Szwarzenberga i marszałka Wrede, miało 320,000 Austrjaków, Bawarów, Wirtemberczyków, Badeńczyków, Sasów, i t. d. wystąpić w miesiącu Marcu w dwie armje przez Morawię i Czechy. Pierwsza z tych armji, obejmująca 200,000 ludzi pod dowództwem Szwarzenberga, miała zdążać przez Morawię ku górnej Wiśle, druga zaś mająca 120,000 pod dowództwem marszałka Wrede, miała maszerować przez Czechy nad Odrę; podczas gdy 50,000 Francuzów wkroczyłoby do Frankonji, aby przeszkodzić okrążeniu armji czeskiej i 50,000 w prowincje Reńskie, aby działać razem z Hollando-Belgijczykami w Westfalji. Nie podpadało wątpliwości,

że Prusy zgniecione zostaną masą sił, a Rossja przerzucona daleko po za Wisłę. Anglja miała być zwolnioną z obowiązku dostarczenia żołnierzy tak długo, pókiby nie ukończyła wojny swej z Ameryką, ale natomiast miała dostarczyć pieniędzy nowej koalicji, z wyjątkiem Francuzów, którzy nie potrzebowali ani pieniędzy cudzych, ani cudzego oręża. Wszystkie te plany, które przedsięwzięto zgłębić lepiej, gdy przyjdzie do wojny, miały zostać tajemnicą między Anglikami, Austrjakami i Bawarczykami, a Francja dowiedzieć się o nich miała tylko poufnie od Bawarji. Tymczasowo i z ostróżności, wysłała Austrja 25,000 nowego wojska, jako zasiłek do Galicji, gdzie już go było 40,000.

P. Metternich, stanąwszy w skutek tych kombinacji na silnych nogach, rozprawił się nareszcie stanowczo z Rossją i Prusami i oświadczył w nocie 10 Grudnia, że zważywszy na jednogłośną opinię Niemiec, na ostateczne rezolucje Anglji, wyrażone w nowo przez lorda Castlereagh otrzymanych instrukcjach, na opinję wszystkich wielkich mocarstw europejskich, a mianowicie Francji, że zważywszy nakoniec, że Prusy nie dopełniły warunków im położonych w chwili, kiedy chciano przychylić się do ich życzeń, Saksonja pozostanie w obecnym swym stanie, wyjąwszy niektórych ustępstw terrytorjalnych uznanych za konieczne dla Prus, celem dania im lepszej granicy, które to usrępstwa będą, na wszelki sposób, stanowić karę za popełnioną przez króla Saskiego winę.

Nader stanowczy tym razem język p. Metternicha wywarł nadzwyczajne w Wiedniu wrażenie. Tak przemawiać tylko było można, postanowiwszy nieodwołalnie dopuścić rzeczy do ostateczności, obliczywszy środki, przygotowawszy siły i zawarłszy przymierza. Z resztą, już sam pogląd na powierzchowne oznaki zdawał się świadczyć, że Austrja, Anglja i Francja zgodziły się z sobą i postanowiły działać wspólnie. Wszakżeż zaledwie wszyscy razem zmódz zdołali Francją, a cóż dopiero wyniknie, jeśli Austrja, Anglja i Francja staną naprzeciw Prusom i Rossji? Spostrzeżenie to smutne rokowało dla Prus i Rossji widoki. Prusacy, przeciw którym głównie wymierzona była ta manifestacja, nie posiadali się z gniewu. Król Pruski otoczony był wówczas w Wiedniu głównymi dowódzcami swej armji, a szczególniej marszałkiem Blücherem. Nie odstępowali go oni, namolnie powtarzając napuszone swe żądania; przemawiali nad miarę zarozumiale i utrzymywali, że oni jedni zwyciężyli Napoleona i ocalili Europę. Według nich, nic im nie było można odmówić, a ktokolwiek śmiałby się oprzeć ich żądaniom, spotka się z pruskim orężem.

Ministrowie pruscy powodowani takiemi samemi uczuciami, chcieli odpowiedzieć natychmiast na depeszę austrjacką. Byliby też odpowiedzieli z całą gwałtownością, jaką okazywał sztab główny pruski i już co

tylko mieli zarzucić Austrji wiarołomstwo, kiedy Cesarz Aleksander, który nie chciał tak daleko zabrnąć, chociaż był sam mocno rozgniewany, nie radził im słuchać pierwszego wrażenia, a mianowicie odwiódł ich od tego rodzaju odpowiedzi, jaką dać chcieli. Powstrzymał ich więc i zaczął próbować środków przebiegłości, w których był mistrzem tak długo póki nie został był wyparty ze swego charakteru. Zobaczył się nasamprzód z Austrjakami, począwszy od księcia Szwarzenberga i cesarza Franciszka. Zastał Szwarzenberga występującego, chociaż bez zarozumiałości, w rodzaju Prusaków, ale surowo i stanowczo, był nawet tak dalece z niego niezadowolony, że aż poskarżył się p. Metternichowi, któremu przypisywał winę, że dowódzcę armji austrjackiej tak fałszywemi napoił myślami. Potém przyszedł do cesarza Franciszka, który był grzecznym dla niego tak, jak gospodarz dla swego gościa, ale pełen tej spokojnej determinacji, która często bardziej imponuje aniżeli gwałtowność. Widział się nareszcie i z p. Talleyrandem. Było to trzecie jego z nim się widzenie, albowiem od czasu pobytu w Wiedniu, liczył Aleksander rozmowy swe z sławnym dyplomatą, u którego przecież w Paryżu mieszkał. Ten raz, bo sam się niejako domagał rozmowy; wziął bowiem na jednym z salonów Wiednia p. Talleyranda pod rękę i wyznaczył mu sam, kiedy się zobaczyć z sobą mają. P. Talleyrand stawił się na dzień wyznaczony, a chociaż go cesarz nie przyjął już z wabiącą poufałością czasów minionych, przyjął go przecież z przyjazną łaskawością, dającą do poznania, że pragnie zbliżenia i mówił z nim z uwagi godném umiarkowaniem o tych przedmiotach, przy których traktowaniu odbiegała go całkowicie, niedawno temu, zimna krew.

Przy ostatnim tym punkcie zdawał się stać niewzruszenie p. Talleyrand, a pomijając dowody czerpane z równowagi europejskiej, starał się dowieść Cesarzowi Aleksandrowi, że spokój świata, że chwała Europy zawisły odtąd od przywrócenia prawowitości we wszystkiém i wszędzie. Idee podobne nie popłacały u cesarza, mianowicie w ustach p. Talleyranda. Zdawał się więc nie przywiązywać wielkiej wagi do wyznań tej wiary, głoszonych przez dawnego ministra Uzurpatora i powtórzył, że się zobowiązał wobec Prusaków, że jego polityka zasadza się na dotrzymaniu słowa, ale że nie będzie przy swém słowie obstawał, jeśli p. Talleyrand potrafi skłonić Prusaków, aby go z danego słowa zwolnili. —P. de Talleyrand odparł, że udać się trzeba do kogo innego, aniżeli do niego, aby nakłonił Prusaków, ale, dodał, masz Wasza Cesarska Mość środek najlepszy, aby ich odwieść od powziętych zamiarów, oddaj im ich część Polski. — Chceszże więc Pan, zawołał Aleksander, abym siebie ogołacał, chcąc was zaspokoić? . . ja o tém bynajmniej nie myślę. Ale

słuchaj Pan, dodał, zróbmy zamianę! Ja znam waszą tajemnicę, wiem jaki główny wasz cel tutaj; chcecie zrzucenia z tronu Murata. Dobrze! połączmy się (i tu podał rękę p. Talleyrandowi), pójdę z wami w tej kwestji i wkrótce ją roztrzygniemy podług waszych życzeń, ale musicie mi ustąpić Saksonję. — Widać było na twarzy Aleksandra, gdy to wymówił, wyraz gorącego pragnienia. Jasną było rzeczą, że gdybyśmy inaczej byli pojęli interesa Francji w Wiedniu i nie ograniczyli się jedynie na żądaniu uratowania Saksonji, bylibyśmy wszystko otrzymali od Rossji. Ale p. Talleyrand, którego zadanie było sformułowane, niecznłym pozostał na pokusy Aleksandra i odpowiedział, że nie może przyjąć podobnej propozycji, bo znaczyłoby to uznać uzurpację w jednej stronie Europy, a pozwolić na zwycięztwo prawowitości w drugiej, że on żąda wszędzie prawowitości. P. de Talleyrand przemawiał jak najwyższy kapłan religji, która, na nieszczęście, wywoływała tylko uśmiech u Aleksandra.

Zamiana więc nie udała się. Chciał przecież Cesarz chociaż coś skorzystać z tej rozmowy; chciał on wiedzieć od p. Talleyranda, co było prawdą o zbrojeniu się Francji, o którém cały rozmawiał Wiedeń i na jaki cel się zbroi. Udając, że nie przywiązuje wagi do swych pytań, zbliżył przecież do p. Talleyranda ucho, na które dobrze słyszał (z trudnością bowiem słyszał na jedno) i zapytał go, w jakim stanie jest armja francuzka i czy uznano za użyteczne zreorganizować ją, jak o tém wieść chodziła po Wiedniu. — Wtedy p. Talleyrand opowiadać Cesarzowi zaczął z tém ministrzostwem, które w najwyższym posiadał stopniu i z nieporównaną obojętnością o wszystkiém, co zrobiono i co się jeszcze robi, celem zreorganizowania armji francuzkiej, przywiązania jej do nowego rządu i nadewszystko celem wyprowadzenia jej naprzeciw nieprzyjaciela w stanie równie dobrym, jak był kiedykolwiek. Powiedział od niechcenia, że Francja ma obecnie 200,000 ludzi, że będzie miała w Marcu 300,000 samych starych żołnierzy, którzy wrócili z zagranicy i wstąpili w kadry zaciężnych r. 1815. Szczegóły te wymienił p. Talleyrand, jak gdyby mu wcale nie postało w myśli, że sprawią wrażenie i jak gdyby nie miarkował nawet że je sprawiły. Aleksander nie umiał tak dobrze jak p. Talleyrand ukryć swych wrażeń, pożegnali się więc z wyszukaną grzecznością. Cesarza mocno obeszło, to czego się dowiedział, nie wątpił bowiem, że te nowe siły Francji będą na zawołanie Anglji i Austrji, gdyby przyszło do wojny o Saksonję i Polskę.

Tymczasem, aby się lepiéj o tém zapewnić, posłał Cesarz Aleksander do Talleyranda księcia Czartoryskiego, zawsze mocno losem Polski zajętego i usiłującego wjej interesie zbliżyć Rossję i Francję. Powodem

odwiedzin był jeden ustęp w depeszy p. Metternicha, w którym się odwołał na opinję mocarstw europejskich, a mianowicie na opinję Francji, przeciw projektowi poświęcenia Saksonji. Polecone miał książe Czartoryski wypośrodkować istotne znaczenie tego ustępu, który zdawał się wskazywać na formalną Austrji z Francją ugodę. P. de Talleyrand domyślając się o co chodzi, trwał przy swojej taktyce, to jest chciał, aby wierzono że się święci coś więcej, aniżeli się święciło w istocie, i zastraszyć Cesarza Aleksandra myślą koalicji już uformowanej między Francją, Anglją i Austrją, tak jednak, aby z tych trzech mocarstw Francję najmniej narazić u Rossji. Oświadczył skłonność wyraźną dla Rossji, najgorętsze życzenie zgadzania się z nią we wszystkiém, ale dał zarazem do poznania, że co się tyczy Saksonji, Francja pójdzie razem z tymi, którzy jej bronić będą, chociażby i orężem. Przesadzał nawet, albowiem uwierzyć miał po tej rozmowie książe Czartoryski, że p. de Talleyrand daleko bardziej wtajemniczony jest w zamiary Anglji i Austrji, aniżeli był w istocie. Ale skutek pożądany osiągnięty został, a to było główną rzeczą, zważywszy na politykę, jakiej się chwyciła Francja.

W jednej chwili wszelkie ruszyły się opozycje przeciw projektom Cesarza Aleksandra i Fryderyka Wilhelma. Książęta niemieccy tak północni jak południowi, niemal wszyscy zgromadzeni w Wiedniu, chcieli zrobić wspólną deklarację i w niej zaprotestować przeciw przyłączeniu Saksonji do Prus. Jeden tylko z książąt odłączył się od tego rodzaju jednomyślności, a nim był syn króla Wirtembergskiego, ten sam, który służył z Francuzami w Rossji, który czy to z nami trzymał, czy przeciw nam, zawsze świetny w bojach brał udział. Pokochawszy wielką księżnę Katarzynę, którą miał poślubić, popierał duszą i ciałem politykę rossyjską. Książe ten, zwykle w niezgodzie z ojcem, użył całego swego wpływu, aby niedopuścić zamierzonej deklaracji. Zagroził małym książętom gniewem Prus, gdyby ją podpisali i zdołał ich wstrzymać tym sposobem. W rezultacie jednakowoż na jedno to wyszło, albowiem oświadczył komitet do spraw niemieckich, że zawiesza swe prace dopóty, dopóki nie będzie zapewniony los Saksonji. Znaczyło to, że postanowienia jego zależeć jak najzupełniej będą od postanowień dotyczących Saksonji, której sprawa niemal tak obchodziła wszystkie państwa niemieckie, jakby była ich własną.

W obec wszystkich opozycji, jednych moralnych, drugich materjalnych, trzeba się było skłonić do ustępstw. Przystał nareszcie Cesarz Aleksander, chociaż z trudnością, na niektóre. W pierwszym zapale myślał on zażądać całego dawnego terrytorjum polskiego. Od tego przecie już odstąpił w obec oporu, jaki wszędzie napotkał. Ale był zdecy-

dowany żądać koniecznie i otrzymać, bądź co bądź rdzeń Polski, to jest koryto Wisły od Sandomierza do Torunia. Chciał więc otrzymać Warszawę, z dostatecznym w około obszarem kraju, a skoroby posiadał Warszawę, mógł się szczycić, że odbudował Polskę i że wygrał niejako zakład, o który szedł z całą Europą tak przez miłość własną, jak przez ambicję i rycerskie usposobienie. Gotów był więc do pewnych ustępstw ocaliwszy grunt rzeczy.

Ustępstwa te tyczyły głównie dawnego terytorjum Polskiego od strony Prus, w w. księstwie Poznańskiém. Gdyby Cesarz Aleksander był je wziął całkowicie, byłby doszedł do Odry; terrytorjum to rozciągało się bowiem aż prawie do punktu, w którym Warta wpada do Odry, i kończyło niedaleko Kistrzyna, Frankfurtu nad Odrą i Głogowy. Zostawał więc na prawej stronie Odry dość wązki tylko pas ziemi stanowiącej Szląsk. Byłby tym sposobem cesarz Aleksander dostał się aż w głąb kąta, który tworzą stare Prusy i Pomeranja z jednej, a Szląsk z drugiej strony, i posunął się klinem w samo serce monarchji Pruskiej, co mocno zastraszało Niemców a nawet Prusaków; byli bowiem między nimi tacy, którzy nie tyle się powodowali miłością własną, co zdrowemi uwagami jeograficznemi. Ci widzieli jasno, że Prusy daleko bardziej potrzebowały wzmocnić się krajem położonym między Toruniem a Wrocławiem, aniżeli rozszerzyć od Wittenberga do Drezna. Zostawiając Prusom dzisiejsze księstwo Poznańskie, to jest najznaczniejszą część koryta Warty, zostawiało im się ładny kraj, lepiej zaludniony niż kraj dalej ku Warszawie posunięty, a co nadewszystko, dało się tym spobem dość dobrą pociągnąć granicę między Polską i Prusami. Idąc bowiem z biegiem Prosny aż do miejsca gdzie wpada do Warty, nieco poniżej Konina, i pociągnąwszy od tego punktu linję pod Toruń, otrzymywano nasamprzód jako granicę: Prosnę, potém od Konina do Inowrocławia i Torunia szereg jezior, dających początek Noteci i tworzących łańcuch przeszkód, mających wielką ważność graniczną. Tym sposobem przecinano ów straszny klin, wymierzony w żebro Prus, a przy tém nie oszpecano granicy polskiej: Warszawa bowiem leżała w takim razie wśród dość rozległego obszaru. Prusy, które miały do żądania półtrzecia miljona Polaków, jako swej części w. księstwa Warszawskiego, otrzymywały tym sposobem blisko miljon, a o tyle znów mniej wziąść miały Saksonji. Jeśliby tak w Niemczech jak w Polsce przyszło do zgody, Prusy biorąc królowi Saskiemu część tylko jego kraju, wróciłyby do dawnego stanu z roku 1805, który był podstawą, na jakiej obiecano je odbudować.

Co się tyczy Austrji, trzeba było żądać od niej więcej, aniżeli jej odstępowano, co nie ułatwiało porozumienia. Ale ten raz były istotnie

uzasadnione żądania Rossji, wychodząc, samo się przez się rozumie, z zasady odbudowania Polski, jako osobnego państwa. Austrja posiadała nieprzerwanie, od czasu pierwszego podziału, Galicję, i Napoleonowi nigdy na myśl nie przyszło takową jej odebrać, z wyjątkiem przecież r. 1812, kiedy pochlebiał sobie, że zgnębi Rossję i utworzy Polskę francuzką. Że zaś zamiar Napoleona spełzł na niczém, pozostała Austrji i nadal Galicja, a wyobraźnia najzagorzalszego Polaka, nawet cesarza Aleksandra, nie mogła pomyśleć o żądaniu teraz jej zwrotu. Ale Austrja posiadała kraj po lewej i po prawej stronie Wisły, aż do Pilicy z jednej, a do Buga z drugiej strony, który pozyskała od czasu ostatniego podziału, a który jej odebrał Napoleon, tworząc w. księstwo Warszawskie. Austrja odebrawszy go, byłaby w posiadaniu koryta Wisły aż pod samą Warszawę. W takim zaś razie niepodobna było utrzymywać cesarzowi Aleksandrowi, że odbudował Polskę. Czuła to Austrja, a zresztą była to wyborna pora przypomnieć jej, że jeśli traktaty: kaliski, reichenbachski i teplicki, zawarte w przypuszczeniu ograniczonych rezultatów, wymagały oddania części księstwa Warszawskiego dawnym jego posiedzicielom, to niespodziewana pomyślność koalicji tyle jej przyniosła korzyści w Tyrolu, we Włoszech, w Bawarji, że mogła zezwolić, aby również skorzystała z niej i Rossja. Rossja zaś mogła tylko korzyść mieć z kraju nad Wisłą. Nie obawiała się dla tego Rossja istotnych przeszkód ze strony Austrji. Mogła zresztą w takim razie przystać na ustępstwa, mające pewną wartość, zostawiając Austrji kopalnie soli w Wieliczce, tworząc z Krakowa miasto neutralne, (jak niém miał być według planu cesarza Aleksandra Toruń), przywracając wreszcie Galicji piękny obwód tarnopolski, który jej był zabrał Napoleon w r. 1809, aby ją ukarać za wypowiedzenie wojny Francuzom.

Postanowiła przeto Rossja odstąpić stanowczo Prusom księstwo Poznańskie, co znów zobowiązywało Prusy, aby były mniéj wymagające w Niemczech; usiłowała porozumieć się po przyjacielsku z Austrją o przyszłą granicę Polski; doradziła Hardenbergowi, aby wystosował bardzo umiarkowaną odpowiedź Austrji i robiła co mogła, aby osiągnąć główny swój cel bez zerwania zgody. Otwarta bowiem nieprzyjaźń mogła była stać się zgubną dla Prus i dla niej, a już z pewnością byłaby powodem publicznego zgorszenia dla wszystkich.

Podczas gdy Alexander usiłował, stosownie do tych swych postanowień, porozumieć się zgodnie z Austrją względem granicy, jaka oba te państwa dzielić miała, odpowiedział Hardenberg według rady Aleksandra, na notę austrjacką z 10 Grudnia, notą z 20 Grudnia, nader łagodną i zręcznie zredagowaną ze stanowiska pruskiej ambicji. Zadziwia mini-

stra Pruskiego — stało w tej nocie — że Austrja podaje na nowo w wątpliwość rzecz niejako już odrobioną, albowiem Anglja dała była formalne przyzwolenie, a Austrja warunkowe na wcielenie Saksonji. Nie ma znaczenia — mówił Hardenberg — powoływanie się Austrji na niedopełnienie położonych przez nią warunków, ponieważ Prusy zgadzają się na wszystko, czego żądała Austrja, ze względu na granice między państwami niemieckiemi północnemi a południowemi, ze względu na Moguncję i ze względu na wszystko, co w ogóle obchodzi równowagę Europejską. Co się tyczy kwestji Polskiej, Prusy podjęły się pośrednictwa, podejmą się go i nadal, aby kwestję tę rozstrzygnąć— ile możności — według życzeń gabinetu Wiedeńskiego. Powoływanie się na zasadę suwerenności w sprawie króla Saskiego, również nie było — podług Hardenberga — uzasadnione. Saksonję zdobyto w dziewięciu walnych bitwach, a szczególnie w bitwie pod Lipskiem, w któréj Prusy (nie wahają się one tego wypowiedzieć) ponosiły niemal cały ciężar wiekopomnych dni 16, 17, 18 Października, i ztąd słusznie odwołać się mogą na prawo zdobyczy, uznane przez wszystkich publicystów. Zastosowanie tego prawa do króla Saskiego niezaprzeczenie jest prawdziwe w zasadzie, a prócz tego oparte i na słuszności. Fryderyk August, zobowiązawszy się naprzeciw Europie za pośrednictwem gabinetu Wiedeńskiego, przyjęty będąc przez Cesarza Franciszka w Pradze, dobrowolnie opuścił bezpieczne zacisze, aby odstąpić sprawy, której służyć przyrzekł, aby stanąć po stronie tyrana Europy, któremu wydał fortecę Torgau, armję saską i górną Elbę. Można go więc ukarać z spokojném zupełnie sumieniem, kara ta nawet posłuży za bardzo dobry przykład. Zresztą będzie ona umiarkowaną, nie chodzi bowiem o złożenie go z tronu, ale tylko o danie mu innego kraju. Miano przecież materjał ku temu na lewej stronie Renu, gdzie miano utworzyć dla niego państwo, składające się z ludności katolickiej; co położyłoby koniec przykrej niezgodzie w Saksonji, której dynastja jest katolicką a lud protestanckim. Prusy same dostarczą niebawem materjału na to nowe państwo, odstępując pewną część posiadłości dla siebie przeznaczonych na lewej stronie Renu, a nawet cały ten kraj; dbając bowiem mało o prowincje, które je stanowią w bezpośredniej z Francją styczności, nie przyjęły też Prusy tych prowincji jak tylko dla dobra ogółu, a mianowicie aby zadosyć uczynić życzeniom Anglji. Łatwo będzie zapewnić królowi Saskiemu równie dobry albo nawet lepszy los, aniżeli jest los książąt Badeńskiego, Nassauskiego, Heskiego. Będzie miał prócz tego głos w rzeszy Niemieckiej. Tym sposobem nie nadwereży się równowaga niemiecka. Podobne przeniesienie z miejsca na miejsce suwereności nie jest rzadkiém w historji. Karol V

dał tego przykład na tym samym domu Saskim, przenosząc linję obecnie panującą z prostego księstwa na tron Saski. Taki sam przykład dała Francją i Austrja w ostatnim wieku, przenosząc dom Lotaryngski do Toskanji. Lepiej daleko było przenieść sposobem wskazanym dom Saski aniżeli Saksonję podzielić, coby nastąpić musiało, gdyby przystano na myśl ukarania Fryderyka Augusta przez odebranie mu części kraju. Nasamprzód dotkiętoby mocno Sasów, którym obiecano, że nie będą rozłączeni, a potem złyby zaprowadzono porządek rzeczy, albowiem nie wystaczałaby Saksonja sprowadzona będąc do jednéj trzeciej lub do połowy swej obecnej objętości, na utrzymanie królewskiego dworu, a mianowicie pięknej stolicy swojej, będącej punktem środkowym dla sztuk pięknych w Niemczech. Utworzonoby ognisko malkontentów, nieprzyjaznych nowemu porządkowi rzeczy i marzących ciągle o odbudowaniu Polski rewolucyjnej, z królem z domu Saskiego na czele. Najbłędniejszym więc ze wszech miar krokiem był podział Saksonji, zamiast oddania jej w całości Prusom i przeniesienie króla Fryderyka Augusta na lewą stronę Renu. Co się tyczy nieufności, jakąby wzbudzić mogło w Austrji sąsiedztwo Prus, nie jest ona uzasadnioną, albowiem Saksonja nie zdolną jest w obecnym swym stanie służyć za jakie takie przedmurze na przeciw obydwom wielkim mocarstwom Niemieckim. Dowiódł jasno Fryderyk II.; potrzebował on tylko krok jeden dać naprzód aby stanąć w Dreznie i usadowić się na Kenigsteinie, dowiódł to i Napoleon sam; tak samo zaś postąpiłby i rząd Pruski za każdym razem, gdyby nieszczęściem przyjść miało do wojny między Prusami i Austrją. Aby zresztą umniejszyć w tym względzie niespokojności Austrji, przystają Prusy jak najzupełniej na życzenie wyrażone przez Austrję i zrzekają się obwarowania Drezna. W końcu przypomniał Hardenberg obowiązki Europy dla Prus, które tyle się przyczyniły do ocalenia Europy, którym tyle razy obiecano że wrócą do dawnego stanu, zapewniając im nietylko tę samę liczbę ludności, jaką miały w r. 1805, ale i lepszy kształt jeograficzny. Ostatni ten punkt zawarowany został formalnie, albowiem wszyscy uznali byli ułomność jeograficzną Prus, a ułomności tej przysporzonoby im jeszcze rozszerzając je od Królewca do Akwizgranu w widokach, jakie niebyły z ich korzyścią, a nie wzmacniając ich zarazem znacznie ku środkowi, t. j. nie rozszerzając ich aż do Drezna. Tym sposobem zapomniawszy względem Prus o wdzięcznosci, nie dotrzymanoby im słowa, zgrzeszonoby przeciw równowadze Europejskiej która tak bardzo zawisła od ukonstytuowania dobrego Prus. Prusy muszą nawet przyznać, że ambicja, o którą je oskarżają, z jednej tylko pochodzi przyczyny, t. j. ze pragną naprawić ułomny kształt swój jeograficzny, i otrzymawszy to czego dziś pragną, zaspokoją się na długo i zapewnie na zawsze.

Możnaby nie jedno odpowiedzieć na te rozumowania, ale miały one w ogóle pewien pozór za sobą, niektóre były nawet uzasadnione, a ton depeszy umiarkowany oznaczał raczéj chęć porozumienia się z mocarstwami, a niżeli zerwania z niemi.

Skoro zaś tak stanęła kwestja, była wszelka nadzieja że roztrzygniętą zostanie spokojnie. Austryja ze swej strony gotowa była do pewnych ustępstw. Odzyskawszy Tyrol i Włochy, o czém nie myślała podczas traktatu Kaliskiego, Reichenbachskiego i Teplickiego, byłaby się źle wybrała z zaprzeczeniem Rossji większych korzyści, a Rossja znaleść takowe tylko mogła w Polsce. Bez wątpienia, że gdyby Austrja się mniej bała wojny, a bardziej w tej kwestji wspieraną była przez Francję, byłaby może zaprzeczała całej zasadzie odbudowania Polski, która z konieczności musiała być Polską Rossyjską. Ale skoro Prusy zobowiązały się już były względem Rossji, skoro Francja nie oświadczyła się stanowczo jak tylko za Saksonją, nie miała Ausryja właściwie sposobu rozprawiania się o zasady, które przeprowodzić bąć co bąć uwziął się Aleksander, mając sobie przeprowadzenie jéj za punkt honoru. Skoro zaś zgodzono się na zasadę wskrzeszenia Polski poddanej Rossji, nie mogła myśleć Austrja o zatrzymaniu koryta Wisły aż do Pilicy i Buga: byłoby to bowiem chcieć sięgać aż do bram Warszawy. Przystała więc Anstrja na traktowania o tym przedmiocie, żądając tylko koryta Wisły aż do Sandomierza. Pod Sandomierzem stanowił San granicę Galicji, odzyskiwała więc tym sposobem Austrja dawną Galicyjską granicę. Spór toczył się o Kraków i kopalnię soli w Wieliczce, o obwód Tarnopolski i o wszystkie te punkta, ale Rossja ucieszona że otrzymała koryto Wisły aż do Pilicy i Bugu, niezmiernie złagodniała. Przestała na danie pewnego obrębu kraju miastu Krakowu, prócz tego na neutralność tego słynnego w dziejach Polskich grodu, uważając go niejako za nabytek Polski wiszący w powietrzu, a mogący późniéj być przyłączony do Polski Rossyjskiej. Odstąpiła kopalnie soli w Wieliczce i nareszcie i obwód Tarnopolski, który ponieważ zwrócony został Austrji bez poprzedniej obietnicy, służyć miał na wynagrodzenie za te prowincje, których jej mimo obietnicy nie zwrócono.

Im bardziej Austrja skłaniała się do zgody w Polsce, gdzie zresztą ocaliła, mając sobie przyznaną Galicję, szeroki pas kraju wzdłuż Karpat, tém bardziej téż mogła i chciała dotrzymać placu w kwestji Saskiej.

W istocie nie przestawała twierdzić, że ponieważ główny warunek położony Prusom, aby stanęły w kwestji Polskiej po stronie Austrji i Anglji, i to nie w tym lub owym szczególe dotyczącym granicy, ale w kwestji zasady, nie został wypełniony, zwolnioną się czuje z nowych

zobowiązań. Przypomiała zresztą, że zawsze zezwalała na poświęcenie Saksonji z niechęcią, z czystego pobłażania, z chęci zgody i radząc Prusom, aby nie korzystały z tego poświęcenia, albowiem zniweczenie Saksonji mocno nadwereża równowagę Niemiecką i obraża głęboko uczucie moralne Niemiec. Nadto, dodała Austrja, ponieważ Anglja lepiej obeznawszy się z rzeczą zmieniła zdanie i odmówiła poświęcenia Saksonji, na które zrazu zezwoliła, przeto ani podobna myśleć o wcieleniu do Prus Saksonji. Austrja więc oświadczyła się w tym punkcie stanowczo, i wyrzekła, że zezwoli tylko na oderwanie niektórych części, które posłużą na ukaranie Fryderyka Augusta, na lepszą granicę dla Prus i zadosyć uczynienie zobowiązaniom, przyjętym względem Prus, co do nich ukonstytuowania według normy z r. 1805.

Wchodząc dalej w szczegóły, starała się Austrja wszelkiemi sposobami dowieść, że Prusy, aby odzyskać stan swój z r. 1805, nie miały potrzeby niweczenia Saksonji. Prusy straciły przez Napoleona 4 miljony ośm kroć sto tysięcy poddanych, z około dziesięciu milijonów, jakie posiadały, to jest niemal połowę. Odzyskały faktycznie, odkąd zwycięzka koalicja przeszła Elbę i Ren, około miljon pięć kroć sto tysięcy, odbierając napowrót Gdańsk, Magdeburg, Westfalję i t. d. Potrzebowały więc jeszcze uzyskać 3 miljony trzy kroć sto tysięcy, aby być zupełnie wynagrodzonemi.

Z części w. księstwa na nie przypadającej, miały dwa miljony pięć kroć sto tysięcy poddanych do żądania, za księstwa: Bajreyt i Anspach, dane w r. 1806 Bawarji i przy niej zostawione, 500 tysięcy, za ziemie obiecane Hanowerowi, a które trzeba było wziąść Prusom, 300 tysięcy, wynagrodzenie należące domowi Sasko-Wejmarskiemu wynosiło 50 tysięcy, w ogóle 350,000, które stanowiły wraz z miljonem pięć kroć stotysiącami już odzyskanemi, 4,850,000 dusz, t: j: nieco więcej aniżeli utraciły Prusy. Otóż skoro Rossja zrzekła się w Polsce księstwa Poznańskiego, otrzymywały Prusy miljon ludności; prowincje na lewej stronie Renu i księstwo Berg na prawej, liczyły najmniej miljon sześć kroć sto tysięcy, nie dostawało więc tylko jeszcze 750,000. Dla odzyskania tej liczby łatwo było zmedjatyzować jeszcze kilka książąt małych i zebrać tym sposobem 200,000 dusz. Hanower gotów był poświęcić te 300,000 które miał obiecane. Trzeba więc tylko było jeszcze poszukać 2 do 300,000 dusz, celem zaspokojenia ambicji pruskiej. Liczbę tę można było zażądać od Saksonji, której ludność wynosiła 2,100,000. Saksonja więc niemal zostawała w dawnym swym stanie, bo ważyć będzie nie wiele mniej na szali równowagi Niemieckiej z 1,800,000 poddanymi, jak z 2,100,000.

Rachuba ta, zresztą prawdziwa, a która dała pochop do zarzutu, tyle razy odtąd przeciw Kongresowi Wiedeńskiemu wznawianego, że dzielił ludy jak trzodę, rachuba ta wywołała wielki krzyk ze strony Prusaków. Zaprzeczyli jej jak najzupełniej dokładności i wdali się w obliczania, na które równie trudno było przystać jak im zaprzeczyć. Bez powagi istotnej i mającej władzę zawyrokowania w ostatniej instancji nad temi obliczeniami, tyczącemi tak ziem jak ludności, było niepodobieństwem dojść do zgody, albowiem różniono się nietylko co do ilości ale i co do jakości tych głów ludzkich.

Utrzymywano, w istocie, że dusza Polska z okolic Poznania, odstąpiona przez Rossję Prusom, więcej była warta niż dusza Polska z okolic Kłodawy lub Sompolna, zatrzymana przez nie, a że szczególniej, dawna Francuzka dusza z Akwisgranu lub Kolonii warta była nieskończenie więcej jak dusza Polska z Kalisza lub Torunia, za którą ją wymieniono, z tego powodu chciano, aby liczono dobrze tak jakość jak ilość poddanych, przyznawanych jednemu lub drugiemu mocarstwu.

Wzięto się więc na sposób i chciano, niezawisle od wielkiego komitetu pięciu mocarstw, trudniącego się kwestjami pierworzędnemi, utworzyć kommissję specjalną, celem roztrząśnięcia obliczeń z jednej lub drugiej strony stawianych i zawyrokować o nich z zupełną znajomością rzeczy.

Lord Castlereagh w ostatnich dniach Grudnia zaczął mówić o tém z Talleyrandem i wystawił mu komissję tę, jako środek wybrnięcia z kłopotu, jakiego wszystkich nabawiły owe sprzeczne obliczania kwestji Saskiej, spychając ją do kwestji liczb. Talleyrand nic nie miał do nadmienienia przeciw idei szacunkowej komissyji, ale odpowiedział, że biorąc tak tę kwesję, jest to zniżać jej wartość, że dalekoby lepiej było mieć do czynienia z zasadami aniżeli z liczbami, i wchodząc na swój temat ulubiony, t. j. temat prawowitości, podał lordowi projekt krótkiej lecz zwięzłej rozmowy między Austrją, Anglją i Francją, przez którą zobowiązałyby się te trzy mocarstwa utrzymać istnienie Saksonji w zasadzie, a pozwolić wyjątkowo na odstąpienie pewnej części terytorjum Saskiego Prusom. Lord Castlereagh, jak człowiek zbyt obcesowo zagadnięty, cofnął się o kilka kroków. Pan mi, rzekł do Talleryanda, proponujesz przymierze, a w przymierzu każdém leży przypuszczenie wojny. Otóż my wojny nie chcemy i dopiero tego środka chwycim się w ostateczności. Ale jeśli trzeba nareszcie myśleć o wojnie, postaramy się wtedy o środki do jej prowadzenia i pomyślimy o przymierzach, które będą jej skutkiem.

Talleyrand nic nie wskórawszy, nie nalegał. Zgodzono się na utworzenie kommissji szacunkowej, do której Francja należeć miała.

Jdeę tej kommissji przyjęli wszyscy interessenci, ale gdy przyszło przypuścić do niej kommissarza Francuzkiego, zaczęły się sypać zarzuty. Obwiniano się o złamanie słowa danego sobie nawzajem, że Francję od podziału krajów, z których ją ogołocili, zupełnie wyłączą; o złamanie obietnicy danej sobie powtórnie w Paryżu podczas traktatu z 30 Maja i w Wiedniu w pierwszych dniach kongresu. Prawda że odtąd zmuszone zostały mocarstwa we wszystkiém działać pospół z Francją, albowiem pokazało się wkrótce, że chcieć cośkolwiek a szczególniej coś stanowczego zrobić w Europie bez Francji, było nietylko śmiesznem ale i niewykonalném uroszczeniem. Wszelako nie odstąpiono formalnie od potajemnej ugody odrobienia wyłącznie w czworo wielkich kwestji terrytorjalnych, chociaż się dużo porozumiewano z Francją. Powinien był przyznać się tak Metternich jak i Lord Castlereagh, że miotani głębokim niepokojem wtajemniczyli byli jak najzupełniej Francję w sprawę Saksonji i że już nie mogli bez nieprzyzwoitości, z takowej jej wykluczać. Nie śmieli się wszelako przyznać do tego, a że Prusy pokazały nadwyczajny wstręt przeciw zasiadaniu Francji w trybunale upoważnionym do osądzenia w ostatniej instancji ich uroszczeń, przeciw Francji, która się publicznie przeciw nim oświadczyła, więc i nie nalegali na to ani Metternich ani lord Castlereagh i zapadła uchwała, że nie będzie żaden kommissarz Francuzki zasiadał w kommissji szacunkowej.

Lord Castlereagh nie śmiał osobiście dać znać o tém Talleyrandowi, polecił to bratu swemu lordowi Stewart, posłowi angielskiemu w Berlinie, który przybył do pałacu poselstwa francuzkiego z mnogiemi uniewinnieniami i zakłopotaną twarzą. Talleyrand, nie znający żartów, gdy szło o rolę poselstwa francuzkiego w Wiedniu, spytał sucho brata lorda Castlereagh, kto był przeciwnikiem przypuszczeniu Francji do kommissji szacunkowej i powiedział mu z gorzką ironją, że to byli zapewne sprzymierzeni. Lord Steward przyznał w prostocie ducha, że tak było.

W tenczas Talleyrand przestając być panem siebie zawołał z gwałtownością: Ponieważ zawsze jeszcze jesteście sprzymierzeńcami z Chaumont, zostańcie nimi sobie. Poselstwo Francuzkie dziś jeszcze opuści Wiedeń, a wszystko co uczynicie będzie nieważne tak dla niej jak i dla spraw, które poświęcone zostały. Europa będzie zawiadomiona o tém co zaszło, Francja dowie się o roli, którą chciano aby odgrywała, a Anglja o postępowaniu słabém i niekonsekwentném swego reprezentanta. Dowie się, że poświęciwszy Saksonję i Polskę, odrzucił pomoc, która mogła je była ocalić. Słowa te groźne dla lorda Castlereagh, któremu gotowały bardzo trudną w parlamencie Angielskim przeprawę, mocno lorda Steward zakłopotały; pobiegł przeto natychmiast przestrzedz

brata przed nadchodzącą burzą. Chociaż nie brano zupełnie na prawdę pogróżek Talleyranda, obawa przecież skutków dla Europy, a bardziej jeszcze obawa przed parlamentem Angielskim, gdyby się dowiedział że szło ocalić Saksonję i Polskę, ale nie chciano jedynie tylko, aby trwać w śmiesznym systemie z wykluczenia Francji, obawa ta dodała bodźca lordowi Castlereagh i nabrał odwagi, jakiej nie miał zrazu przeciw sprzymierzonym. Zgromadził ich powtórnie, dał im uczuć niebezpieczeństwo ściągnięcia pioruna, mogącego całą zapalić Europę, i oświadczył, że nie bierze na siebie podobnej w obec Anglji odpowiedzialności. Metternich poparł go silnie i zapadła, mimo opozycji Prusaków, uchwała, że przyjęty zostanie kommissarz Francuzki. Lord Castlereagh zawiadomił o tém grzecznym biletem zaraz wieczorem tego dnia Talleyranda.

Wybrany został książe Dalberg za reprezentanta Francyi w kommissji szacunkowej. Kommissja zebrała się 31 Grudnia. Reprezentant Rossji upełnomocniony do przedstawienia żądań wspólnych Rossji i Prus mógł istotnie wystąpić z większą względnością, ponieważ zdawało się, że Rossja po ugodzie zawartej z Austrją o granicę Galicji i po odstąpieniu Prusom księstwa Poznańskiego, nie jest interesowaną w rozwiązaniu obecnej kwestji. Przemówił więc w imieniu obu mocarstw i następujące przedłożył wnioski: Prusy mieć będą w nagrodę swych strat, oprócz księstwa Poznańskiego, które im Rossja zostawiła celem usunięcia zaszłych trudności, całą Saksonję. Podług kommissarza Rossyjskiego, nie można było mniej zrobić chcąc przyprowadzić Prusy do dawnego ich stanu z r. 1805 i wypełnić zobowiązanie, że otrzymają lepsze warunki terrytorjalne. Król Saski przesiedli się nad Ren, gdzie mu Prusy odstąpią kraj zaludniony, 700,000 dusz, z stolicą Bonn. Będą miały prócz tego głos w Rzeszy. Książe ten, panując tym sposobem nad ludnością katolicką i graniczac z Francją, zapobieży wszelkiemu między Francją a Prusami starciu. Co się tyczy Polski, nada jej rząd Rossyjski osobne istnienie, odrębną administrację i zwiększy ją później ziemiami wziętemi z dawnych polskich a obecnie Rossyjskich prowincji, wszelako li według dobrej woli cesarza Rossji i króla Polskiego. Inne mocarstwa należące do podziału Polski, które zachowają prowincje Polskie na mocy obecnej ugody, zobowiązują się także zaprowadzić administrację prowincjonalną, zdolną im zapewnić pewnego rodzaju niezawisłość cywilną, formę rządu odpowiednią ich obyczajom i urządzenia korzystne dla ich interesów handlowych i rolniczych.

Projekt ten poparty uwagami pełnemi jak najlepszych pozorów, ostatniém był wysileniem Aleksandra na korzyść króla Pruskiego, w kwestji oddania temuż całej Saksonji. Jasną wszelako było rzeczą, że Aleksan-

der zadowolony będąc sam, nie będzie się opierał aż do ostateczności. Odroczono aż do 2 Stycznia dyskusję różnych tych propozycyi. Nazajutrz, t. j. 18 Stycznia otrzymał lord Castlereagh wiadomość bardzo ważną, która szczególniejszym sposobem zmieniła jego położenie Anglja podpisała była nareszcie pokój ze Stanami Zjednoczonemi i mogła była odtąd użyć wszystkich swych sił na stałym lądzie Europy. Wojna z Ameryką mocno ją była zajęła i wysłała ona tam wszystkie wojska jakiemi rozrządzić mogła, bez ogołocenia z opieki nowego królestwa Niderlandów. Zwolniona teraz z tej troski, mogła wystawić na wiosnę r. 1816. 80,000 żołnierza w Hollandji i dostaczyć tym sposobem znacznego zasiłku nowej koalicji, gdyby nastała konieczność zawiązania takowej przeciw Prusom i Rossji.

Zebrała się na nowo 2 Stycznia Kommissja szacunkowa, celem przedyskutowania propozycji wniesionych w imieniu cesarza Aleksandra. Prusacy wzięli teraz na siebie obronę projektu wspólnego, na zeszłém posiedzeniu przez Rossję przedstawionego. Była to dla nich jak największej wagi okoliczność. Było to ich ostatnie wysilenie, aby otrzymać Saksonję, a jeśliby pokonani zostali, nie pozostanie im wtedy inny sposób, jak chwycić się oręża. Panowało między kommissarzami Pruskimi mocne rozdrażnienie. Dopełniało miary wzburzenie oficerów pruskich, zgromadzonych w znacznej liczbie w Wiedniu i nie przestający ich głosić z niepodobną do wiary chełpliwością, że oni jedni ocalili Europę, że więc nic im nie powinno być odmówionem; że zdobyli Saksonję, że zdobyli ją pod Lipskiem w straszliwych bitwach 16, 17, 18, Października 1813 r, że spierać się z nimi o to, jest to spierać się o rzecz, która jest ich własnością; że nie pozwolą sobie wydrzeć zapłaty za krew swą, że wspiera ich Rossja, towarzyszka broni; że zresztą czynią to nie dla Pruss ale dla Niemiec, albowiem każde powiększenie Prus jest krokiem jednym więcej ku jedności niemieckiej, którą tylko Prusy przywieść mogą do skutku i na której czele one tylko stanąć mogą. Minister Stein powtarzał mianowicie słowa te po całym Wiedniu, popierany przez wielu patrjotów niemieckich. Bili oni w to, jak wiele on i jemu podobni ucierpieli za sprawę Niemiec.

Pod wpływem tych podniecań, wystąpiło poselstwo Pruskie w kommissji z całą gwałtownością. Widząc jasno na jaką natrafią opozycję, stanowcze jego twierdzenia i uroszczenia bezwzględne, zamiast żeby się uspokoić, jeszcze bardziej się rozdrażniło. Unieśli się nawet tak dalece reprezentanci Prus w kommissji, że oświadczyli, iż tego czego żądają, w potrzebie dojść potrafią orężem. Lord Castlereagh, który posiadał dumę Anglika, zdziwiony podobnem występowaniem tych, którym tyle okazał był względów, dumnie odepchnął groźby Hardenberga i powie-

dział Prusakom i Rossjanom, że Anglja nie jest na to, aby sobie dała przepisywać prawa przez kogokolwiek bądź, że nie ścierpi tego i że na przeciw orężowi wystąpi z orężem. Wyszedł z posiedzenia oburzony i w stanie rozdrażnienia niezwykłym pobiegł ulżyć swemu gniewowi tam, gdzie wiedział że znajdzie najwięcej odgłosu jego uraza, t. j. do Talleyranda. Zapominając ten raz sprzymierzonych w Chaumont, opowiedział Talleyrandowi wszystko co zaszło i oświadczył na nowo, że Anglja nie ścierpi podobnego zuchwalstwa. Jak tylko ukończyła się wojna Amerykańska, spadł Lordowi Castlereagh ogromny ciężar z serca, znalazł on niebawem całą swą energję i był gotów odważyć się na ostateczną konsekwencję raczej, aniżeli ustąpić przed pychą Prusaków i Rossjan.

Zręczny Talleyrand wszedł natychmiast w położenie lorda, schlebiał zgrabnie jego uczuciom i przypomniał mu wyrzeczone przed kilku dniami słowa, że kilka wyrazów na piśmie między Anglją i Francją zaraz te kłęby pychy Pruskiej i Rossyjskiej rozwieją. Napisz Pan tę swą myśl, odpowiedział lord Castlereagh. Wtedy Talleyrand, nieczekając powtórnego wezwania, uchwycił za pióro, i tak obaj przyglądając się przedmiotowi z różnych stanowisk, zredagowali projekt konwencji, na mocy której zobowiązywały się: Austrja, Francja i Anglja, dostarczyć po 150,000 żołnierza każda, celem wspólnego działania, w razie gdyby obrona równowagi Europejskiej sprowadzić im miała nieprzyjaciół, których wprawdzie niewymieniono, ale których cały świat i bez tego poznał natychmiast. Lord Castlereagh odszedł z tym projektem i obiecał przybyć nazajutrz, porozumiawszy się wprzódy z Metternichem.

Talleyrand widział spełnione swe życzenia. Przybywszy do Wiednia w obawie ażali będzie miał jakie znaczenie, widział teraz, że poselstwo Francuzkie odgrywa wielką rolę przez rozerwanie przymierza w Chaumont i utworzenie nowego przymierza, mającego na celu bronienie zasady prawowitości. Był to zaiste ważny rezultat dla Francji, że odzyskała znakomitą rolę i rozbiła koalicję z Chaumont, aby na jej miejsce utworzyć nową; ale trzeba było znać cel, do którego ta ostatnia dąży, a jeżeli celem jej było bronić interesów dwuznacznych lub wcale przeciwnych Francji, nie było czemu przyklaskiwać tak bardzo, i lepiej było wyczekiwać jeszcze nieco tej tyle pożądanej roli, skoro mogła korzystniejszą stać się dla Francji użyciem cierpliwości.

Lord Castlereagh nie tracił czasu: zdawało mu się bowiem, że już słyszy krzyk parlamentu Angielskiego, zarzucający mu haniebną przegranę naprzeciw Prusom i Rossji. Metternicha znalazł gotowym do odsunięcia na bok przesądów dawnego sprzymierzeńca i oparcia się o Francję, aby utrzymać w razie niewdzięcznych i pełnych niesłychanych wymagalności

sprzymierzeńców. Porozumiawszy się z nim we wszystkich punktach, przybył nazajutrz zaraz, t. j. 3 Stycznia do Talleyranda i przywiózł z sobą projekt wczorajszy dokładnie opracowany. Lord Castlereagh i Metternich zadali sobie jak najwięcej pracy, aby mu nadać cechą pokojową, a nadewszystko odporną. Niemiano też istotnie zaczepić nikogo. Ale skoroby które z trzech kontraktujących mocarstw Europejskich, t. j. Francja, Anglja, Austrja, obstających z dobrą wiarą i bezinteresownością za planem odpowiadającym wymagalnościom równowagi Europejskiej, miało wywołać przeciw sobie nieprzyjaźń innych mocarstw, wtedy zobowiązuje się każde z nich dostarczyć 150,000 żołnierza, ku obronie strony zaczepionej.

Do tych zobowiązań rozprowadzonych w kilkunastu artykułach chciał ord Castlereagh dodać jedno jeszcze, według niego niezbędne i niemogące uledz niczyjemu zaprzeczeniu.

Zobowiązanie to było następującej treści: Ponieważ nie działano w obecnym razie w myśl idei ambitnych, ale idei konserwatywnych, w myśl uświęconej zasady utrzymania na swych tronach prawowitych monarchów, można więc było oświadczyć i oświadczono też naprzód, że w razie gdyby, niech Bóg zachowa, wojna ztąd wyniknąć miała, uznają wszyscy że ich wiąże traktat Paryzki i zobowiązuje podług zasad i treści swojej do oznaczenia granic i stanu każdego mocarstwa.

Tutaj Talleyrand wpadł w straszliwą łapkę. Gdyby był się zrazu nie oświadczał tak żywo i tak głośno za Saksonją, gdyby, zamiast tak gorliwie ofiarować swą pomoc, był zaczekał aby jej od niego zażądano, byłby mógł nie przystać na taki warunek, a podług wszelkiego podobieństwa nie byliby mu go postawili wcale. Byliby milczeli, zostawiając staranie o tém wojnie, t. j. jej skutkom i położonym w niej przez każde z mocarstw zasługom. Ale skoro Talleyrand pośpieszył się tak bardzo w obronie Saksonji, skoro gromił wszystkie gabinety za ich oziębłość, nie mógł teraz cofnąć się i oświadczywszy tyle razy, że Francja nie ma na celu jak tylko zasady, przyznać się, że w pewnych okolicznościach myśleć chce także o swych interessach. Byliby odwrócili się od niego, gdyby to był śmiał oświadczyć, i pospieszyli porozumieć się z Prusami i Rosją przystając na ich żądanie. Prawdę powiedziawszy nie byłoby w tém nic złego, albowiem nie była tak bardzo niekorzystną dla Francji polityka Prus i Rossji: dom Saski byłby zamieszkał nad Renem i bylibyśmy jego mieli za sąsiada, zamiast Prusy. Ale jeśli się taki miało osiągnąć rezultat, czyż nie byłoby wyszło na jedno, gdybyśmy byli doń dążyli pospołu z Rossją i Prusami, którzyby nas byli jakimś wynagrodzili za to sposobem i którzyby nie byli żądali od nas prowadzenia wojny w ich in-

teressie, jedynie tylko dla honoru prowadzenia jej razem z niemi. Ale skorośmy stale trzymali z Anglikami i Austrjakami, popychając ich tak bardzo aby działali, nie czas już teraz było pokazać się wymagającymi i odrzucać warunnek, przez nich postawiony. A przecież twardy to był warunek! Tak rychło wystawiać na szwank pokój, zaledwie po 20 latach krwawych wojen osiągnięty, pokój, będący najpopularniejszą zasługą Burbonów; narażać Francję, aby wylewała znów strumienie krwi za to, aby Niemcy mniej niepokoiły się wzrostem Rossji, a Austrja wzrostem Prus, to istotnie nie warte było fatygi i pod czas gdy mocarstwa za które bić się mieliśmy, miały zachować całą naszą puściznę i dzięki Francji uzyskać jeszcze pewność posiadania tej puścizny i mieć tylko honor darmo służyć tym z naszych zwycięzców, którzy najbardziej obstawali przy granicach naszych z r. 1790, to zaiste dość smutny był los! Ale powtarzamy nie było sposobu wycofać się i trzeba było po tém wszytkiém cośmy mówili i robili przystać na konwencję z 3 Stycznia, wraz z artykułem, przez który zobowiązaliśmy się, w razie nowej wojny, wziąść za podstawę przyszłego pokoju traktat z 30 Maja. Talleyrand podpisał bez żadnych uwag i miał słuszność w tém, artykuł ten trudno bowiem było przyjąć inaczej, jak chyba pod warunkiem, że się nań nie uważało. Trzeba było albo się oburzyć i odrzucić go w obec tych, którzy go żądali, albo go podpisać niemal z radością. To ostatnie zrobił Talleyrand. Nawet nie wymówił dla siebie niczego, n. p. zrzucenia z trona Murata, które daleko mocniej obchodziło Ludwika XVIII, niż uratowanie króla Saskiego; obawiał się aby nie opóźnić, chociażby i o chwilę, rezultatu, nad którym tyle pracował. Traktat ten, którego sobie tak bardzo życzyło poselstwo Francuzkie, który nie był żadnym pożytkiem dla dynastji, bo co najwięcej to schlebiał jej przesądom, podpisany został w nocy 3 na 4 Stycznia, z datą 3-o. Zobowiazano się do jak największej tajemnicy, aby nie dać powodu Prusakom i Rosjanom do wybuchu, a wreszcie i do wojny, a wszystkim nieprzyjaciołom koalicyi do radości, żetak gorsząca w jej łonie panuje niezgoda.

Przypuszczono wszelako do tajemnicy Bawarję, Hanower, Niderlandy, Sardynję, o których przystąpienie warto się było starać i które się też z niém tak dobrze jakby już oświadczyły. W samej rzeczy przystąpili do traktatu niebawem książe Wrede w imieniu Bawarji, hr. Münster w imieniu Hanoweru. Niderlandy i Sardynja przystąpiły parę dni później, ale tajemnica bynajmniej na jaw nie wyszła.

Austrja, Francja i Bawarja, które wystawione były na najczynniejszy w wojnie udział, miały porozumieć się względem planu operacyjnego; objawiono tedy życzenie, aby Francja przysłała do Wiednia zdatnego

i dobrze myślącego jenerała, któryby dopomógł do ułożenia wojennego planu. Talleyrand przypomniał sobie jenerała Ricard, który popadł był w niełaskę za cesarstwa, z okazji niedoszłej korony Portugalskiej dla marszałka Soulta.

Ricard był to znakomity oficer, człowiek bystry i rozumny, godzien ze wszech miar brać udział w kongresie, składającym się z najlepszego towarzystwa europejskiego. Talleyrand natychmiast poprosił oń Ludwika XVIII, przesyłając zarazem traktat, który co dopiero zawarty został.

Chociaż jak najsumienniej dochowała tajemnicy nowa koalicja, z taką przecież jednomyślnością odzywały się gabinety: Angielski, Francuzki i Austrjacki, że truduo było wątpić o ich zgodzie i postanowieniu obstawania aż do ostateczności za tém, czego żądały. Znakiem nie mniej wyraźnym była postawa jaką przybrała Bawarja.

Chociaż wszystkie państwa Niemieckie, nawet północne, podzielały uczucie Bawarji, przecież ona jedna śmiała głośno objawiać swój sposób myślenia i dawała się słyszeć, że jest gotową do wojny. Przyczyna śmiałego tego wystąpienia leżała bądź w położeniu jej jeograficznem, które ją zabezpieczało od zamachu Prus, bądź w sile, której nabrała od lat piętnastu. Prusacy nadaremnie wołali w niebo głosy, nadaremnie grozili bądź w kommissyi bądź publicznie, pozwolo im gadać i nikt nie zachwał się w punkcie głównym, t. j. zachowaniu Saksonji, niektórych ustępstw, mających na celu zaokrąglenie Prus i ukaranie jak mówiono króla Fryderyka Augusta. Kiedy mówiono o ukaraniu Fryderyka Augusta, była to tylko figura retoryczna każdy bowiem wiedział że takiego przestępstwa, t. j. przymierza z Napoleonem celem powiększenia się wszyscy się dopuścili, tak dobrze mocarstwa pierwszo-rzędne jak i książęta Niemieccy najmniejsi; każdy wiedział, że nieszczęśliwy król Saski, schwytany ostatni w przymierzu z nami, działał nie z dobrej woli, że między Europą i Napoleonem nie było innej dwuznaczności jak tylko dwuznaczność, którą rodzi słabość, i że wreszcie, jeżeli potrzeba było dla odkupienia grzechu dopuścić się głównego odstępstwa względem Francji, armja Saska dopuściła się zaiste dość rozgłośnego, aby wyjednać przebaczenie dla swego króla.

Ale chociaż przystano na pewne zmiejszenie królestwa Saskiego, nikt nie przypuszczał całkowitego wcielenia do Prus i widocznie stanęła pod tym względem decyzja, na której skutki niebezpiecznie było się narażać.

Nieroztropni dowódzcy armji pruskiej skłonni byli narazić się na wszystko, król tylko daleki był od tego; Aleksander zaś nie byłby nigdy należał do tak zuchwałego kroku, który przez to samo stał się niepodobieństwem. Aleksander dopominając się w kommisji szacunkowej przy-

łączenia całej Saksonji do Prus, podczas gdy sam poświęcił księstwo Poznańskie, uczynił wszystko czego się przyjaciel jego Fryderyk Wilhelm mógł spodziewać po jego przyjaźni, ale przyjaciel nie byłby nigdy śmiał domagać się od niego, aby się upierał aż do narażenia się na wojnę z Francją, Anglją, Austrją i z całą niemal rzeszą Niemiecką. Położenie to zarysowało się jasno w samej kommissji, w skutek postawy jaką przybrały różne poselstwa.

Prusacy i Rossjanie, chociaż obstawali z zasady przy całej Saksonji, nie mogli przecież przenieść na sobie, aby się nie wdać w dyskussję liczb, poruszoną przez Austrję. Austrja wzięła sobie za obowiązek dowieść, że Prussy, policzywszy wszystkie restytucje w Polsce w Westfali i i w prowincyach Reńskich, nie mogły rościć pretensji jak tylko jeszcze do trzech lub najwięcej czterech krocstotysięcy Sasów i że otrzymawszy tę liczbę, odzyskują stan swój z r. 1805, do którego według obietnicy powrócić miały. Dyplomaci Pruscy wdając się w tę dyskussję, przeciwstawiali taksie Austryackiej swoją taksę i utrzymywali, że muszą uzyskać więcej niż połowę Saksonii, nie tylko pod względem terrytorjalnym, ale i pod względem ludności.

Skoro zaś postawili się raz na tém stanowisku, już tém samem przyznali zasadę swych przeciwników, t. j. zachowanie Saksonji z mniejszemi lub większemi modyfikacjami. Traktat z 3 Stycznia nadając przeciwnikom Prus i Rossyi stanowczość w występowaniu bijącą w oczy, przyczynił się dużo, chociaż trzymany był w tajemnicy, do rozwiązania kwestji w zasadzie.

Jstotnie, odtąd spór zeszedł na pole liczb, musiano koniecznie dojść do stanowczego porozumienia się.

Miesiąc Styczeń poświęcono dyskussjom tego rodzaju. Bliskie otwarcie parlamentu Angielskiego przyczyniło się do prędszego osiągnięcia stanowczego rezultatu.

Parlament miał się zebrać w Lutym. Lord Castlereagh przywołany został przez kollegów, celem usprawiedliwienia swego dzieła, niezrozumianego da publiczności, nawet dla ludzi obznajmionych z rzeczą, zasługującego na zarzut niestałości, albowiem nim wziął w obronę Saksonję poświęcił ją był wprzódy. Książe Willington, poseł Angielski w Paryżu, miał opuścić Paryż i zastąpić Lorda Castlereagh w Wiedniu. Dostojny sekretarz stanu pewny będąc teraz, że Prusy ustąpią w kwesji zasady, pragnął wynagrodzić je za poświęcenie ustępstwami w szczegółach, przywiązał je tym sposobem do swego ulubionego systemu przymierzy, i zarazem przyspieszyć koniec kongresu, ustępując z wszelką gotowością w podrzędnych kwestjach.

Nie chciał lord Castlereagh opuścić Wiednia nim nie zostaną rozstrzygnięte główne kwestje i nim nie będzie mógł wystąpić przed parlamentem z pozytywnemi rezultatami. Zresztą, podzielano powszechnie tę jego niecierpliwość. Monarchowie, tak ci którzy byli gośćmi, jak i ten który był ich gospodarzem (tego ostatniego kosztowała już gościnność 25,000,000), znużeni się czuli następującemi bez przerwy po sobie, raz płochemi zabawami, drugi raz męczącemi dyskusjami, Dwa lata już upłynęły, t. j. rok 1813 i 1814 wśród trwóg towarzyszących ich straszliwej wojnie i wśród burz wzniecanych przez uzbrojoną dyplomację. Pragnęli wrócić do siebie, zająć się wewnętrznemi sprawami, używać pokoju i dać go użyć swym poddanym. Zwykle długim walkom raczej znużenie kładzie koniec niż rozum. Wszystko więc nakłaniało się teraz do zgody, tak jak wprzódy zanosiło się przez całe dwa miesiące na gorące zerwanie stosunków i na nową wojnę, celem podziału owoców zwycięztwa.

Talleyrand dbały równie tyle o pozory co o grunt rzeczy, pełen pogardy dla nierozsądnego stronnictwa rządzącego we Francji, a jednak starający się o jego względy, skłonił wszystkich monarchów zgromadzonych w Wiedniu, aby do szeregu nieprzerwanych zabaw przyczepili obchód pogrzebowy na cześć Ludwika XVI, który naturalnie przyjść miał na dzień 21 Stycznia. Talleyrandowi zależało wiele na tém; spodziewał się bowiem podwójne wywrzeć wrażenie, jedno w Wiedniu, drugie w Paryżu; w Wiedniu będzie podobny obchód wybitnym dowodem względności dla poselstwa Francuzkiego, w Paryżu zyska pochwały rojalistów i będzie służył za dowód wpływu jego na głowy ukoronowane. Podobnej propozycyi raz zrobionej, czy ona była stosowną czy nie nie mogli monarchowie nie przyjąć; albowiem żaden z nich nie byłby chciał odmówić hołdu ofiarze dostojnej z 21 Stycznia, a skądinąd byłoto nowe przekleństwo, rzucone na rewolucję Francuzką, które musiało być w guście monarchów. Jeden tylko cesarz Aleksander, chociaż nie odmówił, zrobił prostą uwagę; odezwał się bowiem, że nikt nie może wątpić o uczuciach Europy dla nieszczęśliwego Ludwika XVI, ale że obrząd proponowany jest tylko manifestacją stronnictwa, nader niepolityczną w Paryżu, a w Wiedniu naśladownictwem niezgrabném i małogodném; że jednak mimo to, jeżeli obstają przytem, on uczestniczyć będzie obrzędowi, ponieważ poselstwo Francuzkie jedynym jest sędzią tego, co przystoi rządowi Francuzkiemu.

I otóż przywdziewają naraz wszystkie te głowy ukoronowane, które co dopiero naraziły się na śmieszność z przyczyny nadmiaru zabaw i zbytków, żałobę i udają się 21 Stycznia do kościoła katedralnego Ś. Szczepana, aby uczcić swą obecnością obrząd uroczysty na cześć Ludwika XVI. Obrządek odbył się z jak największą okazałością. Monarchowie znaj-

dowali się wszyscy na nim, otoczeni swemi dworami; ksiądz francuzki miał kazanie o Ludwiku XVI i Maryi Antoninie, a po kilku godzinach tej politycznej żałoby, wrócono znów do zabaw i spraw kongresu, słynnego tak z jednych jak z drugich. Metternich, Talleyrand i lord Castlereagh widząc, że Prusy tak dobrze jak uległy, umówili się pod przewodnictwem księcia Szwarzenberga, reprezentującego interesa wojskowe Austrji, przyprowadzić do skutku taki podział Saksonji, aby królestwo to nie będąc zupełnie wcielone, mogło jednak dostarczyć materjału łakomstwu sąsiada. Nasamprzód zgodzili się na odebranie mu większej części kraju na prawej stronie Elby, mianowicie górnéj i dolnéj Luzacji. Saksonja prawdziwa leżała, w istocie, daleko bardziej na lewym brzegu Elby, a na brzegu prawym leżały głównie prowincje przyłączone. Wszelako odbierając jej górną i dolną Luzację, zostawiono jej część, ciągnącą się po nad wąwozami Czeskiemi, t. j. Budyszyn i Zittau. Zgodzono się dalej na zmniejszenie jej na lewym brzegu Elby ku Miśni i Turyngji, t. j. ku krajowi płaskiemu, będącemu najrozleglejszym, ale najmniej zaludnionym, a zostawiono jej kraj górzysty, który był nietylko najbardziej przemysłowym, ale obchodził najbardziej Austrję, bo ciągnął się wzdłuż jej granicy. Chciano zrazu wziąść tylko 4 do 500,000 dusz nieszczęśliwemu królestwu, oddanemu pod nóż oprawczy jeografów kongresowych, ale na wstawienie się lorda Castlereagh, któremu chodziło o odzyskanie przyjaźni Prusaków, a szczególniej o szybki koniec, zgodzono się na odjęcie 700,000 dusz z 2,000,000, z jakich składało się dawne terrytorjum Saksonji. Umniejszono więc Saksonję o jedną trzecią część ludności i o połowę niemal obszaru terrytorjalnego. Pozycje nad Elbą, ważniejsze jeszcze były niż rozciągłość kraju. Pozycja miasta Torgau niemały wznieciła spór. Oddawszy Wittenberg, oddać jeszcze Torgau, który według zdania Napoleona i przykładu przezeń zostawionego, a stanowczego w podobnej materji, stanowił główną pozycję nad górną Elbą, była to rzecz nader niepokojąca. Książe Szwarzenberg i Talleyrand chcieli się oprzeć temu, ale opuszczeni przez lorda Castlereagh, zmuszeni zostali ustąpić. Przyjęto nareszcie plan, na mocy którego otrzymywały Prusy, prócz ważnych punktów Wittemberga i Torgau, połowę kraju Saskiego, a jedną trzecią część jego ludności. Prawda, że główne miasta i najbogatsza część kraju pozostały przy Fryderyku Auguście.

Plan ten ułożony między Francją, Austrją i Anglją, podczas gdy kommissarze dyskutowali, a często i spierali się gwałtownie, przedłożony został kommissji szacunkowej w pierwszych dniach Lutego. Oczywistém było, że to plan umówiony i że Rossjanie i Prusacy nie otrzymają wiele

więcej, choćby się nawet narazili na zupełny rozbrat. To do czego się zobowiązano względem Prus, wymierzono im z okładem, albowiem przywrócono je na stopę z 1805 r. i pociągnięto im nieskończenie lepsze granice. W końcu zeszła Saksonja z drugo-rzędnego państwa na państwo trzeciego rzędu w łonie rzeszy Niemieckiej. Rossja zresztą, odstąpiwszy księstwo Poznańskie i naraziwszy się nawet na wojnę w interesie Prus, dopełniła miary swego poświęcenia. Czuły to Prusy, postanowiły więc ustąpić. Tymczasem jeden punkt leżał im jeszcze na sercu, punkt, przy którym obstawali wojskowi Pruscy przez miłość własną, a kupcy pruscy z interesu, a punktem tym było sławne miasto Lipsk. Pycha Prusaków upatrywała w zajęciu dla siebie Lipska nagrodę za poniżenie, jakiego doznają, cofając się z Saksonji, którą — jak utrzymywali — kazano im zająć, co wyrównywało obietnicy, że cała zostanie przy nich.

W skutek tego wystosowały Prusy na d. 8 Lutego notę, w której wymawiając, odnośnie do przedłożenia układu, po raz pierwszy słowo: «przyjmujemy,» zażądały ustąpienia sobie Lipska. Opierały swe żądania na tém, że dostaje im się najmniej zamożna, najmniej zaludniona część Saksonji, nie obejmująca żadnego znacznego miasta. Napomknęły, ale w wyrazach nader umiarkowanych, że podczas, gdy wróciły tylko na dawnę swą stopę z r. 1805, Austrja pozyskała daleko więcej, aniżeli posiadała w owym czasie, albowiem pozyskała 1,500,000 dusz bezpośrednio, a najmniej 2,000,000 pośrednio dla linji pobocznych, panujących w Florencji, Modenie, Parmie i t. d.

Jak to się zwykle zdarza, ostatnie posiedzenie zapisać należy do rzędu najburzliwszych. Król widział się z lordem Castlereagh, powiedział mu, że go chcą zniesławić, uniepodobnić mu powrót do Berlina, każąc mu wychodzić z Saksonji, którą już był zajął i że jedynie Lipsk mógłby mu osłodzić podobnie gorzkie poświęcenie. Łatwo było na to odpowiedzieć, że to jego własna wina, jeśli ewakuacja Saksonji taką go napawa goryczą, albowiem zajął ją był z pewnym rodzajem nierozwagi, że niepodobieństwo więc, aby się ostać mógł przy niej, że powinien sam siebie tylko obwiniać o ten gorzki niesmak. Lord Castlereagh zawiadomił swych sprzymierzeńców o usilném domaganiu się Fryderyka Wilhelma, ale pominąwszy okoliczność, że Anglicy woleli, w handlowym własnym interesie, aby Lipsk należał do małego, aniżeli do wielkiego państwa, taki napotkał minister angielski w tym punkcie opór, że nie myślał nalegać. Porozumiano się tylko, aby jeszcze coś dodać Prusom, które targowały się uporczywie, nietylko o sporne terrytorja, ale i o każde 1,000 dusz. Anglia poświęciła Ha-

noweru 70,000 dusz z 300,000, które mu Prusy dać miały, Niderlandy ze swéj części 50,000 i nareszcie cesarz Aleksander, który chciał wszystkich uspokoić, jeszcze większe zrobił poświęcenie. Chciał on utworzyć z Krakowa, z przyczyny ważności jego moralnej, a z Torunia, z przyczyny ważności jego wojskowej, miasta wolne i neutralne. Odstąpił teraz co się tyczy Torunia od swego żądania i dał go Prusom.

Tym sposobem posiadały teraz Prusy wszystkie punkta obronne nad dolną Wisłą, t. j. Toruń, Grudziądz, Gdańsk, otrzymawszy Torgau, Wittenberg, Magdeburg i t. d. Za tę cenę zostawiono Lipsk Saksonii, a Prusy przystąpiły nareszcie do proponowanej ugody. Nie miały one zaiste powodów do narzekania, a jednak wykrzyknął zapalczywy Blücher, nie hamując wybuchów swego języka, co przecież powinnością było jego, jako bohatera, że już nie będzie odtąd można nosić munduru pruskiego. Dowiódł on był, a dowieść miał jeszcze lepiej, że można go było nosić z honorem.

Odtąd główne trudności kongresu załatwione zostały, a jeżeli kwestje, które jeszcze pozostały do rozwiązania, wymagały usiłowań, a nawet poświęceń, żadna z nich nie groziła wojną. Tego samego zdania byli monarchowie, tak dalece, że przedsięwzięli rozjechać się i powierzyć ministrom swym ukończenie tych drugorzędnych kwestji.

Tymczasem pozostała jeszcze jedna trudność do zwalczenia pod względem Saksonji samej, trudność nie lada, jakąkolwiekby była potęga dawnych sprzymierzonych, a trudność ta leżała w pozyskaniu zezwolenia króla Sakiego. Łagodny ten i dobroduszny monarcha, więziony w Berlinie, przedsięwziął był sobie nie zezwolić nigdy na nic, cokolwiekby ułożono z jego szkodą, a przedewszystkiém, nigdy na żadne przesiedlenie. Otoż, podług zasad tak dobrze wówczas, jak i po wszystkie czasy wyznawanych, to tylko nabyte jest dobrze i z niezaprzeczoném prawem, co prawowity monarcha odstępuje innemu z dobrej i nieprzymuszanej swej woli. Zasady te, któremi tyle posługiwał się Talleyrand, celem zastosowania ich później w sprawie Murata, dawały prawdziwą siłę moralną królowi Saskiemu, a w czasach w których namiętnie szukano stanowczości, w których usiłowano wybrnąć z niepewności — jak nazywano — rewolucyjnej, aby osiągnąć trwałość monarchiczną, w czasach tych poszukiwali skwapliwie wszyscy nabywcy nowych krajów dobrowolnego przyzwolenia dawnych posiedzicieli.

Aby otrzymać zezwolenie króla Saskiego, postanowiono wrócić mu wolność, sprowadzić go do Austrji, ale nie do Wiednia, gdzie zastałby był prawda obrońców swych, ale zarazem i swych wydzierców, zawieść go np. do Presburga, gdzie udać się mieli trzej główni ministro-

wie gabinetów, które stawały w jego obronie, t. j. Talleyrand, Metternich i Wellington (który zastąpił lorda Castlereagh), aby go skłonić do zrzeczenia się praw swych na rzecz Prus.

W innych kwestjach europejskich nastąpiła prawie zgoda, z wyjątkiem wszelako kwestji Włoskiej. I tak stanowczo uznano nowo utworzone królestwo Niderlandów, objęte już traktatem w Chaumont i w Paryżu. Postanowiono, że książe Oranii, reprezentant tegoż domu, otrzyma tytuł króla Niderlandzkiego i połączy pod swém berłem Belgję i Hollandję. Do tego rozporządzenia dodano jeszcze niektóre terrytorjalne. Nie chciano, aby Luksenburg i Moguncja dostały się Prusom. Oddano więc przyszłemu królowi Niderlandzkiemu księstwo Luksenburgskie z Luksenburgiem samym, który miał zostać miastem związkowém, a Prusy, które otrzymały już były wszystko to, co my posiadali z tej strony, wynagrodzone zostały krajami dziedzicznemi księcia Oranii, których potrzebowały do zamiany na inne ziemie z domem Nassauskim. W skutek tych rozporządzeń, nie graniczyły już Prusy z Francją na tak obszernej przestrzeni, bo tylko od Sarreguemines do Thioville, zamiast od Sarreguemines do Mezières.

Pomieniano się jeszcze na inne różne ziemie, celem ukonstytuowania lepszego terrytorjum Prus. Prusy posiadały pod nazwą prowincji Reńskich, dawne elektoraty duchowne: Koloński i Trewirski, dalej księstwo Juelich, które od r. 1803 należały były w większej części do Francji na lewym brzegu Renu. Z naszych posiadłości zostały jeszcze na tym brzegu: dawny palatynat, nazwany Reński, t. j. kraj położony między Renem i Mozelą od Lauterburga do Worms i od Rohrbach do Kreuznach. Pod tym względem nie było trudności wielkich, albowiem zgodziły się Austrja i Prusy, aby Mozela stanowiła linję graniczną między klijentelą pruską a austrjacką. Dano palatynat Reński Bawarji, a to co zostało z terrytorium elektora Mogunckiego, domowi Hesko-Darmstadzkiemu, objętemu, naturalnie, w tej powszechnej restauracji, tak samo, jak i dom Hesko-Kasselski. Moguncja dostała się Hesko-Darmstadzkiemu domowi, ale jako miasto związkowe, którego garnizon składać się miał z żołnierzy wszystkich mocarstw niemieckich. Dom Hesko-Darmstadzki tym sposobem uposażony, odstąpił Prusom dawne księstwo Westfalskie, przez co terrytorjum Prus, które już otrzymały były księstwo Bergu, należące do nas na prawej stronie Renu, rozciągało się niemal bez przerwy od Renu do Elby; albowiem, jeśli były przerwy, stanowiły je niektóre małe księstwa niemieckie, od Prus zależne. W skutek cessji, za które otrzymały równą wartość, zostawiły Prusy Hanowerowi, prócz księstwa Hidesheim, wschodnią Fryzję, o któ-

rą Anglii chodziło dla morza; Hanower zaś odstąpił im księstwo Lauenburskie, położone na prawym brzegu Elby, blisko Hamburga. Księstwo to, miały zamiar Prusy wymienić z Danją na Pomeranję szwedzką.

Nieszczęśliwy król Duński nielepszego doznał obejścia, aniżeli król Saski. Wierny będąc Francji, z którą łączyły go przeciw Anglji zasady prawa morskiego, postępował zawsze z wzorową rzetelnością, a kiedy zmuszony został po klęskach Napoleona opuścić nas, uczynił to bez żadnéj dwuznaczności. Ale w epoce bezprawia źle wynagrodzono to jego uczciwe postępowanie, odebrano mu bowiem Norwegję, aby dać Bernardottemu jako wynagrodzenie za Finlandję, a zarazem aby zjednać dlań popularność, mającą zastąpić to, czego mu nie dostawało pod względem urodzenia. Wszelako obiecano Danji natomiast Pomeranję szwedzką, obejmującą Strahlsund z wyspą Rugją, lichy zaiste zakątek dawnej szwedzkiej potęgi w Niemczech i dano jej do zrozumienia, że może liczyć na uzupełnienie wynagrodzenia. Król przybył do Wiednia dopomnieć się wykonania tej obietnicy i chociaż postępował sobie z wielką godnością i przezornością, a bronił praw swych niezaprzeczonych z wielkiém umiarkowaniem, chociaż uznano, że ma zupełną słuszność, nie zatrudniono się przecież wcale jego sprawą i nawet nie przypuszczono jego ministrów do kongresu. Słynne godło „Vae victis!" nigdy zupełniej nie zostało usprawiedliwioném; z 32,000,000 poddanych zabranych cesarstwu Francuzkiemu, nie umiano znaleść cząstki żadnej dla króla Duńskiego, którego odarto — dla dobra ogółu, jak mówiono; — uchodziło bowiem za dobro ogółu dać Norwegję Bernardottemu. Co więcej, nie było nawet pewném, czy król Duński otrzyma obiecaną mu Pomeranję szwedzką, nędzne zaiste wynagrodzenie; Bernardotte bowiem odmawiał jej pod pozorem, że koalicja nie wypełniła jeszcze zobowiązania względem niego, odstępując mu Norwegję, albowiem Norwegczycy opór mu stawiali

Posuniętoby, podług wszelkiego podobieństwa, niesprawiedliwość do ostateczności, gdyby Prusy nie były pragnęły Pomeranji szwedzkiej. Terrytorjum Prus, utworzone nie przez naturę, zesztukowane w różnych czasach przez ambicję monarchów Pruskich z kawałków i łat, miało zupełnego doznać przekształcenia. Chwila była po temu jak najpomyślniejsza, albowiem po krótko trwałym oporze, pozwolono im znów robić, co im się podoba. Anglja, dla zaskarbienia sobie ich przymierza na korzyść Niderlandów, Rossja z uprzejmości, a Austrja, aby ją zostawiono w spokoju we Włoszech. Gabinet Pruski biegał więc za facjendami, aby tylko sobie zapewnić ciągłość terrytorjalną od Renu do Niemna. Odstąpiły Prusy, jak już powiedzieliśmy, Luksenburg domowi Oranji,

aby pozyskać od niego kraje jego dziedziczne, i aby znów za te kraje otrzymać od domu Nassauskiego różne kawałki kraju w Hessji. Tak samo żądały pewnej części elektoratu Moguckiego, aby go zamienić z domem Hesko-Darmstadzkim na księstwo Westfalskie. Wreszcie chciały mieć Pomeranję szwedzką, aby uzyskać w zupełności ujścia Odry i posiąść brzegi Baltyckie od Meklenburgii do Memla. Natomiast ofiarowały dać Danii księstwo Lauenburskie, które kazały sobie dopiero co cedować przez Hanower i które dotykało Holsztynu. Ale Danja nie mogła w tem upatrywać wynagrodzenia za Pomeranję szwedzką, a tém mniej zadośćuczynienia obietnicy uroczystej: że dany jej zostanie kraj, wyrównywający wartością Norwegji. Prusy umyśliły dodać do księstwa Lauenburskiego kilka miljonów talarów; koniecznie trzeba im bowiem było jak najwięcej ziemi, chociażby przyszło za nią zapłacić, skoro nie można było wziąść jej przemocą. Król Duński zastosował się koniec końcem z rozpaczy do propozycji Pruskich, uznawszy, że lepiej było nareszcie pozyskać kraj przylegający do jego dzierżaw Holsztyńskich, a niżeli zatrzymać kraj tak odległy, jak Pomeranja szwedzka, a do tego tak niepewny; Szwecja bowiem wzbraniała się go wydać Danji. Danja zasługiwała ze wszechmiar na lepsze z nią się obejście, już to dla zalet swego monarchy, przymiotów ludu Duńskiego i jego zacnego postępowania, już to ze względu na jej położenie, jako strażniczki Zundu; ostatnia ta okoliczność czyniła ją potrzebniejszą dla równowagi Europejskiej, aniżeli wiele innych państw. Ale Danja należała do strony zwyciężonej. Jest jeszcze podobieństwo pomyślnego skutku dla zwyciężonych wtedy, gdy jeden człowiek jest zwycięzcą, jak nim np. był Napoleon, można udać się do jego wspaniałomyślności; nie ma zaś żadnego, gdy zwycięzca składa się z gromady mocarstw, jedynie swym interesem zajętych, chciwych, aby jak najprędzej wziąść swe obrywcze, pozbawionych serca, a nawet wstydu, albowiem wśród gromady zawsze każdy z członków zwala na całość takie czyny, za któreby się mógł rumienić.

Aby uzupełnić szereg zamian, przystały nareszcie Prusy na odstąpienie Bawarji, która ją srodze obraziła, księstwo Auszpach i Bayreuth, położonych w Frankonii, a należących od dawna do Prus; w zamian zaś za nie otrzymały w. księstwo Berg, należące dawniej do Bawarji.

W skutek wszystkich tych zamian, ukonstytuowały się Prusy, jak tylko najlepiej mogły. Rozciągały się bowiem niemal bez przerwy od brzegów Mezy do brzegów Niemna; rozszerzyły się nieco w kierunku Saksonji, choć nie tak bardzo, jak tego żądały, uzyskały przez nabycie w. księstwa Poznańskiego styczność między Szląskiem a Staremi Pru-

sami, dostały im się mianowicie główne twierdze nad rzekami, które płynęły przez ich terrytorjum, t. j. Toruń, Grudziądz i Gdańsk nad Wisłą, Wrocław, Głogów i Szczecin nad Odrą, Torgau, Wittenberg i Magdeburg nad Elbą, a Koblencja i Kolonja nad Renem. Narzekały tylko na jednę rzecz, t. j. że posiadły kawał kraju na lewym brzegu Renu, nie jednak z przyczyny sąsiedztwa, które niekoniecznie musi być powodem nieprzyjaźni, ale z przyczyny podejrzliwości, jaką w nich musiało wzbudzać posiadanie kraju, dwadzieścia lat dzierżonego przez Francję.

Przyznać musimy na pochwałę zdrowego rozsądku pruskiego, że sobie tego kawała kraju nie życzyli i że jeśli przystali nareszcie, to tylko z grzeczności dla Anglji, której chodziło o jak najtrwalsze poróżnienie się Prus z Francją. Byłyby Prusy chętnie wyrzekły się lewego brzegu Renu, chociażby i Francja znów posieść go miała, aby tylko pozyskały całą Saksonję.

Po ukonstytuowaniu Prus, przywróceniu obu domów Heskich, niesłusznem z Danją obejściu się, pozostało jeszcze, jako najważniejsze zadanie, ukonstytuowanie terrytorjum Bawarskiego. Zasadę położył był już traktat Paryzki. Bawarją miała zwrócić Austrji linję rzeki Inn, Tyrol i Voralberg, Austrja zaś Bawarji w. księstwo Würzburgskie, opróżnione przez powrót arcyksięcia Ferdynanda do Toskanji, dalej księstwo Aszaffenburskie odebrano księciu prymasowi, byłemu prezydentowi Ligi Reńskiej, i nareszcie większą część dawnego palatynatu Reńskiego, już dawniej posiadanego przez Bawarję. Była to nowa zachuba sprzymierzonych w Chaumont, aby pod pozorem przywrócenia każdego na swoje miejsce, zasiać kość niezgody między Francją a Bawarją, jak to już uczynili między Francją a Prusami. Jak tylko przecież kwestja Saska i Polska, które zagrażały wojną, rozwiązane zostały, poczynać się zdawano we wszystkiém z dziwną łatwością; tak więc i tutaj bliskie były porozumienią oba dwory interesowane, dzięki rozejmstwu Francji, sprzymierzonej z Austrją i Bawarją od czasu traktatu z d. 3 Stycznia. Austrję i Bawarję dzieliła kwestja dawnego biskupstwa Salcburskiego, które, skoro stanowić miało linję graniczną Inn i Salza musiało przyjść do podziału. Bawarja chciała zatrzymać sobie przynajmniej gród Berchtolsgaden, o który dawniej tyle prowadzono wojen z przyczyny kopalni soli. Francja, nie chcąc się stanowczo oświadczyć nagliła oba dwory, aby się między sobą porozumiały, co też zdawało się być dość bliskiém.

Nastąpiła więc zgoda we wszystkiém, co się odnosiło do północnej Europy. Postanowiono stanowczo zasady nowej konstytucji Niemieckiej. Austrja pokazała rzadką mądrość, sprzeciwiając się przywróceniu koro-

ny Niemieckiej, do czego wszelka była gotowość, i nie przyjmując prowincji Belgijskich, życzących sobie raczej zwierzchnictwa Austrji, niż Hollandji, a których byłaby chętnie odstąpiła Anglja Austrji, aby ją narazić Francji, tak jak jej już naraziła Prusy i Bawarję. Austrja zezwoliła, aby się drudzy narażali, ale sama nie myślała bynajmniej o tém i odrzuciła ofiarowane jej prowincje Belgijskie, choć bogate, piękne i przychylne, ale dalekie i zbyt blisko Francji położone. Prowincje Wenecka i Lombardzka nie tyle przemysłowe, ale równie żyzne i lepiej ze względu na nią położone, daleko jej bardziej przypadały do smaku. Kiedy chodziło o koronę Niemiecką, Austrja, która znała jej ciężar i nie chciała być w zależności od elektorów, a wiedziała zresztą, że Prusy nie mogły zezwolić, jak tylko na koronę wybieralną, w nadziei, że kiedyś i im się dostanie, Austrja miała ten rozum, że nie chciała już więcej tej twardej korony, którą za każdym razem otrzymać tylko można było, schlebiając elektorom, która więc i Prusom dostać się mogła, coby było zagrażało stanowisku Austrji. Wolała tedy, że ta korona nie będzie istnieć i że się zmieni na attrybucję istotnie użyteczną, t. j. na wieczystą prezydenturę rzeszy Niemieckiej. Prawda, że tym sposobem zostawiono bez decyzji jednę z najważniejszych kwestji, ciężarną kłopotami na przyszłość, t. j. kwestją dowództwa nad wojskiem Rzeszy. Ale w tej chwili myślano tylko, jak się urządzić na czasy pokojowe, z czego wnosić można, że każda epoka około jednej tylko krzątać się może myśli.

Dano pierwszeństwo dawnemu, ale uproszczonemu sejmowi Rzeszy, a wieczystą jego prezydencję powierzono Austrji. Zamiast podziału dawnego na stany i niezliczonej liczby głosujących, postanowiono zastosować się do skazówek czasu i skupić głosy, tak jak skupiono suwerenność. Ustanowiono więc zwyczajne zgromadzenie z 17 członków Rzeszy, w którém każdy z nich miał tylko jeden głos, jakakolwiek zkądinąd była jego potęga, czy Austrja, czy Baden, czy Prusy, czy Meklenburg, wyjąwszy wszelako bardzo małe państewka, które złączone w gromady, jeden tylko głos mieć miały. Mianowicie miały dawne wolne miasta, zredukowane na cztery, t. j. Frankfurt, Brema, Lubeka i Hamburg mieć wszystkie razem jeden tylko głos. Niezależnie od tego zwyczajnego zgromadzenia, nieprzerwanie zasiadającego w Frankfurcie, rozstrzygającego sprawy bieżące i stanowiącego o kompetencji, ustanowiono drugie zgromadzenie, zwane ogólném, złożone z 69 głosujących, w którém każdy mieć miał liczbę głosów stosowną do jego znaczenia, skoroby szło bądź o prawa zasadnicze, bądź o wielkie interesa Rzeszy.

Nowa ta reprezentacja Rzeszy Niemieckiéj odpowiadała—trzeba to przyznać—zacieraniu się różnic społecznych i zmniejszonej liczbie małych suwerenności, odpowiadała—jedném słowem—upraszczającemu się coraz bardziej nowożytnemu społeczeństwu. Członkowie Rzeszy zachowywali swą niezawisłą udzielność, mogli mieć swe wojska, swych reprezentantów przy różnych dworach Europejskich, ale nie mogli zawierać przymierzy, sprzeciwiających się ugodzie związkowej lub bezpieczeństwu Rzeszy i zobowiązani byli, w razie gdyby bronić przyszło wielkich tych interesów, dostawić kontyngens obliczony według sił każdego z nich.

Zdrowe to były idee, nie bacząc na zastosowanie, jakiemu ulegną w różnych czasach i okolicznościach, i winny być policzone do najlepszych postanowień kongresu. W miesiącu Lutym wszystkie te rozmaite stypulacye albo już były zredagowane albo tak dobrze jak ułożone, albowiem, podczas gdy traktowały się wielkie kwestje, grożące niemal powszechną wojną, pracowano bez przerwy około rozwiązania kwestji drugorzędnych. Uprawniwszy otrzymane rezultaty osobnemi traktatami, które strony bezpośrednio interessowane zawrzeć miały między sobą, postanowiono wybrać z każdego z owych osobnych traktatów to, co dotyczy niezmiennego interesu ogółu i ułożyć z tego traktat powszechny, który podpisać mieli jako rozjemcy i poręczyciele ci ośmiu, którzy zawarli byli pokój Paryzki, a jako strony interesowane i osobiście zobowiązane, reprezentanci wszystkich państw zgromadzeni w Wiedniu. Ten to jest traktat, który potem ogłoszono pod nazwą: „Akt finalny Wiedeński.“

Pracą tą redakcyjną zajęto się w Lutym r. 1815; nie mogła więc być skończoną jak dopiero za kilka tygodni Przez ten czas usiłowano rozwiązać ostatnie kwestje nieco jeszcze wątpliwe. Z liczby tych była kwestja Szwajcarska. Zajęła nią się mocno komisja specjalna, a szczególniej trzy mocarstwa, które były czynne, t. j. Rossja, Austrja i Francja. Cesarz Aleksander nie chciał, jako człowiek liberalny, aby okazanie się jego w Szwajcarji dało pochop do szalonej kontrewolucji; Austrja mało dbając o zasady liberalne, szukała w tej kwestji strony praktycznej; Francja nareszcie, któréj klijentelę stanowił kanton Bern i małe kantony demokratyczne, chciała układu, któryby ani jednych ani drugich nie krzywdził. Takie połączenie umiarkowanych chęci zrodzić musiało rezultat dość rozsądny i dość odpowiedni duchowi czasu. Widzieliśmy już, że trzy główne mocarstwa sprzeciwiły się przywróceniu nowych kantonów do stanu dawnego kantonalnego poddaństwa i postawiły za zasadę, że zostać ma tych 19 kantonów, tak jak je był potwierdził akt medjacyjny. Francję, której pomocy wzywali przeciw tej za-

sadzie Berneńczycy i mieszkańcy Lucernu, Uri, Szhwytzu i Unterwaldenu, reprezentował szczęściem książe Dalberg. mąż wysokiego wykształcenia. Udało mu się przekonać ich, że jedynie tylko tę zasadę przyjąć można, niepodobieństwem jest bowiem wtrącić kantony Wallis, Argowii, St. Gallu i t. d. w dawny stan, bez ohydnej wojny domowej, na którą Europa nigdy nie zezwoli. Przyjęto więc stanowczo zasadę, że Szwajcarja ma 19 kantonów. Ze wszelako kanton Bern dawniej tak był obszerny i zamożny, obecnie nim być przestał, wymaga tu więc nieco sprawiedliwość i rozsądek aby go wynagrodzić.

Do Francji cesarskiej, po której puścizna służyła na pogodzenie wszystkich, zostały były niektóre ułamki kraju z tej strony gór Jura, t. j. Porentruy i dawne biskupstwo Bazylejskie. Otóż dwa te ułamki pospieszono ofiarować jako wynagrodzenie kantonowi Bern, które tenże nareszcie przyjął. Postanowiono prócz tego, że nowe kantony zapłacą pieniężne wynagrodzenie dawnym kantonom, zubożałym przez odłączenie się tamtych. Nowe kantony zgodziły się na to wynagrodzenie, rade że za tę cenę ocalą swe istnienie i tym sposobem załatwione zostały wszystkie trudności dotyczące egzystencji i terrytorjów. Zażądano nadto, aby ugoda związkowa ogłosiła i uświęciła zasady równości cywilnej tak kantonów, jak i klass społeczeństwa między sobą. Wreszcie podarowano jeszcze Szwajcaryi kilka klejnotów, wypadłych z korony Francji, uchwalono bowiem że Nefszatel, dotacja księcia Berthier, że Genewa świeżo przywrócona do stanu wolnego miasta, że Valais zostająca w zawieszeniu między Francją i Włochami, stanowić będą trzy nowe kantony, które się przyłączą do owych 19.

Ideę wziętą z aktu medjacyjnego, t. j. iż rząd związkowy po kolei dzierżyć będą główne kantony, zachowano. Aleksander—zawsze prowadzony przez Laharpa—chciał przecież wykluczyć od tej kolei kanton Bern. Ale oparły się temu tak Francja z powodów klienteli i sprawiedliwości, jak Austrja ze skłonności do stronnictwa arystokratycznego; został więc rząd kolejny związku Szwajcarskiego przy tych trzech kantonach.

Odnowiono więc mniej więcéj akt medjacyjny, z dodatkiem wynagrodzeń dość słusznych dla dawnych interesantów i trzech kantonów oderwanych od Francji. Postanowienia te przedłożone Szwajcarom, przyjęte potem przez wszystkie kantony, miały otrzymać potwierdzenie Europy, z zwykłém zaręczeniem wieczystej neutralności.

Chodziło jeszcze tylko o Włochy, gdzie trzeba było rozstrzygnąć dwie kwestje jak największej wagi: kwestję Parmy i Neapolu, którą odkładano od dnia do dnia w nadziei, że sam czas ją rozwiąże. Jak po-

wiedzieliśmy, rozstrzygnięto kwestję Sardyńską, przyłączywszy Genuę do Piemontu i zapewniwszy linji Carignan następstwo tronu. Austrja bo nie poruczyła nikomu kwestji ją samą obchodzących. Przywłaszczywszy sobie Lombardję aż do Tessynu i Padu, wprowadziła natychmiast w posiadanie Toskany i Modeny linje poboczne familji cesarskiej. Szło więc tylko jeszcze o porozumienie się o Parmę i Neapol, z których pierwszą reklamowały oba domy Burbonów dla królowej Etrurji, a drugi dla Ferdynanda IV. Talleyrand zrazu tak gorliwy w sprawie Murata, tak się był zatopił w kwestji Saskiej, że niemal przestał już mówić o Włochach do Metternicha i że nie zażądał nawet, w nagrodę za pomoc ofiarowaną w sprawach Północy, obietnicy, że głosować będzie Austrja i Anglja z Francją w sprawie Neapolitańskiej. Poprzestał na małoznaczącém zastrzeżeniu, że wszelkie decyzje o sprawach włoskich będą tak długo tymczasowemi, dopóki nie nastąpi zgoda w kwestji Neapolitańskiej. Zastrzeżenie to nie wiele znaczyło, albowiem jedyne punkta nad któremi cokolwiek uradzono, odnosiły się do Sardynji, a Francję bardziej właśnie niż którekolwiek mocarstwo obchodziło ustalenie kwestji Sardyńskiej. Talleyrand popadł więc w ostatniej chwili w zależność od dobréj woli kongresu, a że wszyscy jak najprędzej rozjechać się chcieli, można się było obawiać, że się rozjadą nic nie postanowiwszy; co byłoby ocaliło Murata, który będąc w posiadaniu królestwa, potrzebował tylko cicho siedzieć, aby wygrać sprawę.

Ludwik XVIII nie przestawał wszelako nalegać na Talleyranda w tej sprawie, która go daleko bardziej obchodziła niż sprawa Saska. Ludwik XVIII, którego zapatrywania się na zewnętrzną politykę były choć rozsądne ale ciasne, nie życzył sobie wcale, aby poselstwo Francuzkie odgrywało zbyt czynną rolę w Wiedniu. Dumny—jak już powiedzieliśmy—ze swego pochodzenia, rad że wrócił na tron swych ojców, miał się za dość potężnego, niechby się tylko utrzymał na tronie, i chciał tylko pozbyć się Murata, który według niego był skrytym spólnikiem Napoleona, gotowym dostarczyć temuż środków do wystąpienia na scenę świata, bądź we Francyi bądź we Włoszech, Ludwik XVIII dał przez to dowód większej przezorności aniżeli Talleyrand, który całą swoją gorliwość skierował na kwestję Saską. Jak tylko przecież kwestja Saska raz załatwioną została, zaczął na nowo Talleyrand, podniecany przez swego króla, mówić do wszystkich członków kongresu o Włochach; ale wytrąconą on już miał broń z ręki, nie zastrzegłszy sobie niczego u Austrji i Anglji.—Niechby był dał czas Metternichowi w kwestyi Neapolu, której dobre i łatwe rozstrzygnięcie wymagało czasu, o to mniejsza; ale że się połączył przymierzem z Anglją i Austrją jed; nie tylko z przyje-

mności aby podpisać traktat i bez zastrzeżeń żadnych przeciw Muratowi, był to rodzaj postępowania, który mógł go był drogo kosztować, i którego też w istocie o mały włos co drogo nie odkupił. Cesarz Aleksander, z którym starał się o tém mówić, słuchał go jak się słucha tych, którym nic nie jesteśmy winni; Lord Castlereagh słuchał go jak sprzymierzeniec chcący się podobać, ale bez żadnéj gorliwości dla zasady prawowitości i będący w bardzo przykrem położeniu w skutek zobowiązań, jakie miał względem Murata; Metternich nareszcie jak przebiegły dyplomata, który umiał posługiwać się Francją, ale który nie dbał o danie jej dowodów wdzięczności, a obawiał się bezustannie wzniecenia pożaru we Włoszech.

Szczęściem dla Talleyranda, że znalazł w księciu Wellingtonie, co dopiero przybyłym do Wiednia, nieocenionego pomocnika. Ludwik XVIII, który przyswoił był sobie gusta angielskie i nauczył się żyć z Anglikami, potrafił zręcznie ująć sobie naczelnego dowódcę wojsk angielskich i mocno go do siebie przywiązał. Wellington, jak tylko przybył do Wiednia, prawdziwe oddał przysługi Ludwikowi XVIII, odzywając się dobrze o nim i o jego rządach.—Błędów nie mało robią w Paryżu—mówił Wellington—ale król, który jest rozsądniejszy niż jego rodzina, powszechny ma szacunek. Armja potężniejszą jest niż kiedykolwiek. Niebezpiecznie byłoby użyć jej na wewnątrz, ale na zewnątrz jest ona wierną i straszliwą. Skarb jest już w dobrym, a nawet w kwitnącym stanie. Brakuje tylko rządu. Są wprawdzie ministrowie, ale nie ma ministerstwa. Temu przecież można zaradzić. Wziąwszy wszystko na uwagę, Francja najlepiej jest do wojny przygotowaną ze wszystkich mocarstw, a w razie danym najmniejby ją zakłopotała nowa wojna. Trzeba więc nie pomijać jej, ale owszem garnąć ją do siebie. Słowa te więcej nam się przydały, niż wszelkie krzątania poselstwa Francuzkiego, a ogłoszone i powtarzane w chwili właśnie, gdy Rossja i Prusy powziąść miały ostateczną decyzję, wywarły na nie wielki wpływ.

Lord Wellington zgadzał się zupełnie na idee Talleyranda w kwestji Neapolu, nie przecież z przywiązania do zasady prawowitości — albowiem, jak dowcipnie napisał Talleyrand Ludwikowi XVIII, Anglicy ukształcili w tym przedmiocie swe wyobrażenia moralne o Indjach—ale li z przyczyn praktycznych. Widział on, że skoro Burboni panują w Paryżu, Madrycie, Palermie, niepodobieństwem będzie w krótce pokój z Muratem, że Europa, nim pół roku upłynie, zawichrzy się, że przy tej sposobności wystąpi znów na scenę Napoleon, kongres dałby więc dowód wielkiej nieroztropności nie zaradziwszy niebezpieczeństwu. Tę swoją opinję oświadczył cesarzowi Aleksandrowi, królowi Pruskiemu, cesa-

rzowi Franciszkowi, a bardziej szczegółowo Metternichowi, najmniej skłaniającemu się do działania.

Trafne to uwagi również, prawda, trafny, bo oparty na trudności wykonania, spotykał zarzut. Ba czyż nie trzebaby wojny zacząć we Włoszech i przygotować się na to, że w ślad za nią stanie w ogniu cały kraj? Talleyrand odpowiedział, że Francja i Hiszpanja biorą na siebie niebezpieczeństwo przedsięwzięcia, że niechby tylko mocarstwa zgromadzone w Wiedniu oświadczyły w osobnej deklaracji, że li Ferdynanda IV uznają królem obojga Sycylij, a Francja podejmie się skończyć z Muratem. Przeciw podobnej propozycji powoływano się w szczególności na przyjęte zobowiązania; a w ogóle nie bardzo wierzono w środki wykonawcze, nie dla tego, aby trudno było Francji zwyciężyć armję Neapolitańską, ale dla tego, że każdy mocno powątpiewał o wierności armji Francuzkiej dla Burbonów, gdyby napotkać miała Murata, a cóż dopiero Napoleona.

Nikogo w Wiedniu nie obchodził Murat; życzono sobie owszem jego upadku, ale każdy rad będąc, że razem z rozstrzygnięciem kwestji Saskiej i Polskiej minęło niebezpieczeństwo, rad będąc przedewszystkiém, że osiągnął to czego sobie życzył, gotował się do wyjazdu, zaledwie słuchając co mu się mówi o kwestji Neapolitańskiej, i zostawiając na ostatni dzień oddanie swego głosu, stosownie do decyzji, jaka stanie między Austrją i Francją.

Tymczasem przypadkowa okoliczność przyszła w pomoc Talleyrandowi wśród tej ogólnej obojętności. Potrzebował Talleyranda lord Castlereagh w kwestyi handlu Murzynami, obchodzącej mocno naród Angielski, ale mało inne gabinety Europejskie, a mającej to wspólnego z kwestją Neapolu, że się nią tylko z grzeczności dla drugiego zajmowano. Lord Castlereagh, który wracał do Anglji zwiastując jej pokój, upokorzenie tyle upragnione Francji, utworzenie królestwa Niderlandów, stanowcze pozyskanie Malty, przylądka Dobrej Nadziei, wyspy Ile de France i tyle innych przepysznych podarków, czuł przecież potrzebę zwiastowania i tego, że spełniło się życzenie ludu: że zniesiony został handel Murzynami. Z życzeniem tém tak szlachetném (chodziło albowiem o zniesienie niewoli) szła przecież w parze zwykła u żądań ludu niecierpliwość i brak zastanowienia. Anglicy podburzeni licznemi i częstemi kazaniami, oddali się z namiętnością myśli oswobodzenia Murzynów i oddali jej się szczerze, ale niech nam wolno będzie powiedzieć, że szczerości nie towarzyszyła bezinteresowność. Gdyby oswobodzenie Murzynów pociągnąć było miało za sobą wstrząśnienie w Indjach, możeby Anglicy byli się mniej śpieszyli z osiągnieniem pomyślnego rezultatu, ale że miało wstrząsnąć Amerykę, mogli z całą gorliwością swoich prze-

konań nalegać o nie, nic na tem nie szkodując. Pragnęli więc gorąco zniesienia handlu Murzynami, a Ludwik XVIII, którego uderzyła ta namiętność Anglików, polecił Talleyrandowi, aby użył tej broni i posłużył się nią bez żadnego skrupułu.

A że mocarstwa stałego lądu nie miały w tém ani interesu ani zdania, tylko mocarstwa morskie; że między temi ostatniemi, to jest Francją, Hiszpanją i Portugalją, Francja jedna wielkie miała znaczenie, Talleyrand więc mógł wiele. Obiecał on też lordowi Castlereagh wszelką pomoc, żądając w zamian pomocy w sprawie Neapolu. Dwie te kwestje, zostawione na koniec, stały się tym sposobem czystą kwestją powolności ze strony kongresu dla tych kilku gabinetów, którym o nie chodziło.

Lord Castlereagh żądał z razu zniesienia zupełnego i natychmiastowego handlu Murzynami na brzegach Afryki, żądał dalej, aby wszystkie morskie mocarstwa miały prawo dozoru jedne nad drugiemi, t. j. prawo rewizji, celem przekonania się że żadne z nich nie trudni się handlem Murzynów, a nareszcie wymagał, aby nie wpuszczały towarów kolonialnych tych narodów, które odmówią udziału w tém przymierzu, mającém ludzkość na celu. Było to wymagać bardzo wiele, bo prawo rewizji byłaby tym sposobem tylko Anglja wykonywała, będąc sama jedna czynną w ściganiu kupczących. Z zasady odbywała się negocjacja tylko między mocarstwami morskiemi; ale że Lord Castlereagh stał wśród nich odosobniony, zapragnął udziału innych mocarstw w konferencjach, czego mu nie odmówiono. Usiłował on dowieść Francji, Hiszpanji i Portugalji, że handel niewolnikami jest dla nich szkodliwy, że niebezpiecznie jest aby w kolonjach dużo było Murzynów a mało białych i że lepiej kontentować się Murzynami, których już posiadają i ich dziećmi, aby tylko mieli o nich należyte staranie. Na to odpowiedziano, że może ma słuszność, ale że w kolonjach Hiszpańskich i Portugalskich liczba Murzynów wyrównywa liczbie białych, gdy tymczasem w kolonjach Angielskich przypada dwudziestu czarnych na jednego białego, że więc Anglicy niech tę swą radę dla siebie zachowują; że z resztą zabezpieczyli się już Anglicy podczas wojny morskiej, nasprowadzawszy Murzynów do swych kolonji, czego Francja, Hiszpanja i Portugalja uskutecznić nie mogły, że więc potrzeba im kilka lat czasu do zakupienia rąk do pracy i że dopiero po pewnym czasie zdołają znieść handel niewolnikami. Po długiém umawianiu, przystała Francja dla siebie na przeciąg lat pięciu, wyrobiła zarazem u Hiszpanji i Portugalji, że przystały na termin ośmioletni. Po ośmiu więc latach ustać miał handel Murzynami.

Lord Castlereagh byłby sobie życzył czegoś lepszego, ale go nie

usłuchano. Prawo wzajemnej rewizji było uroszczeniem po raz pierwszy objawioném, i nie tylko zadziwiło ale i odstręczyło wszystkie umysły. Zatrzymano zasadę, że podczas pokoju każdy naród dozoruje swoją flagę. Trudność dotyczącą karcących przeciw tym morskim państwom środków, które nie podzielały systemu Anglji, uchyloną została w ten sposób, że odłożono ustanowienie takowych do chwili zniesienia handlu Murzynami, napomykając wszelako, że gdy termin nadejdzie, wydane będą rozporządzenia karne. Aby zadowolić lorda Castleragh, który chciał z jakiemiś wielkiemi pozorami wystąpić przed parlamentem Angielskim, zezwolono na danie, w imieniu wszystkich mocarstw zgromadzonych w Wiedniu, deklaracji, odzywającej się do wszystkich ludów, potępiającej moralnie handel Murzynami, zowiąc go zbrodnią przeciw cywilizacji i ludzkości i wyrażającej nadzieję, że w jak najkrótszym czasie zniesiony będzie. Sprzymierzeni z Chaumont, poparci przez reprezentanta Restauracji we Francji, zredagowali więc deklarację, zawierającą szczerą prawdę, ale stylem swoim wyrównywającą najsłynniejszym płodom deklamatorskim z czasów zgromadzenia konstytucyjnego Francuzkiego. Nesselrode, Metternich i Talleyrand dopomogli w tém lordowi Castlereagh, sadząc się na styl, z którego śmiali się między sobą; albowiem najlepiej dowodził stopnia interesu, jaki ich zagrzewać mógł w kwestji oswobodzenia Murzynów, sposób, w jaki podzielili się między sobą ludami Europy.

W ostatnich tych dniach, chciał kongres, zatrudniwszy się tak sowicie interesami, coś także uczynić dla idei moralnych. Przyjął więc wyborne zasady pod względem żeglugi na wielkich rzekach, stanowiąc, że takowa wolną będzie, że państwa nadbrzeżne będą miały zostawione do woli przyjąć lub nie przyjąć tych lub owych towarów, ale że nie będą mogły wzbronić przewozu towarów przechodowych, przeznaczonych dla innych państw, że będą tylko miały prawo pobierania opłaty od statków podług ich miąższości, niezależnie od rodzaju i wartości przewożonych towarów, że opłaty te przeznaczone będą wyłącznie na utrzymanie żeglugi, że wreszcie służyć będą na utrzymanie w dobrym stanie ścieżek, potrzebnych do holowania statków. Godne te zasady będące wpływem sprawiedliwości i zdrowego rozsądku, a ogłoszone ten raz z zupełną szczerością, zapewniały trwałą cześć kongresowi Wiedeńskiemu i stanowią razem z neutralnością Szwajcarji i potępieniem niewoli, jedyną kartę dzieła kongresowego, jakie zyskało obywatelstwo w prawie narodów.

Wszystko więc ukończone zostało w Wiedniu, z wyjątkiem redakcji, wszystko, prócz spraw Parmy i Neapolu, zawieszonych do czasu. Tal-

leyrand, który tyle pomógł lordowi Castlereagh do załatwienia sprawy Murzynów, odebrał od niego tylko obietnicę, że skoro przybędzie do Londynu, natychmiast odda kwestję Neapolitańską pod roztrząśnienie gabinetu Angielskiego. Co się stanie z Napoleonem, czy go się zostawi na wyspie Elbie, lub czy go się przeniesie na wyspy Azorskie, o tém nie chciano stanowczego wynurzyć zdania w obec traktatu z 11 Kwietnia, którego wypełnienie miał Aleksander za rzecz honoru. Kwestję tę połączono ściśle z kwestją Murata.—Jak tylko—mówiono sobie—rozstrzygniemy jednę, będziem musieli rozstrzygnąć i drugą kwestję, ale trudno jest wyrzec natychmiast coś stanowczego.—Nalegano nawet, aby rząd Francuzki zapłacił Napoleonowi przyrzeczone mu dwa miljony, gdyż będzie miał pozór oskarżeniaEuropy.

Już się tedy miano rozjeżdżać, a sprawy obchodzące tak bardzo Burbonów nie zostały rozstrzygnięte. Lord Castlereagh wyjechać miał 15 Lutego, cesarz Aleksander po kilko razowej zwłoce 20, kiedy Murat w sam raz przyszedł w pomoc tym, którzy czychając na jego zgubę, nie umieli przecież wynaleść środków aby jej dokonać. Mnistrem jego przy kongresie był książe Campo-Chiaro, który nie został dla tej samej przyczyny przyjęty, co reprezentanci Saksonji, Danji i Genui. Książe Campo-Chiaro, dosyć dobrze znający bieg spraw, donosił Miuratowi ze szczegółami o usiłowaniach obu domów Burbońskich, podejmowanych przeciw niemu, i o prawdopodobieństwie blizkiego poważnienia mocarstw w sprawie Saksonji. Biedny Murat, w mniemaniu że trafił na chwilę pomyślną, posyła notę na ręce swego reprezentanta, w której wyłożywszy wszystko, cokolwiek przeciw niemu robiono na kongresie, żąda objaśnienia stanowczego, czy jest jeszcze w pokoju lub czy już w wojnie z obu domami Burbonów, i daje znać, że w razie gdyby się musiał bronić, potrzeba mu będzie zająć stanowiska na terytorjach kilku państw włoskich. Murat był przekonany, że nota ta nadejdzie w chwili zdeklarowanej nieprzyjaźni między mocarstwami i dostarczy mu nietylko sposobności, ale da i prawo wystąpienia przeciw tym, którzy [czychali na jego koronę. Sprawdziła się tedy przepowiednia Metternicha, że mocarstwa nie potrzebują jak tylko czekać, aby mieć pozór za sobą, a potem oświadczyć, że już się nie czują w niczem zobowiązane względem Murata. Zresztą dowodziły dostatecznie tak listy pochwycone u lorda Oxford, o którego aresztowaniu wspomnieliśmy wyżej, jak i inne przejęte papiery, że Murat maczał ręce we wszystkich zamieszkach, na jakie się zanosiło we Włoszech. Były to przyczyny wyborne, aby zdecydować wahających się do oświadczenia, że nie mają odtąd żadnych zobowiązań względem Murata.

Książe Campo-Chiaro otrzymawszy ową notę, ocenił natychmiast, jej niewczesność, albowiem załatwiona już była stanowczo sprawa Saska i wszystkie inne, których rozwiązanie groziło wojną mocarstw między sobą. Udał się do Metternicha, zawiadomił go o otrzymanej co dopiero depeszy, ale prosił go, aby ją uważał za niedoszłą, albowiem obiecuje, że o niej przemilczy. Metternich wszelako nic nie miał pilniejszego jak dać znać o niej księciu Wellingtonowi i lordowi Castlereagh, którzy zawiadomili o niej Talleyranda; Talleyrand zaś rozgłosił ją wszędzie. Nota ta przeznaczona będąc dla takich, którzy chcieli koniecznie zadrzeć z Muratem, takie same zrobiła wrażenie, jak gdyby urzędownie była zakommunikowaną, łatwo bowiem być temu wzruszonym, kto nim być chce Metternich porozumiał się z Talleyrandem i Wellingtonem i postanowili we trzech, że Austrja pozbawiwszy się obecnie wszelkiego kłopotu o Saksonję i Polskę, zgromadzi 150,000 żołnierza nad Padem i publicznie oświadczy, że czyni to aby zapobiedz naruszeniu tak swego territorjum, jak i książąt Austrjackich panujących we Włoszech. Było to to samo co wypowiedzieć wojnę Muratowi i podać lordowi Castlereagh sposobność wystąpienia z wszelką jasnością w sprawie, która dotąd dość była ciemną. Francji rzeczą było teraz zadać cios ostatni. Talleyrand czuł się zadowolonym z wyboru środka, który w jego oczach zawierał w sobie niemal rozwiązanie kwestji, którego tak bardzo pragnął, a które o mały włos, co mu się nie wymkło z ręku.

Równocześnie ukończono i kwestję Parmy. Przeszła ona przez różne koleje. W skutek gorliwych nalegań Francji i Hiszpanii uznała była komisja do spraw Włoskich, że trudno wśród powszechnego przywracania dawnych książąt na ich trony, odmówić przywrócenia domowi Parmy. Zawadzał tu przecież traktat z 11 Kwietnia, który w Aleksandrze miał wiernego obrońcę. Zresztą i dla ojca Marji Ludwiki musiano zachować względy. Jakżeż tu więc było wyjść z kłopotu? Była chwila, w której myślano o załatwieniu tej trudności kosztem Papieża, t. j. o daniu Marji Ludwice jednej z legacji w dożywocie; ale reprezentant Stolicy Apostolskiej odwołał się i słusznie, nie tylko na prawa Papieża do legacji, prawa tak dobre, jak wszystkich innych monarchów świeżo przywróconych na swe trony, ale odwołał się i na to, że skarb nie może się obyć bez legacji, najzamożniejszych właśnie prowincji państwa kościelnego. Nie było co odpowiedzieć na takie argumenta. Wtedy wymyślił Metternich inny środek: chciał, aby oddać Parmę królowej Etrurji, a Lukę Marji Ludwice, która tym sposobem miałaby bliżej i do morza i do wyspy Elby; chciał dalej dodać do Luki pensję, wypłacalną przez Francję i Austrję. Po śmierci Marji Ludwiki, miała Luka, zamiast przejść w posiadanie syna

Napoleona, wrócić do Toskanii. Tak zadosyć uczynionoby Francji, którą mocno raził widok syna Napoleona, posadzonego na jednym z tronów Włoskich. Austrja jednakże oddając Parmę w ręce nie austrjackie, nie zapomniała zastrzedz sobie posiadania Piaczencji, której potrzebowała dla mostu na rzece Padzie.

Tę tranzakcję przyjmowała już Francja i Hiszpania, ale nie wiedziano, co na nią powie Marja Ludwika. Udał się do niej Metternich i przemówiwszy w imieniu mocarstw i cesarza—ojca, usiłował ją obeznać z trudnościami, jakie sprawie tej towarzyszyły. Z wielkiém przecież zadziwieniem swojém został przez Marję Ludwikę bardzo źle przyjęty. Słaba zwykle, broniła ten raz z uporczywością puścizny syna swego z własnego dożywocia. Zręczny jej d radca hr. Neuperg, podał jej myśl, aby udawszy się do cesarza Aleksandra i Franciszka, nabawiła obuch kłopotu swym energicznym uporem; ręczył on jej za dobry skutek. Usłuchała tej rady, rozczuliła ojca, wbiła w ambicję Aleksandra, nabrała otuchy, widząc że jej słuchano, a gdy Metternich po raz drugi przyszedł do niej, odrzuciła bez ogródki uczynioną sobie propozycję, podała nadto przyczynę, która mocno zadziwiła ministra Austrjackiego, a którę dla własnej swej godności zamilczeć była powinna, t. j. oświadczyła, że sąsiedztwo wyspy Elby raczej ją odstręczało niż przyciągało: postanowiłam albowiem stanowczo—rzekła—niepołączyć się już z mym małżonkiem. Widocznie znalazła już była w innym związku szczęście domowe, które więcej ceniła niż chwałę, niż wielkość, wyżej nawet niż godność własną.

Trzeba więc było oznajmić komisji do spraw Włoskich, że proponowany układ stał się niepodobnym. Całkiem teraz nie wiedziano co począć dalej, gdy w tem Metternich zażądał naraz od Talleyranda kilkodziennej zwłoki, obiecując, że niezadługo załatwioną zostanie ostatnia ta trudność i że Talleyrand dowie się o tém nim z Wiednia wyjedzie. Przystał na to Talleyrand, bacząc, że może zaczekać dni kilka za rozstrzygnięciem kwestji Parmy, skoro tak dobrze jak ukończoną została najważniejsza, sprawa Neapolitańska. Z rozwiązaniem kwestji Parmy, które wymyślał Metternich, a które miało być tajemnicą dla Talleyranda, tak się rzecz miała.

Lord Castlereagh wyjeżdżał do Londynu na Paryż. Miał się widzieć z Ludwikiem XVIII, a że miał dużo wpływu na niego, jako naczelnik gabinetu Angielskiego, nie wątpiono, że go skłonić potrafi do przyjęcia nowej kombinacji, czego się nie można było spodziewać po Talleyrandzie, zapatrującym się na kwestję Parmy li z stanowiska dynastycznego, mającego niemal interes osobisty w tém, aby rozwiązaną zo-

stała w duchu Burbonów. Że zaś gabinety Londyński i Wiedeński, ściślej niż kiedykolwiek połączyły się z sobą, podjął się lord Castlereagh tej przysługi. Miał on zażądać w imieniu cesarza Franciszka, w imię poświęceń familijnych, jakie monarcha Austrjacki już zrobił, aby Ludwik XVIII zezwolił na dożywocie Parmy dla Marji Ludwiki. Tymczasem zaś miała królowa Etrurji otrzymać Lukę i pensję. Ze śmiercią Marji Ludwiki powrócić miała Parma do królowej Etrurji, lub do jej dzieci, a Luka do Toskanii.

Podług wszelkiego podobieństwa udać się mógł proponowany układ, skoroby go pierwszy sekretarz stanu jego Wielko-Brytańskiej Mości, przedstawił bezpośrednio Ludwikowi XVIII w imieniu tych obu gabinetów, od których zależało rozstrzygnięcie sprawy Neapolitańskiej. Taki był powód tajemnicy, zachowanej przed Talleyrandem i żądania od niego kilkodniowej zwłoki.

Chciał wiedzieć Aleksander przed wyjazdem z Wiednia, czego się ma trzymać w kwestji familijnej. Kwestją tą było małżeństwo siostry jego w. księżny Anny z księciem Berry. Jak już powiedzieliśmy, upatrywał zręczny hrabia Pozzo di Borgo w małżeństwie tém również korzyść Francji jak i Rossji. Aleksander niewiele sobie robił z tego ale rad byłby połączyć politykę swoją z polityką francuzką; i zaiste, gdybyśmy się byli skłonili do tego połączenia, gdybyśmy byli stanęli w kwestji Sasko-Polskiej po stronie Prus i Rossji, bodaj byłby nam odmówił czegoś kowiek Aleksander Matka jego, osoba godna, całkiem podzielająca opinje starych emigrantek francuzkich, przywiązywała wiele do tego małżeństwa, schlebiającego nadzwyczajnie jej dumie. Dwór Francuzki mniej się kwapił, żądał, jak powiedzieliśmy, aby księżna Anna przeszła na religią katolicką, nim wstąpi na ziemię Francuzką. Aleksander, żądał aby księżniczka opuszczała Rossją w religji greckiéj, nie zabraniając jej potem przejść na religję katolicką, gdzie się jej będzie we Francji podobać. Błache to powody zważywszy na interes polityczny, który powinien był doradzać z obu stron były ten związek. Lecz Talleyrand, przekonany będąc, że Francja pozyskała traktatem z 3 Stycznia jaknajlepszych i najwierniejszych sprzymierzeńców, mają zresztą interes w tém, aby się zdawało, że przymierza, któremu on tyle przeszkadzał, nie wiele pragniono, Talleyrand napisał do Ludwika XVIII list nader obszernie motywowany i malujący wybornie politykę owego, czasu.

Jeżeli dwór Francuzki — pisał Talleyrand — będąc jeszcze słabym t. j. w pierwszych dniach restauracji, mógł sobie coś robić z silnego z Rossją sojuszu, dziś się rzeczy zmieniły. Ma on teraz jak najwybornieiszych i najsilniejszych sprzymierzeńców, i jest znów punktem środ-

kowym, około którego obraca się polityka Europejska. Niech drudzy poszukują jego pomocy, on jej u nikogo szukać nie potrzebuje. Przymierze z Rossją nie przedstawia w tej chwili wielkiej korzyści. Dom Austrjacki bardziej bym polecił na połączenie się z Burbonami, ale że małżeństwa z nim zawierane, zawsze sprowadzały nieszczęście dla obu krajów, radzi więc bez żadnego wahania małżeństwo, z jaką księżniczką Burbońską.

Ludwik XVIII odebrawszy list ten, uznał, że minister jego pokazał jak najwyborniejszy sąd w tych materjach, że zdrowo ocenił stan rzeczy i że trzeba usłuchać jego rady. Zrzekł się więc połączenia z Rossją, spuszczając się na Talleyranda, że go zwolni z zobowiązań z właściwym wielkiemu temu negocyatorowi taktem.

Talleyrand starał się uniknąć wszelkiego o projektowaném małżeństwie objaśnienia dopóty, dopóki wszystkie kwestje nie zostały rozstrzygnięte. Tymczasem rozjeżdżać się mieli wszyscy z Wiednia, musiał więc począć sobie otwarcie. Aleksander widząc się z nim poraz ostatni, rzekł doń obojętnie: Zgłaszają się o moją siostrę, nie chcę przecież rozrządzić jej ręką, nieporozumiawszy się wprzód stanowczo z dworem Francuzkim, który—zdawało się—pragnął jej ręki. Matka moja rada by była temu małżeństwu, co do mnie, mam je za bardzo zaszczytne, ale chciałbym mieć pewność. Dałem kosza, ale dodał z uśmiechem i dostałem kosza. Ferdynand VII prosił mię o rękę siostry, skoro się jednak dowiedział że jest greczynką, cofnął się. — Talleyrand uśmiechnął się także i nie pokazując, żadnego zmieszania na twarzy, odpowiedział: Niech postępowanie Jego królewskiej mości katolickiej świadczy o kłopocie Jego królewskiej mości Arcy-chrześciańskiej... I zmieniając w żart całą tę sprawę, opowiadać zaczął Cesarzowi, że arcypobożny Ludwik XVIII nieugiętym był w kwestji religji. Nie nalegał Aleksander i nie zdawał się przywiązywać żadnej wagi do tego interesu. Dziwne było tej księżny przeznaczenie, nie doszły ją oba te małżeństwa, w których dzielić byłaby musiała zmienne koleje naszych rewolucji, a zasiadła na tronie Niderlandzkim, gdzie dały jej się w znaki ich skutki.

Ostatnia to była ważniejsza kwestja, którą traktował Talleyrand, a rozwiązanie jej maluje również dobrze jak wszystkie te, do których się tak gorliwie był przyczynił, jego czas, jego dwór i jego samego.

Ukończył więc był kongres ogromne swe zadanie i już wyjeżdżać mieli monarchowie, zostawiając ministrom swoim pracę redakcyjną, kiedy na raz niespodzianie, wybuchła wieść, która choć nieprzewidziana, nie zdziwiła przecież nikogo, tak bardzo przeczuwał ją każdy. Dowiedziano się z depeszy konsula Austrjackiego w Genui, że Napoleon opu-

ścił wyspę Elbę i wylądował w zatoce Żuan. Dokąd dąży? W jakim celu? Pytano siebie ze strachem. Metternich utrzymywał, że idzie na Paryż. Było to w istocie najnaturalniejsze przypuszczenie. Podług Talleyranda, który starał się jeszcze łudzić, dążył Napoleon do Włoch. Wahano się przez dni kilka, któremu z tych dwóch przypuszczeń dać wiarę, choć prawdopodobieństwo wszelkie przemawiało za pierwszém, a w końcu ogarnął straszny popłoch wszystkie umysły. Uczucie powszechne był strach, a potém złość. Wybuchnięto z niesłychaną gwałtownością na Aleksandra, jako na sprawcę traktatu z 11 Kwietnia, jako na tego, który przeznaczył dla Napoleona wyspę Elbę. On sam oskarżał siebie z zupełną dobrą wiarą i obiecywał naprawić winę swej szlachetności olbrzymiemi wysileniami. Odwołano natychmiast rozkazy wydane do wyjazdu i postanowiono nie rozłączyć się tak długo, póki nie minie nowe to niebezpieczeństwo.

Zresztą pozostały nietknięte wszystkie postanowienia; a chociaż opóźniło się ich uprawnienie o kilka miesięcy, niemniej stanowcze zyskały uznanie; pochodzenie ich więc odnieść należy do sześciu ostatnich miesięcy roku 1814, których obraz co dopiero przedstawiliśmy. Już więc teraz możem mieć za ukończony kongres Wiedeński tak pod względem rozgraniczenia jak i ukonstytuowania państw. Stosowną więc mamy porę do wydania sądu o urządzeniach jakie utworzył, a które trwały dłużej niż urządzenia wszystkich poprzednich kongresów; oprócz kilku zmian bowiem, przetrwały prawie pół wieku. Zapatrując się na kongres Wiedeński z podwójnego stanowiska: sprawiedliwości i polityki, następujący—według nas—wydać można sąd o nim, odsunąwszy wszelką nienawiść narodową, jak wypada historji, która nie należy do żadnego wieku, bo powinna zbliżać się ile możności jak najbardziej do wiecznej prawdy.

Kiedy słuchamy skarg ludzi, podczas gdy cierpią z winy drugich, kiedy słuchamy ich powszechnego oburzenia przeciw temu przewinieniu i przeciw tym, którzy go się dopuszczają, myślećby można, że ludzie ci nigdy się takiego samego nie dopuszczą przewinienia. Niestety! są to dziś słowa, którym jutro czyny kłamstwo zadają. Wszystkie mocarstwa Europejskie ucierpiały od ambicji Napoleona, wszystkie złorzeczyły tej niepohamowanej dumie i należało wierzyć, że jeśli przyjdzie na nie kolej zapanowania nad światem, święcić się będzie na ziemi królestwo sprawiedliwości. Widzieliśmy jaki był rezultat tych słów. Jedyna różnica, jaką dostrzedz było można w postępowaniu mocarstw sprzymierzonych a Napoleona jest ta, że mocarstw było cztery zamiast jednego, i że każde musiało się zatrzymać tam, gdzie się zaczynała ambicja dru-

gich trzech. Z Francją obeszły się one jak z narodem zwyciężonym. Było to rzeczą naturalną, choć niesprawiedliwą. Francja czyli raczej mąż, który nad nią panował, nadużył był zwycięztwa, a ci co nas zwyciężyli, nadużyli go z kolei. Skarżyć się w takim razie jest dziecińśtwem, popierać sprawę własnej wielkości przed trybunałem swych współzawodników jest śmiesznością. Własnej wielkości wyglądać należy po sobie, a nie po drugich, po swojej odwadze i porządku, a jeśli nie chcemy ponosić skutków naszych błędów, nie powinniśmy się ich ani dopuszczać ani pozwolić, żeby ich się dalej dopuszczali na nas.

Niech nam tymczasem wolno będzie powiedzieć bez zaślepienia narodowego, że koalicja, słusznie potępiwszy nadużycia Napoleona, wyrównała mu w nich, i że podczas gdy podzieliła kilkakrotnie Polskę, dokonała w Niemczech sekularyzacji, które tak bardzo przyczyniły się do zwiększenia mocarstw stałego lądu, że podczas gdy przywłaszczyła sobie wszystkie kolonje, które tak niezmiernie rozszerzyły panowanie Anglji nad morzami, chcieć sprowadzić jedyną Francję do rozmiarów, jakie posiadała w końcu XVIII wieku, nie zgadzało się ani z słusznością, ani z równowagą Europejską. Niech nam wolno będzie powiedzieć, że gdyby Francja nie była wkrótce żyznością swego ducha, swej ziemi i swej rewolucji wniwecz obróciła wszystkich tych rachób, byłaby brak jej uczuła Europa. Europa bowiem nie może, bez narażenia na szwank swej niepodległości, obyć się bez żadnego z mocarstw ukonstytuowanych, a bez Francji najmniej, bo albo Anglja jej potrzebuje naprzeciw Rossji, albo Rossja naprzeciw Anglji, Prusy naprzeciw Austrji, Austrja naprzeciw Prusom, Niemcy przeciw Austrji i Prusom; a w końcu potrzebuje jej zawsze wielka jedna sprawa, a nią jest sprawa cywilizacji.

Ale dajmy pokój — powtarzamy — dajmy pokój próżnym skargom za takie się z nami obejście. Wszakże spowodowaliśmy je sami. Mówmy raczej o drugich! Wszystko co nie należało do czwórki, lub co jej bezpośrednio nie obchodziło, podzielono jak zdobycz znalezioną wśród szturmem zdobytego miasta. Pochłonięci zostali bez miłosierdzia i drobni książęta niemieccy i wolne miasta i majątki zakonów Niemieckiego i Maltańskiego i księstwa duchowne i dawne rzeczypospolite, celem ukonstytuowania krajów należących do zwycięzców lub do ich kljentów. Kiedy szło o powściągnienie zazdrości sąsiada, o zapłatę dla związkowego, o lepsze pociągnienie granicy dla jednego z czwórki, o zbliżenie go do brzegu morza lub o jaki klin kraju, który mu był dogodnym, natychmiast zmedjatyzowano tam jakiego księcia Niemieckiego, owdzie wcielono jakie wolne miasto, zniweczono jaką dawną rzeczpospolitę lub sekularyzowano jaki majątek kościelny. Austrja zabrała Wenecję, Pie-

mont, Genuę bez żadnej trudności. Biada tym, którzy nie obchodzili jednego z czterech. Na Danię jednę, ze strażniczek wolności mórz, zapatrywano się tylko jak na sprawę czysto francuzką; od brano jej Norwegię, aby zapewnić popularność Bernadottemu w Szwecji, otrzymała Dania w nagrodę Pomeranję Szwedzką; ale otoż Prusy życzą sobie posieść tę prowincję, aby zyskać cały brzeg Baltyku od Sztralsund do Memla, nuż więc odbierają znów Danii liche to wynagrodzenie i dali jej jeszcze lichsze, dają jej księstwo Lawenburgskie i pewną ilość talarów Nieszczęśliwa Saksonja, która nas odstąpiła na polu bitwy pod Lipskiem, aby się na nowo połączyć z koalicją, i która z tego powodu powinna, była doznać nieco pobłażliwości od zwycięzców, miała wprawdzie obrońców, bo zależało na jej istnieniu Austrji i Niemcom; ale chociaż miała obrońców, utraciła połowę swego terytorjum na korzyść tych samych Prus, które przez całe lat dziesięć gorzko się uskarżały na ciosy zadawane istnieniu państw Niemieckich. Austrja pragnęła Włoch, obchodzących tylko Francję; o Francję zaś mało się wtedy pytano. Pozwolono więc Austrji i jej książętom wywierać wpływ stanowczy na całe Włochy. Poczuł przecież gabinet Wiedeński przykry ten ciężar i pożałował że go przyjął. Anglja bo wcale nie potrzebowała zdawać rachunku. Dobrała ona sobie do Gibraltaru: Maltę, wyspy Jońskie, Przylądek, wyspę Ile de France, część Antyllów, a nikt jej żadnej nie stawił trudności. Zapragnęła ujść Skaldy i Renu, aby utworzyć przeciw nam królestwo Niederlandzkie, a natychmiast zadosyć uczyniono jej życzeniom, bez żadnego względu na wstręt Belgijczyków ku Hollendrom. Czasem wszelako uderzyła jednego lub drugiego z tych czterech, świat między siebie dzielących mocarzy, nie własna jego chciwość, ale chciwość drugich trzech spólników; wtedy już co tylko miał wystąpić z zarzutami, ale zarzuty zamierały na ustach, tak dalece zdawało się im dziwném dawać sobie nauki wstrzemięźliwości.

Uwag tych nie dyktuje nam złość, ale mamy prawo, wytknąwszy przewinienia Napoleona, wytknąć także przewinienia tych, którzy po nim zapanowali nad światem i którzy pod pozorem, że się mszczą za Europę, podzielili ją między siebie. Powinnością jest historji wytknąć bezprawia i przewinienia wszystkich bez wyjątku; wolno więc nam jest przypomnieć, że u nas przewinił jeden człowiek a nie Francja, że sprzymierzeni wkraczając do Francji, obiecali jej byli uroczyście niepominąć tej różnicy i podług tego postąpić. Obiecali, ale niestety! wnet zapomnieli o obietnicy, jak tego dowiódł traktat Paryzki.

Zastanowiwszy się nad kongresem Wiedeńskim ze stanowiska prostej słuszności, zastanówmy się teraz nad nim ze stanowiska polityczne-

go. Polityką miał on jednę tylko, t. j. nagromadzenie jak najwięcej środków ostrożności przeciw Francji. Nie zdołanoby zaiste nagromadzić ich więcej, gdyby Francja, zamiast być w ręku Burbonów, znajdowała się była jeszcze w ręku strasznego zdobywcy, na którym miano tyle do odwetowania, przeciw któremu należało tyle przedsięwziąść ostrożności. Pod tym względem dość było pozwolić działać Anglji, która niczego nie zaniechała. Mając w świeżej jeszcze pamięci blokadę kontynentalną, usiłowała przedewszystkiém położyć nam zapory wzdłuż wybrzeży morza Północnego i Śródziemnego, tak, abyśmy już nigdy nie zdołali zawrócić na drogę do Autwerpii i Genui. W tym to celu utworzyła królestwo Niderlandzkie i dopomogła tak wiele do odbudowania królestwa Sardyńskiego. Dobry zaiste wybór zrobiła Anglja, dając nam za przeciwników domy Oranji i Sabaudzki albowiem prócz nowych przeciw nam zażalen obu tych domów, jeden z nich wzmógł się był o potęgę w walce przeciw Francji, drugi wprost posługując się Francją, a potem ją zdradzając, gdy się nią już posłużył.

Oddała więc Anglja Niderlandom Antwerpję, a Piemontowi Genuę. Nie dosyć na tem. Pomna na jednę z idei Pitta, zniewoliła Prusy, aby przyjęły prowincje Reńskie; zaszczepiała ona tym sposobem w Prusach wieczną przeciw Francji podejrzliwość. Wszystkie te ostrożności, jeszcze według jej zdania nie wystarczały; chciała ona w tém samém położeniu postawić Bawarję co Prusy, oddała jej więc, za porozumieniem się z Austrją, palatynat Reński. Austrja przytakiwała tym zamiarom nie przez nienawiść ale z rachuby, pod warunkiem wszelako, że się sama nie narazi Francji; i tak np. nigdy nie chciała słuchać o propozycji odebrania Belgii. Prusy chociaż mocno rozdrażnione na nas, spostrzegły się jaką im chciano kazać odgrywać rolę, użaliły się przed Anglją, nalegając, aby zamiast prowincji Reńskiej otrzymały Saksonję, ale nie dopiąwszy swego, przyjęły nareszcie to co im ofiarowano. Aleksander poznał się dobrze na tych rachubach, uśmiechnął się nieraz na nie, byłby nam chętnie podał rękę aby je udaremnić, ale przekonawszy się, że uparcie trwamy w niepojętym z Anglją i Austrją sojuszu, odwrócił się od nas, objawiając pogardę dla tak głupiej polityki.

Kongres Wiedeński, nagromadzając w około Francji podejrzliwość interesantów, tworząc przy jej boku nieprzyjazne państwa, dał początek tej polityce świętego przymierza, jaka rządziła Europą przez niemal pół wieku. Polityka ta miała—w myśl jej twórców—być wieczną, a tymczasem kruszy ją wolny ale nieustający prąd czasu. Królestwo Niderlandów, utworzone na podstawie sojuszu dwóch niecierpiących się narodowości, rozpadło się, Anglja, dawniej najzaciętsza nieprzyjaciółka

wszelkich rewolucji, odtąd zdaje się inaczej na nie zapatrywać, dom Sabaudzki wrócił naraz, po czterdziestoletniej ślepej przeciw Francji nienawiści, do dawnej swej polityki, t. j. polityki, posługiwaniania się nami, a Austrja upadająca pod ciężarem włoskich posiadłości, oddała już większą ich część. Polityka więc świętego przymierza osłabła i prawie skonała, ale zazdrość Europy i nieroztropne kroki Francji, mogłyby ją znów przyzwać do życia. A przecież jakżeż bardzo idzie o to i Europie i Francji, aby pogrzebioną została raz na zawsze! Europie sprowadza ona bowiem tę wielką szkodę, że jej każe zaniedbywać wszystkie interesa dla jednego, t. j. aby trzymać nas na wodzy, że jej każe występować przeciw postępowi ducha ludzkiego, bronić nadużyć przeszłości, a często i złych rządów, a nadewszystko, że rzuca demagogję w objęcia potężne Francji; niemniej jest ona zgubną i dla Francji, którą zupełnie odosobnia, skazuje na nieustające z Europą przeciwieństwo, której najsłuszniejsze zamiary udaremnia, dla tego że je ona powzięła, że ją pozbawia sojuszów tak w wojnie jak w pokoju, że ją robi spólniczką demagogji i postrachem świata, podczas gdy mogłaby być jego bożyszczem. Byłoby to poczynać szalenie, gdybyśmy politykę tę na nowo wyzwać mieli w szranki, strasząc Europę i zmuszając ją, aby szukała ocalenia w połączeniu wszystkich narodów przeciw nam.

Polityka ta była zresztą w epoce, o której mówimy, naturalną. Była ona nieodbitym wynikiem długich i straszliwych walk i nie należy zbyt gorzkich robić o nią wyrzutów dyplomatom, którzy przekonani byli, że nagromadzając przeciw nam tyle zapór, są w słusznem prawie własnej obrony. Nie trzeba również zapominać, że mężowie stojący na czele kongresu, chociaż byli nieprzyjaciołmi Francji, a szczególniej rewolucji Francuzkiej, którą przez lat 25 zwalczali i chociaż porwani byli wirem gwałtownym reakcji, wszelkich przecież dokładali usiłowań, aby tę reakcję w pewnych zatrzymać granicach. Postąpili oni sobie w wielu rzeczach jak najrozsądniej; bo wszakże byli to najznakomitsi ludzie swego wieku, najzręczniejsi, najoświeceńsi i chociaż przodkowali kontrrewolucji, pokazali więcej rozumu niż kontrrewolucyjni Niemcy, Szwajcarowie, Włochy, Hiszpanie i Francuzi u siebie; zapobiegli kontrrewolucji w Szwajcarji, a kontrrewolucji w Hiszpanji i we Francji wybornych udzielili rad. A chociaż wszyscy powodowali się ambitnemi żądzami swych narodów i podług nich wytykali granice państw, przyjęli przecież w traktatach dotyczących zniesienia niewoli i wolności żeglugi na rzekach, zasady godne rewolucji Francuzkiej, której nieubłaganymi byli nieprzyjaciołmi tak z urodzenia jak i z obowiązku.

Mówiliśmy dotąd o zwycięzkiej Europie i jej w Wiedniu postępo-

waniu, a teraz pomówmy o rządzie Francuzkim i streśćmy ile możności sąd nasz.

Trzy nadarzyły się sposobności uregulowania losów Francji: zawieszenie broni z 23 Kwietnia, traktat pokoju z 30 Maja i kongres Wiedeński.

Długa ciążyła i ciąży dotąd niepopularność na akcie zawieszenia broni z 23 Kwietnia. W nim zrzekł się negocjator Francuzki jedném pociągnięciem pióra — jak się wyrażono — wszystkich wielkich twierdz Europejskich będących w naszym ręku, wraz z ogromnym materjałem wojennym. Ta niepopularność, która ciężyła na hr. Artois i Talleyrandzie, zdaje się być wcale niezasłużoną. Głos jednomyślny i namiętny opinji żądał wyjścia wojsk koalicji z terrytorjum Francuzkiego; był to głos cierpienia, głos nierozważny. Cokolwiekby bowiem zrobiono, niepodobieństwem było, aby wojska koalicji opuścić mogły prędzej Francję jak za dwa miesiące, a w tym przeciągu czasu mógł być zawarty pokój, który też istotnie zawarty został w 37 dniach. Trzeba więc było odłożyć zawieszenie broni aż do zawarcia pokoju samego, co z żadném nie było połączone niebezpieczeństwem, skoro defacto rozlewać krew przestano, a wtedy może byłoby można uzyskać jaką kompetencję za zrzeczenie się wielkich twierdz Europejskich. Ale głos opinji, dopominający się wyjścia wojsk koalicji tak był naturalny i tak potężny, że oprzeć mu się było nad siły ludzkie. Bardzo dobrze więc uniewinnić się dadzą ci, którzy tego głosu usłuchali.

Żądać zaś wyjścia wojsk koalicji z Francji było to zarazem wywołać żądanie, aby i nasze wojska wyszły z obcych terrytorjów; jedno pociągało za sobą drugie. Można wprawdzie utrzymywać, że bylibyśmy mogli zatrzymać Luksenburg, Moguncję i Antwerpję, oddając Magdeburg, Hamburg, Texel, Bredę i Berg op Zoom. Ale gdybyśmy byli tę próbę zrobili, dostrzegliby zaraz negocjatorowie przeciwnej strony w tym kroku ukrytą myśl, t. j. że chcemy zatrzymać linję Renu; a do tego nigdyby się nie byli skłonili. Tak więc pociągało za sobą namiętne naleganie o wyjście obcych wojsk z terrytorjum Francuzkiego, z naszej strony nieochybną ewakuację terrytorjów obcych, a ztąd wynikało nieodbicie zawieszenie broni z 23 Kwietnia. Głos więc ludu potępiający to zawieszenie broni, którego przecież tak namiętnie był się dopominał, nie ma całkiem podstawy i należy uwolnić od zarzutów — jeśli chcemy sądzić podług słuszności — tak księcia jak i negocjatora, którzy podpisali to zawieszenie broni. Ale po zawarciu zawieszenia broni nic nas nie zmuszało do traktowania natychmiast o pokój w samym Paryżu; bo i po cóż ten drugi pośpiech? W Paryżu połączyli się z sobą nasi nieprzyjaciele

celem obdarcia nas, w Wiedniu powinni się pokłócić przy podziale puścizny naszej, Trzeba więc było czekać póki się nie będzie w Wiedniu, aby urządzić nasze losy. Nie było żadnej mądrej przyczny, aby się tak śpieszyć, albowiem jak tylko zawieszenie broni zawarte zostało, wszyscy w dość znośnym byli stanie; krew wszędzie przestała płynąć, mocarstwom oddano miasta, których tak gorąco pragnęły; Prusacy bowiem mieli Magdeburg, Anglicy Antwerpię, Niemcy Luksenburg i Moguncję. Francja znajdowała się w granicach r. 1790, nie stanowił więc czas, który upływał żadnego takiego na naszą korzyść prejudikatu, jakiegoby się można było obawiać.

Że zaś, prócz tego, nie chciały mocarstwa postanawiać oddzielnie o losie żadnego z pomiędzy siebie, nie mogły dla nas innej przyjmować zasady. Zresztą pozwoliło owo tylokrotnie zaczepiane zawieszenie broni z 23 Kwietnia, wrócić do kraju naszym 300,000 żołnierzom, którzy postawili Francję w możności objawienia swej woli. Odmowna z naszej strony odpowiedź, byłaby dostateczną do wstrzymania wszystkiego. Prawdziwość tego zdania naszego dowodzi to, że negocjatorowie koalicji, jak tylko oddane im zostały fortece wzwyż wymienione, tak zaraz przestali naglić. Kto naglił, to my niestety! a przyczyna tego naglenia leżała nasamprzód w nieprzezorności, albowiem jedynym człowiekiem w radzie, który dojrzał korzyści dla nas w przybyciu do Wiednia bez zobowiązań, był jenerał Dessolles; drugą przyczyną była niecierpliwość; chcieliśmy jak najprędzej po dpisać, ogłosić i obchodzić uroczyście pokój, który był najważniejszym tytułem, chwałą i dobrodziejstwem najdonośniejszém Burbonów.

Te to dwa powody, to jest nieprzezorność i niecierpliwość sprawiły, żeśmy, popełniwszy z pośpiechu pierwszy błąd, dający się bardzo dobrze uniewinić, to jest podpisawszy zawieszenie broni z 23 Kwietnia, żeśmy popełnili drugi błąd, nie dający się wcale uniewinnić, zawierając z naszymi nieprzyjaciołmi jeszcze w zgodzie między sobą będącymi, pokój z 30 Maja, który trzeba było dopiero w Wiedniu zawrzeć z naszymi nieprzyjaciołmi, niechybnie wtedy powaśnionymi.

Trudno było, podpisawszy pokój w Paryżu, uczynić coś dla polepszenia naszego losu w Wiedniu. Wszelako nie były jeszcze wszystkie sposoby wyczerpanemi, pod warunkiem, że nie zrobimy zbyt prędkiego wyboru między dwoma stronnictwami, gotującemi się do podzielenia Europy, pod warunkiem, że do okowów i tak już ciężkich traktatu Paryzkiego, nie dodamy jeszcze cięższych, to jest okowów postanowień przedwczesnych. Nic zaiste, nie naglilo nas do zrobienia wyboru między mocarstwami, których niezgoda już uderzyła wszystkich. Postawieni

byliśmy z jednej strony między Prusami i Rossją, gotowemi nawet pozbyć się swej nieprzyjaźni przeciw nam, bylebyśmy tylko poparli ich zamiary, z drugiej strony między Anglją i Austrją, które tylko jeden jedyny miały cel, aby nałożyć na nas pęta i zorganizować całą przeciw nam Europę. Zdaje się podług tego prostego wyłożenia faktów, że wybór nasz nie powinien był żadnemu podlegać powątpieniu, bo jeśli interes, o jaki chodziło w Dreznie i w Poznaniu, był interesem Europejskiego znaczenia, to interes, o jaki chodziło nad Skaldą, Renem i Alpami był interesem wyłącznie Francuzkim. Otóż, upoważniła nas swym postępkiem tak Saksonja pod Lipskiem jak Europa w Paryżu do dania pierwszeństwa interesom Francuzkim przed wszystkiemi innemi. Przypuśćmy przecież, że należało nie ufać żadnemu z tych dwóch sprzeciwiających się sobie stronnictw; wtedy była to przyczyna jedna więcej, aby czekać i zastanowić się dobrze, nim się oświadczymy. Gdyby Talleyrand, przybywszy do Wiednia, mniej się był śpieszył z wyborem, którego zasługa da się łatwo zaprzeczyć i z dogmatycznem wyznaniem wiary w zasadę prawowitości, gdyby wreszcie nie było mu tak o to chodziło, aby jaknajprędzej wziąść udział w wielkich sprawach Europejskich (udział, który go nie mógł ominąć), gdyby był poprzestał na oświadczeniu, a dał je z tą zabijającą flegmą, jakiej tajemnicę tak wybornie posiadał, że Francja, z którą się mocarstwa skoalizowane z taką bezwzględnością obeszły w Maju r. 1814, która oszukaną została skoro jej odmówiono przyobiecanego poprzednio powiększenia tak terrytorjum jak i ludności, gdyby był—powtarzamy—oświadczył, że Francja odtąd nie potrzebuje uważać jak tylko na swą dogodność, że nie myśli ona nadal zakłócać świata swą ambicją, ale, jeśli ambicja drugich świat zakłóci, ona wtedy stanie po tej stronie, po jakiej stanąć każe jej polityka, byłby Talleyrand inną zgotował rolę. Bo czyżby mocarstwa nie były poszukiwały pomocy Francji, gdyby była po takiém oświadczeniu wyczekujące zajęła stanowisko? Aleksander i Fryderyk Wilhelm byliby jej niczego nie umieli odmówić, a że interes Austrjacki i Angielski dbał tylko o Ren, Skaldę i Alpy, i byliby nam z tej strony ustąpili wszystkiego, czegobyśmy tylko byli zażądali, a to w propozycji zwłaszcza uzyskania naszej decyzji.— Gdyby zaś niezgoda została posuniętą aż do wojny, byliby nam niezaprzeczenie oddali przynajmniej pewną część lewego brzegu Renu. Gdyby zaś nie było przyszło do wojny, byłaby Anglja i Austrja, widząc nasz sojusz z Prusami i Rossją, najprzód im ustąpiły, a potem bylibyśmy i my otrzymali lepszy rezultat; bylibyśmy mieli zamiast Prus, Saksonję nad Renem, którąby była zastąpiła dawnych naszych tak łagodnych, tak wygodnych i tak nieodżałowanych sąsiadów, jakimi byli elektorowie duchowni, arcybi-

skupi Moguncji, Trewiru i Kolonji, których miejsce zajęły dziś najwojenniejsze właśnie państwa Rzeszy Niemieckiej, to jest Bawarja i Prusy. A więc czyby wojna była nastąpiła, czy pokój, los nasz byłby się polepszył; w pierwszym razie bylibyśmy podług wszelkiego prawdopodobieństwa otrzymali lepszą granicę, w drugim razie, bylibyśmy jaknajspokojniejszego otrzymali sąsiada. Ale gabinet Paryzki pozbawiony był wszelkiej jedności i przezorności, trudnił on się tylko materjami, które mu bezpośrednio przekładano, król Ludwik XVIII był człowiekiem bystrego dowcipu ale roztargnionym, traktującym politykę zewnętrzną z dość wielką obojętnością i upatrującym w zbytn'ém mieszaniu się do polityki zewnętrznej fatalną spuściznę po Napoleońską. Tak więc pozostawiono Talleyrandowi wszelką swobodę działania, polegając na jego zręczności, doświadczeniu i przeważnym na dyplomatów europejskich wpływie.

Talleyrand przybywszy do Wiednia z postanowieniem, że będzie reprezentował zasadę prawowitości, zastał czwórkę zdecydowaną odrobić wszystko między sobą. Pretensją tą tak został rozdrażniony, a z drugiej strony tak ujęty nadskakiwaniem małych państw Niemieckich, że się nie zdołał wstrzymać, stanąć na czele tych małych państw, w skutek czego wystąpił jako obrońca Saksonji, stanął odtąd po stronie Austrji i Anglji, nieodwołalnie zdecydowanych nie zwolnić nas z pęt traktatu Paryzkiego, przeciw Prusom i Rossji, gotowych polepszyć los nasz i oświadczył aż nazbyt głośno, że Francja niczego dla siebie nie żąda, tylko zwycięztwa zasad, to jest prawowitości.

Odtąd nie można już było działać z pożytkiem. Bezwątpienia, że bylibyśmy w dobrém towarzystwie będąc z Austrją i Anglją, ale towarzystwo Prus i Rossji nie było także do pogardzenia. Cóż nas przecież w najpomyślniejszym razie spotkać mogło w tym naszym z Austrją i Anglją sojuszu? Oto, że się będziem zarzynać z Prusakami i Rossjanami o to, aby Austrji dać całe Włochy, a Anglji Maltę, Korfu, Przylądek i wyspę Ile de France, aby pozwolić na istnienie królestwa Niderlandzkiego i Piemonckiego, owych wielkich twierdz wzniesionych pod naszym bokiem, aby Prusom i Austrji, przedzielonym Saksonją, ulżyć w wzajemnej zazdrości, a w razie zwycięztwa na rachunek naszych gnębicieli, aby pozostać sami jedni w pętach traktatów z r. 1815! Zaiste, nie warto było w obec spodziewanych takich rezultatów, narazić tak wcześnie na szwank dobrodziejstw co dopiero przywróconego pokoju.

Ale niedosyć na tém; nawet stanąwszy po stronie Austrji, nie trzeba było tak się śpieszyć z ofiarowaniem naszej pomocy, ale czekać przynajmniej, pókiby jej nie zażądano. Ale Talleyrand, dotknięty do ży-

wego, popełnił błąd, najmniej właśnie zwykły u niego, bo zawinił pośpiechem. Rzeczą jest pewną, że gdyby był umiał zaczekać, byłby niebawem do wszystkiego przypuszczony i byłby wartał całem znaczeniem Francji; ale postawił się w roli proszącego zamiast w roli wręcz przeciwnej i choć przyprowadzał w pomoc 150,000 Francuzów, brał się tak, jak gdyby nie przysługę wyświadczał, ale ją wyświadczano jemu i zezwolił, w razie wojny, na warunek, któremu trudno dać nazwisko, bo na warunek, że Francja wierną pozostanie traktatowi Paryzkiemu. Z niecierpliwości, aby przecież znaczyć coś u mocarstw, zapomniał nawet zastrzedz sobie wypędzenia Murata, jedynej właśnie kwestji, jaka mocno obchodziła Ludwika XVIII, a gdyby Murat nie był sam jej rozwiązał, byliby się wszyscy rozjechali z Wiednia, nie znalazłszy sposobu do jej rozwiązania. Niezrównany jako negocjator, pełen godności i wyniosłości, mający rzadki dar stosownych odpowiedzi, gdy przyszło ukrócić popędliwość zuchwałych zwycięztw, był Talleyrand mniej przezornym politykiem. Zawinił on w tém, że podpisawszy zawcześnie pokój w Paryżu, za szybko zdecydował się w Wiedniu i że zdecydowawszy się raz, wystąpił po stronie mocarstw, od których nie mogliśmy się niczego spodziewać, przeciw mocarstwom, które mogły przyczynić się do polepszenia losu naszego, i że wreszcie obrawszy takich sprzymierzeńców, zastrzegł sobie tylko honor zasłużenia im, celem zapewnienia tryumfu tak nazwanej zasadzie prawowitości. Bezwątpienia, że gdyby propozycja zniweczenia Saksonji zrobioną nam była obok zapęwnienia nawet znacznych dla Francji korzyści, ale w czasach zwykłych, wśród powszechnego pokoju i w stanie regularnym państw, dzierżonych przez monarchów, którzy zasiadali na tronach na mocy tradycji i traktatów, wtedy nakazywałaby nam tak sprawiedliwość jak i prawdziwa polityka oprzeć się takim zamysłom; albowiem wszelkie wstrząśnienie, które nie jest nieuchronném, wszelkie wywłaszczenie, którego nie nakazuje jak najoczywistsza słuszność lub nieprzezwyciężony prąd czasu, jest czynem nieludzkim, nierozsądnym i niebezpiecznym. W takim więc razie byłby Talleyrand, obstając za Saksonją, położył zasługi nietylko dla słusznej sprawy ale i dla prawdziwej polityki. Ale w czasach kiedy ginął stary świat, w chwili kiedy nie postanowiono jeszcze o losach żadnego państwa, ale dopiero miano takowe ustalić, w chwili, kiedy każdy utwierdzić swe losy pragnął zagarnięciem jakiejś części puścizny Francuzkiej, w chwili, kiedy mocarstwa stałego lądu połarły Wenecję, Genuę, miasta wolne, i zmedjatyzowane księstwa Niemieckie, kiedy Anglja zagarniała wszystkie morskie pozycje i kiedy nawet małe państwa również chciwemi się okazywały jak wielkie, w chwili więc, gdzie każdy myślał tylko o so-

bie, wolno było Francji myśleć także o sobie i nieograniczać całej swej polityki na ocalenie państwa Niemieckiego, które innych bardziej obchodziło aniżeli ją, a które straciło było prawo do naszej przyjaźni. Bronienie w innych czasach Saksonji, byłoby dowodem nietylko nader szlachetnej ale i bardzo rozsądnej polityki; w epoce przecież, w której wszelkie prawa nabyte pochłonęła wraz z traktatami straszliwa, lat 22 trwająca wojna, i w której trzeba było na nowo tworzyć prawo, zaniedbał Talleyrand zanadto Francję dla Saksonji, a postępowanie jego, które inaczej byłoby całkiem niezrozumiałe, da się tylko wytłómaczyć niecierpliwością odegrania roli i wyznania głośnego zasady, której mocarstwa nie mogły brać na serjo, albowiem ci sami tylko dyplomaci austrjaccy, angielscy, francuzcy, którzy jej tak gorliwie bronili w Dreznie, poświęcili ją w Wenecji, Genui, Malcie, Sztokolmie i w stu księstwach Niemieckich.

Rozstrzygnięty został tym sposobem po dwa razy w przeciągu dwóch lat los Francji, z powodów jak najbłachszych. W r. 1813 mógł był Napoleon w Pradze zachować wielkość Francji i nie uczynił tego, zaślepiony szaloną ambicją. W r. 1814 mogli Barboni odzyskać niektóre cząstki naszej utraconej wielkości i puścili mimo tę sposobność przez niecierpliwość, aby tylko jak najprędzej módz ogłosić pokój, który stanowił ich popularność, przez nierozwagę, przez niedoświadczenie, przez upodobanie w głoszeniu zasady, która schlebiała dumie ich pochodzenia. Smutny to los Francji, na wszystkie wichry rewolucji wystawionej, że zapanował nad nią, raz szaleniec, drugi raz niezręczne stronnictwa. Szczęściem! że pomyślność materjalna nie jest wszystkiém. Francja więc odzyskała znów wielkością swą moralną tę rolę, jaką biegiem okoliczności była postradała; ale patrząc się na smutne widowisko, którego obraz co dopiero skreśliliśmy, wynurzmy życzenie, aby się utworzyła nareszcie we Francji prawdziwa polityka władzy, któraby nie patrząc na interes dynastji lub stronnictwa, nie dając się powodować wrażeniami chwili, bez upodobania wyłącznego dla wojny lub pokoju, i w ogóle bez hołdowania żadnemu wyłącznemu zajęciu, pod wodzą jedynie rozumu Stanu, kierowała sprawami kraju w jedynym celu, w celu jego bezpieczeństwa i wielkości. Oby nam Pan Bóg raczył udzielić tego dobrodziejstwa, a Francja otrzyma wtedy to, czego nigdy nie miała, a przynajmniej nie miała trwale, otrzyma w nadziei los, odpowiedni swemu duchowi, swej odwadze i niezmiernemu rozlewowi swej krwi.

KSIĘGA PIĘĆDZIESIĄTA SIÓDMA.

WYSPA ELBA.

Pobyt Lorda Castlereagh w Paryżu. — Otrzymał od Ludwika XVIII ustępstwo księstwa Parmy dla Marji Ludwiki, a w zamian przyrzekł usunięcie Murata. — Austrja sto tysięcy do Włoch, a Francja 30 tysięcy żołnierza wysyła do Delfinatu.—Stan wewnętrzny Francji: zdwojona obawa u nabywców dóbr narodowych, a rozdrażnienie pomiędzy wojskowymi. — Odkrycie popiołów Ludwika XVI i uroczystość pogrzebowa 21 Stycznia.—Zaprowadzone zmiany w ciele urzędniczém i zastąpienie p. Muraire przez p. de Sèze, a p. de Merlin przez p. Mourre — Zamieszki ludowe z powodu pogrzebu panny Raucourt.—Rozpoczęcie na nowo sprawy przeciw jenerałowi Exelmans. — Uniewinnienie tego jenerała. — Wojska francuzkie po raz pierwszy są usposobione do wmięszania się w politykę. — Młodzi jenerałowie zamierzają obalić Burbonów.—Związek braci Lallemand i Lefebore-Desnoëttesa. — Wielcy dostojnicy cesarstwa odpychają podobne przedsięwzięcia. — P. Fouché jako mniej sumienny tworzy koło siebie środek wszystkich tych knowań. — P. de Bassano, który dotąd nie znosił się z wyspą Elbą, poruczа p. Fleury de Chaboulon uwiadomić o wszystkiém Napoleona, nie ośmielając się jednak na żadną radę.—Urządzenie się Napoleona na wyspie Elbie i sposób jego życia. — Organizacja jego małej armji i małej marynarki.—Co robi dla pomyślności wyspy. — Stan jego skarbu.—Niemożność Napoleona utrzymywania nad lat dwa dłużej wojsk, które zabrał z sobą. — Okoliczność ta połączona z otrzymanemi wiadomościami skłania go do postanowienia, aby nie pozostał na Elbie.—Pojednanie się jego z Muratem i rady jakie mu udzielił. — W początku 1815 roku dowiaduje się Napoleon o bliskim wyjeździe monarchów zgromadzonych w Wiedniu, o zamiarze wysłania go na inne morza i że stronnictwa we Francji doszły do najwyższego stanu rozdrażnienia. — Postanowił więc natychmiast opuścić wyspę Elbę, a to tym bardziej, że długie w tej porze noce były przyjazne jego zamiarom.—Przybycie p. Fleury de Chaboulon utwierdza go w tém postanowieniu.—Tajemne przygotowania do wyprawy, która wykonaną być miała 26 Lutego.—Ostatnie jego orędzie do Murata i odbicie od brzegów 26 Lutego wieczorem. — Różne okoliczności tej podróży.—Wylądowanie w zatoce Juan 1 Marca — Zadziwienie i niepewność

nadbrzeżnych mieszkańców.—Poroniony zamach na Antibes.—Kilkogodzinny pobyt w Cannes.—Wybór pomiędzy dwoma drogami, to jest górami prowadzącą do Grenobli i nadbrzeżną prowadzącą do Marsylji.—Napoleon postanowił udać się na Grenoblę i postanowieniem tém zapewnił powodzenie swemu przedsięwzięciu. — Wymarsz 1 Marca wieczorem do Grasse. — Długi i trudzący pochód przez góry.—Przybycie dnia następnego do Sisteron.—Przyczyny dla których twierdza nie była obsadzoną. — Zajęcie Sisteron i pochód na Gap. — Co się dzieje w tej chwili w Grenobli.—Usposobienie szlachty, mieszczaństwa, ludu i wojska.—Prefekt i generałowie postanowili czynić swą powinność.—Wysłanie wojsk do La Mure w celu przecięcia drogi do Grenobli.—Napoleon po zajęciu Gap wyruszył do Grenobli i spotkał w La Mure batalion 5-go pułku linjowego, w celu zamknięcia mu drogi.—Ukazał się przed frontem bataljonu i odkrył swą pierś piątakom. — Ci odpowiedzieli okrzykiem: Niech żyje Cesarz i rzucili się ku niemu. — Po tem pierwszém powodzeniu Napoleon udał się dalej ku Grenobli.—W drodze spotkał 7-my pułk linjowy, dowodzony przez pułkownika La Bédoyère, który mu się poddał.—Przybycie pod mury Grenobli samym wieczorem. — Z powodu zamknięcia bram miasta lud takowe wyłamał i otworzył je dla Napoleona.—Pokojowa i liberalna przemowa Napoleona do władz cywilnych i wojskowych.—Przez 8 Marca bawi w Grenobli i wyprawia ku Lyonowi zebrane już wojska, które wynosiły do 8 tysięcy żołnierza. — Nazajutrz sam wyruszył ku Lyonowi. — Wiadomość o jego wylądowaniu 5 Marca przybyła do Paryża. — Wrażenie jakie tu zrobiła.—Wysłano hrabiego d'Artois z księciem Orleańskim do Lyonu, marszałka Ney do Besançon, księcia de Burbon do Wandei, księcia d'Angoulême do Nimes i Marsylji.—Natychmiastowe zwołanie izb —Niepokój klas średnich i głęboki smutek ludzi oświeconych, którzy przewidują następstwa powrotu Napoleona.—Rojaliści umiarkowani, a na ich czele pp. Lainé i de Montesquiou chcieliby porozumieć się ze stronnictwem konstytucyjném przez zmianę gabinetu w duchu liberalnym.—Przeciwnie rojaliści zagorzali, upatrując w obecném położeniu tylko skutki słabego postępowania rządu, nie chcą się zgodzić na żadne ustępstwo.—Ludwik XVIII miotany niepewnością, nic postanowić nie może.—Dalszy ciąg wypadków pomiędzy Grenoblą a Lyonem.— Przybycie hrabiego d'Artois do Lyonu.—Przyjęty tu został zimno przez ludność i niechętnie przez wojska.— Próżne usiłowania marszałka Macdonald do przekonania wojskowych wszelkiego stopnia, że powinni spełnić swoją powinność.—Stan rzeczy tak groźne przybiera pozory, że marszałek Macdonald skłonił do powrotu do Paryża hrabiego d'Artois i księcia Orleańskiego.—Pozostał sam tylko dla utworzenia zapory.—Przednia straż Napoleona pojawiła się 10 Marca wieczorem przed mostem Guillotière, a żołnierze strzegący tego mostu wydali okrzyk: *Niech żyje Cesarz!* otworzyli miasto wojsku cesarza i zamierzali pogodzić marszałka z Napoleonem.—Marszałek uciekł cwałem, chcąc pozostać wiernym swej powinności.—Uroczyste wejście Napoleona do Lyonu —Podobnie jak w Grenobli, usiłował przekonać wszystkich, że pragnie tylko pokoju i wolności. — Wydaje postanowienie rozwiązujące izby, zwołujące ciało wyborcze na uroczystość rycerską w Paryżu, i różnemi postanowieniami zapewnia powodzenie swemu przedsięwzięciu. — Po przepędzeniu w Lyonie czasu koniecznego, wyjechał 13 Marca rano drogą burgundzką. — Przyjęcie pełne zapału, jakiego doznał w Mâcon i Chalon. — Orędzie wielkiego marszałka Bertrand do Marszałka Ney. — Szczere usposobienie tego marszałka do pozostania wiernym swej powinności, lecz powszechne objawy ludności i wojska mimowoli ciągną go ku Napoleonowi. — Marszałek Ney dwa dni walczy w tej niepewności, lecz widząc powstające dokoła siebie i miasta i żołnierzy, łączy się z Napoleonem.—Uroczysty pochód Napoleona przez Burgundję. — Przybycie jego do Auxerre 17 Marca.—Zamiar zatrzymania się tutaj dwa dni, celem skupienia wojsk i szykiem wojennym wyruszenia na Paryż.—Stan stolicy w tych dniach ostatnich.—Usiłowania rojalistów umiarkowanych w celu porozumienia się ze stronnictwami spełzły na niczém; zmieniono tylko ministra wojny, któremu niedowierzano, i dyrektora policji, o którego zdolnościach powątpiewano. — Powołanie księcia do Feltre na ministra wojny.—Usiłowania braci Lallemand i ich niepowodzenia.—Okoliczność ta dodaje niejakiej otuchy dworowi i na jednem posiedzeniu królewskiém Ludwik XVIII oklaskami został przyjęty.—Zamiar utworzenia armji pod Melun pod rozkazami księcia de Berry i marszałka Macdonald.—Pobyt Napoleona w Auxerre. — Rozmowa jego z marszałkiem Ney.— Jego wyjazd 19 Marca i przybycie w nocy do Fontainebleau.—Na wiadomość o jego zbliżeniu się, rodzi-

na królewska postanowiła opuścić Paryż. — Wyjazd Ludwika XVIII i wszystkich książąt w nocy z 19 na 20 Marca. — Niewiadomość jak się rzeczy mają 20 Marca z rana, po wyjeździe rodziny królewskiéj. — Oficerowie na pół żołdzie gromadnie zebrani na placu Karuzelu dowiedzieli się że pałac jest opuszczony i rozwinęli trójkolorową chorągiew. — Dostojnicy cesarstwa zgromadzili się tutaj. — Napoleon wyjechawszy z Fontainebleau po południu, przybył do Paryża wieczorem — Wjazd jego do Tuilleries. — Przyczyny i skutki zadziwiającej tej rewolucji.

Wyjechawszy z Wiednia 15 Lutego 1815 roku, lord Castlereagh przybył do Paryża 26 i bardzo krótko tu się zatrzymał, niecierpliwie będąc oczekiwany przez swych towarzyszy w Londynie, którzy w czasie jego nieobecności nie ośmielali się brać pod rozprawy aktów kongresu. Zobaczył się z Ludwikiem XVIII, został przyjęty przez niego z nadzwyczajną grzecznością i zyskał powodzenie w układach, które miał na celu, to jest, że księstwo Parmy zostanie zapewnionem do śmierci Marji Ludwice i że tymczasowo dziedziczka Parmy, to jest królowa Etrurji, zajmie w posiadanie Lukkę. Ludwik XVIII łatwo się zgodził na te żądania, gdyż chciał podobać się Anglii, a nadewszystko że zamierzał zyskać od tego mocarstwa ustępstwo co do spraw neapolitańskich. Zresztą robiony hałas we Włoszech uzbrojeniami Murata, uproszczał rozwiązanie sprawy ministrom angielskim, gdyż łatwo już było wystawić króla neapolitańskiego, jako przeniewierzającego się przyjętym na się zobowiązaniom i zakłócającego pokój europejski, a ztąd jako zasługującego na zrzucenie z tronu, na którym chwilowo tylko był cierpiany. Austrja, do pięćdziesięciu tysięcy żołnierza, którego miała we Włoszech, zajęła się dosłaniem jeszcze stu tysięcy, a Ludwik XVIII postanowił w swej radzie, aby trzydzieści tysięcy Francuzów rozłożyć pomiędzy Grenoblą a Lyonem, a to celem śpieszenia w danym razie lądem i morzem przeciw zamierzanym działaniom przez Murata. Wszystko więc w ten sposób było ułożone, aby zetrzeć we Włoszech ostatni ślad obszernego państwa Napoleona.

Przeznaczenie jednak Burbonów chciało, aby oni sami przed Muratem wpadli w zawsze otwartą otchłań rewolucji, z której wyjść mieli na nowo bardziej uparci, a na nieszczęście mniej świadomi. Położenie ich nie stało się lepszém od ich postępowania. Przy końcu Grudnia otrzymawszy wszystko od izb, odroczono je do 1 Maja 1815 roku, widocznie się od nich oswabadzając, a tym sposobem rząd królewski pozbawił się jednej ze swych najlepszych podpór, gdyż szczególniej izba deputowa-

nych przy bojaźliwém lecz rosądném swém postępowaniu, była prawdziwém wyrażeniem opinii publicznej, która jakkolwiek widziała że Burboni są nieroztropni, a często nawet zadający rany, życzyła przecież zwrócenia ich na właściwą drogę i utrzymania na tronie. Izba deputowanych, która, jak sobie przypominamy, była tylko dalszym ciągiem dawnego ciała prawodawczego, potępiwszy kilka razy z trybuny szaleństwa emigrantów, zadowolniła tém samém opinję publiczną, zbawienne dała ostrzeżenie rządowi i zajęła niejako stanowisko pośrednika, który niedopuszczał, ażeby zadaleko zaszło rozdrażnienie z jednej, a błędy z drugiej strony. Nieobecność więc takiej izby w podobnych okolicznościach była bardzo szkodliwą, gdyż z każdym dniem coraz większy następował rozbrat pomiędzy narodem a emigracją, zwłaszcza gdy już ustało działanie tej pośredniej władzy, którąby zdolna była zwaśnione strony zbliżyć i w tém zbliżeniu utrzymać.

To też błędy i skutki tych błędów z każdym dniem się zwiększały. Księża na kazalnicy nie przestawali prawić przeciw zajęciu dóbr kościelnych; świeccy, dawni posiadacze dóbr sprzedanych, napastowali nowo-nabywców o zwrot kupionych, które po większej części za bardzo tanią cenę zostały ponabywane, a które to dobra dawni posiadacze tańszym jeszcze kosztem posiąść zamierzali. Wprawdzie karta zapewniała nietykalność sprzedaży narodowej i zapewniała w tym razie nabywców, ale też wmawiano w nich, że karta była tylko chwilowém dla okoliczności ustępstwem, a ztąd w obec ruchliwości obecnych czasów słusznie się niepokoili. Dzienniki nadto uważane za organa stronnictwa królewskiego, bardzo niepokojąco dla nabywców odzywały się w tym przedmiocie, a gdy im odpowiadano przytoczeniem praw zasadniczych, odpowiadały, że prawo mogło tylko zapewnić materjalne dóbr nabycie, lecz nie mogło tego uprawnić moralnie, co było wręcz przeciwnem uczciwości w oczach sumienia publicznego. — Prawo, mówili oni, zapewnia kupna narodowe, opinja je piętnuje. A przeciw temu nic innego powiedzieć nie można, jak tylko dać oklask tému zwrotowi powszechnej moralności, przeciw zbrodni i zdzierstwu.—Podobne odzywanie się, aby było zgodne z sobą, powinno było doprowadzić także do środków grabieży, lecz nie ośmielano się jeszcze na nic podobnego, a tymczasem używano przeciw nabywcom nacisku moralnego, dla zmuszenia do zwrotu zaprzeczanej im własności. Ziściły się więc wypowiedziane przez pana Lainé w komisji karty słowa, że trzeba koniecznie zapewnić sprzedaż narodową, ale niezbyt silnie, aby tym sposobem zmusić nowych posiadaczy do układów z dawnymi.

W działaniach tych przeciw nabywcom dóbr narodowych posługi-

wano się jeszcze bardzo znaczącą bajką. Rozgłaszano bowiem, że książe Wagram, Berthier, dziedzic dóbr Grosbois, zebrawszy wszystkie prawa ich własności, złożył takowe u nóg Ludwika XVIII, prosząc aby raczył wejść napowrót w posiadanie; że król ze swej strony prawo własności na siebie przyjął i zachował takowe przez godzinę, a następnie przywołał przed siebie dręczonego wyrzutami sumienia marszałka cesarstwa i wyrzekł: Wejdź pan napowrót w posiadanie dóbr Grosbois; nie mogę nic lepszego zrobić nad obdarzenie pana niemi, aby choć tym sposobem wynagrodzić długą służbę.— Bajeczka ta z trudną do uwierzenia szybkością, rozeszła się po najoddaleńszych krańcach Francji i zyskała wiarę. Książe Wagram zapytywany ze stron wszystkich, upewniał że to było tylko wymysłem, lecz pomimo to bajkę za prawdę ciągle głoszono. Usiłował on nawet umieścić jej odwołanie w dziennikach stronnictwa królewskiego, lecz to mu się nie powiodło.

P. Louis, obawiając się zgubnych na kredyt skutków z podobnego niepokojenia nabywców dóbr narodowych, po stoczeniu walki na radzie ministrów, wydarł niejako od Ludwika XVIII podpis na postanowieniu wystawiającém na sprzedaż niektóre lasy państwa, które w większej części składały się z dawnej własności kościoła. Natychmiast po podpisaniu tego postanowienia wprowadził je w wykonanie, aby tym sposobem uprawnić nabywców, gdyż nie mogło być już mowy o zaprzeczaniu prawności dawnego kupna, kiedy z tém łączyły się nowe za Burbonów sprzedaże. Niskie ceny sprowadziły mnóstwo spekulantów, którzy widząc widoczne tu dla siebie korzyści, śpiesznie nabyli wystawione na sprzedaż lasy. Pomimo to jednak nabywcy dóbr w czasach rewolucji nie mogli się uspokoić i w prawdziwej trwodze zamieszkiwali swe folwarki, a podobne usposobienia ogromnie na usposobienie kraju oddziaływały, gdyż obawa czegoś daleko silniej ludźmi powoduje, aniżeli złe samo.

Manifestacje przeciw rewolucji francuzkiej nie ustawały. Rocznica 21 Stycznia, dająca do nich nowy powód, pochwyconą została z zapałem. Pewien człowiek pobożny kupił na ulicy Madeleine w Paryżu plac, na którym pochowano króla Ludwika XVI, królowę Marję Antoninę i księżniczkę Elżbietę, a za zbliżeniem się 21 Stycznia rozpoczął poszukiwanie w ziemi prochów tych królewskich ofiar. Uwierzył że je wynalazł i wedle wszystkich wskazówek podobne to było do prawdy. Skutkiem tego odkrycia rząd królewski nakazał uroczystość pogrzebową, dla przeniesienia do Saint-Denis tych godnych poszanowania popiołów. Ale też gdy na nieszczęście obrząd ten odbywał się w towarzystwie złorzeczeń wszelkiego rodzaju przeciw rewolucji francuzkiej, to też ludzie, którzy czy to skutkiem działań czy przekonania politycznego

przywiązani byli do rewolucji, odpowiedzieli na tę uroczystość tysiącznemi wątpliwościami i tysiącznemi żartami o zrobionem odkryciu przy ulicy Madeleine. Rojaliści znów wystąpili z nowemi przeciw rewolucjonistom zniewagami i powtarzali, że jeżeli materjalnie im przebaczono, i jeżeli, skutkiem wielkiej łaski, nie poprowadzono ich na rusztowanie, na mocy przyobiecanego kartą zapomnienia przeszłości, to przecież nie można uciszyć sumienia publicznego i zabronić, aby tak obrzydłe zbrodnie potępiane nie były. Dla lepszego zaś zapewnienia powrotu tych smutnych oskarżań, postanowiono coroczną uroczystość na odpokutowanie zbrodni 21 Stycznia.

Z podobnemi czynami łączono jeszcze bardzo znaczące występowanie przeciw osobom. Przyjmując w zasadzie dożywotniość urzędników, król zastrzegł sobie jednak prawo potwierdzenia lub też usunięcia obecnie znajdujących się w służbie, czyli przebrania tym sposobem całego ciała urzędniczego. Skutkiem też tego wszyscy urzędnicy z niepokojem poglądali w przyszłość, a ztąd pozostawali w stanie zależności, która zgubnie oddziaływać mogła na sumienne sprawowanie władzy, a szczególniej względem nabywców dóbr narodowych. Izby przed swém odroczeniem zażądały, aby położono koniec podobnemu stanowi rzeczy: to też w styczniu 1815 roku, rząd rozpoczął swe na tém polu działania od sądu najwyższego, przez wydalenie pierwszego prezydenta p. Muraire, z powodu jego spraw prywatnych, i prokuratora jeneralnego pana Merlin, z powodu iż głosował w procesie Ludwika XVI, a w miejsce tych urzędników powołał pp. de Sèze i Mourre. Taka zmiana urzędników była bardzo prostą rzeczą, ale też równie proste sprowadziła następstwo, że stronnictwo rewolucyjne namiętne z tego powodu na niesprawiedliwość rządu podniosło krzyki, gdyż stronnictwa nigdy nie sądzą sprawiedliwie czynów swych przeciwników, lecz starają się je osławiać dla własnego pożytku.

W tymże samym czasie duchowieństwo powodując się nie właściwą mu namiętnością, lecz tylko zbyteczną surowością, wywołało prawdziwe poruszenie pomiędzy ludnością paryzką. Znakomita artystka panna Raucourt umarła. Ciało jej zaniesiono do kościoła świętego Rocha, bez poprzedniego porozumienia się z proboszczem o nabożeństwo żałobne. Proboszcz jednak uważając artystów teatru jako wypchnięte ze społeczności Kościoła istoty, upornie opierał się wniesieniu trumny do świątyni. Niebawem nadbiegły do najwyższego stopnia oburzone tłumy i upatrując w tym postępku księdza nowy dowód nietolerancji duchowieństwa, przemocą drzwi kościoła otwarły, trumnę wewnątrz wprowadziły, a oburzenie było tak wielkie i powszechne, że kto wie coby

z niego wypłynęło, gdyby był nie nadszedł rozkaz królewski, stanowczo polecający proboszczowi uczcić zwłoki zmarłej wszelkiemi przepisanemi obrzędami.

Wedle praw kanonicznych proboszcz zupełną miał słuszność, a gdy duchowieństwo nie utrzymywało ksiąg stanu cywilnego, gdy odmówienie nabożeństwa żałobnego w niczém wpłynąć nie mogło na poniżenie zmarłego lub uroczystość pogrzebu, przyjaciele zmarłej artystki winni byli odprowadzić zwłoki na cmentarz bez wnoszenia ich do kościoła. Lecz w onym czasie duchowieństwo nadużywając swego posłannictwa, namiętnemi kazaniami tak wzburzyło umysły, że ludność nie mogła obojętnie patrzeć na najbardziej nawet uzasadnione jego czyny, a ztąd bardzo prawdopodobną stawało się rzeczą, że gdyby proboszcz nie był posłusznym rozkazowi królewskiemu, lud mógłby się dopuścić opłakanych czynów, którym bezwątpienia ani wojsko ani też gwardja narodowa nie chciałaby stawić oporu.

Ze wszystkich przecież zajść tego czasu, najsmutniejszém i najgłośniejszém była wytoczona sprawa przeciw jenerałowi Exelmans.

Mówiliśmy już poprzednio o zarzucanej winie znakomitemu jenerałowi. Pomiędzy listami przejętemi przez lorda Oxford, a wyprawionemi na dwór Neapolitański, znalazł się jeden, w którym jenerał Exelmans ponawiał Muratowi, którego był przyjacielem i podkomendnym, zapewnienie zupełnego swego poświęcenia i zarazem dodawał, że gdyby tron jego miał być kiedy zagrożonym, wówczas wielu oficerów francuzkich odda mu na usługi swe szpady. Wiedziano powszechnie, że dwór Francuzki usilnie pracował w Wiedniu nad złożeniem Murata; ale też wojna nie była mu jeszcze wypowiedzianą, a ztąd jenerał swym listem w niczém nie wykroczył przeciw karności wojskowej. Z powodu jednak, że jenerał Exelmans utrzymany był w czynnej służbie, można mu było tylko naganić postępowanie i zastrzedz, aby więcej szanował znane powszechnie życzenia rządu, który tak łaskawym pokazał się dla niego. Jenerał Dupont tak też sądził i zadowolnił się udzieleniem nagany jenerałowi Exelmans, z napomnieniem, aby ostrożniej w przyszłości postępował. Lecz minister wojny Dupont zastąpiony został przez marszałka Soult, a wiadomo jak ten marszałek tak niechętny z początku dla restauracji, pogodził się z nią wkrótce, a później przyrzekł zaprowadzić karność w szeregach i skłonić wojska do bezwarunkowej wierności dla nowej dynastji.

Jednym ze środków, których chciał użyć marszałek do przeprowadzenia swych zamiarów, było odgrzebanie dawno zapomnianej sprawy jenerała Exelmans, by uderzeniem na jednego z najbardziej poważanych

generałów, przestraszyć wszystkich innych. Zwyczajem bowiem było owego czasu rozprawiać a nawet i wierzyć, że to tylko słabość rządu ośmiela wojska do złego usposobienia. Obrażony książe de Berry, że nie znajduje w szeregach przyjaznych dla siebie uczuć, napoił się tém przekonaniem i podtrzymywał je z całą gwałtownością swego charakteru. Marszałek Soult, usiłujący podobać się księciu, przeniósł jenerała Exelmans na pół żołdu i skazał go na rodzaj wygnania do Bar-sur-Ornain, jako miejsca urodzenia. W tym czasie oficerowie na pół żołdzie zaprzeczali ministrowi prawa przeznaczania im miejsca pobytu. Utrzymywali oni, że nie związani żadnemi obowiązkami, któreby wymagały ich obecności w danem miejscu, mogą sobie dowolnie obrać miejsce zamieszkania. Ze swej strony minister wojny upierał się przy utrzymaniu tego prawa, a miał w tém zupełną słuszność, gdyż w obecnym stanie rzeczy, przy tej skłonności bezczynnych oficerów do przemieszkiwania w Paryżu, gdzie się tak licznie zgromadzili, zależało rządowi na rozproszeniu ich prostym rozkazem administracyjnym. Rozkaz ten po kilkakroć powtarzany pozostawał zawsze bez skutku, a oficerowie na pół żołdzie coraz gromadniej skupiali się w stolicy i nie ukrywali wcale swych nieprzychylnych dla rządu usposobień. Ale dla dopięcia celu bardzo niezręcznie się wzięto, przez wymierzenie ciosów na tak poważaną osobistość, jaką był jenerał Exelmans, zwłaszcza że zarzucane mu przestępstwo było dosyć śmiesznem.

Jenerał Exelmans, do koła którego gromadziły się wszystkie gorętsze głowy w Paryżu, nie okazał się skłonnym do usłuchania rozkazu skazującego go na wygnanie i na chwilę żądał tylko zwłoki, usprawiedliwiając się niemożnością opuszczenia żony w połogu. Bardzo byłoby rozsądnie ze strony władzy zadowolnić się tém pół posłuszeństwem jenerała i nie wywoływać z jego strony jawnego oporu przeciw prawu powszechnie zaprzeczanemu. Lecz marszałek Soult uparł się i żądał natychmiastowego wyjazdu jenerała Exelmans. Ten też pobudzony przez swych młodych przyjaciół, stanowczo wymówił posłuszeństwo. Wówczas marszałek bez żadnego względu na stan młodej żony jenerała, rozkazał go uwięzić. Odprowadzany do Soissons jenerał zdołał uciec z pod straży i napisał do ministra żądając sądu, z przyrzeczeniem, że stawi się jako więzień na oznaczoném miejscu, jakie mu wskazanem zostanie, byle tylko znalazł tam sąd prawy, który będzie miał za zadanie roztrząsnąć jego sprawę.

Zdarzenie to wywołało tak pomiędzy wojskowymi jak i publicznością wielkie wrażenie. Powszechne zrodziło się oburzenie przeciw marszałkowi, który z żarliwego sługi cesarstwa stał się niemniej żarliwym

poplecznikiem Burbonów i zaczął prześladować dawnych towarzyszów broni jeszcze bardziej, aniżeli jenerał Dupont. Opowiadano wszędzie o dokonanym gwałcie na jednym z najświetniejszych oficerów, a nadewszystko o przerażeniu jego młodej żony, a to wszystko za urojone przestępstwo, za okazanie współczucia dla Murata, jego dawnego wodza i dobroczyńcy, i słusznie czy nie, ale powszechnie dowodzono, że minister nie ma prawa naznaczać miejsca zamieszkania oficerom nie będącym w czynnej służbie. Opinja publiczna do najwyższego w tej sprawie podrażnioną była stopnia, a rozdrażnienie ciągle wzrastało.

Po wywołaniu nieszczęsnego tego hałasu nie można było zatrzymać się i pozostawić jenerała w ukryciu i bez sądu, który koniecznie wyznaczyć należało. Marszałek więc wniósł na radę królewską projekt tak źle rzecz przedstawiający, że zakłopotał najumiarkowańszych nawet członków rządu. Trzeba się było ograniczyć na pociągnięciu jenerała do odpowiedzialności za winę nieposłuszeństwa, a przytém można było wiele powiedzieć na korzyść prawa zaprzeczanego ministrowi wojny. Państwo bowiem płacąc pół żołdu wielkiej liczbie oficerów i to nie jako emeryturę, lecz z tytułu jakby na pół byli czynni, w oczekiwaniu na zajęcie ich zupełne, mogło w każdym razie rozciągnąć jakieś prawa nad nimi, a nie było w tém nic uderzającego, że im wyznaczało miejsce pobytu, zwłaszcza że to przeznaczenie zamieszkania mogło być w związku ze stałém do służby czynnej powołaniem. Minister jednak nie dotknął najważniejszego punktu nieposłuszeństwa jenerała Exelmans, lecz wniósł o oddanie go pod sąd wojenny, kwaterującej w Lille 16 dywizji, a to za zbrodnię znoszenia się z nieprzyjacielem, szpiegostwo, nieposłuszeństwo, nieposzanowanie króla i pogwałcenie przysięgi kawalerskiej ś. Ludwika. Pomimo że w łonie rządu wielkie panowało oburzenie przeciwko wojsku, to przecież podobne oskarżenie marszałka wywołało zadziwienie. Jenerał Dessoles ubolewał nad koniecznością obejścia się surowo z tak znakomitym oficerem, jakim był jenerał Exelmans, ale dziwnym bardzo znalazł zrobiony mu zarzut o szpiegostwo. Powiedział zresztą, iż należy usiłować, aby sąd wydał potępiający wyrok, lecz z myślą natychmiastowego ułaskawienia. Hrabia d'Artois z niezwykłą sobie gwałtownością zakrzyczał, że trzeba wystrzegać się wszelkich ułaskawień, że przeciwnie z całą surowością postępować należy, aby powrócić żołnierzy do karności. Książe de Berry podobnież utrzymywał, lecz nie mógł się wstrzymać od powiedzenia, że zarzut szpiegostwa był niewłaściwym. Król zaś i p. de Jaucourt, obadwa wtajemniczeni w obroty polityki zagranicznej (p. de Jaucourt zastępował czasowo p. de Talleyrand) zauważali, że za śmiałem było oskarżenie jenerała już nie o szpiegostwo, ale nawet o znoszenie

się z nieprzyjacielem. Wiedzieli oni, jak trudno było w Wiedniu zaprzeczyć Muratowi tytułu królewskiego; wiedzieli oni, że największym stałoby się nierozsądkiem zaprzeczać mu obecnie tego tytułu, zwłaszcza że dotąd uważany był jeszcze za sprzymierzeńca, a ztąd nie można było w żadnym razie nazwać go obecnie nieprzyjacielem, chociaż postanowiono już o tém, za pierwszém poruszeniem wojsk przez niego. Król więc z czasowym ministrem spraw zagranicznych nie ukrywali bynajmniej, że trudno będzie nazwać urzędownie Murata nieprzyjacielem a w takim razie upadnie całe oskarżenie, gdyż całą winą jenerała Exelmans jest napisanie przez niego listu do dworu Neapolitańskiego.

Marszałek Soult dotknięty w miłości własnej, z uporem walczył o utrzymanie wyrażeń swego rapportu. *Jenerał panujący w Neapolu*, tak nazywał Murata, był według niego, tylko przywłaszczycielem jednego tronu Burbonów, więc nieprzyjacielem Francji, a ztąd ktokolwiek pisał do niego, *znosił się z nieprzyjacielem*. Zbrodnia szpiegostwa, według niego była dowiedziona tą okolicznością, że uwiadamiał Murata o usposobieniu wielu oficerów francuzkich, że chcą mu oddać na usługi swe szpady. Co zaś do nieposłuszeństwa to było widocznem, gdyż jenerał zaprzeczył ministrowi wojny prawa wyznaczania miejsca pobytu oficerom na pół żołdzie, a to nie tylko zaprzeczył tego prawa, ale nadto nie chciał mu się poddać. Nakoniec pod względem nieposzanowania króla i pogwałcenia przysięgi kawalerskiej ś. Ludwika, dowodzenia ministra były bardzo naciągane, a zresztą obadwa te zarzuty były mniej ważne. Marszałek do tego stopnia upierał się przy utrzymaniu oskarżenia, że król tak skutkiem swej powolności jak i lenistwa zgodził się na nie, zastrzegając sobie wszakże na wypadek potępienia prawo łaski. Książe de Berry, chociaż powątpiewał o wartości poczynionych jenerałowi zarzutów, powstał przeciw okazanej skłonności króla do przebaczenia i powtórzył, że trzeba bardzo wystrzegać się wszelkich ułaskawień, gdyż, jak mówił, była to słabość, która gubi wojska. Król zniecierpliwiony odpowiedział mu: *Mój synowcze, nie idź prędzej od sprawiedliwości* i oczekuj co ona wyrzecze.

Poruczono więc ministrowi wojny wytoczyć sprawę jenerałowi Exelmans, na zasadzie oskarżeń, któreśmy dopiero przytoczyli. Skoro tylko jenerał dowiedział się, że ma być stawionym przed sądem wojennym 16 dywizji, nie wahał się oddać się jako uwięziony, gdyż wedle zdania licznych jego przyjaciół, nie mógł się znaleść ani jeden wojskowy, a nawet ani jeden urzędnik, któryby był zdolnym do potępienia go.

Jenerał udał się do Lille i stanął 23 Stycznia przed sądem wojennym 16 dywizji. Sprawozdawca odczytał oskarżenia poczynione przez

marszałka Soult; jenerał odpowiedział prosto i z godnością, tonem umiarkowanym, który jakkolwiek nie był mu właściwy, ale bardzo mądrze doradzany. Co do stosunków z nieprzyjacielem odpowiedział, że Francja w tej chwili była na stopie pokojowej ze wszystkiemi państwami Europy, a ztąd nie można nawet przypuszczać, aby się znosił z nieprzyjacielem; jeżeliby zaś Francja miała przypadkiem jakiego nieprzyjaciela, to ten jeszcze niewiadomy, nie może być za takiego uważanym, aż dopiero po wypowiedzeniu wojny, lub rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich. Co do zarzutu szpiegostwa, oświadczył z uczuciem godności pojętej i uznanej przez wszystkich obecnych, że nawet nie chce odpowiadać. Co do zarzutu nieposłuszeństwa, utrzymywał, że w obecnym stanie rzeczy, minister wojny nie mogąc wymagać żadnej służby od oficerów na pół żołdzie, stosował do nich prawo wygnania, zmieniając ich miejsce pobytu wedle upodobania. Co do obrazy króla zapewniał, że pełen uszanowania dla osoby najjaśniejszego Ludwika XVIII, jest pewnym iż nic takiego nie napisał, coby wykraczało przeciw temuż uszanowaniu. Nakoniec co do wykroczenia przeciw obowiązkom kawalera orderu św. Ludwika, dość lekko odpowiedział, że bezwątpienia nie zna tych obowiązków, gdyż nie mógł wynaleść ani jednego, któryby był przeciwny jego postępowaniu.

Odpowiedzi te były tak proste, tak gruntowne, że całe oskarżenie stało się bezużytecznem. Narada była krótka i sąd wojenny prawie bez rozpraw jednomyślnie uwolnił jenerała Exelmans. Łatwo sobie wyobrazić radość, a raczej radosną manifestację wojskowych, którzy tłumnie nadbiegli dla towarzyszenia na sądach jenerałowi. Uroczyście odprowadzono go do domu, a w kilka dni wrażenie odbite z Lille rozniosło się po całej Francji, pomiędzy nieprzyjaciołmi rządu. Światli przyjaciele rządu opłakiwali sprawę tak niezręcznie wytoczoną, która tyle ważnych i niebezpiecznych pytań na raz rozstrzygnęła. Następstwami tej sprawy było, że wojska nie uważały Murata jako nieprzyjaciela, nie przyznały ministrowi wojny prawa naznaczania miejsca pobytu oficerom na pół żołdzie, na koniec, że wszyscy wojskowi nie obawiali się stawiać widocznej opozycji ustalonemu porządkowi rzeczy.

Nigdy jeszcze okoliczności nie wystawiły bardziej uderzająco słabej strony przywróconego królestwa. Na czém bowiem opierało się ono, przeciw tylu nieprzyjaciołom tak niezręcznie wywołanym, kiedy siła zbrojna tak nieprzyjacielsko była usposobioną? Wprawdzie pozostawała jeszcze gwardja narodowa, złożona ze stanu średniego, który życzył utrzymania Burbonów, obiecując sobie przy nich udział w rządzie. Lecz w Paryżu pycha gwardji przybocznej, na prowincji powróconej szlachty,

wszędzie nietolerancja duchowieństwa, groźby przeciw nabywcom dóbr narodowych, cierpienia przemysłu skutkiem napływu towarów angielskich, utrata granic niesłusznie przypisywana restauracji, nakoniec rozbudzenie się ducha liberalnego, przeciw któremu Burboni nieprzyjacielsko wystąpili, w miejsce zawarcia z nim sojuszu, nadwerężyło usposobienie stanu średniego tak dalece, że tylko bardzo światłe głowy myślały o konieczności utrzymania Burbonów, przy skierowaniu jednocześnie usiłowań ku ich poprawie. Uczucie to jednak ograniczone do kółka bardzo ciasnego, czyż mogło utrzymać Burbonów w obec tylu różnego rodzaju nieprzyjaciół? Nikt w to nie wierzył, a myśl przyszłej zmiany, myśl, która sprowadza często to, co przewiduje, przeniknęła wszystkie umysły. Skoro bowiem rozszerzy się zgubne pojęcie o niemożności utrzymania się rządu, wówczas obojętni stają się bardziej zimnymi, interesowani gdzieindziej zwracają swe spojrzenia, przerażeni przyjaciele popełniają wiele błędów, a urzędnicy obowiązani do utrzymania powagi prawa, wahają się i nie chcą narażać dla władzy, która nie będzie mogła wynagrodzić ani ich usiłowań ani też niebezpieczeństwa. Ci ostatni szczególniej okazali się wówczas jak najgorzej usposobieni. Byli to wszystko urzędnicy z czasów cesarstwa, gdyż rojaliści tak szlachta jak i nieszlachta, emigranci czy nieopuszczający nigdy kraju, pomimo najszczerszej chęci zajęcia w kraju stanowisk, nie mogli takowych otrzymać od rządu, z powodu iż obrót spraw publicznych był im zupełnie nieznanym. Wielu z nich zwróciło się, jak tośmy widzieli, do służby wojskowej, co najopłakańsze w szeregach wywołało skutki. Inni przemyśliwali o urzędach w wydziale skarbowym, lecz nielitościwie byli odepchnięci przez p. Louis, który był fanatykiem w swoim zawodzie. Niektórzy zabiegali o urzędy administracyjne, lecz ksiądz Montesquiou niemniej wyniosły ze swymi przyjaciołmi jak z przeciwnikami, powiedział bez ogródek, że to nie wystarcza emigrować dla poznania Francji i uzdolnienia się do rządów, a zarówno z pogardy jak i lenistwa zaledwie zmienił dwudziestu prefektów na ośmdziesięciu siedmiu. Nakoniec co się tyczy sądownictwa, były zamiary pomieścić tu emigrantów, lecz oddawna zapowiedziane oczyszczenie tej władzy zaledwie się rozpoczęło, a złożenie pp. Muraire i Merlin wywołało prawdziwy przestrach pomiędzy urzędnikami. To też wojska widocznie nieprzyjazne, urzędnicy prawie wszyscy z czasów cesarstwa podejrzani rządowi, którego nie lubili, podkopywani przez rojalistów czychających na ich stanowiska i zmęczeni obłudą, z jaką ich potępiano, stan średni przyjazny z początku a obojętny obecnie, lud wiejski zupełnie odstręczony z przyczyny dóbr narodowych, lud miejski nakłaniający się ku rewolucjonistom z nawyknienia i zamiło-

wania, nakoniec nieliczni i niesłuchani przyjaciele pomiędzy ludźmi oświeconymi, którzy widzieli niebezpieczeństwo przywrócenia cesarstwa, składały całość usposobienia narodu francuzkiego ze względu na Burbonów, a położenie to zarysowywało się coraz wyraźniej przy każdém zdarzeniu, jakie po sobie następowały z dziwną szybkością.

Pomiędzy wszystkiemi temi stanami społeczeństwa bądź obojętnemi bądź też nieprzyjaźnie usposobionemi, najniebezpieczniejszym był stan wojskowy, zwłaszcza gdy wyrobił w sobie przekonanie, że rząd od jego łaski zależał i że go może wywrócić skoro tylko zechce. Usposobienie podobne nie było jeszcze nigdy widzianém w szeregach francuzkich i na szczęście nie powtórzyło się już później, gdyż nie ma nic niebezpieczniejszego dla państwa, nad mięszanie się wojska do ruchów rewolucyjnych, przy zapomnieniu o swej głównej powinności utrzymania porządku w imieniu prawa. Staje się ono bowiem wkrótce najsmutniejszém i najobrzydliwszém narzędziem rewolucji, gdyż naraz przemienia się w hordę, rozprzężoną, niekarną, nienasyconą, a częstokroć podłą, zdolną do uciskania rządu na wewnątrz a bezsilną do bronienia kraju na zewnątrz, hańbiącą i rząd i siebie aż do czasu jej wytępienia z konieczności ogniem i mieczem, jak to miało miejsce z pretorjanami rzymskimi w starożytności, ze strzelcami, mamelukami i janczarami w czasach niedawnych. Aż dotąd wszystkie rewolucje francuzkie nie miały nic wspólnego z wojskami, i nie używały ich ani za sprężynę, ani też za cel lub środek. Lecz rewolucja 1814 roku podniesiona przez całą Europę przeciw naczelnikowi wojska, który nadużył swego jenjuszu i dzielności swych żołnierzy, zdawała się głównie być wymierzoną przeciw wojskom francuzkim, co je srodze dotknęło. Wojska te głaskane z początku przez Burbonów w osobach naczelników, spostrzegły wkrótce, że pomiędzy niemi a rządem jest otchłań, jaka musi być pomiędzy stronnictwem broniącém ojczyzny a stronnictwem prowadzącém najazd, a ztąd przyszła im myśl odegrać rolę polityczną. Wyrzućmy tych emigrantów za drzwi, było wyrażeniem zgromadzonej w Paryżu młodzieży wojskowej. Czy to Napoleon stanie na ich czele, czego żądali gorąco (nie wiedząc niestety czego żądali), czy też nie stanie, postanowili własnemi rękami obalić rząd i to jak można najśpieszniej. Bezczynni oficerowie zapowiadali to głośno, a przy podobnych rozprawach znajdowali się zawsze czynni, którzy milczeniem zdawali się przytwierdzać tym zamiarom i okazywać gotowość do pomocy. Co zaś do żołnierzy, to o usposobieniu ich ani wątpić można było, gdyż w miejsce młodzieży, która samowolnie opuściła chorągwie w 1814 roku, stanęli w szeregach starzy, którzy wrócili bądź

i niewoli bądź z załog odległych, jedném słowem całe wojsko było nieprzyjazne dla Burbonów i poświęcone dla Napoleona.

Ktokolwiek byłby ministrem wojny w takich okolicznościach, zawsze byłby za słabym do pokonania podobnego usposobienia, to też z marszałek Soult wybrany w nadziei przełamania trudności, nic tu podołać nie mógł. Przeciwnie nawet, jego próbka okazanej surowości przeciw jenerałowi Exelmans, doprowadziła rzeczy do bardzo niebezpiecznego wrzenia. Kilka tysięcy zgromadzonych w Paryżu oficerów na pół żołdzie, a byli to oficerowie wszelkiego stopnia od jenerałów aż do podporuczników, powtarzający bezustannie, że trzeba emigrantów wyprawić za granicę, prostém następstwem rzeczy byli gotowi do poparcia czynem słów swoich; a choć liczba ich była wystarczającą do zbrojnego na własny rachunek wystąpienia, to przecież czuli że skutek daleko będzie pewniejszy, jeżeli będą mieli po sobie niektórych starych towarzyszy, w czynnej pozostawionych służbie, gdyż byłyby już gotowe do wystąpienia siły za danym znakiem. Pod względem tym okoliczności wybornie sprzyjały, gdyż w niewielkiej odległości od Paryża stali dowódzcy najskłonniejsi do wybuchu. Świetny Lefebvre-Desnoëltes pozostał na czele jazdy gwardji, rozłożonej na północy. Bracia Lallemand, oficerowie wielkiej zasługi i najbardziej ożywieni przeciw restauracji, dowodzili: jeden w departamencie Aisne, a drugi artyllerją w La Fère. Nakoniec, jeden z pierwszych jenerałów dywizji za cesarstwa, Drouet, hrabia d'Erlon, syn niegdyś naczelnika poczty z Varennes, stał na czele 16 dywizji wojskowej w Lille. We czterech mogli zgromadzić piętnaście lub dwadzieścia tysięcy żołnierza, poprowadzić go na Paryż, złączyć z kilkoma tysiącami oficerów na pół żołdzie, a mając w stolicy przeciw sobie tylko straż przyboczną, z pewnością liczyć na pomyślny skutek. Pomimo przecież tak groźnych dla rządu warunków, powodzenie nie było tak pewném jak mniemali sprzysiężeni i jak to wkrótce dowodnie się wykazało, gdyż na szczęście poczucie karności tak jest zakorzenione w żołnierzu francuzkim, iż trudną jest rzeczą pociągnąć wojska nawet w kierunku jego chęci, jeżeli to sprzeciwia się powinności. Oficerowie jednak niezadowoleni byli pełni zaufania, a prawdą jest nawet, że nigdy jeszcze i żadne sprzysiężenie nie zostawało w tak pomyślnych dla siebie warunkach. Porozumiawszy się z sobą tak oficerowie bezczynni jak i w czynnej zostający służbie, ocenili bardzo dobrze, że w działaniach podobnego rodzaju wielkie imię jest ważnym warunkiem powodzenia, a ztąd zwócili oczy na wielkiej sławy wojennej marszałka Davout, który odepchnięty został przez rząd obecny. Surowy i poważny marszałek, najgorliwszy przestrzegacz karności wojskowej, niezdol-

nym był wprawdzie na sprzysiężonego. Obejście się z nim jednak nowego rządu dotkliwie go zraniło, gdyż to obejście się było nawet niecném, albowiem na żądanie nieprzyjaciela został wydalonym z szeregów, a to za jeden z najświetniejszych czynów, jakie nam historja przedstawia, za obronę Hamburga. To też nie odepchnął od siebie młodych niespokojnych jenerałów, którzy się doń zwócili. Uważając podobnie jak wszyscy Burbonów za cudzoziemców, pochlebiając sobie, że jedném słowem sprowadzi Napoleona z Elby i postawi na czele cesarstwa, przedsiewzięcie to uważał tylko za postawienie rządu narodowego w miejsce antynarodowego, narzuconego Francji przez Europę. Więc marszałek, nie zobowiązując się wyraźnie młodym artystom tego projektu, okazał dosyć sprzyjania zamiarom i dał poznać że w zostanie ich naczelnikiem; a uradowany z tego przystąpienia do związku, nieoględny również jak młodzi, nie robił tajemnicy ze wspólnych nadziei.

Pracując podobnie dla Napoleona, potrzeba było pracować z nim razem, z jego zgodą, z jego współdziałaniem, a ztąd należało znieść się z tymi, o których mniemano że są wyobrazicielami cesarza. Sprzysiężeni, którzy chcieli się pozbyć Burbonów, wynalazłszy wielkie imiona wojenne cesarstwa, pomyśleli także o wielkich imionach politycznych, celem zniesienia się za ich pośrednictwem z samym Napoleonem. Nie mogąc się udać do roztropnego Cambacérèsa, którego bojaźliwość i powaga czyniły niedostępnym, do dzikiego Caulaincourta, który uciekał od wszelkich stosunków, do nazbyt podejrzanego i nader strzeżonego księcia de Rovigo, do którego nie można się było zbliżyć bez zwrócenia oczów policji, zwrócili się ku dwom ludziom, którzy uchodzili za posiadających zupełne zaufanie Napoleona, do pp. Lavallette i de Bassano. Lecz p. Lavallete wziąwszy od Napoleona w czasie ostatniej kampanii 1,600,000 franków w monecie brzęczącej, stanowiących obecnie cały majątek osobisty byłego cesarza, zajęty był tylko strzeżeniem tej summy, aby mógł ją zwrócić na pierwsze żądanie. W wierności swej obawiając się narazić na utratę majątku, który mógł być potrzebnym na chleb powszedni dla jego niegdyś władcy, starannie go ukrył w własnym swym domu, a dla lepszego ukrycia ukrył się sam i nie pokazywał nikomu. Do zawsze więc wiernego i przystępnego księcia de Bassano zwrócili swe kroki sprzysiężeni. Zachwycili go oni i przerazili naraz: zachwycili dając dowody, iż nie przestali myśleć o Napoleonie, a przerazili zaznajamiając ze sprzymierzeniem, pełném tylu niebezpieczeństw dla tylu ludzi, a szczególniej dla samego Napoleona, który zostając na Elbie w rękach mocarstw obcych, wystawiony był na otrzymanie przedwczesnego ciosu. Najbardziej zaś przestraszała księcia de Bassano ta okoliczność, że od czasu wyjazdu

Napoleona na Elbę, nie otrzymał od niego żadnego pisma, ani też sam ośmielił się na zawiązanie z nim stosunków. Służący pod Napoleonem ludzie do tego stopnia nawykli, że wszystko od niego samego pochodzić winno, iż w żadnym razie pozwolić sobie nie mogli na żadne wystąpienie, a od czasu upadku cesarza w usposobieniu ich żadna nie zaszła zmiana. Błędy Burbonów dodawały im nadziei, nie mogąc jednak natchnąć własnowolnym czynem, którego zawsze byli pozbawieni. Książe de Bassana wiążąc się z młodymi jenerałami, którzy działali obecnie, oświadczył, że nie ma żadnych stosunków z Napoleonem, a ztąd nie może im ani objawić zdania, ani udzielić przyzwolenia, ani też upoważnić do użycia swego imienia; następnie zaś prosił, aby nie narażali dawnego swego wodza, który zostając ciągle na łasce nieprzyjaciół, na skutek jednego tylko słowa zawiezionego do Wiednia może być gwałtownie w dalekie i pod zabójczy klimat przewieziony strony. Uwagi te pochodziły ze zwykłej przezorności męża stanu, a młode głowy niecierpliwiące się z przywróceniem cesarstwa, nie zniechęciły się niemi, ani też zaczęły wątpić o sprawie, skutkiem podobnych słów, pochodzących z ust dawnego powiernika cesarza.

Oprócz tego było jeszcze drugie działanie, które płynęło z prostego następstwa rzeczy, a które było pożądaném i po którém wiele spodziewać się było można, to jest działanie stronnictwa rewolucyjnego. Burboni powinni byli a nie chcieli oszczędzać rewolucjonistów, a w szczególe wotujących, gdyż to było i gwałtem dla ich serca i prawdopodobnie nigdy nie mogło doprowadzić do zupełnego pojednania. Lecz jeżeli do tej trudności głównej, dodamy jeszcze krwawe zniewagi, każdodziennie miotane przez gazety rojalistowskie na rewolucjonistów, pojmiemy łatwo, że wstręt tych ostatnich do nowego porządku rzeczy musiał się koniecznie wyrodzić w gwałtowną nienawiść. Pod wpływem tego usposobienia Carnot napisał i puścił w obieg sławny memorjał, o którym już mówiliśmy; Sieyès z dumnego swego umiarkowania przeszedł w niezwykłe sobie rozkiełznanie, a wiele innych osób tego stronnictwa naśladowało go, z wyjątkiem jedynie Barrasa, który nie dbając o niewdzięcznego jenerała, któremu pomógł do losu, chciał spokojnie umrzeć pod Burbonami i przesyłał im mądre rady, które wcale słuchanemi nie były. Pomimo to rewolucjoniści doprowadzeni byli do rozpaczy. Zadowoleni początkowo z upadku Napoleona, opłakiwali go teraz i pożądali jego powrotu. Na czele ich widać było krzątającego się wedle zwyczaju p. Fouché, który chciał zawsze mieć znaczenie, a ztąd mieszał się do wszystkiego. Podczas gdy wszedł w stosunki, jakośmy widzieli, z ajentami i z samym hrabią d'Artois, przyrzekając ocalić Burbonów, je-

żeli Burboni położą zupełne w nim zaufanie, napisał do p. Metternicha w Wiedniu, przesyłając mu swe poglądy na urządzenie Europy, czego Metternich zupełnie nie żądał; napisał do Napoleona radząc mu ucieczkę do Ameryki, szczerze pragnąc oswobodzić od niego Europę, a jeszcze bardziej oswobodzić się samemu. Następnie, przechodząc ciągle z jednego do drugiego stronnictwa, poruszywszy rewolucjonistów przeciw emigrantom, przerażał emigrantów panującém wzburzeniem, w nadziei, iż powołają go do uciszenia. Po ostatniej jednak zmianie gabinetu, która oddając marszałkowi Soult tekę wojny, a p. d'André policyi, odebrała mu nadzieję prędkiego powrotu do władzy, przeszedł, podobnie jak wszyscy należący do jego stronnictwa, lecz z innych wszelako powodów, z pobłażliwości do gniewu na Burbonów i gotów był łączyć się z każdym, ktokolwiek chciałby ich obalić. Trudną więc było rzeczą, aby spiskował przeciw nim, nie mając sobie zapewnionego pierwszego stanowiska w tém przedsięwzięciu. Bonapartyści nie ufając mu nazbyt, przełożyli nadeń hrabiego Thibaudeau, dawnego konwencjonistę, królobójcę, prefekta za cesarstwa, urzędnika zdolnego i surowego, który usunął się do Paryża, unikając urazy Marsylczyków, zrozpaczonych jego zarządem. Rewolucjonista sercem, Bonapartysta stanowiskiem, pewny zresztą w stosunkach, był węzłem łączącym rewolucjonistów z Bonapartystami aż do chwili, w której p. Fouché nie zdołał opanować wszystkich przywódzców, chcąc nimi dowolnie na swą korzyść kierować. P. Fouché bowiem stawiając rewolucjonistom jako zakład swą godność królobójcy, a Bonapartystom godność najstarszego ministra Napoleona, a wszystkich przekonywając o swej czynności i znakomitości, stał się wkrótce główną w działaniach osobą i nie opóźniał się z chęcią nałożenia swych zasad, z których najgłówniejszą było, aby obalić Burbonów i nie przywracać Napoleona. Mówił on, że dla nowego stanu rzeczy potrzeba nowego księcia, liberalnego jak obecne pokolenie, nie budzącego w Europie podobnej jak Napoleon nienawiści i nie sprowadzającego jak on za Ren 600,000 cudzoziemców dla złożenia go z tronu; mówił, że Francja strudzona wojnami i despotyzmem, zarówno nie życzyła sobie Napoleona jak i Burbonów i że tylko dwóch książąt był do życzenia, to jest książe Orleański, lub Napoleon II pod rejencją Marji Ludwiki; że książe Orleański ściśnięty węzłami rodzinnemi, nie będzie mógł oswobodzić się z nich dla podania ręki rewolucyi; że wszelkie z jego strony objawy ograniczają się tylko na grzecznem obchodzeniu się z wojskowymi i rewolucyonistami, a ztąd niepodobieństwem jest opierać na podobnym gruncie przedsięwzięcia takiego, jakiém jest zmiana rządu; że jedyne tylko rozwiązanie jest możebném, to jest król Rzymski z rejen-

cją Marji Ludwiki; że dochodząc do takiego celu można mieć po sobie Austrję, z Austrją Europę, a z Europą pokój; że wojska nadto będą zadowolone widząc wracające cesarstwo, Napoleon wynagrodzony w synu za utracony tron osobiście, a nakoniec rewolucjoniści i liberalni zupełnie zaspokojeni, gdyż znajdując w synu sławę ojca bez despotyzmu, oswobodzeni jednocześnie od obelg emigrantów, przywiążą się do nowego porządku rzeczy, który im zapewnia wszystkie korzyści cesarstwa, bez żadnej jego niedogodności.

Dowodzenia te, jakkolwiek bardzo słuszne, pod wieloma względami grzeszyły, podobnie jak wszystkie przytaczane dla usiłowań nowej rewolucji, tém głównie, że przypuszczały, iż oprócz Napoleona może kto inny zastąpić Burbonów. Rejencja Marji Ludwiki była czystém marzeniem, gdyż Austrja nie wydałaby nigdy ani Marji Ludwiki, ani jej syna, a księżna ta zarówno była niezdolną do odegrania tej roli, jak niezbyt pożądaną do jej spełnienia. Książe Orleński, który z czasem ustąpił powszechnym naleganiom i podjął wakującą koronę, nie uprzedzając ani wywołując tych żądań, podówczas był jeszcze bardzo niepewnym. A tak gdy Marja Ludwika i książe Orleański z przeciwnych zupełnie powodów stawali się niemożliwi, trzeba było wprost oświadczyć się albo za Napoleonem, co było wieczném i niszczącém wyzywaniem Europy, albo utrzymać Burbonów poprawiając ich, co było wówczas uczciwém i koniecznem. P. Fouché więcej niby światły z pozoru, w gruncie rzeczy był również nierozważny, a przytém więcej winny od szalonych głów, którym chciał przewodniczyć. Rozumowaniami swemi jednak wywarł wpływ na dawnych stronników cesarstwa, którzy przypomnieli sobie despotyzm i dumę Napoleona, którzy obawiali się jego pamięci (ponieważ prawie wszyscy go odstąpili), a nadewszystko skutków jego obecności w Europie. Z tém wszystkiém trudno było trafić do przekonania młodym jenerałom, którzy gotowi byli do poniesienia swych głów na ofiarę, aby przestali myśleć o Napoleonie, i dla tego pytanie pozostawiono na uboczu i zajmowano się tylko głównym celem sprawy, to jest obaleniem Burbonów. Twórcy tego projektu widzieli tylko jeden środek: zgromadzić wojska, któremi dowodzili niektórzy z nich, sprowadzić je do Paryża, połączyć z oficerami na pół-żołdzie i jedném uderzeniem przeprowadzić zamiar. W Styczniu i Lutym 1815 roku mówiono o tém tak nieoględnie, że podobne paplanie uderzyło marszałka Davout, zanadto poważnego do działania w sposób tak trzpiotowaty, i przestraszyło p. de Bassano, który obawiał się zawsze narazić Napoleona bez poradzenia się go poprzednio. To też p. de Bassano powtarzał tym młodym wojownikom, że najmniejszych nie miał z Elbą stosunków, że nie

może im zapewnić żadnego współdziałania, i prosił ich, aby nie narażali Napoleona na wywiezienie go na kraj świata. P. Lavallette, pomimo swego ukrycia, spotkał się przecież z działającymi jenerałami dla rozmówienia się o sprawie i błagał, aby siedzieli cicho i nie uprzedzali woli Napoleona. Odpowiedzieli mu, że niepotrzebują ani przyzwolenia ani pomocy niczyjej dla obalenia nieznośnego tak dla nich, jak i dla narodu rządu, którego zresztą istnienie w ich zupełnie spoczywało ręku. Upierali się więc przy przeprowadzeniu swoich zamiarów i znosili się nadewszystko z p. Fouché, który widząc w nich najczynniejszą sprężynę działania i niechcąc jéj opuścić dla własnych widoków, słuchał wszystkiego i niczemu nie przeczył.

Jeżeli wyobrazimy sobie sprzysiężenie z żądzą przewrotu jakiego stanu rzeczy, a przy miotaniu zarazem słów groźnych, to bezwątpienia agitujące się wówczas było jego obrazem; lecz jeżeli pojmujemy sprzysiężenie na planie dobrze obmyślanym oparte, a prowadzone przez ludzi rozważnych, stale żądających dojść do zamierzonego celu, poświęcających dla niego swe głowy i obliczających środki z rozsądkiem i dokładnością, to wyznać musimy, że opowiadane przez nas najmniejszego z takiém nie miało podobieństwa. Sprzysiężeni młodzi oficerowie bez zaprzeczenia pożądali oswobodzić się od Burbonów, nawet za cenę własnego życia, którego nie przywykli oszczędzać; niektórzy z nich w czynnej zostający służbie, posiadali w ręku potężne do działania środki i nie można zaprzeczyć, że te mogły być obrócone na korzyść sprzysiężenia, lecz co się tyczy innych naczelników, rzeczy zupełnie miały się odmiennie. Marszałek Davout wysłuchiwał przedstawianych mu planów, pochlebiających jego wspomnieniom, nie zobowiązywał się jednak do niczego i bolał nad wkradającém się w szeregi rozprzężeniem. P. Lavallette niechciał nawet słuchać podobnych zwierzeń. P. de Bassano nieco mniej zatykając uszy od p. Lavallette, usiłował za żadną cenę nie na razić Napoleona. Z książętami de Vicence, de Rovigo i Cambacérès o sprzysiężeniu nawet nie mówiono. Marszałek Ney i inni dowódzcy wojskowi ogłoszeni za niezadowolonych, zupełnie nic nie wiedzieli co się robiło, podejrzani zresztą będąc u dawnych swych towarzyszy, z powodu chętnego przyjmowania łask dworu, i słyszeli tylko to, o czém mówiono powszechnie, że Paryż przepełniony był oficerami na pół żołdzie, ktorzy gotowi byli do najnierozważniejszych czynów. Jedyną znakomitością, która z żądzy przyłożenia ręki do wszystkiego, wcisnęła się do tych zamiarów, był p. Fouché, a nawet stał on się naczelnikiem sprzysiężenia, gdyż daleki od zniechęcenia głównych działaczy, został ich powiernikiem, doradzcą i czasami kierownikiem. Na prawdę, jeżeli

istniało sprzysiężenie, to ono pochodziło tylko od niego i od wojskowych, których namiętnościom schlebiał i pochwalał zamiary. Nic jednak dotąd nie było przygotowaném, ani plan, ani też wspólnicy do tego przedsięwzięcia. Policja widząc spiski wszędzie, nie mogła dopatrzyć jedynego, który miał podobieństwo rzeczywistości. Czuwała ona w ogóle nad wojskowymi, lecz daleko mniej nad wspomnianymi tutaj niż nad innymi. Co się zaś tyczy samego p. Fouché, to daleką była od uważania w nim człowieka tak niebezpiecznego, aby należało śledzić wszystkie jego kroki. Policja urzędowa wskazywała go jako podejrzanego, któremu nie można ufać, a policja przyboczna hrabiego d'Artois przedstawiała, że to był jeden z najznaczniejszych ludzi, jeden z najpotężniejszych, w którego ręce należało złożyć zbawienie dynastji i Francyi. Według zdania tejże policyi, prawdziwymi działaczami byli: p. Cambacérès, który tylko przy obiedzie spotykał się z kilkoma przyjaciołmi; pp. de Bassano i Lavallette, którzy usiłowali, jak tośmy już wykazali, nie brać żadnego udziału we wszelkich działaniach; książe de Rovigo, którego każdy unikał, uważając go za nadzwyczaj narażonego, a który z swej strony wszystkich unikał, obwiniając o niewdzięczność wszystkich swych przyjaciół; nakoniec królowa Hortensja, która nie odrzuciła opieki cesarza Aleksandra i dobrego obejścia się ze strony Ludwika XVIII, która oskarżała swego męża dla utrzymania dziedzictwa dzieci i która, pomimo wielkiego przywiązania do Napoleona, tak była zgnębioną jego upadkiem, że nie przypuszczała, aby powrót był możebnym. Według zdania tejże samej policji, którą nazywano zamkową, książe Cambacérès, de Bassano, p. Lavallette, królowa Hortensja tajnie znosili się z Napoleonem, otrzymywali od niego część skarbu na podtrzymywanie rozrastającego się sprzysiężenia; rozgałęzienia zaś tego spisku dalej jeszcze upatrywano, przypuszczając, że p. Metternich poróżniony z mocarstwami północnemi, a za pośrednictwem królowej Neapolitańskiej zostając w stosunkach z Napoleonem, zamierzał wyprowadzić go na scenę, aby się pomścić nad niewdzięcznymi sprzymierzeńcami, którzy postanowili opanować Saksonję i Polskę.

Przedstawiony w niniejszém opowiadaniu cały stan rzeczy jasno wykazuje, o ile prawdziwemi były te policyjne przypuszczenia. Panowie de Cambacérès, de Bassano i Lavallette otoczeni byli bezwątpienia całém zaufaniem Napoleona, a że prawdziwie zasługiwali na nie, więc nie chcieli zwierzać się pierwszemu lepszemu. Królowa Hortensja była zupełnie oddaną swemu ojczymowi, lecz w obecnym czasie uczucia matki zapanowały nad obowiązkami przybranej córki. P. Metternich był niezadowolony z Prus i Rossji, z trudnością przychodziło mu zerwać

z dworem Neapolitańskim, lecz widzieliśmy czy choć pomyślał o posłużeniu się Napoleonem, aby postawić opór pruskim i rossyjskim zachciankom. Co zaś do Napoleona, zobaczymy w krótce, czy posiadał pieniądze na opłacanie podobnego przedsiębierstwa i czy przykładał ręki do przygotowywanego we Francji wybuchu. Dziwne te przypuszczenia, którym rząd bardzo często podawał ucha, gdy zimny rozsądek nie kierował jego krokami, tę głównie szkodę przynosiły, że odwracały uwagę od niebezpieczeństwa rzeczywistego, dla zwrócenia jej na urojone i podobnie jak na polowaniu sprowadzały z prawdziwego śladu na błędne ścieżki. Zaniedbywano p. Fouché, którego wszystkie policje oszczędzały a newet chwaliły, nie pamiętano ani o jednym jenerale z dowodzących na północy, których śmiałość miała się stać w krótce bardzo niebiezpieczną, a w to miejsce skierowano spojrzenia i nienawiści ku ludziom, którzy bezwątpienia nieprzyjaźnie dla rządu byli usposobieni, lecz z których ani jeden nie był gotów do podniesienia nań ręki. Tysiącznemi więc doniesieniami zarzucano hrabiego d'Artois, który wiecznie roztrzepany, wierzył wszystkiemu, gdy tymczasem Ludwik XVIII, strudzony bezustannemi jego popłochami, nie wierzył niczemu, a rząd nie mając na swém czele umysłu bystrego i rozważnego, chwiał się pomiędzy wiarą a niewiarą, a ztąd omijał wszelkie niebezpieczeństwa i to nie z obawy, lecz z niemożności ich rozpoznania.

Książe de Bassano niespokojny i zadowolony zarazem ze wszystkiego, o czém się dowiedział, drżał jednak na samą myśl tak ważnego przedsięwzięcia, usiłowanego bez uprzedzenia Napoleona, gdyż ono mogło skrzyżować jego zamiary, wystawić go na zgubne skutki i nakoniec, że przeprowadzane bez niego, łatwo na czyją inną mogło się obrócić korzyść. Wierny ten sługa zamierzał uwiadomić Napoleona o wszystkiém co się działo, a gdy szukał ku temu odpowiedniej drogi, trafił niespodzianie na gorliwość młodego nieznajomego człowieka.

Audytor z czasów cesarstwa p. Fleury de Chaboulon, obdarzony rozumem, zapałem i żądzą znaczenia, a znudzony w Paryżu bezczynnością, postanowił udać się na wyspę Elbę i ofiarować swe usługi złożonemu cesarzowi. Chciał on jednak przybyć tam z jakiém zaleceniem, aby zyskać dobre przyjęcie. W tym to celu zgłosił się do p. de Bassano, który z początku słuchał go z oględnością, następnie zwierzył się nieco poznawszy dobrą wiarę, a nakoniec polecił przedstawić ustnie Napoleonowi prawdziwe położenie Francji, to jest z każdym dniem rosnące niezadowolenie z Burbonów, oziębłość dla nich stanu średniego, oburzenie nabywców dóbr narodowych, rozjątrzenie umysłów w wojsku, usposobienie młodych wojskowych do pomszczenia wszystkiego, nako-

niec powszechnie panujące przekonanie, że podobny stan rzeczy nie może być trwałym i musi się zmienić, bądź na korzyść rodziny Bonapartych, bądź też księcia Orleańskiego. Na usilne nalegania p. Flery de Chaboulon, aby p. de Bassano wytłumaczył się jaśniej i zechciał zarazem udzielić Napoleonowi jaką radę, naprzykład opuszczenia Elby i wylądowania we Fzancji, tenże odpowiedział, że nie może brać na siebie podabnej odpowiedzialności, że zresztą taki człowiek jak Napoleon nie potrzebuje rad, a nadewszystko rad tego rodzaju. P. Fleury de Chaboulon upoważniony więc został do poniesienia jedynie na Elbę rzetelnego obrazu położenia kraju, z wyraźném zastrzeżeniem, aby unikał wszelkiej stronności w opowiadaniu. Niechciał także p. de Bassano cokolwiek napisać, lecz dał posłańcowi hasło, z którego Napoleon pozna od kogo przychodzi. P. Fleury de Chaboulon wyjechał w Styczniu, przejeżdżał przez Włochy, zachorował w czasie podróży i dopiero w Lutym stanął na Elbie.

Przed poznaniem skutków tego posłannictwa, nie odrzeczy będzie przedstawić rodzaj życia Napoleona na Elbie, po zamienieniu panowania nad światem, na władzę nad jedną z najmniejszych wysp morza Śródziemnego. Zajmujący bowiem i godny historji jest pogląd na człowieka, który napełniwszy twórczą swą działalnością całą Europę, zamknięty obecnie został na kilkomilowej przestrzeni i sprawował władzę nad 12 lub 15 tysiącami poddanych i tysiącem żołnierzy. Praca nasza byłaby niezupełną, gdybyśmy pominęli ten ustęp.

Napoleon przeniesiony na wyspę Elbę na fregacie *Undaunted*, zawinął 3 Maja 1817 r. do Porto-Ferrajo i wylądował w dniu następnym.

Na kilka dni przed jego tu przybyciem, mieszkańcy wyspy spalili go w portrecie, a to z przyczyn powszechnego oburzenia wszystkich ludów cesarstwa na wojny, pobór wojskowy cła połączone. Na wiadomość jednak o przybyciu zapomnieli wczorajszego gniewu i licznie się zgromadzili pchani ciekawością. Następnie gorącą okazywali radość, w nadziei że się pozbędą jarzma toskańskiego, że nowy władzca przywozi z sobą ogromne skarby, że przyciągnie za sobą znakomite stosunki handlowe i że przy swym twórczym genjuszu zrobi w krótce z wyspy coś nadzwyczajnego. Poprowadzili go więc z okazałością do kościoła i zaśpiewali tu *Te Deum*. Napoleon dał się łaskawie powodować ich życzeniom, jakby podzielał w jakimkolwiek stopniu ich radość.

Z poddaniem się przyjmując rzeczy tak jak mu się przedstawiały i zdając się nie spostrzegać o ile one były drobne, zaraz nazajutrz wziął się do dzieła i rozpoczął swą czynność od objechania konno wyspy. Po przebieżeniu tej kilkomilowej rozległości, nakreślił zaraz plan swego

nowego panowania, i to z gorliwością, z jaką przed piętnastu laty brał się do uporządkowania Francji.

Pierwsze swe kroki poświęcił miastu Porto-Ferrajo, położonemu na wzgórzu, nad piękną zatoką zwróconą ku Włochom, zkąd odkrywał się widok na góry Etrurji. Miasto to niegdyś warowne, było zdolne do stawienia jakiego oporu. Napoleon postanowił więc natychmiast przyprowadzić je do stanu obrony. Wziąwszy z sobą na Elbę oddział gwardji, zapewnił sobie kilkuset poświęconych ludzi, a to tak do obrony przeciw poruszeniu ludu, jak i do wykonania jakiego śmiałego, gdyby kiedy zamierzał, przedsięwzięcia. Ci towarzysze wygnania w liczbie tysiąca, zamknięci w dobrej twierdzy nadmorskiej i zaopatrzeni w żywność, i amunicję, mogliby byli bronić się kilka tygodni i dać mu czas do umknięcia, jeżeliby monarchowie, uważając zamieszkanie jego za bliskie Europy, zamierzali przenieść go na ocean. Śpieszył więc z naprawą wałów Porto-Ferajo, ze zgromadzeniem na nie dział rozproszonych po brzegach wyspy w czasie ostatniej wojny, z podniesieniem murów, z ukończeniem uzbrojenia fortów panujących nad zatoką, z przygotowaniem zapasów żywności i amunicji. W kilka tygodni Porto-Ferrajo stało się twierdzą, potrzebującą dość wielkiej wyprawy do jej opanowania. Na ostrożnościach tych zyskiwał Napoleon, oprócz bardzo dotykalnych środków obrony, korzyść z dowiedzenia się o wszelkich przeciw niemu zamiarach, gdyby go gwałtownie porwać usiłowano. Nie ograniczał na tém swych przewidywań. Mała wysepka Pianosa, o trzy mile francuzkie od Elby odległa, a do obecnego jego państwa należąca, w korzystnych dla tych zamiarów przedstawiała się warunkach. Wyspa ta płasko, pokryta dobremi pastwiskami, bardzo cenionemi w tym klimacie, posiadała skałę ostro zakończoną i małą warownię, w której pięćdziesięciu ludzi wystarczało do uczynienia jej niezdobytą. Rozkazał więc tę warownię przywieść do stanu obrony, posłał tam żywność i małą załogę, a nie wyjawiając nikomu tajemnicy, ułożył rzeczy w ten sposób, że z portu można było wyjść nocą na brzeg, wsiąść na statek i rozwinąć żagle, co z położenia wyspy stawało się łatwém, gdyż położoną była nie ku brzegom Toskanji, lecz od strony pełnego morza. Napoleon przeto posiadał środki, na przypadek gdyby go porwać chciano, do zemknięcia nocą na wyspę Pianosa, a ztąd odbicia od brzegu bez względu w którą stronę. Dla zużytkowania pastwiska posłał tam swoje konie swe bydło, a tym sposobem pod pozorem korzyści, robił z wyspy zakład wojskowy.

Przyprowadziwszy do stanu obronnego wyspę, Napoleon zajął się urządzeniem bardzo czujnej policji. Przybić można było tylko do Porto-

Ferrajo, stolicy wyspy, lub do Rio, Porro-Longone i Campo, małych portów ze wschodniej i zachodniej strony, z których jedne służyły na użytek kopalni, a drugie do handlu wiktuałami miejscowemi. Żandarmi bronili przybijania do wyspy w każdém inném miejscu, a dobrze urządzona policja morska w każdym z otwartych portów, prędko i z pewnością wybadywała przybywających. We cztery lub pięć godzin po każdém przybiciu do brzegu i to w punkcie najbardziej oddalonym od Porto-Ferrajo, Napoleon wiedział kto i po co przybył na jego wyspę. Do podobnego postępowania miał bardzo ważne powody. Rząd francuzki umieścił na wyspie Korsyce dawnego przyjaciela Georges'a, jenerała Brulart, którego wyniesiono na stopień i dowództwo wyższe, widocznie w zamiarze aby czuwał nad wyspą Elbą. Podobna przezorność ze strony rządu francuzkiego żadnemu nie może ulegać zarzutowi, ale doszły do Napoleona wieści, że ta przezorność nie była jedynie na widoku i że mógł się obawiać zamachu na swą osobę. Nie wyszły w prawdzie na jaw żadne dowody przeciw jenerałowi Brulart, lecz nie ulega najmniejszej wątpliwości, że policja zamkowa przechwalała się, iż może kazać zamordować Napoleona, i że nad tém pracuje; pewném jest także, że najęci siepacze korsykańscy zostali przytrzymani i przybycia swego na Elbę nie umieli usprawiedliwić. Napoleon uwolnił ich z wyraźném zapowiedzeniem, że pierwszy lepszy z nich raz jeszcze przytrzymany, zostanie rozstrzelany i dodał, że za powzięciem pewnych dowodów, jenerał Brulart z miasta Ajaccio zostanie porwany przez pięćdziesięciu poświęconych ludzi, a w obec Europy domierzy się na nim głośna sprawiedliwość. Winniśmy także dodać, że czy to z obawy, czy też z niewinności, jenerał Brulart bardzo spokojnie się zachował i nie dał ze swej strony pozorów do przedsiębrania podobnej a prawnej przezorności. Takie to Napoleon przedsięwziął środki bądź przeciw morderstwu, bądź też przeciw zamiarowi porwania go, gdyż urządziwszy się w ten sposób, że musiałaby w każdym razie nastąpić przeciw niemu silna wyprawa, był pewnym zawsze, iż uprzedzony korzystnie użyje czasu.

Co się zaś tyczy sił wojennych, to pokazał tyle sztuki w rozrządzeniu tysiącem ludzi, jak niegdyś w poruszaniu miljonem. Przed opuszczeniem Fontainebleau, Drouot starannie wybrał z pomiędzy żołnierzy starej gwardyi, gotowych wszędzie mu towarzyszyć, około 600 grenadjerów i strzelców pieszych, 100 jeźdźców i 20 marynarzy, co wszystko wynosiło 724 ludzi wyborowych. Idąc piechotą z Fontainebleau do Savone i wsiadłszy następnie na statki angielskie, przybyli do Porto-Ferrajo ku końcowi Maja. Napoleon, który się obawiał, aby ich w drodze nie zatrzymano, ujrzał ich z wielką radością, a to tak z powodu przezor-

ności jak i z uciechy, że spotyka dawnych towarzyszów broni. Umieścił ludzi jak tylko mógł najlepiej i wysłał konie na paszę do Pianosa. Niepotrzebując na wyspie jeźdźców, obrócił ich na kanonierów i zatrudniał im wolne na wygnaniu chwile nauką. Sześćdziesięciu Polaków znajdujących się w Parmie, otrzymało pozwolenie wsiąść na statki w Liworno: Napoleon zapłacił koszta przewozu i wzmocnił swe siły ludźmi pełnymi poświęcenia. Kilku oficerów francuzkich umierających z głodu, przybyli tu także przez Włochy, a podróżując jak mogli, najlepiej zostali przyjęci. Tym sposobem wojska Napoleona wynosiły około 800 ludzi, pomimo kilku zmarłych i chorych, brakujących do pierwotnej liczby.

Siły te Napoleon wkrótce umiał powiększyć żołnierzem wytrwałym i nieustraszonym. Za jego panowania straż wysp powierzoną była batalionom lekkiej piechoty, w których mieszczono spisowych skłonnych do ucieczki, powiększej części niesfornych, lecz silnych i odważnych. Dwa z tych bataljonów 35 pułku złożone z Prowanssalów, Liguryjczyków, Toskańczyków i Korsykanów, w 1814 r. stały załogą na wyspie Elbie. W chwili gdy powracali do Francji, Napoleon im oświadczył, że zatrzyma tych przy sobie, którzyby chcieli pozostać w jego służbie. Zgłosiło się ich około 300, po największej części Korsykanów, i z nielicznemi przykładami zbiegostwa, wszyscy pozostawali wierni. Miał więc pod swemi rozkazami 1,100 wyborowych żołnierzy, do których przyłączył nadto 400 krajowców, urządzonych w sposób następny:

Wyspa Elba posiadała jeden bataljon o czterech kompanjach milicji, złożony z ludzi karnych i zarówno jak Korsykanie dobrych żołnierzy. Napoleon więc rozkazał, aby każda ze czterech kompanji tworzących ten bataljon, składała się zawsze z 25 gwardzistów i 75 rozpuszczonych do domu, lecz gotowych stanąć na każde zawołanie. W takim stanie rzeczy, w bataljonie tym liczącym 400, tylko 100 ludzi żołd pobierało, pełniąc służbę policyjną wewnątrz wyspy i na wybrzeżach. Nowe przeto wojska Napoleona wynosiły 1,500 żołnierzy i to w niczém nieustępujących dawnej starej gwardji, gdyż jądro tych sił z jej szeregów było złożone.

Zajęcia się te Napoleona nie były prostą zabawką, przypominającą mu dawną wielkość, gdyż bardzo słusznie potrzebował się zabezpieczać przeciw przemocy, lub przeciw wywiezieniu w dalekie strony, a nie mógł być nigdy znienacka pochwycony, posiadając na dni kilka środki do skutecznego bronienia się. Nakoniec siły były mu konieczne na przypadek, gdyby nadarzyła się sposobność do zawitania na ląd stały, gdyż zabezpieczały go od pochwycenia przez kilku żandarnów i rozstrzelania gdziekolwiek na drodze.

W tych samych widokach Napoleon postanowił stworzyć sobie marynarkę. W Porto-Ferrajo znalazł bryk *l'Inconstant* w dość dobrym stanie, liczący 60 ludzi osady i goelettę *la Caroline*, mogącą pomieścić 16. Kupił w Liworno felukę *l'Étoile*, która potrzebowała 14 ludzi do obsługi i 2 sawizo, *la Muche* i *l'Abeille*, wymagające 18 majtków. Statki te liczyły przeszło 100 marynarzy, a przy jednej lub dwóch felukach, nabycie których nie było trudném, Napoleon mógł wyruszyć z 1,100 ludzi, składającymi regularne jego wojska. Było to więc wszystko czego potrzebował, jeżeliby zmusiła go kiedy potrzeba do opuszczenia wyspy, co uważał jeszcze za rzecz bardzo wątpliwą chociaż możebną. Tych stu kilku marynarzy zapisano do wydatków nieuniknionych, a dodawszy do nich niewielką liczbę majtków pociągniętych do służby wrazie potrzeby, w przeciągu 24 godzin mógł rozwinąć żagle swej flotylli. Tymczasem za pośrednictwem swych dwóch awizo znosił się z Genuą, Liworno, Neopolem, odbierając ztamtąd zapasy, listy, dzienniki; goelettę *la Caroline* przeznaczył do służby policyjnej w zatoce Porto-Ferrajo, a od czasu do czasu odbywał przejażdżkę na bryku *l'Inconstant*, przy rozwinięciu pawilonu małego swego państwa, to jest białej chorągwi z obwódką amarantową, zasianej gwiazdami, przyzwyczajając tém samém marynarzy angielskich, francuzkich, genueńskich, tureckich, do swego pawilonu na morzu Toskańskiém.

Zapewniwszy sobie w ten sposób bezpieczeństwo i przyszłość, Napoleon postanowił także uprzyjemnić na wygnaniu swój pobyt, uczynić go znośnym tak dla siebie, jak rodziny i żołnierzy, rozwinąć pomyślność mieszkańców wyspy i nakoniec urządzić swój skarb w sposób zapewniający trwałość. Przybywszy na wyspę stanął najprzód w zajeździe w Porto-Ferrajo, a następnie przeniósł się do pałacu dawnych rządców, nadzwyczaj zniszczonego i zupełnie nie odpowiadającego potrzebie. Rozkazał więc dodać doń jedno skrzydło dla rozszerzenia mieszkania, aby mógł pomieścić wygodnie swą matkę, siostrę, a nawet żonę, jeżeliby ta, przeciw wszelkiemu podobieństwu, zażądała przybyć do niego. Zakupił meble w Genui i pałac ten uczynił mieszkalnym. Postawił dom dla oficerów swego bataljonu, a to tak z przyczyny, aby ich miał zawsze pod ręką, jak niemniej zapewniając im lepsze aniżeli w mieście mieszkania. Oprócz pałacu w Porto-Ferrajo zbudował także dla siebie skromny i wygodny naraz dom wiejski w uroczej dolinie San-Martino, dotykającej zatoki Porto-Ferrajo, z pięknym widokiem na góry włoskie. Zajął się tu karczunkiem i uprawą roli i dał powód do śmiechu burmistrzowi oświadczeniem, że wkrótce zasieje pięćset worków zboża. — Śmiejesz się panie burmistrzu, powiedział mu z żywością, gdyż nie pojmujesz jak to

ozwijają się i rosną rzeczy. Posieję pięćdziesiąt worków pierwszego roku, sto drugiego, dwieście trzeciego i tak następnie. Do tego rolniczego przedsięwzięcia, brakowało mu tylko czasu niestety. Po urządzeniu podwójnego dla siebie mieszkania, zajął się swą stolicą Porto-Ferrajo, miastem liczącem trzy tysiące mieszkańców. Rozkazał oczyścić i wybrukować ulice, urządził piękny wodotrysk w orzeźwiającą zaopatrujący miasto wodę; uczynił dogodne dla podróży wozami duże wielkie drogi przeżynające całą wyspę, a wychodzące z Porto-Ferrajo, z których jedna prowadziła do Porto-Longone, głównego portu do stosunków z Włochami, a druga do Campo, małego portu od strony wyspy Pianosa i pełnego morza.

Fundusze Napoleona nie pozwalały mu wydać więcéj nad sześć do siedmiukroć sto tysięcy franków na wszystkie te prace, a ztąd zmuszony był do użycia rąk swych żołnierzy za bardzo skromném wynagrodzeniem, przy zaopatrywaniu się w kamień, marmur, cegłę, wapno i drzewo. Spędzając część dnia na koniu, zwracał baczną uwagę na wszystkie najdrobniejsze przedmioty, a to tym potężnym wzrokiem, który niegdyś cały świat obejmował, a który tak w wielkich jak i małych rzeczach zawsze był pewnym. Pilnie zajmował się się tém wszystkiém, co tylko mogło polepszyć urodzajność ziemi i rozwinąć handel wyspy. Chciał ją pokryć morwą dla rozwinięcia jedwabnictwa i wysadził temi cennemi drzewami obiedwie wspomniane tu drogi. W pobliżu Campo znajdowały się łomy pięknego marmuru, więc nakazał ich wyzyskiwanie. Warzelnie soli i połów tuńczyka były dwiema najwięcéj dochodu przynoszącemi gałęziami, zajął się przeto ulepszeniem i rozwinięciem tego przemysłu. Nakoniec, największą zwrócił uwagę na kopalnie żelaza, jako na główne bogactwo wyspy. Kopalnie te oddawna dostarczały wybornéj rudy, zawierającej 80 na 100 czystego żelaza, lecz dla braku paliwa, nie można jej było przetapiać, a ztąd sprzedawano rudę w naturze przemysłowcom włoskim. Napoleon spieszył z rozwinięciem na wielkie rozmiary wydobywanie rudy, co dotąd było bardzo zaniedbaném, i w tym celu usiłował ściągnąć jak najwięcej górników, żywiąc ich zbożem zakupioném we Włoszech. Na tyle jednak przedsiębierstw, stan jego majątku był niewystarczającym. Wedle twierdzenia mieszkańców wyspy, jego żołnierzy, publiczności europejskiej, a nadewszystko Burbonów, miał przywieść z sobą olbrzymie skarby, gdyż z wyłączeniem postaci, nie można było przypuścić aby coś mogło być małém, jeżeli w jego znajdowało się ręku. Na samo wspomnienie tych skarbów drżeli jego nieprzyjaciele, a trzęśli się z radości prostoduszni poddani. Skarby te jednak były tylko urojeniem, gdyż człowiek ten, najdumniejszy ze wszystkich ludzi, najmniej zajmował się

osobistemi swemi sprawami. Aż do dnia zrzeczenia się korony postępował naprzód nie zadając sobie pytania, z czegoby żył zdaleka od tronu. Z wielką sztuką oszczędziwszy na liście cywilnej 150 miljonów, wydał je na potrzeby ostatniej wojny i w chwili opuszczania Fontainebleau, miał tylko kilka miljonów przewiezionych do Blois, które w większej części wydarte zostały cesarzowej, przez wysłańca rządu tymczasowego p. Dudon. Na szczęście ocalały tylko 2,500,000 franków, konwojowane przez ułanów gwardji i 2,900,000 pozostałe przy cesarzowej, która z tej ostatniej summy mogła nadesłać jeszcze Napolaonowi 900,000, a tak cały skarb wywieziony przez niego na Elbę, składał się z 3,400,000 franków. Summa ta w złocie i srebrze razem z powozami przybyła do Porto-Ferrajo i była ostatnim środkiem utrzymania cesarza i jego żołnierzy, jeżeliby chcieli pozostać tu do śmierci. Naznaczone mu bowiem traktatem z 14 Kwietnia 2 miljony rocznie, nie były wcale wypłacanemi, a ztąd tylko pozostawały dochody bieżące z wyspy, a dochody te były nadzwyczaj drobne. Miasto Porto-Ferrajo przynosiło z opłat celnych i innych 100,000 franków, a drugie tyle podatki z całej wyspy. Rybołówstwo, warzelnie soli i kopalnie w obecnym ich stanie czyniły około 320,000, a ztąd dochody ogólne wynosiły 520,000 franków. Z summy tej wydatki miast i utrzymanie dróg w stanie postawionym przez Napoleona, pochłaniały przeszło 200,000; pozostawało więc około 300,000 rocznie. Z tego wypadało Napoleonowi utrzymać swój dom, marynarkę i wojsko, a te trzy gałęzie wydatków potrzebowały najmniej 1,500,000 franków, czyli że Napoleon ze swej prywatnej szkatuły musiał dokładać do dochodów wyspy przeszło 1,200,000 franków; a skutkiem poniesionych wydatków na budowle, majątek jego wynosił już tylko 2,800,000 franków. W takim stanie rzeczy nie mógł długo utrzymać się na Elbie, a przynajmniej zmuszonym by został do rozpuszczenia gwardji, czyli do pozbawienia się wiernych żołnierzy, którzy mu towarzyszyli; do pozostania na łasce pierwszego oddziału bandytów, któryby chciał go zamordować i do rzucenia tego jądra armji, bez którego nieby później dokonać nie zdołał. To też bez żadnego jeszcze na przyszłość zamiaru, postanowił pilnie baczyć na najdrobniejsze wydatki, zadziwiając nawet tych, którzy przyzwyczajeni byli do zamiłowania jego w porządku, i wywołując nawet na siebie krzyki o skąpstwo. W szóstym miesiącu pobytu na wyspie zaprzestał używać do służby miejscowej milicji, która, jakośmy już mówili, tylko czwartą część żołnierzy liczyła zawsze w szeregu. Tym sposobem ubyło mu stu ludzi z listy wydatków. Zmienił formację swego bataljonu starej gwardji i sprowadził kadryz sześciu na cztery kompanje. Stajnie swe ograniczył do koniecznej tylko potrzeby, zatrzymując po-

wozy jedynie dla swej matki, siostry i siebie, a z koni siodłowych pozostawił tylko niezbędne dla przejażdżki po wyspie z Drouotem, Bertrandem i kilkoma ludźmi konwoju. Oznaczył bardzo skromne choć wystarczające płace dla swych głównych oficerów, nie mogąc wszakże skłonić Drouota do przyjęcia czegokolwiekbądź. Ten ostatni, mając dach i stół dawnego swego wodza, niepotrzebował, jak mówił, w żadnej innej rzeczy do utrzymania życia.

Tak to Napoleon urządził się na Elbie na obecne i przyszłe czasy. Życie jego zresztą było spokojne i czynne, gdyż to wrodzone jest umysłom wielkim, że umieją zgodzić się z każdym losem i zajmować się małemi rzeczami, albowiem one potrzebują tej samej gruntowności co wielkie. Jego matka, kobieta dumna i surowa, lecz święcie spełniająca swe obowiązki, uważała za godne podzielać nowy los swego syna i była też w Porto-Ferrajo przedmiotem poszanowania wygnańczego dworu. Księżna Paulina Borghese, która aż do namiętności posuwała swe przywiązanie do brata, przybyła tu zarówno, a obecność jej nadzwyczaj przyjemną była Napoleonowi. Pracowała ona nad pogodzeniem go z Muratem, co nie było nazbyt trudną rzeczą. Napoleon niewielką żywił urazę, gdyż znał aż nadto ludzi. Wiedział on, że Murat był człowiekiem lekkim, próżnym, pożeranym żądzą panowania, lecz zarówno dobrym jak odważnym, a ztąd wybaczył mu to ustąpienie przed nadzwyczajnemi okolicznościami. Murat żałujący, zwłaszcza gdy uczuł niewdzięczność swego postępowania, wysłał na-Elbę wyrażenie szczerego żalu, a z swej strony Napoleon zobowiązał księżnę Paulinę do udania się do Neapolu z przebaczeniem dla Murata, a zarazem z dobrą radą, aby postępował rozsądnie i trzymał się w pogotowiu na wszelkie nieprzewidziane, a mogące wybuchnąć wypadki. Księżna zachwyciwszy Murata takiém pożądaném posłanictwem, powróciła na Elbę, jako wierna towarzyszka brata. Była ona ogniskiem małego towarzystwa, złożonego z lepiej wychowanych mieszkańców wyspy, którzy otaczali Napoleona jako swego pana. Urządzono teatr, do którego Napoleon przypuszczał toż towarzystwo, a bardzo często i żołnierzy swej gwardji. Okazywał się tu słodkim, ugrzecznionym, pogodnym, a nawet uważnym, jak gdyby nigdy nie był na przedstawieniach arcydzieł sceny francuzkiej i to przez pierwszych artystów. Po wypełnieniu obowiązków skromnego swego panowania, przepędzał czas z Bertrandem i Droutem, już to przebiegając konno wyspę, dla przekonania się o postępie zarządzonych robót, już to pieszo lub w łódce. Niekiedy siadał na wielką szalupę w towarzystwie swych oficerów i na jeden lub dwa dni wypływał na morze, poznawany i pozdrawiany przez wszystkich marynarzy. W długich tych przechadzkach na lądzie lub morzu,

rozmawiał wesoło lub poważnie, stosownie do przedmiotu, niekiedy z żywością młodzieńca, a najczęściej z potęgą prawdziwego jenjuszu. Żywił często myśl napisania dziejów swego panowania, mówiąc dosyć otwarcie o niewyjaśnionych czynach w swym zawodzie, powracając często na niepodobny do naprawy błąd odrzucenia pokoju pragskiego. Tylko do tego jednego błędu, przyznawał się bez trudności. — Zbłądziłem, mówił, lecz niech się ktokolwiek postawi na mojém miejscu. Odniosłem tyle zwycięztw, a ostatniemi pod Lützen i Budziszynem w dwóch dniach odbudowałem całą mą potęgę! Liczyłem na swych żołnierzy i na siebie samego i poraz ostatni chciałem wyrzucić kości. Przegrałem, lecz ci co mnie potępiają, nie pili nigdy z upajającego naczynia szczęśliwego losu. Drouot słuchał ze spuszczoną głową, nieośmielając się powiedzieć, że nierozsądną jest rzeczą igrać tak z własném istnieniem, winą narażać lekkomyślnie los dzieci, a zbrodnią wystawiać na grę niepewną pomyślność narodu! Uczciwy człowiek milczał, nieośmielając się na robienie zarzutów upadłemu władzcy.

W spokojném tém życiu, w którém marzyło wzniesieniu nieśmiertelnego historycznego pomnika, Napoleon był prawie szczęśliwym, gdyż do spokoju łączyła się jeszcze reszta nadziei. Czytał dzienniki z uwagą i z tém zgłębieniem, które pozwalało mu wykryć prawdę w pośród tysiącznych gadanin dziennikarskich, i prawie był wtajemniczonym w posiedzenia gabinetów. Według niego, rewolucja francuzka powstrzymana nieco w swym pochodzie, wchodziła napowrót na właściwe tory. Stary porządek rzeczy i rewolucja szykowały się znowu do zażartej walki, w pośród której Napoleon mógłby uparrzyć stosowną chwilę i ukazać się na scenie. Rozumiał przecież, że w żadnym razie nie będzie mógł panować po dawnemu, gdyż przerażone początkowo umysły widmem rewolucji, odzyskały już swe życie i swą niezależność. Czymże będzie jeszcze, co mu działać wypadnie, jaka rola pozostaje mu do odegrania? Nic jeszcze nie przewidywał, lecz patrząc na niezręczność Burbonów w Paryżu, na pychę mocarstw w Wiedniu, powiedział sobie, że świat nie będzie mógł jeszcze spocząć, a w świecie wzburzonym znajdzie się zawsze wielkie dla niego miejsce. Takie to były jego przewidywania i wystarczały one, aby ogromna działalność, obecnie w duszy tylko zamknięta, nie przygasła na chwilę. Używał więc spokoju, oświeconego promieniem nadziei. Niekiedy tylko zniewagi dziennikarstwa nieprzyjaznego mieszały ten spokój. Pewnego dnia, w którym otrzymał wielką liczbę gazet, wyczytał w jednej że zwarjował, że najwierniejsi jego słudzy Bertrand i Drouot, że najbliżsi i najbardziej mu oddani, jak matka i siostra nie mogąc znieść gwałtowności jego charakteru, już go opuścili.

Udał się do salonu, w którym jego matka, siostra, Bertrant i Drouot byli zgromadzeni i rzucając pakę dzienników na stół, zawołał: Nie wiecie nic, nie wiecie że zwarjowałem.... Nikt z was nie mógł wytrzymać gwałtowności mego charakteru, ty moja mktko, ty Drouot, wy wszyscy jużeście wyjechali.... Następnie dając im przeczytać ten ustęp, powtarzał: Zwarjowałem, zwarjowałem!... Usiadł i mścił się rozprawianiem o sprawach świata, wykazując błędy jednych i drugich z zadziwiającą przenikliwością. Burboni, Europa, zawołał, przez sześć nawet miesięcy nie będę się cieszyć obecném położeniem.

Takim to sposobem dość znośne na Elbie prowadził życie, z każdym dniem jaśniej przewidując, że świat coraz bardziej przystępniejszym stawał się dla niego. W podobném usposobieniu nadzwyczaj łaknął nowin i chciał posiadać inne od znajdowanych w dziennikach. Wyprawił więc kilku posłanników na ląd stały i ci mu donieśli, że całe Włochy gotowe powstać, gdyby się tam ukazał, lecz widoki podobne nie były w jego zamiarach, gdyż rozumiał aż nadto, że z samymi Włochami niepodobna stawić czoła całej Europie. Z Francji jedynie pragnął podobnych wieści, lecz nie chciał pisać do znakomitaści, które mu niegdyś służyły, z obawy ich narażenia, a ci też ze swej strony obawiając się narazić cesarza, również milczeli. Z Wiednia za to najpewniejsze otrzymywał wiadomości, lecz nie od swej żony, ale od p. Meneval, którego wierność i gorliwość nigdy się nie zachwiała i który drogą handlową przez Genuę częste o synu i kongresie słał mu nowiny. P. Meneval odbierał te wiadomości od pani Brignote, szlachetnej, rozsądnej i pełnej poświęcenia, dla Francji Genuenki, napróżno usiłującej obudzić uczucie obowiązku w Marji Ludwice, której była damą honorową. P. Brigiole zaś wszelkie nowiny miała od różnych znakomitości w Wiedniu, a głównie od swego zięcia księcia de Dalberg, ministra Ludwika XVIII. Nadzwyczaj starannie śledziła ona za wypadkami i dowiedziała się o zamiarze przeniesienia Napoleona na jedną z wysp oceanu Atlantyckiego. P. Meneval nie zaniedbał donieść natychmiast o tym zamiarze Napoleonowi, przesadzając nawet prawdopodobieństwo wprowadzenia go w wykonnaie, gdyż, jak tośmy już powiedzieli, przygotowywano się do opuszczenia Wiednia, bez wszelkich w tym przedmiocie postanowień. Z wiadomością tą łączył p. Meneval inną, o bliskiém ukończeniu czynności kongresu i wyjeździe monarchów najpóźniej do 20 Lutego.

Wszystkie te doniesienia żywe na Napoleonie wywarły wrażenie i dały mu pochop do głębokiego zastanowienia się nad obecném i przyszłém położeniem. Niejednokrotnie już powiedział on sobie, że nie może umrzeć na tej wyspie, albowiem tak jemu, jak i jego sławie bardziej

przystawał tragiczny nawet koniec, aniżeli miękka starość w spokojném na wyspie Elbie więzieniu. Widoczne znudzenie towarzyszów niedoli jeszcze bardziej obudzało podobne myśli. Marszałek Bertrand daleko cierpliwiej znosił wygnanie od czasu przybycia swej rodziny. Drouot zachowywał zawsze zwykłą swą postawę, to jest szczerą uczciwość w pełnieniu swych obowiązków. Nie tak przecie działo się z innymi. Oficerowie i żołnierze po przejściu pierwszych uniesień zapału, ogromnie się nudzili bezczynnością. Nie taili się z tém Napoleonowi i poufnie częstokroć zapytywali: Najjaśniejszy Panie, kiedy pojedziem do Francji? Odpowiadał im milczeniem i przyjacielskim uśmiechem, lecz zgadywali oni co się działo w jego sercu i przewidywali, że ich cierpliwość nie sprosta długości jego wygnania. Usiłował przeto Napoleon zajmować ich robotami przy drogach i zatrudniał w swym ogrodzie, wynagradzając dodatkiem do żołdu, a pozwalając tym, którzy nic nie chcieli robić, pustoszyć swoje winnice w San-Martino, śmiejąc się z tej niewinnej grabieży. — Idziemy z Saint-Cloud, mówili oni do niego, gdy ich spotkał kiedy na drodze dojadających skradzione grona. — To dobrze, odpowiedał, lecz czuł całą doniosłość ich znudzenia, i daleko więcej od nich cierpiał. Około dwudziestu nie mogło wytrzymać i zażądali uwolnienia, które im udzielił zaszczytnemi słowami. Wprawdzie przybyło mu kilku oficerów ze stałego lądu, lecz ci uciekli przed znudzeniem we Francji, aby poznać nudy na wyspie Elbie. Do nieukrywanych tych usposobień żołnierzy, budzących obawę, że nie będzie można utrzymać ich długo w podobném położeniu, łączyła się nadto ta prosta uwaga, iż nie ma nawet środków do długiego ich wyżywienia, gdyż z przywiezionych do Porto-Ferrajo 3,400,000, po ukończeniu robót pozostało tylko 2,400.000 franków, a summa ta mogła tylko na dwa lata wystarczyć do utrzymania wojska i marynarki. Te jedne powody, pomimo nawet nieugiętej działalności jego ducha, były dostatecznemi do zamiaru ukazania się znowuż na polu wielkich wydarzeń. Ale pomimo to wszystko, Napoleon dopiero wówczas stanowczo postanowił opuścić Elbę, gdy się napewno dowiedział o zamiarze przeniesienia go na ocean i o bliskiém rozjechaniu się z Wiednia zgromadzonych tam monarchów. W postanowieniu tém, dwa głównie względy miał na uwadze. Najprzód, jeżeli monarchowie się rozjeżdżają, więc muszą wydać postanowienie w sprawie, w której się zgromadzili, a postanowienie to musi być niezwłocznie wprowadzone w wykonanie. Powtóre, monarchowie w krótce mają opuścić Wiedeń i do swych państw powrócić, a więc nadarza się stosowna chwila do zrobienia przewrotu we Francji, gdyż po rozjechaniu się, nie będzie im tak łatwo zebrać się na nowo, a porozumienie się pomiędzy nimi zawierane

zdaleka, przez znoszenie się gabinetu z gabinetem, będzie powolne, niedokładne i pozbawione siły. Dwa te względy były nadzwyczajnej wagi, a gdy u Napoleona wszystko przechodziła natychmiast w wykonanie, zauważył że i pora roku najwłaściwszą jest do wykonania zamiaru. Było to bowiem w połowie Lutego 1815 r., więc z każdą dobą przybywało dnia a ubywało nocy. Dla wymknięcia się zaś z Elby na flotylli przewożącej żołnierzy, Napoleon potrzebował długich nocy. Ostatni więc ten wzgląd stanowczo wpłynął na wydanie rozporządzeń, aby 16 Lutego bryk *l'Inconstant* wszedł do portu, celem go naprawienia, pomalowania jak statek angielski i zaopatrzenia się w żywność. Tegoż dnia rozkazał zarządzającemu kopalnią w Rio, aby najął dwa wielkie przewozowe statki, pod pozorem wysłania rudy na ląd stały. O zamiarach swych nikomu nie rzekł ani słowa.

Gdy tak przygotowywał się do ucieczki ze swego więzienia, otrzymał naraz, po dwóch lub trzech tygodniach przerwanej kommunikacji, wielką ilość dzienników. Nie czytał ale przejrzał je i z żywém zadowoleniem znalazł nowe wskazówki wzburzenia umysłów we Francji, gdyż zawierały one opisy sprawy jenerała Exelmans, zajść towarzyszących pogrzebowi panny Raucourt, oraz wyraźnie prawie mówiły, że wojskowi i lud paryzki byli gotowi do zrobienia rewolucji. Szczególniej *Journal des Débats* dość dokładnie powiadamia przez księcia de Dalberg o wszystkiem co się działo w Wiedniu, mówił o bliskim wyjeździe monarchów, która to wiadomość tak zgodna z udzieloną przez p. Meneval, utwierdziła go w postanowieniu wydania ostatecznych rozporządzeń zmierzających do wyjazdu.

W tej także chwili doniesiono Napoleonowi o przybyciu do Porto-Ferrajo młodego nieznanego człowieka, który oświadczył, że z ważném do niego przybył posłannictwem. Młodym tym człowiekiem był p. Fleury de Chaboulon, o którym jużeśmy mówili. Napoleon przypuścił go natychmiast do siebie, przyjął początkowo z pewném niedowierzaniem, obejrzał go od stóp do głów, przekonał się, że ma do czynienia z młodzieńcem pełnym dobrej wiary i zapału, a gdy tenże wyjawił mu pewną okoliczność tajemną, znaną tylko p. de Bassano i samemu cesarzowi (wymyślony środek przez p. de Bassano dla uwierzytelnienia posła), z uwagą zaczął go słuchać. — A więc przypominają sobie jeszcze mnie we Francji? rzekł tonem niezadowolenia; więc p. de Bassano nie zapomniał o mnie?.... Gdy p. Fleury de Chaboulon wyjaśnił powody, dla których wierni stronnicy cesarstwa zupełnie odosobnili się od świata, Napoleon zaniechał tej lekkiej wymówki, słuchając przedstawianego sobie stanu rzeczy, opowiadanego ze wzruszeniem lecz szczerze. A chociaż

p. Fleury de Chaboulon nic tu nowego nie powiedział, gdyż Napoleon całe położenie najdokładniej z czytania dzienników odgadł, to przecież zachwycony był tém poparciem swoich domniemań, potwierdzeniem naocznego świadka, a nadewszystko świadka, który przynosił wiadomości wprost od p. de Bassano. Najwięcej go jednak obeszło doniesienie o prawdziwém usposobieniu wojska i o ciągle objawianych niecierpliwie chęciach do pozbycia się władzy Burbonów. Wiadomość ta kazała się spodziewać, że wojsko za pierwszém ukazaniem się dawnego swego wodza pójdzie za żywionemi uczuciami, a podobna wiadomość dla tak śmiałego człowieka jakim był Napoleon, ręczyła z góry za powodzenie zamierzonego przedsięwzięcia. To też po wysłuchaniu posłannika p. de Bassano, postanowił natychmiast wyruszać. Chcąc jednak zniewolić go do bliższych objaśnień, następne zadał mu pytanie: Więc końcem, p. de Bassano radzi mi siadać na statki i wylądować we Francji?...— Zapytany młody człowiek w ten sposób, przy przeszyciu go wzrokiem, któremu nikt się opierać nie zdołał, nie ośmielił się ani na potwierdzenie, ani też na włożenie tak wielkiej odpowiedzialności na p. de Bassano, i ze drżeniem odpowiedział, że były minister żadnych tu rad nie dawał, lecz owszem, wyraźnie zastrzegł tylko proste wyłożenie stanu rzeczy. Napoleon nie pytał więcej, pojmując aż nadto, że nikt nie chciał brać na siebie odpowiedzialności, i pożegnał p. de Chaboulon, nic mu nie mówiąc o swych zamiarach, chociaż pozwalał się ich domyślać. Obawiając się przecież, aby nadzwyczajne wzruszenie młodego człowieka, poraz dopiero pierwszy w życiu obciążonego tak wielką tajemnicą, nie sprowadziło jakiego narażenia sprawy, wysłał go z wymyślonem poselstwém do Neapolu, polecając aby dopiero ztamtąd udał się do Francji i przedstawił p. de Bassano, który mu wyda nowe rozkazy.(*) Nadeszła chwila, w której Napoleon albo miał obalić tron Burbonów, albo też sam upaść na drodze.

(*) Pan Flery de Chaboulon w swym opisie Stu dni pod tytułem: *Pamiętniki z życia prywatnego Napoleona w roku* 1815, w dziele napisaném szczerze, które dostąpiło zaszczytu, iż sam Napoleon robił doń przypisy na wyspie S-ej Heleny, powiększył nieco swą rolę, opowiedzianą pod zmyśloném nazwiskiem. W opowiadaniu tem bowiem chce utrzymywać, iż to on skłonił Napoleona do opuszczenia Elby. Lecz jak wszyscy, którzy znają tylko jedną stronę przedmiotu, mówił tylko o tém, co osobiście było mu znaném i na co patrzał. Zachowane dotąd rozkazy Napoleona z Elby, opowiadania jego własne, za powrotém do Paryża, królowéj Hortensyi i marszałkowi Davout, opowiadania zawarte w udzielonych nam, dotąd drukiem nieogłoszonych Pamiętnikach, i dopiski Napoleona na przytoczoném dziele jasno dowodzą, że biegrzeczy odbywał się nieco odmiennie od twierdzenia p. de Chaboulon, to jest tak, jak tutaj wyłożyliśmy. Inna eszcze okoliczność usuwa wszelkie w tym przedmiocie powątpiewania, to jest data rozkazów do przygotowania brycku *l' Inconstant*. Rozkazy te, wedle zachowanej księgi z wyspy Elby, noszą datę 16 Lutego. Otóż w tym czasie, pomimo że p Flery de Chaboulon opowiadając swą podróż pod zmyśloném nazwiskiem, nie oznaczył dnia przybycia swe-

Starannie ukrywając swój zamiar w tajemnicy, zwierzył się przecież swej matce. — Nie mogę, powiedział jej, umrzeć na tej wyspie i zakończyć życia w spoczynku, który mi nie przystoi. Nadto, z powodu braku pieniędzy w krótce sam jeden tu pozostanę, a wówczas wystawiony będę na wszelkie gwałty licznych mych nieprzyjaciół. Francja jest wzburzona. Burboni oburzyli przeciw sobie wszelkie przekonania i wszystkie sprawy połączone z rewolucją. Wojska mnie pożądają. Wszystko każe się spodziewać, że na mój widok rzucą się ku mnie. Mogę bezwątpienia spotkać na méj drodze nieprzewidzianą zaporę, mogę spotkać wiernego Burbonom oficera, który powstrzyma zapał żołnierzy i wówczas upadnę w kilku godzinach. Koniec podobny wart więcej od przedłużonego na téj wyspie pobytu, z oczekującą mnie tu przyszłością. Chcę więc wyjechać i raz jeszcze popróbować szczęścia. Jakież jest twe zdanie moja matko?—Energiczna ta kobieta doznała wewnętrznego wzruszenia słuchając słów syna i ocknęła się z przestrachu, gdyż rozumiała, że syn jej, pomimo całej swej sławy, może łatwo zakończyć życie na brzegach Francji, jak pospolity przestępca.— Pozwól mi, odpowiedziała, być matką na chwilę, a wyjawię ci następnie moje uczucia. Namyślała się czas jakiś w milczeniu, a następnie tonem stałym i natchnionym wyrzekła: Jedź mój synu, jedź i przeprowadzaj swe zamiary. Być może że ci się nie uda, a w takim razie prędko śmierć znajdziesz po spełzłém przedsiewzięciu. Lecz nie możesz zamieszkać tutaj, widzę to z boleścią; zresztą miejmy nadzieję, że Bóg, który opiekował się tobą w tylu bitwach, zasłoni cię raz jeszcze.— Po wyrzeczeniu tych słów z gwałtownem wzruszeniem uściskała syna. (*)

Po stanowczem postanowieniu ze strony Napoleona, śmiało było ono przeprowadzaném. W ostatniej chwili zwierzył się niespodzianie Bertrandowi i napełnił go radością, gdyż Bertrand widocznie cierpiał z nudów wygnania, pomimo obecności swej rodziny. Napoleon następnie pomówił otwarcie z Drouotem i napełnił go obawą. Bohater ten najuczciwszy z ludzi, zapytywał sam siebie, czy obowiązek podzielania niedoli Napoleona rozciągał się aż do wzięcia udziału w przedsiewzięciu, które na straszne klęski narazić może Francję. Napoleon prze-

go na Elbę, to przecież pewne wskazówki dowodzą, że jeszcze tutaj nie przybył. Zwrócenie uwagi na tę okoliczność jest bardzo ważném, jak to zobaczymy wkrótce, gdyż ona dowodzi, że działania paryzkie nie wpłynęły na postanowienie Napoleona, co do wylądowania we Francji. Zawiezione wiadomości przez p. Fleury de Chaboulon być może przyśpieszyły koniec rozwiązania, lecz nie były główną przyczyną do powzięcia zamiaru.

(*) Jest to własne opowiadanie Napoleona, pozostawione w niewydrukowanych pamiętnikach.

niknąwszy te powątpiewania, zwalczał je wykazywaniem stanu Francji, podzielonej, rozdzieranej przez stronnictwa, skazanej na bliskie usiłowania jednego lub drugiego, niegodnie traktowanej przez Europę, a mającej możność, przeciwnie, podnieść się pod tą silną ręką, która ją urządziła w 1800 roku. Nowe zresztą zasady, z któremi Napoleon powracał do Francji po dziesięciu miesiącach głębokich rozmyślań, postanowienie jego nie wpadnięcia w otchłań wojen, jeżeli rzeczy zależeć będą od niego, zamiar uznania ludu francuzkiego za naród wolny i dania mu znacznego udziału w sprawach rządowych, były niejaką rękojmią, że Francja może mieć zapewniony spoczynek, jedność, umiarkowaną wolność, stanowisko silne, wszystko to, coby mogła mieć za pierwszego panowania, jeżeliby Napoleon umiał był się powstrzymywać. Poświęcenie się dokonało reszty i Druot poddał się woli cesarza, przykładając rękę do tajnych przygotowań na zamierzoną wyprawę. Pod zmyślonym pozorem Napoleon kazał przybyć do Porto-Ferrajo bataljonowi korsykańskiemu rozłożonemu na wyspie i zaopatrzył go w nowe odzienie. Pozostawił jednak na pastwisku na wyspie Pianosa konie ułanów polskich, gdyż sprowadzenie tych nie mogło być dobrze upozorowaném, a nadto przewóz był trudny. Zgromadzono wszystkich ludzi zdolnych do noszenia broni, a liczba ich wynosiła 1,100 żołnierzy, z których 800 pochodziło ze starej gwardji, 300 Korsykanów, Piemontczyków lub Toskańczyków, pozostałych z 35 pułku lekkiej piechoty, stojącego dawniej na wyspie. Żaden z żołnierzy nie domyślał się zamierzonego przedsięwzięcia i zdawało im się, że są powołani na przegląd, gdyż wszystkie rozpoczęte roboty zwykłym postępowały trybem. Jedna jeszcze nadto okoliczność sprzyjała utajeniu zamiarów. Anglicy pozostawili na tych morzach, wcelu rozciągnięcia dozoru nad Elbą, pułkownika Campbell, jednego z komissarzy towarzyszących Napoleonowi z Fontainebleau do Porto-Ferrajo, a dla utajenia właściwej roli tego oficera, dali mu pozorne posłannictwo przy dworze Toskańskim. Pułkownik Campbell przejeżdżając się bezustannie z Florencji do Liworno i z Liworno do Porto-Ferrajo, był dobrym, bez okazywania tego, stróżem. W tej chwili opuścił Porto-Ferrajo, udając się do Liworno. Oko więc polityki angielskiej nic dostrzedz nie mogło i pozostały tylko statki krążące na morzu, które łatwo było zmanić lub ominąć. Dla lepszego zachowania tajemnicy, Napoleon na dwa dni przed wyjazdem, kazał przytrzymać wszystkie statki znajdujące się w portach wyspy i przeciął wszelkie ich stosunki z morzem. Rozkazał swemu oficerowi służbowemu Vantini zająć jeden wielki statek znajdujący się w porcie, i tak z tym, jak z własnym statkiem *l'Inconstant* o 26 działach

z goelettą *la Caroline*, z feluką *l'Etoile*, z awizo *la Mouche* i z dwoma innemi przewozowemi z Rio, mając wogóle siedm statków, zapewnił sobie przewiezienie 1,100 ludzi i 4 dział na zamierzoną wyprawę.

Nakoniec, po dokładném ze wszystkich stron obejrzeniu zamiaru, po powiedzeniu sobie, że nie może zakończyć swego zawodu na tej, tak blizkiej Francyi wyspie, zwłaszcza że wkrótce pozbawiony środków do utrzymania wojska, narażonym byłby na zamachy prostych morderców, lub też przewiezionym na nowe miejsce wygnania przez państwa europejskie; po powiedzeniu sobie, że przy obecném usposobieniu Francji kto inny poprobuje dokonać tego, co on sam zrobić powinien, nie mając nawet tej pewności powodzenia, z jaką to przyjść może tylko jemu samemu, gdyż ukazanie się go tylko wystarczy do pociągnięcia wszystkich wojsk i do zmuszenia Burbonów do ucieczki; po powiedzeniu sobie, że monarchowie znajdując się już na wyjezdnem z Wiednia, jak to donosiły ostatnie otrzymane wiadomości, nie będą łatwi do nowego zebrania się, że będą się wahać z poruszeniem swych wojsk na korzyść Burbonów, widząc ich tak słabymi, a jego tak spokojnym (postanowił sobie być nim), że ma więc wszelką pewność odbudowania jedném uderzeniem czarodziejskiej laski tronu cesarskiego, że nakoniec należy się śpieszyć z wykonaniem zamiarów na długich jeszcze nocach; powiedziawszy sobie to wszystko po raz ostatni, przeznaczył dzień 26 Lutego na rozpoczęcie bajecznej niemal swej wyprawy.

Przed wyruszeniem wysłał wiadomość do Neapolu przez jeden z dwóch awizo, które służyły mu do stosunków z brzegami włoskiemi. Uwiadamiając Murata o swem odpłynięciu do Francji, Napoleon zobowiązywał go do wysłania gońca do Wiednia, z oznajmieniem dworowi Austryjackiemu, iż wkrótce przybędzie do Paryża, lecz że przybędzie sam, ze stałém postanowieniem utrzymania pokoju i poprzestania na traktacie paryzkim z 30 Maja 1814 roku. Wskazał mu zarazem sposób postępowania, jako królowi Neapolitańskiemu. Szczególniej zalecał mu przygotowanie wojsk, zgromadzenie ich w Marchjach, gdzie już po części się znajdowały, lecz nie kazał rozpoczynać kroków wojennych, ale cierpliwie oczekiwać na to, co zajść może w Paryżu lub Wiedniu przed rozpoczęciem poruszeń; a gdyby walka stała się nieuniknioną, w takim razie aby raczej cofał się aniżeli postępował naprzód, aż dopóki nie będzie w możności podać mu ręki, gdyż o ile bitwa stoczoną będzie bliżej Neapolu, o tyle będzie silniejszym a Austrjacy słabsi.

W dniu 26 Lutego Napoleon aż do południa pozostawił żołnierzy przy robotach, do których użyci byli. Po południu zwołano ich

śpiesznie, dano wieczerzę, zgromadzono w porcie z bronią i pakunkiem i rozkazano wejść na pokład statków. Pomimo iż ani im wspomniano, że wyprawa skieruje się ku Francji, nie mieli o tém najmniejszej wątpliwości, a ztąd radość ich była bez granic. Wyjść bowiem z trudzącej bezczynności, poruszyć się z miejsca, działać, zobaczyć Francję, powrócić do szczytu potęgi i sławy, były to zachwycające ich widoki, skutkiem czego zatoka Porto-Ferrajo napełniła się okrzykami: *Niech żyje cesarz!* Tylko mieszkańcy, zasmuceni tym wyjazdem, gdyż im się zdawało, że ich szczęście odpłynie z Napoleonem, smutnie i spokojnie przypatrywali się odjeżdżającym. Wielu z nich związawszy się już z oficerami i żołnierzami francuzkimi, czule się z nimi żegnali szczerze życzyli powodzenia wyprawie i pocieszali się tém, że jeżeli gwiazda Napoleona, o czém byli przekonani, zajaśnieje na nowo w pełnym blasku, to i ich wyspę oświeci choć kilkoma promieniami Wkrótce też ukazał się i Napoleon, w towarzystwie Bertranda, Drouota, Cambronna i całego sztabu, podzielającego z nim wygnanie. Obiadował on z matką i siostrą, po kilka razy je uściskał, usiłując osuszyć łzy przypomnieniem, że z dwudziesto-letnich wojen europejskich wyszedł cało, nakoniec opuścił je z sercem wzruszoném lecz stałémi, ukazał się na wybrzéżu z promieniającém nadzieją czołem. Obecność jego wywołała na nowo okrzyki pełne zapału, a w krótce szczupła garstka wojowników, 1,100 ludzi licząca, która szła na zdobycie cesarstwa Francuzkiego wbrew całej Europy, znalazła się na siedmiu przewozowych statkach. Około 300 żołnierzy ze sztabem siadło na bryck *l'Inconstant*, reszta zaś przewiezioną została na sześciu innych statkach, składających flotyllę. Około siódmej godziny wieczorem tłumy zaległy wybrzeże, matka i siostra Napoleona stały w oknach pałacu, flotylla cesarska rozpięła żagle i skierowała się ku przylądkowi Świętego Andrzeja. Przybierając ten kierunek, chciała ona okrążyć wyspę Elbę i pożeglować na północ pomiędzy wyspą Capraia i brzegami Włoskiemi, o ile można w największej odległości od drogi, po której krążyły statki strażnicze. Wiejący w tym czasie wiatr z południa, zdawał się wróżyć szczęśliwie dla tej śmiałej wyprawy i tego nadzwyczajnego człowieka, którego los po kilkakroć przerzucał za Alpy, prowadził do Egiptu, powracał zdrowo i cało do Francji, wspierał we wszystkich wyprawach od Tagu aż do brzegów Dniepru i w jednej tylko Moskwie opuścił! Napoleon też i jego żołnierze ani wątpili, że i tym razem stare szczęście prowadzić ich będzie.

W krótce nastąpiła zmiana tak świetnych z początku powodzeń. Przyjazny wiatr południowy znikał powoli tak dalece, że za przyby-

ciem do przylądka Świętego Andrzeja, flotylla stanęła nieruchoma. Zaledwie zdołano popchnąć się nieco na północ ku wyspie Capraia, a do poranku 27 Lutego upłynięto tylko siedm czy ośm mil. Flotylla znajdowała się na wodach przebieganych przez statki strażnicze francuzkie i angielskie i mogła być przez też spotkana. Niebezpieczeństwo było wielkie, Kapitan fregaty Chautard, który przybył na Elbę wcelu połączenia się z Napoleonem i kapitan Taillade, który kierował bryckiem *l'Inconstant*, oraz wielu marynarzy byli zdania, aby powrócić do Porto-Ferrajo i oczekiwać tam pod żaglami na wiatr przyjazny. Unikając w podobny sposób jednego, wpadało się w drugie niebezpieczeństwo, gdyż pomimo zatrzymania w zatoce Porto-Ferrajo wszystkich znajdujących się tam statków, wiadomość o wyjeździe mogła dojść do Anglików, a w takim razie flotyla Napoleona mogła być zatrzymaną nagłém ukazaniem się przeważnych sił brytyjskich i naruszający pokój powszechny bezzwłocznie zostałby przewieziony jako jeniec na odległą gdzie wyspę. Daleko więc było lepiej oczekiwać na miejscu na tak pożądany wiatr południowy. Napoleon, który we wszelkich zdarzeniach nieporównane posiadał doświadczenie, pojmował aż nadto, że w każdym wypadku należy mieć krew zimną i cierpliwie oczekiwać na sprzyjające okoliczności. Największém niebezpieczeństwem było spotkanie się ze statkami strażniczemi francuzkiemi, złożonemi z dwóch fregat i jednego brycku. Znano przecież ducha ożywiającego załogę tych statków, które można było w danym razie wziąść bez wystrzału, rzucając się na ich pokład z orłami cesarskiemi i trójkolorową chorągwią. Postanowił więc wyjść z niebezpieczeństwa czynem śmiałości, na przypadek ukazania się statków francuzkich.

O południu wiatr się ożywił i popchnął flotyllę na wysokość Liworno. Na prawo ku brzegom Genui spostrzeżono jedną, a na lewo drugą fregatę na pełném morzu; w oddali zaś okręt linjowy popychany wiatrem, zdawał się kierować wprost ku flotylli. Były to niebezpieczeństwa, którym potrzeba było stawić czoło, licząc jedynie na szczęście. Niebawem flotylla zetknęła się z bryckiem wojennym francuzkim *le Zéphire*, dowodzonym przez porucznika okrętu Andrieux, dobrego oficera, którego często spotykała mała marynarka wyspy Elby. Można było opanować ten bryck, lecz Napoleon nie chciał nic podobnego probować bez konieczności. Rozkazał położyć się swym gwardzistom na pokładnie i polecił kapitanowi Taillade, który znał porucznika Andrieux, aby się z nim rozmówił. Kapitan Taillade wziął tubę, pozdrowił porucznika Andrieux i zapytał dokąd się udaje.— Do Liworno, ten odpowiedział, a pan dokąd? — Do Genui, odparł kapitan Taillade, a następnie zażą-

dał poruczenia sobie jakiego posłannictwa do tego portu; lecz oficer marynarki królewskiej oświadczył, że nie ma żadnego i zapytał tylko: jak się ma cesarz? — Bardzo dobrze, odpowiedział kapitan Taillade. — Tém lepiej, odrzekł porucznik Andrieux i popłynął dalej w swą drogę, ani się domyślając z kim to się spotkał.

Za nadejściem nocy stracono z oczu statki wojenne, które stały się przyczyną wielkiej niespokojności przed kilku godzinami i kierowano się prosto ku brzegom francuzkim. Cały dzień 28 Lutego użyty był na przebycie zatoki Genueńskiej i spotkano tylko okręt 74, który uważany był początkowo za statek strażniczy, lecz który nie zwrócił nawet uwagi na flotyllę. Dnia 1 Marca z rana, w tym dniu na zawsze pamiętnym, choć opłakanym dla Francyi i Napoleona, z niewypowiedzianą radością spostrzeżono wybrzeża, a o południu rozpoznano Antibes i wyspy Świętej Małgorzaty. O trzeciej po południu zawinięto do zatoki Juan i Napoleon pokonawszy tak szczęśliwie pierwsze trudności swej wyprawy, wierzył, że dawne sprzyja mu szczęście, a jego żołnierze podobną także ożywieni wiarą, napełnili powietrze okrzykami: *Niech żyje cesarz!*

Na znak dany wystrzałem z działa wzniesiono na statkach trójkolorowe chorągwie, każdy żołnierz przypiął takąż kokardę i rozpoczęło się wylądowanie. Napoleon rozkazał kapitanowi piechoty Lamouret, aby naczele dwudziestu pięciu ludzi opanował nadbrzeżną baterję, położoną wśrodku zatoki. Kapitan Lamouret udawszy się tam na szalupie, spotkał tylko celników, nadzwyczaj uradowanych z przybycia Napoleona i oddających się pod jego rozkazy. Z największą łatwością nastąpiło wylądowanie, w czasie którego kapitan Lamouret skierował się ku Antibes dla opanowania warowni, która stawała się nadzwyczaj ważnym punktem oparcia.

Śmiały ten oficer stanąwszy przed Antibes, zbliżył się do placówek strzegących bramy i został najlepiej przyjęty. Jenerał Corsin, komendant Antibes, znajdował się w tej chwili na wyspach Świętej Małgorzaty.[3] Zastępował go pułkownik Cureo d'Ornano. Ten dowiedziawszy się o co chodziło, a chcąc pozostać wiernym swym powinnościom żołnierza, pozwolił wejść dwudziestu pięciu grenadjerom, następnie kazał natychmiast podnieść most zwodzony i tym sposobem wziął ich do niewoli. Ci jednak wdawszy się w rozmowę z żołnierzami 87 pułku, stanowiącego załogę Antibes, do tego stopnia ich przekonali, że rozpoczęli wołać: *Niech żyje cesarz!* i chcieli stanowczo wydać twierdzę Napoleonowi. Pułkownik d'Ornano potrafił ich uspokoić, a tymczasem rozbroił dwudziestu pięciu grenadjerów, którym przyrzekł zwrócić broń, skoro się tylko rzeczy lepiej wyjaśnią.

Zbyteczne zaufanie tej poświęconej garstki, straciło ją zupełnie dla Napoleona, a zdarzenie to możnaby było uważać za bardzo złą wróżkę, gdyby w tym czasie bardzo wielu żołnierzy 87 pułku nie było rzuciło się przez wały i nie śpieszyło ku Cannes, dla połączenia się, jak mówili, ze swoim cesarzem.

O piątej godzinie wylądowanie ukończonem zostało. Tysiąc sto żołnierzy Napoleona z czterema działami wysiadło na ląd i rozłożyło obóz w lasku oliwnym, na drodze z Antibes do Cannes. Początkowo mieszkańcy, widząc kilka statków pełnych ludzi, którzy dali wystrzał z działa, sądzili, że był to napad Barbaresków, a ztąd doznali przerażenia. Niebawem jednak lepiej powiadomieni, nadbiegli z ciekawością, nie oświadczając się jednak ani za tą ani za ową stroną, gdyż nadbrzeżna ludność nie była bardzo przyjazną cesarstwu, z powodu piętnastoletniej wojny morskiej. Napoleon wysłał w przedniej straży do Cannes Cambronna dla zakupienia żywności i koni, a wiedząc, że dla przyciągnięcia tych ludzi ku sobie należy baczyć na ich prywatny interes, rozkazał wszystko zapłacić gotówką. Dostawiono żywność, oraz kilka mułów i kilka koni. Pomimo wydanego rozkazu, aby nikt nie wyszedł z Cannes, nadewszystko drogą prowadzącą do Tulonu, oficer żandarmerji, którego Cambronne zapytał, czyby nie chciał zająć się kupnem koni i który udawał że na to się zgadza, umknął galopem do Draguignan, celem uwiadomienia prefekta departamentu Var o zaszłém wielkiém zdarzeniu. Szczęściem dla Napoleona, że oficer ten zauważywszy, iż sprowadzone cztery działa postawione były na drodze do Tulonu, powodował się pierwszem powziętém wrażeniem i śpieszył z wiadomością, że wyprawa kieruje się ku Prowancyi, to jest ku Tulonowi i Marsylji.

Tak przecież nie było. W lasku oliwnym, w którym Napoleon rozłożył swój obóz, postawiono mu krzesło i stolik, a na tym rozłożył on swe karty. Dwie otwierało się przed nim drogi: jedna do przebycia łatwa, to jest do niższej Prowancyi, dotykająca Tulonu i Marsylji; druga zaś do Delfinatu, najeżona urwistemi górami, pokrytemi wówczas śniegiem i lodem i poprzecinana takiemi wąwozami, że w nich pięćdziesięciu odważnych ludzi mogło powstrzymać pochód całej armji. Ta ostatnia, przecinająca Alpy francuzkie, w wielu miejscach niezdatną była do jazdy kołami tak dalece, że obrawszy ją, trzeba było porzucić działa. Pomimo tych wszystkich przerażających trudności, Napoleon niezawahał się i tym wyborem zapewnił pomyślność śmiałemu swemu przedsiewzięciu.

Przedstawiające się przeszkody dla pochodu przez Alpy, składały się z dróg urwistych lub pokrytych lodami i z wąwozów, które trzeba było

albo z trudem przebyć albo też wyminąć, a przeszkody te można było zawsze pokonać przy cierpliwości, wytrwałości i śmiałości. Napoleon prowadził z sobą 1,100 ludzi zdolnych do wszystkiego i wystarczających do pokonania wszelkich zawad, które można było spotkać w tych stronach, gdzie spodziewał się znaleść tylko małe oddziały dowodzone przez kapitanów lub majorów. Przeciwnie zaś, przeszkody jakie mógł spotkać na drodze nadbrzeżnej, były innej natury i bardziej zastraszające. Postępując bowiem drogą prowadzącą przez Tulon, Marsylję, Avignon, Valence, spotykało się ludność gwałtowną, ożywioną szalonym rojalizmem, zdolną do powstrzymania zapału wojsk dla cesarza. Nadto, spotkałby na tej drodze władze wyższe, jak admirałów w Tulonie i marszałka dowodzącego w Marsylji, którym był Massena. W usiłowaném zaś przedsięwzięciu największém niebezpieczeństwém było spotykać się z początku z oficerami wysokiego stopnia. W wojskach prawie sami starzy żołnierze, którzy wrócili z niewoli lub załóg zagranicznych, pałali dla Napoleona prawdziwym fanatyzmém. Oficerowie podzielali te uczucia, lecz z pewną ostrożnością, gdyż krępowani byli wykonaną przysięgą i poczuciem spełnienia swej powinności. Jenerałowie zaś, a nadewszystko marszałkowie, bardziej jeszcze powstrzymywani temi samemi względami, a z drugiej z nów strony oceniając niebezpieczeństwo z przywrócenia cesarstwa, obawiając się nadto narazić swego wysokiego stanowiska, ustępowali daleko trudniej aniżeli niżsi oficerowie pociągani przez żołnierzy. Daleko więc mniej było nadziei pociągnąć ku sobie marszałka dowodzącego kilkoma tysiącami, aniżeli pułkownika lub kapitana stojącego na czele kilkuset ludzi.

Z tych przeto wszystkich względów należało unikać władz wyższych, tak cywilnych jak wojskowych, i obrać choćby najgorszą drogę, na której znajdowali się tylko niżsi oficerowie. Na drodze do Delfinatu Napoleon mógł mieć tylko do czynienia, jaktośmy mówili, z drobnemi załogami, słabo dowodzonemi i z wieśniakami nielubiącymi księży a którzy po większej części należeli do nabywców dóbr narodowych. Największém miastem na tej przez góry drodze była Grenobla. Napoleon zaś wiedział, że Grenoblanie ożywieni byli duchem wojennym, jak cała ludność nadgraniczna, a przytém wierni będąc zasadom liberalnym, nienawidzili Burbonów. W gwardji swej miał doktora Émery, rodem z Delfinatu, który znosił się tajemnie ze swém rodzinném miastem i odpowiadał za swych współziomków. Napoleon więc wybrawszy drogę przez góry i pozostawiając na lewo gościniec nadbrzeżny i rojalizm marsylski, raz jeszcze dał dowód tego bystrego poglądu na rzeczy, który bardzo często przynosił mu największe trjumfy wojskowe, a który w o-

becnej chwili zapewniał mu największe powodzenie polityczne. Stosownie więc do tego wydał rozporządzenia.

Postanowił porzucić swe działa, których naprawdę nie miał potrzeby, gdyż ani myślał o stoczeniu bitwy z artyllerją. Tysiąc sto ludzi wystarczało mu dla zabezpieczenia się od żandarmów, lub też od jakiego upartego dowódzcy bataljonu; co zaś do innych ważniejszych przeciwności, to te stosownie do potrzeby swą obecnością miał pokonywać na razie. Albo na widok jego surduta, jego sławnego kapelusza pierwszy wysłany przeciw niemu oddział rzuci mu się do nóg, a za nim cała armja, albo też skończy życie na publicznej drodze jak wielki przestępca: w takim przeto składzie rzeczy działa zupełnie były niepotrzebne. Porzucając artyllerję, użył mułów do przewiezienia swego małego skarbu, resztek tego co przywiózł na Elbę, 17 lub 1800 tysięcy franków. Część także od pozostałości wydatków na Elbie zostawił swej matce. Około północy postanowił opuścić Cannes. W tym czasie wysłał do Grasse dla przygotowania żywności i dla wydrukowania proklamacji, których liczne odpisy porobione zostały przez oficerów na bryku *l'Inconstant*, a z których jedna była do ludu francuzkiego, a druga do wojska. Proklamacje te były treści następnej:

„Francuzi, mówił w pierwszej, zwycięztwa pod Champaubert, Montmirail, Château-Thierry, Vauchamp, Mormans, Montereau, Craonne, Reims, Arcis-sur-Aube, Saint-Dizier, powstanie dzielnych wieśniaków Lotaryngji, Szampanji, Alzacji, Franche-Comté, Burgundji, stanowisko jakie zająłem na tyłach wojsk nieprzyjacielskich, odcinając je od magazynów, ammunicji, pociągów, postawiły sprzymierzonych w opłakaném położeniu. Francuzi nie byli jeszcze nigdy tak potężni i wybór wojsk sprzymierzonych byłby znalazł grób w tych obszernych okolicach, które okrutnie spustoszył, gdyby zdrada księcia Raguzy nie wydała była stolicy i nierozprzęgła armji. W tymże czasie odstępstwo księcia de Castiglione, któremu powierzyłem dostateczne siły do pobicia Austrjaków, a który gdyby był pokazał się na tyłach nieprzyjaciela uzupełniby nasz trjumf, dopełniło naszéj klęski. Niespodziane postępki tych dwóch jenerałów, którzy zdradzili na raz swą ojczyznę, swego księcia i swego dobroczyńcę, zmieniły los wojny. W tych smutnych okolicznościach rozdarło mi się serce, ale duch pozostał niewzruszony. Powodowałem się tylko sprawą ojczyzny, skazałem się na wygnanie na skałę morską i zachowałém życie, które może być wam jeszcze użytecznem.....”

Potém wyjaśnieniu swych niepowodzeń, Napoleon starał się scharakteryzować ducha emigracji, która opierała się, mówił, na cudzoziemcach i pragnęła przywrócić nadużycia porządku feudalnego. Dodał:

„Francuzi, będąc na wygnaniu, słyszałem wasze skargi i wasze życzenia; przebyłem morze pośród niebezpieczeństw wszelkiego rodzaju; przybywam między was dla odzyskania praw moich i waszych. Wszystko, cokolwiek kto bądź uczynił, napisał lub powiedział od czasu wzięcia Paryża, pozostanie mi na zawsze niewiadomém i zachowam tylko pamięć ważnych oddanych usług, gdyż zdarzają się wypadki, które owładają usposobieniem człowieka.... Francuzi, nie ma żadnego, najmniejszego narodu, któryby nie miał prawa i nie usiłował wyłamać się z pod haniebnego posłuszeństwa księciu, chwilowém zwycięztwem nieprzyjaciela narzuconemu. Gdy Karol VII wszedł do Paryża i obalił chwilowy tron Henryka VI, uznał, iż winien był tron dzielności swych walecznych, a nie księciu rejentowi Angielskiemu. I ja też wam jedynie i dzielności wojska winien jestem i winien będę zawsze sławę i wszystko."

Napoleon przemówił tak do wojska:

„Żołnierze"

„Niezostaliśmy zwyciężeni: dwóch ludzi wyszłych z naszych szeregów zdradzili nasze wawrzyny, swój kraj, swego księcia i swego dobroczyńcę.

„Ci, którzy przez lat dwadzieścia pięć przebiegali całą Europę, podnosząc przeciw nam nieprzyjaciół, którzy strawili życie na walce z nami, w szeregach wojsk nieprzyjacielskich, złorzecząc naszej pięknej Francji, czyż mogą żądać, aby rozkazywali i ujarzmiali naszych orłów, oni, którzy nigdy nie mogli wytrzymać ich spojrzeń? Czyż ścierpiemy, aby odziedziczali owoce prac naszych, ażeby zagarniali nasze zaszczyty, nasze majątki, ażeby spotwarzali naszą sławę? Jeżeliby ich panowanie potrwało, wszystko byłoby straconém, nawet pamięć naszych najświetniejszych bitew.

„Wódz wasz, powołany na tron głosem ludu i waszym wyborem, powrócił do was: łączcie się z nim.

„Zedrzyjcie te kolory, które naród odrzucił, a które przez lat dwadzieścia pięć służyły do łączenia się wszystkich nieprzyjaciół Francji, Zatknijcie tę kokardę trójkolorową, którą nosiliście w naszych wielkich zwycięztwach. Powinniśmy zapomnieć, że byliśmy panami narodów, ale nie możemy ścierpieć, aby ktokolwiek mięszał się w nasze sprawy. Któż to chce być panem u nas? Kto ma ku temu siłę? Weźcie na powrót te orły, któreście mieli pod Ulmem, Austerlitz, Jena, Eylau, Wagram, Friedland, pod Tudelą, Eckmühl, pod Smoleńskiem, Moskwą, Lützen, Würtchen, Montmirail... Śpieszcie pod chorągwie waszego naczelnika. Życie jego jest życiem waszém; prawa jego są pra-

wami ludu i waszemi; jego widoki, jego honor, jego sława, są tylko waszemi widokami, waszym honorem i waszą sławą. Zwycięztwo postępować będzie szybkością uderzenia; *orzeł z narodowemi kolorami przelatywać będzie z dzwonnicy na dzwonnicę, aż do wieży Notre-Dame.* Wówczas będziecie mogli z chlubą okazywać swe rany; wówczas będzie mogli być dumni z tego, coście uczynili; staniecie się oswobodzicielami ojczyzny."

Tak to temi gorącemi odezwami, nacechowanemi całą namiętnością czasu, lecz zręcznie dotykającemi wszystkich głównych punktów ówczesnej chwili, Napoleon, nie troszcząc się o sprawiedliwość, wydawał wściekłości żołnierzy Marmonta i Augereau, o których wiedział, że stali się znienawidzeni w wojsku. Naprzeciw praw Burbonów stawiał prawa narodu i tym sposobem w najczulszą ludową uderzał strunę. Zręcznie przyrzekł zapomnienie, przypisując pewne słabości wszechpotędze rewolucyjnej, odezwał się do trójkolorowej kokardy, o której wiedział, iż została ukrytą w tornistrach żołnierzy, przypomniał im nieśmiertelną sławę, przyćmioną niezręczną nienawiścią emigrantów, i wyrażeniem dosadnem, które się stało ludowém, zapewniał zwycięztwo swym stronnikom. Odezwy jego były głęboko obmyślane i powinny były wydać obliczony skutek.

Przed wyruszeniem w drogę zwrócił na Elbę szczęśliwą swą flotyllę, celem oznajmienia matce i siostrze o powodzeniu pierwszej połowy swej wyprawy; a zarazem rozkazał brykowi *l'Inconstant* udać się do Neapolu, aby tam w bezpieczeństwie mógł oczekiwać na koniec przesilenia.

Około wieczora zbliżył się ze strony Cannes i sprowadzony został do obozu Napoleona, a to skutkiem wydanego przezeń rozkazu zatrzymania wszystkich powozów, książe Monaco, przechodzący, jak tylu ludzi owego czasu, z jednego do drugiego wyznania, to jest z cesarstwa do restauracji. Uwolniony on był natychmiast i z grzecznością przyjęty przez cesarza, który go zapytał dokądby jechał.— Wracam do siebie, odrzekł książe.— I ja także, odparł Napoleon. Następnie pożegnał drobnego władzcę na Monaco, życząc mu szczęśliwej podróży.

O północy wyruszył ku Grasse, postępując za Cambronnem, który prowadził straż przednią ze stu ludzi złożoną. Środek stanowił bataljon starej gwardji, strzegący skarbu i amunicji, a zamykał pochód bataljon korsykański, tworząc straż tylną.

Od Cannes zaczyna się droga przez góry prowadząca do Grenobli, odległej ztąd o ośmdziesiąt mil francuzkich. O świtaniu 2 Marca przybyto do Grasse, W okolicach Cannes kilka godzin poświęcono na

zaopatrzenie oddziału w żywność, na kupno koni, a nadewszystko na wydrukowanie pomienionych odezw. Odtąd zaś Napoleon postanowił nie stracić ani godziny, aby uprzedzić w Grenobli rozkazy z Paryża. Śniadał więc stojący, otoczony swym sztabem, po za murami miasta, w obec wyległych z ciekawości mieszkańców, którzy nie wiedzieli jeszcze jaką mają przybrać postawę, a ztąd nie objawiali tego zapału, jaki spodziewał się spotkać.

O ósmej z rana w dalszą udał się drogę, zawsze poprzedzany swą przednią strażą i potrzebował kilku godzin na przebycie ścieszki pokrytej lodem, a prowadzącej przez łańcuch gór oddzielający brzegi morza od kotliny rzeki Durance. Większą część tej drogi Napoleon przebył pieszo. Wszyscy zaopatrzeni w konie śli pieszo obok tychże, a inni na plecach przenosili pakunki. Zimno było przejmujące i Napoleon po kilka kroć zmuszony był zsiadać z konia dla rozgrzania się, pomimo że nie był przyzwyczajony do chodzenia. Kilka razy przewrócił się w śniegu, a dla chwilowego wypoczynku zatrzymał się w pewném zabudowaniu, zajętém przez starą kobietę i kilka krów. Ogrzewając się przy ogniu wznieconym z gałązek, zaczął rozmowę z wieśniaczką, która ani się domyślała jakiego to gościa miała pod swym słomiannym dachem, i zapytał jej, czy nie ma jakich wieści z Paryża. Zadziwiła się mocno podobném zapytaniem, do którego nie była przyzwyczajoną i bardzo prosto odpowiedziała, że nic nie wie.— Nie wiecie więc nic co król porabia? zapytał Napoleon.— Król! odparła stara kobieta z większém jeszcze zadziwieniem, król!..., zapewnie chcesz pan powiedzieć Cesarz.... on jest zawsze *tam* — Alpejska ta mieszkanka nic nie wiedziała, że Napoleon został złożony z tronu i zastąpiony przez Ludwika XVIII! Świadkowie tej rozmowy, prawie oniemieli z zadziwienia w obec tak wielkiej nieświadomości. Napoleon, który niemniej się zadziwił, znacząco spojrzał na Drouota i rzekł doń: Eh Drouot, czyż warto wichrzyć światem dla napełnienia go swojém imieniem?— Wyszedł głęboko zamyślony o znikomości sławy. Ruszył w dalszą drogę i przybył na noc do Seranon, małéj wioski z kilku złożonej gospodarstw. Żołnierze rozłożyli się w stodołach, a Napoleon wygodne znalazł łóżko w domu wiejskim jednego mieszkańca z Grasse. W pierwszym tym dniu przebyto piętnaście mil francuzkich, bez spotkania żadnych zapór oprócz skał i lodu. Żołnierze byli nadzwyczaj strudzeni, lecz podtrzymywał ich zapał ku rozpoczętej wyprawie, a ztąd byli gotowi do ziszczenia przepowiedni o orle *przelatującym, z dzwonnicy na dzwonnicę.*

Z noclegu bardzo rano 3 Marca udano się dalej. Spotykano jeszcze drogi prowadzące przez góry pokryte śniegiem i wieczorem, po przebyciu przestrzeni prawie równej tej, jaką przebyto dnia wczorajszego, przybyto na noc do Barrême, w samej kotlinie rzeki Durance, lecz o dziesięć mil francuzkich od jej brzegów.

Dnia 4 Marca także bardzo rano wyruszono, pomimo rosnącego utrudzenia; zatrzymano się dla zjedzenia śniadania w Digne i dotarto następnie aż do Malijay. Napoleon więc znajdował się prawie na wybrzeżu Durancy i potrzebował przebyć ją pod Sisteron i Gap, aby następnie rzucić się w ciasny wąwóz kotliny rzeki Isère. Spotkać można tu było nader niepokojącą zaporę. W Sisteron droga przechodziła z lewego na prawy brzeg Durancy, a to przez most niepodobny do przebycia, jeśliby był ostrzeliwany działami miejscowej warowni. Oficer oddany Burbonom, zamknąwszy jedynie bramy tej maleńkiej twierdzy, mógłby powstrzymać całą wyprawę. W takim razie trzebaby było przeprawić się przez rzekę powyżej Sisteron, co narażało na utratę chwil zbyt kosztownych, gdyż tym sposobem wszyscy dowódzcy okoliczni mieliby czas do zastanowienia się, a zajadła ludność marsylska do rzucenia się na ślady Napoleona. Niebezpieczeństwo więc było bardzo wielkie, lecz Napoleon wierząc zawsze w swą gwiazdę, szedł prosto bez zawahania się ku Sisteron.

Tym krokiem postąpił jak najlepiej, gdyż w miejsce zwiększania trudności przez ominięcie tego miejsca, jak to chcieli niektórzy z wyprawy, usunął je wszystkie. Wedle bowiem doniesienia oficera żandarmów, o którym mówiliśmy, prefekt departamentu Var myśląc, że Napoleon skieruje się na Tulon i Marsylję, postawił w lesie Esterel, to jest na drodze pobrzeżnej, wszystko co tylko mógł zgromadzić z wojska i gwardji narodowej, z których pomimo podejrzanego usposobienia pierwszych, druga aż grzeszyła zbytnią gorliwością. Po zarządzeniu tych środków 2 Marca, wyprawił do marszałka Massena w Marsylji sztafetę, którą tenże mógł dopiero otrzymać nazajutrz, oraz do Grenobli, dokąd przybyć miała dopiero 4 Marca. Jednocześnie uwiadomił o wszystkiem co zaszło wszystkich komendantów małych twierdz alpejskich, niedawszy im zresztą żadnej instrukcji, gdyż pomimo całej swej gorliwości był nie zdolnym do ich nakreślenia. W takim stanie rzeczy każdy komendant znienacka zaskoczony straszną wiadomością, uważał za najstosowniejsze schronić się w mury twierdzy, nie ośmielając się stawiać Napoleonowi zapory w polu. Jenerał Loverdo, w którego zarządzie znajdował się departament Niższych Alp, ściągał nieliczne swe siły ku niższej Durance i ku Aix; ze swej zaś strony komen-

danci w Embrun i Mont-Dauphin, chcąc jak najprędzej zamknąć się w twierdzach powierzonych ich honorowi, zwinęli wszystkie posterunki nad wyższą Durance, a tym sposobem położone w środku Sisteron pozostały bez obrony. Ten rodzaj przeciwnych sobie ruchów, tak zwykły u ludzi znienacka pochwyconych i przestraszonych, otworzył drogę Napoleonowi bez żadnego przyczynku zdrady. Imię jego jedynie wywołało te niedorzeczne poruszenia wojska, z których on nie omieszkał natychmiast skorzystać.

Na czele stu ludzi Cambronne wszedł do Sisteron 5 Marca, a za nim Napoleon, który tu śniadał, widząc jakby czarami upadające na swej drodze jedna za drugą przeszkody. Napotykał już tutaj ducha górali Delfinatu, a to górali walecznych, bardzo dbających o sławę wojska, nienawidzących cudzoziemców, pogardzających wszystkiém co nazywano szlachtą i duchowieństwém, przestraszonych nad miarę kazaniami księży o dobrach narodowych i dziesięcinie, a skutkiem tych wszystkich powodów zapalonych stronników Napoleona. Tłumnie oni zstępowali z swych gór krzycząc: *Niezh żyje cesarz!* dostarczali z pośpiechem żywności i to chętnie darmo, a tém chętniej rozumie się za pieniądze.

Pomimo dobrego przyjęcia, jakiego doznał w Sisteron, Napoleon nie mógł tu zabawić i poszedł na noc do Gap, aby opanować wąwozy prowadzące z kotliny Durancy do kotliny Isery. Wojsko jego upadało ze znużenia, gdyż kazał robić dziesięć do dwunastu a nawet piętnaście mil francuzkich dziennie, a ztąd wielu żołnierzy pozostało po drodze. Lecz wieśniacy ich przyjmowali i dawali podwody, na których ci dostatecznie do dalszego pochodu wypoczywali. Przybywszy do Gap 5 Marca wieczorem, zrobił około pięćdziesięciu mil francuzkich w dniach czterech i to po niegodziwych drogach przez góry.

Bardzo dobrze przyjęty w Gap otrzymał tu wiadomości, które w żadnym razie nie pozwalały mu zatrzymywać się dłużej. Wyprawił posłannika do Embrun dla zbadania ducha załogi i posłannik ten z powrotem zapewniał, że żołnierze gotowi do przypięcia za pierwszym znakiem trójkolowej korokardy, lecz zarazem, że oficerowie powodowani uczuciem obowiązku, nietylko iż byli dalecy od wydania twierdzy, ale nadto zamyslali o zajęciu wąwozu Saint-Bonnet, łączącego kotlinę Durancy z kotliną rzeki Drac, przytokiem Isery. Przejście to rozpoczynając się przy wyjściu z Gap, przecina wysoką górę wąwozem Saint-Guignes i wychodzi następnie na Saint-Bonnet. Napoleon obawiając się być uprzedzonym w tak niebezpiecznem przejściu, bardzo rano 6 Marca wyprawił swe przednie straże, oczekując sam aż do południa

na dojście do Gap ogona swego wojska. Wąwóz nie był obsadzony, a ztąd mógł na noc przybyć do miasteczka Corps, leżącego na granicy departamentu Isére. Aż dotąd wszystko mu szło po myśli i znajdował się już w Delfinacie, a ztąd mógł poznać usposobienie Grenobli, nadzwyczaj poruszonej jego zbliżaniem się. Jeżeliby więc zajął to miasto, ważne skutkiem swego położenia, fortyfikacji, arsenału, licznej załogi i wartości tak politycznej jak i moralnej mieszkańców, w takim razie stałby się prawie panem Francji, gdyż Grenobla dawała mu Lyon, a Lyon Paryż. Nie chcąc zaniedbać żadnej przezorności, kazał się tu poprzedzić doktorowi Émery, który znał dobrze Grenoblę i który mógł tu usposobić umysły na korzyść cesarza.

Wysłana sztafeta z Draguignan przez prefekta departamentu Var, przybyła do Grenobli w Sobotę, 4 Marca, wieczorem. Znakomity uczony p. Fourier był prefektem departamentu Isére. Jenerał Marchand, jeden z najszanowniejszych oficerów cesarstwa, dowodził w Grenobli 7-ą dywizją wojskową. Tak prefekt jak i jenerał bardzo nieprzyjemnego z wiadomości tej doznali wrażenia, gdyż pomimo ogromnej jej ważności dla całej Francji, osobiście na ich głowy wielką kładła odpowiedzialność. Prefekt bowiem z Var oświadczał, iż Napoleon skierował się drogą na Grasse, Digne, Gap i Grenoblę i że tę ostatnią koniecznie wsiąść zamierza. Burza więc prosto wznosiła się nad nimi. Prostą skłonnością wszystkich rządów, które o smutnych dowiadują się wypadkach, ukryli otrzymaną wiadomość, co z drugiej strony dawało im czas do zastanowienia się nad położeniem i przedsięwziąć się mającemi środkami. P. Fourier był z liczby tych uczonych, którym dokuczają wzburzenia polityczne i którzy od rządów wymagają tylko, aby im pozostawiły spokój do badań naukowych. Gorąco więc pragnął, aby Opatrzność odsunęła od niego straszną tę burzę. Przywiązany do Napoleona w spomnieniami sławy (należał do wyprawy do Egiptu), a do Burbonów szacunkiem i zamiłowaniem spoczynku, widocznie nie przekładał żadnej z tych dwóch dynastji i był usposobiony do oświadczenia się za tą, która spokojne pozwoli mu pędzić życie. Dodajmy jeszcze do tego uczciwe zamiłowanie swej powinności, a zrozumiemy, że chciał pozostać wiernym Burbonom, bez poświęcenia się przecież dla nich na męczeństwo. Co zaś do jenerała Marchand, to ten jakkolwiek współuczestnik sławy cesarstwa, był przecież surowym przestrzegaczem karności wojskowej, a niepochwalając bynajmniej postępowania emigracji, miał dosyć rozsądku do ocenienia niebezpieczeństw, na jakie powrót Napoleona może wystawić Francję. Postanowienie więc jego było daleko silniejsze aniżeli prefekta, lecz w tej godzinie mniej lub

więcej energii nie dostarczało wcale środków oporu. Wojsk niebrakowało w okolicy. Skupianie wojska ku Alpom, skutkiem nieroztropności Murata, już się rozpoczęło, a z ztąd w Franche-Comté, w Lyonais i Delfinacie więcej żołnierzy a niżeli potrzeba ich było. W obec jednak Napoleona nie liczba ale wierność wojska znaczyła. Czy więc oprą się jego imieniu, a tém bardziej widokowi? Jenerał Marchand zanadto znał usposobienie żołnierzy, aby o tém miał powątpiewać. Tajemnie zwołał naczelników oddziałów: ci oświadczyli, że jakkolwiek gotowi są do spełnienia swej powinności, bardzo mało ręczą za podwładnych sobie oficerów, a nic za żołnierzy. Podział i wybór pułków stojących w Grenobli także był źle uczyniony. Obok bowiem 5go pułku piechoty, karnego i dobrze dowodzonego, znajdował się 4ty artyleryi, w którym Napoleon rozpoczynał służbę wojskową i do którego wcielono kilka kompanii z rozwiązanej gwardyi cesarskiej. Był tu także 3ci pułk inżynieryi, niechętnie dla Burbonów usposobiony, a ztąd bardzo słusznie obawiano się wpływów tego oddziału broni uczonej na resztę znajdującego się tu wojska. Jenerał Marchand mocno się więc niepokoił i dla postanowienia czegoś oczekiwał na przybycie jenerała Mouton-Duvernet, który dowodził poddywizją w Valence. Siódma dywizja wojskowa, składająca się wówczas ze czterech departamentów, dzieliła się na dwie poddywizje, to jest Grenoble, obejmującą departamenta Jsère i Mons Blanc, oraz Valence, obejmującą departamenta Drôme i wyższych Alp. Z tego też podziału wynikało, że jenerał Mouton-Duvernet musiał koniecznie przybyć do Grenobli dla wydania rozkazów w departamencie wyższych Alp, to jest w Gap.

Jenerał ten uwiadomiony z swej strony o zaszłych wypadkach, przedsięwziął naprędce niejakie środki dla obrony mostu w Romans na rzece Isère, na przypadek gdyby Napoleon chciał się skierować nad brzegi Rodanu; następnie śpiesząc co żywo do departamentu wyższych Alp, przybył do Grenobli w Niedzielę, 5 Marca, zrana. Tutaj zebrała się rada złożona z prefekta Fourier, jenerała Marchand, jenerała Mouton-Duvernet i kilku oficerów sztabu, w celu obmyślenia środków, jakie przedsiewziąć należało Nie było jednak łatwém coś stanowczego wymyślić, a podobne położenie bardzo stawało się niepokojącem dla przewidujących umysłów.

Wysłanie wojska przeciwko Napoleonowi było ich prostém mu wydaniem, gdyż pomimo wierności dowódzców, bardzo mało podobném było do prawdy, aby żołnierze zdołali się oprzeć na widok cesarza. Ściągnąć wojska dla zrobienia próżni około niego, było prostém wydaniem mu kraju, a często najważniejszych stanowisk, jak naprzykład Sisteron. Tak więc w każdym razie narażało się na wydanie mu albo ludzi, albo

też kraju. Zajęcie jednak Grenobli przez nieprzyjaciela byłoby rzeczą nadzwyczajnej wagi i pod tym względem żadnej nie można mieć było niepewności. Ta stolica Delfinatu, pomimo swej ważności moralnej była twierdzą oddawna obronną, mieściła szkołę artylleryi, szkołę inżynieryi i ogromne zapasy, składając się z 80 tysięcy karabinów, 200 dział ze wszelkiemi potrzebami podobnego wojskowego zakładu. Nie można więc było opuszczać tak ważnego stanowiska. Postanowiono przeto, że tutaj zbiorą się wszystkie wojska rozłożone w Delfinacie i w części Sabaudyi pozostałej przy Francyi. Posłano rozkaz do Chambéry, aby nadesłano ztamtąd znajdujące się dwa pułki piechoty, to jest 7my i 11ty linjowy, a do Vienne o wysłanie 4go pułku huzarów, gdyż wielka go okazała się potrzeba, z powodu zupełnego braku jazdy. Na nieszczęście jednak 4ty pułk huzarów, jakkolwiek dowodzony przez wybornego i pełnego honoru oficera, majora Blat, tak był nieprzychylny, że podczas ostatniego przeglądu przez hrabiego d' Artois nie mógł się powstrzymać od okrzyku: *Niech żyje cesarz!* Ale konieczność zmuszała do posługiwania się tém co było pod ręką i pochlebiano sobie, że przy znacznem zgromadzeniu wojska będzie go można ożywić duchem żołnierskim, a z duchem żołnierskim uczuciem powinności tego szlachetnego rzemiosła. Po przyjęciu tych postanowień, jenerał Mouton-Duvernet wyjechał do departamentu wyższych Alp, udając się drogą przez Gap, którą właśnie postępował Napoleon. Jenerał ten miał nadzieję, że uprzedzi go w ważnym wąwozie Saint Bonnet i zgromadzi dostateczne środki dla powstrzymania jego pochodu.

Wiadomości zatrzymane początkowo w kółku głównych władz rządowych w Grenobli, rozniosły się wkrótce po mieście, a o południu w Niedzielę stały się już własnością powszechną. Prefekt i dowodzący jenerał osądzili wwówczas za konieczne ogłosić je urzędownie i skutkiem tego wydali odezwę, w któréj zachęcali wszystkich pełniących służbę publiczną do spełnienia swej powinności, przyrzekając świecić im przykładem. Grenobla wówczas była próbką stanu umysłów w całej Francyi. Widziano tu kilku starych szlachciców popisujących się nieroztropnie ze swemi nadziejami, lecz pojmujących zarazem od czasu sprawy jenerała Exelmans, od pogrzebu panny Raucourt, że należy powstrzymywać od wszelkich wybuchów, a to pod groźbą wystawienia się na nowe nieszczęścia. Widziano tu mieszczaństwo liczne, bogate, oświecone, nie przykładające ręki ani do nadużyć, ani też do obalenia zasad rewolucyi, podziwiające genjusz Napoleona, pogardzające jego błędami, boleśnie zranione postępowaniem emigracyi, lecz żywo czujące niebezpieczeństwo z przywrócenia cesarstwa w obec Europy pod bronią. Widziano

tu nakoniec lud pracowity, w dobrym bycie, waleczny, niepodzielający zupełnie zasad mieszczaństwa, zapalony do sławy wojennéj, mający w obrzydzeniu wszystko co nazywano szlachtą i duchowieństwem, podzielający jedném słowem wszystkie usposobienia wieśniaków Delfinatu, pomimo iż przy jednakich uczuciach nie miał żadnego udziału w sprawie dóbr narodowych.

Łatwo więc odgadnąć, bez potrzeby dowodzenia, wrażenie sprawione pomiędzy temi różnemi stanami wiadomością o zbliżaniu się Napoleona. Szlachta wydała okrzyk zgrozy i pobiegła do władz miejscowych, pobudzając je do spełnienia powinności i grożąc całym swym gniewem, jeśli okażą najmniejsze wahanie. Lecz pomimo tych krzyków, poruszeń i gróźb nie przedstawiła ani jednego środka oporu, gdy tymczasem mogłaby znaleść jeden, to jest wyszukanie kilku ludzi poświęconych, którzyby pierwsi dali ognia i tym sposobem wpłynęli na działanie żołnierzy. Przyrzekała ona w prawdzie dostarczyć tych kilku ludzi, lecz w przyrzeczenia jej zarówno nie uwieszono jak i ona sama o tém powątpiewała. Mieszczaństwo pokazało się niespokojne i podzielone, gdyż jeżeli potępiało kroki polityczne Burbonów, widziało zarazem jasno niebezpieczeństwo połączone z ich upadkiem. Co się zaś tyczy ludu, w szeregach którego znalazło się wielu oficerów na pół żołdzie, to trząsł się on z radości i nieukrywał wcale swych żądz i nadziei. Urzędnicy ukrywali więcej niż zawsze prawdziwy swój sposób myślenia, lecz w głębi serca życzyli powodzeń Napoleonowi, aby tym sposobem rozstać się z trudzącą obłudą względem Burbonów, która ich poniżała, bez zapewnienia utrzymania posiadanych urzędów. Podobnie usposobieni mieszkańcy nie mogli dostarczyć najmniejszych środków. Jeżeliby znajdowała się gwardja narodowa jednolita i dobrze urządzona, możnaby było przez pomieszanie jej z wojskiem utrzymać to ostanie dobrym przykładem. Lecz jak wszędzie tak i tutaj szlachta opanowała dla siebie jazdę gwardyi, pozostawiając dla mieszczaństwa tylko szeregi piechoty. To zaś po kilkakroć objawiwszy swą niechęć dla błędów rządu, zostało rozbrojone, a tak piechota gwardyi narodowéj była bez broni i organizacyi. Tak więc pod ręką znajdowało się tylko wojsko linjowe, którego wierność nadzwyczaj była zagadkową.

Cała Niedziela 5 i przedpołudnie Poniedziałku 6 Marca przeszły na żywém wzruszeniu i gwałtownem przechodzeniu od nadziei do obaw, które w każdéj chwili były przyczyną radości dla jednych, smutku dla drugich. Już to mówiono, że Napoleon ścigany, przytrzymany, rozstrzelany i rojaliści ukazawszy się na ulicach z wypogodzoném, nawet wyzywającém obliczem, wracali do domów dla przesłania tych szczęśli-

wych wieści do Lyonu i Paryża; już też dowodzono, że Napoleon, zwycięzca wszystkich stawianych mu zapór, przybył już prawie pod same bramy Grenobli i wówczas tylko sami rojaliści byli smutni i milczący, a lud ze swéj strony uniesiony zapałem przebiegał ulice przy okrzykach: *Niech żyje cesarz*! Oficerowie na pół żołdzie, których wpływ wówczas stał się nieszczęsnym, zbliżywszy się do szeregów i porozumiawszy się z niemi, znaleźli oficerów milczących i zamyślonych, a żołnierzy wylanych, radośnych, mających w swych kaskach ukryte trójkolorowe kokardy. Jenerałowie świadomi podobnego usposobienia żołnierzy starali się zapobiedz przewidywanemu nieszczęściu przez zamknięcie wojska do koszar lub wzięcia go na służbę; lecz sprowadzili tylko niezadowolenie w szeregach i niezdołali przeciąć dochodzących wiadomości, które były tylko prawdziwém i wzajemném udzielaniem się ludowych uczuć.

Około południa w Poniedziałek, 6 Marca, otrzymano wiadomości od Jenerała Mouton-Duvernet. Śpiesząc o ile tylko można drogą z Gap do Visille, jenerał ten spodkał podróżnego i kazał go przytrzymać. Był to doktor Émery, wysłany do Grenobli przez Napoleona. Jenerał badał tego podróżnego, lecz ten oświadczył że nic nie wie, że od kilku miesięcy opuścił Elbę i udaje się do Grenobli, miejsca swego urodzenia, gdzie zamierzył dokonać żywota. Złudzony tém oświadczeniem, jenerał Mouton-Duvernet uwolnił doktora Émery, a sam udał się daléj. W krótce dowiedział się, że Napoleon przenocowawszy w Gap poszedł prosto do Corps, dokąd i przybył przebywszy wąwóz Saint-Bonnet. Nie miał więc już nic tutaj do roboty jenerał Mouton-Duvernet i dla tego zwrócił się napowrót do Grenobli. W czasie tej podróży jenerał odmieniwszy zdanie co do doktora Émery, chciał go koniecznie pochwycić; lecz też i doktór nie tracił czasu, uprzedził jenerała w Grenobli, ukrył się u przyjaciół i zobowiązał ich do rozszerzania odezw Napoleona i wiadomości o jego zbliżaniu się.

Skoro tylko dowiedziano się w Grenobli, że niepodobieństwem jest uprzedzić Napoleona w wąwozach dzielących kotlinę Durancy od, kotliny Izery, że wieczorem przybędzie na noc do Corps, a być może nazajutrz do Grenobli, zdwoiło się poruszenie w mieście. Z jednej strony utrzymywano, że nic mu nie stawi oporu i że wojska wysyłane przeciw niemu posługują tylko do zwiększenia sił jego; z drugiej zaś mówiono, że wojska, dowodzone przez hrabiego d' Artois i wielu marszałków, zbierają się w Lyonie dla pochwycenia zbiega z wyspy Elby i ukarania go w sposób rozgłośny. Rojaliści, którzy rozszerzali te nowiny dla nabrania odwagi, nie nabierali przecież otuchy. Otoczyli oni miejscowe władze, fukali na nie, oskarżali je iż nic nie zrobiły, choć i sami żadnym czynem

pochwalić się nie mogli, i gorzko im wyrzucali, że tak spokojnie zamykają się w Grenobli. Według ich zdania trzebaby było chyba otworzyć wszystkie drogi Napoleonowi wydać mu niemal Francję. Wymieniali oni nową jakąś miejscowość, gdzieby go można powstrzymać przez wysadzenie mostu. Most ten był w Ponthaut, na małéj rzeczce Bonne, wpadającej do Drac, przytoku Isery, a przechodzącej przez drogę prowadzącą z Gap. Utrzymywali oni, że wysadzeniem tego mostu zmusiłoby się Napoleona do ucieczki w góry, albo też do zejścia na równiny, to jest nad brzegi Rodanu, gdzie ściągnięte siły z Lyonu zgnieśćby go nie zaniedbały. Do tego stopnia nacierano na władze cywilne i wojskowe, że prefekt i jenerał postanowili wysłać tam jedną kompanję inżynieryi, jedną artylleryi i jeden batalion 5go linjowego pułku, w którym pokładano nadzieję z powodu wybornej panującej karności. Bataljon ten dowodzony był przez znakomitego oficera Lessard, służącego niegdyś w gwardyi cesarskiej lecz ścisłego przestrzegacza powinności żołnierskiej z postanowieniem niezłamania przysięgi. Ludność odprowadziła te wojska aż za bramę miasta prowadzącą do Bonne a rojaliści liczyli na wierność tych żołnierzy, z powodu wybornej żołnierskiéj ich postawy, gdy tym czasem Bonapartyści, przeciwnie, z oczówi poruszeń ich wyczytywali, iż nie ma żadnej wątpliwości pod względem postąpienia żołnierzy, gdy znajdą się w obec Napoleona.

Kolumna ta wyszła wieczorem, więc wiadomości o jej powodzeniu mogły dopiero nadejść nazajutrz, a oczekiwano na nie z niecierpliwością. Nazajutrz, we Wtorek 7go Marca, przybyły do Grenobli: 7my i 11ty pułk z Chambéry i 4ty huzarów, z Vienne. W tymże czasie wzięto się do wzmocnienia szańców i czynnie pracowano nad uzbrojeniem twierdzy, wyprowadzając działa z arsenału i ustawiając je na wałach. Rojaliści wielkie nadzieje pokładali w jednym z pułków przybyłych z Chambéry, w 7ym linjowym, dowodzonym przez pułkownika de La Bédoyère, młodego, świetnego oficera, który odbył najtwardsze kampanje cesarstwa, starej daty szlachcica, spowinowaconego przez żonę z rodziną Damas, popieranego przez dwór i zdającego się zupełnie być mu poświęconym. Opowiadali o nim, że przy wejściu do Grenobli rozdzielił między żołnierzy znaczną summę z własnej swéj szkatuły i niepowątpiewano, że uczynił to w celu przywiązania do siebie pułku i utrzymania go na drodze powinności.

Młody ten pułkownik obiadował w tej chwili, razem z innymi oficerami załogi, u jenerała Marchand, który zgromadził ich przy swym stole, dla lepszego zapewnienia się o usposobieniu. Po większej części świadczyli oni o swéj gorliwości w obec władzy wyższej, lecz niektórzy

więcej szczersi, stanowczo zapewniając że spełnią swoją powinność nie ukrywali wcale, iż wiele ich kosztuje wystąpienie przeciw Napoleonowi. W pośród tych różnorodnych objawów pułkownik de la Bédoyère milczał, a milczenie to ze strony oficera uchodzącego za rojalistę, wydawało się dziwném, choć nigdy niepokojącém, gdyż ani powątpiewano o jego sposobie myślenia. Około 2ej godziny wstano od stołu, a gdy w tej godzinie wojska wysłane na most pod Ponthaut powinny były się znajdować w obec Napoleona, i gdy zbliżało się już przesilenie, przeto każdy z oficerów udał się do pełnienia swej służby.

Z wysłanego w dniu wczorajszym wieczorem oddziału wojska na Visille, La Frey, La Maure do mostu Ponthaut, kompanja artylleryi i inżynierji zasiewała drogę kokardami białemi i dała wolne wodze językowi, gdy tymczasem bataljon 5go pułku piechoty nie objawiał swych uczuć. Dwie te kompanje artylleryi i inżynierji zatrzymały się we wsi Muresw niewielkiéj odległości od mostu Ponthaut położonej. Mer i mieszkańcy dowiedziawszy się o celu ich przybycia, obruszyli się i zabronili niszczyć mostu, który za jedyną służył im kommunikację z Prowancją. Przytoczyli oni nawet, że w niewielkiéj od mostu odległości znajduje się bród na rzecze Bonne, a ztąd wojsku cesarskiemu tylko tę przykrość sprawią, że zmuszony zostanie do przejścia przez wodę w porze dość zimnej. Żołnierze inżynierji udali, że dowodzenie mieszkańców jest dla nich wystarczającém i nie upierając się więcej zażądali kwater, których im dostarczono w oczekiwaniu na 5ty pułk piechoty.

Napoleon, jak tośmy mówili, przybywszy na noc do miasteczka Corps, pośpieszał o ile mógł z zajęciem wąwozów, znajdujących się pomiędzy Gap a Grenoblą. Przebył też je szczęśliwie i z zaufaniem potępował naprzód, w pośród biegnącej na jego spotkanie ludności przy radośnych okrzykach: *Niech żyje cesarz!* Wiedział on przecież, że jutro będzie stanowczém, gdyż gromadziły się już wojska przeciw niemu: od zachowania się żołnierzy przy pierwszém spotkaniu zależał los całej tej śmiałej wyprawy. Udając się na kilkogodzinny spoczynek w Corps, wyprawił w przedniej straży Cambronna na czele 200 ludzi, z poleceniem zajęcia mostu na rzece Bonne, aby nie został zniszczony. Ułani polscy, pozbawieni koni aż do czasu wkroczenia wewnątrz kraju, poprzedzali Cambronna i przeszedłszy rzekę Bonne udali się do La Mure, żądając kwater od mera. Jednocześnie z nimi, to jest o północy, przybył tu batalion 5go pułku. W krótce żołnierze zmięszali się z sobą, a ułani bratając się z piątakami, znaleźli ich dobrze usposobionych lecz zakłopotanych obecnością oficerów. Zawiązały się już liczne pogadanki żołnierze 5go pułku piechoty widocznie przechylali się na stronę

ułanów polskich, gdy w tem nadbiegł dowódzca bataljonu Lessard i przerażony tą zażyłością swej komendy z żołnierzami z Elby, postanowił natychmiast cofnąć się aż do wsi La Frey. Ze swej strony Cambronne, który przybył także do La Mure, obawiając się, aby przy tych pogadankach jaki pijany żołnierz nie wywołał zajścia, czego Napoleon starannie mu kazał unikać, po jednemu prawie wyszukiwał swych ludzi, aby ich przeprowadzić po za Ponthaut. Obiedwie więc strony opuściły jednocześnie La Mure, a most Ponthaut pozostał w rękach Cambronna.

Tak ci, którzy mieli za zadanie powstrzymać Napoleona, jak i ci, którzy mu towarzyszyli, w wielkim niepokoju noc tę przebywali. Dowódzca zaś bataljonu 5go pułku użył godzin kilku na ruch wsteczny, chcąc przeciąć wszelkie stosunki swych żołnierzy z Napoleonistami, i zatrzymał się na bardzo dobrém stanowisku, oparłszy prawe swe skrzydło o góry a lewe o stawy. Na stanowisku tém będąc w możności obronnie się utrzymać, pozwolił żołnierzom wypocząć. Oczekiwał tak aż do południa, a niewidząc nikogo nadchodzącego pochlebiał sobie, że Napoleon zmienił drogę, coby go wyzwoliło od ogromnej odpowiedzialności. Około pierwszej z południa pokazało się kilku ułanów, a niektórzy zbliżywszy się na odległość, z której mogli być słyszani od żołnierzy 5 pułku, oznajmili im, że cesarz w krótce się ukaże, nastając zarazem, aby nie strzelali lecz poddali się jemu. Waleczny dowódzca bataljonu, wierny swej powinności, wezwał ich do oddalenia się, grożąc zarazem, że każe dać ognia, jeżeli nie przestaną udzielać rad podobnych jego żołnierzom.

Jeźdzcy ci cofnęli się ku nadchodzącej kolumnie, która zdawała się być z kilkuset ludzi złożoną: była to kolumna z wyspy Elby, prowadzona przez samego Napoleona. Po noclegu w Corps przybywszy do La Mure, zostawił swej wiarze czas do posilenia się, a następnie skierował się ku stanowisku, na którem, jak mu doniesiono, znajdował się bataljon 5go linjowego pułku, z oddziałem artyllerji i inżynierji i w postawie obronnej. Przemawiający do tego bataljonu ułani przynieśli z sobą spostrzeżenia, że oficerowie zdaje się usposobieni są do oporu, lecz że prawdopodobnie strzelać nie będą. Napoleon czas jakiś przyglądał się przez lunetę stojącemu przeciw niemu wojsku, chcąc dokładnie zbadać jego postawę i stanowisko. W tej chwili przybyli oficerowie pół żołdowi przebrani za mieszczuchów i udzielili mu szczegółów o uczuciach wojska przeznaczonego do zamknięcia mu drogi.—Artyllerja i inżynierja strzelać nie będzie, zapewniali oni. Co zaś do piechoty, to oficerowie dowodzący z pewnością zakomenderuje ognia, lecz wątpliwą jest rzeczą czy go usłuchają.—Po wysłuchaniu tego sprawozdania, Napoleon

postanowił iść naprzód i rozstrzygnąć rzecz całą aktem śmiałości, gdyż inaczej ona rozstrzygniętą być nie mogła. Uszykował na lewo drogi przednią straż Cambronna, a na prawo główne swe siły, wysunąwszy naprzód pięćdziesięciu jeźdców, dla których zdołał już nabyć konie. Potém głosem donośnym zakomenderował, pod lewe ramię broń i rozkazał jednemu ze swych adjutantów, aby wyjechał przed front bataljonu 5go pułku i oznajmił mu, że cesarz się zbliża i że ci, którzy ośmielą się wystrzelić odpowiedzą przed Francją i potomnością za wypadki, jakie mogą sprowadzić. Miał słuszność, niestety! a od zawezwanych w ten sposób jedynie zależało, czy Waterloo będzie lub nie zapisaném na krwawych kartach dziejów francuzkich.

Po wydaniu tych rozkazów poruszył swą kolumnę i stanął na jej czele w towarzystwie Cambronna, Drouota i Bertranda. Adjutant wysłany naprzód dotarł do bataljonu, powtórzył mu słowa cesarza i pokazał go ręką zbliżającego się. Na widok ten żołnierze 5go pułku nadzwyczaj się zaniepokoili i już to patrząc na Napoleona, już na swego dowódzcę, zdawali się błagać tego ostatniego, aby nie wydawał im rozkazów niepodobnych do spełnienia. Dowódzca bataljonu widząc ich pomięszanych, osłupiałych, odgadł od razu, że nie są zdolni do wystąpienia przeciw swemu dawnemu wodzowi i dla tego głosem stałym nakazał odwrót.

Cóż chcesz abym zrobił, rzekł do adjutanta jenerała Marchand, który w tej chwili tu się znajdował, są bladzi jak śmierć i trzęsą się na samą myśl strzelania do tego człowieka.—W czasie tego odwrotu pięćdziesięciu polskich ułanów galopem pędzili do piątaków, w zamiane przemówienia do nich. Waleczny Lessard myśląc że jest ścigany, rozkazał natychmiast bataljonowi stanąć i wziąść do ataku broń. Ułani z pałaszami w pochwach zbliżyli się do bagnetów i zawołali: Przyjaciele! nie strzelajcie, oto cesarz się zbliża!— Rzeczywiście Napoleon natychmiast ukazał się przed bataljonem na doniosłość głosu i zatrzymawszy się zawołał: Żołnierze 5go pułku! czy poznajecie mnie?—Tak, tak, odpowiedziało kilka set głosów.—Wówczas odpiąwszy surdut i odsłoniwszy piersi dodał: Kto jest pomiędzy wami, któryby chciał strzelić do swego cesarza?— Zachwyceni temi ostatniemi słowami, artyllerzyści i piechu y podnieśli w górę swe kaski na pałaszach i bagnetach, krzycąc: *Niech żyje cesarz*! Następnie złamali szeregi, otoczyli Napoleona i całując w ręce nazywali go swym cesarzem, swym ojcem! Dowódzca bataljonu opuszczony przez żołnierzy nie wiedział co począć, gdy w tém Napoleon, oswobodziwszy się z rąk żołnierzy, pobiegł ku niemu, zapytał go o nazwisko, stopień, stan służby, a następnie dodał: Mój przyjacielu kto cię mianował dowódzcą bataljonu? Wasza cesarska mość.—Kto cię mianował

kapitanem?—Wasza cesarska Mość.— I pan chciałeś kazać strzelać do mnie!— Tak, odpowiedział dzielny ten człowiek, dla spełnienia mej powinności.— Następnie oddał swą szpadę Napoleonowi, który ją wziął, ścisnął go za rękę i bez najmniejszej urazy wyrzekł: Przyjdź do mnie w Grenoble.—Wymawiając te słowa Napoleon i głosem i ruchem wyraźnie dał poznać, że tylko dla tego wziął szpadę od tego godnego oficera, aby mu ją zwrócić. Następnie obracając się do Drouota i Bertranda powiedział: Wszystko skończone, za dni dziesięć będziemy w Tuileries. Po tém bowiem ważném zdarzeniu, sprawa zdawała się już być rozwiązaną i nie ulegało wątpliwości, że będzie jeszcze panował, lecz jaki czas, tego nikt nie wiedział.

Po niejakim czasie radości, świeżo zdobyte wojsko maszerowało pomięszane z żołnierzami Elby ku Frey i Vizille. Po drodze spotykano zapalonych stronników cesarstwa, którzy śpiesząc przeciw Napoleonowi, oznajmili zarazem, że cały pułk ze swym pułkownikiem na czele idzie z Grenobli ku la Mure. Z objawów uczuć żołnierskich można było sądzić, iż nie było żadnej obawy. W krótce dostrzeżono ten pułk zbliżający się kolumną, a nowo przybywaiący bliższe o nim przynosili szczegóły. Był to 7my pułk linjowy, dowodzony przez pułkownika de La Bédoyère którego milczenie przy stole jenerała Marchand zdawało się dość dziwném, gdyż sprzeczném z uczuciami, o jakie go podejrzewano. Młody de La Bédoyère, jak tośmy mówili, przez żonę i rodzinę ściśle był połączony z domem Burbonów i można było sądzić, iż zupełnie był im oddany. Lecz w głębi serca żywił on uczucia przeciwne swemu pochodzeniu i swym stosunkom rodzinnym. Miał on do Napoleona, do sławy oręża francuzkiego najżywsze przywiązanie. Podzielając przesądy większej części swych towarzyszy, w Burbonach widział tylko narzędzia cudzoziemców i nie chciał im służyć. Na prośby tylko rodziny zgodził się na pozostanie w szeregach i przyjął dowództwo 7go pułku, pochlebiając sobie, wedle krążących wieści o wojnie w czasie kongresu wiedeńskiego, że będzie się mógł zemścić na Austrjakach, jako sprawcach ostatniej klęski Francyi. Wysłany do Delfinatu skutkiem opłakanej fatalności i znalazłszy się na drodze Napoleona, nie zdołał oprzeć się nadzwyczajnemu ku niemu pociągowi. Nie zdolny do oczekiwania za nim los przechyli się ku Napoleonowi, postanowił sam stanowczo wystąpić i wyszedłszy z obiadu od jenerała Marchand, zebrał swój pułk na jednym z placów Grenobli, wydobył ze szkatułki orła 7go pułku, krzyknął: *Niech żyje cesarz!* i wstrząsając szpadą zawołał do żołnierzy: Kto mię kocha ten pójdzie ze mną!— Cały prawie pułk

usłuchał tego głosu i skierował się na drogę ku La Mure, w pośród nieustannych oklasków mieszkańców Grenobli.

Takie to szczegóły przyniesiono Napoleonowi, a szczegóły te wystarczały do rozproszenia wszelkich niepokojów, jeżeliby mogły jeszcze znaleść się jakie po niedawném zdarzeniu w La Mure.

Wkrótce zbliżył się pułk 7: de La Bédoyère zeskoczył z konia i pobiegł ku Napoleonowi, który z swej strony zsiadł także, wziął we swe objęcia pułkownika i dziękował mu za ten dobrowolny wylew uczuć, który przyprowadził go do niego wówczas, gdy wszystko było jeszcze niepewném. La Bédoyère odpowiedział, iż działaniem jego kierowała chęć podniesienia poniżonej Francyi, a następnie z największą serdecznością zapewniał Napoleona, że znajduje naród zupełnie zmieniony, że winien odstąpić od swego dawnego sposobu rządzenia i że może tylko panować pod warunkiem rozpoczęcia nowych rządów.— (*)

Wiem o tém, odpowiedział Napoleon, powracam dla podniesienia waszej sławy, dla ocalenia zasad rewolucji, dla zapewnienia wam wolności, która trudną będąc przy rozpoczęciu moich rządów, stała się dziś nietylko możebną, ale konieczną.

Napoleon przeszedł następnie przez Vizille i po doznaniu tutaj jak można najgłośniejszego przyjęcia, udał się dalej drogą ku Grenobli, gdzie w tymże dniu, to jest 7 Marca przybył około 9 wieczorem. W sześciu dniach przebiegł on ośmdziesiąt mil francuzkich na czele wojska, a podobny pochód, jak sam mówił, nie miał przykładu w historji. Gorliwość mieszkańców dostarczała konie i wozy dla żołnierzy, co mu nadzwyczaj ułatwiało tę niezrównaną szybkość.

W tej chwili zamięszanie panowało w Grenobli. Jenerał, dowiedziawszy się o wyjściu pułku, rozkazał zamknąć bramy miasta i przynieść klucze do siebie, co bynajmniej nie przeszkodziło kilku pozostałym żołnierzom z tego pułku wynieść się z twierdzy przez okopy i pośpieszyć za towarzyszami. Przerażona szlachta zamknęła się w domach. Mieszczaństwo chwiejąc się pomiędzy radością, że będzie pomszczone za obrazy doznawane od szlachty, a obawą nieszczęść, które zagrażały

(*) Napoleon zaprzeczył na Świętej Helenie, aby La Bédoyère w podobny doń przemówił sposób. Bez wątpienia Napoleon mógł zaprzeczyć ostrości wyrażeń La Bédoyère, lecz nie może zaprzeczać samej treści powtórzonej tu rozmowy. Zresztą mogę ręczyć za wszelkie szczegóły niniejszego opowiadania. Miałem bowiem w ręku wielką liczbę rękopisów z wyspy Elby, z Cannes, Grasse, Gap, La Mure, Grenobli, Lyonu, skreślonych i przez wojskowych i przez urzędników, wszystkich naocznych świadków i godnych zupełnej wiary, tak z uwagi na ich charakter jak i stanowisko. Co zaś do pobytu na wyspie Elbie, to najciekawszemi i najzupełniejszemi dowodami są rozkazy i korrespondencje Napoleona, które miałem przed oczami przy kreśleniu niniejszego opowiadania.

Francji, zaledwie się ukazywało. Lud zaś oddany sam sobie, zmięszany z oficerami na pół żołdzie, przebiegał ulice, krzycząc *Niech żyje cesarz!* A doszedłszy do ostatniego stopnia zapału, skutkiem nadeszłej wiadomości o zdarzeniu w La Mure, pobiegł ku bramom miasta, znalazłszy zaś je zamknięte, skupił się na wałach, oczekując czy kolumna z wyspy Elby nie ukaże się jego niecierpliwym oczom.

Skoro tylko Napoleon ukazał się przed Grenoblą, wybuchnęły uniesienia radości. Lud znajdujący się na wałach rzucił się ku bramie, aby ją otworzyć, gdy jednocześnie z drugiej strony tłumy wieśniaków pracowały nad jej wywaleniem. Pod temi z dwóch stron działaniami, wywaliła się brama w tej właśnie chwili, w której Napoleon przybył przed nią na czele swoich żołnierzy. Z wielką trudnością, zaledwie mógł postępować pośród ściśniętych tłumów i zajechał do hotelu pod Trzema Delfinami.

Za nadejściem wiadomości o jego zbliżaniu się, naczelne władze pierzchnęły. Jenerał wyjechał do departamentu Mont Blanc, celem zgromadzenia resztek sił swoich i usiłowania aż do ostatniej chwili, aby wywiązać się z swej powinności żołnierskiej. Prefekt, zakłopotany dawnemi swemi z Napoleonem stosunkami, uciekł ze strachu, aby nie został pociągnięty po za linję nakreśloną mu przez jego obowiązki. Skierował się ku Lyonowi, poleciwszy usprawiedliwić ten nagły wyjazd przed dawnym swym władzcą. Napoleon nie chcąc stanąć ani w prefekturze, ani też w pałacu dywizyi wojskowej, pozostał w gospodzie pod Trzema Delfinami, gdzie najprzód był zajechał, a to skutkiem powziętego zamiaru, aby w tej pierwszej wyprawie opłacał wszędzie swe potrzeby, na przekór książętom z domu Burbonów, których podróże były bardzo uciążliwe dla zwiedzanych prowincji.

Zaledwie rozgościł się w skromnych pokojach hotelu pod Trzema Delfinami, zajął się przyjmowaniem tych, którzy przyszli się przedstawiać i przepędził wieczór na daniu posłuchania merowi, władzom miejskim, naczelnikowi siły zbrojnej, pokazując się od czasu do czasu w oknie dla zadowolenia niecierpliwości ludu. Odłożył na jutro przedstawienie się władz departamentu i przegląd wojska.

Nazajutrz, 8 Marca, poświęcił pierwszą część poranku na wydanie rozkazów, co do ustanowienia swego rządu w okolicach już zajętych, następnie przyjmował władze cywilne, sądowe i wojskowe. Wszyscy, pozdrawiając go odniesionemi trjumfami i wróżąc większe jeszcze w pochodzie ku Paryżowi, przyklaskiwali, że widzą go powracającego dla zapewnienia zagrożonych zasad rewolucji francuzkiej; jednak, w pośród tych licznych zapewnień poświęcenia się, śmiało mu wypowiadali

że winien rozpocząć nowe panowanie, zupełnie różne od poprzedniego, to jest panowanie pokojowe i liberalne. A chociaż poszanowanie dla zaledwie co przywróconej władzy Napoleona było wielkie, to przecież przemawiano do niego językiem, którym się mówi do naczelnika wolnego państwa a nie do monarchy. Oblicza, wyrażające w obec niego ciekawość i podziwienie, nie okazywały już tego najniższego poddaństwa jak niegdyś, gdy się tylko pokazał.

Napoleon nie okazywał ani zakłopotania ani też niezadowolenia. Spokojny, pogodny i jakby wyuczony swej nowej roli, powiedział tym wszystkim, którzy rozmawiali z nim bądź prywatnie bądź urzędownie, już to językiem poufnej rozmowy, już też używanym na poważnych posłuchaniach, że dziesięć miesięcy użył na zastanowienie się nad przeszłością i na wyciągnięcie z niej pożytecznej nauki; że potwarze jakiemi go zasypywano, bynajmniej go nie gniewały, lecz wiele uczyły; że wie czego potrzeba dla Francji i będzie się starał to jej zapewnić; że wie, iż pokój i wolność są konieczną potrzebą czasu i że zrobi je odtąd prawidłem swego postępowania; że bez wątpienia zbyt umiłował wielkość i za nadto dał się uwieść pociągowi podbojów, lecz że w tym razie nie on jeden zawinił; że mocarstwa europejskie swą uległością, władze konstytucyjne swą skwapliwością w ofiarowaniu mu skarbów i krwi Francji, sama Francja nawet swoim przyklaskiwaniem, wywarły wpływ na ten ogólny pociąg, który stał się powszechnym; że zresztą usiłowanie zrobienia Francji panią narodów da się wytłumaczyć; że to trzeba sobie wybaczyć i więcej do tego nie wracać; że nigdy nie podpisałby był traktatu paryzkiego, gdyż nie zawahał się z ustąpieniem z tronu, byle tylko nie pozbawić Francyi tego, czego jej nie dał, lecz że gdy uszanowanie dla traktatów jest prawem obowiązującém wszystkie rządy regularne, przeto przyjmuje podpisany już traktat paryzki i przyjmie go za podstawę swej polityki; że, oceniając to zobowiązanie się, nie wątpi iż utrzyma pokój; że wyrażenie tych uczuć przesłał już swemu teściowi i ma nadzieję, iż podobny krok zapewni zgodę z Austrją, że napisze raz jeszcze do Wiednia na Turyn i że liczy na bliskie przybycie do Paryża swej żony i syna.

Co zaś do rządu wewnętrznego Francji, Napoleon pożyczając języka namiętności czasu, oświadczył, że przybył dla ocalenia wieśniaków od dziesięciny, nabywców dóbr narodowych od bliskiej łupieży, wojska od nieznośnego poniżenia; że zapewni zwycięztwo zasad 1789 roku, zagrożonych działaniami emigracji; że Burboni, choćby mieli nawet światło i siłę, na czém im zbywało, to nigdy inaczejby nie postępowali; że wyobraziciele monarchji feodalnej muszą się wspierać na szlachcie

i duchowieństwie, wygnanych razem z nimi i nie mogących wrócić bez nich; że nawet przy wystrzeganiu się niesprawiedliwości albo zniewagi względem Burbonów, wyciąga się z ich błędów jedyny wniosek, iż są w niezgodzie z Francją i że dla zapewnienia porządku nowego potrzeba nowego rządu, zrodzonego w tym porządku i urobionego przez niego i dla niego; że jego syn, dla którego pracuje, będzie prawdziwym wyobrazicielem tego rządu: że przygotuje dla niego panowanie i zachowa mu je godnie i spokojnie; że gdyby nawet nie przybył, to Burboni zawsze upaśćby musieli pod ciosami wywołanych przez siebie wstrząśnień; że on, przeciwnie, dając zapewnienie nowemu porządkowi rzeczy, zadośćuczynienie duchowi wolności, uprzedzi przyszłe wstrząśnienia przez zniszczenie ich przyczyny; że sam wnosi przejrzenie ustawy cesarstwa, aby z niej wyszła prawdziwa reprezentacyjna monarchja, jedyna forma rządu, która przystoi narodowi tak oświeconemu, jakim jest francuzki; że ktokolwiek zechce go wspierać w tém dziele patrjotyczném, będzie mu pożądanym, gdyż z ostatnich wypadków wyciąga tylko naukę, nie zaś przedmiot do urazy; że będzie miał otwarte ramiona dla tych wszystkich, którzy poślubią sprawę narodową; że przyjęcie Burbonów i zezwolenie raz jeszcze na próbkę ich rządów było rzeczą słuszną, a ztąd kroku tego nikomu za złe mieć nie może, zwłaszcza gdy przy opuszczaniu Fontainebleau postępowanie podobne doradzał najwierniejszym swym stronnikom; lecz że po zrobionej próbie dowodnie okazało się, iż rządy Burbonów są nie możebne; że oczekiwać więc będzie z zaufaniem i serdecznie powita powrót wszystkich dobrych Francuzów do sprawy rewolucji, wolności, Francyi, której on i jego syn są prawdziwymi i jedynymi wyobrazicielami.

We wszystkiém co tylko mówił, Napoleon szczery, otwarty, zręczny, przyznawał wszystkie jakie mu można było zrobić zarzuty, a uprzedzając o nich rozmowę, nie dopuszczał aby mu były robione. Wyrażał się zresztą z dostateczną godnością, zwalając winy tak innych jak i swoje na rachunek okoliczności, silniejszych, jak mówił, od ludzi. Tłumaczył nawet Burbonów, usiłując pokazać ich bardziej niepoprawnych aniżeli winnych, i o prawach swej dynastji wspominał zawsze tylko wówczas, gdy mówił o prawach narodu; o synu mówił częściej aniżeli o sobie, aby dać do zrozumienia, że występuje na scenę jedynie w celu przygotowania dla dziecięcia Francyi rządów spokojnych, liberalnych i pomyślnych. Objaśnienia te zyskały powodzenie powszechne, a nawet u tych, którzy przerażali się wznowieniem cesarstwa w obec uzbrojonej Europy i którzy bali się zarówno przywyknień Napoleona do samowładnej i samowolnej władzy. Pochlebiano sobie, albo raczej, po tym

wyrzuconym już losie, starano się przyjść do przekonania, że z jego usposobieniem, z jego jenjuszem odmłodzonym przez spoczynek, zastanowienie się, nieszczęście, zdoła pokonać wszelkie trudności nowych swych rządów i zapewni Francji wszystko to, co tylko z dobrej swej woli przyrzekał.

Zawsze będąc panem swego umysłu wpośród tak wzburzonego położenia, rozmawiał z p. Berryat-Saint-Prix o kilku szczegółach kodeksu, na które nie zgadzali się prawoznawcy i przyrzekł mu, że wcźmie te rzeczy pod zbadanie i w razie potrzeby zmiany, przeprowadzi ją łącznie z innemi reformami prawodawczemi, któremi zająć się zamierza wśród głębokiego pokoju, gdyż nie mniemał aby ten mógł być zakłóconym.

Po daniu posłuchania rozmaitym władzom udał się na przegląd wojska i rozumie się samo przez się, iż przyjęty był z uniesieniem. Pułk 5 linjowy stojący załogą w Grenobli, 7 i 11 przybyłe z Chambéry, 4 huzarów sprowadzony z Vienne, 3 inżynierji, 4 artyllerji wydały tak gorące okrzyki, że przeszły prawie w szaleństwo. Dwóch lub trzech dowodzców opuścili szeregi przez zbytnią drażliwość sumienia żołnierskiego, lecz zresztą prawie wszyscy oficerowie pozostali, uważając się za rozwiązanych z przysięgi skutkiem zaszłej rewolucji. Zachowane na dnie żołnierskich tornistrów kokardy trojkolorowe, z czarodziejską szybkością ukazały się na kaskach; orły nawet, niewiadomo gdzie dotąd ukryte, powróciły na szczyt drzewców trójkolorowych chorągwi i z widoku tego nie można było przypuszczać, że rządy cesarkie przez rok były zawieszone. Napoleon mówił wiele do żołnierzy o ich sławie zaćmionej przez emigrację, następnie powtórzył im, że pragnie pokoju, że liczył nań, gdyż postanowił nie mięszać się do spraw obcych, lecz że zarazem nie ścierpi, aby ktokolwiek bądź chciał się wmięszać w sprawy francuzkie, a jeżeliby przez nieszczęście kto się wtrącił, to nie wątpi, że znajdzie swe szeregi równie waleczne i równie szczęśliwe jak niegdyś. Dodał, że odprowadzony do Grenobli przez swych towarzyszów wygnania z wyspy Elby, pójdzie dalej wpośród tych dzielnych, którzy przystąpili do jego sprawy, a przez zajęcie Lyonu i Paryża ukończy owładnięcie Francją, co dokona w sposób podobny do zawojowania Prowancji i Delfinatu, to jest nie bronią, lecz niepowstrzymanym zapałem wojska i ludu. Ponieważ zaś nie można zostawiać Burbonom czasu do przywołania na pomoc cudzoziemców, więc nie można tracić ani godziny, lecz natychmiast dalej wyruszać. To też po rozdaniu wojsku przygotowanej żywności wyprawił je około godziny 4 po południu ku Lyonowi przez Bourgoin.

Żegnając swe szeregi Napoleon przyrzekł że je wkrótce dogoni i że najpóźniej jutro stanie na ich czele i pójdzie otworzyć bramy Lyonu,

tak jak otworzył Grenoblii, to jest widokiem trójkolorowych chorągwi. Pułki 5, 7 i 11 linjowe, 3 inżynierji 4 artyllerji zaopatrzony w 30 dział, poprzedzane przez 4 pułk huzarów, wyszły do Lyonu przy okrzykach: *Niech żyje cesarz!* Był to siedmiotysięczny korpus doskonałej postawy, zdolny do zwyciężenia wiernych Burbonom żołnierzy, jeżeliby ich spotkano, lecz zdolniejszy do pociągnięcia ku sobie temi samemi uczuciami, któremi i sam był pociągniony, wszystkich wojsk jakieby tylko przeciw niemu wystawiono.

Napoleon powracając do dawnych zwyczajów pracowania wówczas gdy wojska znajdowały się w pochodzie, powrócił do zajazdu pod Trzema Delfinami dla wydania koniecznych rozkazów, zamierzając wyjechać nazajutrz pod konwojem żołnierzy, z Elby, którzy, dzięki wydanym rozporządzeniom, całodziennego używali wypoczynku. Powinien był przybyć pojutrze, 10 Marca, do bram Lyonu, na czele daleko liczniejszych zastępów aniżeli te, któreby przeciw niemu można wystawić.

Niezadowolony był z prefekta Fourier, że, nie oczekiwał, lecz uciekł po prostu z Grenobli, aby się nie znaleść w obec niego.— Był w Egipcie z nami, powtarzał, miał udział w rewolucji, podpisał nawet jeden z adresów przesłanych konwencji przeciw nieszczęśliwemu Ludwikowi XVI (Napoleon się mylił w tym względzie), cóż więc on ma wspólnego z Burbonami? W pierwszym wybuchu gniewu Napolen zamierzał wydać postanowienie przeciw p. Fourier, gdy w tém przedstawiono mu tłumaczenie, jakie ten prefekt przy opuszczaniu Grenobli przesłał drogą pośrednią. Uspokoił się i wysłał doń rozkaz, aby się stawił w Lyonie. Takiż sam wysłał rozkaz do jenerała Marchand, następnie napisał do Marji Ludwiki, uwiadamiając ją o swém wejściu do Grenobli i o pewności wejścia do Paryża. Naglił ją do powrotu, do przywiezienia syna i do ponowienia cesarzowi Franciszkowi zapewnień pokojowych zamiarów. Przesłał ten list do jenerała Bubna, dowódzcy wojsk austrjackich w Turynie, tego samego, z którym tak przyjacielsko postępował w Dreznie 1813 roku, prosząc o przesłanie go Marji Ludwice. Dla rozpowszechnienia zaś wieści, iż zawiązuje stosunki z dworem Austrjackim, wyprawił gońca z tym listem publicznie drogą przez górę Cenis. We Czwartek, 9 Marca, po wydaniu wszystkich rozkazów opuścił Grenoblę o południu i skierował się ku Lyonowi, błogosławiony życzeniami mieszkańców Delfinatu.

Gdy tak Napoleon postępował w głąb Francyi, zabierając z kolei wysłane na powstrzymanie go wojska, wieść o jego ukazaniu się sprawiła wszędzie głębokie wrażenie. Wiadomość wyszła z zatoki Juan 1 Marca po południu, rozeszła się tak szybko, jak na to pozwalały środki kom-

munikacyjne owego czasu. Przybyła od Marsylji 3 Marca i zagorzałą ludność tego miasta wprawiła w stan nadzwyczajnego wzburzenia. Przybyła do Lyonu 5go zrana, gdzie znalazła mieszkańców rozbratanych i zawziętych jednych przeciw drugim; nakoniec podana telegrafem do Paryża, przybyła tu w południe tegoż samego dnia, to jest 5 Marca.

Wręczona natychmiast przez p. de Vitrolles Ludwikowi XVIII, nadzwyczaj go zadziwiła, który przyjmując w ogóle wszystko z krwią zimną, zdawał się być w pierwszej chwili więcéj zadziwiony aniżeli przestraszony i chciał niemal wyczytać z oczów otaczających go osób, co myślą o tém zdarzeniu. Wkrótce z nierozsądnej radości jednych, którzy myśleli, że niepozostało nic do czynienia nad schwytanie i rozstrzelanie zbiega z Elby, z przestrachu drugich, którzy widzieli już w nim władzcę wszystkich sił wysłanych przeciw niemu, zrozumiał, że wypadek ten był nadzwyczaj wielkiej wagi i usiłował ze sprzecznych zdań swych zwykłych doradców wyciągnąć pewnik, co czynić należało. Kaleka od młodości, bardzo mało czynny na wygnaniu, żartując nawet dość często z bezprzestannej działalności swego brata, stał się bezwładnym zarówno z przywyknień jak i skutkiem kalectwa, wzdrygał się na postanowienia nagłe i stanowcze, i w trudnych okolicznościach był powolny zarówno ciałem jak i umysłem.

Za przykładem swych prefektów chciał o ile być może najdłużej utrzymywać tajemnicę. O strasznym tym dla Burbonów wypadku wiedzieli dopiero książęta, minister wojny, jako osoba konieczna w podobnych okolicznościach, p. de Blacas, który zawsze o wszystkiém był uwiadomiany i p. de Vitrolles, który ze szczątków byłego ministerstwa stanu zatrzymał przy sobie telegrafy. Książęta byli nadzwyczaj wzruszeni, gdyż powoływani skutkiem swego stanowiska do stanięcia na czele wojska, pojmowali lepiej od kogo bądź innego o trudności swego położenia. Co zaś do marszałka Soult, ministra wojny, który tak się rzucił w objęcia Burbonów, jak gdyby nie spodziewał się nigdy spotkać ze straszną postacią Napoleona, to przeraził się kłopotami, jakie już ukazywały się przed nim. Okazywał przecież wielką gorliwość. Wszyscy od razu zgodzili się na to, że wypada oddać książętom dowództwo zgromadzić się mających korpusów, a na czele najważniejszego postawić hrabiego d' Artois, zawsze najruchliwszego pomiędzy członkami rodziny i nadzwyczaj lubianego przez krańcowych rojalistów, którzy w obecnych okolicznościach powinniby znaczne oddać usługi, jeżeli poświęcenie się ich w czynie wyrówna namiętnym hałasom. Ponieważ Napoleon znajdował się w pochodzie od 1go Marca i zamierzał widocznie kierować się na Lyon, bez względu na to jakąby obrał drogę, czy to przez Grenoblę

czy przez Marsylję, przeto koniecznie w Lyonie należało zgromadzić wszystkie środki, aby skuteczny można mu stawić opór. Hrabia d' Artois objawił całą swą gotowość do udania się do tego miasta, a że środek ten tak łatwo przychodził, więc go też natychmiast jednozgodnie przyjęto. Pod rozkazy hrabiego d' Artois oddawano dwóch jego synów, księcia de Berry, jako jenerała dowodzącego lewém i księcia d' Angoulême, prawém skrzydłem (ten ostatni znajdował się obecnie w Bordeaux): obadwa winni byli udać się do prowincji, które już zwiedzali i tam ściągać wojska przeciw skrzydłom Napoleona. Postanowiono, że książe de Berry, który był znany w prowincjach wojskowych wschodnich, wyjedzie do Franche-Comté, zgromadzi w Besançon wojska linjowe i ochotników gwardyi narodowéj i poprowadzi je przez Lons-le-Saulnier na lewo Lyonu; książe zaś d' Angoulême, zażyły z ludnością południa, opuści natychmiast Bordeaux, uda się przez Tuluzę do Nimes i zajdzie na tyły Napoleona, z wojskami jakie będą zgromadzone. Plany te, które minister wojny uznał za bardzo rozsądne, zależały od dwóch warunków: po pierwsze, czy będzie dość czasu na zgromadzenie wojsk w tych rozmaitych miejscach, a po drugie, czy wojska pozostaną wiernemi. Tymczasem obrady te odbyły się 5go Marca wieczorem; wysłane rozkazy 6go, mogły przybyć na miejsce dopiero 7, 8, 9, i 10go Marca, stosownie do o dległości, wymagały nadto pewnego czasu na wprowadzenie ich w wykonanie, gdy tymszasem, jak tośmy widzieli, Napoleon 10go powinien był stanąć pod bramami Lyonu. Co się zaś tyczy wierności wojsk, to poprzednie niniejszych dziejów opowiadanie jasno wykazuje, o ile na takowe liczyć było można.

Minister wojny bardzo poważnie uznał wyliczone tu środki jako nieuchronne do ocalenia rządu. Pozwolono mu więc działać, gdyż pomimo wszystkiego, daleko lepiéj on umiał, od ludzi otaczających króla, wziąść się do rzeczy aby poruszyć żołnierzy. Z zupełnej niewiadomości co się stało w La Mure i Grenobli, nie rozpaczano jeszcze o wierności wojska, a dla większej w tym względzie pewności, postanowiono dodać do boku książąt jenerałów kochanych i szanowanych przez żołnierzy. Marszałek Ney, dowodzący w Franche-Comté, był przeznaczony dla księcia de Berry. Marszałek Macdonald, dowodzący w Bourges, otrzymał rozkaz natychmiastowego wyjazdu do Nimes, aby się znalazł w sztabie księcia d' Angoulême. Wybór tych dwóch marszałków, którzy byli posłannikami Napoleona z Fontainebleau, zdawał się być najlepszym na postawienie ich przeciw niemu. Nie powątpiewano o surowéj prawości, z jaką marszałek Macdonald spełni swe obowiązki. Co zaś do marszałka Ney, to chociaż wiedziano, iż był niezadowolony z dworu i dla tego zamieszkał

w swych dobrach, to przypuszczano, że powrót Napoleona byłby dla niego dość kłopotliwym, zwłaszcza po ostatniém jego znalezieniu się w Fontainebleau, a ztąd pochlebiano sobie, że na widok tego straszliwego władzcy odżyją w nim wszystkie uczucia.

Nakoniec, aby dostarczyć hrabiemu d' Artois jednego więcej jenerała i to jenerała wielkiej powagi, zrobiono wybór, z pozoru złośliwy, lecz w rzeczywistości przedstawiony bardzo niewinnie przez samego hrabiego d' Artois, przez przeznaczenie do jego sztabu księcia Orleańskiego. Książe ten, jakkolwiek postępował bardzo ogłędnie, stał się przecież, jak tośmy mówili, przedmiotem nieufności emigrantów. Często odwiedzany, był bardzo grzecznym dla wojskowych, którzy przypominali sobie jego służbę w szeregach republikańskich, oraz dla stronników zasad konstytucyjnych, którzy zachwycali się tą okolicznością, że ich zasady podziela jeden z członków rodziny królewskiej. Ten rodzaj popularności, o nadużyciu którego książe Orleański ani pomyślał, nie podobał się dworowi a ztąd Ludwik XVIII nie gniewał się wcale, że się oswobodzi od niego przez przeznaczenie do sztabu hrabiego d'Artois, który ze swej strony nie gniewał się także, że będzie miał przy swym boku Burbona żołnierza. Wybor ten został przyjęty zarówno łatwo jak inne i polecono ministrowi wojny, aby bezzwłocznie wysłał rozkazy co do poruszeń wojska i zapasów, a to zgodnie z zatwierdzonym planem działania. Postanowiono także, że hrabia d' Artois wyjedzie do Lyonu tejże saméj nocy to jest z 5 na 6 Marca. Powołano księcia Orleańskiego do Tuileries dla udzielenia mu wiadomości, która dotąd była jeszcze tajemnicą, jak niemniej dla wydania mu stosownych przez samego króla rozkazów. Książe ten nie dał na siebie oczekiwać.—Otoż tedy, rzekł Ludwik XVIII ze szczególném niedbalstwem, *Bonaparte* jest we Francyi!— Książe Orleański ze zwykłą sobie bystrością objąwszy rzecz całą, nie ukrywał bynajmniej obaw.—Cóż chcesz abym uczynił? odpowiedział Ludwik XVIII z widoczną niecierpliwością; wolałbym aby tu nie był, lecz gdy jest, należy się od niego oswobodzić o ile tylko będziemy mogli.—Książe Orleański przekonany, że zatwierdzone środki w celu obrony Lyonu są spóźnione i niewystarczające, mało okazał chęci do przyjęcia naznaczonego mu stanowiska i starał się przekonać króla o większej potrzebie zatrzymania go w Paryżu, gdzie niepozostałby ani jeden książe krwi i gdzie jego popularność, z której się nie chełpił, lecz która nie ulega zaprzeczeniu, może być użyteczną. Król jednak na pozostawienie księcia Orleańskiego w Paryżu zgodzić się nie chciał i stanowczo na naznaczone miejsce wyjechać mu rozkazał. Jedyny skutek jaki jego przedstawienia wywarły, był ten, że Ludwik XVIII postanowił zatrzymać w Paryżu księcia

de Berry. Myślano bowiem, iż wypada zatrzymać przy królu jednego z jego synowców i że z drugiej strony nie wypada pozostawiać samemu sobie zbyt gwałtownego charakteru księcia de Berry. Skutkiem tego postanowiono, aby marszałek Ney sam jeden udał się do Besançon. Marszałek ten, znajdujący się w dobrach swych Coudreaux, natychmiast telegrafem powołany został do Paryża.

Po przedsięwzięciu tych środków wojskowych, zwołano na radę innych ministrów, celem przedsięwzięcia środków politycznych. Wrażenie u wszystkich było jednakie, to jest nadzwyczaj żywe, pomięszane z niejakim żalem u tych, którzy uczuli skutki popełnionych błędów, gdy tymczasem inni poczęli żałować swej zbytecznej łagodności, to jest słabości w sprawowaniu władzy, To też dla wynagrodzenia nieszczęść spowodowanych tą słabością, chcieli powetować wszystko rozwinięciem wielkiej energji w obecnych okolicznościach. Bez zastanowienia się, bez zdania sobie rachunku z ważności postanowienia, które mogło narazić na straszne prawo odwetu, zredagowali rozporządzenie oparte na artykule 14 karty, którém nakazano wszystkim obywatelom rzucić się obces na Napoleona, wziąść go żywego lub nieżywego i jeśliby został żywcem pojmany, stawić go przed sąd wojenny, który natychmiast zastosuje do niego prawa obowiązujące i skutkiem tego skaże na rozstrzelanie. Rozporządzenie to wydane było nietylko przeciw Napoleonowi lecz przeciw wszystkim jego stronnikom i wspierającym zamiary. Wedle tego też rozporządzenia wystarczającém było sprawdzenie tylko tożsamości stawionej przed sądem wojennym osoby, dla natychmiastowego skazania i wykonania wyroku.

Do tego dyktatorskiego postanowienia, które było pierwszém zastosowaniem 14 artykułu Karty, co się stał tak zgubnym dla dynastji, dodano drugie bardzo prawowite, nazbyt konieczne, to jest zwołanie izb, które zostały odroczone 1 Maja. Nic nie mogło być lepiej obmyślaném nad powołanie izb do otoczenia króla, aby wspólném działaniem zarządzić środki obrony, jakich wymagały okoliczności i stawić przeciw Napoleonowi, jako wyobrazicielowi despotyzmu żołnierskiego, monarchję prawowitą, otoczoną wszelkiemi pozorami wolności konstytucyjnej. Izby więc wezwane zostały do zebrania się w czasie jak można najśpieszniejszym, a tymczasem proszono członków znajdujących się w Paryżu, aby natychmiast udali się na miejsce zgromadzeń i bezzwłocznie otworzyli posiedzenia, skoro tylko znajdzie się ich dostateczna do obrad liczba.

Postanowienia te zatwierdzone w Poniedziałek, a ogłoszone we Wtorek 7 Marca (w tym dniu Napoleon wszedł do Grenobli), zazna-

jomiły publiczność z wielką wiadomością, którą trzymano w tajemnicy jak tylko można było najdłużéj, lecz która pomimo to wymykając się powoli z Tuileries, zrobiła ogromne wrażenie pomiędzy ludźmi świadomymi stanu rzeczy. Ogłoszone jednak szczegóły zmniejszyły nieco pierwsze wrażenie. Rząd wiedział dopiero o wylądowaniu Napoleona w zatoce Juan, na czele 1,100 ludzi, o spełzłym bezskutecznie zamachu na Antibes i o pochodzie jego ku Alpom. Prefekci donosząc o tych zdarzeniach, wystawiali je ze strony najkorzystniejszej, a rząd usiłował otrzymane wiadomości przedstawić tak, jakiego ich obrotu pożądał.

Ponieważ do pierwszych objawów uczuć żołnierskich przywiązywano nadzwyczajną wagę, kładziono wielki przycisk na zdarzenie zaszłe w Antibes i wystawiano *Buonapartego* (tak go wówczas nazywano), jako odepchniętego przez wojska, które spotkał zaraz po swém wylądowaniu, i jako zmuszonego tém niepowodzeniem do rzucenia się w góry, gdzie wkrótce musi upaść pod ciosami nędzy lub też sprawiedliwości.— *Ten podły rozbójnik*, wykrzykiwano, niegodny śmierci bohaterów, zginie niebawem śmiercią złoczyńców, i trzeba dziękować Niebu, że pozwoliło mu wyjść z tego ukrycia, w którém go przez słabość tylko pozostawiono, aby sam niejako poddał się karze, na którą aż nadto zasłużył.— Podobny sposób przedstawiania rzeczy był zwykły zapalonym popleczníkom Burbonów, którzy po ochłonięciu z pierwszego przerażenia, w wielkiém tém zdarzeniu widzieli tylko nadzieję pomyślnego skutku.

Reszta publiczności zupełnie inaczej sądziła. Nie trzymano się dosłownie ogłoszenia rządowego i nie uważano Napoleona za tak zgubionego, jak to się podobało rojalistom dowodzić. Lud doświadczając jakiegoś tajemnego przywiązania do człowieka, który niegdyś tak wzruszał jego wyobraźnię, rozradował się wieścią o powrocie Napoleona. Żołnierze wzruszeni aż do dna duszy, nieukrywane słali życzenia dawnemu swemu wodzowi, pomimo że dowódzcy wpajali w nich zasady surowej wierności względem swych obowiązków. Rewolucjoniści, którzy przed dziesięcioma miesiącami przyklaskiwali powrotowi Burbonów, że ich pomścił za czyny Napoleona, przyklaskiwali teraz powrotowi Napoeona, że ich pomści za czyny Burbonów. Nabywcy dóbr narodowych nieruchomi po wsiach, uważali się za ocalonych od spodziewanej łupieży. Mieszczaństwo zaś przeciwnie, spokojne, nieinteresowane w sprawie dóbr narodowych, gdyż daleko mniej ich kupiło od mieszkańców wiejskich, żądając pokoju i umiarkowanej wolności, doznało wielkiego niepokoju. Pomimo iż dotknięte było stronnością Burbonów względem szlachty i księży, wolało ono zatrzymać tychże Burbonów i stawiać im opór, aniżeli od Napoleona oczekiwać wolności. Uczucia te należały

głównie do mieszczaństwa paryzkiego, najświatlejszego w całej Francji, a to z powodu, że kierowało się rozsądkiem i nie dotknięte było dolegliwościami prowincjonalnemi, w obec których gięły się zasady. I tak w miastach nadmorskich, zniszczonych blokadą, mieszczaństwo dotknięte było pewnym rodzajem szaleństwa, gdy tymczasem w miastach rękodzielniczych, w których przemysł nadzwyczaj ucierpiał skutkiem otworzonych z Anglją stosunków, doznawało prawdziwej radości, zaćmionej tylko nieco obawą wojny.

Ludzie prawdziwie oświeceni przejęci byli jedném tylko uczuciem, to jest boleścią. Ludzie ci w ogóle nieliczni, lecz wpływowi nie starając się o to, w powrocie Napoleona upatrywali tylko straszne klęski. Żaden z nich nie wątpił o wojnie. Kongres, który miał się rozwiązać, przedłużył się jeszcze i widoczném było, że nie ukończy swych prac dopóki nie obali człowieka, który obalał wszystkie wiedeńskie roboty. Będzie więc nowy śmiertelny pojedynek pomiędzy Francją a wszystkiemi potęgami Europy. Pierwsze to już niebezpieczeństwo powinno było wystarczać do skłonienia każdego dobrego obywatela, aby wystąpił przeciw obecnym usiłowaniom. Na prawdę jednak, to całej winy nie można przypisywać jedynie Napoleonowi, gdyż do tego stanu rzeczy przyłożyli się także i Burboni, gdyż swém niezręcznem postępowaniem wzburzyli umysły i przygotowali pomyślny skutek zamierzonemu przewrotowi. Zresztą mniejsza o to kto tu był głównie winien, gdyż w każdym razie Francja miała przed sobą tylko klęskę.

Pod względem stosunków wewnętrznych, przyczyny do niezadowolenia narodu były dosyć ważne. Burboni dotknęli każdego, ktokolwiek nosił w swém sercu miłość ojczyzny i przejęcie się zasadami z 1789 roku, dla tego to nakoniec śmiało stawiono im czoło i postanowiono zwyciężyć na polu konstytucyjném. Dokonane wybory miały wprowadzić do izby zastęp członków opozycyi umiarkowanej, którzy mieli wzmocnić wyłonioną już większość niezależną i tym sposobem odnieść zwycięztwo, powolne być może, ale wcześniej czy później zupełne, nad zgubnemi skłonnościami emigracyi. Tym sposobem można było przywrócić, z prawdziwemi zasadami rewolucyi francuzkiej, wolność rozsądną, prawną, praktyczną, na wzór tej, która stanowi szczęście Anglii. Było to dopiero dzieło dopiero co rozpoczęte i daleko korzystniejby było prowadzić je do końca, aniżeli przedsiębrać coś innego, gdyż tym sposobem wszystko się rozpoczynało a nic nie kończyło.

Z drugiej znów strony czy była z Napoleonem, nawet poprawionym przeciwnościami i wyciągniętą z nich nauką, równa możność pomyślnych skutków? Rzecz niepodobna do prawdy. Bezwątpienia że nie było

z nim żadnej trudności pod względem zasad z roku 1789, które w pewnym rodzaju składały jego filozofję polityczną; lecz co się tyczy wolności konstytucyjnej, to twardy był do zgryzienia orzech. Przypuszczając nawet gwałtowną w nim zmianę skutkiem nieszczęścia, to czyż nie można się było zawsze spotkać z jego potężną wolą, z jego niezachwianym genjuszem, a wówczas czy podobna było nagiąć go do wszystkich wymagań porządku konstytucyjnego? A tak z nim, należało przewidywać wojnę pewną i wolność wątpliwą, a było to więcej niż potrzeba od powstrzymania ludzi światłych, aby życzyli jego powrotu.

Bez przesady i stronności można powiedzieć, że ludzie ci prawie wyłącznie tylko znajdowali się w szeregach stronnictwa konstytucyjnego. Stronnictwem konstytucyjném nazywano wówczas to, które usiłowało stworzyć wolność umiarkowaną pod Burbonami, przez otrzymywanie co raz to nowych zwycięztw nad ich złemi przywyknieniami. Czy to w izbach, czy po za izbami, stronnictwo to jednozgodnie postanowiło skupić się około Burbonów i silnie ich podtrzymywać. Bez wątpienia że i osobiste względy mięszały się z szlachetnością tego postanowienia. Tak członkowie obydwóch izb czuli się być narażonymi: jedni że ogłosili upadek Napoleona, a drudzy że zbyt gorąco go popierali. Niektórzy pisarze, jak p. Benjamin Constante, rozwinęli przeciw porządkowi rzeczy za cesarstwa taką gwałtowność języka, że nigdy nie mogli już być pojednani z władzcą Elby, jeżeliby ten z powrotem stał się panem Francji. Niezależnie jednak od tych kilku szczegółowych powodów, większa część kierowała się uczciwą chęcią dotrzymania złożonej przysięgi Burbonom, ukończenia rozpoczętej z nimi budowy wolności konstytucyjnej i uchronienia Francji od nowej i zgubnej wojny z Europą. Z drugiej nawet strony naczelnicy stronnictwa konstytucyjnego poczytywali sobie za zaszczyt dowodzić, że opozycja ich objawiana czy to mową czy pismem, skierowana była nie przeciw dynasiji Burbonów, lecz przeciw ich działaniom politycznym. Było to ze strony tych ludzi postępowanie prawne, rozsądne i zręczne. Ci którzy należeli do izb, pośpieszyli na miejsce obrad, rozmówili się z sobą, wsparli wzajemnie, wyleli w pogadankach ze swemi uczuciami, oczekując na możność zajaśnienia niemi w rozprawach publicznych, skoro tylko znajdą się w koniecznej do obrad liczbie. Nadewszystko żądali skupić się około p. Lainé, prezesa izby deputowanych. P. Lainé bowiem stawszy się gorącym stronnikiem Burbonów, przez nienawiść dla Napoleona, ożywiony był wszystkiemi uczuciami rojalistów, nie podzielając wszakże ich przesądów. Rozpoczął on od rozpoznania popełnionych błędów, którym zresztą nie był obcym, a nie był zdolnym do ukrycia doznanych

uczuć. Pośpieszył w wypowiedzieniem tych błędów i znalazł echo pomiędzy rojalistami umiarkowanymi, a nawet u niektórych ministrów.

Ci ostatni, jak tośmy już mówili, nie składali prawdziwego gabinetu. Aby utworzyć gabinet pod formą rządu, jaką próbowano wówczas nadać Francji, trzeba najprzód, aby dwór się na to zgodził, cierpiąc wznoszenie się obok swojej innej woli; podrugie, potrzeba, aby w gronie ministrów znajdował się naczelnik, uznany za takiego przez swych towarzyszy i przyjęty naraz przez dwór i izby za łączący ich węzeł i pośrednika. Tymczasem Ludwik XVIII, pomimo iż mniej był zrażony, od każdego innego francuzkiego monarchy, do zgromadzenia narodowego wolno obradującego co winien był długiemu swemu pobytowi w Anglii, to przecież z praw swoich ani jednéj nie zrobił ofiary na korzyść rządu reprezentacyjnego, a chociaż w praktyce zdarzało się, iż ustępował często coś z swej władzy królewskiej, to czynił to tak z powodu, że go nudziły sprawy, jak i z dobrego ocenienia potrzeby ustępstwa. Cokolwiek bądź, nie życzył on sobie nigdy mieć prezesa rady ministrów, a nadto, nie miał obok siebie nikogo zdolnego do zajęcia tak ważnego stanowiska. P. de Talleyrand nieobecny i niedbały, nie mógł być nim, pomimo że był największą znakomitością swego czasu. Ksiądz de Montesquiou najznakomitszy po p. de Talleyrand i sam jeden zdolny do stanięcia przed izbami, mógłby być tym prezesem, jeżeliby mu dodano więcéj znaczenia w obec izb i gdyby obdarzony był charakterem giętkim, stałym i pracowitym naraz, gdyż stanowisko podobne wymagało tych przymiotów. Byli więc ministrowie, jak to już mieliśmy sposobność wykazać, lecz niebyło ministerjum. Ministrowie ci dzielili się na ludzi bystrych, czujących błędy popełnione, gotowych nawet do ich przyznania, i na wspólników lub powolnych dla emigracji, utrzymujących, że jeżeli popełniono jaki błąd, to tylko okazaniem zbytniej słabości, zbytniej powolności dla stronnictw przeciwnych. Pomiędzy pierwszymi należy wyliczyć barona Louis, wyłącznie zajętego skarbem, który w tém specjalném zajęciu rozwinął przymioty wielkiego ministra; p. Beugnot, bardzo niesłusznie napastowanego przez emigrację, z powodu że nie pozwolił jej mięszać się w sprawy policji, a któremu zapaleni rojaliści wyrzucali z goryczą, że dopuścił wylądowania wyprawy z wyspy Elby, gdyż jako minister marynarki mógł temu zapobiedz czujnemi strażniczemi statkami; p. de Jaucourt, zastępującego czasowo p. de Talleyrand, mało wiedzącego o tém, co się działo po za obrębem jego wydziału, człowieka uczciwego, światłego i umiarkowanego; nakoniec p. de Montesquiou, spostrzegającego do jakiego to stopnia pozwolono się powoli odwlec od prawdziwego biegu uczuć narodowych, niezadowolonego ze wszy-

stkich stronnictw, a najbardziej z tego, do którego sam należał, przypisując mu otwarcie wszystko złe, co się tylko wydarzyło i lubiącego mówić, że on i jego towarzysze nie mogą nic lepszego zrobić nad ustąpienie swych miejsc ludziom więcej popularnym i zdolniejszym do ocalenia królestwa.

Panowie Dambray i Ferrand skutkiem zaślepienia, marszałek Soult skutkiem danych zobowiązań krańcowym rojalistom, w sprzeczności ze swymi towarzyszami podzielali zasady emigracji. Bardzo prosto twierdzili oni, że każdemu należało być jeszcze większym rojalistą, aniżeli dotąd byli, nadewszystko daleko surowszym, uderzać na prawo i lewo jeśli się zdarzy ku temu sposobność, odebrać niektóre ustępstwa poczynione przez kartę (do tego przyznawali się po cichu) i temi środkami starać się ocalić monarchję. P. de Blacas nie odzywał się wcale. Posiadał on dosyć przezorności dla poznania że się mylono, czy to w pierwszym czy w drugim razie, lecz uważał się do tego stopnia spojonym z dworem, że nawet nie przypuszczał, aby nagana lub zmiana mogła go dosięgnąć.

Ministrowie żałujący za popełnione błędy udali się do p. Lainé, a p. de Montesquiou nie wahał się nawet oświadczyć, że jeżeli potrzeba poświęcić trzech lub czterech członków gabinetu, zaliczając w to i siebie, gotów jest do rzucenia się w przepaść dla poprawienia złego. P. Lainé przyklasnął temu usposobieniu i starał się otoczyć naczelnikami opozycji umiarkowanej, bądź w izbach bądź poza izbami. Dwóch szczególniej przyciągnął już ku sobie, to jest p. Benjamina Constant, którego pisma wywarły żywe wrażenie, i p. de Lafayette, który, po złożeniu Ludwikowi XVIII uszanowania w chwili ogłaszania karty, aby tém dobitnie wykazać, że jest gotów do przyjęcia wolności pod Burbonami, usunął się do swych dóbr Lagrange, gdzie żył spokojnie, oczekując dopóki wyborcy głosami swemi nie zmuszą go do wzięcia napowrót udziału w życiu publiczném.

Pomiędzy pp. Lainé de Montesquiou i kilkoma naczelnikami stronnictwa konstytucyjnego przyszło do porozumienia, aby zmienić trzech lub czterech ministrów, takich jak p. de Montesquiou, który sam się na to zgadzał, jak pp. de Blacas, Soult i Ferrand, którzy ani myśleli o podobném ustępstwie, aby postawić na ich miejsce osobistości popularne, zwiększyć izbę parów przez powołanie do niej ludzi znanych ze swych wielkich usług cywilnych i politycznych, uzupełnić izbę deputowanych przez zastąpienie dwóch serji, którym mandaty już wyszły, posłami przyjaznymi zasadom liberalnym, a z powodu braku czasu powierzyć ten wybor samej izbie, zreorganizować gwardje narodowe, złożyć je

z mieszczaństwa powszechnie przyjaznego, oddać naczelne ich dowództwo jenerałowi de Lafayette, rozproszyć obawy nabywców dóbr narodowych i nakoniec, zbadać dolegliwości wojska, znieść je natychmiast i tym sposobem natchnąć je przeciwném usposobieniem.

Ksiądz de Montesquiou szczerze uwierzył, że żadno z tych ustępstw nawet wybór jenerała de Lafayette, nie było zbyt wysoką ceną za oddać się mające usługi w ocaleniu monarchji. Ministrowie przeciwni ustępstwom, a głównie osobistemu poświęceniu się, podnieśli głośne krzyki, a p. de Blacas, licząc na Ludwika XVIII, który się w tej sprawie nie oświadczał, pozostał nieruchomym i milczącym. Napróżno p. Lainé, przewidujący, że Napoleon będzie postępował naprzód ze zwykłą sobie gwałtownością, nacierał o zrobienie natychmiastowego postanowienia; gdyż p. de Montesquiou, potępiony przez dwór od czasu jak się odezwał z tak mądrą radą, nie mógł udzielić żadnéj odpowiedzi, albowiem tej sam nie otrzymywał, a Ludwik XVIII, znudzony tem ścieraniem się rozsądnych z zagorzałymi rojalistami, nie wiedząc kogo słuchać, komu wierzyć, wolał w tej wątpliwości nie wychodzić ze swych przywyknień, to jest zatrzymać p. de Blacas i nie oddalać nikogo.

W strasznej tej niepewności nie ograniczano się na zasięgnięciu rady od stronnictwa konstytucyjnego, które ze wszystkich opozycyjnych jedno było szczerém, jedno ożywione chęcią utrzymania dynastji przez sprostowanie jej kroków; lecz zawiązano niejakie stosunki z głównymi rewolucjonistami, takimi jak pp. Fouché, Barras i inni, naśladując w tym razie chorych, którzy zawsze przenoszą schlebiających im empiryków nad prawdziwych lekarzy, przepisujących niesmaczne lekarstwa. Wypada też tutaj nadmienić, że przy ścieraniu się stronnictw, gdy zagorzalcy i szaleńcy zmuszeni są do wybierania pomiędzy swymi przeciwnikami, wybaczają daleko chętniej krańcowym, podobnym sobie, a niżeli umiarkowanym, z którymi zarówno nie zgadzają się charakterem jak i zasadami.

Zwykli pośrednicy używani do p. Fouché, ukazywali mu ministerjum policji, do którego go nawet zniechęcili, zbyt długo każąc na nie czekać; lecz tą razą znaleźli go dwójznacznym, daleko mniej niż zwykle udzielającym się z radami i dającym dość jasno do zrozumienia, że już za późno. P. d'André, kierujący policją roztropnie i z umiarkowaniem, usiłował nawet przyciągnąć do siebie księcia de Rovigo, prosząc go o zdanie, i książe de Rovigo bez ogródek powiedział, że do tego stopnia źle się obchodzono ze znakomitościami cesarstwa a osobliwie z wojskowemi, że nie ma prawie nadziei, aby choć jednego przeciągnięto.

Podczas gdy ze strony rojalistów rozwijały się te bezskuteczne działania, niemniej zdwoiła się czynność ze strony Bonapartystów i rewolucjonistów i to w sposób zarówno bezużyteczny dla celu, który miano na widoku. Jak jedni tak i drudzy byli jakby piorunem uderzeni, dowiadując się niespodzianie o ukazaniu się Napoleona. P. de Bassano, który sam jeden tylko zniósł się był z wyspą Elbą, jedynie w celu przesłania tam niejakich objaśnień, niemniej od innych był zdziwiony, gdyż p. Fleury de Chaboulon nic mu nie doniósł od czasu wyjazdu i dotąd jeszcze nie wrócił. W obawie nieszczęśliwego skutku wyprawy, były i wierny minister Napoleona bolał nad tak drobném w tę sprawę wdaniu się, która, jak sądził, mogła skłonić do czynu cesarza. Młodzi oficerowie, pierwsi sprawcy związku, o którym mówiliśmy, a którzy nie mieli najmniejszych stosunków z wyspą Elbą, nawet z pułkownikiem La Bédoyère, stali się jeszcze zapaleńsi i chcieli działać natychmiast, aby wesprzeć przedsięwzięcie Napoleona. Bonapartyści cywilni, jak pp. Regnaud de Saint-Jean d' Angély, Boulay de la Meurthe, Thibaudeau i inni, zarówno mało świadomi jak p. de Bassano, bali się o tyle działania o ile bezczynności, gdyż jeżeli można było zrobić na północy poruszenie na korzyść Napoleona, można też było z drugiej strony powikłać jego plany przez zrobienie ani przewidzianego ani nakazanego ruchu. Przyzwyczajeni do oczekiwania i nieuprzedzania postanowień cesarza, popadli w dziwną jakąś niespokojność.

Co zaś do rewolucjonistów, ci powszechnie byli zadowoleni. Tymczasem główny z pomiędzy nich p. Fouché, chociaż umiłował z góry wszelkie wypadki, zawsze przyjazne wrodzonej mu ruchliwości, był bardzo porażony wiadomością o powrocie Napoleona, który pomięszał posiada rachuby. Mniemał on bowiem, że ma Burbonów w swém ręku i że posiada środki do ich utrzymania lub użycia do woli, a to skutkiem stanowiska jakie zajął pomiędzy wszystkiemi knowaniami, nawet rojalistowskiemi.— Mieliśmy, mówił do swych powierników, utworzyć ministerjum z królobójców, takich jak Carnot, Garat i ja, z nieugiętych żołnierzy jak Davoux» i bylibyśmy pozbyli się lub zapanowali nad Burbonami. Lecz o to ten straszny człowiek przynosi nam despotyzm i wojnę. Przecież na stanowisku, na jakiem są rzeczy, trzeba go wspierać, aby go uwikłać naszemi usługami, z wyjątkiem, że zobaczymy co będziemy robić, skoro już będzie tutaj, a będzie prawdopodobnie równo jak my zakłopotany swoim trjumfem. —

Śmielszy a niżeli Bonapartyści wzoru p. de Bassano, mniej mający szacunku dla nieomylności cesarza i umiejąc narażać, jeżeli nie swoje, to przynajmniej innych życie, był zdania, aby przyłożyć ręki do dzieła

i okiełznać młodych wojskowych. Jenerałowie Lallemand, Lefebvre-Desnoettës i Drouet d'Erlon przybyli do Paryża, więc ich zachęcił do wytrwania w zamiarze natychmiastowego działania. Drouet d'Erlon dowodził w Lille pod marszałkiem Mortier i mógł rozporządzić kilku pułkami piechoty, Lefebvre-Desnoettës miał w Cambrai dawnych strzelców gwardji, obecnie nazwanych strzelcami królewskimi, a w pobliskiém Arras grenadjerów konnych, nazwanych kirysjerami królewskimi. Z dwóch braci Lallemand jeden był komendantem w Aisne, a drugi jenerałem artylleryi w La Fére. Postanowiono, że najśmielszy ze wszystkich i najpewniejszy swych żołnierzy, Lefebvre-Desnoettës, wyruszy z Cambrai ze strzelcami gwardji, skieruje się przez Aisne, ukaże się pod La Fére, gdzie bracia Lallemand zgromadzą wojska na swą przeciągnięte stronę, że następnie wspólnie idąc za biegiem rzeki Oise, udadzą się do Compiegne, gdzie połączy się z nimi Drouet na czele piechoty z Lille. Postawieni w ten sposób na czele dwunastu lub piętnastu tysięcy ludzi, mogą wywrzeć znaczny wpływ na wypadki, postanowić być może o powstaniu wojsk wszystkich, a przynajmniej przeciąć drogę odwrotu Burbonom, aby ich wydać (zdrowych i całych zresztą) Napoleonowi, który postąpi z nimi jak zechce.

Projekt ten miał być natychmiast wprowadzony w wykonanie, bez straty więcej czasu jak potrzeba na podróż z Paryża do Lille, gdyż działo to się w początku Marca, a Napoleon wylądował Igo; a choć nie wiedziano gdzie się skierował, to przecież nic nie przeszkadzało, aby wykonać na jego korzyść zamierzone poruszenia. Pochlebiano sobie zawsze, że marszałek Duovux przyjmie dowództwo powstałego korpusu wojska, skoro tylko ten korpus zgromadzony zostanie, a spodziewano się, że tak wielkie imię na czele wojsk doświadczonych, skłoni wahających się do stanowczego kroku. Lecz popełniono tyle wybryków, tyle nieroztropności w urządzaniu tego spisku, że marszałek, bądź mając wstręt do przedsięwzięcia, które tak było przeciwném karności wojskowej, bądź z obawy, aby nie został narażony przez szaleńców, bądź też z obawy nie uprzedzania rozkazów Napoleona, oświadczył p. de Bassano, że nie należy go zaliczać w poczet pracowników szykującego się przedsięwzięcia, które zanadto płocho, wedle jego zdania, było prowadzone. Młodzi jenerałowie, bardzo niezadowoleni, odpowiedzieli, że będą umieli obejść się bez niego i bez dalszych znaglań wyjechali celem wprowadzenia w wykonanie, bez wiedzy wodza, od tak dawna ukartowanego planu.

Gdy tak nieprzyjaciele domu Burbonów krzątają się ze zwykłą sobie czynnością i śmiałością, sami Burboni nawet, obsaczeni wręcz przeci-

wnemi sobie radami, wahali się ciągle pomiędzy przedstawianemi im wnioskami i ograniczyli się na kilku środkach wojskowych, które nie byłyby próżne, jeżeliby można liczyć na wierność żołnierzy. Powiedzieliśmy już, że książe de Berry, przeznaczony początkowo do Franche-Comté, miał zostać w Paryżu przy królu, i że sam marszałek Ney przeznaczony został do Besançon. Marszałek, zawołany telegrafem, z wielką trudnością uwierzył w zdarzenie, które na nowo otwierało Napoleonowi drogę do tronu. Daleko mniej winien względem dawnego swego cesarza, a niżeli ci przed którymi pochwalił się ze swego postąpienia, wcale sobie nie życzył dostać się pod jego rękę; lecz na zaszczyt marszałka należy przytoczyć, że przy swym zdrowym żołnierskim zmyśle przewidywał pewną, konieczną i opłakaną, nową wojnę przeciw Europie, jeżeliby cesarstwo przywroconém zostało. Powody jego, dla których patrzał nietylko z bojaźnią ale i z gniewem na powrót Napoleona, nie były mniej patrjotyczne niż osobiste. Nie umiejąc nigdy ukrywać swych uczuć, wypowiadał je głośno za swém do Paryża przybyciem. Rojaliści zachwyceni, że go widzą w takiém usposobieniu, przepełnili grzecznościami, zaprowadzili do króla, który go najpochlebniej przyjął, a któremu marszałek przyrzekł przyprowadzić *więźniem* pokonanego Napoleona. Uczęszczający do dworu utrzymywali nawet, że powiedział: *więźniem w żelaznej klatce*: wyrażenie prawdziwe lub nie, które nic więcej nie dowodzi nad niepomiarkowanie języka, co jest do wybaczenia w żołnierzu nieprzyzwyczajonym do mierzenia słów swoich. Wyjechał więc marszałek Ney napełniwszy dwór nadzieją, a to słowami wypowiedzianemi szczerze, a może jeszcze szczerzej niż był przekonany, by dać zupełny dowód swej zamierzonej wierności. Bez przyznawania się bowiem do tego, w obecnym czasie wszystkie serca i umysły doznawały pociągu powszechnego ku człowiekowi, którego pomimo błędów uważano za wyobraziciela wszystkich interesów moralnych i materjalnych rewolucji francuzkiej.

Hrabia d'Artois wyjechawszy w nocy z 5 na 6 Marca, przybył do Lyonu 8go we Środę i znalazł nadzwyczajne wzburzenie umysłów. Wyłożyliśmy już poprzednio usposobienie moralne tego wielkiego miasta. Nie liczne lecz gwałtowne i zaślepione stronnictwo rojalistów, odstrychnęło od Burbonów całą ludność Lyonu, która w każdym razie czuła wdzięczność dla Napoleona, gdyż powetował klęski, a otworzył ląd stały dla jej przemysłu. Świeżo popełnione zabójstwo na pewnym patrjocie przez rojaliste, pozostało nie ukaranem, a ztąd wywołało największe oburzenie. Nie można się przeto dziwić, że na wiadomość o zbliżającej się kolumnie z wyspy Elby, wszyscy, z wyjątkiem tylko kilku

ludzi światłych, niepohamowanej oddali się radości. Wkrótce nawet, po nadejściu bliższych z Grenobli wiadomości, nie było najmniejszego powątpiewania jak sobie w danym razie Lyon postąpi.

Rozgniewani i przerażeni rojaliści dowodzili jak wszędzie, że nic nie robiono, lecz też podobnie jak wszędzie nie wskazywali co czynić wypadało. Hrabia Roger de Damas, dowódzca dywizji, nie był z pewnością pozbawiony ani dobrej woli ani też odwagi, lecz nie rozporządzał żadną siłą, na którą mógłby liczyć. Gwardja narodowa, ta rzetelna wyobrazicielka usposobienia ludności, pokazała się obojętną dla Burbonów, z wyjątkiem małej cząstki tej gwardji, tworzącej jazdę, która jak wszędzie składała się ze szlachty. Załoga wojskowa składała się z 24go pułku linjowego i 13go dragonów, stale kwaterujących w Lyonie, oraz z 20go linjowego przybyłego obecnie z Montbrison, a żołnierze tych pułków widocznie byli przygotowani do otworzenia swych ramion na przyjęcie Napoleona, skoro tylko ukaże się u bram miasta. Nie miano tu ani jednego działa. Marszałek Soult wydał rozporządzenie, aby takowe sprowadzić z Grenobli, to jest z okręgu artylleryjskiego, który, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, za nadejściem rozkazów z Paryża winien być już zajęty przez wyprawę z Elby. Z tém wszystkiém strata nie była wielką, gdyż zawsze do użycia dział potrzeba rąk, a ręce artylleryzystów nie były zupełnie wierniejsze od ramion piechoty.

Taki był prawdziwy stan rzeczy w Lyonie, gdy przybył tu hrabia d'Artois. Poznał on wkrótce, że szlachetna lecz nie obmyślana gorliwość, która go tu przyprowadziła, może go tylko wystawić na niespodziane zajście. Bardzo więc żałował swego przybycia, gdyż pominąwszy już nawet niebezpieczeństwo osobiste, w jakie mógł popaść, obecnością swoją powiększał jeszcze ciężką klęskę, która była prawie pewną, przez utratę tego wielkiego miasta.

Wedle zwyczaju był bardzo ruchliwym, siał pochlebnemi słowami i grzecznościami, lecz po zaobrębem otaczających go osób, na które prawie wyłącznie zlewał swe łaski, nie podbił nikogo. Potrzebował pieniędzy na danie dowodu swej szczodrobliwości żołnierzom, lecz gdy w tym czasie kassy państwa były wypróżnione, słowami starał się zastępować brak gotówki. Książe Orleański we dwadzieścia cztery godzin przybywszy później do Lyonu, zajął się roztrząsaniem z hrabią d'Artois, co najużyteczniejszego było do zrobienia. Zrodziło się to samo pytanie w Lyonie, które poprzednio zajmowało władze w Grenobli. Wystawić wojska przeciw Napoleonowi, znaczyło to samo co mu je wydać; cofnąć się, uprowadzając z sobą żołnierza, było znów oddaniem mu kraju. Ostatnie to zadanie zdawało się zawsze najlepszém, gdyż, wedle wszel-

kiego prawdopodobieństwa, Lyon w przeciągu dwóch dni powinien był się dostać w ręce nieprzyjaciela, a ztąd daleko korzystniej było się cofnąć i uprowadzić z sobą wojska, aniżeli dostarczać Napoleonowi kilkotysiączne posiłki. Książe Orleański starał się dowieść hrabiemu d'Artois, że postanowienie odwrotu było najwłaściwszém, lecz ten gnębiony boleścią na myśl oddania nieprzyjacielowi takiego miasta jak Lyon, przed zgodzeniem się na podobną ofiarę żądał poradzić się marszałka Macdonald, który miał tędy przejeżdżać w podróży swej do Nimes, do księcia d' Angoulême. Marszałek ten, którego powóz złamał się w drodze, przybył dopiero do Lyonu 9 Marca wieczorem. Zaprowadzony do hrabiego d' Artois. który oczekiwał go z niecierpliwością i który rozkazał mu zostać przy sobie, z powodu że droga do Nimes była już przec ętą, marszałek okazał najlepsze usposobienie, lecz został zbity z tropu przez usłyszenie o prawdziwym stanie rzeczy. Nie radził on jednak opuszczać Lyonu, bez zmuszenia do tego kroku przeciwnemi okolicznościami. Radził wysadzić most na Rodanie, jeżeli to można było uczynić, a przynajmniej wznieść przed nim barykadę, odbyć przegląd wojska, przemówić do żołnierzy, usiłować zjednać ich dla sprawy królewskiej, wybrać pomiędzy rojalistami zapalonych i poświęconych ludzi, którzyby przebrani za żołnierzy rozpoczęli ogień i tym sposobem zawiązać walkę, a być może, że w takim razie wojska zmuszone stawiłyby opór Napoleonowi. Plany te nie wpłynęły w niczém na zwichnięcie przewidywań księcia Orleańskiego, lecz gdy to nie był czas do rozprawiania o środkach, zwłaszcza gdy ich się ma tak mało, więc książe nic im nie zarzucił. Hrabia d'Artois przystał na wszystko co mu mówił marszałek, upoważnił go do wydania potrzebnych rozkazów i udał się na spoczynek w oczekiwaniu dnia jutrzejszego. Właśnie to nazajutrz, to jest 10go Marca, Napoleon, wedle wszelkich rachub, powinien był stanąć u bram Lyonu.

Marszałek Macdonald całą noc przepędził na przecięciu i barykadowaniu mostu, na sprowadzeniu statków z lewego na prawy brzeg Rodanu i na przyjmowaniu dowódzców pułków, których znalazł gotowych do spełnienia swej powinności, a to nie skutkiem uczuć lecz dla honoru jedynie, którzy przytém jednozgodnie świadczyli o najgorszém usposobieniu żołnierzy. Zalecił im, aby dobre dla hrabiego d'Artois zgotowali przyjęcie, a gdy zajęty był z swej strony podobnemi przygotowaniami, jenerał Brayer, komendant Lyonu, oświadczył mu, że należy unikać okazania księcia wojskom, gdyż dobre przyjęcie tak jest wątpliwém, że nie można się na nie narażać. Marszałek udał się z pośpiechem do księcia, kazał go obudzić, zadziwił nieco udzieleniem tych smutnych

wiadomości i umówił się wraz z nim, że rozpocznie przegląd bez jego obecności i będzie go prosił wówczas, gdy przedsięwzięte usiłowania wydadzą jaki taki skutek.

Zaraz z rana, w czasie ulewnego deszczu, marszałek kazał wystąpić 20mu i 24mu pułkom linjowym, oraz 13mu dragonów, które skutkiem panującego nieładu, nie miały w dniu dzisiejszym rozdzielonej żywności, a ten niedostatek zwiększał jeszcze bardziej nieprzyjazne usposobienie żołnierzy. Uformowawszy koło z szeregów, marszałek przemówił, przypomniał im dwadzieścia lat wojen, przez który to czas ciągle służyli, prawe ich postępowanie w Fontainebleau, błędy, które sprowadziły klęski na Francję w 1814 roku i zapowiadał im większe jeszcze klęski, jeżeliby kraj wydany został Napoleonowi, gdyż znowu zwali się na bary cała Europa, bardziej zjednoczona, potężniejsza i srodzej zagniewana jak niegdyś! Mówił rozsądnie i z zapałem, ale bez powodzenia. Chcąc nakoniec wywołać skutek swego przemówienia, wzniosł szpadę i donośnym głosem wykrzyknął: *Niech żyje król!*— Ani jeden głos nie powtórzył tego okrzyku. Nieco zmięszany chciał poprobować, czy obecność hrabiego d'Artois nie wyda jakiego skutku, upewniwszy się zresztą z postawy wojska, że niedopuści się ono żadnego zgubnego czynu. Książe nadbiegł, okazał żołnierzom swe oblicze łagodne i pociągające i przyjęty został przez nich z uszanowaniem lecz z widoczną oziębłością. Przybywszy przed front 13go pułku dragonów, marszałek kazał wystąpić z szeregu staremu podoficerowi, którego włosy siwe i krzyż na piersiach świadczyły o długoletniej służbie: pomówił z nim o odbytych kampanjach, a następnie zażądał, aby w obec księcia krzyknął: *Niech żyje król!* Stary żołnierz osłupiał, pozostał nieruchomym i niemym, salutował hrabiemu d' Artois i wstąpił napowrót do szeregu, nie wydawszy żadnego okrzyku.

Książe boleśnie dotknięty aż pobladł, lecz nic nie mówiąc powrócił do siebie, pozostawiwszy marszałka na placu, który zamierzając ostatnią jeszcze próbę, zaprosił do siebie wszystkich oficerów. Zgromadzili się w liczbie około stu i nie pominąwszy należnego szacunku dla doświadczonego w boju wodza, który do nich przemawiał, przedstawili swe krzywdy z wielką goryczą. Marszałek, dla uspokojenia oficerów, przyznał błędy, jakich się dopuszczano względem wojska i przyrzekał, że naprawione one zostaną, lecz nie mógł ich zjednać nawet obrazowém przedstawieniem nieuniknionego śmiertelnego pojedynku z Europą. Znalazł ich ogromnie roznamiętnionych przeciw dworowi królewskiemu i przeciw temu, co nazywano szuanami; znalazł ich boleśnie dotkniętych okazywaną pogardą dla legji honorowej, gdyż nawet i w tej chwili nie

nosił jej hrabia Roger de Damas. Skutkiem takiego to usposobienia oficerowie, chociaż przekonani byli prawie na pewno o nowej walce z Europą, postanowili stawić jej czoło i umrzeć dla podniesienia Francji, dla oczyszczenia jej, jak mówili, od emigrantów, szuanów, Austrjaków, Rossjan, Anglików, których mięszali razem w tém wyliczaniu, jedną dla wszystkich żywiąc nienawiść.

Nic a nic nie można się było spodziewać przy takiém uprzedzeniu oficerów. Marszałek udał się do hrabiego d'Artois i chociaż żadne nie groziło niebezpieczeństwo jego osobie, oprócz popadnięcia w niewolę Napoleona, znaglał go do natychmiastowego wyjazdu razem z księciem Orleańskim. Co zaś do siebie, postanowił zostać i próbować, czy mu się nie uda zawiązać walki i doprowadzić tym sposobem wojska do stanięcia po stronie restauracji przeciw cesarstwu.

Odprowadziwszy książąt do drzwiczek powozów, powrócił do mostów na Rodanie, chcąc sam dojrzeć wykonania swoich rozkazów. Mosty, w całém znaczeniu tego wyrazu, nie zostały przecięte, gdyż na to nie chcieli pozwolić mieszkańcy; lecz nie były one także zabarykadowane. Co zaś do tych zaciekłych rojalistów, którzy swém postępowaniem tak przeważnie wpłynęli na usposobienie ludności lyońskiej, żaden z nich nie oświadczył się z chęcią wzięcia na siebie munduru żołnierskiego i dania pierwszego wystrzału. Marszałek przy obronie mostów silnie się upierał i kazał sypać szaniec, chcąc mieć obronny przyczółek. Podczas gdy sam kierował temi robotami, jeden żołnierz z piechoty, którego usiłował przekonać, odpowiedział mu z krwią najzimniejszą: Echże, marszałku, jesteście walecznym człowiekiem, który przepędził swe życie w naszych, a nie w emigrantów szeregach. Zrobicie lepiej, jeśli poprowadzicie nas do naszego cesarza, który się zbliża i który przyjmie was z otwartemi rękami.—Nie było ani kary ani przekonania na podobnie usposobionych żołnierzy, to też marszałek ze straszną niespokojnością oczekiwał ukazania się nieprzyjaciela, które, kilku oficerów wysłanych na rekonesans, wkrótce zapowiadało. Była 3cia lub 4ta godzina po południu w Piątek 10go Marca, gdy zapewniano, że Napoleon znajduie się już nie daleko od przedmieścia Guillotière.

Napoleon bowiem, którego opuściliśmy przy jego wyjeździe z Grenobli 9go Marca w południe, nie tracił czasu i doganiał swe wojska, które 8go Marca skierował ku Lyonowi. Jadąc w odkrytym powozie i posuwając się tylko krok za krokiem, z powodu wielkiego napływu ludności, podróż swą odbywał z pewnym rodzajem trjumfu, pośród tłumów wieśniaków, po większej części nabywców dóbr narodowych, oraz ciekawych, pożądających ujrzeć tak nadzwyczajnego człowieka.

Ze wszystkich stron i w każdéj chwili rozlegały się okrzyki: *Niech żyje cesarz! precz ze szlachtą! precz z księżmi!* a przytém Napoleon zmuszony był do zatrzymywania się, dla wysłuchania mów merów i dla odpowiadania na nie w duchu schlebiającym ich namiętnościom. Wieczerzał w Rives, nocował w Bourgoin i podróżował daléj ku Lyonowi, dokąd spodziewał się wejść 10go Marca przed wieczorem.

Około 4 godziny jego straż przednia, złożona z oddziału 4go pułku huzarów, pokazała się przy wjeździe na przedmieście Guillotière, gdzie znajdował się postawiony na czatach oddział 13go pułku dragonów. Zaledwie te dwa oddziały jazdy znalazły się w obec siebie, natychmiast się zbratały, przy okrzykach: *Niech żyje cesarz!* a następnie przebiegały przedmieście, gdzie lud je przyimował temi samemi okrzykami. Wkrótce lud i jazda skierowali się ku mostowi Guillotière. Na skutek powstałego ztąd hałasu, marszałek Macdonald rozkazał dwom bataljonom piechoty, aby udały się za nim, a postępując sam na czele wojska ku mostowi, rozkazał swym oficerom wydobyć szpady, a to celem pociągnięcia żołnierzy i dania pierwszego wystrzału, po którym oczekiwał ocalenia sprawy królewskiej. Wówczas gdy wykonywał te poruszenia, huzary 4go pomięszani z dragonami 13go pułku ukazali się przy moście a wydając okrzyki: *Niech żyje cesarz!* wywołali między strzegącą go piechotą niepokonane wrażenie. Piechury odpowiedzieli okrzykiem: *Niech żyje cesarz!* i rzucili się do śpiesznego zniszczenia szańca, którego robotę rozpoczęli. Ze swej strony huzary i dragoni, przy pomocy ludzi z przedmieścia, wzięli się do dzieła i w przeciągu kilku minut przejście zostało przywrócone. Na widok ten, marszałek tylko o ucieczce myślał, aby uniknąć gorliwości swych żołnierzy, którzy chcieli zaprowadzić go do Napoleona i zmusić do pojednania się z nim. Zatopiwszy ostrogi w bokach konia, puścił się cwałem, w towarzystwie jenerała Digeon i swych adjutantów. Przebiegł przez Lyon co koń mógł wyskoczyć, naciskany przez kilku jeźdźców, którzy bez zamiaru zrobienia mu najmniejszej krzywdy, życzyli tylko złapać i przeciągnąć go na stronę cesarza. Lecz marszałek upierając się przy spełnieniu swej powinności, a to skutkiem honoru żołnierskiego i pojęcia prawdziwych interesów Francji, chciał koniecznie ujść pojednania, które ze strony Napoleona bezwątpienia obsypaneby było względami. Przez kilka mil francuzkich był tak ścigany, a następnie, jak mówili żołnierze, *oddał się swej ciemnej gwiaździe*, za którą z uporem postępował.

Na moście Guillotière zaszła w tej chwili scena zupełnie innego rodzaju. Oczyszczono ten most jak tylko można było najśpieszniej, a niezliczone tłumy, złożone z mieszczaństwa obrażonego przez

rojalistów i z patryjotów prześladowanych od sześciu miesięcy, przy głoszeniu ich za rewolucjonistów, wybiegły na spotkanie Napoleona i pomieszane z żołnierzami ogłosiły go cesarzem. Co zaś do niego, spokojny i przyjmowany jak monarcha wracający do swego państwa, odpowiadał serdecznemi ukłonami na te wymowne świadectwa zapału, rozniesione na wsze strony.

Zajechał nie do zajazdu, jak to był uczynił w Grenobli, lecz do pałacu arcybiskupstwa, który był dla niego domem rodzinnym. Władze cywilne, sądowe i wojskowe pośpieszyły ze złożeniem mu hołdu i pozdrowień. Jak jednym tak drugim powtarzał słowa powiedziane już w Grenobli, lecz tym razem językiem mniej pospolitym, a trochę więcej cesarskim. Powiedział im, że przybył dla ocalenia zasad i interesów rewolucyi, zagrożonych przez emigrantów, dla powrócenia Francji sławy, bez wprowadzenia jej jednak w wojnę, której spodziewał się uniknąć; że przyjmie traktaty podpisane z Europą i będzie żył z nią w pokoju, aby tylko ona nie chciała się mieszać do spraw francuzkich; że czasy się zmieniły, że wypada, aby Francja zadowolniła się większą od innych narodów sławą, bez chęci panowania nad niemi; że tak na zewnątrz jak i na wewnątrz zwróci uwagę na zaszłe zmiany i zapewni Francyi całą wolność, jakiej jest godną i do jakiej jest usposobioną; że jeżeli bardzo rozległa władza jest potrzebną, gdy się ma szerokie plany podbojów, to władza mądrze ograniczona wystarcza do rządzenia Francją spokojną i szczęśliwą; że przybędzie wkrótce do Paryża i pośpieszy z powołaniem narodu, aby utrwalił ustawę cesarstwa i zatwierdził nowy porządek rzeczy.

Przemówienia tak się powiodły w Lyonie, jak się powiodły w Grenobli, i zdawało się do tyla niemożebną rzeczą myśleć inaczéj, że nikt nie zapytywał, czy Napoleon jest szczerym. Po ukończeniu tych mów i przyjęć, pierwszém jego w Lyonie staraniem, podobnie jak w Grenobli, było popchnąć się ku Paryżowi bez straty jednej godziny. Dla tego postanowił, jak poprzednio, zatrzymać wojska które razem z nim tu weszły, aby im zapewnić nieco spoczynku, a wysłać naprzód te, które mu się świeżo poddały i które nie doznały dotąd żadnych trudów. Postanowił także, że konwój jego składać się będzie z tych samych żołnierzy, którzy mu towarzyszyli z Grenobli, a którzy po dniowym wypoczynku będą zdolni do dalszego pochodu. Z załogą Lyonu powinien był mieć przy sobie około 12tu tysięcy żołnierza i park artylleryi, który miał uzupełnić w przechodzie przez Auxonne. Wątpliwą było rzeczą, aby Burbonni mieli czas do wystawienia sił podobnych, a nadewszystko, aby je skłonili do walki. Napoleon jednak nie mógł skierować ku

Paryżowi dywizji Brayer, która mu oddała Lyon, bez poprzedniego zobaczenia i przemówienia do niej. Rozkazał więc przegląd gwardyi narodowej i wojska. Nazajutrz, 11 Marca, rzeczywiście odbył przegląd, na odbudowanym niegdyś przez siebie placu Bellecour, żołnierzy z wyspy Elby, z Grenobli, Lyonu i gwardyi narodowej lyońskiéj. Zwodnicza niestety nadzieja, że na czele rządu będzie człowiek wielki, przywiązany do sprawy rewolucji, zatwierdzający tak skutkiem zdrowego zmysłu jak i konieczności pokoj i zasady rozsądnej swobody, że tym sposobem połączy się potrójna korzyść genjuszu, sławy i pochodzenia ludowego, a to bez wojny i despotyzmu, nadzieja ta opanowała umysły i oddała Napoleonowi serca Lyończyków, dopiero od lat trzech cierpiących skutkiem jego błędów. Przebiegł front dywizji Brayer, podziękował jej z godnością, jako jenerał, który umie przemawiać do żołnierzy i rozkazał natychmiast wychodzić dla zdobycia mu nowych miast i nowych pułków.

Wróciwszy do arcybiskupstwa zajął się bezzwłocznie administracją, której rozwiane nici na każdym podejmował kroku. Młody Fleury de Chaboulon, w powrocie z Neapolu, upadł mu do nóg upojony radością, widząc cesarza tak szczęśliwie wychodzącego ze wszystkich niebezpieczeństw na morzu i lądzie. Napoleon przyjął go z dobrocią i przeznaczył natychmiast do swego gabinetu. Następnie pomyślał o naznaczeniu prefekta do Lyonu. Jak tośmy widzieli, w Grenobli był niezadowolony z nagłego wyjazdu p. Fourier. Lecz wkrótce uspokojony jego tłumaczeniem, kazał mu przybyć do Lyonu, a Fourier, nie zdolny do zdradzenia władzy upadającej, jak również nie zdolny do stawiania oporu wznoszącej się, pośpieszył z przybyciem, Napoleon przyjął go nad podziw, następnie znajdując stosownem a nawet uderzającem mianowanie prefektem Lyonu prefekta, który chciał mu zamknąć drogę do Grenobli, postawił go na czele departamentu Rodanu, co też p. Fourier przyjął bez trudności.

Z temi rozporządzeniami administracyjnemi Napoleon łączył daleko ważniejsze. Przybywszy do Lyonu, uważał się już za zupełnie powróconego do władzy najwyższej i postanowił też jej użyć dla uderzenia w samo serce przeciwnych sobie potęg. Postanowił więc rozwiązanie obudwu izb Ludwika XVIII, wywodząc przeciw każdej najwłaściwsze powody do zdarcia z nich uroku. Wyrzucał izbie parów, że składała się z byłych senatorów cesarstwa, którzy weszli w stosunki ze zwyciężkim nieprzyjacielem, lub też z emigrantów, którzy wprowadzeni zostali przez nieprzyjaciela. Izbie zaś deputowanych oświadczył, że jej mandaty już się skończyły, a przynajmniej dwom trzecim jej członków

że była ona także gotową do znoszenia się z nieprzyjacielem, nakoniec, że uchwaliła prawo gorszące i przeciw narodowe, zatwierdzając, pod pozorem opłacenia długów króla, summę trzydzieści miljonów, przeznaczoną na opłacenie kosztów dwudziestoletniej domowej wojny.

Po tém zadaniu ciosu izbom istniejącym, należało mieć się na baczności, aby nie wzbudzić w umysłach podejrzenia o odradzaniu się tego olbrzymiego despotyzmu, który przez ciąg lat piętnastu sam jeden chciał istnieć i samowolnie rozrządzać przeznaczeniami Francji. Rozwiązawszy więc izby królestwa, Napoleon zarządził środki do utworzenia izb cesarstwa. Postanowił bowiem, że całe ciało wyborcze, zebrane za dwa miesiące w Paryżu jako Wiece narodowe, na obrady o sprawach państwa (Champ de Mai), będzie tu uczestniczyć przy namaszczeniu cesarzowej i króla rzymskiego i do ustawy cesarstwa wprowadzi zmiany wymagane duchem czasu i potrzebą rozsądnej wolności. Było to pośrednie oznajmienie, bez zupełnego jednak przyrzeczenia, o bliskiém przybyciu Marji Ludwiki i króla Rzymskiego, o powołaniu całego kraju, aby sam wpłynął na rozwój swych instytucji, do wzięcia wszechwładztwa ludowego za podstawę rządów cesarskich, nie zaś praw pochodzących od Boga, na które powoływali się Burboni.

Napoleon nie ograniczając się na uderzeniu w wielkie ciała państwa, składające rząd Burbonów, i na zapowiedzeniu utworzenia w krótkim czasie nowego porządku rzeczy, zamierzył kilkoma zręcznie użytemi środkami pociągnąć ku sobie głównych dostojników. Burboni niegdyś zapowiedzieli przetworzenie władz państwa, a zwłócząc rzeczone przetworzenie, w ciągłej obawie utrzymywali urzędników. Napoleon zaś obecnie ogłosił za żadne wszelkie mianowania i złożenia z urzędów od Kwietnia 1814 roku i rozkazał wszystkim byłym urzędnikom cesarstwa, aby natychmiast powrócili do sprawowanych poprzednio obowiązków. Było to obsadzenie władz wszystkich jedném pociągnięciem pióra. Nie zrobił wzmianki o prefektach i podprefektach, którzy po większej części byli z czasów cesarstwa i pozostali w służbie za restauracji, gdyż nic o nich dotąd nie postanowiono, a których wielką liczbę prawdopodobnieby usunięto, skoroby tylko przystąpiono do zapowiedzianego przetworzenia władz państwa. Do kroków tych, które polityka usprawiedliwiła, dodał jeszcze inne, trudniej dające się wytłumaczyć, a przeznaczone już to dla schlebienia namiętnościom stronnictwa rewolucyjnego i wojskowego, już też dla ułagodzenia lub utrzymania pewnych nieprzyjaciół wielkiego znaczenia, przez nastraszenie ich, bez wymierzania żadnego ciosu. Wydał postanowienie, że emigranci, którzy powrócili do kraju z pominięciem wydanych w tym względzie urządzeń przed rokiem

1814, zostaną zmuszeni do wyjazdu za granicę, ci zaś z pomiędzy nich, którzy otrzymali stopnie wojskowe, mają natychmiast złożyć swe szlify i opuścić szeregi. Środek ten, nazbyt surowy, choć zresztą nieunikniony, gdyż ze zmianą rzeczy sami żołnierze gwałtownieby wypędzili z szeregów oficerów emigrantów, których im narzucono, nie miał jednak tej doniosłości jak inny, który nie mógł być usprawiedliwiony koniecznością i który skutkiem rozgłośnego imienia dotkniętych, mógłby opłakane wydać następstwa. Napoleon bowiem podobne prawo chciał rozciągnąć na pp. de Talleyrand, de Dalberg, de Vitrolles, Marmont, Augereau i innych, z których jedni sprowadzili nieprzyjaciela, a drudzy weszli z nim w układy. Zredagował więc postanowienie, oddające pod sąd, a tymczasem zajmujące majątki pp. Talleyrand, de Dalberg, de Vitrolles, p. Lynch, mera z Bordeau, marszałków Marmont i Augereau, pod pozorem, że wszyscy bez wyjątku byli w porozumieniu z najezdcami kraju. Ponieważ większa ich część nie znajdowała się w kraju, a inni niezaniedbaliby wcześnie się wynieść, więc była to jedynie groźba, mogąca dotknąć jedynie majątki i któraby ustała, jeżeliby te osoby oświadczyły się z chęcią pojednania się z cesarstwem. Był to więc ze strony Napoleona czyn gwałtownej reakcji, stojący w zupełném przeciwieństwie z przyrzeczoném w pierwotnych odezwach zapomnieniem przeszłości, który mógłby bardzo wiele zrobić złego przez rzucenie postrachu. Wielki marszałek Bertrand, powrócony do obowiązków szefa głównego sztabu, powinien był kontrassygnować te postanowienia, będące w pewnym rodzaju wojskowemi. Szlachetny jednak charakter wielkiego marszałka nie mógł się na to zgodzić, a ztąd żywo się oparł położeniu swego podpisu. Utrzymywał on, że użycie podobnych środków zniszczy wszelkie zaufanie do obietnic Napoleona i da powód do podniesienia krzyków jego nieprzyjaciołom, że wrócił do Francyi pełen urazy i bardziej jeszcze zatwardziały w przyzwyczajeniach despotycznych. Napoleon odpowiedział wielkiemu marszałkowi, że nie pojmował polityki, że łaskawość nie wyda żadnych owoców bez domięszania do niej pewnej dozy surowości, nadewszystko ze względu na niebezpiecznych nieprzyjaciół, a kilku nawet nieubłaganych; że w rzeczywistości nie zamierza stosować surowości, czego dał dowód mianowaniem p. Fourier prefektem Lyonu, pomimo że tak był głośno przeciw niemu wystąpił; że należy przecież inaczej obejść się z tymi, którzy ulegli w obec okoliczności, a niżeli z tymi, którzy weszli w związki z nieprzyjacielem, podczas gdy dobrzy Francuzi przelewali krew na granicach; że ten pozór surowości zadowolni niezmiernie tych, którzy składali jego stronnictwo we Francyi; że zresztą chce tylko nastraszyć a nie uderzyć i że gotów do otwarcia ramion dla

każdego, kto tylko objawi zamiar pogodzenia się z cesarstwem. Pomimo to wszystko Napoleon dał się zmiękczyć przedstawieniami wielkiego marszałka Bertrand, który mu starał się dowieść, że nie należy zamykać drogi do pojednania i odstręczać ludzi groźbami. Postanowienie więc to zostało odroczone do późniejszego czasu.

Przed opuszczeniem Lyonu Napoleon napisał znowuż do Marji Ludwiki, uwiadomił ją o postępach swego pochodu, oznajmił o trjumfalném wejściu do Pazyża 20 Marca, to jest w dniu urodzin króla Rzymskiego i naglił ją nakoniec, aby powróciła do Francji. Wyprawił posłańca do swego brata Józefa, który zamieszkiwał w kantonie Vaud, prosząc go o odesłanie do Wiednia przesyłającego się listu do Maryi Ludwiki i uwiadomienie jej z swej strony o jego zadziwiających powodzeniach, upoważniając zarazem do urzędowego oświadczenia wszystkim ministrom mocarstw europejskich, znajdującym się w Szwajcarji, że ma stały zamiar utrzymania pokoju na warunkach traktatu paryzkiego.

Dopełniwszy tego wszystkiego postanowił opuścić Lyon dnia 13go Marca zrana, zabawiwszy tu tylko przez 11 i 12 t. m., to jest przez czas konieczny na zgromadzenie wojsk, które nadchodziły z Grenobli, na danie im wypoczynku przez dzień jeden i na wysłanie za dywizją Brayer, która wyszła z Lyonu 11go Marca. Zastanowiwszy się na dwoma drogami prowadzącemi z Lyonu do Paryża, to jest przez Burgundję i Bourbonnais, postanowił udać pierwszą, jako pewniejszą, z powodu usposobienia mieszkańców.

Wszystko wróżyło, że Napoleon w dalszej swej podróży zarówno spieszném i zupełném cieszyć się będzie powodzeniem, jakie mu sprzyjało w La Mure i Lyonie. Tymczasem rozpoczęto żywe działania tak na jego skrzydłach jak również i tyłach. Marsylczycy bowiem dowiedziawszy się o jego wylądowaniu, uniesieni zostali niehamowaném rozdrażnieniem. Zdawało im się, że widzą swój port zamknięty na nowo i że ich niedola trwać będzie jeszcze lata, a ztąd żądali, aby wszyscy śpieszyli przeciw temu, którego nazywali *rozbójnikiem z wyspy Elby*. Marszałek Masséna, przeznaczony, pomimo swej sławy, na znoszenie niesprawiedliwości od obydwóch dynastji, nie mógł się więcej obelżpić Napoleonem jak Ludwikiem XVIII. Zniechęcony do wszystkiego, wyjąwszy spoczynku, sądził o położeniu z wysokości zdrowego swego na rzeczy poglądu i szczerego patrjotyzmu. Przywiązany sercem do rewolucji, lecz obawiając się przytém nowej walki z Europą, widział w Ludwiku XVIII kontrewolucję, a w Napoleonie wojnę, a ztąd nie miał szczególnej skłonności tak do jednej jak i drugiej strony. W po-

dobném usposobieniu spoglądał z przykrością raczej niż z radością na usiłowania dawnego swego cesarza i postanowił zamknąć się w ścisłém spełnieniu swych powinności żołnierskich. Ustępując żądaniom Marsylczyków, pozwolił im wyjść w liczbie dwunastu czypiętnastu setek, pod zasłoną dwóch pułków piechoty, które w tornistrach miały ukryte trójkolorowe kokardy. Kolumna ta skierowała się ku Grenobli, dla wpadnięcia na tyły Napoleona, lecz nie mogła mu wyrządzić wielkiej krzywdy, będąc oddaloną blisko o sto mil francuzkich. Masséna zaś przedsięwziął wszelkie ostrożności w Tulonie, aby przy namiętności stronnictw nie wydano tej ważnéj twierdzy Anglikom, a zarazem pozostawił sobie odpowiednie siły w Marsylji, nie chcąc pozostać na łasce szalonej ludności.

W Nimes zaczęły się gromadzić wojska linjowe, na czele których miał stanąć książe d'Angoulême. Lecz siły te, jakkolwiek zbierane na tyłach Napoleona, nie mogły go nazbyt niepokoić, z powodu odległości, w jakiej się znajdowały od niego. Najważniejszemi były poruszenia marszałka Ney, wysłanego do Franche-Comté i przeznaczonego do zwrócenia się przez Besançon i Lons-le Saulnier na skrzydło Napoleona. Mógł on więc dosięgnąć wojska cesarskie, lecz trudno mu było zgromadzić sześć tysięcy ludzi, którzy albo by się bili przeciw przekonaniu, albo też śmieliby uderzyć na dwanaście do piętnastu tysięcy wiarusów Napoleona, przepełnionych zapałem i gotowych przejść po trupie każdego, ktokolwiek ośmieliłby się stanąć im na drodze. Ostatnie to niebezpieczeństwo nie było zbyt niepokojącém, lecz obawa starcia nadzwyczaj zajmowała Napoleona, gdyż miał nadzieję i zamierzał przybyć do Paryża bez rozlania kropli krwi francuzkiej. Skutkiem tych przeto powodów usiłował uniknąć wszelkiego starcia, lecz postanowił nie pisać ani do marszałka Ney, ani też do innych, chcąc wszystko zawdzięczać żołnierzom, względem których nie obawiał się być obowiązanym, nie zaś dowódzcom, z których nie mógł być zadowolonym w czasie swego upadku i od których nie życzył sobie przyjmować żadnych warunków. Jednak wielki marszałek Bertrand nie zachowywał tak wielkiej oględności. Napisał on do Neya, dla odmalowania mu trjumfalnego pochodu od Cannes do Lyonu, wróżąc zarazem podobne powodzenie aż do Paryża, aby mu dać ważność postanowienia, jakie zamierzał przedsięwziąść, niebezpieczeństwo tegoż postanowienia dla niego i bezużyteczność dla Burbonów wszelkiego wystąpienia przeciw sprawie cesarskiej. Zobowiązał kilku starych podoficerów z wyspy Elby, aby udali się do korpusu Neya i rozniesli w nim ogień pożerający ich wszystkich. Zresztą bardzo prawdopodobną było rzeczą, że się przejdzie

Macon i Chalon, jedynie niebezpieczne miejsca dla skrzydeł, za nim Ney będzie mógł rozpocząć działanie. Napoleon opuścił Lyon 13 Marca z rana, zapowiadając wszystkim, że 20 będzie w Paryżu. Bardzo bowiem prawdopodobną było rzeczą, że szybkość jego orła *przelatującego z dzwonnicy na dzwonnicę*, jak to był powiedział, nie będzie mniejszą z Lyonu do Paryża, a niżeli z Cannes do Lyonu.

Zbliżając się ku Burgundji, Napoleon spotykał ludność do najwyższego ożywioną stopnia, które to usposobienie zepewniło zupełny trjumf pierwszej części wyprawy. Kraj skropiony Saoną szczególniej kwitnął za czasów cesarstwa, gdyż w ówczas kommunikacje rzeczne zastępowały brak kommunikacji morskich, a Saona była drogą handlu lądowego. Niezależnie od tych okoliczności, obecność w 1814 roku nieprzyjaciela, tak źle odpieranego przez marszałka Augereau, do rozpaczy doprowadziła mieszkańców, którzy ożywieni byli gorącym patrjotyzmem, jak wszyscy z prowincji pogranicznych. Nieroztropność szlachty i duchowieństwa dokonały reszty, to też Franche-Comté i Burgundja były zarówno jak Delfinat usposobione do otwarcia swych ramion na przybycie Napoleona. Nadewszystko miasta Macon i Chalon na wieść o zaszłych wypadkach w Grenobli i Lyonie, uniesione zostały prawdziwą gorączką. Napoleon zatrzymał się kilka chwil w Villefranche i udał się na noc do Macon, podróżując w pośród napływu ludności i nadzwyczajnego zapału. Dowiedziawszy się o jego bliskiém przybyciu, mieszkańcy Macon opanowali miejsca posiedzeń władz rządowych i dokonali sami rewolucji. Poruszenie bowiem umysłów było tak wielkie, że samo zbliżanie się Napoleona wywarło tenże skutek, jaki przed kilku dniami jego tylko obecność mogłaby sprawić. Przyjęty był w Macon z uniesieniem niesłychanem: lud wybiegł na spotkanie w nieładzie, zmięszany z żołnierzami, którzy albo opuścili swych oficerów, albo też zmusili ich do przewodniczenia sobie. *Precz ze szlachtą! precz z księżmi! precz z Burbonami! niech żyje cesarz!* były przeciągłemi okrzykami tłumu złożonego z wieśniaków, żołnierzy, marynarzy z Saony, i ożywiającemi wszystkie uczucia narodowe i rewolucyjne, które Burboni tak nie roztropnie zwarzyli.

Napoleon przyjął władze miejskie, rozmawiał poufnie z tym z mieszkańców, którzy się do niego zbliżyli, powiedział im dla czego opuścił Elbę, prawie temi samemi słowami jak w Grenobli i Lyonie, prawił im o pokoju, o wolności, i zachwycił wszystkich tą dobrodusznością w wielkości, któréj umiał tak zręcznie używać, jeżeli chciał zadać sobie nieco trudu. Zapytał jednego urzędnika miejskiego, dla czego w ówczas, gdy tak dzielnie trzymał się w Chalon przeciw

Austryjakom, tak źle się broniono w Macon, gdzie uczucia i odwaga zawsze też same?—To wasza wina, odpowiedział naiwnie Makończyk. Daliście nam złych naczelników, pozostawiliście nas bez broni i bez dowódzców, więc też nic nie mogliśmy zrobić gołemi rękami.—Cesarz uśmiechnął się i odpowiedział mu: To dowodzi, mój przyjacielu, żeśmy wszyscy robili błędy; lecz nie potrzeba do nich powracać. Zaufamy odtąd tylko prawdziwym patrjotom, nie pójdziemy zagranicę szukać cudzoziemców, ale jeżeli przyjdą do nas, to przyjmiemy ich w sposób taki, że utracą chęć powrócenia jeszcze.

Po zabawieniu czas jakiś w towarzystwie tych dobrych ludzi, udał się na spoczynek, zamieniając nazajutrz wyruszyć w dalszą do Chalon drogę.

Napoleon dotykał do drugiego stanowczego punktu w swém przedsięwzięciu, to jest do możliwego spotkania się z marszałkiem Ney. Nie obawiał się on samego spotkania, gdyż zgromadził już do koła siebie więcej jak połowę wojsk zebranych przez Burbonów na wchodzie Francji, to jest od 12 do 15 tysięcy żołnierza. Tym czasem wedle wszelkich wskazówek, marszałek mógł mieć tylko do 6 tysięcy ludzi, prawdopodobnie źle usposobionych i zupełnie zatopionych w pośród ludności przywiązanej do sprawy cesarstwa i rewolucji. Trudno jednak było odgadnąć, co może zrobić *kiepska głowa* marszałka, jak wyrażono się powszechnie, a Napoleon aż nazbyt obawiał się starcia, pomimo że jego skutek był niewątpliwy, gdyż ten skutek odjąłby mu zawsze coś z uroku w tym spokojnym podboju Francyi, dopełnionym bez najmniejszego krwi rozlewu. Wielki marszałek Bertrand, jak tośmy już mówili, napisał był w swém własném imieniu do marszałka Ney, chcąc go natchnąć powźnym na rzeczy poglądem. Co zaś do Napoleona, ten zadowolnił się na przesłaniu mu rozkazów, jak gdyby Ney nie wydalił się nigdy z pod jego dowództwa. Rozkazał mu skierować swe wojska na Autun i Auxerre, gdzie będzie na nie oczekiwał dla zrobienia przeglądu. Co więcej, bardzo już blisko znajdowano się marszałka Ney, gdyż mówiono że przybył do Lons-le-Saulnier, a jeżeli kilku ludzi roztropnych nabawiało się niepokojem, to przecież cesarz uważał Neya i jego żołnierzy za zarówno podbitych, jak wszystko to co się tylko dało spotkać pomiędzy La Mure i Macon.

Zbliżała się rzeczywiście chwila, w której miał się spełnić jeden z najdziwniejszych wypadków długiej i zadziwiającej rewolucji francuzkiej. Jenerał Ney zupełnie obcy działaniom jenerałów Lallemand i Lefebre-Desnoëttes, pokłócony oddawna z marszałkiem Davout, przekonany, że Napoleon żywi doń urazę za postąpienie w Fontainebleau,

nie mając przeto żadnego związku z Bonapartystami, uczuł zmniejszające się swe uprzedzenia przeciw Burbonom, skoro tylko dowiedział się o wylądowaniu w zatoce Juan, uważając ten wypadek za przedłużenie wojny europejskiej i rozpoczęcie być może domowej. To też z bardzo dobrą wiarą przyrzekł Ludwikowi XVIII, że wszystkiemi swemi siłami będzie stawiał opór pochodowi Napoleona.

Przybywszy do Besançon, robił z gorliwością, rozsądkiem i postanowieniem wszystko to, czego tylko wymagały okoliczności. Prawie nic nie było gotowém czego tylko potrzebował do złożenia korpusu wojska, bądź to skutkiem okoliczności, bądź też błędów ministerstwa wojny. Zastępował braki czém tylko mógł, uskarżając się na ministerjum ze zwyczajną sobie gburowatością. Znalazłszy rojalistów zgnębionych i mało usposobionych do podtrzymywania czynem tej zarozumiałości, która tyle zaszkodziła Burbonom, uniósł się przeciwko nim i zdołał podnieść umysły tą wrodzoną energją, która świeciła w jego oczach, odzywała się w głosie i ukazywała, jedném słowem, we wszystkich poruszeniach tego bohatera. Rojaliści miejscowi pomimo że stracili wiarę w powodzenie, zachwycali się przecież jego uczuciami i jego postawą.

Po wydaniu rozkazów względem urządzenia pociągów do kilku dział, do robienia ładunków, do zastąpienia nakoniec brakujących zapasów, postanowił podzielić swe wojsko na dwie dywizje, pod dwoma jenerałami zaufania. Mógł rozporządzać pięcioma pułkami piechoty, to jest 15ym lekkim, rozłożonym w Saint-Amour, 81ym linjowym z Poligny, 76ym w Bourg, 60ym i 77ym, znajdującemi się już w Lons-le-Saulnier, i trzema pułkami jazdy, to jest 3im dragonów stojącym w Lons-le-Saulnier, 8ym strzelców, będącym już w drodze do tego miasta i 6ym huzarów, wysłanym do Auxonne dla strzeżenia tam zakładów artylleryjskich. Przyrzeczono mu nadto nadesłać 4ty linjowy i 6ty lekki, które mogły dopiero tu przybyć w przeciągu dni dziesięciu. Na dowódzców dwóch swoich dywizji wybrał jenerałów: de Bourmont i Lecourbe. Jenerał de Bourmont, komendant Besançon, znajdował się pod ręką. Były dowódzca Szuanów, dawał wszelką rękojmię rojalistom; odznaczony usługami wojskowemi, za czasów cesarstwa, aż nazbyt mógł być przedstawiony żołnierzom. Odpowiadał więc zupełnie swemu przeznaczeniu i nie mógł wymówić się od czynnego działania, gdy tylko chodziło o bronienie sprawy Burbonów. Jnaczej się rzeczy miały z jenerałem Lecourbe. Oficer ten, najzdolniejszy w swym czasie do prowadzenia wojny w górach, był starym republikaninem, usuniętym przez cesarza, przemieszkującym w swych dobrach i nieposiadającym zarówno łask Burbonów jak i Napoleona. Ney zaprosił go do siebie, powołał się

na dawne towarzystwo broni w armii reńskiej, na wspólny ich wstręt do despotyzmu cesarskiego, na nieszczęścia sprowodzone na Francję dumą Napoleona, na niebezpieczeństwa jakiemi ta duma groziła jeszcze i jakkolwiek znalazł go w zapomnieniu urazy do Napoleona, to przecież przestraszonego jego powrotem, który mógł sprowadzić wojnę domową i zagraniczną, a ztąd skłonił do przyjęcia dowództwa jednej z dwóch dywizji, jakie usiłował sformować w Franche-Comté.

Po ukończeniu tego porozumienia się i wystawieniu pociągów artylleryjskich, marszałek wyjechał do Lons-le-Saulnier z jenerałami Lecourbe i de Bourmont. Przybywszy do tego miasta 12go Marca zrana, zastał 60ty i 77my pułki piechoty i 5ty dragonów. Oczekiwano tu jeszcze na 87 pułk strzelców konnych. Dwa przedstawiały się podówczas pola działania: albo rzucić się do Lyonu, jeżeliby był czas jeszcze do wzbronienia Napoleonowi wejścia do tego miasta, albo też, jeżeliby było już zapóźno, zwrócić się w prawo i skierować nad brzegi Saony, aby w Burgundji przeciąć drogę prowadzącą do Paryża. Lecz zaraz za przybyciem do Lons-le-Saulnier Ney dowiedział się, że Lyon został już opuszczony, a sam zaczął spostrzegać ogromne wrażenie spowodowane zbliżaniem się Napoleona. Żołnierze nic nie mówili, lecz pomimo milczenia z oczów ich można było wyczytać głębokie wzruszenie. Ludność ciekawa i niespokojna poszukując nowin, chciała je mieć korzystne dla Napoleona i bynajmniej nie taiła się ze swemi uczuciami. Duchowieństwo zamknęło się w kościołach. Upadła na duchu szlachta nadbiegła do marszałka, szukając w nim tego zaufania, jakie sama utraciła. Hrabia de Grivel, dawny wojskowy, inspektor gwardyj narodowych, rojalista zagorzały, przybył do marszałka z ofiarą swej szpady na ocalenie sprawy królewskiej, tak mocno narażonej.

Marszałek Ney poznał już kłopoty w jakie się rzucił, lecz o ile bardziej uczuwał w swém sercu panujące do koła niego wrażenia, o tyle silniej pracował na oswobodzeniem się od nich. Odpowiadał rojalistom, którzy mu prawili o ważności położenia, że je znał dobrze, że to nie było małą rzeczą stawić czoło Napoleonowi, lecz że trzeba mieć zawsze odwagę do spełnienia tego, co się zamierza; że nie potrzebował przy sobie ludzi drżących ze strachu, a ztąd pozwalał na wydalenie się wszystkim bojaźliwym; że weźmie broń, da pierwszy wystrzał i zmusi żołnierzy do bicia się. Nieprzytomni ze strachu rojaliści ściskali mu ręce przy słuchaniu podobnych słów, świadczyli o swej wdzięczności a nawet w uwielbieniu, lecz nie pokazywali mu aby mieli wielkie nadzieje, gdyż te były aż nazbyt słabe. Postawa bowiem wojska była rozpaczliwa.

W kilka godzin po swojém przybyciu, marszałek Ney kazał wystąpić na przegląd znajdującym się tu pułkom. Rozwinął szeregi 60go i 70go linjowych, 5go dragonów i 8go pułku strzelców konnych. Po staranném ich przejrzeniu zgromadził oficerów do koła siebie i przemówił do nich stanowczo i z ogniem. Przypomniał im, że towarzyszył Napoleonowi od Moskwy aż do Fontainebleau, że skutkiem tego służył mu aż do ostatniej chwili, lecz po jego złożeniu korony przysiągł, zarówno jak oni, Burbonom, i postanowił pozostać wiernym przysiędze; że odbudowanie cesarstwa koniecznie musi sprowadzić na Francję wylew nieszczęść, że ściągnie na jej bary całą Europę i będzie powodem do rozpoczęcia na nowo niszczących wojen; że każdy dobry Francuz powinien się temu sprzeciwić; że ze swej strony już to postanowił, nie chcąc jednakże przymuszać nikogo, a ztąd jeżeliby pomiędzy nimi znajdowali się tacy, których uczucia nie są w zgodzie z obowiązkami, to niech to oświadczą, a uwolni ich bezzwłocznie, z zapewnieniem, że ich nie dotknie inna kara nad opuszczenie szeregów, gdyż przy sobie musi mieć ludzi tylko pewnych i poświęconych.

Pomimo niezaprzeczonego wpływu na wojska, marszałek za jedyną odpowiedź otrzymał grobowe milczenie, które mu dowodziło, że należy uwolnić z szeregów prawie wszystkich oficerów, jeżeli przy sobie ma mieć tylko ludzi podzielających jego przekonanie. Zaledwie rozstąpiło się koło oficerów, gdy adjutanci marszałka donieśli mu, że ze wszystkich szeregów dają się słyszeć najnieprzyjaźniejsze słowa.—Czyż potrzebujemy, mówiła przez zęby większa część oficerów, aby nam prawił takie rzeczy marszałek? Czyż on nie wie co my myślemy? Czyż on nie powinien myśleć podobnie jak my? Jesteśmy w szeregach i doczekamy się w dobrym porządku co los postanowi. Niech oczekuje jak my i pozwoli otaczającym go rojalistom robić szaleństwa, bez mięszania się do manifestacji, które mu wcale nieprzystoją.

Słowa te powtórzone marszałkowi, bardziej się jeszcze mu nie podobały od zniechęcenia rojalistów, składających sztab jego.—Niech idą precz, powtarzał z pewnym rodzajem nerwowego rozdrażnienia, niech idą precz, jeżeli się trzęsą z bojaźni, niech mnie zostawią samego, a będę umiał wziąść broń z rąk grenadjera i dać pierwszy ognia.

O ile bardziej wrażenia powszechne dostawały się do jego silnego serca, o tyle więcej się bronił, a tą wewnętrzną w sobie walką rozczulał przewidujących rojalistów, nie dodając im jednakże zaufania, a zasmucał Bonapartystów, zgryzionych że go widzą na tej drodze bez wyjścia. Wielu oficerów hrabiego d'Artois, a między nimi książe de Maillé, przybyło do niego. Gorzko narzekał on przed nimi na tak łatwe

opuszczenie Lyonu, zaklinał hrabiego d'Artois, aby ani krokiem nie cofnął się dalej, aby obrotem w lewo połączył się z nim nad Saoną, ku czemu on sam wykona poruszenie w prawo i utrzymywał, że jeżeli ich wojska się połączą, to przynajmniej będzie można powstrzymać nieprzyjaciela. Przyrzekał, zawsze z tą samą szczerością, że pierwszy da hasło do walki i dodawał, że skoro tylko nadejdzie jego artylleryja, a prawdopodobnie nazajutrz, skieruje się na Macon lub Chalon na spotkanie hrabiego d'Artois. Nie wiedział nic, nieszczęsny, że nazajutrz to nie hrabia d'Artois, który już powrócił do Paryża, lecz Napoleon będzie się znajdował nad Saoną.

Nazajutrz, 13go Marca, gdy Napoleon podróżował do Macon, położenie przybrało na raz najsmutniejsze pozory. W każdej chwili otrzymywano wiadomość, że wybuchnął pożar powstania, już to na tém już na inném miejscu, a to w sposób, że marszałek widział się nim otoczony ze stron wszystkich. P. Capelle, prefekt z Ain, przybył około południa, ścigany przez mieszkańców Bourg, którzy powstali. Rozłożony tu 76ty pułk linjowy połączył się z mieszkańcami dla zatknięcia trójkolorowej chorągwi. Bliżej jeszcze, w Saint-Amour, 15ty lekki zagrażał podobném postąpieniem. Około 10 wieczorem oficer przybyły z Macon przyniósł wiadomość, wysłaną przez samego prefekta, że miasto Macon powstało i wypędziło władze królewskie. O północy nadeszło od mera w Chalon zawiadomienie, że bataljon 76go linjowego pułku, konwojujący artyllerję, na którą marszałek z taką niecierpliwością oczekiwał, zbuntował się i poprowadził tęż artyllerję do Napoleona. W godzinę później oficer przybyły drogą z Burgundji opowiadał, że 6ty pułk huzarów, dowodzony przez księcia de Carignan, pomaszerował do Dijon dla zrobienia powstania w tém mieście, a jeszcze w godzinę później jenerał Heudelet uwiadamiał że ta stolica Burgundji, idąc za popędem danym przez miasta sąsiednie, ogłosiła przywrócenie cesarstwa.

Liczne te wiadomości, z kolei dochodzące do marszałka w tej nieszczęsnej nocy, stawały się dla niego pchnięciami sztyletu. Nie mogąc usnąć z powodu ciągłego przerywania tak strasznemi wrażeniami, wstał i zaczął się przechodzić w różnych kierunkach, oczekując na nowe i boleśniejsze jeszcze ciosy. Wiedział on, że pewna liczba żołnierzy z Elby przybyła do Lons-le-Saulnier z Lyonu, zmięszała się z jego wojskami i starała się poddmuchnąć w nich płomień powstania.

Gdy znajdował się w tym stanie wzburzenia, wśród nocy przybyło doń dwóch negocjantów, którzy w tymże dniu wyjechali z Lyonu i opowiadaniami swemi wywarli na marszałka głębokie wrażenie. Opowiedzieli mu bowiem z jaką to łatwością odbyła się rewolucja w Lyonie

na korzyść cesarstwa, dowodzili o bardzo wielkiém prawdopodobieństwie, że ta rewolucja dokonywa się już w Paryżu, i przekonywali o bezużyteczności rozlewu krwi w zamiarze jej powstrzymania. W tejże chwili przybyli także oficerowie, przywożący list wielkiego marszałka Bertrand, osobiście znanego marszałkowi Ney, z upoważnieniem udzielenia ustnych dodatków do wręczonego pisma. Oficerowie ci, mięszając prawdę z kłamstwem i powtarzając, że słyszeli to co mówią od osób otaczających Napoleona, zgubne poczynili dodatki do słów wielkiego marszałka Bertrand. Utrzymywali oni, że wszystko oddawna było ułożone pomiędzy Paryżem wyspą Elbą i Wiedniem; że olbrzymie sprzysiężenie w Paryżu ogarnąwszy wszystkie wojska aż do ministra wojny, już obaliło albo też niebawem obali Burbonów; że Napoleon postawiony w środku tych działań, był w zgodzie z swym teściem; że jenerał austrjacki Kohler umyślnie przyjeżdżał dla porozumienia się z nim w Porto-Ferrajo, że nawet okręta oddaliły się rozmyślnie dla wolnego przepuszczenia flotylli cesarskiej; że mocarstwa strudzone już Burbonami zgadzają się na przyjęcie Napoleona, jeżeli zobowiąże się do zachowania pokoju i poprzestania na traktacie z 30go Maja, co już cesarz uroczyście przyrzekł: że tym sposobem wszystko już zostało urządzone i ułożone i że byłoby szaleństwem stawiać opór rewolucji przygotowanej potężną ręką, której skutk tak niepokojące z pozoru, ułożone zostały z góry.

Z poprzedniego wyłożenia rzeczy wiadomo, o ile było prawdy w tych opowiadaniach. Są one zawsze dowodem, że w chwilach przesilenia bardzo łatwo puścić w obieg kłamstwo, za pomocą kilku słów łatwo zebranych i nierozsądnie wytłumaczonych. Rzeczywiście Napoleon pozwalał przewidywać zgodę z Austrją, bez przyznawania jej przecież; p. Fleury de Chaboulon opowiadał coś w sztabie o szalonych działaniach jenerałów Lefebvre-Desnoëtes i Lallemand, którzy, jak to wiadomo, nie mieli żadnych stosunków z wyspą Elbą, a z tych błachych wskazówek utkano wątek fałszywych wieści dla marszałka Ney. – Oto, powiedział sobie, wiem co znaczą te słowa Bertranda, że przedsięwzięto wszelkie środki w sposób nieomylny, a tymczasem wysłano mnie jednego na pokonanie rewolucji pożądanej, przygotowanej przez wszystkich, a nawet przez Europę....—Od tej więc chwili marszałek uważał się za oszukanego, za ofiarę własnej nieświadomości, za poświęconego na podtrzymywanie zgubionej sprawy, a nie mogąc nawet stoczyć walki, gdyż jego żołnierze nie chcieliby pójść za nim, jeśliby nawet skłonił niektórych do próżnego krwi rozlewu, stałby się za nią ciężko odpowiedzialnym przed Napoleonem i przed Francją. Myśl pójścia prawie bez żołnierzy przeciw swym starym towarzyszom broni, a to dla obrony dworu, który

napoił poniżeniem tak jego samego jak i jego żonę, dla usunięcia zresztą klęsk, w które już nie wierzył, gdyż Napoleon zdawał się być w zgodzie z mocarstwami, zdawało mu się myślą szaloną, od której koniecznie należało odstąpić.

Lecz jakże teraz wziąść się do dzieła po takiém zabrnięciu, po takiém przyrzeczeniu walczenia do upadłego z Napoleonem? Nieszczęśliwy marszałek wydany był na pastwę strasznych niepokojów. Starano się mu wytłumaczyć, że pozostawał tylko jeden środek działania, to jest działania otwartego, przez oświadczenie naprzykład w rozkazie dziennym do wojska, że cała Francja stanowczo oświadczyła się za Napoleonem, a ztąd że marszałek, jako posłuszny służebnik Francyi, nie chce wywoływać wojny domowej, za dynastję nieprzyjacielską sławie narodowej i na zawsze potępionej skutkiem swych błędów. Zredagowano odezwę w podobnej myśli i Ney zdawał się usposobionym do jej ogłoszenia, a przynajmniej do przeczytania jej osobiście przed frontem. Jeżeliby w naszych czasach, po czterdziestu latach praktyki liberalnej, przerwanej lecz niezapomnianej, po nauczeniu się przywiązania do zasad, do ich szanowania, do szanowania samych siebie przez te zasady, jeżeliby nam czy to wojskowym czy cywilnym zaprojektowano tak gwałtowne przejście z jednego do drugiego stronnictwa, zadziwiliśmy się i wzięlibyśmy podobne do nas przemówienie za ciężką obrazę. Lecz owczesna Francja miała wówczas jeszcze słabe wychowanie polityczne i znała tylko rewolucję i despotyzm, a widząc tak szybko przechodzące rządy z rąk do rąk, nie pojmowała, aby nieugiętość w postępowaniu była w przeciwieństwie ze zmiennością zasad; ztąd i ludzie polityczni, daleko lepiej od żołnierzy obliczający swe kroki, nie byli nazbyt sumienni. Marszałek, pomimo że nie mógł być wyższym nad ducha swego czasu, był przytém usposobienia zapalczywego i gwałtownego, nie umiejąc zachować półśrodka w każdém swém postąpieniu. Porywczo przeszedłszy na stronę Burbonów w 1814 roku, skutkiem strudzenia wojnami, zarówno porywczo oddaliwszy się od nich, będąc niezadowolonym z dworu, porywczo powrócił do nich na wieść o wylądowaniu w Cannes, gdyż w umyśle swym widział już krwawe wojny domowe i wojny zagraniczne i z niepowściągliwością języka, odpowiednią gwałtowności jego charakteru, wyrażał stałe swe postanowienie opierania się Napoleonowi. Widząc zaś dzisiaj upadłą na raz obawę wojny domowej, przez pociąg żołnierzy do Napoleona, a wojny zagranicznej przez mniemaną zgodę z Europą, nie sądził, aby mógł postępować wbrew życzeń Francji i zmienił swe postanowienie bez skrupułu, z ruchliwością dzieciaka, gdyż dzieciakiem jest każdy człowiek, który rządzi się wrażeniami. Kto inny, uznawszy że błądził,

usunąłby się na bok, pozwalając na przejście losu, którego nie mógł odgadnąć. Lecz marszałek, zarówno skutkiem charakteru jak i interesu, nie oczekiwał na strzaskanie swej szpady, z powodu popełnienia błędu politycznego, skutkiem nieprzewidzenia trjumfu Napoleona. Ustępując także przed niektóremi w swych tajemnych uraz, powiedział sobie, że jeżeli z Napoleonem nie będzie ani wojny domowej ani zagranicznej, to zawsze on wart więcej od Burbonów, gdyż można się pozbyć emigrantów, ich przesądów, ich zarozumiałości i ich kontrrewolucjnych usiłowań. Zresztą, przed rozpoczęciem działań chciał się naradzić z jenerałem de Bourmont i Lecourbe, dowódzcami dywizji swego korpusu. Jeden, jak tośmy mówili, był starym rojalistą, a drugi starym republikaninem, obadwaj nazbyt przeciwni Napoleonowi, lecz przytém ludzie rozsądni, widzieli dobrze, że dokonywające się koło nich poruszenie jest nie zwyciężoném. Jenerał Bourmont, łagodny i delikatny, pomimo że żołnierz energiczny, zamilkł smutnie, jako uznający siłę rzeczy, lecz co do sposobu poddania się jej przedstawił marszałkowi, aby miał staranie o swej godności. Lecourb, zachowawszy w swym charakterze całą swobodę starego oficera armji reńskiej, powiedział do Neya: Ty porzucasz zamiar wszelkiego oporu i sądzę że masz słuszność, gdyż chcielibyśmy na próżno stawać w poprzek tego potoku. Lecz lepiej byś zrobił słuchając mej rady, abyś się nie mięszał do tego wszystkiego, a mnie pozostawił na mych polach.— Z wyjątkiem tych słów kilku nieco ostrych, Ney nie spotkał się z żadnym ważniejszym zarzutem, a ztąd natychmiast postanowił oddać się potokowi, kiedy nie można mu było stawić oporu. Aby się nie opóźniać, przywołał natychmiast swych adjutantów i nic nie mówiąc co zaszło, rozkazał zgromadzić wszystkie wojska na głównym placu miasta. Przybywszy przed front, otoczony całym swym sztabem, w gronie którego znajdowało się wielu oficerów rojalistów, na których nie raz zrzędził za obojętność, wyciągnął szpadę w sposób gorączkowy i odczytał sławną odezwę, którą mu napisano i którą przypłacił później głową.—Żołnierze, zawołał, *sprawa Burbonów na zawsze stracona*.... Prawowita dynastja, którą Francja zatwierdziła, wstępuje na tron.... Do cesarza to Napoleona, naszego władzcy, należą odtąd rządy naszego pięknego kraju!... Na słowa te, które sprawiły niewypowiedziane zadziwienie dokoła niego, szalona radość wybuchnęła w szeregach żołnierzy. Wznosząc swe kaski na końcach bagnetów, wydawali okrzyki: *Niech żyje cesarz! Niech żyje marszałek Ney!* z niesłychaną gwałtownością; następnie złamali szeregi, rzucili się do marszałka, całowali jedni jego ręce, a drudzy poły jego ubrania i dziękowali mu swoim sposobem, że postąpił zgodnie z życzeniem ich serca. Ci zaś, którzy nie mogli zbliżyć się do marszałka,

otoczyli jego adjutantów, zakłopotanych nieco odbieraniem tych hołdów, na które nie zasłużyli, gdyż byli zupełnie obcymi tej raptownej zmianie, a ściskając im ręce, mówili: Jesteście dzielni ludzie; liczyliśmy na was na marszałka i byliśmy pewni, że nie pozostaniecie długo z emigrantami.— Mieszkańcy niemniej wyraziści w tłomaczeniu swych uczuć, połączyli się z żołnierzami, Ney powrócił do siebie konwojowany przez zapalone i pełne radości tłumy.

Wróciwszy jednak do mieszkania spotkał się z przymusem a nawet z przyganą, widocznemi na obliczach większej części swych adjutantów. Jeden z nich, były emigrant, złamał swą szpadę mówiąc: Panie marszałku, trzeba było nas uprzedzić i nie robić świadkami podobnego widowiska.—I cóż pan chciałbyś abym uczynił? odpowiedział marszałek. Czyż mógłbym powstrzymać morze rękami?—Inni zaś przyznając, że niemożliwą było rzeczą poprowadzenie wojska przeciw Napoleonowi, wynurzali mu swój żal, że w tak krótkim przeciągu czasu przyjął na siebie dwie, tak przeciwne role.—Jesteście dziecinni, odpowiedział marszałek; trzeba zawsze chcieć tego albo owego. Czyż mogłem pojść schować się jak tchórz, uciekając przed odpowiedzialnością wypadków? Marszałek Ney nie może być ukrytym w cieniu. Z drugiej znów strony jest tylko jeden środek na zmniejszenie złego, to jest natychmiastowe oświadczenie się, aby przeszkodzić wojnie domowéj, aby opanować człowieka, który wraca i powstrzymać go od popełnienia szaleństw; gdyż, dodał, ja nie oddaję się jednemu człowiekowi lecz Francji, a gdyby ten człowiek chciał mnie poprowadzić nad Wisłę, to nie pójdę za nim!—

Ofuknąwszy się w ten sposób swym przyganiaczom, Ney przyjmował u siebie na obiad, oprócz jenerałów, wszystkich pułkowników oprócz jednego, który nie przyjął zaproszenia. Z wyjątkiem małego zakłopotania, pochodzącego z pogwałcenia powinności żołnierskiej, co sobie wewnętrznie wyrzucano, na obiedzie tym było długie wyliczanie błędów Burbonów, którzy chcąc lub nie chcąc (każdy tu sądził wedle swego sposobu widzenia) oddali się emigracji, cudzoziemcom i głosili uczucia, które nie były francuzkiemi. Dalej jednogłośnie powstawano na wszystkie dawne błędy cesarza, na jego wojenne szaleństwa, na jego despotyzm, na jego odrzucenie rady udzielanej przez jenerałów w 1812 i 1813 roku i energicznie nakoniec postanawiano powiedzieć mu słowa prawdy i wymagać rękojmi wolności i dobrej polityki.—Zobaczę go, powiedział Ney, pomówię z nim i oświadczę mu, że nie pozwolimy więcej poprowadzić się do Moskwy. Nie jemu to, lecz Francji się oddałem, a jeżeli przywiązujemy się do niego, jako do wyobraziciela naszej sławy, to bynajmniej nie znaczy, abyśmy mieli być narzędziami do restauracji

cesarskiej — Jenerałowie Lecourbe i de Bourmot byli obecni na tym obiedzie, przyjmując jednak bardzo mały udział w rozmowie, choć byli przekonani, że dokonana rewolucja była nieuniknioną i zpowodowana jedynie błędami Burbonów.

Marszałek opuścił towarzystwo dla wykonania rozkazów nadeszłych z Lyonu, napisanych w sposób, jaktośmy mówili, jakby Napoleon nie przestał był panować, a zalecających skierowanie wszystkich wojsk na Autun i Auxonne. Napisał do żony list, w którym opowiada co uczynił i który zakończył temi charakterystycznemi słowami: „*Moja przyjaciołko, nie będziesz już płakać wychodząc z Tuilleries*" (*)

Tak nadzwyczajne przedsięwzięcie podbicia Francji jedynie swoją osobą, rozpoczęte przez Napoleona w La Mure, a prawie dokonane w Grenobli i Lyonie, nie pozostawiało już żadnej wątpliwości po stanowczym kroku ze strony marszałka Ney. Napoleon nocując 14go Marca w Chalon, podróżował dalej przez Autun i Avallon, postępując nie spieszniej od wojska, które już to doganiał już też wyprzedzał, dla zachowania sobie pobytu w miejscach nieco znaczniejszych. Przybył też 17go Marca do Auxerre, otoczony ludnością Burgundji, która powstała zarówno z wojskiem dla ogłoszenia przywrócenia cesarstwa. Wszędzie powtarzał to samo co mówił w Lyonie, przyrzekając, że niesie wolność, pokój i stanowczy trjumf zasad z roku 1789. Prefekt departamentu Yonne p. Gamot szwagier marszałka Ney, wyszedł na spotkanie cesarza aż do Vermanton. Przyjął go po przyjacielsku i stanąwszy w prefekturze, śpieszył z przygotowaniami do ostatniego pochodu, który miał go już wprowadzić do samego Paryża.

Podczas gdy Napoleon zbliżał się ku Paryżowi p. Lainé, pobudzony wypadkami, nie ustawał w swych najszlachetniejszych usiłowaniach pogodzenia dynastji z opozycją konstytucjiną. W miarę jak członkowie izby deputowanych przybywali do Paryża, błagał ich o zapomnienie popełnionych błędów i do szukania w tychże nawet błędach sposobności do dobrego, wymagając ich naprawy, do zgodzenia się na co, jak mówił, rząd był usposobiony, jak do rozległej zmiany gabinetu, powiększenia liczby parów, odnowienia dwóch trzecich izby deputowanych (wszystko ku rozszerzeniu wolności), do nadania prawa wyborczego, które poświęcając wpływ własności, poświęci zarówno wpływ przemysłowy, prawa o odpowiedzialności ministerjalnej (o której to rękojmi wiele wówczas myślano), nowego prawa prawowego i nakoniec systemu taryfy celnej,

(*) Szczegóły te mamy od byłego pułkownika artyllerji gwardji cesarskiej, członka wielu zgromadzeń, rojalisty sercem, człowieka z głową i pełnego szczerości, który widział ten list w ręku marszałkowej.

która zabezpieczy przemysł francuzki przed przemysłem brytańskim. Dodając w bardzo dobrej wierze kłamstwo urzędowe do wyliczonych obietnic, p. Lainé zapewniał, że o wszystkich tych ustępstwach myślano, zajmowano się nawet niemi, aby je zrobić przedmiotem obrad pierwszego posiedzenia, gdy w tém *genjusz złego* postawił na nowo nogi na ziemi francuzkiej. Nie ograniczając się na szerzeniu tych obietnic w rozmowach prywatnych, p. Lainé zaprowadził do stóp tronu deputowanych przybyłych do Paryża i powtórzył w obec króla, że trzeba uznać i zapomnieć popełnione błędy i naprawić je przez ogół środków, zgodnych z potrzebami czasu i życzeniem opinji publicznej.

Naczelnicy stronnictwa konstytucyjnego, tak ci którzy zasiadali w izbach, jak i ci którzy działali po za niemi, a pomiędzy tymi ostatnimi, pp. de Lafayette i Benjamin Constant, otoczyli p. Lainé i przyznali się publicznie do jego zamiarów pojednawczych. Wszystko więc szło dobrze z tej strony, ale trzeba było przyprowadzić dwór do tych zamiarów: to też p Lainé nie przestawał nacierać, ażeby przyłożono ręki, do dzieła, to jest aby zmieniono trzech lub czterech ministrów. Wytłómaczył on konieczności jak tośmy widzieli, księdzu de Montesquiou, który się zgodził pierwszy na ofiarę, lecz nie zdołał więcej przekonać nikogo. Dwór, skutkiem niebezpieczeństwa powróciwszy do swego zagorzalstwa, daleki od ustępstw, życzył raczej obostrzenia utrzymując, że błędy popełnione były błędami słabości. Ludwik XVIII postawiony pomiędzy rojalistami umiarkowanymi a gwałtownymi, nie wiedząc kogo miał słuchać, skłaniając się jednakże ku pierwszym, lecz zmuszony do zaczęcia ustępstw od poświęcenia p. de Blacas, który przez nie znających rzeczy liberalistów, uważany był za agenta emigracji na dworze, nie śpieszył się z postanowieniem i w tém opłakaném wahaniu się tracił czas, jakiego Napoleon używał na posuwanie swej sprawy z piorunująca szybkością.

W sprawie dotyczącej ustępstw, zamyślono zrobić je tylko dla wojska, choć i te zresztą bardzo źle obmyślone, pomimo braku godności gotowały raczej niebezpieczeństwa, a niżeli środki ocalenia. Minister wojny czynnie się zajął oficerami na pół żołdzie i starymi żołnierzami rozpuszczonymi do domów. Tak jednych jak drugich do czynnej powołał służby. Skutkiem czego oficerowie na pół żołdzie otrzymali rozkaz bezzwłocznego udania się do swych pułków, aby utworzyć przy nich kadry nowych bataljonów, które miały być wypełnione powołanymi żołnierzami; ci zaś, którzyby nie znaleźli miejsca w tych bataljonach, nazwanych rezerwowemi, mieli być użyci w bataljonach gwardji narodowej, o uruchomieniu której myślano. Inni nakoniec zgromadzić się

mieli przy osobie króla, dla zwiększenia gwardji przybocznej, której wszystkie korzyści i honory otrzymają. Wszyscy natychmiast wracali do całego żołdu. Bezwątpienia bywają położenia, w których żadne lekarstwo nie zdoła pomódz; ale przy obudzonych już uczuciach i nadziejach w oficerach na półżołdzie wyobrażać sobie, że można ich będzie przeciągnąć na stronę Burbonów, gdy już Napoleon postawił nogę na ziemi francuzkiej, było ze strony ministra wojny dziwném złudzeniem. Nawet gwardja narodowa, ożywiona duchem mieszczańskim, który bynajmniej nie skłaniał się ku przywróceniu cesarstwa, a na którą, skutkiem podobnego usposobienia, można było liczyć, nie przedstawiała także rękojmi pewności. Powołana w czasie, przygotowana powoli do obrony tronu i wolności publicznej, mogłaby była utrzymać wojsko i nie pozwolić mu na rzucenie się w objęcia Napoleona. Ale gdy prawie wszędzie pozwolono jej rozpaść się na jazdę złożoną ze starej szlachty i piechotę ze stanu średniego, przeto została zranioną, rozdrażnioną, niezadowoloną, a ztąd i powiększej części rozwiązaną. Nic więc wielkiego po niej spodziewać się nie było można. Polecono przecież prefektom tworzenie batalionów ruchomych gwardji narodowej, pod dowództwem oficerów na pół żołdzie. Upoważniono ich nawet do zwołania rad jeneralnych, w celu uchwalenia na ten cel podatków. Mnożono więc lekarstwa, jak dla chorego bez nadziei, bez wiedzy czy one będą użyteczne, jedynie dla zasłonięcia się od zarzutu, że pozostawiono go w czasie konania bez ratunku. Do tego wszystkiego minister wojny dodał gwałtowną odezwę, nie zgodną z zamiarem przejednania wojska, a nawet mogącą obudzić śmiech w tych wszystkich którzyby przypomnieli sobie jego język i postępowanie w Tuluzie.

Oto co zrobiono dla powstrzymania pochodu Napoleona. Jednak skoro tylko dowiedziano się o jego gwałtownych postępach, skoro tylko nadeszły wiadomości, że wszedł do Grenobli, następnie do Lyonu, czemu z początku zaprzeczano, ogłaszano za kłamstwa, za nieważność, trzeba było zwrócić się do rzeczywistości i poprzestać dowodzić, jak to czynili rojaliści, że Napoleon po to tylko zawitał do Francji, aby tu został rozstrzelanym. Lecz jeżeliby nawet uczuło potrzebę działania, to nie wiedzianoby przecież co działać wypada. Zwyczajem jest wszystkich stronnictw popełniających błędy, nie przyznawać się do winy, lecz głośno narzekać na zdradę. Rojaliści wszelkiego odcienia, dowiedziawszy się o odstępstwach wojska w Grenobli i Lyonie (nie wiedzieli jeszcze o postępku marszałka Ney), przejęci zostali pewnym rodzajem gorączkowej nieufności, a to przeciw każdemu bez żadnego wyróżnienia. Widzieli oni zdrajców wszędzie i podnosili krzyki na zdradę w obec tych

samych dowódzców wojskowych, których niedawno obsypywali grzecznościami. Ci z pomiedzy nich, którzy nie mieli duszy wyniosłej, a znajdowali się tacy pomiędzy najwaleczniejszymi, na te znieważające przytyki odpowiada li tylko przesadzonemi zapewnieniami poświęcenia, nie stając się przeto wierniejszymi. Drudzy byli nadzwyczaj oburzeni i oddychali jedną tylko żądzą, aby jak najprędzej ukarać tyle głupoty i zarozumialstwa. Jak to się zdarzyło przed kilką miesiącami, nieufność zwróciła się głównie przeciw dwom osobom, to jest przeciw ministrowi wojny i prefektowi policyi. Po poprzedniem ich oskarżeniu że nic nie robią, zaczęli oskarżać że robią za wiele, skoro tylko zarządzili opowiedziane tu środki. Rojaliści przypuszczali że jest olbrzymie sprzysiężenie, do którego należą wszyscy oficerowie od podporuczników aż do marszałków. Poprzednie nasze opowiadanie wykazało jasno, że tak nie było że w Grenobli jenerałowie Marchand i Mouton-Duvernet usiłowali szczerze spełnić swą powinność, że w Lyonie jenerał Brayer poddał się dopiero gdy same wojska otworzyły bramy miasta kolumnie cesarskiéj, że La Bédoyère był obcym działaniom braci Lallemand i Lefebre-Desnoettes, że nawet Napoleon działał nieżależnie od słabego i szalonego związku paryzkiego, Lecz prawdy podobnego rodzaju, dopiero historja po długim upływie czasu od wypadków, za pomocą bezstronnych badań może wyjaśnić a w chwili pojawiających się wypadków stronnictwa nie chcą niczemu wierzyć. Rojaliści w przypuszczeniu olbrzymiego sprzysiężenia, do którego wedle nich każdy należał, zapytywali sami siebie, czy i sam marszałek Soult nie był czasem związkowym? Najzapaleńsi z pomiędzy nich których postępowanie marszałka Soult w Bretanii, których jego pomnik w Quiberon nadzwyczaj w swym czasie zachwyciły, pozostał mu wierni i utrzymywali, że on tylko jeden może ocalić monarchję Inni zaś, a byli w daleko większéj liczbie, powody do nieufności nawet widzieli w czynach, które zachwycały niektórych z pomiędzy nich. Gwałtowna odezwa marszałka w ich oczach była tylko udaniem, dla tém lepszego wprowadzenia w błąd dynastyi i wydanie jéj ze związanemi rękoma i nogami Napoleonowi. Zamierzone usiłowanie, aby zgromadzić w Paryżu i uszykować około króla oficerów na pół żołdzie, którzy nie znajdą pomieszczenia w nowych bataljonach, ten środek spóźniony, a ztąd w owéj już chwili nierozsądny, lecz z najlepszą wiarą przedsięwzięty, w oczach ich był tylko wiarołomstwem. Nie było tak przecież, gdyż jakkolwiek marszałek Soult bardzo był zdolnym do opuszczenia tych ludzi których los opuszczał, nie był jednak zdolnym do zdrady, a daleki od posiadania mocnéj głowy, miał ją on nadto słabą. Nie przestawał przecież uchodzić za przebiegłego Włocha z piętnastego

wieku, a z tąd, jak przed trzema miesiącami mówiono, że wszystko byłoby zgubionem, jeżeliby marszałek nie został mianowany ministrem wojny, tak dziś przeciwnie dowodzono, że wszystko przepadnie, jeżeli utrzyma się na swem stanowisku.

Podobnie się wyrażano, choć z daleko mniejszą gwałtownością, o p. d'André zarządzającym policją z tytułem dyrektora głównego. Urzędnik ten, dawny konstytucjonista, jak tośmy już mówili, poświęcony królowi z którym był w stosunkach przez lat piętnaście, powinien był przynajmniéj być dla rojalistów rękojmią wierności. Lecz bywają chwile, w których duch stronniczy, podobnie jak koń znarowiony, nie umie ocenić najwięcéj nawet przyjacielskich głosów. Nastąpiwszy po p. Beugnot p. d'André widział się w konieczności postępować podobnie jak jego poprzednik i usuwać wszystkie urojenia usłużnych donosicieli, których hrabia d'Artois znosił i zachęcał, a czasami nawet opłacał. Skutkiem tego p. d'André uważany był za niezdolnego, jeżeli nie za zdrajcę. „Nie chce niczemu wierzyć, o czem mu mówią" było wielkiem, wymierzoném przeciw niemu oskarżeniem. Należy tu przytoczyć jeden fakt, niegodny nawet kart historji lecz dosadnie malujący, do jakiego stopnia doszło szaleństwo stronnictwa. Nie odbierano prawie żadnych wiadomości gdyż prefekci znajdujący się na drodze Napoleona, pochwyceni z nienacka, osłupieli skutkiem jego zbliżania się, zaledwie mieli czas napisać przed jego przybyciem do swych departamentów, a następnie już ani myśleli o jakiém doniesieniu. Telegraf jednak ciągle był w ruchu, już to dla przesłania rozkazów administracyjnych, już też dla wypytywania się o wypadki tych władz, które nie nadsyłały wiadomości pochlebnych dla rządu, a ztąd nieustannie podawane były pytania i odpowiedzi na nie. Przypuszczano przeto, że jeżeli telegraf jest tak czynny, więc niechybnie dla Napoleona a nie dla Ludwika XVIII. Zawołano więc dyrektora telegrafu który nadzwyczaj się zadziwił powziętém podejrzeniem i dał wyjaśnienia proste i przekonywające, których nie można było nie uznać, po poprzedniem oddaniu się na pastwę smutnemu przestrachowi. Czyn ten dowodzi, do jakiego stopnia rojaliści byli przestraszeni. P. de Blacas nie podzielając zwykłéj ich przesady, nie mógł przecież obronić się trapiącéj nieufności i w głębokim niepokoju zapytywał sam siebie, czy marszałek Soult nie jest zdrajcą, a p. d'André niezdolnym. Popchnięty do rozpaczy ostatniemy wiadomościami z Lyonu, postanowił na pełném zebraniu rady wybadać marszałka Soult, jako w pewnym rodzaju winnego, a w uniesieniu zaopatrzył się w parę pistoletów, będąc gotowym, jak mówił, posunąć się do ostateczności, jeżeliby odkrył w marszałku zdradę. Rozumie się samo przez się, że król nie powinien był znajdować

się przy podobném zajściu, gdyż nie chciano aby był świadkiem gwałtowności, jaka mogła być wywołaną. Tymczasem p. de Vitrolles, nieco spokojniejszy, przedstawił p. de Blacas, że powzięte podejrzenia przeciw marszałkowi nie zdają się mu być uzasadnione, że widział w nim tylko człowieka przestraszonego okolicznościami, nie zaś zdrajcę, że widocznie pomylono się w ocenieniu jego zdolności przy powołaniu go na zastępstwo jenerała Dupont, że być może potrzeba go zmienić, ale to w sposób zwykły i bez hałasu.

Marszałek rzeczywiście nie zdradzał nikogo, jaktośmy już mowili, lecz popadł w rozstrojenie umysłowe, które nie mogło dostatecznego rzucić światła na postępowanie. Dręczony podejrzeniami rojalistów, starał się uspokoić ich za pomocą gwałtownéj odezwy: tymczasem zaniepokoił ich tą gwałtownością, a wówczas gdy tak mało zyskał ufności patrzył na zbliżanie się olbrzymiemi krokami człowieka, którego znieważył w najboleśniejszy sposób. Mogło się więc zamącić w daleko silniejszéj aniżeli marszałka głowie. Zresztą, przedsięwzięte środki przez powołanie do wyższéj służby oficerów na pół żołdzie, przez wydanie rozkazów do poruszeń wojska, mogły się stać niewystarczającemi, ale nie były wcale wiarołomnemi, i nie było to winą marszałka, jeżeli żołnierze wystawieni przeciw Napoleonowi, opuszczali sprawę królewską. Potrzeba było tylko skłonić do wierności żołnierzy, a do téj mógł tylko skłonić sam Napoleon, przeciw któremu ich stawiano: ztąd marszałek Soult nie zrobił nic ani lepiéj ani gorzéj, jakby zrobił ktokolwiek bądź na jego miejscu. Jedyny tylko błąd popełnił, że zanadto wiele przyrzekł dworowi, że zanadto zaufał swéj energji i swéj zdolności.

Gdy ukazał się na radzie marszałek Soult, postawa jego była zgodną z położeniem, to jest nazbyt zakłopotana. Badany prawie tak jak winny, odpowiadał bez oburzania się na tak niegodne go podejrzywanie, wyliczał długo zarządzone przez siebie środki, zapewniał pokilkakroć o czystości swych zamiarów i prawie dokazał przekonać o tém słuchaczy, a ztąd dał trochę lepsze wyobrażenie o swéj wierności, lecz mniéj dobre o zdolnościach, powtarzając pokilkakroć, jakby nie miał co lepszego do powiedzenia, że jeżeli powątpiewano o jego prawości, to gotów jest do złożenia swéj dymisji królowi, a ztąd był wzięty za słowo i bezzwłocznie poprowadzony przez p. de Blacas do Ludwika XVIII. Książę ten, który nie rozumiał zupełnie tych środków administracyjnych o jakich miał sądzić, lecz który swym zdrowym zmysłem oceniał, że minister wojny nie zrobił ani cudów ani wiarołomstwa i że koniecznie należało poświęcić kogo gniewowi stronnictwa rojalistów, pozwolił marszałkowi mówić tak długo jak mu się podobało, następnie gdy ten doszedł do oświadczenia, że go-

tów jest złożyć urząd, uchwycił sposobną chwilę do powiedzenia, że ocenia wielkość usług marszałka, że piękne po nich zachowa wspomnienie, lecz że ciężar obowiązków ministra zdaje się być w téj chwili nadzwyczaj trudzącym, więc od nich go teraz uwalnia i zamianuje następcę. Marszałek zadziwiony, że tak łatwo uwierzono jego słowu, skoro tylko objawił chęć uwolnienia się od obowiązków, chciał powrócić do tego, o czem poprzednio mówił, lecz król nie chciał już słuchać, a ztąd widocznie poznał, że dymisja jego stanowczo została przyjętą, chociaż robił tę ofiarę tylko dla formy. Wyszedł z gabinetu królewskiego bardzo niezadowolony, iż pozostawił w nim swą tekę, a przeprowadzany przez pp. de Blacas i de Vitolles aż do drzwi Tuilerjów, ponawiał zapewnienia swéj prawości. Na ulicy spotkał tłum ludzi, którzy wydawali okrzyki: *Niech żyje król!* skoro tylko spostrzegli wchodzącego lub wychodzącego z pałacu jakiego dostojnika i którzy też nie omieszkali powtórzyć tego okrzyku na widok marszałka. Ten też odpowiedział im ukłonem swym kapeluszem z białemi piórami i okrzykiem: *Niech żyje król*, a następnie rzucił się do powozu i udał do biur ministerstwa wojny, żegnając je po trzechmiesięcznym zarządzie, oskarżony o zdradę przez tych samych, którym poświęcił swą przeszłość, narażony w oczach Napoleona, którego gwałtownie znieważył w ostatniéj swéj odezwie, a byłby aż nadto szczęśliwym gdyby był stanowczo sobie naraził tego ostatniego, gdyż nie miałby na sobie ciężkiéj odpowiedzialności szefa sztabu w opłakanéj bitwie pod Waterloo.

Daleko mniéj użyto wykrętów z p. d'André. Był to przyjaciel pewny, chociaż kilku szaleńców powątpiewało o tém, a ztąd uwolniono go od obowiązków, przy przytoczeniu bardzo prostego powodu, że tego sprawa królewska wymaga. Po załatwieniu tych postanowień 2 Marca, pomyśléć należało o powołaniu innych osób na zastąpienie dwóch wysokich urzędników. Nadarzała się tu sposobność do pójścia za mądremi radami p. Lainé i do zadowolenia opinji publicznéj. Ale ksiądz de Montesquiou, pośredniczący pomiędzy rządem a p. Lainé, pokazał się już człowiekiem bez odwagi, fałszywéj zasługi, gdy jego rady pojednawcze bezskutecznie przebrzmiały. W miarę o ile zwiększało się niebezpieczeństwo, o tyle krańcowi coraz na większéj stawali pochyłości, a nie chcąc przyznać, iż zbłądzili odsuwaniem się od opinji publicznéj, i wyobrażając sobie, że dla ocalenia potrzeba tylko ludzi zręcznych, obdarzonych tą piekielną zręcznością, którą uznawali w Napoleonie, przy zaprzeczaniu mu jenjuszu, postanowili szukać takich ludzi wszędzie. Znajdował się były minister wojny, który przez przeciąg lat dziesięciu odbierał, przesyłał i polecał wykonywać rozkazy cesarskie, który od

czasu powrotu z Blois nie przestawał zasyłać na dwór swych najniższych zapewnień poświęcenia, a był nim jenerał Clarke, książę de Feltre. Aż dotąd przyjmowano tylko jego oświadczenia, ale nie usługi. Teraz zaś postanowiono ich użyć, gdyż jenerał ten powinien był wiedzieć, jeżeli ktokolwiek wiedział, jak można zwyciężyć Napoleona, a to sposobami przez niego samego używanemi. Powołano go więc, i znaleziono tak uszczęśliwionego z ofiary, że zapomniał nawet o niebezpieczeństwie. Ktokolwiekbądź nie obawiał się narażenia w podobnéj chwili, można było liczyć na niego, a ztąd jenerał Clarke wysłany był natychmiast do ministerstwa wojny, ażeby bez straty chwili czasu objął obowiązki po marszałku Soult.

Ponieważ nie chodziło o zadowolenie opinii publicznéj, i ponieważ w obecnych wypadkach widziano tylko walkę, w której miał odnieść zwycięztwo najzręczniejszy w tym rodzaju piekielnej zręczności przyznawanej Napoleonowi, przeto zdarzyła się pora do pomyślenia o p. Fouché, jako ministrze policji. Kazano mu się ciągle spodziewać tej teki nie dając nigdy, i skończono, jaktośmy już mówili, na odroczeniu. Odnowiono z nim stosunki tak często zrywane, lecz ten odpowiedział, przy objawieniu jak poprzednio wielkiego uszanowania dla Burbonów, że nie może nic przyjąć i że nie będzie można uniknąć ważnego przesilenia, kiedy już rzeczy na takim stanęły stopniu. W niemożności skłonienia tego mistrza w rzeczach policyjnych, dwór zeszedł daleko niżej pod względem ważności, zdolności, rozgłosu, i starał się zastąpić wszystkie te brakujące w tym względzie przymioty, gwałtowną nienawiścią do Napoleona. Zgłoszono się do p. de Bourrienne, oddawna pozbawionego zaufania cesarskiego, mianowanego skutkiem tych powodów dyrektorem poczt, i powierzono mu policję, lecz nie mianowano ministrem, gdyż niepodobieństwem było obdarzyć go tym tytułem, ale dyrektorem głównym. Można było mieć pewność, że on będzie poznawać, nienawidzić i ścigać bez litości stronników cesarstwa, i że ze swej strony nie będzie zachowywał ani względów, ani przyzwoitości, ani też oszczędzał nikogo.

Obiedwie te zmiany, których wyłożyliśmy tu powody, były szczególnym sposobem do odpowiedzenia na rady pp. Lainé i de Montesquiou, którzy nie przestawali nalegać, aby usunięto czterech ministrów, i aby ich zastąpiono przez ludzi szanowanych i popularnych. Ale namiętności rosły z niebezpieczeństwem, a zaślepienie z namiętnościami. Mniemano że ocalenie zależało na wzbudzeniu postrachu, nie zaś zaufania, i że najzręczniejsi matacze, chociażby żadnego nie wzbudzali szacunku, będą jedynymi zbawcami, a ztąd że należy skupić ich przy sobie. Smutne zaślepienie, dające świadectwo nie o przezorności Burbonów lub emigran-

tów, zacnych powiększej części zkąd inąd ludzi, ale o obłąkaniu stronniczém, zawsze z braku tylko światła pochodzącém.

Zmiany te, dokonane 11 i 12 Marca, jak niemniej otrzymane w tej chwili powodzenie cząstkowe, przelotną zajaśniały nadzieją. Jenerałowie bowiem Lallemand, Lefebvres-Desnoëttes i d'Erlon wyjechali, jak tośmy widzieli, na północ, aby wprowadzić w wykonanie bezużyteczny i nieroztropny zamach. Lefebvre-Desnoëttes po ułożeniu się z hrabią d'Erlon, który powinien był poprowadzić z Lille ku Compiègne piechotę, z braćmi Lallemand, którzy powinni byli sprowadzić z departamentu Aisne do La Fère wszystko, co tylko dałoby się zebrać wojska wszelkiéj broni, wyruszył 9 Marca rano z Cambray, ze strzelcami królewskimi (dawnymi strzelcami konnymi gwardji), rozkazawszy oświadczyć kirysjerom królewskim (dawnym grenadjerom konnym), aby się z nim złączyli. Strzelcy konni przyzwyczajeni do ślepego posłuszeństwa jenerałowi, który przez lat dziesięć prowadził ich zawsze na wszystkie pola bitew, poszli za jego rozkazem jak zwykle i 10 Marca rano stanęli przed La Fère i zastali otwarte bramy, które nie mogły się zamknąć przed żołnierzem francuzkim. Bracia Lallemand ze swej strony usiłowali pociągnąć pułk artyllerji stojący w La Fère, oświadczając, że w Paryżu zaszła rewolucja na korzyść cesarstwa, że Burboni zostali złożeni z tronu i uwięzieni, i że należy działać dla poparcia działań Napoleona. Pułk artyllerji byłby usłuchał braci Lallemand i poszedł za nimi, lecz znajdujący się tam jenerał d'Abovi le, ścisły przestrzegacz powinności żołnierza, oparł się temu; bracia więc Lallemand obawiając się stracić na czasie, udali się ku Compiègne z jenerałem Lefebvre-Desnoëttes, spodziewając się spotkać grenadjerów konnych, a nadewszystko piechotę z Lille, którą miał przyprowadzić hrabia d'Erlon. Przybywszy do Compiègne na czele dawnych strzelców gwardji, którzy tworzyli tysiąc wybornych jeźdźców, Lefebvre-Desnoëttes i bracia Lallemand usiłowali pociągnąć znajdujący się tu 6ty pułk strzelców, lecz oficerowie zawahawszy się najprzód, oparli się w końcu. Przy tak spełzłém usiłowaniu pod względem pociągnięcia tego pułku, należało oczekiwać na hrabiego d'Erlon, który nie pokazywał się wcale. Ten bowiem, w chwili poruszenia piechoty, został znienacka zwichnięty w swym zamiarze przez przybyłego z Paryża marszałka Mortier. Marszałek oświadczył mu tylko, aby siedział cicho, nie mieszał się w sprawę przeprowadzenia rewolucji i ukrył się na chwilę, aby nie stał się ofiarą koniecznej surowości prawa wojennego. Tak więc hrabia d'Erlon sprowadzony do niemożności działania, zmuszony był ukryć się dla uniknięcia następstw swojego postępku.

Wiadomość ta zmieszała jenerałów Lallemand i Lefebvre-Desnoëttes,

którzy zrozumieli za późno, że w sprawach tak ważnych, gdzie umysły wahały się pomiędzy powinnością a namiętnościami, każdy inny prócz Napoleona występujący dla ich stanowczego skłonienia, nabawiał tylko kłopotu a nie pociągał ku sobie. Nie wiedzieli więc co mieli postanowić, gdy drugorzędny dowódzca Lion, widząc ich niepewność, wybadał z żywością i zmusił do wyjawienia zamiarów, pod względem postąpienia z tak narażonym oddziałem wojska. Wyznali oni mu wszystko i przedstawili plan ruszenia się drobnemi oddziałami na drogę ku Lyonowi, jedynej rzeczy, jaka pozostawała do zrobienia. Wówczas dowódzca Lion przerażony podobném przedsięwzięciem, oparł się temu i wybawił jenerałów z kłopotu, obejmując na siebie dowództwo pułku i zostawiając im czas do umknięcia. W tejże samej godzinie wysłał do Paryża, w imieniu strzelców, akt poddaństwa i żalu, oparty na nieświadomości, w jakiej pozostawali co do zamiarów jenerałów, który usiłowali na błędną wprowadzić ich drogę.

Wiadomość o tém bezsilném usiłowaniu przybywszy do Paryża 12 Marca, zrównoważyła nieco wywarte wrażenie klęskami w Grenobli i Lyonie. Zwykle w ostateczności dopiero stronnictwa zaczynają rozpaczać o swém ocaleniu, a gdy jaka niespodziewana nadzieja zaświeci im na chwilę przed oczami, wówczas przywiązują się do niej namiętnie, jak umierający do życia, gdy to już z niego ubiega. Spowodowana ostatniemi wiadomościami nadzieja była tego rodzaju, że mogła nawet uwieść rozsądnych ludzi, gdyż chociaż wojska pokazały tylko swą wierność w oparciu się ludziom nierozsądnym a nie Napoleonowi, to jednak można było wnioskować i napajać się marzeniem, że wojska te w ręku sprężystych dowódzców wystąpiłyby przeciw Napoleonowi samemu. Otrzymywane rapporta z Franche-Comté, a mianowicie od sztabu marszałka Ney (nic nie wiedziano jeszcze o odstępstwie), były także przyjazne. Oficerowie rojalistowscy otaczający marszałka, o postępowaniu jego bardzo zadawalniająco oświadczyli. Ze swéj strony marszałek Oudinot, który był wyjechał do Metz, zapewniał, że była gwardję cesarską pieszą znalazł wybornemi przejętą uczuciami. Ze wszystkiego tego utworzono zbiorową całość wiadomości upewniających, którym uwierzono i w które kazano innym uwierzyć. Mówiono bowiem, że od Cannes aż do Lyonu, Bonaparte wszystkich zeszedł znienacka, nie znalazł żadnych przygotowań do oporu i że zatrjumfował, jak tyle razy w swém życiu, przez osłupienie swych nieprzyjaciół. Lecz odtąd spotka się wszędzie z oporem sprężystym i niezwyciężonym. Zostanie naciśniętym na skrzydle przez Marszałka Ney i nie zdoła pokonać walecznego z walecznych. Marszałek Oudinot wyruszy z Metz i zajdzie mu od tyłu. Nakoniec woj-

ska zgromadzone w Paryżu i w okolicach, utworzą armję czterdziestotysięczną, na czele której stanie osobiście książę de Berry, mając za szefa sztabu marszałka Macdonald, a pod oczami księcia i szanowanego powszechnie marszałka każdy święcie spełni swe obowiązki. W owym czasie utrzymywano powszechnie, że ocalenie monarchji zależy od pierwszego wystrzału, gdyż żołnierze wciągnięci tym sposobem w starcie, zmuszeni zostaną do walki. W Paryżu zaś posiadano zapewniony strzał pierwszy, a to od przybocznéj gwardji królewskiéj, liczącéj w swych szeregach pięć tysięcy odważnych i pełnych poświęcenia ludzi, o których nie można było wątpić, że chętnie staną do bitwy. Pochlebiano sobie przytém, że do téj bitwy będzie można wystawić trzydzieści lub czterdzieści tysięcy żołnierza, gdy tymczasem Napoleon nie przyprowadzi z sobą jak ośm lub dziesięć tysięcy, a przy podobnéj nierówności sił najzdolniejszy nawet wódz nie może marzyć o zwycięztwie.

Dowodzenia te były tylko pozorne, choć stronnictwa posługują się często nawet mniéj uzasadnionemi. Mianowano więc księcia de Berry dowódzcą armji paryzkiéj, która miała być rozłożoną przed Villejuif. Na szefa sztabu przeznaczono mu marszałka Macdonald, który dokazywał cudów zręczności i odwagi w Lyonie. Polecono księciu Orleańskiemu udać się na północ, utworzyć armję rezerwową z wojsk, które w ostatnich wypadkach tak dobrego okazały ducha, zgromadzić je w Amiens lub Saint-Quentin i po zaopatrzeniu we wszelkie zapasy, poprowadzić ku Paryżowi, na lewe skrzydło armji księcia de Berry, na którém do boju wystąpić miały. Posłano rozkaz marszałkowi Oudinot, aby poruszył piechotę staréj gwardji, jeżeli z pewnością liczyć na nią można i rozpoczął odpowiednie działania dla przecięcia drogi z Lyonu do Paryża, przyrzekając stopień oficerski każdemu żołnierzowi, który zobowiąże się do dania ognia.

Jednocześnie zaczęto werbować w Paryżu ochotników. Każdodziennie zapaleni rojaliści przechadzali się po ulicach stolicy, powiewając białą chorągwią i wydając okrzyki: *Do broni!* przeciw przywłaszczycielowi, tyranowi, który przychodzi ściągnąć na Francję podwójną plagę despotyzmu i wojny. Chociaż kroki te nie robiły na publiczności widocznego skutku, to przecież młodzież liberalna, będąca pod wpływem dziennika *le Censeur*, który wychodził tomami dla uniknięcia cenzury i usiłował wykazać wszystkie niebezpieczeństwa z powrotu Napoleona, gotowa była do popierania sprawy Burbonów z bronią w ręku, gdyż przekładała Burbonów nad Napoleona, pomimo że do nich nazbyt przywiązaną nie była. To też studenci prawa w wielkiéj zapisali się liczbie. Spodziewano się, że gwardja narodowa, która tak dobrze dba-

ła o pokój, jak młodzież uniwersytecka o wolność, z równą gorliwością poprze sprawę królewską. Usiłowano przeto dodać bodźca tak jednym jak i drugim i podnieść upadłego ducha skutkiem nadeszłych wiadomości z Grenobli i Lyonu.

Dla rozszerzania tych samych zasad za pomocą trybuny, zwołano posiedzenie izb, które miało miejsce 13 Marca. Nowy minister wojny książe de Feltre i minister spraw wewnętrznych de Montesquiou, główną tu odgrywali rolę. Minister wojny zaprojektował oświadczenie, że załogi w Antibes, La Fère i Lille, że marszałkowie Mortier i Macdonald dobrze zasłużyli się ojczyźnie. Wniósł również, aby ogłoszono, że wojskowi, którzy w obecnych okolicznościach oddadzą usługę, otrzymają za nie nagrody narodowe. Opowiadał przy tem zdarzeniu o usiłowaniach jenerała Lefebvre-Desnoëttes i braci Lallemand, które nazwał haniebnemi; zapewniał, że wojska ożywione są wybornym duchem, że spełnią swoją powinność, zresztą, że sam będzie pierwszym do dania im przykładu, i że Lyon nie opierał się jedynie z powodu braku artylleryi. Przyjęto oklaskami jego tłómaczenie, nadzieje, objetnice poświęcenia, ponieważ zgromadzenie miało wielką potrzebę wierzyć słowom ministra. Jeden z członków izby wniósł, aby oddać kartę pod wyłączną opiekę wojska i gwardji narodowéj, inny zaś, aby wypłacić natychmiast wszystkie zaległości Legji honorowéj. Wszystkie te wnioski prawie jednomyślnie zostały uchwalone. Po mowach ministra wojny, kroju trochę studenckiego, minister spraw wewnętrznych przemawiał słowami mądremi i godnemi, a nie mogąc wciągnąć do gabinetu naczelników stronnictw liberalnych, podziękował im przynajmniéj za szlachetne postępowanie w obecnych wypadkach. Chwalił szczególnie stanowczemi wyrażeniami pisarzy liberalnych, którzy zapominając o odmiennem widzeniu rzeczy w szczegółach, stanęli do obrony tego, co było wspólném dobrem dla wszystkich, to jest króla i wolności.

Skutek tego posiedzenia okazał się korzystnym, a ztąd przygotowywano drugie bardziéj uroczyste. Oświadczono, że król i książęta udadzą się 16 Marca do izby deputowanych, dla odnowienia w niéj przymierza z narodem i dania zapewnień swéj wierności dla ustawy konstytucyjnéj. Ksiądz de Montesquiou i p. Lainé nie mogąc wyrwać króla z pod zgubnych doradzań książąt, a ztąd skłonić, aby się rzucił w objęcia stronnictwa konstytucyjnego, chcieli przynajmniéj, aby widocznym objawem dobrej woli pogodzić dwór z opinią publiczną, tą jedyną siłą, która z korzyścią mogła być postawioną przeciw Napoleonowi.

Król przygotował mowę, którą sam starannie zredagował i której nauczył się na pamięć dla tém lepszego wystąpienia. Mowa ta przed-

stawiona na radzie ministrów, ocenioną została za arcydzieło, i rzeczywiście była zarówno szlachetną jak zręczną. Opierając się na tak pochlebném orzeczeniu swych doradzców, Ludwik XVIII., wziąwszy na się wstęgę Legji honorowéj, wyruszył z Tuileries z wielką okazałością, pomiędzy uszykowanemi szeregami gwardji narodowéj i wojska linjowego, w towarzystwie wszystkich książąt. Księcia Orleańskiego wziął do własnego powozu i zwrócił jego uwagę na to, że miał na piersiach gwiazdę Legji honorowéj. Chciałbym, odpowiedział mu książę, ażeby to dzisiaj nie było po raz pierwszy. Podczas przejazdu, publiczność złożona po większéj części z mieszczaństwa Paryża, okazała się przychylną; gwardja narodowa wydawała okrzyki: *Niech żyje król!* a wojska milczały. Książę de Berry i książę Orleański baczną na to wszystko zwracali uwagę, lecz król był bardzo obojętnym, powtarzając sobie w pamięci mowę, z którą miał przed izbami wystąpić.

Przybywszy do pałacu Bourbon, Ludwik XVIII. wszedł do izby posiedzeń i wstąpił na stopnie tronu, podtrzymywany przez pp. de Blacas i de Duras. Na widok monarchy, członkowie powstali, gorące wydając okrzyki. Najbardziej wylani byli deputowani zasiadający na lewej stronie. Chcieli oni pokoju, karty, króla, któremu ukazywali, że szczerością za szczerość odpłacą. Po trzy i cztery razy powstawali oni dla wydania okrzyku: *Niech żyje król!* Wspierani w tych objawach przez deputowanych, rojalistów, dali uczuć Ludwikowi XVIII. najżywsze współczucie, które go do głębi wzruszyło i które kazało mu wierzyć, że jest ocalony. Na nieszczęście były to tylko okrzyki ludzi światłych i prawdziwych patrjotów: reszta bowiem narodu pamiętając doznane od Burbonów zniewagi, których była przyczyną nawet mimowolnie, biegła na nowo ku przepaści.

Król podniósłszy się, wypowiedział głosem czystym i zrozumiałym następne słowa:

Panowie!

«W obecnéj chwili przesilenia, gdy nieprzyjaciel publiczny zajął część mego królestwa i gdy zagraża reszcie wolności, przychodzę pośród was ścieśnić jeszcze węzły, które jednocząc was ze mną, są siłą państwa. Udaję się do was, aby przedstawić całéj Francji moje uczucia i moje życzenia.

«Ujrzałem na nowo moją ojczyznę i pogodziłem ją ze wszystkiemi mocarstwami zagranicznemi, które, nie wątpcie o tem, pozostaną wierne traktatom powracającym nam pokój; pracowałem dla szczęścia mego ludu; odbierałem i odbieram każdodziennie przejmujące oznaki jego mi-

łości; czyż mogę, w sześćdziesiątym roku, lepiéj zakończyć życie nad danie go w obronie ludu...«

Nowe rozległy się okrzyki.— Nie, wołali deputowani, to nie Waszej Królewskiéj Mości, lecz nam należy umrzeć za tron i kartę — Król napowrót głos zabrał:

«Niczego więc nie obawiam się dla siebie, lecz obawiam się o Francję. Ten, który przychodzi pośród nas zapalić pochodnię wojny domowéj, przynosi zarazem klęski wojny zagranicznéj; przychodzi wtrącić naszą ojczyznę pod swe żelazne jarzmo; przychodzi nakoniec zniszczyć nadaną wam przezemnie kartę konstytucyjną, tę kartę, która najpiękniejszą po mnie pozostanie pamiątką dla potomności, tę kartę, którą wszyscy Francuzi ukochali i utrzymanie któréj tu zaprzysięgam.

«Uszykujmy się więc koło niéj! Niech ona będzie naszą chorągwią świętą! Potomkowie Henryka IV. staną w szeregu pierwsi, a wszyscy dobrzy Francuzi pójdą za nimi. Nakoniec, Panowie, niech współdziałanie obudwóch izb wesprze władzę całą konieczną jéj siłą, a ta wojna prawdziwie narodowa, szczęśliwém zakończeniem dowiedzie, co może wielki naród, zjednoczony miłością swego króla i zasadniczego prawa państwa.»

Zaledwie te ostatnie słowa zostały wypowiedziane, podniósł się hrabia d'Artois i ściskając z uszanowaniem ręce króla, wyrzekł: — Pozwól, Najjaśniejszy Panie, abym w imieniu twéj rodziny, połączył mój głos z twoim, dla zaświadczenia o jawnéj i serdecznéj zgodzie z Waszą Królewską Mością, i dla poprzysiężenia, że pozostaniemy wierni tobie i karcie konstytucyjnej.— Tak, tak, zawołali książę de Berry i książę Orleański, przysięgamy na to! Na niespodziewany ten widok obiedwie izby powstały, dla przyklaśnięcia zgodności uczuć zbawiennych, jeżeliby objawione zostały wcześniej, dla podziękowania dworowi, że szuka wsparcia w narodzie, i dla przyznania go w zupełności. Lecz na nieszczęście już niém nie rozporządzały, a nawet same izby, pomimo swej roztropności, nie opierały się być może dosyć rządowi królewskiemu dla zyskania popularności, którąby była zapewniła środki do jego obrony i jego ocalenia.

Ludwik XVIII. wyszedł wpośród wzruszenia powszechnego, aż nazbyt zadowolony ze skutku swej mowy i posiedzenia; ze skutku, który byłby bezzawodnie użytecznym przed piętnastu dniami, a którego użyteczność stawała się bardzo wątpliwą.

Po tém posiedzeniu królewskiém kazano stanąć gwardji narodowej, aby książęta odbyli jéj przegląd i aby w ich oczach ludzie dobrej woli, przeznaczeni na utworzenie bataljonów ruchomych, wystąpili z szeregów.

Hrabia d'Artois rozwinął cały zapas przymileń, byle tylko podobać się mieszczaństwu paryzkiemu pod bronią, lecz gdy odwołano się do ludzi dobrej woli, bardzo ich mała przedstawiła się liczba. Zanadto bowiem obrażano uczucia tego mieszczaństwa, a ztąd nie mogło być ono napełnione gorącém poświęceniem. Obawiało się ono tego co nadchodziło, bez wielkiéj miłości ku temu co się oddalało. Pozory przynajmniej zostały zachowane, i książęta, pomimo że nie byli tak gorąco powitani jak w izbie deputowanych, doznali jednak przyzwoitego przyjęcia. Pod wrażeniem tych różnych objawów, a nadewszystko zawiedzionych usiłowań braci Lallemand, dwór powracał powoli do nadziei i zaczynał wierzyć w siłę liczebną i wierność zgromadzonych wojsk w Melun pod rozkazami księcia de Berry, marszałka Macdonald, jenerała Belliard, Maison, Haxo i innych. Bonapartyści zaś przeciwnie, zmięszani niespodziewaném niepowodzeniem braci Lallemand, widzieli w niém zastraszającą oznakę usposobienia żołnierzy, a ztąd przerażeni ukrywali się, szczególniej przed imieniem nowego prefekta policji Bourrienne.

W tym to czasie Napoleon przybywszy do Auxerre 17 Marca, gotował się do dalszego na Paryż pochodu. Z wojskami znalezionemi w Grenobli i Lyonie, z zebranemi w Franche-Comté, a przyprowadzonemi przez Neya, miał pod ręką około dwudziestu tysięcy żołnierza i sześćdziesiąt dział. Pułk 14 linjowy wysłany przeciw niemu do Auxerre, w miejsce walki połączył się z nim przy okrzykach: *Niech żyje cesarz!* a ztąd zwiększył jeszcze jego siły. Otrzymano w Auxerre wiadomość o tworzeniu armii w Melun. Mówiono o czterdziestu tysiącach, złożonych z żołnierzy linjowych, z gwardji przybocznej królewskiej i z gwardji narodowej, pod bezpośredniemi rozkazami księcia de Berry i kilku marszałków, i bardzo prawdopodobną stawało się rzeczą, że ten pierwszy wystrzał, tak pożądany przez Burbonów, a unikany przez Napoleona, rozlegnie się nakoniec pod murami Paryża. Nie można bowiem było wątpić, że w liczbie pięciu czy sześciu tysięcy ludzi, składających gwardję przyboczną królewską, znajdzie się ich zawsze dostateczna liczba do wywołania walki, a wówczas położenie stanie się nadzwyczaj ważném. Napoleon bynajmniej się nie niepokoił temi pogłoskami. Powiedział sobie, że wojska nie lepiej będą się trzymać pod Paryżem, jak pod Grenoblą i Lyonem, że za jego zbliżeniem się rząd straci głowę i że król postąpi podobnie jak prefekci, a przynajmniéj ci, którzy chcieli pozostać wiernymi. Z drugiej znów strony, wysłańcy przybywający z okolic stolicy zapewniali, że na drodze nie spotkali żadnego oddziału wojska, a w Melun widzieli tylko zgromadzonych oficerów na pół żołdzie, bardzo źle usposobionych dla rządu, do obrony którego byli przeznaczeni. Na-

poleon więc nie mógł przywiązywać wagi do krążących obaw, lecz jako wódz bardzo przezorny wszystko obliczał, a ztąd postanowił dwa lub trzy dni oczekiwać w Auxerre, a to w celu zgromadzenia tu sił swoich i możności wyruszenia na Paryż szykiem wojennym. Oczekiwał na marszałka Ney z korpusem zebranym w Franche-Comté, a być może nawet ze starą gwardją, o której mówiono, że wymknęła się marszałkowi Oudinot, i był pewnym, że w dwóch lub trzech dniach wojska jego wystarczającej będą potęgi. Dla oszczędzenia trudów piechocie, postanowił przewieść ją Sekwaną od Auxerre aż do Montereau. Podobnież zamierzył przewieść i artyllerję i w tym celu rozkazał zgromadzić za opłatą wszystkie statki z Sekwany. Skierował swą jazdę drogą lądową także do Montereau i urządził rzeczy w ten sposób, że 19 Marca będzie mógł wkroczyć do lasu w Fontainebleau wszystkiemi swemi siłami.

Po zarządzeniu wszystkich tych środków, a to ze zwykłą sobie szybkością i dokładnością, poświęcił swój czas na przyjmowanie merów, podprefektów, naczelników oddziałów wojska i na przemawianiu do nich w sposób jak wszędzie. Wieczorem, przy stole u prefekta i w kółku ściśniętém, złożoném z Drouota, Bertranda, Cambronna i samego prefekta, mówił poufnie słowami jasnemi, wyrazistemi, dojmującemi, co mu było właściwém.—Pozwoliłem, mówił, na rozszerzenie około siebie pogłoski, że jestem w zgodzie z mocarstwami, a tak nie jest. Nie porozumiałem się z nikim, nawet z tymi, których oskarżają o działania w Paryżu w mej sprawie. Widziałem z wyspy Elby popełniane błędy i postanowiłem z nich korzystać. Wyprawa moja ma wszystkie pozory czynu nadzwyczaj śmiałego, a w rzeczywistości jest ona tylko czynem rozsądku. Niewątpliwą jest rzeczą, że żołnierze, wieśniacy, nawet klassy średnie przyjmą mię z uniesieniem, gdyż za bardzo są obrażone. W Grenobli potrzebowałem tylko *uderzyć w bramę mą tabakierką* dla jej otworzenia. Wprawdzie Ludwik XVIII. jest księciem rozsądnym, oświeconym przez nieszczęścia, i gdyby on sam był tylko, miałbym nieskończenie więcej trudności w odebraniu mu Francji. Lecz jego rodzina, jego przyjaciele, zniszczyli wszystkie dobro, do uczynienia którego był zdolnym. Zdawało im się, że powrócili do dziedzictwa swych ojców i że dowolnie w niém postępować mogą, a nie widzieli tego, że to do mego weszli dziedzictwa i że moje nie może być podobnie jak ich zarządzaném. Na uwagę prefekta, że Burboni zamknęli się w ścisłém przestrzeganiu prawa, Napoleon odpowiedział, że do rządzenia nie wystarcza trzymanie się litery prawa, lecz że należy postępować wedle jego ducha.—Wykonywano, mówił, prawa teraźniejsze na sposób czasów ubiegłych, a ztąd musieli koniecznie oburzyć obecne po-

koleanie. To jest jedyna przyczyna moich powodzeń. Utrzymywano w roku zeszłym, że to ja sprowadziłem Burbonów. Oni mnie sprowadzają w roku bieżącym, a ztąd jesteśmy skwitowani....

Napoleon przepędził cały wieczór na rozmowie ze zwykłą sobie żywością, wykładając najbardziej uderzające błędy Burbonów, przyznając się także otwarcie do swoich, lecz zapewniając zresztą, że się zmienił, że już nie będzie ani panem samowładnym, ani zdobywcą, gdyż umiał jak mówił, poprawić się i nie pozostać na równi z Burbonami, którzy przez dwadzieścia pięć lat *nic się nie nauczyli i nic nie zapomnieli*....

Nazajutrz, 18 Marca, przybył marszałek Ney. Napoleon oczekiwał go z niecierpliwością i zdawał się nawet dziwić, że nie przybywał wcześniej. Marszałek zatrzymany wydawaniem rozkazów, rzeczywiście się opóźnił, a zresztą coraz więcej był zakłopotany, w miarę zbliżania się do głównéj kwatery. Dwie głównie rzeczy najbardziej go kłopotały: postąpienie w Fontainebleau i początkowe działania w Lons-le-Saulnier. Jego postąpienie w Fontainebleau, pomimo swej szorstkości, mogło być usprawiedliwioném siłą wypadków. Jego zwrot ostatni, chociaż podobnie mógł być wytłumaczony, to przecież tak był raptowny, że go kłopotał nawet w obec Napoleona, który tyle odniósł zeń korzyści. Marszałek dla usprawiedliwienia się powtarzał wszędzie to, co był już powiedział w Lons-le-Saulnier, że ustąpił przed życzeniem Francji, które pokazało się jednogłośnie w Grenobli, Lyonie, Macon, Chalon i innych miejscach, lecz że nie rozumiał poddania się jednemu człowiekowi, nadewszystko temu, który poprowadził Francuzów do Moskwy; że okoliczności się zmieniły, że dzisiaj dla Francji potrzeba pokoju i wolności, że sam tego oczekuje, że powie o tém cesarzowi przy pierwszém widzeniu się, i że jeżeli cesarz nie zechce usłuchać słów podobnych, w takim razie na zawsze zakopie się w swych dobrach.—Takie to słowa siał Ney na swojej drodze, powtórzył je smemu szwagrowi prefektowi i chciał wypowiedzieć samemu Napoleonowi. W miarę jednak jak się zbliżał, tracił po trochu na śmiałości, a obawiając się, aby mu nie brakło odwagi, lub też aby nie zapomniał czego powiedzieć, przelał na papier swoje uczucia i postępowanie, które rozpoczęło się w Fontainebleau, a zakończyło w Lons-le-Saulnier. Przeczytał to swemu szwagrowi, który nie znalazł nic do dodania, i udał się do Napoleona, wziąwszy w rękę to pismo, w niewielkiej już znajdując się odległości.

Napoleon ze zwykłą swą bystrością odgadł wszystko, co mu marszałek chciał powiedzieć, a wystarczało z jednej i drugiej strony nadeszłych słów parę, aby miał zupełną pewność, jakie to tłumaczenie i ra-

dy ma mu Ney przynieść. Chciał się przeto uwolnić od jednych, a oszczędzić się od drugich. Wyszedł więc do niego z otwartemi ramionami, wołając: Uściskajmy się, mój drogi marszałku.... Następnie gdy Ney rozwinął swój papier, nie pozwolił mu na rozpoczęcie czytania.— Nie masz potrzeby tłomaczyć się, powiedział. Tłomaczenie twoje, podobnie jak moje, jest w wypadkach, które były silniejsze od ludzi. Lecz nie mówmy więcej o przeszłości, a przypominajmy sobie tylko dla lepszego na przyszłość postępowania.— Po pierwszych tych słowach Napoleon nie pozostawiając marszałkowi czasu na zabranie głosu, wyłożył mu swe położenie i zamiary, które nic nie pozostawiały do życzenia, gdyż uznał konieczność pokoju i wolności, a zarazem okazał postanowienie do zapewnienia jednego i drugiej, oświadczył, że zgadza się na traktat paryzki, że kazał to oświadczyć w Wiedniu, że liczy na to oświadczenie i wdanie się Maryi Ludwiki, a ztąd że spodziewa się uniknąć nowej walki z Europą, i że za przybyciem do Paryża zgromadzi ludzi światłych, dla naradzenia się z nimi nad zmianami, jakie należy wprowadzić do ustawy cesarstwa. Marszałek napróżno usiłował choć słów kilka wtrącić do postanowień Napoleona, gdyż zawierały one wszystko co tylko było do żądania i określały daleko lepiej, aniżeli ktokolwiek mógł to zrobić, potrzeby obecnej chwili. Powtórzył przecież w swój sposób wszystko co tu usłyszał, aby przynajmniej mógł się pochwalić że mówił, a Napoleon słuchał też ze spokojem, gdyż mowa marszałka była już tylko powtórzeniem własnych cesarza myśli, przed chwilą wyłożonych. Rozmowa więc była bardzo przyzwoitą. Jednakże Ney. pomimo że nie był obdarzony przenikliwością cesarza, zrozumiał dobrze, nie chciał aby mu stawiano jakie warunki, a Napoleon zrozumiał jeszcze lepiej, że chciano mu je stawić. Byli więc daleko mniej z siebie zadowoleni, aniżeli to okazywali. Wychodząc Ney, powiedział do wszystkich oficerów i do swego szwagra, że jest bardzo zadowolony z cesarza, gdyż pokazał mu się aż nazbyt przyjacielskim i wyrozumiałym. Jego współtowarzysze przyklasnęli temu i oświadczyli, że nic nie mają do życzenia, kiedy odzyskali cesarza a odzyskali go poprawionego wypadkami. Napoleon zaś, odgadując z układów twarzy, z wymykających się słówek, że usprawiedliwiano się z pogwałcenia obowiązków żołnierza zamiarem położenia mu hamulca, udawał iż nic nie spostrzegł i że zupełnie jest zadowolony z marszałka. Po przejściu jednak tego pierwszego wrażenia, przybrał powoli całą cesarską wyniosłość w postępowaniu z Neyem i naznaczył mu spotkanie w Paryżu, jak gdyby wcale nie potrzebował jego pomocy do wejścia do stolicy.

Dnia 19 Marca rano, gdy już wszystkie rozporządzenia ukończone

zostały i gdy wojska powinny już były znajdować się w Montereau, Napoleon opuścił Auxerre, aby stanąć na ich czele. Zmierzchem znajdował się na skraju lasu Fontainebleau, otoczony swymi żołnierzami. Tutaj liczne otrzymał wiadomości o obrotach wojsk, które wysunięte zostały przed Paryż: nie zwracał na to uwagi i zapuścił się w głąb lasu z oddziałem jazdy. O czwartej godzinie z rana, 20 Marca, dotarł na ten dziedziniec pałacu w Fontainebleau, na którym przed jedenastu miesiącami (20 Kwietnia) żegnał się z gwardją cesarską. Znalazł już tutaj gromadę jeźdźców, którzy uciekli z armji zgromadzonej w Melun i przybyli tutaj na jego spotkanie. Postawiwszy nogę w tym pałacu, w którym skończył pierwsze panowanie i w którym zdawał się rozpoczynać drugie, zajaśniał głębokiém uczuciem zadowolenia. Ten odwet, zapewniony mu przez losy, był bezwątpienia nader uderzającym, to też w tej wielkiej duszy, która uleczyła się na wyspie Elbie (zobaczymy wkrótce tego dowody), radość nakazała na chwilę milczenie przezorności!

Tymczasem największe wzburzenie panowało w Tuileries. Nadzieje, jakiemi się kołysano, nie trwały długo i wówczas gdy marszałkowi Soult potrzeba było trzech miesięcy na utracenie wiary dworu, ministrowi Clarke wystarczyło ośmiu dni na utratę całego zaufania, jakie w nim pokładano. W miarę otrzymywanych wiadomości o trjumfalnym pochodzie Napoleona, za nadejściem szczególniej o przejściu marszałka Ney, poznano dobrze, że dziecińśtwem było oczekiwać zbawienia od jakiegokolwiek ministra, skutkiem czego dwór oddał się rozpaczy. Zagorzali rojaliści nie widzieli środka nad powtórną za granicę ucieczkę, gdzie spodziewali się znaleść wsparcie, jakie znajdowali w każdym czasie. O ile bowiem nadchodzące z Francji wiadomości były zasmucające, o tyle przeciwnie przybyłe z Wiednia były pocieszające, i dowiedziano się już, że zebrane nadzwyczajne posiedzenie kongresu, wydało na Napoleona prawdziwy wyrok śmierci. Na nieszczęście jednak, że trzeba było poza granicami ojczyzny szukać tego niebezpiecznego wsparcia cudzoziemców, które mogło wprawdzie dać jakąś siłę materjalną, ale za to pozbawiało zupełnie siły moralnéj.

Należy tu oddać sprawiedliwość pp. Lainé, de Montesquiou i wszystkim tym wreszcie, którzy wierzyli w ocalenie sprawy królewskiej za pomocą związku dynastji ze stronnictwem liberalném, że nie rozpaczali nad swą polityką, i że aż do ostatniego dnia chcieli zmierzyć niebezpieczeństwo, to jest narazić się na wpadnięcie w ręce Napoleona, byle tylko doprowadzić do skutku tak pożądane pojednanie. Napierali oni usilnie, aby dwór oddał się całkiem stronnictwu konstytucyjnemu, aby z tegoż wybrał ministrów, aby postawił jenerała Lafayetta na czele

gwardji narodowej; jednem słowem, aby kartą powierzoną w ręce liberalnych stawił opór Napoleonowi. Konstytucjoniści zgadzali się na podobne wnioski i gotowi byli aż do ostatniej chwili, a 19 Marca z rana p. Benjamin Constant umieścił w *Journal des Debats* nadzwyczaj gwałtowny artykuł przeciw Napoleonowi, dowodząc widocznej i nieodwołalnej korzyści dla kraju z rządu Burbonów wedle zasad karty.

O tej godzinie rada ministrów prawie już nie była radą królewską, gdyż, podobnie jak to się zawsze dzieje w dniach przesilenia, tłumy gorliwców otoczyły miejsce obrad rządu, gwałtem otworzyły drzwi, wmięszały się do jego rozpraw i żądały kierować sprawą przynajmniej tyle, ile ci, którzy byli odpowiedzialni za nią. W takich to chwilach następuje zupełne rozprzężenie władzy, albowiem każdy rozkazuje, nikt nie słucha, a gdy podobny stan rzeczy wyjdzie już na jaw, wówczas niezawodnie rozpoczyna się konanie. Rojaliści rozmaitych odcieni opanowali pałac Tuileries: spotykano ich tu wszędzie poruszających się, rozmawiających i narzekających na pp. de Montesquiou i de Blacas, którym wszystko złe przypisywano. Pierwszy stał się przedmiotem wstrętu od czasu jak dał się słyszeć z radami umiarkowania, i dowodzono, że to jest człowiek płochy, fałszywej zasługi, wynaleziony i wychwalony przez kobiety, nie zdolny do dźwigania ciężaru władzy. Drugi zaś, w oczach tych zapalczywych rojalistów zawinił tém, że zanadto oddany był królowi. Uważano go za przyczynę nieruchliwości Ludwika XVIII. i jego wahania się. Umiarkowani nawet podobnie jak zagorzali przypisywali mu winę że nie byli słuchani, zarzucając mu, że wzniósł około króla pewien rodzaj muru, aby przeszkodzić dochodzeniu do niego rad zdrowych. Nie ulega wątpliwości, że zimna wyniosłość ministra była dostateczną do natchnięcia podobnej myśli, pomimo że w rzeczywistości dokładnie powiadamiał on Ludwika XVIII. o wszystkiem co się tylko działo. Trzeba też dodać, że w okolicznościach trudnych zwykle ulubieńcom lub uchodzącym za takich przypisują wszystkie klęski, i mszczenia się niejako na nich, za uczczenie łaskami dworu, oskarżając ich o wszystko, nawet i o to, że zbytecznie przykładali ręki do odwrócenia złego.

Roznamiętnienie przeciw tym dwom ministrom było nadzwyczajne. Ksiądz de Montesquiou, nie robiąc sobie nic z tego, upierał się przy utrzymaniu systemu ustępstw, a p. de Blacas zimne zachowywał milczenie. Zagorzali rojaliści uparcie dowodzili, że rząd zgrzeszył tylko słabością i uważali ustępstwa za zdwojenie tej słabości, która powiększy tylko brak powagi władzy, nie przynosząc żadnej widocznej na dobre zmiany w obecnym stanie rzeczy. Wedle ich zdania nie było nic lepsze-

go do zrobienia nad opuszczenie Paryża i wyjazd za granicę, gdzie mogą znaleźć pomoc Europy, to jedyne ich zbawienie, na które odtąd mogli liczyć. Mówili oni z zadowoleniem zaledwie ukrywanem, że koalicja ukarze ten naród niewdzięczny, który mógł być tylko rządzonym żelazną ręką, to jest Napoleona albo Europy. Dodawali także, że zostaną oswobodzeni od karty, głównej przyczyny, jak mniemali, że legitymiczność nowym wywrotem została zagrożoną Nie to w ich oczach było winą, że karta nie była przestrzegana, lecz to, że została nadaną.

Nie mogli się jednak zgodzić na jedno nawet sami zagorzali rojaliści. P. de Vitrolles był jednym z tych, którzy stanowczo odpychali ucieczkę za granicę. Doświadczyli oni świeżo, o ile dokuczliwym jest wpływ zagraniczny, gdyż wpływ ten powstrzymywał ich od wylania się na wszystkie namiętności, a ztąd bardzo się obawiali popaść jeszcze bardziej w zależność państw obcych. Dla uniknięcia podobnych następstw wymyślili oni jeden środek, to jest, aby przy opuszczeniu Paryża (na to zgadzali się wszyscy, jako na rzecz nieuniknioną) nie cofać się na północ, ku Lille lub Dunkierce, lecz na zachód, ku Angers, Nantes i Roszelli, czyli drogą prowadzącą do Wandei, pośród starych żołnierzy rojalizmu, którzy od dziesięciu już miesięcy zostali napowrót uzbrojeni. Wyobrażano sobie, że zgromadzi się w ten sposób pięćdziesiąt tysięcy walczących, którzy oparci o Nantes, Roszellę i Bordeaux, przy otrzymywaniu od Anglików pomocy w pieniądzach i przyrządach wojennych, przez długi czas będą mogli walczyć, a ściągnąwszy na siebie część sił przywłaszczyciela, dostarczą Europie, bez pozorów wspólnictwa, czas i możność do stanowczego rozwiązania sprawy pomiędzy Renem a Sekwaną. Książę de Bourbon wyjechał był już do Tours i Angers, i niepowątpiewano, że uda mu się głęboko poruszyć Wandeję. Otrzymano wiadomości z Bordeaux, gdzie księstwo d'Angoulême wywołali żywe uniesienia zapału, a ztąd schronienie na zachodzie uważano zarówno bezpieczne jak zaszczytne, gdyż w ostatnim nawet razie, po stanowczej przegranej było na tyłach morze, więc możność ucieczki z powrotem do Anglii, zkąd się przybyło przed rokiem.

Można było bezwątpienia wiele powiedzieć na korzyść podobnego planu, lecz zarówno niepopularność przywiązaną była do opierania się na Szuanach jak do pomocy zagranicznej, a wybór pomiędzy dwoma niepopularnościami był trudny. To też p. de Montesquiou, będący zwykle przeciwnikiem p. de Vitrolles, odezwał się tonem człowieka znudzonego głupiemi radami: Eh panie, król Szuanów nie będzie nigdy królem Francuzów —Na co p. de Vitrolles odpowiedział, że zarówno król wyniesiony przez Austrjaków, Anglików i Rossjan nie może mieć większej na-

dziei zostania nim. Obadwaj ci panowie przyszli do takiego stopnia wzajemnego ku sobie wstrętu, że jeden na drugiego nawet patrzyć nie mógł i byli zawsze gotowi do zobopólnych zniewag. P. de Vitrolles bardzo wyraźnie dawał do poznania, że uważał księdza de Montesquiou za opata światowego, zarówno niegrzecznego jak płochego; p. de Montesquiou zaś wystawiał p. de Vitrolles za gwałtownego warchoła, zarówno nudnego jak niebezpiecznego.

Po odrzuceniu zasady ustępstw ksiądz de Montesquiou nie widział innego środka nad cofnięcie się na północ, do Lille lub Dunkierki, zamknięcie się w jednej z tych twierdz i bez opuszczania ziemi francuzkiej zezwolenie na odbycie się pojedynku między Napoleonem a Europą, bez wzięcia w nim udziału. Była to rada, z jaką książę Orleański, marszałek Macdonald, jaką wreszie wszyscy ludzie rozsądni wystąpili do Ludwika XVIII., jeżeliby zaszła potrzeba, jak wszystko zwiastowało, opuścić stolicę i oddać ją Napoleonowi. Lecz plan nie więcej podobał się staremu królowi jak zamiar schronienia się do Wandei. Wyjście z Paryża było dla lenistwa Ludwika XVIII. postanowieniem w najwyższym stopniu nieprzyjemném, a każdy plan mający w zasadzie zmianę miejsca, stawał mu się obrzydłym. Wojować w Wandei zdawało mu się postanowieniem awanturniczém, które nie odpowiadało ani jego wiekowi, ani zdrowiu, ani dostojeństwu. Zajęcie silnej twierdzy na miejsce schronienia, było w jego oczach rzeczą niewykonalną, gdyż potrzeba było najprzód miasta gotowego do poświęcenia, a następnie załogi do jego obrony, a trzy lub cztery tysiące jeźdźców z których się składała gwardja przyboczna przy opuszczaniu Paryża, nie było dostateczną załogą dla miasta takiego jak Lille, do obrony którego potrzeba było przynajmniej dwanaście lub piętnaście tysięcy najlepszej piechoty. Nakoniec zostać oblężonym w twierdzy i skończyć poddaniem się, wydawało się królowi rzeczą dosyć śmieszną.

Najbardziej ze wszystkiego podobał mu się Paryż, a w braku Paryża, Londyn. Otóż przy podobném usposobieniu, tajemny żywił zamiar pozostania w Tuileries aż do ostateczności, gdyż źle wróżył o nowej emigracji.—Pierwszym razem, mówił, byliśmy dobrze przyjęci, gdyż przypisywano nasze nieszczęścia wielkiemu i niezwyciężonemu prądowi rewolucji, lecz teraz, przypiszą je naszej niezręczności, a ztąd przyjmą nas jako ludzi nieudolnych i natrętnych gości.—Chciał więc oczekiwać aż do ostatniej godziny, zdawszy na p. de Blacas niewdzięczną pracę stawiania zarzutów wszystkim planom, które mu się nie podobały.

Pośród tego zamieszania na dworze, gdy autorowie różnych wniosków spotykali się już to z roztargnionym i ironicznym wzrokiem króla,

już też z suchemi rokowaniami p. de Blacas, znalazła się osoba niezdolna do zachowania się spokojnie w okolicznościach tak ważnych, a był nią marszałek Marmont. Płochy, próżny, wzruszony, wielki przysporzyciel kłopotów, jak zwykle, powołany na dowódzcę gwardji przybocznej w obecnych okolicznościach, a zresztą zasługujący na to skutkiem rzadkiej swej waleczności, zarówno chciał ocalić króla i utrzymywał, że znalazł ku temu środek. Potrącając się w poruszeniach, jakie przybierał przeciw niezbyt przyjemnej oziębłości p. de Blacas, powziął ku temu ministrowi najżywszą nienawiść i bez stanowczego zmięszania się z gwałtownymi, razem z nimi powstawał na niego, przypisując jego wpływowi wszystkie nieszczęścia korony. Nieroztropność zaś swą posunął aż do tego stopnia, że oświadczył się p. Vitrolles z zamiarem porwania p. de Blacas, aby go oddalić od króla, a następnie opanowania rządu i ocalenia monarchji bez p. de Blacas, a nawet i bez króla. Jego plan, skoroby tylko wspólnie z p. de Vitrolles opanował rząd, zasadzał się na ufortyfikowaniu Tuileries, zgromadzeniu zapasów żywności i amunicji, zamknięciu się z wszystkimi wiernymi rojalistami i oczekiwaniu tutaj na Napoleona, a ztąd przysporzeniu mu dość wielkiego bezwątpienia kłopotu, zmuszając go do oblegania starego króla w jego własnym pałacu, do bombardowania nawet wśród powszechnego oburzenia. Na przedstawienie to p. de Vitrolles odpowiedział, że czas porywania ulubieńców już minął razem z samymi ulubieńcami, że p. de Blacas nim nie był i że wykonanie podobnego planu nie ocali króla, a przedstawi nienawistne i śmieszne naraz widowisko. Gdy zaś marszałek Marmont zwierzył się Ludwikowi XVIII. z drugiej części swego planu, otrzymał niezbyt pochlebną odpowiedź: Cacesz mi pan ofiarować krzesło kurulne; pomysł ten jest zarówno starym jak wszystkie te, które wyrzucają mym biednym emigrantom.

W tak zrozpaczoném położeniu chętnie zwrócono się do empiryków i poraz ostatni przemówiono do p. Fouché, aby od niego otrzymać, w braku współdziałania, przynajmniej dobrą radę, gdyż, jaktośmy powiedzieli, przy potrzebie zrobienia wyboru pomiędzy wstydem z zanoszania prośby do królobójcy, a ustępstwem dla stronnictwa konstytucyjnego, bardziej przekładano pierwszy.

Upoważniono więc p. Dambray do udania się do p. Fouché i do rozmówienia się z nim w imieniu Ludwika XVIII. Pan Fouché tak wielkie miał zamiłowanie we wszelkich knowaniach, że zabrnąwszy już w wystąpieniu przeciw Burbonom, aż do popchnięcia na nich braci Lallemand i przyjęcia udziału w ich szaloném przedsięwzięciu, z przyjemnością spotkał kanclerza Ludwika XVIII., słuchał przedstawień i od-

powiadał na nie. Skoro p. Dambray zażądał w imieniu króla od Fouchego wyznania wiary i udzielenia rady, co wskazywało widocznie, że dwór jest gotów do przyjęcia jego usług, ten odpowiedział, iż każdy wie o tém, że już zapóźno; że ruch już się rozwinął, że wojska pójdą za nim aż do ostatniego żołnierza, że Napoleon będzie w Paryżu przed ośmioma dniami, a ztąd że należy się cofnąć, zabezpieczyć władzę królewską od doścignięcia i w miejscu bezpiecznem oczekiwać na ostateczne wypadki. Pan Dambray głośno wyraził swe oburzenie na tak rozpaczliwe przepowiednie i dał do zrozumienia, że pan Fouché nie był w gruncie przekonanym, aby tak łatwo mogło przyjść do podobnych ostateczności, chyba że ich pragnął. Ten zaś odpowiedział mieszając nieroztropność z niezrównaną chełpliwością, że co do siebie doznawał równego jak i rojaliści smutku z powrotu Napoleona, że go nienawidził i zarówno od niego był nienawidzonym, lecz że się poświęca na próbę, która stała się nieuniknioną; że jeżeliby Burboni przyjęli byli wcześniej jego rady, byłby tak im jak Francji oszczędził tego nowego i niebezpiecznego przesilenia, lecz że obecnie nie ma już czasu na usunięcie go; że dla szczęśliwego przebycia tegoż przesilenia, trzeba mu się oddać, a ztąd nikt nie powinien się dziwić, jeżeli za dni kilka książę Otrantu zostanie ministrem Napoleona, a ma zamiar nim zostać dla uniknięcia tyranji i przyśpieszenia jego upadku; że tylko na tę drogę ocalenia ma nateraz zwrócone swe oczy, i że wówczas, po oswobodzeniu się być może od tego niebezpiecznego szaleńca, będzie mógł działać na korzyść Burbonów, gdyż dzisiaj nie jest w możności.

Nie wiadomo czemu należy się więcej dziwić: czy cynizmowi takiego wyznania, czy nieroztropności podobnych zwierzeń, czy dziecinnej pysze, którą zdawało się że przewiduje i zapanowywa nad tak odległemi wypadkami. P. Dambray dał się opanować wszystkim pozorom głębokiej polityki i wyszedł pomięszany i przygnieciony mniemaną wyższością p. Fouché. Zdał on sprawę ze swego poselstwa królowi i hrabiemu d'Artois, którzy się rozgniewali, a szczególniej ten ostatni, że tak późno zwrócono się do genjuszu księcia Otrantu. Odpowiedź ta jednak i odrzucenie świetnych, jak się zdawało rojalistom, widoków, zdała się dworowi nader podejrzaną, a ztąd wnoszono, że p. Fouché bezzawodnie musiał już związać się z nieprzyjacielem, kiedy tak obojętnie zbywa otwarcie czynione mu ofiary. W niemożności przeto pozyskania dla siebie, postanowiono go ubezwładnić, czyli po prostu uwięzić. Gwałtowna policja p. de Bourrienne nie cofała się przed spełnieniem podobnego czynu i wysłała ajentów dla przytrzymania księcia Otrantu. Było to bezużyteczne szaleństwo, którego w każdym razie nie należało

probować bez pewności powodzenia. P. Fouché bowiem mieszając się do wszystkich knowań, pojmował aż nadto, że powinien spodziewać się wszelkich następstw, a ztąd zapewnił sobie schronienie w sąsiednim pałacu królowej Hortensji; gdy więc ajenci policyjni przyszli po niego, przedstawił im konieczność oddalenia się na chwilę i umknął przez własny ogród.

Zdarzenie to wiele wzbudziłoby śmiechu, gdyby położenie nie było tak ważném. W dniu 19 Marca rano nadeszła wiadomość, że Napoleon zbliża się do Fontainebleau; nadeszła więc stanowcza dla Ludwika XVIII. chwila w której musiał ostatecznie coś postanowić. Przy swych zasadach i upodobaniu nie potrzebował nawet zastanawiać się nad wyborem. Było już bowiem za późno na porozumienie się ze stronnictwem konstytucyjném, którego znał zaledwie głównych naczelników i któremu, choćby nawet pokładał w niém nadzieję, nie mógł się powierzyć bez oburzenia do najwyższego stopnia gniewu rojalistów. Uznał za śmieszny plan marszałka Marmont, co do stawienia czoła oblężeniu pałacu Tuileries; a plan p. de Vitrolles, względem chronienia się do Wandei, godnym tylko hrabiego d'Artois. Pozostawał mu tylko wyjazd na granicę północną bez przekraczania jej jednak. Ostatni ten plan, obmyślony przez księcia Orleańskiego i marszałka Macdonald, przekładał nad wszystkie inne, gdyż bardziej się zgadzał z jego własnemi pojęciami. Książę Orleański wyjechał już był do Flandrji. Marszałek Macdonald, przeznaczony na dowódzcę armji zbierającej się w Melun, pod głównem zwierzchnictwem księcia de Berry, był w Paryżu, i Ludwik XVIII. powziął prawdziwy szacunek dla jego roztropności, zimnej krwi i prawości. Powołał go do siebie zapytując o zdanie. Marszałek, zajmując się utworzeniem armji w Melun, bez ogródek oświadczył królowi, że w armji tej najmniejszego nie ma zaufania, że gwardja przyboczna poświęcona, odważna, ale niedoświadczona, nie dostoi na polu dwóch godzin przeciw wojskom cesarskim; że bataljony ochotników i gwardji narodowej były niczem pod względem liczby; że nakoniec wojska linjowe niezawodnie przejdą do nieprzyjaciela, skoro tylko znajdą się od niego na odległość strzału działowego. Usposobienie nawet wojsk tak było niepewném, że marszałek nie ośmielił się dotąd na ich zgromadzenie w Melun, a to z obawy, aby znalazłszy się w większej liczbie, nie chciały zrobić wybuchu zgodnego z ich uczuciami. To też wysłał tam tylko oficerów na pół żołdzie, z których marszałek Soult chciał utworzyć bataljony wyborowe, a którzy już nie taili się ze swém usposobieniem i zagrażali powstaniem. Po tém szczerém przedstawieniu rzeczy marszałek wniósł, że należy cofnąć się do Lille, zamknąć się tu-

taj i oczekiwać na skutek walki, jaka się wznowi pomiędzy Europą a cesarstwem przywróconém. Król znalazł wniosek marszałka bardzo rozsądnym i w zupełności go podzielał. Nie chciał przecież uwierzyć aby się łatwiej można było utrzymać w Lille niż w Paryżu, więc naturalny miał pociąg do szukania przytułku w Hartwell, gdzie przez lat sześć cieszył się zupełnym spokojem i gdzie obawiał się zakończyć życie, dzięki błędom swego brata i gorliwych przyjaciół. Nadto, ponieważ Lille było na drodze do Londynu i ponieważ pomimo wszystkiego, pozostanie na granicy, jeżeliby można, było widoczną korzyścią, zgodził się na plan marszałka i rozkazał wprowadzić go w wykonanie. Miał jednak pewną obawę, którą i marszałek w pewnym stopniu podzielał. Pamięć, ta nieszczęsna Burbonów własność, przypominała mu ciągle, że Ludwik XVI usiłując uciec, został przytrzymany w Varennes i siłą sprowadzony do Paryża. Obawiał się więc, aby jakie zaburzenie uliczne, wzniecone przez ludzi z przedmieścia i oficerów na pół żołdzie, nie wstrzymało powozu i nie przeszkodziło wyjazdowi. Wchodząc w te obawy, marszałek Macdonald wspólnie z królem postanowił wysłać wojska do Villejuif, pod pozorem sformowania korpusu, a po oswobodzeniu się od ich obecności, zgromadzić gwardję przyboczną na polu Marsowém, pod równie zmyślonym pozorem przeglądu, otoczyć nią rodzinę królewską, śpiesznie przejść za Sekwanę, skierować się na Revolte i przez Saint Denis dostać na drogę prowadzącą na północ. Król ułożywszy wszystkie te szczegóły z marszałkiem Macdonald, nic o zamiarach nie powiedział marszałkowi Marmont, niedowierzając jego językowi; lecz wydał mu tylko rozkaz aby gwardję przyboczną trzymał ciągle pod bronią, w zupełnej gotowości do wyruszenia na pole bitwy.

Na tym punkcie stanęły rzeczy 19 Marca z rana i nikt już nie myślał o sprzeciwianiu się postanowieniom królewskim i o przedstawianiu swych planów, gdyż przy tej prawie pewności, że Napoleon w przeciągu dwudziestu czterech godzin znajdzie się w murach Paryża, każdy przemyśliwał nad umknięciem przed jego okrucieństwem, które emigranci wyobrażali sobie w stosunku do żywionej ku niemu nienawiści. Ludwik XVIII oswobodził się więc od przeciwnych planów swych najgoretszych przyjaciół, nadewszystko, gdy jego bratu hrabiemu d'Artois i synowcowi księciu de Berry widoczne niebezpieczeństwo nie pozwala mieć innego, jak królewskie, zdania. Wszystko więc 19 Marca z rana w wielkiej tajemnicy tak zostało urządzoném, aby tegoż dnia lub w nocy można było wyjechać, skoro tylko nie będzie żadnej wątpliwości o zbliżaniu się Napoleona.

Zgodnie z temi planami, marszałek Macdonald natychmiast skiero-

wał wojska ku Villejuif, a ochotników królewskich, będących pod dowództwem p. de Viomesnil, do Vincennes, a zarazem oznajmił, że udaje się z książętami do Villejuif, aby objąć dowództwo zgromadzonej tam armji. Wieści te zdołały wprowadzić w błąd publiczność, lecz nie ukrywano nic przed stronnictwem dworskiém, któremu należało się gotować do opuszczenia Paryża. To też przez cały ten dzień rojaliści wyjeżdżali. Potrzebowano pieniędzy, a z tak sumiennym jak p. Louis ministrem, rzecz ta szła z wielką trudnością. Zdołano się przecież zaopatrzyć w pieniądze środkami zupełnie prawemi. Nie rozporządzono jeszcze dobrami przybyłemi z zaborów za cesarstwa, które należały do listy cywilnej. Z tego tytułu znajdowało się około sześciu miljonów w akcjach banku za sprzedane też dobra przed niewielą dniami. Lista cywilna wystąpiwszy z prawami do tych akcji, zrealizowała je na złoto i srebro. Ponieważ był dopiero początek roku, więc lista cywilna, ktora była bardzo znaczną, mogła wziąć zaliczenia kilka miljonów, a tym sposobem przysporzono sobie jeszcze 5 czy 6, co razem uczyniło summę 11 do 12 miljonów. Powierzono ich cztery płatnikowi gwardji przybocznej, a trzy p. de Blacas na wydatki dworu królewskiego. Kilka miljonów rozdano pomiędzy książąt, znakomitszych panów dworu i jenerałów towarzyszących rodzinie królewskiej (*). Nakoniec, co było już rzeczą nieprawą, wpakowano na wozy djamenty koronne, aby je wywieźć wraz z uciekającym dworem. Publicznie utrzymywano, że nie ma żadnych rozkazów i nie było też ich wcale. Poprzestano na rozkazaniu ministrom, aby towarzyszyli królowi, lecz izbom najmniejszej nie udzielono wiadomości. Gdy zaś księstwo Angoulême znajdowali się obecnie na południu, doznając gorących objawów zapału dla sprawy królewskiej, i gdy książę de Bourbon z swej strony wyjechał już do Wandei, przeto postanowiono, że p. de Vitrolles, który zawsze zdawał się wiele liczyć na prowincje zachodnie, uda się do nich, aby służyć za ministra odpowiedzialnego bądź przy księciu d'Angoulême, bądź przy księciu de Bourbon, i aby pod władzą jednego z tych książąt utworzyć rząd prowincjonalny dla tych okolic. Otrzymał on stosowne pełnomocnictwa i powinien był wyjechać na południe w tej chwili, w której rodzina królewska uda się drogą północną.

Przez cały ten dzień 19 Marca tłumy niespokojne, ciekawe i widocznie życzliwe, napełniały plac Carrousel, a widząc wjeżdżające i wyjeżdżające powozy i wiedząc o ciągłych wyjazdach z przedmieścia Saint Germain, domyślały się, że wkrótce nastąpi daleko ważniejszy z Tuile-

(*) Rachunki z obrotu tych summ, najdokładniej prowadzone, znajdują się w archiwach cesarstwa.

ries. Tłumy te, pomimo że między niemi znajdował się nie jeden oficer na pół żołdzie, przybyły dla uważania co się tu działo, świadczyły o prawdziwych uczuciach dla sprawy królewskiej, krzycząc od czasu do czasu: *Niech żyje król!* W tymże dniu p. Lainé, w imieniu stronnictwa konstytucyjnego, poraz ostatni ponawiał usiłowania, w celu możności stawienia skutecznego oporu, a to przez postawienie jenerała de Lafayette na czele gwardji narodowej. Dwór przyjął go bardzo grzecznie, lecz nic nie mówiąc o swoim bliskim wyjeździe, dał tylko do zrozumienia, że już za późno na wszelkie plany. Po południu, król zgodnie z marszałkiem Macdonald, zamierzył wyjechać z pałacu dla przekonania się o usposobieniu ludu, czy będzie mógł swobodnie opuścić stolicę. Marszałek Marmont dostał rozkaz zgromadzenia gwardji przybocznej na polu Marsowém, lecz otrzymawszy go niespodzianie, mógł wykonać tylko częściowo. Większa przecież część stawiła się na miejscu zebrania, więc postanowiono, że król pod pozorem odbycia przeglądu wyjedzie z Tuileries i powróci nazad, jeżeli wszystko będzie spokojnie; w przeciwnym zaś razie, gdy postawa ludu będzie niepokojącą, przejedzie za Sekwanę przez most Jena, skieruje się przez lasek Buloński i uda się drogą ku Saint Denis, rozkazując swej gwardji przybocznej towarzyszyć sobie.

Rzeczywiście pomiędzy trzecią a czwartą godziną król wyjechał, spotkał na placu Carrousel tłumy ciekawe, lecz spokojne i przyjazne nawet, rozstępujące się z uszanowaniem dla zrobienia wolnego przejazdu. Udał się na pole Marsowe, spotykał się wszędzie z tymże samym spokojem mieszkańców i powrócił do Tuileries z zamiarem stanowczego wyjazdu dopiero wieczorem, chcąc mieć więcej czasu na przygotowania do podróży.

Wieczorem nadeszła wiadomość o wejściu Napoleona do Fontainebleau i już niewątpiono, że nazajutrz będzie w Paryżu, skutkiem czego postanowiono nie odwlekać dłużej wyjazdu. Około jedenastej godziny, gdy tłumy zaczęły powoli się rozpraszać, zamknięto kratę dziedzińca pałacowego i cała królewska rodzina wsiadła do powozów. Skierowano się ku Saint-Denis bez spotkania się ani z ciekawością, ani też z oporem ludu, gdyż o tej godzinie ulice stolicy były zupełnie puste. Marszałek Macdonald rozkazał wojskom, które jeszcze nie wyszły do Villejuif, aby udały się drogą do Saint Denis, chociaż nie miał najmniejszej nadziei zachowania ich od powszechnej zarazy i utrzymania przy sprawie królewskiej. O północy przejechano przez Saint-Denis, nie doświadczywszy żadnego wypadku, oprócz nieprzyzwoitych okrzyków bataljonu oficerów na pół żołdzie, skierowanego w tym kierunku. Tak więc po

jedenastu miesiącach, nieszczęśliwa rodzina Burbonów, nie tyle skutkiem własnych ile przyjaciół swych błędów, poraz drugi znalazła się na drodze wygnania!

Nazajutrz, 20 Marca, skoro tylko dzień zaświtał, wielka niespokojność zapanowała pomiędzy ciekawymi, przybyłymi jak wczoraj dla dowiedzenia się co zaszło. Widziano jeszcze służących w liberji, ale nie spostrzegano żadnego oficera, żadnego przybocznego gwardzisty i zauważano tylko posterunki gwardji narodowej znajdujące się na zewnątrz pałacu jak zwykle. Biała chorągiew powiewała jak zawsze na głównej wieży, kilka lecz rzadkich okrzyków: *Niech żyje król!* dało się słyszeć; lecz nikt nie krzyknął: *Niech żyje cesarz!* pomimo że znajdowało się wielu oficerów na pół żołdzie. Wkrótce rozeszła się złowroga tajemnica i cały Paryż w mgnieniu oka obiegła. Przewódzcy stronnictw pierwsi dostawszy języka, biegali i znosili się jedni z drugimi, rojaliści pełni rozpaczy, konstytucjoniści rozgniewani, że bezpotrzebnie zostali łudzeni i narażeni, a dostojnicy cesarstwa napełnieni bardzo naturalną radością, albowiem od czasu chybionego uwięzienia p. Fouché znajdowali się w ciągłej niepewności i w tej chwili jeszcze nie mogli się pozbyć pewnej obawy, gdyż nic nie zdawało im się pewném dopóki Napoleon nie zajmie Tuileries. Niektórzy z nich udali się do starego Cambacérèsa z zapytaniem co czynić wypada. Zalecał on im wyraźnie w niczém nie uprzedzać woli Napoleona, który nie lubił, aby ktokolwiek przed nim i bez niego działał. Gdy mu wspomniano o kassach publicznych, o pocztach, o wszystkiém tém wreszcie co wypadało zabezpieczyć przed mogącemi się zrodzić rozruchami, powiedział: Nie mieszajcie się do tego, wszystko jest lepszém od wyręczania w władzy cesarza.— Takiém to było stare cesarstwo, lecz nowsze w niczém nie powinno być mu podobném.

P. Lavalette udał się tymczasem na pocztę, którą poprzednio czas długi zarządzał, jedynie dla dowiedzenia się czegoś nowego i nie domyślając się, że postępkiem tym gotuje sobie wyrok śmierci, który go późniéj dotknął. Skoro tylko tu przybył, urzędnicy otoczyli go i prosili, aby stanął na ich czele, a p. Ferraud, dyrektor poczt mianowany przez Ludwika XVIII., usilnie go błagał o zastąpienie w urzędzie i o udzielenie mu pozwolenia do wyjazdu. Stary ten rojalista przekonany, że Burboni upadli skutkiem sprzysiężenia nie zaś własnych błędów, sprzysiężenie to widział nawet w ukazaniu się p. Lavalette, które zresztą było zupełnie wypadkowém. P. Lavalette jednak obcy wszelkim na korzyść cesarstwa działaniom, nawet wyskokowi braci Lallemand, ograniczył się na wysłaniu gońca do Fontainebleau, z uwiadomieniem Napoleona o opuszczeniu Tuileries.

Skoro tylko rozeszła się wieść o tém opuszczeniu, młodzi oficerowie, którzy od roku napełniali Paryż nieprzyjaznemi dla Burbonów wyrażeniami się, w liczbie kilku tysięcy zbiegli się na plac Carrousel. Jenerał Excelmans zjawił się tu pierwszy. Po baczném wpatrywaniu się przez czas jakiś na ten milczący i opustoszały pałac, na którym biała chorągiew nie poprzestała powiewać, rzucili się do środka, spotkali tu tylko służących, którzy ze skwapliwością drzwi otworzyli, zrzucili chorągiew białą i zatknęli trójkolorową, wpośród radości przytomnych. Rozsypali się następnie po Paryżu szukając dawnych ministrów, dawnych dostojników cesarstwa, pp. de Bassano, de Rovigo, Decrès, Mollien, Gaudin, królowej Hortensyi i byłej królowej Hiszpańskiej, żony Józefa. W jednej chwili pałac został napełniony stronnikami cesarstwa, z niecierpliwością oczekującymi na przybycie swego monarchy. Wielka liczba wojskowych wszelkiego stopnia wyszła na jego spotkanie drogą ku Fontainebleau.

Napoleon przybywszy w nocy do Fontainebleau, rozłożył się tu na kilka godzin w oczekiwaniu swej jazdy; wkrótce otrzymał wiadomość od p. Lavallette wysłaną przez gońca i ujrzał także samego p. de Caulaincourt, który pierwszym ponsowym powozem, jaki mógł dostać, pośpieszył na spotkanie cesarza. Napoleon serdecznie ściskał i długo trzymał przy sercu tego wiernego sługę. Postanowił wyjechać natychmiast, i tegoż dnia jeszcze przybyć do Paryża, aby opanować stér rządu bez żadnej zwłoki. Nadto, dzień 20 Marca był dniem urodzin jego syna, a miał przesądy do rocznicy, przesądy zwykłe u tych, którzy wiele żądali i wiele otrzymali od losu.

Po wydaniu kilku rozkazów odnośnych do pochodu wojska, wyjechał z Fontainebleau o godzinie drugiej, w powozie pocztowym, do którego zabrał p. de Caulaincourt i wiernych swych towarzyszy Bertranda i Drouota. W pobliżu Villejuif spostrzegł idącą na jego spotkanie większą część wojsk, przeznaczoną na utworzenie armji w Melun. Sztab tej armji, jak tośmy widzieli, wyjechał z Paryża do Saint Denis. Żołnierze więc zostali bez dowództwa, a ztąd z wszelką łatwością mogli pójść za popędem serca. Napoleon przekonawszy się naocznie o ich niekłamanym zapale, odbywał dalej podróż, konwojowany przez tłumy oficerów na koniach, ze wszystkich niemal pułków. Tłumy te opóźniały jego podróż, a ztąd wjechał do Paryża dopiero o 9ej wieczorem. Jechał bulwarem zewnętrznym aż do hotelu Inwalidów, dla uniknienia ciasnych ulic środka stolicy, następnie kierował się wybrzeżami aż do kraty Tuileries. Lud paryzki nie wiedział o przybyciu Napoleona, a ztąd to dziwne i cudowne przywrócenie cesarstwa miało za świadków

tylko nie wielką liczbę ciekawych i tłum oficerów na pół żołdzie, zgromadzonych na placu Carrousel.

Powóz już zaszedł na dziedziniec pałacu, a nikt jeszcze nie wiedział kto nim przybywa. Minuta jednak wystarczyła na rozejście się wiadomości. Wówczas Napoleon wydarty z rąk pp. de Caulaincourt, Bertrand i Drouot był niesiony na ramionach oficerów na pół żołdzie wpośród upajającéj radości. Grzmiący okrzyk: *Niech żyje cesarz!* uprzedził zgromadzonych na pokojach Tuileries dostojników. Rzucili się oni natychmiast ku schodom i tworząc prąd przeciwny oficerom wchodzącym na górę, sprawili pewien rodzaj prawie zastraszającego starcia, gdyż można było tu zadusić się, a nawet zadusić samego Napoleona. Zaniesiono go więc na wierzch schodów, przy wydawaniu szalonych okrzyków, a on po raz pierwszy w życiu nie mogąc zapanować nad wzruszeniem jakiego doznawał, uronił łez kilka. Postawiony nakoniec na ziemi, szedł prosto przed siebie nie poznając nikogo, pozostawiając swe ręce zupełnie wolne dla tych, którzy je ściskali, całowali i ślinili przy oddawaniu świadectwa swych uczuć.

W kilka chwil przyszedł zupełnie do siebie, poznał swych najwierniejszych stronników, uściskał ich, następnie, bez najmniejszego wypoczynku, zamknął się z nimi dla utworzenia rządu.

Tak to w dniach dwudziestu, to jest od 1 do 20 Marca, spełniła się ta zadziwiająca przepowiednia, że orzeł cesarski *będzie przelatywał z dzwonnicy na dzwonnicę aż do wież Notre-Dame!* Nic w całém przeznaczeniu Napoleona nie było bardziej zadziwiającego, ani też trudniejszego do wytłomaczenia z pozoru, chociaż bardzo łatwe do wytłomaczenia w rzeczywistości. Nieszczęśliwi Burboni, którzy już wyjechali, przypisywali tę rewolucję nie własnym błędom, lecz olbrzymiemu sprzysiężeniu, jakie, według ich mniemania, ogarnęło całą Francję. Sprzysiężenia jednak nie było, jak tośmy widzieli. Wprawdzie istniał nieznaczący związek kilku młodych oficerów, durzonych przez p. Fouché, związek, który tak mało posiadał wagi, którego plan wprowadzony w wykonanie już po wylądowaniu Napoleona, zupełnie się nie powiódł. Lecz związek ten nie miał żadnej łączności z wyspą Elbą, ponieważ p. de Bassano, który się o nim dowiedział nie będąc wtajemniczonym, wysłał do Napoleona tylko wiadomość o powszechném niezadowoleniu, nie dorzuciwszy najmniejszej rady. Wiadomość ta bardzo mały wpływ wywarła na Napoleona, gdyż już poprzednio usłyszawszy że ma być porwany z Elby, obawiając się ujrzeć swych towarzyszy marniejących z nudów lub nędzy w jego własnych oczach, i uwierzywszy że kongres się rozszedł, postanowił wyjechać, party nadewszystko pożerającą go po-

trzebą działania, nadzwyczajną swą śmiałością i licząc na przejście w głąb Francji po tych wszystkich uczuciach, które boleśnie przez Burbonów zranione zostały. Cała głębokość jego pomysłu spoczywała głównie na pewném ocenieniu, że uczucia narodowe wyobrażane przez wojska, że uczucia zasad z roku 1789 wyobrażane przez lud wiejski i miejski, wybuchną skoro go ujrzą; że następnie, po zwyciężeniu pierwszego niebezpieczeństwa, pociągnie za sobą lud i wojsko i jednym pochodem przybędzie do Paryża, w towarzystwie żołnierzy przeciw niemu wysłanych. Wsiadł więc na statki ze zwykłą w swą gwiazdę wiarą, przebył szczęśliwie morze, wylądował bez trudności na wybrzeżu strzeżoném zaledwie przez kilku celników, następnie z pomiędzy dwóch dróg, to jest przez Alpy, zasianą zawadami fizycznemi, i nadbrzeżną, zasianą zawadami moralnemi, wybrał pierwszą i znalazłszy w La Mure wahający się bataljon, pociągnął go ku sobie śmiałém nadstawieniem piersi. Tego to dnia Francja została podbitą i Napoleon wstąpił na tron powtórnie. Tak więc całe przewidywanie zależało na wejrzenie w głąb serca Francji, zranionego przez emigrację, cała śmiałość zależała na pociągnięciu bataljonu, który się wahał pomiędzy powinnością a uczuciami, co wszystko, w połączeniu z błędami Burbonów, było prawdziwą przyczyną tej dziwnej rewolucji, a przytem tak prostej, choć w zadziwiającej ukazała się postaci! Czyż bowiem możebną było rzeczą, aby stary porządek rzeczy i rewolucja, postawione naprzeciw siebie w 1814 roku, znalazły się spokojnie bez wspólnego wzięcia się raz jeszcze za bary, bez wydania sobie ostatniej i strasznej walki? Bezwątpienia że nie: nowa wojna pomiędzy temi dwiema potęgami była nieuniknioną. Napoleon, co prawda, wmięszawszy się do niej, dał jej rozmiary europejskie, to jest olbrzymie. Bez niego walka ta wybuchłaby może nie tak śpiesznie, być może nie wywołałaby była wdania się mocarstw zagranicznych, a w takim razie należy żałować, że będąc nieuniknioną, została rozszerzoną jego obecnością. Lecz twierdzenie to bardzo jest zawsze wątpliwém, gdyż prawdopodobnie zagranica skoroby tylko ujrzała Burbonów obalonych przez królobójców, niemniej byłaby skłonną do wdania się w tę sprawę, aniżeli na widok ukazującego się oblicza zwycięzcy z pod Austerlitz!

Cokolwiek bądź, pośród tej upajającej radości jednych, bardzo prostego osłupienia drugich, światli patrjoci, którzy życzyli, aby umiarkowana wolność, postawiona pomiędzy starym porządkiem rzeczy a rewolucją, zamieniła ostatnie starcie na walkę spokojną i prawną, i aby to ostatnie starcie nie było śmiertelnym pojedynkiem pomiędzy Francją a Europą, głęboko zostali zasmuceni. To też mieszczaństwo, pojmując

tych patrjotów bardziej aniżeli wszelkie inne klassy, bez żałowania emigrantów, bez odpychania Napoleona, który mu się podobał dla sławy, było nie pewne, niespokojne, bez łzy w oku, bez uśmiechu radości na twarzy i zaledwie ciekawe, gdyż przewidywało smutne następstwa, które głęboko przerażały. Wypadki wkrótce usprawiedliwiły te bolesne przeczucia.

Koniec Księgi 57ej i Tomu 10go.

SPIS RZECZY

w tomie XVm zawartych

KSIĘGA PIĘĆDZIESIĄTA CZWARTA

RESTAURACJA BURBONÓW

Ostatnie działania Francuzów pozostałych w różnych stronach Europy. — Kampanja jenerała Maison we Flandrji i obrona Antwerpji przez jenerała Carnot. Poddanie Antwerpji i warunki tego poddania. — Upowszechnienie się zbiegostwa w wojskach francuzkich.— Dzielność jenerała Maison w obec zagrażającego nieszczęścia, że Francja pozostanie bez wojska.— Długi i godny pamięci opór jenerała Davouta w Hamburgu. — Warunki pod któremi się poddał po dokonaném ocaleniu wielkiej liczby broni i bogatych zapasów.— Szlachetne postępowanie księcia Eugenjusza we Włoszech.— Wojska Francuzkie przyprowadzone z Włoch przez jenerała Grenier. — Wypadki w Pirenejach.— Wiadomości z Paryża za późno nadeszły, aby mogły powstrzymać kroki nieprzyjacielskie, Anglicy i Francuzi zwarli się po raz ostatni. — Krwawa walka pod Tuluzą. — Zawieszenie broni na wszystkich granicach.— Położenie hrabiego d'Artois po jego wejściu do Paryża. — Zachodzi pytanie, pod jakim tytułem ma on zarządzać królestwem. — Tylko pod warunkiem uroczystego przystąpienia do konstytucji zgadza się senat na uznanie go jeneralnym namiestnikiem królestwa. — Oburzenie hrabiego d'Artois i jego przyjaciół. — Książę d'Otrante wynajduje tranzakcję, która została przyjętą. — Senat udaje się do Tuilleries i uznaje hrabiego d'Artois za jeneralnego namiestnika królestwa, a to skutkiem złożonego oświadczenia przez księcia w imieniu Ludwika XVIII, że główne zasady ułożonéj przez senat ustawy zostaną przyjęte. — Pierwsze kroki na drodze zarządu krajem hrabiego d'Artois. — Rząd tymczasowy zamieniony w radę księcia. — Skład ministerjum. — Rozesłanie tymczasowych kommissarzy na wszystkie strony Francyi. — Niedola prowincji najechanych i środki, któremi starano się dźwignąć je z biedy. — Rozpisanie nowego poboru do wojsk francuzkich.— Uwolnienie od służby popi-

sowych z r. 1815. — Środki skarbowe p. Louis. — Stałe jego postanowienie do zapłacenia wszystkich długów państwa, do utrzymania wszystkich podatków a nadewszystko ceł połączonych. — Zaufanie spiesznie zaczyna się ustalać pod podwójnym wpływem działalności tego ministra i pokoju. — Zmiany przechodnie zaprowadzone w taryfach handlowych. — Niedola prowincji najechanych powiększa się. — Zawiązują się układy w celu wyjednania opuszczenia przez wojska sprzymierzone prowincji najechanych. — Nie można było mówić o wycofaniu wojsk sprzymierzonych z prowincji francuzkich, bez poprzedniego porozumienia się względem cofnięcia Francuzów z krajów zagranicznych. — W niemożności odrzucenia w tym względzie wzajemnych ustępstw zgodzono się układem z dnia 23 Kwietnia na wycofanie załogi francuzkiéj z Hamburga, Flessyngi, Berg op Zoom, Luksemburga, Moguncji, a w ogóle ze wszystkich ważniejszych twierdz europejskich. — Nie spostrzeżono się z początku na nieoględności w zawarciu téj umowy, która stała się wkrótce przedmiotem gorzkich zarzutów. — Gwałtowne poruszenie umysłów od czasu przybycia hrabiego d'Artois. — Ogół ludności zjednany początkowo dla powrotu Burbonów, zniechęcił się bardzo prędko działaniami rojalistów drażniącemi tak rewolucjonistów, jak i bonapartystów, skutkiem czego powstało bardzo żywe oskarżanie się pomiędzy stronnictwami. — Hrabia d'Artois popełnia wiele niedorzeczności, co sprawia żądzę w oświeconych rojalistach spiesznego przybycia króla. — Różne posłannictwa do Ludwika XVIII, malujące mu stan Francji. — Skutkiem doniesienia mu między innemi, że przystąpienie do ustawy ułożonéj przez senat nie było tak nieodzownem, odwłóczy oświadczenie się w tym względzie i kieruje powoli ku Francji. — Pobyt jego w Londynie. — Zapał wywołany między Anglikami jego obecnością. — Nierozsądne oświadczenie dowodzące, że po Bogu najwięcéj winien Anglikom. Przybycie Ludwika XVIII do Calais. — Jego podróż przez departamenta północne i przybycie do Compiègne. — Niecierpliwość z jaką wyglądają go szczególniéj marszałkowie, których najpochlebniej przyjmuje. Niecierpliwość co do pozuania króla. — Charakter Ludwika XVIII i hrabiego d'Artois i widoczna różnica pomiędzy dwoma braćmi. — Rozmowa pana de Telleyrand z królem. — Usilność króla do wywinięcia się od wszelkich zobowiązań. — Odwiedziny w Compiègne Cesarza Aleksandra i bezużyteczność jego usiłowań przy udzielaniu rad niektórych. — Ludwik XVIII nie jest przeciwnikiem konstytucji, choćby nawet liberalnéj, lecz chce ją sam nadać, aby tym sposobem utrzymał zasadę swéj władzy. — Zgodził się na to, że przed przybyciem do Paryża zatrzyma się w Saint-Ouen, gdzie ogłosi oświadczenie zgodne ze złożonem przez hrabiego d'Artois, uświęcające podstawy konstytucji ułożonéj przez senat. — Pobyt w Saint-Ouen i uczynione tu oświadczenie pod dniem 2 Maja 1814 roku. — Wjazd Ludwika XVIII do Paryża w dniu 2 Maja. — Ludność Paryża najserdeczniej go przyjmuje. — Ludwik XVIII obejmuje władzę i urządza radę królestwa. — Pierwsze posiedzenie téj rady, na którém dotknięto wszystkich kwestji. — Ogólny pogląd na skarb, wojsko i marynarkę.

Pan Louis upiera się przy dwóch punktach, to jest przy zatwierdzeniu długów państwa i przy utrzymaniu koniecznych podatków. — Postanowienie królewskie odnoszące się do ceł połączonych — Odroczenie poboru wojskowego.— Ludwik XVIII ma zamiar wskrzesić dawną straż przyboczną królewską ze znakomitém jéj rozszerzeniem. — Żaden z członków rady nie ośmiela się wystąpić przeciw temu niedorzecznemu postanowieniu. Nowe usiłowania w celu zakończenia niedoli prowincji najechanych. — Spostrzeżono się dopiero, że zawarta umowa w dniu 23 Kwietnia, która pozbawiła Francuzów drogich układach zastawów, ani o jeden dzień nie przyspieszyła ustąpienia wojsk sprzymierzonych. — Monarchowie sprzymierzeni przyrzekają wydać nowe rozkazy swym wojskom, a Ludwik XVIII ogłasza proklamację, zalecającą władzom miejscowym nieuwzględnianie rekwizycji jenerałów cudzoziemskich. — Niecierpliwa żądza zawarcia pokoju. — Pan de Talleyrand otrzymuje upoważnienie do traktowania. — Nowy błąd pochodzący skutkiem podobnego pośpiechu z jakim postąpiono przy podpisaniu umowy w dniu 23 Kwietnia. — Daleko byłoby lepiej, aby los Francji rozstrzygał się dopiero w Wiedniu wspólnie z postanowieniami nad losem innych mocarstw, ponieważ wówczas podzielone one były w zdaniach, a z podobnej okoliczności można było skorzystać. — Pan Metternich jednak zrozumiał bardzo dobrze interes w natychmiastowém traktowaniu z Francją, w odłożeniu wszelkich spraw europejskich do kongresu powszechnego, który miał się zebrać w Wiedniu. — Rząd królewski nie pojmował tej głębokiej rachuby i skutkiem niecierpliwej chęci zyskania zasługi za zawarcie pokoju, starał się podpisać go natychmiast — Zepchnięcie Francji w granice z roku 1780 postawiono za nieodwołalną zasadę. — Granice te przyjęte z niejakiemi dodatkami. — Ile de France wyłączoną została z wracających do Francji kolonji. — Opór króla względem zapłacenia kontrybucji wojennej. — Otrzymuje to skutkiem stałości tak jego jak i rządu, rozwiniętej w tej okoliczności. — Traktat paryzki z 30 Maja 1814 roku. — Podczas układów o pokój zajmowano się również konstytucją. — Król nie chciał powierzyć téj pracy radzie królewskiéj i zajmował się nią sam z panami de Montesquiou, Dambray, Ferrand i Beugnot. — Skutkiem pobytu w Anglji miał król swe poglądy liberalne, lecz zacieśnione tym jednym warunkiem, aby wszystko wyłącznie pochodziło od władzy królewskiéj. — Rozmaite kwestje jakie się podniosły. — Powolność króla ku wszystkiemu, zasady jego utrzymały się. — Projekt konstytucyi oddany został dwom kommissjom, to jest z senatu i ciała prawodawczego. — Nową ustawę nazwano Kartą konstytucyjną. — Monarchowie sprzymierzeni nie chcą opuścić Paryża przed całkowitém wypełnieniem obietnic danych w Saint-Ouen; przeznaczono 4 Czerwca na posiedzenie królewskie, na którém miała być zatwierdzona Karta — Posiedzenie królewskie 4 Czerwca; szczęśliwe jego skutki. — Ogłoszenie Karty, wyjazd monarchów cudzoziemskich, ustalona konstytucja i Burboni. . .

od str. 7 do 116

KSIĘGA PIĘĆDZIESIĄTA PIĄTA

RZĄDY LUDWIKA XVIII

Zmiana opinji publicznej w miesiącu Kwietniu i Maju. — Odrodzenie się stronnictw. — Krańcowi rojaliści skupiają się koło hrabiego d'Artois. — Książę ten chory i zmartwiony, długo przebywa w Saint-Cloaud. Przybycie do Francji księcia Orleańskiego. — Przyjaciele wolności liczą, a rojaliści nadają na niego. — Wielka ostrożność tego księcia, — Bonapartyści; ich upadek i rozproszenie. — Rewolucyjoniści zadowolnieni początkowo z upadku Napoleona, skłaniają się ku Bonapartystom skutkiem gwałtowności stronnictwa emigracyjnego. — Powrót do Paryża p. de Lafayette, p. Benjamina Constant, pani de Stael i utworzenie stronnictwa konstytucyjnego, — Rozsądne usposobienie mieszczaństwa paryzkiego. —Duch stolicy odbija się w prowincjach z rozmaitemi odcieniami. — Stan Wandei i Bretanji. — Starzy powstańcy biorą się do broni. odmawiają płacenia niektórych podatków i groźbami, swemi niepokoją nabywców dóbr narodowych. — Oburzenie miast zachodnich na Szuanów i Wandejczyków. — Stan miasta Nantes. — Położenie prowincyj południowych. — Panujący duch w Bordeaux, Tuluzie, Nimes, Avignon, Marsylji i Lyonie. — Obecność i rabunki nieprzyjaciela do rozpaczy przyprowadzają prowincje wschodnie i przywiązują je do Napoleona, którego nieprzestają uważać za dzielnego obrońcę ojczyzny. — Powrót wojsk tworzących załogi w odległych stronach, jak niemniej niewolników z Anglji, Rossji, Niemiec i Hiszpanji. — Rozpacz i uprzedzenie tych wojsk, przekonanych że tylko skutkiem nikczemnej zdrady Francja wydaną została nieprzyjacielowi. — Kłopoty Burbonów zmuszonych dokonywać bolesnego dla wojska zmniejszenia sił, oszczędzać wszystkich, a szczególniej nieprzyjacielsko usposobionych i sprawować rządy, że się tak można wyrazić, wspólnie ze swemi nieprzyjaciołmi na niekorzyść swych przyjaciół. — Pierwsze postanowienia pod względem skarbu, wojska, marynarki i innych gałęzi służby. — Minister skarbu Louis stanowczo przeprowadził uznanie wszystkich długów państwa i utrzymanie ceł połączonych. — Granice w których zmusza do zamknięcia się ministrów wojny i marynarki. — Projekt organizacji wojska, dotrzymanie gwardji cesarskiej i przywrócenie dawnej straży przybocznej królewskiej. — Trudność pogodzenia tak różnorodnych instytucji, a nadewszystko podołania wszystkim potrzebom. — Utrzymanie legji honorowej ze zmianą na niej wyobrażenia. — Wielkie dowództwa wojskowe powierzane znakomitym marszałkom. — Złe przyjęcie przez wojska nowej organizacji. — Zebranie się w Paryżu ogromnej liczby oficerów na pół żołdzie i urzędników bez obowiązków. — Podczas zobojętnienia wojskowych, skutkiem cierpianego przez nich zmniejszenia szeregów

przywrócenia dawnej straży przybocznej, rozdrażniono także stronników rewolucji nieroztropnemi manifestacjami. — Żałobne nabożeństwo za duszę Ludwika XVI, jenerała Moreau, Pichegru i Jerzego Cadoudal. — Nagrody udzielone na nabywców dóbr narodowych. — Ponieważ konkordat nie został ubezpieczony kartą, przeto postanowili Burboni zażądać jego odwołania. — Przesłał do Rzymu w tym przedmiocie.— Podczas gdy zażądano od papieża odwołania konkordatu, papież z swej strony zażądał od Ludwika XVIII zwrotu Avignonu. — Rozporządzenie policji względem święcenia niedziel i świąt uroczystych. — Sprawiony skutek tém rozporządzeniem.— Z powodu robionych ustępstw swym przyjaciołom, Rząd po przeciągu kilku miesięcy zniechęcił wojskowych, rewolucjonistów, księży przysięgłych, nabywców dóbr narodowych i mieszczaństwo. — Zebranie izb ożywionych zasadami monarchicznemi i liberalnemi, łagodzi ten stan rzeczy — P. Durbach powstaje w izbie deputowanych na rozporządzenie o święceniu niedzieli i na prawo oddające prassę codzienną pod władzę cenzury.— Izba deputowanych odrzuciwszy wniosek pana Durbach, żąda jednak prawa co do tych dwóch przedmiotów.— Król zaspokaja żądanie izby i każe przedstawić prawo o prasie, ale prawo tworzące cenzurę — Wzburzenie umysłów.— Rodzące się zamiłowanie do rozpraw politycznych.— Po długich rozprawach uznano, że cenzura nie jest objęta kartą, a prawo prassowe przyjęto tylko jako środek czasowy.— Król zgadza się na zrobione poprawki i zatwierdza prawo takie, jakie wyszło z pod obrad izby deputowanych.— Odesłano do osobnej kommissji rozpoznanie kwestji o świętach i niedzielach.— Wiele pism przeciw sprzedaży narodowej nadesłano do izb; izba deputowanych potępiła te pisma i na nowo uroczyście zaręcza nietykalność własności tak zwanych narodowych.— Projekt do prawa odnośnie do skarbu.— P. Louis przedstawia bilans skarbowy cesarstwa.— Niedokładność tego bilansu, lecz dokładność zasad ministra.— Projektuje całkowite uznanie długu państwa, utrzymanie podatków pośrednich i obrachowanie długów zaległych.— Rojaliści podnoszą głosy przeciw projektowi ministra, a nie ośmielając się mówić o bankructwie, wnoszą, aby spłacić wierzycieli państwa rentami al pari — Znajdują oni nizkie poparcie pomiędzy liberalnymi, którzy nie pojmując projektu ministra, powstają przeciw ażjoterstwu — Pan Louis jednak, skutkiem swojéj dzielności i wymowy, pokonywa wszystkie zapory i skłania do zatwierdzenia swych projektów, które stają się początkiem kredytu Francji.— Rozsądne środki pod względem handlu przy przejściu ze stanu wojny do pokoju.— Pomimo że liberalni oskarżają izby o bojaźliwość, te jednak łącząc umiarkowanie ze stałością, zasługują na szacunek u rządu i zaufanie u publiczności.— Obrady ich sprowadzają pewne uspokojenie.— Uczta w ratuszu na cześć Ludwika XVIII.— Straż przyboczna spiéra się z gwardją narodową o zaszczyt strzeżenia króla.— Skutki uczty.— Błędy zarządu sprawami wewnętrznemi, pochodzące z winy pana do Montesquiou.— Minister ten umiejąc podobać się izbom, a niezdolny na nieszczęście do pracy, nie umie ani zmienić ani pokierować urzędnikami administracyjnymi.— Pozostawione sammy sobie prowincje oddają się na

miętnościom miejscowym . — Podróż książąt celem przywiązania ludności do Burbonów. — Niebezpieczeństwo tych podróży, które rozbudzają w miejsce uspokojenia namiętności.— Podróż księcia d'Angoulême po niższéj Normandji, Bretanji, Wandei i Gujennie. — Przyjęcie, jakiego doznał w Bretanji, a mianowicie w Nantes .— Książę ten udaje się w głąb Wandéi.— Uczucia i postępowanie Wandejczyków w Bordeaux. — Zmiana w zapatrywaniu się na rzeczy mieszkańców tego miasta. — Powrót księcia przez Angers. — Podróż jego przeplatana złém i dobrém, kończy się w Sierpniu. — Wyjazd hrabiego d'Artois do Szampanji i Burgundji. — Liczne przyrzeka ulgi wszystkim prowincjom, które wycierpiały od wojny i rozsypuje ordery. — Pobyt i popełnione niedorzeczności w Lyonie. — Przybycie jego do Marsylji — Zapał Marsylczyków. — Gorąca ich żądza ogłoszenia portu wolnym. — Hrabia d'Artois to przyrzeka, a ztąd pozostawia ich w prawdziwém szaleństwie radości. — Podróż jego do Nimes, Avignon, Grenobli i Besençon. — Nieprzyzwoite postępowanie ze względu na arcybiskupa Lecoz. — Powrót hrabiego d'Artois do Paryża. — Podróż jego wydała samo złe bez domieszki dobrego. — Podróż książęcia de Berry po prowincjach pogranicznych. — Książę ten oburzony na spotykaną opozycję w wojskach, zgubnym oddaje się uniesieniom. Po chwilowém uspokojeniu się w Sierpniu, rozbudziły się namiętności w Październiku i Listopadzie, skutkiem podróży książąt i nierozsądnego postępowania rządu z weteranami, sierotami legji honorowéj i szkołami wojskowemi. — Wdanie się izb sprowadza zmianę lub też odwołanie użytych środków. — Napływ i rosnąca opozycja wojskowych w Paryżu. — Opłakany wypadek ze względu na jenerała Vandamme i rozpoczęcie sprawy jenerała Exelmans. — Niełaska marszałka Davout. — Skutki projektu powrócenia emigrantom dóbr dotąd niesprzedanych. — Zasada środków zostaje przyjętą, ale przemówienie ministra Ferrand oburza wszystkie umysły. — Izby ganią ministra i uchwalają prawo z rozmaitemi poprawkami. — W pośród tego wzburzenia, stronnictwo tak zwane szuanów i oficerowie na półżołdzie wzajemnie się obwiniają i oskarżają o urojone spiski. — Policja urzędowa stara się wykazać ten spisk w prawdziwém świetle, gdy tymczasem policja przyboczna hrabiego d'Artois usiłuje je powiększyć. — Strudzenie i niepewność Ludwika XVIII znudzonego raportami brata. — Rola pana Fouché w tych okolicznościach. — Przedudaniem się na przedstawienie do Odeonu, król nabrawszy przekonania o istniejącym związku przeciw rodzinie panującéj, nadzwyczajne przedsięwziął ostrożności. — Objawy gorliwości marszałka Marmont, dowodzącego strażą przyboczną. — Rozkiełznania przeciw ministrowi wojny i dyrektorowi policji.— Na żądanie dworu mianuje król marszałka Soult, w miejsce jenerała Dupont, ministrem wojny, pana André w miejsce pana Beugnot dyrektorem jeneralnym policji. — Wynagradza pana Beugnot teką marynarki. — Wielkie zaufanie dworu i krańcowych rojalistów w tém lekarstwie. — Stan rzeczy w Grudniu 1817 roku. . . . . od str. 119 do 231

KSIĘGA PIĘCDZIESIĄTA SZOSTA.

KONGRES WIEDEŃSKI.

Położenie Europy od czasu pokoju paryzkiego. — Niezadowolenie prowincji belgijskich i nadreńskich, wciclonych do krajów protestanckich i uciskanych przez wojska cudzoziemskie. — Zamięszanie grożące Niemcom. — Ludy napróżno oczekują przyrzeczonéj im wolności, a małe państwa obawiają się, aby nie zostały pochłonięte przez wielkie. — Ogólne wzburzenie w Szwajcaryi, spowodowane walką między dawnemi i nowemi kantonami. — Smutne położenie Włoch. — Zły rząd króla piemonckiego i nadużycia władzy papiezkiéj w Rzymie — Odwołanie konkordatu francuzkiego prawie dozwolone, ale odroczone. — Zdziwienie Murata, że zajmuje dotąd tron neapolitański i niezadowolenie władzców że widzą go jeszcze na nim. — Położenie Hiszpanii — Zdradzieckie i okrutne postępowanie Ferdynanda VII.— Ferdynand odstępuje przymierza zawartego z rodziną dla przypodobania się Anglikom. — Pod zas tak męczącego stanu w całej Europie, srzymierzeni monarchowie uczestniczą na świetnych ucztach w Londynie. — Ponowili obietnicę pozostania nadal zjednoczonymi, nie porozumiawszy się jednak pod względem punktów spornych. — Kongres wiedeński odroczony od Września. — Usposobienie jego — Dwóch tylko panujących to jest Cesarz Aleksander i król Fryderyk Wilhelm przybywają tam w zupełnéj zgodzie i ściśle połączeni. — Utrzymują, że Europa wszystko im jest winna i za to jeden chce zabrać całą Polskę, a drugi Saksonję. — Anglia nie przewiduje zupełnie tego zamiaru, Austryja go odkrywa ale zamilcza w nadziei, że go zdoła obalić nie zrywając jedności europejskiej. — Korzyści jakie ztąd mogła mieć Francja, gdyby nie była przybyła bez żadnych zobowiązań do Wiednia i nie podpisała traktatu z 30 Maja. — Pozostawiona wolność działania p. de Talleyrand. — Król wkłada tylko na niego jeden obowiązek, aby usunął Murata od neapolitańskiego tronu. — Odjazd pana Talleyrand w towarzystwie księcia Dalberg. — Jego niecierpliwość do odgrywania wielkiej roli i powzięty zamiar ugruntowania swej polityki w Wiedniu na zasadzie prawowitości.— Wejście uroczyste sprzymierzonych władzców do stolicy Austryi. — Pyszne i kosztowne przyjęcie ofiarowane im przez cesarza Franciszka w pałacu Schoenbrunn — Zamiary Prus i Rossyi co do Saksonii i Polski wkrótce poznane przez wszystkich, stają się przedmiotem ogólnych rozpraw. — Oburzenie książąt niemieckich na te roszczenia. — Kłopoty Anglii i Austryi niespokojnych o utrzymanie przymierza zawartego w Chaumont. — O ile więcéj związek jest zagrożony, o tyle bardziej pokazują wiarę w jego utrzymanie i przyrzekają utrzymanie go. — Tajemna umowa Austryi, Anglii, Rossyi i Prus, ażeby same i wyłącznie kierowały swemi sprawami, przypusz-

czając do obrad inne mocarstwa tylko na pozór. — Ta umowa zostaje wkrótce odkryta i staje się powodem nowéj krzywdy wyrządzonéj państwom drugorzędnym, które obawiają się, ażeby to wyłączenie nie było środkiem do ich poświęcenia. — Poselstwo francuzkie oburzone nie poprzestaje na oświadczeniu się przeciw zamiarom wyłączenia, ale ujmuje się natychmiast za Saksonją, co się sprzeciwia widokom Rossji i Prus.— Prusy mszczą się utrzymując, że Francja chce zagarnąć napowrót granice Renu. — Oświadczenia bezinteressowności, do których jest zmuszone poselstwo francuzkie, ażeby naprawić skutek sprawiony zbyt naglém postępowaniem. — Gniew Aleksandra mianowicie do pana de Talleyrand. — Widzenie się tego monarchy z pełnomocnikiem francuzkim. — Po kilku tygodniach straconych na układach i cierpkich gadaninach podniósł się ogólny okrzyk z żądaniem zwołania kongresu. — *Czterej*, to iest Austrya, Anglia, Rossya i Prusy czując niebezpieczeństwo tak ogólnego i rychłego zebrania, występują z wnioskiem odroczenia na miesiąc kongresu, przez co odwlókłby się do 1-go Listopada, pod pozorem, aby mieć więcéj czasu do zbadania kwestji. — Pan de Talleyrand staje na czele opierających się temu. Żąda bezzwłocznego połączenia kongresu w ogólne zgromadzenie i korzystając ze sposobności chce wymódz przyjęcie posła króla Saskiego, a odrzucenie neapolitańskiego, tym sposobem rozwiązałoby się natychmiast dwie najważniejsze kwestye obecnéj chwili. — Żywy opór ze strony *czterech*. —Po kilku dniach układają się i odraczają kongres do 1-go Listopada, obiecując połączyć go wtedy całkowicie, i używają wyrażeń, które robią nadzieję *poszanowania prawa publicznego*. — Po zniweczeniu zamiarów wyłączenia, poselstwo francuzkie zamiast powstrzymać się chwilowo od mieszania do sprawy saskiéj, oświadcza się coraz silniéj. — Rossya i Prusy oświadczają się z swéj strony z nadzwyczajną wyniosłością. — Czynność małych państw, mianowicie Bawaryi. — Jéj związek z poselstwem francuzkiém. — Wzrastający kłopot Austryi i Anglii. — Lord Castleragh obawiając się poróżnienia z Prusami, których potrzebuje do swej polityki względem Niderlandów, chciałby im oddać Saksonię dla ocalenia Polski. — Meternich, który przeciwnie wolałby ocalić Saksonię niżeli Polskę, nie pochwala téj taktyki, ale zezwala na próbę w nadziei że się nie uda, bo Fryderyk Wilhelm nie będzie się uważał za zupełnie zadowolonego jeżeli nim równie nie będzie Aleksander. — Lord Castleragh występuje śmiało naprzód. — Jego żywe rozmowy z Aleksandrem, po których następują silne cierpkie noty. — Bawarja ciągle najczynniejsza waha się mówić o wojnie i przypomina Austryi, że trzeba pomyśleć o zbliżeniu się do Francyi i zawrzeć z nią przymierze. — Metternich który obawia się rozdzielenia, utrzymuje że Francya nie ma już wojska. — Bawarja donosi o tém poselstwu francuzkiemu, chcąc w niém obudzić punkt honoru. — Pan Talleyrand prosi Ludwika XVIII ażeby nakazał uzbrojenia. — Rozprawy nad tym przedmiotem w radzie królewskiéj. — Minister finansów decyduje się dać do pięćdziesiąt milionów na stosowne uzbrojenia wojska francuzkiego. — Wielkie zadowolenie pana Talleyrand i pośpiech w ogłoszeniu uzbrojeń Francyi. — W tymże czasie walka w Wiedniu trwa ciągle równie za-

jadła. — Książę Metternich zmuszony uledz lordowi Castlereagh radzi Prusom nie przyjmować Saksonii w ich własnym interesie, ale skłania się na oddanie jéj pod warunkami, na które Prusy nie mogą przystać. — Rozgniewany Aleksander okazuje, iż będzie stawiał czoło wszystkiemu: oddaje zajmowaną przez swe wojska Saksonię Prusakom i wszystkie swe siły skupia nad Wisłą. — Oburzenie w Wiedniu i ogólne życzenie zebrania kongresu 1-go Listopada. — Gwałtowna sprzeczka Aleksandra z Metternichem. — Zebranie się kongresu w oznaczonym czasie. — Ośm podpisanych państw na traktacie paryzkim, to jest: Francja, Anglja, Austrja, Rossja, Prusy, Hiszpanja, Portugalja i Szwecja, pierwsze robią wnioski co do zwoływania i rozwiązywania. — Podział kongresu na komitety. — Komitet do sprawdzania pełnomocnictw. — Komitet tak nazwany *sześciu*, złożony z Francyi, Hiszpanii, Austryi, Anglii, Rossyi, Prus, dla wielkich spraw europejskich. — Komitet dla interesów niemieckich, włoskich, szwajcarskich, dla wolności murzynów, wolności rzek, i t. d. — Postanowiono, że kiedy głównie interesowani w jakiej sprawie ułożą się w komitetach, w tedy *ośmiu* zakończą umowę i zatwierdzenie postanowienia. — Praca we wszystkich komitetach. — Sprawy włoskie. — Myśl przyłączenia Genui do Piemontu i następstwo korony sabaudzkiej. — Kwestja Parmy i Neapolu. — Mądre powody dawane przez Metternicha, ażeby jak można najdłużej przeciągnąć sprawę neapolitańską. — Sprawy Szwajcarskie; ciąg dalszy walki między nowemi i dawnemi kantonami — Wpływ Francji na kanton arystokratyczny berneński i na kantony demokratyczne Uri, Glarus, Unterwald, użyty do pośrednictwa celem zaprowadzenia zgody — W czasie kiedy sprawy Włoch i Szwajcarji mają się ku końcowi, sprawa Polski i Saksonii gorszy przybiera obrót. — Usiłowania lorda Castlereagh ażeby oderwać Prusy od Rossyi — Aleksander to dostrzega i żąda tłomaczenia od Fryderyka Wilhelma. — Dwaj monarchowie po porozumieniu się rzucają się w objęcia, przyrzekając jeszcze większą niż dawniej jedność. — Odezwa księcia Repnina, gubernatora tymczasowego Saksonii, który ogłasza, że to królestwo przechodzi pod władzę króla pruskiego za zgodą Anglii i Austryi. — Gwałtowne zaprzeczenia tych dwóch państw — Nalegania książąt niemieckich na księcia regenta Angielskiego, zmniejszyły surowość odezw lorda Castlereagh — Ten ostatni zmienia swe postępowanie i łączy się z Meternichem, dla bronienia stanowczego Polski i Saksonii. — Wszystko dąży do wojny. — Plan wyprawy obmyślany przez księcia Szwarzenberga w którym rozporządzają siłami Francji nic jej nie wspominając o tém. — Zamiar wprowadzenia na wiosnę 200 tysięcy Austryjaków i Niemców do Polski 150 tysięcy do Szląska i 100 tysięcy Francuzów do Frankonii i Westfalii. — Meternich podaje 10 Grudnia notę, w której cofa się z domyślnego przyzwolenia na poświęcenie Saksonii, zasadzając się na tém, że Prusy nie dopełniły żadnego z warunków wymaganych przez Austrję. — Prusacy oburzeni do najwyższego stopnia chcą zrobić wybuch, ale Aleksander usiłuje ich powstrzymać. — Po kilku rozmowach z księciem Szwarzenbergiem cesarz przekonał się, że wszystkie państwa postanowiły opierać się jego zamiarom i po-

stanawia zrobić niejakie ofiary. — Zgadza się na zachowanie dla siebie Polski i oddanie księstwa Poznańskiego Prusom, z warunkiem aby one mniej wymagały od Niemiec; usiłuje jednocześnie załatwić się po przyjacielsku z Austrją o granicę ruską w Galicji. — Prusy stosując się do rad Aleksandra dają Austrji bardzo umiarkowaną odpowiedź. — Odpowiedź Austryi dowodząca, że przez oddanie Prusom od 3 do 400 tysięcy dusz w Saksonji, wypełnia się zobowiązanie przywrócenia ich do stanu, w jakim były w 1805 roku. — Prusy wchodzą w te wyrachowania i przedmiot ten traci swój bezwzględny dotąd charakter, zmieniając się w kwestję liczb. — Utworzenie kommissyi do ocenienia nabytków z przypuszczeniem do niej Francji, którą chciano pierwej wyłączyć. — Roztrząsają w tej kommissji kwestje ilości. — Wiadomość o zawarciu pokoju między Anglją i Ameryką przywraca lordowi Castlereagh całą jego energję. — Po gwałtownem zajściu, jakie miało miejsce między Anglikami i Prusakami, lord Castlereagh oburzony do najwyższego stopnia udaje się do pana de Talleyrand. — Ten ostatni korzystając ze sposobności proponuje ministrowi angielskiemu przymierze odporno-zaczepne. — Konwencja z 3 Stycznia 1815 roku, w której Austrja, Anglja i Francja łączą się i każda z nich obiecuje dostarczyć 150 tysięcy żołnierza dla zwycięztwa wspólnej polityki.— Przykre warunki nałożone na pana de Talleyrand, że w razie wybuchnięcia wojny, Francja musi pozostać w granicach nakreślonych traktatem paryzkim. — Przeznaczenie jenerała francuzkiego do roztrząśnienia planu wojny. — Konwencja z 3 Stycznia, chociaż trzymana w tajemnicy, była jednak zakommunikowana Bawarji Hanowerowi, Niderlandom, i Sardynji w zamiarze, aby się również do niej przyłączyły. — Pomimo ukrywania w tajemnicy Prusy i Rossja dostrzegając z położenia swych nieprzyjaciół, że między nimi zaszła jakaś umowa, skłaniają się na wejście w układy. — Odbierają Saksonji połowę posiadłości i trzecią część ludności dla nadania ich Prusom. — Ostatnia walka o Lipsk, który stanowczo pozostawiony przy Saksonji. — Zaproszenie króla Fryderyka Augusta do Pesztu dla wymęczenia na nim zgody. — Po rozwiązaniu głównej sprawy dzielącej Europę i po powołaniu lorda Castlereagh do parlamentu, spieszą z ukończeniem narad. — Rozwiązanie spraw będących w zawieszeniu. — Stanowcze utworzenie królestwa Niderlandzkiego. — Przywrócenie domów: Hessen-Cassel i Hessen Darmstadt.— Domy te oddają Prusom Westfalję na wymianę. — Usiłowania Prus dla zachowania sobie całego pasa ziemi od Mezy do Niemna. — Niesprawiedliwe postępowanie względem Danii — Luxemburg odpada od królestwa Niderlandzkiego. — Moguncja zostaje fortecą związkową. — Bawarja nabywa palatynat Reński i księztwo Würzburgskie, a Tyrol z granicą oznaczoną przez rzekę Inn oddaje Austrji. — Konstytucja niemiecka.— Austrja odmawia przyjęcia korony cesarskiej i otrzymuje przewodnictwo na sejmie. — Urządzenie sejmu związkowego. — Rozwiązanie sporów w Szwajcarji, do czego się przyczyniła najwięcej Francja.— Nowe kantony zachowują swój byt za pieniężném wynagrodzeniem. — Bern otrzymuje wynagrodzenie terytorjalne w Porentruy i biskupstwie Bazylejskiem. — Konstytucya szwajcarska wyjęta prawie całkowicie z aktu pośrednictwa. —

Trudności zachodzące w sprawie Włoskiéj.— Pan Talleyrand, który nic nie żądał za swe uczestniczenie w sprawach polskiéj i saskiéj, zagrożony popowszechnem go odstąpieniem w sprawach neapolitańskich. — Szczęściem dla niego Murat sam podsuwa rozwiązanie, podając kongresowi urzędowne i bardzo nierozważne warunki. — Austrja na nie odpowiada, że poszle do Włoch 150 tysięcy wojska — Postanowienie ogólne raz skończyć z Muratem. — Trudności zachodzące w sprawie parmeńskiej. — Na żądanie obudwóch linii Burbonów chcianoby oddać Parmę królowej Etrurji, a Marji Ludwice pozostawić tylko Lukę. — Ta kierowana dobremi radami opiera się temu i w końcu obudza litość w swoim ojcu i wspaniałomyślność w Aleksandrze. — Nie mówiąc o niczem panu Talleyrand, zobowiązali lorda Castlereagh, aby przy przejeździe przez Paryż, wszedł w bezpośrednie układy z Ludwikiem XVIII, celem pozostawienia Parmy Marji Ludwice w dożywociu i żeby królowa Etrurji poprzestała tymczasowo na księstwie Lukiejskiem. — Postanowiono przywrócić Legacje pod władzę papieża — Postanowienia względem wolności murzynów i rzek spławnych. — Ponieważ wszystkie sprawy zostały załatwione w Lutym, przeto monarchowie gotują się do odjazdu, wkładając na ministrów obowiązek zredagowania postanowień. — Uchwalono, że będzie sporządzony jeden akt ogólny, podpisany przez ośmiu panujących, którzy uczestniczyli w traktacie paryzkim i że będzie zawierał wszelkie rozwiązania spraw interesu ogólnego, oprócz oddzielnych układów między stronami interesowanemi co do spraw szczegółowych. — W chwili rozejścia się kongresu, wiadomość o wylądowaniu Napoleona przeraziła i wstrząsnęła wszystkie umysły. — Przyrzeczenia utrzymania związku do nowego przesilenia. — Wszystkie europejskie układy utrzymano. — Prawdziwy charakter kongresu wiedeńskiego i sąd, jaki można wydać o tém dziele. które pomimo niejakich zmian, trwało prawie pół wieku. .od str. 235 do 367

KSIĘGA PIĘĆDZIESIĄTA SIÓDMA.

WYSPA ELBA.

Pobyt Lorda Castlereagh w Paryżu. — Otrzymał od Ludwika XVIII ustępstwo księstwa Parmy dla Marji Ludwiki, a w zamian przyrzekł usunięcie Murata. — Austrja sto tysięcy do Włoch, a Francja 30 tysięcy żołnierza wysyła do Delfinatu — Stan wewnętrzny Francji: zdwojona obawa u nabywców dóbr narodowych, a rozdrażnienie pomiędzy wojskowymi. — Odkrycie popiołów Ludwika XVI i uroczystość pogrzebowa 21 Stycznia. — Zaprowadzone zmiany w ciele urzędniczem i zastąpienie p. Muraire przez p. de Séze, a p. de Merlin przez p. Mourre — Zamieszki ludowe z powodu pogrzebu panny Raucourt. — Rozpoczęcie na nowo sprawy przeciw jenerałowi Exelmans.— U-

niewinnienie tego jenerała. — Wojska Francuzkie po raz pierwszy są usposobione do wmięszania się w politykę. — Młodzi jenerałowie zamierzają obalić Burbonów. — Związek braci Lallemand i Lefebvre-Desnoutte — Wielcy dostojnicy cesarstwa odpychają podobne przedsiewzięcia. — P. Fouché jako mniéj sumienny tworzy koło siebie środek wszystkich tych knowań. — P. de Bassano, który dotąd nie znosił się z wyspą Elbą, poiucza p. Fleury de Chaboulon uwiadomić o wszystkiém Napoleona, nie ośmielając się jednak na żadną radę. — Urządzenie się Napoleona na wyspie Elbie i sposób jego życia. — Organizacja jego małéj armji i małéj marynarki. — Co robi dla pomyślności wyspy. — Stan jego skarbu. — Niemożność Napoleona utrzymywania nad lat dwa dłużéj wojsk, które zabrał z sobą. — Okoliczność ta połączona z otrzymanemi wiadomościami skłania go do postanowienia, aby nie pozostał na Elbie. — Pojednanie się jego z Muratem i rady jakie mu udzielił. — W początku 1815 roku dowiaduje się Napoleon o blizkim wyjeździe monarchów zgromadzonych z Wiednia, o zamiarze wysłania go na inne morza i że stronnictwa we Francji doszły do najwyższego stanu rozdrażnienia. — Postanowił więc natychmiast opuścić wyspę Elbę, a to tem bardziéj, że długie w téj porze noce były przyjazne jego zamiarom. — Przybycie p. Fleury de Chaboulon utwierdza go w tém postanowieniu. — Tajemne przygotowanie do wyprawy, która wykonaną być miała 26 Lutego. — Ostatnie jego zniesienie się Muratem i odbicie od brzegów 26 Lutego wieczorem — Różne okoliczności téj podróży. — Wylądowanie w zatoce Juan 1 Marca. — Zadziwienie i niepewność nadbrzeżnych mieszkańców. — Poroniony zamach na Antibes. — Kilkogodzinny pobyt w Cannes. — Wybór pomiędzy dwoma drogami, to jest górami prowadzącą do Grenobli i nadbrzeżną prowadzącą do Marsylji. — Napoleon postanowił udać się na Grenoblę i postanowieniem tém zapewnił powodzenie swemu przedsięwzięciu. — Wymarsz 1 Marca wieczorem do Grasse — Długi i trudzący pochód przez góry. — Przybycie dnia następnego do Sisteron. — Przyczyny dla których ta twierdza nie była obsadzoną. — Zajęcie Sisteron i pochód na Gap. — Co się dzieje w tej chwili w Grenobli. — Usposobienie szlachty, mieszczaństwa, ludu i wojska. — Prefekt i generałowie postanowili czynić swą powinność. — Wysłanie wojsk do La Mure w celu przecięcia drogi do Grenobli. Napoleon po zajęciu Gap, wyruszył do Grenobli i spotkał w La Mure batalion 5-go pułku linjowego, w celu zamknięcia mu drogi. — Ukazał się przed frontem bataljonu i odkrył swą pierś piątakom. — Ci odpowiedzieli okrzykiem: Niech żyje Cesarz! i rzucili się ku niemu. — Po tém pierwszém powodzeniu Napoleon udał się dalej ku Grenobli. — W drodze spotkał 7-my pułk linjowy, dowodzony przez pułkownika La Bédoyère, który mu się poddał. — Przybycie pod mury Grenobli samym wieczorem. — Z powodu zamknięcia bram miasta lud takowe wyłamał i otworzył je dla Napoleona. — Pokojowa i liberalna przemowa Napoleona do władz cywilnych i wojskowych. — Przez 8 Marca bawi w Grenobli i wyprawia ku Lyonowi zebrane już wojska, które wynosiły do 8 tysięcy żołnierza. — Nazajutrz sam wyruszył ku Lyonowi. — Wiadomość o jego wylądowaniu 5 Marca przybyła do Paryża. — Wrażenie jakie tu zrobiła Wysłano hrabiego d'Artois z księciem Orleańskim do Lyonu, marszałka Ney

do Besançon, księcia de Burbon do Wandei, księcia d'Angoulême do Nimes i Marsylji. — Natychmiastowe zwołanie izb. — Niepokój klas średnich i głęboki smutek ludzi oświeconych, którzy przewidują następstwa powrotu Napoleona. — Rojaliści umiarkowani, a na ich czele pp. Lainé i de Montesquiou chcieliby porozumieć się ze stronnictwem konstytucyjném przez zmianę gabinetu w duchu liberalnym. — Przeciwnie rojaliścii zagorzali, upatrując w obecném położeniu tylko skutki słabego postępowania rządu, nie chcą się zgodzić na żadne ustępstwa. — Ludwik XVIII miotany niepewnością, nic postanowić nie może — Dalszy ciąg wypadków pomiędzy Grenoblą a Lyonem. — Przybycie hrabiego d'Artois do Lyonu. — Przyjęty tu został zimno przez ludność i niechętnie przez wojska. — Próżne usiłowania marszałka Macdonald do rzekonania wojskowych wszelkiego stopnia, że powinni spełnić swoją powinność. — Stan rzeczy tak groźne przybiera pozory, że marszałek Macdonald skłonił do powrotu do Paryża hrabiego d'Artois i księcia Orleańskiego. — Pozostał sam tylko dla utworzenia zapory. — Przednia straż Napoleona pojawiła się 10 Marca wieczorem przed mostem Gullotière, a żołnierze strzegący tego mostu wydali okrzyk: *Niech żyje Cesarz!* otworzyli miasto wojsku cesarza i zamierzali pogodzić marszałka z Napoleonem. — Marszałek uciekł cwałem, chcąc pozostać wiernym swéj powinności. — Uroczyste wejście Napoleona do Lyonu. — Podobnie jak w Grenobli, usiłował przekonać wszystkich, że pragnie tylko pokoju i wolności. — Wydaje postanowienie rozwiązujące izby, zwołujące ciało wyborcze na uroczystość rycerską w Paryżu, i różnemi postanowieniami zapewnia powodzenie swemu przedsięwzięciu. — Po przepędzeniu w Lyonie czasu koniecznego, wyjechał 13 Marca rano drogą burgundzką. — Przyjęcie pełne zapału jakiego doznał w Macon i Chalon. — Orędownictwo wielkiego marszałka Bertrand do Marszałka Ney. — Szczere usposobienie tego marszałka do pozostania wiernym swej powinności, lecz powszechne objawy ludności i wojska mimowoli ciągną go ku Napoleonowi. — Marszałek Ney dwa dni walczy w tej niepewności, lecz widząc powstające dokoła siebie i miasta i żołnierzy, łączy się z Napoleonem. — Uroczysty pochód Napoleona przez Burgundję. — Przybycie jego do Auxerre 17 Marca. — Zamiar zatrzymania się tutaj dwa dni, celem skupienia wojsk i szykiem wojennym wyruszenia na Paryż. — Stan stolicy w tych dniach ostatnich. — Usiłowania rojalistów umiarkowaaych w celu porozumienia się ze stronnictwami spełzły na niczém; zmieniono tylko ministra wojny, którem uniedowierzano i dyrektora policyi, o którego zdolnościach powątpiewano. — Powołanie księcia de Feltre na ministra wojny. — Usiłowanie braci Lallemand i ich niepowodzenia. — Okoliczność ta daje niejakiej otuchy dworowi i na jednem posiedzeniu królewskiém Ludwik XVIII oklaskami został przyjęty. — Zamiar utworzenia armji pod Melun pod rozkazami księcia de Berry i marszałka Maczdonald. — Pobyt Napoleona w Auxerre. — Rozmowa jego z marszałkiem Ney — Jego wyjazd 19 Marca i przybycie w nocy do Fontainebleau. — Na wiadomość o jego zbliżeniu się, rodzina królewska postanowiła opuścić Paryż. — Wyjazd Ludwika XVIII i wszystkich książąt w nocy z 19 na 20 Marca.—

Niewiadomość jak się rzeczy mają 20 Marca z rana, po wyjeździe rodziny królewskiéj. — Oficerowie na pół żołdzie gromadnie zebrani na placu Karuzelu dowiedzieli się, że pałac jest opuszczony i rozwinęli trójkolorową chorągiew. — Dostojnicy cesarstwa zgromadzili się tutaj. — Napoleon wyjechawszy z Fontainebleau po południu, przybył do Paryża wieczorem. — Wyjazd jego do Tuilleries. — Przyczyny i skutki zadziwiającej tej rewolucji.

od str. 370 do 498.

Bibl. AP W
T. 10
26604/2